Susan Kay

Upiór

Rozdział 1

Madeleine 1831 - 1840

To był poród pośladkowy, tak więc do ostatniej chwili błogosławionej nieświadomości słyszałam bardzo wyraźnie hałaśliwe zachęty położnej. - Jeszcze troszeczkę, moja droga... Jeszcze tylko główka... Pani syn już prawie jest z nami. Ale teraz trzeba bardzo uważać. Proszę robić dokładnie to, co powiem. Słyszy mnie pani, madame? Dokładnie to, co powiem.

Skinęłam głową i złapałam głęboki oddech, kurczowo chwytając się ręcznika, który przywiązano do drewnianego oparcia łóżka za moimi plecami. Świece rzucały na sufit ogromne cienie; dziwne, skradające się kształty, które trochę mnie przerażały, mimo że paroksyzmy bólu omal nie pozbawiły mnie przytomności. W ostatnim, samotnym momencie przeszywającego cierpienia wydało mi się, że oprócz mnie nie został na świecie nikt żywy; że będę zamknięta na całą wieczność w ponurym

więzieniu mojego bólu.
Poczułam, jakby coś wydzierało się z mojego wnętrza, rozrywając mnie przy tym na strzępy, a potem zapanował spokój... Cisza, jakby wszystkim zabrakło tchu z zaskoczenia. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że twarz położnej, do tej pory zaróżowiona z wysiłku i emocji, zwolna traci kolor, a moja pokojówka, Simonette, cofa się od łóżka z ręką przyciśniętą do ust.
Pamiętam, że myślałam: Z pewnością jest martwe. Ale instynktownie wyczuwałam, nawet w tamtej chwili niepewności, zanim poznałam prawdę, że to coś gorszego... o wiele gorszego.
Usiadłam z trudem, opierając się o wilgotną poduszkę. Spojrzałam na zakrwawione prześcieradła, które leżały pode mną, i zobaczyłam to, co one widziały.
Nie krzyczałam; żadna z nas nie krzyczała. Nawet, gdy zobaczyłyśmy, że to coś poruszyło się słabo i zdałyśmy sobie sprawę, że wcale nie było martwe. Widok tego czegoś leżącego na prześcieradłach był tak nieprawdopodobny, że nie sposób było wydobyć głosu z gardła. Patrzyłyśmy więc tylko wszystkie trzy, jakby nasze wspólne, osłupiałe przerażenie mogło zniszczyć to potworne szkaradzieństwo i odesłać je z powrotem do królestwa nocnych koszmarów, gdzie z pewnością było jego miejsce.
Pierwsza otrząsnęła się z szoku położna. Pochyliła się, żeby przeciąć pępowinę. Jej ręka trzęsła się tak bardzo, że prawie nie była w stanie

utrzymać nożyc.
- Boże, zmiłuj się! - powiedziała pod nosem, żegnając się odruchowo. - Chryste, zmiłuj się!
Patrzyłam z tępym, obojętnym spokojem, jak zawinęła to stworzenie w szal i położyła w kołysce, która stała przy łóżku.
- Biegnij po Ojca Mansarta - zwróciła się do Simonette drżącym głosem.
- Powiedz mu, żeby zaraz tu przyszedł.
Simonette szarpnęła drzwi i zbiegła ciemnymi schodami nie oglądając się w moją stronę. To była ostatnia służąca, która zgodziła się zamieszkać pod moim dachem. Nigdy później, po tej straszliwej nocy, jej nie widziałam; nie przyszła nawet po swoje rzeczy, które zostały w pokoiku na strychu. Gdy wreszcie nadszedł Ojciec Mansart, był sam. Położna czekała na niego przy drzwiach. Zrobiła wszystko, co było jej obowiązkiem, a teraz czekała niecierpliwie, aż będzie mogła pójść i zapomnieć, że kiedykolwiek wzięła udział w czymś, co powinno było pozostać tylko złym snem. Była na tyle zniecierpliwiona, zauważyłam obojętnie, że zapomniała nawet o zapłacie.
- A gdzie jest dziewczyna? - zapytała. W jej głosie słychać było niezadowolenie. - Pokojówka nie przyszła z Ojcem?
Ojciec Mansart zaprzeczył ruchem szpakowatej głowy.
- Ta mała mademoiselle nie chciała mi tutaj towarzyszyć. Była całkiem ogłupiała ze strachu. Nie udało mi się jej przekonać.
- No cóż... Nie dziwi mnie to - odparła położna ponuro. - Powiedziała

Ojcu, że dziecko to potworek? Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego, a widziałam już niejedno, Ojciec wie... Na szczęście nie wygląda na silne, to chyba łaska Boża...
Słuchałam z niedowierzaniem. Rozmawiali, jakby mnie wcale nie było w pokoju; jakby ta potworna istota zmieniła mnie w głuchą i niemą idiotkę bez prawa do ludzkiej godności. Podobnie jak stworzenie w kołysce, stałam się tematem przepełnionej niesmakiem dyskusji; nie byłam już dłużej osobą.
Położna owinęła się w szal i podniosła swój kosz.
- Sądzę, że ono umrze. Dzięki Bogu, zwykle umierają. Nie odezwało się, to dobry znak... Bez wątpienia rano już go nie będzie. Tak czy inaczej, to już nie moja sprawa - ja swoje zrobiłam. Jeśli więc Ojciec wybaczy, pójdę sobie. Obiecałam, że spojrzę jeszcze na Madame Lescot. To jej trzecia ciąża, wie Ojciec...
Głos położnej oddalał się coraz bardziej, aż ucichł, kiedy doszła na parter. Ojciec Mansart zamknął za nią drzwi, postawił latarnię na komódce, a mokry płaszcz rozwiesił na krześle.
Miał przyjazną, dojrzałą twarz, ogorzałą od przebywania na powietrzu przy każdej pogodzie. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat. Wiedziałam, że podczas swej długiej posługi kapłańskiej musiał widzieć wiele potworności, a jednak zobaczyłam, że cofnął się od kołyski pod wpływem szoku. Jedna jego ręka zacisnęła się na krucyfiksie na szyi, drugą zaś przeżegnał się nerwowo. Ukląkł i modlił się przez chwilę,

zanim stanął przy moim łóżku.
- Moje drogie dziecko - zwrócił się do mnie ze współczuciem. - Nie pozwól sobie zwątpić, że nasz Pan czuwa nad tobą. Tragedie, takie jak ta, wykraczają poza ramy ludzkiego pojmowania. Proszę cię jednak, pamiętaj, że Bóg nie stwarza niczego bez powodu.
Wzdrygnęłam się.
- Wciąż jeszcze żyje... prawda?
Skinął głową, przygryzając swoją pełną dolną wargę i popatrzył smutno w stronę kołyski.
- Ojcze - zawahałam się, ze wszystkich sił usiłując zdobyć się na odwagę, żeby mówić dalej. - Jeśli go nie dotknę... jeśli go nie nakarmię...
Ksiądz potrząsnął głową surowo.
- Nasz Kościół wyraża się jasno o podobnych sprawach, Madeleine. To, co proponujesz, to morderstwo.
- Ale przecież w tym wypadku byłby to akt miłosierdzia...
- To byłby grzech - uciął. - Grzech śmiertelny! Zaklinam cię, pozbądź się myśli o podobnej niegodziwości. Twoim obowiązkiem jest zatroszczyć się o tę ludzką duszę. Musisz karmić to dziecko i dbać o nie, jak dbałabyś o każde inne.
Odwróciłam twarz do poduszki. Chciałam powiedzieć, że Bóg też może czasem popełniać błędy, ale nawet na dnie mojej rozpaczy nie mogłam zdobyć się na odwagę, żeby wygłosić takie bluźnierstwo.
W jaki sposób ta wynaturzona potworność miała być człowiekiem? Był

dla mnie obcy niczym gad - brzydki, odrażający i niechciany. Jakie prawo miał jakikolwiek ksiądz, by decydować, że coś takiego powinno żyć? Więc to miała być Boża łaska... Nieskończona mądrość?

Łzy wyczerpania i rozpaczliwego gniewu spływały mi po twarzy, mimo że z całej siły starałam się skoncentrować na pasiastej tapecie na wprost mnie. Od trzech miesięcy przedzierałam się przez niekończący labirynt tragedii, podążając za jedynym światłem - jasną świecą, która płonęła spokojnie tuż poza moim zasięgiem i która pozwalała mi przetrwać. Maleńkie, drżące światełko nadziei, które niosła za sobą obietnica nowego życia.

Teraz to światło zgasło i otoczyła mnie ciemność, bezgraniczna ciemność podobna do bezdennej studni o gładkich ścianach, którą spadałam w najgłębszą czeluść piekła. Po raz pierwszy w życiu byłam naprawdę sama. Nikt nie przybywał, by uwolnić mnie od tego ciężaru.

- Myślę, że mądrze będzie ochrzcić dziecko od razu - powiedział Ojciec Mansart ponuro. - Czy zechciałabyś podać mi imię?

Patrzyłam, jak ksiądz zwolna chodzi po pokoju; śledziłam wzrokiem jego wysoki cień w czarnej sutannie. Wziął moją porcelanową miskę do mycia i poświęcił wodę. Chciałam nazwać syna Charles, po moim zmarłym mężu, ale teraz to było niemożliwe. Sam pomysł wydał mi się obrzydliwy.

Imię... Muszę wybrać imię!

Znowu spłynęło na mnie uczucie, że to nie dzieje się naprawdę. Tępe,

bezmyślne odrętwienie zdawało się paraliżować mój mózg. Kiedy już nie byłam w stanie myśleć o niczym, z rozpaczą w głosie poprosiłam księdza, żeby nazwał dziecko swoim własnym imieniem. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, ale nic nie powiedział, nie zaprotestował, po czym sięgnął do kołyski.

- Eriku, ja ciebie chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - powiedział powoli.

Potem pochylił się i położył pomarszczone zawiniątko w moich ramionach z determinacją, której nie ośmieliłam się sprzeciwić.

- To jest twój syn - powiedział po prostu. - Naucz się kochać go tak, jak Bóg go kocha.

Zabrał swój płaszcz, latarnię i odwrócił się do wyjścia. Słyszałam, jak stare schody skrzypią pod jego ciężkimi butami, a drzwi wejściowe zatrzaskują się za nim.

Zostałam sama z potworem, którego ja i Charles powołaliśmy do życia naszą miłością.

Nigdy w życiu nie czułam takiego strachu, takiego ostatecznego poczucia nieszczęścia, jak w pierwszej chwili, gdy trzymałam mojego syna w ramionach. Zdałam sobie sprawę, że to stworzenie - ta rzecz! - była całkowicie zależna ode mnie. Jeśli zostawię je, aby zamarzło lub umarło z głodu, to moja dusza będzie płonąć za to w piekle przez całą wieczność. Byłam praktykującą katoliczką i bardzo dosłownie wierzyłam w istnienie ognia piekielnego.

Ze strachem, drżącymi dłońmi, rozchyliłam szal, aby spojrzeć na twarz dziecka. Widziałam wcześniej deformacje - któż nie widział? - ale nic podobnego do tego. Cała czaszka była obnażona pod cienką, półprzezroczystą błoną, groteskowo naznaczoną małymi, pulsującymi, niebieskimi żyłkami. Wpadnięte, niedobrane oczy, straszliwie zniekształcone usta i potworna, ziejąca dziura w miejscu, w którym powinien być nos.

Moje ciało, jak wadliwie działające koło garncarskie, wyrzuciło z siebie to żałosne stworzenie. Przypominał mi coś martwego od dawna, co chciałam już tylko zakopać i uciec jak najdalej.

Półprzytomnie, poprzez obrzydzenie i strach, uświadomiłam sobie, że on mnie obserwuje. Jego niedopasowane oczy, wpatrzone we mnie intensywnie i ciekawie, były zagadkowo współczujące; zdawało mi się, że patrzy na mnie z litością, całkiem jakby znał i rozumiał moje przerażenie. Nigdy nie widziałam takiej przytomności, tak potężnej świadomości w oczach żadnego nowonarodzonego dziecka. Nagle zaczęłam odwzajemniać to spojrzenie z ponurą fascynacją, jak ofiara zahipnotyzowana przez grzechotnika.

A potem on się odezwał!

Brakuje mi słów, by opisać pierwszy dźwięk jego głosu i niezwykłe wrażenie, jakie we mnie wywołał. Zawsze sądziłam, że płacz noworodka jest kompletnie bezpłciowy - przenikliwy, irytujący i dziwnie niełądny. Ale w tym głosie była niezwykła muzyka, która sprawiła, że moje oczy

napełniły się łzami. Muzyka, która uwodziła moje ciało tak, że piersi bolały mnie z prymitywnego i nieposkromionego pragnienia, by go przytulić. Nie miałam siły bronić się przed jego instynktownym błaganiem o przeżycie.

Ale w chwili, gdy jego ciało dotknęło mojego i zapadła cisza, czar prysnął; opanowała mnie panika i obrzydzenie.

Odepchnęłam go od piersi, jakby był jakimś wstrętnym robakiem wysysającym moją krew. Odrzuciłam go od siebie nie zastanawiając się, gdzie upadnie i uciekłam w drugi koniec pokoju. Skuliłam się tam jak zaszczute zwierzę, z brodą przyciśniętą do kolan i rękami zaciśniętymi na głowie.

Chciałam umrzeć.

Chciałam, żebyśmy oboje umarli.

Gdyby znowu zapłakał, wiem, że bym go zabiła - najpierw jego, a potem siebie.

Ale on był cicho.

Może już nie żył...

Coraz mocniej skuliłam się w sobie, kołysząc się w tył i w przód jak nieszczęsna, oszalała istota w domu dla obłąkanych. Starałam się uciec od brzemienia, którego nie byłam w stanie udźwignąć.

Moje życie było tak piękne aż do tego lata; zbyt łatwe, zbyt pełne przyjemności. Nic w tym krótkim czasie, kiedy byłam rozpieszczoną dziewczynką, nie przygotowało mnie do tragedii, które spadły na mnie,

odkąd poślubiłam Charlesa.

Nic nie przygotowało mnie na Erika!

*

Byłam jedynym dzieckiem dojrzałych, pobłażliwych rodziców; ich małą księżniczką i pępkiem świata. Mój ojciec był architektem w Rouen; człowiekiem sukcesu o nieco kapryśnym usposobieniu, kochającym muzykę i zachwyconym talentem, jaki przejawiałam w tej dziedzinie. Od wczesnego dzieciństwa zachęcano mnie, żebym śpiewała i popisywała się moją niezbyt doskonałą grą na skrzypcach i pianinie. Mimo że Mama, dla dobra mojej duszy, wysłała mnie na naukę do klasztoru sióstr Urszulanek w Rouen, cele mojego Papy były bardziej przyziemne. Zorganizował dla mnie lekcje śpiewu, ku zgrozie zakonnic, które uważały podobną rzecz za rozbudzanie w dziecku próżności. Co tydzień uciekałam z klasztoru do profesora, który miał za zadanie przygotować mnie do występu na scenie Opery Paryskiej. Miałam dobry głos, ale nigdy nie dowiedziałam się, czy mój talent i dyscyplina wewnętrzna pozwoliłyby mi podbić Paryż. Gdy miałam siedemnaście lat, towarzyszyłam raz ojcu w spotkaniu z klientem przy Rue de Lecat. Tak oto poznałam Charlesa i jednocześnie porzuciłam marzenia o karierze scenicznej.

Charles był piętnaście lat starszy ode mnie i pracował jako mistrz kamieniarski ciesząc się niekłamanym uznaniem mojego ojca. Ojciec często mawiał, że to zaszczyt powierzać projekt człowiekowi o tak

głębokim i naturalnym wyczuciu piękna; perfekcjoniście, który nigdy nie zadawalał się miernym wynikiem. Zwykli klienci, skoncentrowani na możliwie największych oszczędnościach, przeżywali ciężkie chwile zarówno z moim ojcem, jak i z Charlesem. Może więc fakt, że tak doskonale zgadzali się ze sobą na gruncie zawodowym zadecydował, że ojciec z radością powitał Charlesa jako zięcia, gdy tylko o tym napomknęłam. Może pamiętał, jak sam, przed laty, będąc młodym architektem bez zamówień, musiał stawić czoła rodzinie Mamy. A może był po prostu zdecydowany, tak jak okazywał to przez całe moje usłane różami dzieciństwo, że nie pozwoli, by cokolwiek zmąciło szczęście jego jedynaczki. Nawet, jeśli czuł się zawiedziony, że w końcu nie zostanę prima donną, nic nie powiedział.

Moja Mama zaś była Angielką - ze wszystkimi stereotypowymi cechami, jakie to słowo w sobie zawiera. Myślę, że wolała widzieć mnie jako szanowaną mężatkę, mimo iż nie zrobiłam świetnej partii, niż występującą na jakiejkolwiek scenie w Paryżu.

Charles i ja pojechaliśmy w podróż poślubną do Londynu. Papa pokrył wszystkie koszta i wyposażył nas w listę cudów architektury, które “bezwzględnie musieliśmy zobaczyć”. Niestety, nie widzieliśmy zbyt wiele. Był listopad, najpaskudniejszy miesiąc w Anglii, i przez większość naszego trzytygodniowego pobytu miasto spowite było gęstą, żółtą mgłą. Była to idealna wymówka, żeby zostać w naszej przytulnej i dyskretnej sypialni hotelowej w Kensington i w zachwycie odkrywać

cuda Boskiej architektury.
Ostatniego dnia naszej podróży słońce niemiłosiernie wdarło się do pokoju przez szparę w zaciągniętych zasłonach. Z poczuciem winy wygrzebaliśmy się z pościeli. Papa nigdy by nam nie wybaczył, gdybyśmy nie obejrzeli Hampton Court!
Wczesnym wieczorem powóz odwiózł nas pod drzwi hotelu. Charles usiłował poradzić sobie z obcą walutą i gburowatym woźnicą, a ja tymczasem poszłam do recepcji po klucz.
- List do pani - oznajmił mi boy hotelowy, wzięłam więc kopertę i nie myśląc wiele wsunęłam ją do mufki. Odwróciłam się, gdyż Charles właśnie wszedł do holu.
Jego widok wciąż jeszcze zapierał mi dech w piersi, tak samo jak owego pierwszego dnia w Rouen. Był taki wysoki i nieprzyzwoicie wręcz przystojny. Dostrzegł klucz w mojej dłoni, a jego uśmiech był odpowiedzią na moją myśl.
Wbiegliśmy szerokimi schodami pokrytymi bogatym dywanem i w rozpędzie wpadliśmy na dwie starsze damy, które właśnie schodziły z typowo angielską godnością.
- Ci Francuzi! - powiedziała jedna z nich półgłosem. - Zbereźnicy! Zresztą, czegóż się można po nich spodziewać?
Charles i ja nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Charles powiedział, że żal mu Anglików, bo wszyscy przypominają zimne i zasuszone gargulce. Nie mają pojęcia o miłości.

Dwie godziny później, gdy jak zadowolona, leniwa kotka leżałam w objęciach męża, nagle przypomniałam sobie o liście, który wciąż tkwił w mojej mufce...

Dopiero po powrocie do Francji zdałam sobie sprawę, że poczęliśmy nasze pierwsze dziecko w tym samym tygodniu, kiedy oboje moi rodzice zmarli na cholerę.

*

Nie było wielkiej epidemii.

Stary znajomy ojca zachorował nagle w domu moich rodziców, do których przyjechał z wizytą z Paryża. Papa nie chciał się zgodzić, żeby chorego przyjaciela odwieziono do domu i pozostawiono pod opieką służby i ten spontaniczny gest gościnności sprowadził śmierć na wszystkich domowników.

Po tej tragedii nie mogłam sobie znaleźć miejsca w Rouen. Miasto zmieniło się dla mnie w wielkie muzeum architektury; muzeum poświęcone mojemu beztroskiemu i szczęśliwemu dzieciństwu. Barokowa kaplica kolegium jezuickiego, plac St. Vivien, elegancka Rue St. Patrice ze wspaniałymi siedemnasto- i osiemnastowiecznymi domami ukrytymi za masywnymi bramami... Nie, nie mogłam dłużej mieszkać w mieście, gdzie każda ulica i historyczny budynek przywoływały wspomnienia, które sprawiały mi ból.

Minął miesiąc, zanim Charles pozwolił mi przekroczyć próg domu ojca z obawy przez zarazą. Wiedzieliśmy już wtedy o mojej ciąży, a Charles

reagował na to niezwykłą, absurdalną wprost opiekuńczością. Z determinacją odsuwał od swojej ukochanej żony i dziecka każde zagrożenie. Zachowywał się zupełnie tak, jakbym była pierwszą kobietą na świecie w błogosławionym stanie, a jego niesłychana troskliwość bawiła mnie i troszeczkę niepokoiła czy, jeśli urodzę dziewczynkę, nie stanę się o nią zazdrosna.

- Naprawdę, Charles, nie przejmuj się tak. Kobiety codziennie rodzą dzieci.

- Po prostu chcę, żebyś o siebie dbała - przekonywał mnie. - Nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś złego.

Położyłam mu rękę na ramieniu, trochę onieśmielona jego opiekuńczością. Śmierć mojego ojca rozstroiła go o wiele bardziej, niż sądziłam. Poczułam się zawstydzona, że przez własny egoizm nie zauważyłam nawet, że i on bolał w duchu nad stratą dobrego przyjaciela.

- To dziecko jest dla ciebie bardzo ważne, prawda? - spytałam łagodnie.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że boisz się, że nie będziemy mieli innych.

Zaśmiał się i zamknął mnie w bezpiecznym schronieniu swoich ramion.

- Oczywiście, będziemy mieli inne dzieci. Ale jest coś szczególnego w pierworodnym, nie sądzisz, Madeleine? Pierwszy raz stwarzam człowieka na swój obraz i podobieństwo. To sprawia, że czuję się jak Bóg.

- Ach, ty! - powiedziałam z czułością. - Jesteś prawdziwym artystą! Papa zawsze mówił, że powinieneś zajmować się rzeźbą, a nie tylko

budownictwem.
- Myślałem o tym - przyznał. - Poważnie. Kiedy byłem małym chłopcem.
- Co więc cię powstrzymało? - dopytywałam się ciekawie.
- Myśl, że mógłbym umrzeć w nędzy. - Uśmiechnął się krzywo. - No, teraz połóż się do łóżka jak grzeczna dziewczynka. Jest już późno i mój syn pewnie chce spać.
Charles spał, a ja leżałam wyobrażając sobie obraz wyjątkowego dziecka, który mąż dla mnie wymalował. Oczami duszy widziałam znak krzyża nakreślony wodą święconą na gładkim, zaokrąglonym czółku doskonałego niemowlęcia... Pierwszego owocu naszej wielkiej miłości. Charles obiecał mi doskonałość, a ja wierzyłam mu bez zastrzeżeń. Nie miałam wątpliwości, żadnych z tych normalnych niepokojów, które nękają oczekujące matki. W magicznym kręgu naszej miłości i szczęścia czułam się pewna i spokojna; chroniły mnie podwaliny, którymi nie mógł wstrząsnąć zwyczajny zły los.
Wszystko to, oczywiście, zostało mi dane... Śliczny, siedemnastowieczny dom przy Rue St. Patrice i stałe dochody z wielu rozsądnych inwestycji mojego ojca.
- Jesteś kobietą niezależną finansowo - powiedział mi kiedyś Charles melancholijnie, a ja wyczułam w jego głosie niepewność. Nie chciał, żeby ktokolwiek mówił, że poślubił mnie tylko dla pieniędzy. Wtedy pierwszy raz zdałam sobie sprawę z jego wewnętrznego rozdarcia,

znanego każdemu, kto ożenił się powyżej swego stanu. Nabrałam przekonania, że powinniśmy wyjechać z Rouen i zacząć życie na nowo w innym miejscu.

Obeszłam dom ojca, systematycznie katalogując te z pamiątek rodzinnych, z którymi nie chciałam się rozstawać: biżuterię Mamy, książki i papiery Papy, małe skrzypki, na których zawodziłam moje pierwsze, iście potępieńcze, nuty. Cały czas nadchodziły pompatyczne i nienaturalne listy z kondolencjami, wyrażające żal i szacunek w wyważonych proporcjach. Aż któregoś dnia otworzyłam list od Marie... Marie Perrault, towarzyszka mojego męczącego zamknięcia u sióstr, a potem druhna na moim ślubie. Chyba najbardziej pospolita druhna, jaką widziałam. Nawet Mama, słysząc o moim wyborze, wzniosła oczy do nieba. Wydaje mi się, że Marie była najmniej prawdopodobną kandydatką na moją przyjaciółkę. Jeszcze w klasztorze miałam grono zagorzałych wielbicielek, które przyjmowały moje sądy za wyrocznię, naśladowały moja fryzurę i detale sukni. A już na pewno nic nie wyróżniało Marie z wyglądu. Była niesamowicie wręcz pospolita, o żółtawej cerze i ściągniętej twarzy pod strzechą niemodnych, marchewkowo-rudych włosów. Była w niej jakaś nieśmiałość i pokora, która automatycznie niemal zachęcała wszelkich okolicznych chuliganów do znęcania się nad nią. Musiała mieć około dziesięciu lat, kiedy po raz pierwszy wzięłam ją pod opiekuńcze skrzydła. Reszta moich koleżanek uważała ją za nudną i gdybym tylko pozwoliła, z

pewnością zamieniłyby jej życie w piekło, zgodnie z odwieczną tradycją szkolnego wyzysku. Ale ja nie pozwalałam. Zgadzałam się, by Marie podążała za mną jak wierny szczeniak. Innym mówiłam, że była dla mnie użyteczna - była to prawda, ale nie do końca. Byłam najładniejszą dziewczynką w klasztorze i z pewnością najbardziej wpływową; moje słowo stawało się prawem. A Marie pozostała moją przyjaciółką na długo po tym, kiedy reszta koleżanek wyjechała do domów rozrzuconych po całej Normandii i przestała pisać.

List, który właśnie otworzyłam, był cały w stylu Marie. Pełen niezręczności i pogmatwanych sentymentów napisanych prosto z serca, które jednak powinno się pozostawić niedopowiedziane. Błagała nas, żebyśmy odwiedzili ją w rodzinnym St.-Martin-de -Boscherville. Kiedy popchnęłam list przez stół do Charlesa, usłyszałam, że jęknął. Uciszyłam go jedną miną. Pojechaliśmy do Boscherville pod koniec tygodnia. Charles wytrzymał dwa dni pełnej atencji gościnności rodziny Perrault, po czym wymówił się, że pilne sprawy zawodowe wzywają go z powrotem do Rouen. Jeszcze tego samego popołudnia dowiedziałyśmy się z Marie, że samotny dom otoczony kamiennym murem stojący na skraju wsi wystawiony został na sprzedaż.

Obrośnięty bluszczem, rozwalający się, niewygodny w prowadzeniu, sad i ogród kompletnie zaniedbane przez poprzedniego, starszego wiekiem właściciela... Zakochałam się od pierwszego wejrzenia.

- To za daleko od Rouen - narzekał Charles po powrocie.

- Jest piękny - mruknęłam.
- Wymaga wiele pracy.
- Co z tego. Och Charles, tak bardzo chcę mieć ten dom! On jest taki... taki romantyczny!
Westchnął, a ja zobaczyłam, że słońce rozbłyska na pierwszych siwych włosach, które pojawiły się w jego czarnej dotąd jak sadza czuprynie.
- No dobrze - powiedział znajomym tonem zrezygnowanej zgody. - Skoro jest taki romantyczny, to zdaje mi się, że po prostu będziemy musieli go kupić.
Tak oto przeprowadziliśmy się do sennej wioski Boscherville.
Do maja stary dom był już całkowicie odnowiony i umeblowany zgodnie z najnowszą paryską modą. Idealny pałacyk oczekujący na przybycie idealnego małego księcia.

*

Trzeci maja 1831 roku - dzień, którego nigdy nie zapomnę.
Było gorąco, niespodziewanie gorąco, jak na wczesny maj. Leżałam na kanapie jak wieloryb na plaży; wachlując się i domagając od służącej wciąż nowych szklanek lemoniady.
Byłam zmęczona i rozdrażniona. Moja dwuletnia spanielka, Sasza, kręciła się po salonie, co chwila przynosząc mi piłeczkę i z nadzieją merdając ogonem.
- Jest za gorąco, żeby wyjść do ogrodu - mruknęłam. - Musisz zaczekać, aż przyjdzie Marie. Och, Sasza, idź stąd wreszcie! Simonette! Simonette!

Simonette pojawiła się w drzwiach poprawiając nerwowo fartuszek.
- Tak, madame?
- Weź tego głupiego psa do ogrodu i nie wpuszczaj do mnie, aż przyjdzie Mademoiselle Perrault wyprowadzić ją na spacer.
- Dobrze, madame.
Podczas swawolnej pogoni, która potem nastąpiła, moja nowa lampka spadła ze stolika na podłogę; biały abażur został stłuczony, a nafta rozlała się na dywan. Mój wrzask wygonił z pokoju zarówno psa, jak i pokojówkę. Gdy przyszła Marie, nieudolnie próbowałam na czworakach wytrzeć plamę.
- Jest zniszczony - łkałam ze złości. - Mój śliczny, nowy dywan! Całkowicie zniszczony!
- Nie jest tak źle - powiedziała Marie z tym swoim irytującym zdrowym rozsądkiem. - To tylko jedna plama. Jeśli przesuniemy tutaj ten mały dywanik, nikt nawet nie zauważy.
- Nie chcę w tym miejscu żadnego dywanika! - zawołałam jak dziecko. - Psuje symetrię całego pokoju. Będę musiała zamówić nowy dywan!
Marie przysiadła na piętach w swojej codziennej, muślinowej sukience i przypatrywała mi się bacznie.
- To naprawdę niepotrzebne, Madeleine. Na twoim miejscu zostawiłabym to tak, jak jest. Nikt nie chce mieszkać przez całe życie w takim wymuskanym domu, a już na pewno nie małe dziecko.
Spojrzałam na nią z wściekłością. Właśnie chciałam jej powiedzieć, że

moje dziecko nawet by nie pomyślało o brykaniu w salonie i rozlewaniu czegoś na mój piękny dywan, gdy niespodziewanie dziecko pod moim sercem kopnęło z taką siłą, że na chwilę zabrakło mi tchu.
- Nikt ciebie nie pyta o zdanie, ty mała bestio! - mruknęłam pół zła, pół rozbawiona, że tak nagle przypomniało mi o swojej obecności.
Marie nie uśmiechnęła się, tak jak oczekiwałam. Odwróciła się i sprawiała wrażenie bardzo zakłopotanej.
- Nie powinnaś tak mówić, Madeleine. Mama mówi, że to przynosi nieszczęście, kiedy ktoś mówi złe rzeczy o nienarodzonym.
- Och, nie bądź taką gąską! - odparłam drwiąco. - Ono nie mogło mnie usłyszeć.
- Nie - potwierdziła niepewnie. - Ale Bóg mógł.
Roześmiałam się w głos, cały mój dobry humor wrócił przez te niedorzeczne przesądy.
- Bóg ma poważniejsze sprawy, niż podsłuchiwanie wiernych - zapewniłam żarliwie. - Pomyśl tylko o wszystkich naprawdę złych ludziach na świecie: mordercach, ladacznicach i rozbójnikach...
Rozmowa zeszła na inne tematy i do czasu, gdy Marie wyszła, całkiem zapomniałam o złości. Charles na pewno zgodzi się na nowy dywan. “Co tylko zechcesz, kochanie” mawiał, gdy go o coś prosiłam. “Cokolwiek cię uszczęśliwi.” Zresztą, chociaż gruba i przemęczona, pewnie pojadę do Rouen jeszcze przed porodem.
Zrobiło się nieco chłodniej; przez otwarte okna, złożone z małych

szybek, wpadał rześki wiatr. Sasza, której pozwoliłam wrócić do salonu, spała po męczącym spacerze na tym, co zostało z moich kolan. Jej głowa drgała w rytm pełnych wigoru ruchów dziecka... Bardzo jest dziś niespokojny, zauważyłam. Zawsze mówiliśmy o mającym się urodzić dziecku jako o chłopcu. Charles wróżył sobie, zawiesiwszy obrączkę na nitce nad moim brzuchem i teraz był święcie przekonany, że noszę chłopca. Wiedziałam, jak bardzo pragnął mieć syna; syna, który przejmie po nim firmę budowlaną...

Przez półprzymknięte drzwi słuchałam, jak Simonette przygotowuje obiad. Spodziewałam się, że Charles wróci późno. Przyjął właśnie bardzo dochodowe zlecenie budowy ogromnej rezydencji na przedmieściach Rouen i załoga pracowała, dopóki pozwalało na to światło. Nie spodziewałam się go w domu przed zmierzchem.

Zegar w holu właśnie wybił szóstą, słońce wciąż jeszcze sączyło się przez okna tworząc kratkowe wzory na dywanie, który zamierzałam wymienić, kiedy wnieśli go na prowizorycznie sporządzonych noszach... Na budowie zdarzył się wypadek, spadł fragment muru. Zapewniano mnie, że nie było w tym niczyjej winy, jakby spodziewali się, że może mi to przynieść jakąś ulgę.

Przyszedł lekarz i, wkrótce potem, ksiądz.

Nagle cały dom pełen był ludzi mruczących komunały o dziecku; dziecku, które będzie musiało pocieszyć mnie w moim osamotnieniu.

Wieczorem tego dnia, gdy pochowali Charlesa, leżałam sama w naszym

łóżku - wspaniałym, nowiusieńkim łożu, które dostaliśmy w prezencie ślubnym od moich rodziców - i czułam, jak wewnątrz mnie wzbiera nowe życie.
Pamiętam, że modliłam się o syna; syna, który będzie mi przypominał Charlesa.
No i teraz go miałam...
Od jego narodzin minęło kilka godzin, powoli widać było przebłyski nowego dnia za niezasłoniętymi oknami.
W bladym świetle usłyszałam pierwsze, żałosne nuty pieśni tej małej syreny. Dźwięki, które owinęły się pieszczotliwie wokół mojej głowy. Przycisnęłam ręce do uszu, ale nie mogłam ich zagłuszyć. Wiedziałam, że choćbym uciekła w najdalszy zakątek świata, nie ucieknę od niego. Ten głos pozostanie w mojej głowie i doprowadzi mnie do szaleństwa z rozpaczy.
Z bezsilną rezygnacją podeszłam do łóżka i zakryłam potworną, małą twarzyczkę chustką. Kiedy już nie musiałam na niego patrzeć, byłam w stanie przemóc swój wstręt na tyle, żeby się nim zająć.
Zmusiłam się do zejścia do kuchni, znalazłam tam trochę mleka i podgrzałam je.
Później, kiedy spał w pokoju skąpanym w świetle letniego słońca, siedziałam na krześle gorączkowo przygotowując pierwszy strój, który założył.
Maskę...

Patrząc wstecz, sama nie wiem, jak bym sobie poradziła bez Marie i Ojca Mansarta. Nazbyt szybko dowiedziałam się, jak niestałą rzeczą jest popularność.

Moja pozycja we wsi dosłownie wyparowała w ciągu jednej nocy. Nikt nawet nie zbliżał się do mego domu, jakby na jego drzwiach wymalowano wielki, czerwony krzyż; zupełnie jak w dawnych czasach, gdy w ten sposób ostrzegano przechodniów przed zarazą. To nieważne, że nastał nowy wiek, a nauka co roku dokonywała zdumiewających postępów - w zapadłych dziurach, takich jak Boscherville, rządził strach i zabobony. Plotki były rozdmuchiwane do niebotycznych rozmiarów, a w moim wypadku wyobraźnia i złośliwość mieszkańców dołożyły wszelkich starań, by ubarwić tragiczną prawdę. Kiedy w końcu zdecydowałam się wyjść z domu, spostrzegłam, że wszyscy odwracają się ode mnie jak od trędowatej. Ludzie przechodzili na drugą stronę, kiedy się zbliżałam, a gdy ich minęłam, byłam absolutnie świadoma, że obmawiali mnie z okrutną ciekawością. Ojciec Mansart odradzał mi wychodzenie na zewnątrz z dzieckiem, bo chociaż nie powiedział mi tego dosłownie, bał się o nasze bezpieczeństwo.

Marie przychodziła niemal codziennie, nie zważając na niezadowolenie swoich rodziców i ostracyzm sąsiadów. Ze względu na mnie przełamała swą nieśmiałość i strach. Nauczyła mnie prawdziwego znaczenia przyjaźni; stałam się całkowicie zależna od jej pomocy i towarzystwa. Kosztowna kołyska stała zapomniana w sypialni na strychu, gdzie ją

wyniosłam. Na szczęście, z zasady nie dobiegał z niej żaden dźwięk. Dziecko nigdy nie płakało, jeśli nie było głodne, a to, dzięki Bogu, nie zdarzało się często. Całkiem tak, jakby jakiś wrodzony instynkt przetrwania zabraniał mu zwracać na siebie uwagę.

Sądzę, że mój niesmak przy dotykaniu go musiał od początku wyrażać się w jakiś sposób i że on to wyczuwał, gdyż rzeczywiście w pierwszych miesiącach życia sprawiał mi tak mało kłopotów, że czasami zapominałam o jego istnieniu na długie godziny. Nigdy nie podchodziłam do niego z własnej woli, nigdy się nie uśmiechałam ani nie bawiłam; chyba przyjmowałam, że jest umysłowo niedorozwinięty. To Marie wpadła na pomysł powieszenia nad kołyską sznurka z dzwoneczkami; zrobiła to z litości. Któregoś ranka zaciągnęła mnie siłą na górę i kazała stanąć przed otwartymi drzwiami.

- Słuchaj! - powiedziała.

Usłyszałam znajome pobrzękiwanie dzwoneczków; znak, że samotne, opuszczone dziecko znalazło sobie jakąś rozrywkę. Słyszałam to już wielokrotnie i również tym razem odwróciłam się rozdrażniona własnym poczuciem winy.

- Piekę ciasto - powiedziałam niechętnie. - Spali się, jeśli będę tu stać.

- A niech się spali! - odparła Marie krótko. - Chcę, żebyś coś usłyszała. Słuchaj!

Zaskoczona tonem jej głosu zrobiłam, o co prosiła. Kiedy zaczęłam się wsłuchiwać, uświadomiłam sobie, że dzwoneczki nie są trącane

przypadkowo; że jest w tym jakaś myśl, a dźwięki tworzą krótką, powtarzającą się frazę.
Z pewnością był to przypadek, niezwykły przypadek, ale gdy tak stałam, fraza zmieniła się i ustaliła w nowy porządek, ponownie powtórzony kilkakrotnie bez najmniejszych wariacji.
- To nie jest zwykłe dziecko - powiedziała Marie cicho. - Jak długo jeszcze wydaje ci się, że będziesz mogła zamykać je tutaj i udawać, że nie istnieje?
Odwróciłam się i zbiegłam na dół; zatrzasnęłam drzwi do kuchni, aby pozbyć się natarczywego dźwięku dzwonków, który zdawał się mnie prześladować.
Nie pozwalałam sobie na inne myśli niż, że zajmuję się jakimś bezrozumnym zwierzęciem. Mój syn był ohydnym monstrum i w jakiś sposób myśl, że mógłby mieć jakiekolwiek niezwykłe zdolności napełniała mnie przerażeniem. Jeśli Marie miała rację, moje obawy mogły tylko wzrosnąć.
Nie mogłam dłużej lekceważyć umysłu, który tak gwałtownie rozwijał się za małą, białą, skórzaną maską.

*

Pewnego wieczoru, w jakieś sześć miesięcy od jego narodzin, rozpętała się straszliwa burza. Wicher trząsł szybami w oknach, wył w kominku i sprawiał, że ogień przygasał i dymił. Deszcz walił szaleńczo o dach, a dokładnie nad naszymi głowami przetaczał się grzmot, co chwila

rozświetlając cały pokój blaskiem błyskawicy.
Nienawidziłam być sama w domu podczas burzy. Rozglądałam się za Saszą, która też bała się piorunów i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna teraz kulić się pod moją spódnicą. Ale jej tam nie było. Drzwi do holu były otwarte na oścież, pomyślałam więc, że pobiegła na górę, schronić się pod łóżkiem.
Nagle usłyszałam straszny łomot z sypialni na strychu, odgłos czegoś ciężkiego spadającego na podłogę. Przerażona pobiegłam sprawdzić, co się stało.
Stojąc w otwartych drzwiach sypialni Erika widziałam, że kołyska leży pusta na boku... a na środku pokoju, trochę dalej, pies wyraźnie ciągnie niewielkie, białe zawiniątko.
- Sasza, stój! - wrzasnęłam. - Zostaw to! Sasza! Sasza!
Ku memu zaskoczeniu, spanielka podreptała posłusznie do moich stóp i usiadła, zamiatając kudłatym ogonem po podłodze. Bałam się spojrzeć w stronę zawiniątka. Gdyby wzięła go za szczura, specjalnie bym się jej nie dziwiła...
Kiedy w końcu zmusiłam się, żeby podejść i go podnieść, przeżyłam szok. Zdałam sobie sprawę, że nie ma potrzeby takiej interwencji.
On zbliżał się do mnie!
Zaczęłam cofać się odruchowo do drzwi, ale nie mogłam oderwać oczu od tej bolesnej, upartej walki, którą toczył, żeby przesuwać się po podłodze. I nagle, z jeszcze większym przerażeniem, zrozumiałam, że

nie robił tego dla mnie, tylko dla psa.
Sasza przyglądała mu się bacznie, z głową przekrzywioną w jedną stronę i uniesionymi ciekawie uszami. Kiedy chwycił ją za łapę paluszkami chudymi jak patyki, warknęła głucho, ale nie odsłoniła zębów.
Poczułam się kompletnie wbita w ziemię, niezdolna zrobić najmniejszego ruchu, żeby temu zapobiec. Z lodowatą fascynacją patrzyłam, jak podciągnął się do pozycji siedzącej, chwytając się futra zwierzęcia, a potem niepewnie wyciągnął jedną rękę w stronę jej pyska.
- Sasza! - powiedział powoli i wyraźnie. - Sasza!
Złapałam się framugi, żeby znaleźć jakieś oparcie; to musiał być sen!
- Sasza! Sasza! Sasza! - powtarzał spokojnie. Pies wtulił nos w małą, zamaskowaną twarzyczkę i usłyszałam, że dziecko pada do tyłu, uderzając głową o podłogę. Krzyknęłam, ale nie byłam w stanie się poruszyć.
Patrzyłam, jak pies delikatnie trąca go łapą.
I wtedy właśnie, po raz pierwszy, usłyszałam, że się śmieje.
Trzy miesiące później już chodził i powtarzał moje słowa jak jakiś przeklęty szpak.
Nie dało się dłużej ignorować jego obecności - jego głos i ciekawe ręce zdawały się być wszędzie; miałam względny spokój przez parę godzin tylko kiedy wdrapywał się do koszyka Saszy i spał przytulony do niej. Mówił do mnie “Mamo” (Bóg raczy wiedzieć kto go tego nauczył, bo na pewno nie ja!), ale obawiam się, że początkowo wierzył, że to suczka

jest jego matką. Wydawało się, że go polubiła, traktowała go z dość obcesową czułością, niby dużego szczeniaka. Marie mówiła, że nie powinnam na to pozwalać. Uważała, że to nie w porządku; że pozwalam mu myśleć, że jest zwierzęciem.

- To go zajmuje na jakiś czas - odpowiadałam zmęczonym głosem. - Jeśli uważasz, że umiesz go lepiej wychowywać, to zabierz go do domu, do swojej matki!

I taki był koniec dyskusji!

*

Próbowałam z całych sił pogodzić się z zaistniałą sytuacją, bo jakkolwiek nie okazywałam żadnej fizycznej czułości, to nauczanie go sprawiało mi satysfakcję.

Jego nienormalnie przyspieszony rozwój nie zdradzał oznak spowolnienia. Gdy skończył cztery lata, czytał Biblię z cudowną płynnością i opanował ćwiczenia na skrzypce i fortepian, z którymi ja biedziłam się w wieku lat ośmiu. Nauczył się wspinać jak małpka i dosłownie nic nie dało się ukryć przed jego wścibskimi rękami. Wielokrotnie rozkładał na części moje zegary i miewał napady złości, gdy nie udało mu się ich złożyć z powrotem. Fakt, że mógłby zostać pokonany przez martwe przedmioty, zdawał się wyprowadzać go z równowagi.

Wkrótce jego niesamowite postępy zaczęły napawać mnie lekką obawą. Sama byłam wyjątkowo starannie wykształcona jak na dziewczynkę -

Papa sam uczył mnie geometrii na tyle, że rozumiałam podstawy nauki, na której bazowała architektura. Ale coraz dobitniej zdawałam sobie sprawę, że uczenie Erika zaczyna przerastać moje możliwości. Fascynowały go liczby i z tego prostego powodu dokonywał w myśli obliczeń, za którymi nie mogłam nadążyć, mimo że cierpliwie mi je wyjaśniał. Dobrał się do biblioteczki mojego ojca i spędzał długie godziny zgłębiając szkice Laugiera, Abbe Cordemoy, Blondela i Duranda. Rysował teraz bez końca, wręcz obsesyjnie i na każdej możliwej powierzchni. Jeśli nie dostarczyłam mu wciąż nowych kartek, znajdowałam rysunki na obwolutach książek ojca, po drugiej stronie jego projektów, nawet na tapecie pod schodami.

Kiedy z mojego przybornika do szycia zniknęły nożyczki, nie przejęłam się tym zbytnio, aż natknęłam się na śliczną płaskorzeźbę zamku, precyzyjnie wydłubaną w blacie mahoniowego, lakierowanego stołu w jadalni. Te nieszczęsne nożyczki przyczyniły się do wielkiej ilości raczej gustownych zniszczeń, ale chociaż przeszukałam cały dom i w końcu w bezsilnej furii zbiłam go bez litości, nigdy nie dowiedziałam się, gdzie zostały ukryte.

Były w nim jednak też dziwne i niewyjaśnione zahamowania. Wydawało się, że nie potrafi odróżnić dobra od zła, a także, mimo że rysował jak prawdziwy artysta, nie umiał - bądź nie chciał! - pisać. Kiedy wkładałam mu pióro do ręki i kazałam przepisywać Zdrowaś Mario natychmiast stawał się niezręczny; to proste zadanie sprawiało, że zachowywał się

głupio niczym dziecko opóźnione w rozwoju. Na nic się zdawało bicie, chociaż ze wstydem przyznaję, że próbowałam tej metody wielokrotnie. Miał żelazną wolę, której nijak nie udało mi się złamać, a do tego wybuchowy temperament, który niejednokrotnie prowokował z mojej strony brutalność. W końcu, zmęczona próbami i z obawy, że kiedyś naprawdę zrobię mu krzywdę, zaczęłam traktować kaligrafię jako rodzaj kary za złe zachowanie.

Jego geniusz objawiał się jednak najwyraźniej w dziedzinie muzyki. Melodie wzbierały w nim jak w studni bez dna i wydostawały się na zewnątrz nieustanną kaskadą, czyniąc instrument muzyczny z dosłownie każdego przedmiotu, którego dotknął. Nie mógł usiedzieć przy stole nie wystukując nieświadomie rytmu piętami o tył krzesła albo nie uderzając nożem w talerz. Policzek uspokajał go momentalnie, ale po chwili oczy znowu zachodziły mu mgłą i zanurzał się w swój tajemniczy świat dźwięków. Dawniej, kiedy skracałam sobie godziny samotności śpiewaniem starych arii operowych, zostawiał cokolwiek robił i w pełnej zachwytu ciszy siadał przy pianinie. Miał niespełna pięć lat, kiedy pozwoliłam mu sobie akompaniować; ilekroć myliłam ton, przerywał grę, podawał prawidłowy dźwięk i śpiewał go sam w sposób doskonały, z zawstydzającą i przyprawiającą o zawrót głowy czystością górnych rejestrów.

Już wtedy w porównaniu z nim Mozart mógłby wydawać się fałszującym nowicjuszem. Ale ilekroć siedział komponując jakieś

uprzykrzone kawałki, albo grał na pianinie z biegłością o wiele wykraczającą poza jego wiek, wiedziałam, że jego niezwykle płodny umysł knuje właśnie jakąś nową, diabelską sztuczkę, której nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić.

*

- Dokąd idziesz, Mamo?

Przerwałam na chwilę zapinanie płaszcza i odwróciłam się. Stał w drzwiach.

- Eriku, doskonale wiesz, dokąd chodzę w niedzielę. Idę z Mademoiselle Perrault na Mszę, a ty musisz zaczekać tu, aż wrócę.

Zacisnął palce na klamce.

- Dlaczego ja zawsze muszę tu zostawać i czekać? - zapytał nagle. - Dlaczego nie mogę iść z wami, posłuchać organów i chóru?

- Bo nie możesz! - ucięłam ostro. Zaczynałam żałować, że Ojciec Mansart powiedział Erikowi o organach i chórze; od czasu jego wizyty w zeszłym tygodniu nie miałam ani chwili spokoju.

- Musisz zostać w domu, tu gdzie będziesz bezpieczny - dodałam.

- Bezpieczny przed czym? - podjął niespodziewanie.

- Przed - przed.... Och, skończ już wreszcie te głupie pytania! Po prostu rób, o co cię proszę. To nie potrwa długo.

Przeszłam obok, odsuwając go ręką i zamknęłam drzwi do mojej sypialni; tak jak zawsze, kiedy zostawiałam go samego. Tylko w tym pokoju było lustro i zawsze zabraniałam mu tam wchodzić. Nie

wierzyłam jednak specjalnie w jego posłuszeństwo, skoro tylko znikał mi z oczu. Jego ciekawość była nienasycona.
Zszedł za mną po schodach, usiadł żałośnie na pierwszym stopniu i przyglądał mi się zza maski.
- Jak tam jest we wsi? - zapytał tęsknie. - Czy kościół jest bardzo piękny?
- Nie - skłamałam pospiesznie. - Jest zupełnie zwyczajny, właściwie dość brzydki. Wcale by ci się nie podobał. A we wsi mieszka dużo ludzi, którzy byliby dla ciebie niedobrzy i straszyliby cię.
- A czy mogę pójść, jeśli obiecam, że nie będę się bał?
- Nie!
Odwróciłam się plecami, żeby nie zobaczył, jak mnie to przeraziło. Zawsze udawało mi się uciszyć go pogróżkami. Dotarło do mnie jednak, że jego obsesyjne uwielbienie muzyki było na tyle silne, żeby przeważyć strach, który zaszczepiałam mu, odkąd tylko nauczył się mówić. Instynktownie chroniłam go przed światem, który z pewnością chciałby go skrzywdzić. Nawet Marie i Ojciec Mansart zgadzali się, że muszę go trzymać z dala od ludzi i całkowita izolacja wydawała mi się jedynym rozwiązaniem problemu.
Wiedziałam, że ciemnota i zabobony zniszczą go. Chociaż nie pokazywałam się z nim publicznie, regularnie tłuczono mi okna i dostałam już nie jeden obrzydliwy list, radzący mi opuścić Boscherville i zabrać “tego potwora” ze sobą. Niedzielne wyjście do kościoła

wymagało ode mnie nie lada odwagi. Patrzyłam w ponure, nieprzyjazne twarze. Siedząc z Marie w ostatnim rzędzie, starałam się trzymać głowę wysoko i ignorować tę prymitywną wrogość naokoło. Nikt mnie tu nie chciał, ale sama moja obecność była znakiem oporu, wyrazem mojej niezgody na to, by być szczutą psami z jednej wsi do drugiej.
Była to także jedyna okazja wyrwania się z domu, o którym coraz częściej myślałam jak o więzieniu. Mój dom - ten śliczny i wypieszczony dom, z którego byłam taka dumna - nie znaczył teraz dla mnie więcej, niż loch w Bastylii. Wracając po Mszy, sam widok oplecionych bluszczem murów ściskał mi serce, ale myśl o dziecku, które czekało cierpliwie i ufnie za dokładnie zamkniętymi drzwiami, zawsze kierował moje kroki na ścieżkę do ogrodu. Ostatnio coraz częściej widziałam z daleka małą, białą maskę przyciśniętą do szyby sypialni na strychu. Wyczuwałam jego rosnący strach, że kiedyś wyjdę z domu i nigdy nie wrócę.
- Nie siedź na schodach - powiedziałam oschle. - Idź, przeczytaj dzisiejszy fragment z Biblii, a potem go przepisz.
- Nie chcę.
- Nie interesuje mnie, czego ty chcesz! - odparłam lodowato. - Ma być gotowe, zanim wrócę.
Był cicho, kiedy sięgałam po torebkę, ale naraz oznajmił zdecydowanym głosem:
- Nie będę niczego przepisywał. Zrobię tak, że ten tekst zniknie i nigdy

go nie znajdziesz... Tak jak nożyczki. Mogę tak zrobić, że wszystko zniknie. Wszystko co chcę, Mamo... nawet dom!
Zeskoczył ze schodów i przebiegł obok mnie do salonu, jakby spodziewał się, że go uderzę. Gdy straciłam go z oczu, cała drżąc oparłam się ciężko o ścianę. Próbowałam się uspokoić, że to były tylko niemądre, dziecinne pogróżki; wybuch protestu bez większego znaczenia. Ale trzęsłam się nadal i nie mogłam się zmusić, żeby wyjść. Bałam się wyjść z domu, pozostawić wszystko na łasce jego całkiem nie dziecinnych możliwości. Nawet nie śmiałam myśleć, co za straszne rzeczy chodziły mu po głowie, kiedy powiedział, że sprawi, że dom zniknie!
Kiedy się względnie pozbierałam, zdjęłam płaszcz i weszłam do salonu. Siedział z Saszą na dywanie przy kominku. Wzrok miał utkwiony w palenisku.
- Postanowiłam nie iść dziś na Mszę - oznajmiłam niepewnie.
Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć i klasnął z ręce z nieskrywaną satysfakcją.
- Wiedziałem, że to powiesz - zawołał. I roześmiał się.
Najpierw ja byłam jego strażnikiem, teraz on stał się moim. Czułam się, jakby zamknięto mnie w grobowcu z trupem dziecka, abym służyła po śmierci małemu faraonowi. Nienawidziłam z całego serca tego zamknięcia, na które mnie skazał. Miłość, nienawiść, litość i strach kołowały nade mną jak sępy, wprawiając mnie w tak skrajne nastroje, że

z trudem rozpoznawałam siebie w jedynym lustrze w domu, które zdobiło moją sypialnię. Stałam się chuda i wynędzniała, o wielkich, dzikich oczach i chociaż ślady mojej urody wciąż były widoczne, wyglądałam o dziesięć - piętnaście lat starzej niż moje dwadzieścia trzy lata. Wydawało się, że cała oschłość i okrucieństwo, do którego mnie prowokował, wyryła się zmarszczkami na mojej twarzy jako ponure świadectwo błędnego koła przemocy, którym stało się nasze wspólne życie.

Wtedy właśnie zaczęłam zwracać większą uwagę na niezwykłą siłę jego głosu. Czasami, niemal niepostrzeżenie, zaczynał nucić cicho, a hipnotyczna słodycz jego śpiewu wabiła mnie od moich codziennych zajęć, jakby ciągnęła mnie niewidzialna lina. To była kolejna z jego rozrywek, ale w końcu bałam się tego bardziej, niż jakiegokolwiek innego przejawu jego dziwnego geniuszu. Schowałam nuty, które niegdyś przeglądaliśmy razem i postanowiłam nie uczyć go więcej, gdyż działanie jego głosu na mnie było co najmniej niepokojące. Czułam się manipulowana w jakiś zły sposób, niemal... kazirodczy.

Ojciec Mansart przychodził teraz regularnie odprawiać Mszę w naszym salonie, aby oszczędzić mi udręki, którą sprawiały niedzielne wyprawy do kościoła. Kiedy po raz pierwszy usłyszał, jak dziecko śpiewa, łzy napłynęły mu do oczu.

- Jeśli taka myśl nie byłaby bluźnierstwem - powiedział cicho - stwierdziłbym, że usłyszałem w tym pokoju głos samego Boga.

Zapadła ciężka, niemal głośna cisza, w której słyszałam oszalałe bicie mojego serca. Oczy za maską spojrzały prosto w moje, a ich wyraz był triumfujący, jakby władczy. Usłyszał i co gorsze - zrozumiał. Nawet nie chciałam zgadywać, co może zrobić z taką wiedzą.
Drżałam kiedy Ojciec Mansart prosił, żeby podszedł bliżej i z wielką powagą powiedział mu, że otrzymał rzadki i wspaniały talent. Chciałam krzyczeć, ale milczałam. I tak szkoda już się dokonała.
Podeszli razem do pianina, ręka księdza spoczywała na kościstym ramieniu dziecka.
- Chciałbym, żebyś zaśpiewał dla mnie Kyrie, Eriku. Wiem, że znasz słowa.
- Tak, Ojcze.
Jego głos był taki łagodny; tak niewinnie i krucho wyglądał stojąc przy masywnie zbudowanym księdzu. Przez chwilę wątpiłam we własne zmysły; zastanawiałam się, czy to wszystko były tylko szalone rojenia spowodowane długim odosobnieniem.
Dlaczego miałabym się obawiać dźwięcznego jak dzwonek głosu dziecka?
- Kyrie eleison.... Christe eleison....
Panie, zmiłuj się nad nami... Chryste, zmiłuj się nad nami...
Trzykrotnie zaśpiewał tę inwokację w niebiosa, a za każdym razem narastała we mnie bolesna tęsknota, by wyciągnąć ręce i go dotknąć.
Nawet jeśli Ojciec Mansart znajdował w tym głosie duchową ekstazę,

moja była całkowicie fizyczna.
Słowa mówiły o Bogu, ale głos, cudowny, nieodparty głos, mówił o mnie i ciągnął mnie ku sobie jak potężny magnes.
Zanim zaczął następną frazę, zatrzasnęłam wieko pianina z wściekłością, o mało nie przytrzaskując palców księdza. Ciszę przerywał tylko mój szloch. Ojciec Mansart popatrzył na mnie zdumiony, ale w oczach Erika dostrzegłam strach i wielkie cierpienie.
- Jesteś przepracowana - powiedział ksiądz rześko i usadził mnie na krześle. - To zrozumiałe. Ludzie często odbierają niezwykłe piękno jako bolesne.
Wzdrygnęłam się.
- Ojcze... Ja nie pozwalam, żeby on więcej śpiewał. Nie zgadzam się...
- Drogie dziecko. Naprawdę nie uwierzę, że mówisz to poważnie. To byłoby okrutne, zabraniać używania tak wielkiego daru.
Siedziałam prosto, utkwiwszy oczy w przestrzeń za księdzem - w dziecku, które cicho łkało przy pianinie.
- Ten głos to grzech - powiedziałam ponuro. - Grzech śmiertelny. Żadna kobieta, która go usłyszy, nie umrze w stanie łaski.
Ojciec Mansart odsunął się ode mnie przerażony i instynktownie sięgnął jedną ręką po krucyfiks, podczas gdy drugą nakazał Erikowi wyjść z pokoju. Kiedy zostaliśmy sami, popatrzył na mnie z mieszaniną litości i niesmaku.
- Sądzę, że za dużo ostatnio przebywałaś sama ze swymi troskami -

powiedział cicho.
Przygryzłam wargę i odwróciłam wzrok.
- Myśli Ojciec, że oszalałam.
- Ależ nie - zaprzeczył pospiesznie. - Ale obawiam się, że długotrwała samotność zaćmiewa twoje sądy. Cokolwiek zdaje ci się, że słyszysz, jest to tylko głos twoich niepokojów. Nie wolno ci zapominać, że to małe dziecko.
Wstałam i podeszłam do biurka, które stało w kącie pokoju. Gdy otworzyłam szklane drzwi, wysypała się sterta papierów, z której podniosłam garść nut i szkiców architektonicznych. Wepchnęłam je w ręce księdza.
- Czy to wygląda jak prace dziecka? - zapytałam sucho.
Ksiądz przysunął się do światła i uważnie studiował kartki.
- Nie sądziłem, że dziecko jest w stanie skopiować coś takiego - rzekł po chwili.
- To nie są kopie - powiedziałam z naciskiem. - To oryginały.
Ksiądz otworzył usta, żeby zaprotestować, ale mój ton sprawił, że nic nie powiedział. Odłożył papiery na stół, wyprostował się i patrzył na mnie zaskoczony. Stałam mocno zaciskając dłonie na ramionach, żeby powstrzymać drżenie.
- Boję się - szepnęłam. - To zbyt wiele, zbyt szybko... to nienaturalne. Nie mogę uwierzyć, żeby niebiosa mogły obdarzyć aż takim talentem.
Ksiądz potrząsnął głową z powagą.

- Zwątpienie to instrument Szatana, Madeleine. Musisz odegnać je ze swoich myśli i modlić się o siłę, żeby pokierować duszę tego dziecka ku Bogu.
Kiedy pochylił się, żeby ująć mnie za rękę, spostrzegłam, że drży.
- Zaniedbałem moje obowiązki - powiedział gorączkowo. - Przyjdę, jak tylko będę mógł i pouczę go o doktrynie Kościoła. Trzeba to zrobić jak najprędzej, żeby chłopiec przyjął Bożą wolę bez zadawania pytań. To niezwykle ważne, żeby geniusz tej miary nigdy nie zszedł ze ścieżki Pana.
Milczałam. Niepokój księdza w pełni odzwierciedlał moje własne rosnące obawy, że siły ciemności powoli zaciskają krąg wokół mojego nieszczęśliwego syna.
Desperacko potrzebowałam wsparcia Kościoła, ale utraciłam już dawniejszą żarliwą wiarę. Im bardziej się modliłam, tym mniej wierzyłam, że zostanę wysłuchana. Krzyż w moim domu stał się tylko pięknie rzeźbionym kawałkiem drewna, różaniec - sznurkiem korali bez znaczenia. Moja wiara osłabła do tego stopnia, że pozwalałam sobie wysłuchać śpiewanej Mszy myśląc tylko o tym, że jest piękna. Wręcz zmysłowa. Pogrążyłam się w upadku, z którego nie miałam śmiałości nawet się wyspowiadać.
- Proszę mi poradzić, co mam robić - poprosiłam zrozpaczona. - Jak mam walczyć ze złem...
Ogień dawno już przygasł, a my wciąż rozmawialiśmy. Ksiądz ostrzegał

mnie bardzo poważnie przed jakimikolwiek próbami zduszenia niezwykłych zdolności Erika.

- Ten wulkan musi mieć naturalny odpływ - powiedział tajemniczo. - Nie wolno dopuścić, żeby to wszystko się w nim kumulowało. Jeśli nie czujesz się na siłach dalej szkolić jego głos, proszę, pozwól mnie to robić. Będę go uczył, jakby był którymkolwiek z chłopców w chórze. Pokieruję go ku Bożej muzyce i nauczę odróżniać drogi Pana. Może z czasem niebiosa pozwolą ci czerpać tylko przyjemność z jego śpiewu.

Patrzyłam na martwe, zimne palenisko. Jak mogłam mu powiedzieć, że właśnie tej przyjemności bałam się najbardziej?

*

Pierwsze starcie na temat maski nastąpiło, kiedy skończył pięć lat. Do tego strasznego letniego wieczora nosił ją posłusznie i bez szemrania. Zdejmował ją tylko do snu i nigdy nie pokazywał się bez niej poza swoim pokojem na strychu. Moje zakazy w tej dziedzinie były tak bezwzględne, że nie przyszło mu to nawet do głowy, tak samo jak nigdy nie chodził po domu nago. Przynajmniej tak sądziłam do tamtego wieczora.

Był wieczór dnia jego piątych urodzin; spodziewałam się, że Marie zaraz nadejdzie na kolację. Nie zapraszałam jej szczególnie. To ona wymyśliła, żeby uczcić te urodziny kolacją i nastawała na to tak długo, że w końcu po raz pierwszy uległam.

- Nie możesz pozwolić, by taka okazja przeszła niezauważona -

powiedziała z przekonaniem nie uznającym sprzeciwu. - Dam mu prezent i zjemy razem kolację jak cywilizowani ludzie.
Spędziłam cały dzień za zamkniętymi drzwiami kuchni, starając się zająć sobie czas na tyle, żeby zapomnieć o powodzie tej żałosnej farsy. Równie dobrze mogłabym gotować posiłek dla całej wsi. Formy z tortami i ciastami wychodziły szaloną procesją z mojego pieca, ale wciąż mieszałam i ugniatałam produkty na następne. Pracowałam w dusznym upale jak opętana. Przez cały czas słyszałam łagodny dźwięk pianina z salonu. Nawet nie przyszedł do kuchni, jak normalne dziecko, żebrać o łakocie, wylizać łyżkę czy skraść gorące ciastko. Jego całkowita obojętność na sprawy jedzenia była kolejną kością niezgody między nami.
W końcu, kiedy wyszłam z kuchni i kazałam mu przebrać się w najlepsze ubranie, odwrócił się do mnie na obrotowym stołku i popatrzył zaskoczony.
- Przecież dziś nie jest niedziela... Czy Ojciec Mansart przyjdzie odprawić Mszę?
- Nie - odpowiedziałam wycierając ręce w fartuch i nie patrząc mu w oczy. - Dziś są twoje urodziny.
Popatrzył na mnie nie rozumiejąc, a ja poczułam narastającą irytację i wstyd, że muszę mu wyjaśniać rzecz tak oczywistą.
- Rocznica twoich narodzin - powiedziałam krótko. - Przyszedłeś na świat dokładnie pięć lat temu i powinniśmy uczcić ten fakt.

- Requiem?
Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy ze mnie drwi, ale w jego oczach nie było nic, prócz niewinnej ciekawości.
- Nie całkiem - odparłam z trudem.
- To nie będzie Dies Irae? - usłyszałam w jego głosie cień zawodu. - Ani Agnus Dei?
- Nie.... Ale będzie specjalna kolacja.
Wydawało się, że całkiem stracił zainteresowanie, bo z powrotem odwrócił się do nut, nad którymi pracował.
- I prezent - dodałam niespodziewanie dla siebie samej. - Mademoiselle Perrault przyniesie dla ciebie prezent, Eriku. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o dobrych manierach i ładnie jej podziękujesz.
Popatrzył na mnie z takim zaskoczeniem, że przez straszną chwilę myślałam, że i to będę musiała mu wyjaśniać. Ale nic nie mówił, tylko wpatrywał się we mnie badawczo.
- Idź na górę się przebrać, a ja nakryję do stołu - poleciłam mu szybko.
Wyciągnęłam obrus z szuflady, ale on nawet się nie poruszył.
- Mamo...
- Co znowu? - zapytałam zirytowana.
- Czy ty też dasz mi prezent?
Sięgnęłam po serwetki drżącymi dłońmi.
- Oczywiście - odpowiedziałam mechanicznie. - Czy chciałbyś dostać coś specjalnego?

Podszedł do mnie i coś w ciszy, która zapadła, sprawiło, że poczułam się nieswojo. Wyczułam, że bał się, że odmówię, pomyślałam więc, że o cokolwiek chciał mnie poprosić, musiało to być bardzo drogie.

- Mogę poprosić o cokolwiek zechcę? - zapytał niepewnie.

- W granicach rozsądku.

- A mogę dostać dwa?

- Na co ci dwa? - zapytałam ostrożnie.

- Żebym miał drugi, kiedy jeden się zużyje.

Uspokoiłam się trochę. Nie brzmiało to niepokojąco. Na pewno nic bardziej ekstrawaganckiego, niż ryza papieru dobrej jakości. Albo pudełko czekoladek.

- No więc, co byś chciał? - zapytałam z nagłą pewnością siebie.

Cisza.

Patrzyłam, jak bawi się serwetką.

- Eriku, zaczynam mieć dość tej głupiej zabawy. Jeśli nie powiesz mi zaraz, co byś chciał, nie dostaniesz nic.

Aż podskoczył na ostry dźwięk mojego głosu i zaczął zwijać serwetkę między chudymi palcami.

- Chciałbym - Chciałbym dwa... - przerwał i położył ręce na stole, jakby próbował się uspokoić.

- Na litość Boską! - zawołałam ze złością. - Dwa co?

Popatrzył mi prosto w oczy.

- Pocałunki - szepnął drżącym głosem. - Jeden teraz, a drugi potem.

Spojrzałam na niego przerażona. Bez najmniejszego ostrzeżenia wybuchnęłam spazmatycznym płaczem i osunęłam się na krzesło przy stole.

- Nie wolno ci o to prosić - szlochałam. - Nie wolno ci o to prosić nigdy, nigdy więcej... Rozumiesz mnie, Eriku, nigdy więcej!

Skulił się przed tym wybuchem rozpaczy i gniewu i odsunął ku drzwiom.

- Dlaczego płaczesz? - wyjąkał.

Z całej siły starałam się opanować.

- Wcale nie... płaczę... - jęknęłam.

- Właśnie, że płaczesz! - zawołał głosem, który nagle stał się brzydki ze złości. - Płaczesz i nie chcesz mi dać mojego prezentu urodzinowego! Zmusiłaś mnie, żebym ci powiedział - zmusiłaś mnie! - a teraz mi odmawiasz. Wiesz co, nie chcę żadnych urodzin... Nie znoszę urodzin... Nienawidzę ich!

Drzwi trzasnęły, kiedy wybiegł, a za chwilę usłyszałam dudniące echo na schodach.

Kiedy wreszcie wstałam zmęczona, zobaczyłam, że Marie pewnym krokiem zmierza ku domowi ścieżką przez ogród, niosąc pod pachą paczuszkę.

Siedziałyśmy razem przy stole, boleśnie świadome pustego nakrycia obok nas.

- Gdzie on jest? - zapytała w końcu Marie, dotykając problemu, który

wisiał nad nami od chwili jej przybycia.
- W swoim pokoju - odpowiedziałam ponuro. - Nie chce zejść... Wołałam go kilka razy, ale wiesz, jaki on jest, kiedy się uprze... Nic nie jest w stanie do niego dotrzeć.
Marie popatrzyła smutno na paczuszkę i położyła ją na bieliźniarce.
- Czy wie, że dziś są jego urodziny?
- Oczywiście, że wie! - odparłam ze złością.
Podniosłam przykrywkę wazy i zaczęłam nalewać zupę do jej talerza. Desperacko starałam się odtworzyć w sobie maniacki zapał, który podtrzymywał mnie na duchu od rana. Jeśli moje ręce były w ciągłym ruchu, pozostawałam w błogim otępieniu umysłu i odsuwałam od siebie myśl, że w najmniejszym stopniu nie sprawdziłam się jako matka. Nie mogłam się przemóc, żeby pocałować własne dziecko; nawet w jego urodziny, nawet kiedy mnie o to błagał. Tragiczna godność, która była w tej prośbie, rozstroiła mnie do tego stopnia, że wciąż jeszcze trzęsły mi się ręce. Rozlałam zupę na kremowy, koronkowy obrus i zaczęłam ją wycierać, mamrocząc przekleństwa.
Drzwi za moimi plecami skrzypnęły; zobaczyłam, że Marie blednie gwałtownie i odruchowo zasłania usta ręką. Przerażenie w jej oczach trwało tylko ułamek sekundy; potem pozbierała się na tyle, żeby się zmusić do sztucznego uśmiechu.
- Dobry wieczór, Eriku, kochanie... Bardzo ładnie wyglądasz w tym nowym garniturku. Usiądź koło mnie, proszę, i zjedz kolację. Potem

otworzymy prezent.
Kiedy odwróciłam się i zobaczyłam, że dziecko stoi w otwartych drzwiach bez maski, serce zamarło mi na moment w piersi. Zrobił to naumyślnie; po to, żeby mnie upokorzyć...
- Jak śmiesz! - krzyknęłam. - Jak śmiesz to robić, ty wstrętny dzieciaku!
- Madeleine... - Marie uniosła się na krześle, wyciągając do mnie rękę w geście niemej prośby. - To naprawdę nie szkodzi...
- Cicho! - zawołałam ostro. - Dam sobie radę bez twojej pomocy. Eriku! Wracaj natychmiast do pokoju i załóż maskę. Jeśli jeszcze kiedyś to zrobisz, zbiję cię pasem.
Cały się trząsł, wydął swoje groteskowo zdeformowane usta, jakby za moment miał się rozpłakać, ale stał uparcie na miejscu, zaciskając pięści w geście protestu.
- Nie lubię maski - mruknął. - Jest mi w niej gorąco i obciera mnie. Potem boli mnie twarz.
Widziałam, o czym mówił. Ciągłe pocieranie za ciasnej maski otarło jego cienką jak pergamin skórę poniżej głębokich oczodołów do żywego ciała. Ponieważ nie patrzyłam na niego więcej, niż było to konieczne, nie zauważyłam, jak szybko urósł.
- Idź do swojego pokoju - powtórzyłam nieustępliwie. - Po kolacji zrobię ci nową maskę. Masz mi się nigdy bez niej nie pokazywać. Słyszysz, Eriku? Nigdy!
- Dlaczego? - zapytał nagle. - Dlaczego mam ciągle chodzić w masce?

Nikt inny tego nie robi.

Przed moimi oczami rozbłysła czerwona łuna wściekłości; furia wybuchła we mnie, rozbijając w pył resztki samokontroli. Skoczyłam do niego i potrząsnęłam tak mocno, że słyszałam, jak szczęka zębami.

- Madeleine! - zawołała Marie bezradnie. - Madeleine, na litość Boską!

- Pytał “dlaczego”! - wrzasnęłam do niej. - To się dowie! Na Boga, zaraz się dowie!

Wpiłam się paznokciami w jego cienką koszulę i wyciągnęłam go z pokoju, po schodach, przed jedyne lustro w domu.

- Popatrz na siebie! - rzuciłam. - Popatrz w lustro i przekonaj się, dlaczego musisz nosić maskę! Patrz!

Patrzył w zwierciadło z tak tępym, niewierzącym przerażeniem, że moja wściekłość minęła momentalnie. I nagle, zanim zdążyłam go powstrzymać, krzyknął rozdzierająco i rzucił się na lustro, tłukąc szkło pięściami, kompletnie oszalały ze strachu.

Lustro rozprysło się, odłamki poleciały na wszystkie strony, wbiły się w jego palce i przeguby dłoni tak, że naraz całe ręce miał we krwi. Mimo to dalej krzyczał i bił stłuczone szkło, a kiedy chciałam go odciągnąć, uderzył mnie - zachowywał się tak, jakby postradał zmysły ze strachu.

Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Marie, głosem dziwnie zimnym i spokojnym, kazała mi zejść na dół i przynieść bandaże. Kiedy wróciłam, wyciągnęła go już z resztek rozbitego lustra i delikatnie wyjmowała pęsetą szkło z jego dłoni. Nie mogłam na to patrzeć...

Czekałam na nią w salonie, ale nie zeszła do mnie. Uznałam, że położyła go do łóżka i teraz siedziała przy nim. Nie chciałam wchodzić na górę, żeby się przekonać. Wtuliłam się w sam kąt kanapy i patrząc w zimny kominek zabrałam się za obrębianie nowej maski.
Niedługo przed świtem, kiedy obudził się z krzykiem z pierwszego, jak się miało okazać, z koszmarnych snów, Marie weszła do salonu ze świecą w ręce. Wyglądała na zmęczoną... i zirytowaną.
- Woła cię - powiedziała sucho. - Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale cię woła. Idź na górę i pociesz go.
Stała przede mną jak anioł zemsty; jej zdecydowana postawa sprawiła, że skuliłam się jeszcze bardziej.
- Nie mogę... - wyszeptałam. - Nie mogę tam iść...
Niespodziewanie pochyliła się nade mną gwałtownie i wymierzyła mi siarczysty policzek.
- Wstawaj! - wybuchnęła. - Wstawaj, ty rozpieszczona, zepsuta smarkulo! Całe życie wszyscy ci ustępowali... Rodzice, Charles, nawet ja... Wszyscy rozczulali się nad małą, śliczną, kochaną Madeleine. Nie wystarczy być po prostu ładną, słyszysz mnie, Madeleine? Nie zwalnia cię to z człowieczeństwa. Nie wolno ci zatruwać życia dziecka, niszczyć jego duszy. Powinnaś wisieć za to, co mu zrobiłaś, odkąd się tylko urodził... Powinnaś spłonąć w piekle!
Uderzyła mnie jeszcze raz, odwróciła się i szlochając bezsilnie opadła na krzesło przed kominkiem. Nagle przypomniałam sobie, jak kiedyś w

klasztornym dormitorium stała na łóżku, bo bała się wielkiego pająka, który znajdował się na jej drodze do drzwi.
- Zabierz go stąd, ale nie rób mu nic złego - błagała pobladła. - To nie jego wina, że jest brzydki.
Nie zastanawiając się specjalnie, upuściłam na pająka ciężką książkę i oczywiście go zabiłam. Nie odzywała się do mnie przez kilka dni...
Nie mogłam pozbyć się tego obrazu z pamięci, kiedy wchodziłam na górę po schodach, wciąż jedną ręką trzymając się za rozpalony policzek. Nie mogłam zapomnieć tego nieszczęsnego pająka...
Podłoga skrzypnęła pod moimi stopami i usłyszałam, że Erik znowu płacze przestraszony.
- Mamo? Mamo?
- Cicho - uspokoiłam go. - To ja, Eriku... Już dobrze.
Westchnął z ulgą, kiedy weszłam do pokoju. Mała, zabandażowana rączka wyciągnęła się w moim kierunku, ale zaraz nieśmiało schowała z powrotem pod kołdrę.
- Źle się czuję - jęknął drżącym głosem.
- Wiem. - Usiadłam sztywno na brzegu mojego łóżka i myślałam, jaki mały się wydaje w tym ogromnym łożu; mały i bezradny. - Przykro mi. Spróbuj zasnąć, rano poczujesz się lepiej.
Ścisnął kołdrę nerwowo.
- Nie chcę spać - załkał. - Jeśli zasnę, ona wróci... ta twarz! Ta twarz wróci!

Zamknęłam oczy i przełknęłam ciężko, gdyż poczułam dławienie w gardle.
- Eriku - powiedziałam bezradnie. - Musisz spróbować zapomnieć o tej twarzy.
- Ja nie mogę zapomnieć - szepnął. - Była tam w lustrze i tak się bałem. Czy ty też ją widziałaś, Mamo? Widziałaś?
- Eriku, ta twarz nie zrobi ci nic złego.
- Nie chcę, żeby znowu wróciła! - rozpłakał się żałośnie. - Zabierz ją ode mnie na zawsze!
Odetchnęłam głęboko i popatrzyłam na małą, trupią twarzyczkę leżącą na poduszce. Wpadnięte oczy patrzyły na mnie rozpaczliwie, czekając na słowo otuchy, które tylko ja mogłam mu dać. Zdawałam sobie sprawę, że pomimo całego swego niesłychanego geniuszu, był wciąż zbyt mały, żeby unieść całą potworność tego brzemienia.
- Maska sprawi, że twarz odejdzie - powiedziałam tak łagodnie, jak tylko mogłam. - Dopóki będziesz ją nosił, nie zobaczysz więcej tamtej twarzy.
- Czy to czary? - zapytał z nagłym zainteresowaniem.
- Tak. - Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć mu w oczy. - To czary, żebyś był bezpieczny. Maska jest twoim sprzymierzeńcem, Eriku. Jak długo będziesz ją nosił, żadne lustro na świecie nie pokaże ci tej twarzy.
Uspokoił się, a kiedy dałam mu nową maskę, założył ją bez jednego pytania i niezgrabnie zawiązał sznurki zabandażowanymi palcami. Kiedy jednak wstałam, żeby wyjść, wyciągnął ręce przestraszony i złapał mnie

za szlafrok.
- Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samego w ciemności.
- Nie jesteś w ciemności - powiedziałam cierpliwie. - Popatrz, zostawiam ci świecę.
Ale kiedy popatrzyłam na niego, wiedziałam, że nie pomogłoby i pięćdziesiąt świec. Ciemność, której tak się bał, pochodziła z jego wnętrza i żadne światło świata nie było w stanie jej rozproszyć.
Zrezygnowana usiadłam z powrotem na łóżku i zaczęłam cicho nucić.
Zasnął, zanim skończyłam pierwszą pieśń.
Bandaże na jego przegubach połyskiwały blado w blasku świecy.
Uwolniłam ubranie z jego uchwytu.
Wiedziałam, że Marie miała racje. Blizny, fizyczne i duchowe, miały mu zostać do końca życia.

*

W sprawach rozwoju duchowego i intelektualnego Erika zdałam się całkowicie na Ojca Mansarta. Kiedy zaproponował wysłanie próbek prac dziecka do Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, przystałam na to bez oporów. Słyszałam, że miał tam starego przyjaciela, z którym uczęszczali razem do Lycee Henri-Quatre, a który teraz wykładał architekturę. Byłam gotowa przyjąć każdą radę i pomoc od Profesora Guizot, gdyby tylko zainteresowała go sprawa mojego syna. Erik zaczynał się nudzić, a kiedy był znudzony, zwykle zachowywał się bardzo źle i zdradzał inklinacje do niebezpiecznej złośliwości. Nie

mogłam wysłać go do szkoły, ani liczyć na zatrudnienie prywatnego nauczyciela odpowiedniego dla jego potrzeb. Profesor Guizot wydawał mi się jedyną szansą na zachowanie zdrowych zmysłów, oczekiwałam więc na jego wizytę z rosnącą desperacją.
Nie spieszyło mu się do Boscherville, a kiedy wreszcie przyjechał, spostrzegłam, że nastawiony był bardzo sceptycznie. Podobnie jak Ojciec Mansart, był człowiekiem w średnim wieku, masywnie zbudowanym i nieco pompatycznym w sposobie bycia. Chociaż zachowywał się z wyszukaną kurtuazją, widać było, że uważa swą podróż z Paryża za pogoń za złudzeniami. Właściwie sądzę, że dał się wyciągnąć z miasta tylko dzięki poczuciu lojalności wobec starego przyjaciela i traktował ten wyjazd jak wakacje. Był bardziej zainteresowany perspektywą polowania na kaczki w pobliskim Duclair i dopiero po dłuższej chwili zdecydowałam się zasugerować mu, dość bezpośrednio, że powinien porozmawiać z Erikiem.
- Ach tak - zauważył z wyczuwalnym chłodem w głosie - genialne dziecko. Ależ oczywiście, proszę go przyprowadzić, madame. Jestem pewien, że nie będę musiał długo go niepokoić.
Zmierzył mnie wzrokiem z nieukrywaną podejrzliwością, aż się zarumieniłam pod tym spojrzeniem. Kiedy Erik wszedł do pokoju, profesor wydawał się zaskoczony widokiem maski, ale powstrzymał się od komentarza. Uścisnął rękę chłopca i cierpliwie zaczekał, aż ten wdrapie się na krzesło przy stole w jadalni. Następnie wyciągnął kartkę i

poprosił, by Erik opisał, co na niej widzi.
- To jest łuk - odpowiedział Erik grzecznie. - Łuk koszowy, czyli półeliptyczny.
- Tak, masz rację. - Usłyszałam lekkie zdziwienie w głosie profesora. - Teraz pokaż mi zwornik.
Erik wskazał palcem.
- Wezgłowie sklepienia i impost.
Erik wskazał ponownie, a profesor zmarszczył brwi.
- Krążyna, przęsło, pacha sklepienia, klucz sklepienia, kliniec - wyrzucał z siebie nazwy w krótkich odstępach.
Palec Erika przesuwał się nieomylnie po arkuszu; słyszałam, że wzdycha znużony tym prostym i najwyraźniej bezproduktywnym ćwiczeniem.
Profesor wyjął chusteczkę i przetarł nią spocone czoło. Nagle zrobiło mu się gorąco.
- Do czego służy łuk? - zapytał z niezamierzoną agresją.
- Przenosi ciężar własny i dźwigany na boki, a więc na mury, przypory, filary i słupy oporowe - odparł Erik spokojnie.
Profesor poprawił się na krześle i popatrzył na dziecko badawczo.
- Narysuj mi dziesięć różnych rodzajów łuku i nazwij je - polecił.
Erik spojrzał na mnie zniecierpliwiony. Zrozumiałam, że poczuł się urażony tak prostym poleceniem, ale kiedy zachęciłam go wzrokiem, wziął ołówek i zaczął posłusznie i szybko rysować.
Wyszłam z pokoju i zostawiłam ich razem. Kiedy trzy godziny później

profesor przyszedł do mnie do salonu, był w samej podkoszulce. Wyglądał na wyczerpanego, zupełnie nie przypominał tego obytego światowca, który z godnością wkraczał do mego domu tuż po południu.
- Madame - powiedział uroczyście. - Muszę podziękować pani za najbardziej niesamowite doświadczenie w całej mojej karierze akademickiej.
Powstrzymałam się od odpowiedzi, wyczuwałam bowiem, że dla człowieka takiego jak on przeprosiny nie były rzeczą łatwą.
- Muszę się przyznać, że przybyłem tu dziś pełen podejrzliwości i raczej spodziewałem się sprytnej mistyfikacji - dodał niepewnie. - Gdy pierwszy raz obejrzałem te szkice w Paryżu, miałem wrażenie, że mój stary przyjaciel padł ofiarą oszustwa. Obawiam się, madame, że to panią posądziłem o nadużycie jego zaufania dla własnych celów.
Stałam bez słowa, więc wyciągnął do mnie ręce w geście poddania.
- Cóż mogę powiedzieć, madame? Z pewnością sama pani widzi, że postępy pani syna są niemal nadprzyrodzone.
Splotłam dłonie z wyraźną ulgą.
- Tak więc zgadza się pan ze mną, że to geniusz?
Powoli potwierdził ruchem głowy.
- Geniusz to cecha ludzka. Tego, co dziś oglądałem, nie da się opisać żadnym znanym mi słowem. Jego talent jest nieograniczony. Byłoby mi niezmiernie trudno odmówić sobie przyjemności kształtowania go.
Mrugnęłam szybko; czułam się, jakby wielki ciężar został nagle zdjęty z

moich ramion. Profesor milczał przez chwilę, gładząc marynarkę przerzuconą przez jedno ramię i nagle cały mój niepokój powrócił.
- Z listu Ojca Mansarta wywnioskowałem, że poważna deformacja ciała uniemożliwia chłopcu uczęszczanie do normalnej szkoły.
- To prawda - potwierdziłam cicho, z niknącą nadzieją.
- Proszę mi wybaczyć, madame... Ale czy byłoby nietaktem spytać...?
- Chodzi o maskę? - przygryzłam wargi. - Chciałby pan znać powód?
- Przyznaję, że wydało mi się to nieco ekscentryczne, wręcz uciążliwe. W dzisiejszych czasach mało kto uwierzy w historie o podobnym traktowaniu. Z pewnością żadne wrodzone kalectwo, jakkolwiek straszne, nie może usprawiedliwiać tak prymitywnych środków.
Podniosłam głowę wyżej, słysząc tę krytykę.
- Chciałby pan zobaczyć? - zapytałam zimno. - Czy jest pan gotów nie okazać odrazy, strachu, który by mógł go zranić?
Uśmiechnął się blado.
- Zapewniam panią, że jestem człowiekiem światowym - powiedział z pogardliwą pewnością siebie.
- I nie zmieni to pana pierwotnego zdania?
Teraz poczuł się po prostu obrażony.
- Madame, nie żyjemy w szesnastym wieku. To są czasy tryumfu nauki i trzeźwego myślenia.
- To panu się tak wydaje - ucięłam.
Wzruszyłam lekko ramionami, podeszłam do drzwi, przywołałam Erika

do pokoju i zdjęłam jego maskę.
Muszę przyznać, że Profesor Guizot bardzo się starał dotrzymać danego mi słowa. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, a jego nalane, rumiane policzki stały się teraz szare i sflaczałe. Jednak ani przez moment nie zdradził się spojrzeniem czy ruchem pobladłych warg, co naprawdę czuł patrząc na trupią twarz dziecka.
Kiedy zostaliśmy sami, wskazałam mu krzesło przy kominku.
- Może zechce pan spocząć, monsieur.
- Dziękuję. - Opadł na krzesło i wystudiowanym ruchem przykrył kolana marynarką, żeby ukryć zmieszanie. - Zastanawiam się, czy nie sprawiłoby pani kłopotu poczęstować mnie szklanką wody?
Nalałam mu brandy, a on przyjął ją bez słowa. Łapczywie wypił ciemnobrunatny płyn i drżącymi rękami odstawił szklaneczkę na stolik obok.
- Teraz, chyba, zgodzi się pan ze mną, że maska jest konieczna - powiedziałam.
- Tak - odparł z przejęciem. - Bardzo się obawiam, że tak.
- A więc? - zapytałam nieubłaganie.
Popatrzył z żalem na szklaneczkę, ale nie zaproponowałam, że mu doleję. Budził się we mnie straszny gniew i lęk.
- Zamierzałem, jeśli by się pani zgodziła, zabrać chłopca do mnie do domu, uczyć go prywatnie i przygotować do zdania dyplomu. Ale teraz obawiam się, że taki układ nie będzie możliwy. Moja żona, pani

rozumie, jest bardzo wrażliwa i mamy wścibskich sąsiadów... Nie, to doprawdy wykluczone. Muszę myśleć o mojej pozycji społecznej.
- Więc nie zamierza go pan uczyć? - Zacisnęłam pięści.
- Madame... - zaczął bezradnie.
- Wiedziałam! Wiedziałam, że jeśli pan go zobaczy, odmówi mi pan!
- Madame, proszę zachować rozsądek. To dziecko -
- To potworny wybryk natury!
- Tego nie powiedziałem - przerwał mi z godnością. - Proszę nie wkładać mi słów w usta. Zapewniam panią, że jestem zdecydowany go uczyć, ale nie mogę go zabrać ze sobą do Paryża. Jestem osobą publiczną.
- Wobec tego jak? - zapytałam szeptem.
Wstał z krzesła i ojcowskim gestem położył mi rękę na ramieniu.
- Nie sądzę, żeby chłopiec wymagał ciągłego nadzoru, jak większość moich studentów. To sprawa odpowiedniego poprowadzenia i zachęty. Ten przypadek to dla mnie wyzwanie, madame, test moich umiejętności. Proszę być spokojną, postaram się o środki potrzebne w tych szczególnych okolicznościach.
Łzy wdzięczności napłynęły mi do oczu. Musiałam się odwrócić, żeby nie rozkleić się na dobre.
- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziałam cicho.
- Droga pani - westchnął. - Nie jestem uprzejmy... Jestem zafascynowany.

Całe szczęście, że po śmierci Charlesa został mi pokaźny majątek, gdyż inaczej koszt indywidualnej edukacji Erika z pewnością puściłby nas z torbami. Aby zapewnić mu materiały do nauki, zmuszona byłam wynająć dom ojca w Rouen, ale nie żałowałam tego. Przynajmniej tę jedyną przyjemność mogłam mu ofiarować. Ojciec Mansart pomógł mi przy zrobieniu półek, które zapełniły praktycznie każdy wolny kąt w domu. Teraz miesiąc za miesiącem napływały z Paryża przesyłki zawierające tajemnicze, ciężkie tomiska, często unikatowe wydania, wraz z notatkami z wykładów i szczegółowymi instrukcjami profesora. On sam także przyjeżdżał regularnie, a wtedy zamykał się ze swym głodnym wiedzy uczniem na cały dzień.

- Pewnego dnia - powtarzał mi z prawie nieukrywaną ekscytacją - ten chłopiec zadziwi cały świat.

Nic nie mówiłam, kiedy opowiadał mi o Grand Prix de Rome i z determinacją twierdził, że Erik będzie najmłodszym laureatem tej prestiżowej nagrody. Nie zaprzeczałam też, gdy dziecko z pasją mówiło o swoich planach pięcioletnich studiów architektonicznych w Villa Medici jako stypendysta Akademii Francuskiej. Ani ja, ani profesor nie byliśmy gotowi przyznać, że zamki z chmur to jedyne budowle, które Erik będzie miał możliwość wybudować. Pochowaliśmy głowy w piasek jak strusie i nie przyjmowaliśmy ponurej rzeczywistości do wiadomości. Nie śmiałam nawet myśleć, jakie życie czekało na Erika poza bezpiecznym progiem mojego domu; w świecie, którego jedynym celem

będzie drwić z jego strasznego wyglądu. Nie śmiałam patrzeć w przyszłość.
Ale nie mogłam odebrać mu jego marzeń. Mimo, iż wiedziałam, że marzenia to wszystko, co kiedykolwiek będzie mógł mieć.
Kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki z Profesorem Guizot, Erik poprosił mnie o lusterko. Byłam tym tak całkowicie zaskoczona, że nie wiedziałam, co powiedzieć. W pierwszym odruchu chciałam odmówić, ale skoro już tyle razy moja intuicja okazała się błędna, postanowiłam spełnić tę dziwną zachciankę. Przyniosłam małe, ręczne lusterko, które dotąd ukrywałam głęboko w szufladzie w swoim pokoju i podałam mu je niepewnie. Nigdy od owej nocy nie rozmawiał ze mną o “tej twarzy”, ale i tak często budził mnie w nocy krzykiem, wiedziałam więc, że to wspomnienie w nim pozostało.
Wziął ode mnie lusterko z przesadną ostrożnością, jakby to był jadowity wąż i natychmiast położył je na stole szkłem do dołu. Oddychał ciężko, jakby długo biegł. Wyczułam w nim taki strach, że chciałam od razu odebrać mu lustro. Przemogłam się jednak i czekałam.
- A gdybym odczepił tył - zaczął z wahaniem - czy dalej byłoby widać... różne rzeczy?
- Nie - odpowiedziałam spokojnie. - Tylna strona lustra nie odbija obrazów. Nic byś nie zobaczył.
Odetchnął z wyraźną, wręcz bolesną ulgą.
- To jednak istnieje bezpieczna strona - mruknął do siebie. - To dobrze. -

Popatrzył na mnie niepewnie. - Mamo, czy mogę zajrzeć do środka?
- Jeśli chcesz.
Patrzyłam, jak zdjął tylną pokrywę i zręcznymi palcami złapał koniec cynfolii.
- Tam pod spodem jest tylko szkło! - zawołał zaskoczony. - Szkło i folia cynowa! Jak to możliwe, że w środku była twarz?
Kiedy na mnie spojrzał, poczułam, że robi mi się zimno z bólu. Przy całej jego wiedzy, przy całym wykształceniu, ta prosta prawda przerastała go.
- Tamta twarz nie była w środku, Eriku. Ona była na zewnątrz. Lustro tylko odbija to, co się przed nim znajduje.
- Ale w jaki sposób odbicia zmieniają się w potwory? - zapytał poważnie. - Czy to czary? Pokażesz mi, jak to działa?
Łkanie dusiło mnie w gardle, ale wzięłam lustro i spojrzałam w nie, świadoma, że stawał na palcach, żeby zaglądać przez moje ramię.
- O! To nie działa! - wykrzyknął z rozczarowaniem i oburzeniem w głosie. - Tam nic nie ma, musi być zepsute.
Zmieniłam kąt tak, że mój obraz pojawił mu się przed oczami. Aż krzyknął z zachwytu.
- Popatrz! - zawołał podekscytowany. - Teraz są dwie ty! Teraz to są inne czary.
- Eriku... to nie żadne czary. Kiedy ktoś patrzy w lustro, widzi swoje odbicie... Nic innego, tylko swoje odbicie. Lustro nie pokaże potwora,

chyba że potwór znajdzie się przed nim.
- Ale ja widziałem! - nalegał ze złością. - Widziałem!
- Tak - powiedziałam łagodnie. - Wiem, co widziałeś.
Zostawiłam go samego i przeszłam do pokoju obok, czekając na pierwszy krzyk zrozumienia, ale w domu panowała cisza. Kiedy zajrzałam przez drzwi, zobaczyłam, że bawi się lustrem, trzymając je delikatnie pod kątem, który nie pokazywał mu jego twarzy. Potem usłyszałam, że poszedł na górę, a kiedy weszłam zabrać lustro ze stołu, nie znalazłam go.
Przy kolacji wydawał się całkowicie spokojny. Zapytał mnie, czy może zatrzymać lustro. Pod wpływem zaskoczenia i dziwnej ulgi, zgodziłam się bez dalszych pytań; miałam nadzieję, że moment poznania i akceptacji tragicznej prawdy mamy już za sobą.
Następnego dnia jednak znalazłam lustro rozbite na pół tuzina kawałków, wszystkie ułożone starannie szkłem do dołu na szafce w jego pokoju. Kiedy zapytałam oburzona, dlaczego to zrobił, wyjaśnił mi spokojnie, że w ten sposób może robić lepsze czary. Potem zaczął układać kawałki pod różnymi kątami nad porysowaną kartką w taki sposób, że powstał zdumiewający labirynt poplątanych linii.
- Widzisz, Mamo, nie miałaś racji z lustrami - powiedział tryumfalnie. - Można nimi czarować na różne sposoby. Ciekawe, co by było, gdyby je wygiąć. Myślisz, że dałoby się je rozmiękczyć na tyle, żeby je powyginać, gdybym je włożył do ognia?

- Nie mam pojęcia! - powiedziałam przerażona. - I nawet nie próbuj takich niemądrych sztuczek! Jeszcze się cały poparzysz - Eriku... Erik, czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Tak, Mamo - odpowiedział niewinnie. Ale nie patrzył na mnie, kiedy to mówił, a ja od razu nabrałam podejrzeń, co do jego nagłego posłuszeństwa. Zwykle nie poddawał się tak szybko.
Chciałam od razu zabrać mu kawałki potłuczonego lustra, ale bałam się sprowokować jeden z jego niekontrolowanych napadów wściekłości, które nieodmiennie kończyły się wielkim biciem. Może powinnam się cieszyć, że pokonał swój irracjonalny strach przed tak codziennym przedmiotem. A jeśli się poparzy... no cóż, będzie miał nauczkę.
Postanowiłam zostawić go w spokoju.

*

- Madeleine.
Marie weszła do kuchni i kiedy ukradkowym gestem zamknęła za sobą drzwi; zobaczyłam, że jej serdeczna twarz zmarszczyła się z niepokoju.
- Sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć - zaczęła. - Erik poprosił mnie, żebym mu kupiła szkło, cynfolię i nóż do szkła. Dał mi to i błagał, żeby ci nie mówić.
Kiedy wyciągnęła do mnie sto franków, zmarszczyłam brwi.
- A więc to tak zginęły moje pieniądze... Podejrzewałam to. Co mu powiedziałaś?
Westchnęła.

- Oczywiście wiedziałam, że te pieniądze nie mogły w żaden sposób należeć do niego. Powiedziałam mu, że to bardzo źle kraść... A on po prostu patrzył na mnie, jakby nic nie rozumiał.
- Rozumie tylko to, co jest mu wygodnie - potwierdziłam bezsilnie. - Ostatnio zależy mu jedynie na tym, żeby zaspokoić jakąś obsesyjną manię iluzji i magii. I dobrze wie, że mnie to złości. Powiedziałam mu w zeszłym tygodniu, że nie dostanie tego szkła.
- Na cóż mu, u licha, szkło?
- Żeby robić lustra, wyobrażasz to sobie? Magiczne lustra, które będą pokazywać mu tylko to, co chce zobaczyć. Przez setki lat Wenecjanie trzymali sekret wyrobu zwierciadeł w najgłębszej tajemnicy, a teraz to dziecko - to szalone dziecko - uważa, że może zacząć produkcję luster w sypialni na strychu. Dzięki Bogu, nie powiedziałam mu o rtęci, bo pewnie i tego by zażądał. Dlaczego on się tak zachowuje, na miłość Boską?
Marie położyła pieniądze na stole i popatrzyła na mnie zamyślona.
- Myślę, że powinnaś mu kupić to szkło, skoro to dla niego takie ważne - powiedziała po chwili.
- Czyżby? - odparłam chłodno. - A może mam mu też kupić rtęć, żeby mógł nas wszystkich wytruć, kiedy mu przyjdzie ochota?
Wzdrygnęła się.
- Madeleine, jeśli nie dasz mu tego szkła, znajdzie inny sposób, żeby je zdobyć. Chcesz mieć potłuczone okna?

- Sądzisz, że byłby zdolny do takiej podłości? - zapytałam przerażona.
Skinęła głową.
- Nie sądzę, żeby uznał to za coś złego. Po prostu byłby to kolejny, logiczny krok do celu.
- Cel uświęca środki... - odpowiedziałam cicho, zamyślona. - To jest nauka diabła.
Stała w milczeniu, patrząc w podłogę i wiem, że w głębi serca musiała się ze mną zgodzić.
Kiedy pod koniec tygodnia sprezentowałam mu szkło i cynfolię, był tak zachwycony, że aż musiałam się odwrócić, żeby nie rzucił mi się na szyję. Zamknął się w swoim pokoju na resztę dnia, ale wieczorem znalazłam go pełnego zapiekłej złości z powodu porażki.
- Musi być lepszy sposób - mruknął. - Zapytam jutro Profesora Guizot, kiedy tylko przyjedzie.

*

- Lustra? - powtórzył profesor nie rozumiejąc, kiedy Erik wyskoczył do niego przed drzwi następnego ranka. - Oczywiście, do tej pory zawsze używało się rtęci.
- Rtęci! - Zobaczyłam, że Erik zesztywniał z irytacji. - Nic nie wiedziałem o rtęci!
- To stara metoda - dodał profesor dobrodusznie. - Nikt jej już nie stosuje. Z tego, co wiem, nową metodę, srebrzenie, opracowano w Niemczech.

- W Niemczech - powtórzył Erik poważnie. - Jak to daleko stąd...?
Potem zamknęli drzwi do jadalni i nic więcej nie słyszałam.
Od tej pory jednak skrupulatnie spełniałam wszystkie prośby Erika dotyczące materiałów do pracy, jakkolwiek dziwne mi się nie wydawały. Szkło, metal, śruby z nakrętkami, sprężyny... Nie odmawiałam mu więcej jego zabawek; prawdę mówiąc dlatego, że się nie ośmielałam. Zaczęłam rozumieć, co Ojciec Mansart miał na myśli mówiąc o nie zatykaniu czynnego wulkanu. Zrozumiałam też jego głębokie zaniepokojenie o duszę Erika.
Zawsze, odkąd Erik nauczył się chodzić, na noc zamykałam go w jego pokoju na klucz. Robiłam to częściowo ze względu na jego bezpieczeństwo, głównie jednak dla własnego spokoju. Miał osiem lat, kiedy dokonałam przykrego odkrycia, że zaryglowane okna i zamknięte drzwi nie wystarczą, by utrzymać w ryzach jego wybujałą fantazję.
Pewnego dnia Ojciec Mansart przyszedł wyraźnie zdenerwowany. Opowiadał mi, że we wsi panuje niepokój i że powinnam zamykać Erika na noc w domu.
- Nie rozumiem, o co chodzi - zdziwiłam się. - Dobrze Ojciec wie, że nigdy nie wypuszczam go dalej, niż do ogrodu.
Ksiądz pokiwał głową.
- Madeleine, już kilka osób widziało go w nocy na terenie plebanii. A wczoraj kilkunastu świadków słyszało kościelne organy o północy.
- Ależ to jest niemożliwe - zaprotestowałam. - Sama o ósmej zamknęłam

go w pokoju na klucz.
- I zostawiłaś klucz w drzwiach?
- Tak. I dokładnie tam znalazłam go dziś rano. Nawet gdyby próbował wypchnąć klucz z zamka i przecisnąć go pod drzwiami, nie mógłby przecież sam zamknąć drzwi od zewnątrz.
- Obawiam się, że jeśli chodzi o Erika, wszystko jest możliwe - powiedział ksiądz ponuro. - Sądzę, że powinienem z nim porozmawiać.
Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, Erik nawet nie zaprzeczał. Przyznał się całkiem otwarcie i pochylił głowę, kiedy Ojciec Mansart ganił go za grzeszne oszustwo.
- Nie robiłem nic złego - zaprotestował, patrząc na mnie z obawą, jakby spodziewał się, że zbiję go przy księdzu.
- A co dokładnie zrobiłeś? - krzyknęłam.
- Tam w lesie są małe liski - odpowiedział cicho. - Patrzyłem, jak się bawią przy księżycu. W zeszłym roku na wiosnę -
Przerwał, widząc moją minę. Nie mogłam uwierzyć, że błąkał się po Foret de Roumare przez rok, a ja nic o tym nie wiedziałam.
Uświadomiłam sobie, co zaszło; jak jego rosnąca pewność siebie skusiła go do wycieczek coraz dalej w głąb wsi, gdzie stał śliczny romański kościółek.
- Jak się wydostałeś z pokoju? - zapytałam surowo.
- Och, to było proste - przyznał. - Po prostu odkręciłem śruby przy oknie i wyskoczyłem na gałąź.

Aż zamknęłam oczy z przerażenia. Pokój znajdował się co najmniej sześć metrów nad ziemią, a drzewo, o którym mówił, stało w wystarczającej odległości, żeby próba skoku skończyła się śmiertelnie dla każdego, z wyjątkiem kota. Nie zapytałam nawet, jak dostał się z powrotem - z pewnością metoda była równie zwariowana.

- Ty głupi szczeniaku! Mogłeś się zabić!

Patrzył w podłogę.

- Wszystko jest takie piękne w nocy i nikt nie może mnie zobaczyć - szepnął.

- Otóż ostatniej nocy byłeś nie tylko widziany, ale i słyszany! - zawołałam. - Teraz na pewno cała wieś wie, że grałeś w nocy na organach.

- Och! - jęknął żałośnie. - Myślałem, że nawet jeśli ktoś usłyszy, pomyśli, że to duch.

- Eriku - wtrącił się Ojciec Mansart widząc, że zaciskam pięści. - To, co zrobiłeś, było bardzo niemądre i naraziło zarówno ciebie, jak i twoją mamę na niebezpieczeństwo. To się nie może powtórzyć. Jeśli dalej będziesz straszył mieszkańców wsi, grożą ci... przykre konsekwencje.

Erik odruchowo przysunął się do mnie i tam pozostał.

- Wiesz, co mam na myśli, prawda, moje dziecko?

- Tak - szepnął Erik przerażony. - Ale dlaczego - dlaczego oni chcą mnie skrzywdzić? Przecież nie zrobiłem im nic złego. Dlaczego wszyscy tak mnie nienawidzą?

Ksiądz rozłożył ręce bezradnie.
- Ludzie nienawidzą tego, czego się boją... A boją się tego, czego nie rozumieją.
Erik dotknął maski z wahaniem.
- Moja twarz - wyjąkał. - Nienawidzą mnie z powodu mojej twarzy?
Ojciec Mansart ujął go za ramię.
- Chodź, dziecko, pomódlmy się. Poprośmy Boga, żeby dał ci cierpliwość i zrozumienie.
- Nie! - Erik wyrwał się z jego uścisku. - Nie będę się więcej modlił! Po co? Bóg i tak mnie nie słucha.
- Eriku! - zawołałam zduszonym głosem. - Natychmiast przeproś Ojca Mansarta i błagaj Boga o przebaczenie tego strasznego bluźnierstwa.
Uparcie milczał.
- Idź do swojego pokoju - poleciłam stanowczo. - Potem porozmawiamy o twoim nieposłuszeństwie.
Kiedy zostaliśmy sami, zapadła niezręczna cisza. Usiadłam ciężko na krześle i popatrzyłam na księdza.
- Co ja mam robić? - westchnęłam.
- Nie wolno mu pozwolić wychodzić z domu - odpowiedział Ojciec Mansart po chwili. - Przyjdę później, żeby zabić jego okno deską i wstawić zewnętrzny rygiel w drzwiach.
- Zabić okno deską...? - powtórzyłam żałośnie. - Mam go zamykać w pokoju bez dostępu naturalnego światła?

- Obawiam się, że tylko tak możemy go chronić - odparł ksiądz smutno.
Tej nocy na drodze przed naszym domem słychać było wielkie hałasy, chłopcy ze wsi rzucali kamieniami w okna i wykrzykiwali wyzwiska. Byłam taka wściekła, że pomimo ostrzeżeń księdza otworzyłam okno w mojej sypialni i postanowiłam im się przeciwstawić
- Wynoście się stąd! - wrzasnęłam. - Zabierajcie się i zostawcie mnie i mojego syna w spokoju!
- Wyprowadź tu do nas potwora! - krzyknął któryś bezczelnie w odpowiedzi. - Chcemy zobaczyć potwora!
Garść błota rozbiła się o mój policzek. Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła na dole i zdrętwiałam z przerażenia, kiedy ktoś kopał do drzwi wejściowych.
- Wynocha stąd! - z pewnej odległości dobiegł mnie wzburzony głos Ojca Mansarta. - Wy małe diabły! Już ja wam zadam pokutę, że przez miesiąc nie wstaniecie z kolan! Doskonale znam wasze imiona... każdego z was! Wynoście mi się stąd i to już!
Głosy oddaliły się i prześladowcy zniknęli w mroku.
Zbiegłam po schodach, otworzyłam na oścież drzwi i ukryłam twarz w sutannie księdza.
- Ojcze! - szlochałam. - Tak się bałam, że włamią się do domu, żeby go dostać!
- Nie sądzę, żeby któryś się na to poważył, moja droga, ale naprawdę nie mogę ręczyć, co by zrobili, gdyby złapali go wałęsającego się samotnie.

Czy na górze jest bezpieczny?

Pokiwałam głową.

- To dobrze. Wyjmę szybę z okna i wmontuję rygle w drzwiach. To powinno go zatrzymać. Właściwie, po dzisiejszej historii, może będzie zbyt przestraszony, żeby próbować ucieczki.

- Co z niego wyrośnie? - szepnęłam zrozpaczona. - Co, na Boga, z niego wyrośnie?

- Nie naszą rzeczą jest zgadywać przyszłość - odpowiedział ksiądz wymijająco. - Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę do niego. Spodziewam się, że będzie bardziej skory do modlitwy.

- Więc wybaczył mu ojciec to bluźnierstwo? - próbowałam zmusić się do uśmiechu.

Ksiądz wykonał filozoficzny gest ręką.

- Jeśli to wszystko, co niebo będzie musiało mu wybaczyć, to mamy dużo szczęścia - powiedział.

Wziął świecę z mojej zdrętwiałej dłoni i bez słowa poszedł na górę.

*

W niedzielę poszłam z Marie na Mszę, aby zawstydzić rodziców naszych dręczycieli. Już kilka lat minęło, odkąd ostatnio modliłam się w pięknym kościele dawnego opactwa St. Georges. Byłam zadowolona, że mogę słuchać Mszy w zaciszu domowym i coraz bardziej upodobniałam się do pustelnicy. Zrozumiałam, że w opowieści o wariatce i potworze zamieszkujących wielki dom na uboczu było źdźbło prawdy. Nie

powinnam dłużej ukrywać się jak kret; musiałam pokazać wszystkim, że zamierzam walczyć o nasze prawo do życia w spokoju.
Przez całe nabożeństwo widziałam, jak mieszkańcy odwracali głowy, by na mnie popatrzeć. Słyszałam przytłumione szepty podczas kazania i nawet srogi wzrok księdza nie zdołał ich uciszyć. Mój zapał ostygł i czułam nieodpartą chęć, by uciec ze starego kościółka, ale siedziałam sztywno, zaciskając dłonie na książeczce do nabożeństwa i modląc się, żeby Msza wreszcie dobiegła końca.
- Ite missa est... - powiedział Ojciec Mansart miłosiernie i kiedy parafianie ruszyli do wyjścia, unikałam ich wzroku gapiąc się tępo na rzeźbione aniołki w transepcie.
Gdy szłam za Marie do wyjścia, przez nieuwagę upuściłam książeczkę; jej stuk o podłogę odbił się nienaturalnie głośnym echem od sklepienia kościoła. Odruchowo spojrzałam w stronę chóru, a tam, w poświacie padającej z okien frontonu, zobaczyłam postać młodego mężczyzny, który przyglądał mi się zamyślony.
Ukłonił się uprzejmie, kiedy spostrzegł, że na niego patrzę i ten niespodziewany przejaw grzeczności zdumiał mnie. Przez lata samotności zapomniałam, jak odpowiadać na takie gesty; przestałam był trzpiotowatą, pustą kokietką. Było mi bardzo niezręcznie, a jednocześnie dziwnie trudno odwrócić wzrok.
- Kim jest ten mężczyzna? - spytałam Marie, kiedy wyszłyśmy na skąpaną w słońcu południa łączkę przed kościołem.

- To nasz nowy doktor, Monsieur Barye - odpowiedziała z uśmiechem.
- Od jak dawna mieszka w Boscherville?
- Jakieś dwa miesiące, ale ludzie gadają, że nie zostanie tu długo. Musi mieć bardzo niewielu pacjentów, bo wszyscy wolą wezwać doktora Gautiera.
- To głupota! - zawołałam głośniej, niż chciałam. - Doktor Gautier dziesięć lat temu nie był już młody, teraz musi mieć z osiemdziesiąt lat.
Marie wzruszyła ramionami.
- Sama wiesz, jak to jest na wsi. Mama mówi, że nie wyobraża sobie, żeby miała być badana przez młodego lekarza, a już na pewno nie zgodziłaby się, żeby badał mnie.
- A jakie zajęcie twoja mama proponuje młodym lekarzom? Mają przymierać głodem, aż im posiwieją brody?
- Cicho! - Marie przerwała mi nagle. - Wychodzi z kościoła. Jeszcze cię usłyszy.
Sprzeniewierzając się dobremu wychowaniu, odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć i zauważyłam, że oczy młodego człowieka ponownie utkwione były we mnie. Jeszcze raz złożył mi elegancki ukłon i życzył nam miłego dnia, zanim z pewnym ociąganiem odszedł w swoją stronę.
Marie złapała mnie za ramię i nagle przyspieszyłyśmy kroku, oddalając się od jego malejącej sylwetki. Niespodziewanie i bez powodu zaczęłam chichotać jak głupia, frywolna istota, którą kiedyś byłam. Naraz znowu poczułam, że jestem w klasztorze i wypieram się swojego

zainteresowania przystojnym nauczycielem śpiewu.
- Ależ oczywiście, że mi na nim nie zależy, ani troszeczkę, ani odrobinę...
Znów miałam siedemnaście lat i byłam zuchwałym, małym motylkiem trenującym skrzydełka nie zważając na surowe katolickie wychowanie. Miałam siedemnaście lat i chciałam wypić życie jednym haustem... Pylista, rozgrzana słońcem droga przed naszym domem pojawiła się znowu przed moimi oczami. Promień słońca odbijał się w nowej szybie, którą Erik wstawił w jadalni. Miał dopiero osiem lat, a już zręcznością przewyższał najlepszych robotników we wsi. Dlaczego nie mogłam się pozbyć poczucia winy, jakbym miała ostatecznie zawieść jego zaufanie?

*

Etienne! Etienne Barye! Jak szybko to się stało! Jak szybko przestał być uprzejmym, młodym lekarzem, który pozdrawiał mnie z tak wyszukaną grzecznością co tydzień po niedzielnej Mszy; jak szybko stał się najjaśniejszą gwiazdą na moim pustym i ciemnym niebie.
Przez tych kilka krótkich tygodni wydawało mi się, że myślę o nim bez przerwy, a czas mierzyłam nieznośną długością godzin pomiędzy naszymi ukradkowymi spotkaniami. Przez osiem lat żyłam jak zakonnica; może to było nieuniknione, że zakocham się w pierwszym przystojnym mężczyźnie, który znów spojrzy na mnie z zainteresowaniem.
Oczywiście, słyszał moją historię. Zbyt wielu było chętnych, by

wprowadzić tego miłego człowieka w szokujące szczegóły i uchronić przed klątwą mojego pocałunku. Uparcie ignorował ostrzeżenia i co tydzień podchodził po Mszy do mojej ławki. Brałam go pod rękę i wychodziliśmy razem z kościoła patrząc z góry na wszystkich, którzy się temu sprzeciwiali.

Był młodszy ode mnie, miał proporcjonalne, mocne rysy twarzy i oczy, które nie umiały ukryć pogardy dla tych, których nie szanował. Gardził większością mieszkańców Boscherville, uważał ich za bigotów i prostaków. Tych kilku pacjentów, których udało mu się zyskać, wkrótce zniechęciły jego dosyć szorstkie maniery i otwarte pokazywanie się w moim towarzystwie. Ja sama nauczyłam się tolerować jego opinie, uważałam bowiem, że wspólnie spędzony czas jest zbyt cenny, by marnować go na kłótnie. Żyłam w ciągłym strachu, że wreszcie zdecyduje się porzucić tę, jak mówił, “zabitą deskami dziurę” i wrócić do swych badań w Paryżu. Jego przenikliwa inteligencja i niecierpliwość predestynowały go bardziej do pracy w laboratorium, niż do ciągłego użerania się z kłótliwymi pacjentami. Pozostawało wyłącznie kwestią czasu, kiedy sam to zrozumie.

Jego ciekawość odnośnie Erika była nienasycona; zasypywał mnie szczegółowymi pytaniami i często notował moje odpowiedzi. Jego zainteresowanie, zapewniał mnie, było czysto naukowe, chciał opisać ten przypadek do badań. Wielokrotnie prosił mnie, bym pozwoliła mu zobaczyć dziecko, ale na to, z wielu powodów, nie chciałam się zgodzić.

Nie mogłam się pozbyć myśli, że najchętniej położyłby Erika na stole i przeprowadził sekcję, żeby tylko zaspokoić swoją ciekawość.
- Madeleine - strofował mnie łagodnie, kiedy sprzeciwiałam się jego prośbom. - Nie możesz być taka podejrzliwa. Dziecko interesuje mnie z powodów czysto naukowych. Myślałem, że mi ufasz.
Odwróciłam wzrok. Byłam coraz bardziej zakochana w tym mężczyźnie, ale nie dowierzałam mu jako naukowcowi. Bałam się tego głodu wiedzy, który krył się za jego chłodnymi, niebieskimi oczami.
Wstał z kanapy i podszedł do okna, wyglądając na zielony placyk przed starym kościołem tuż obok.
- Zadajesz zbyt wiele pytań - mruknęłam.
- Oczywiście! - rzucił notatnik i podszedł do mnie. Zrzucił beznamiętny, kliniczny spokój jak poplamiony fartuch. - Obawiam się, że niezaspokojona ciekawość to męcząca cecha. Proszę, wybacz mi, Madeleine.
Położył mi rękę na ramieniu, ale ja nie odwróciłam się.
- Czasem myślę, że chcesz ode mnie tylko odpowiedzi - westchnęłam.
Odwrócił mnie wolno i zdecydowanie, aż stanęliśmy twarzą w twarz.
- Nie tylko - powiedział.
I pocałował mnie.

*

- Kim jest ten mężczyzna? - zapytał Erik szorstko.
Czekał w holu, kiedy weszłam do domu i patrzył na mnie surowo.

- Kim jest ten mężczyzna? - powtórzył ostrzej, kiedy nie odpowiedziałam. - Dlaczego spacerujesz z nim sama?
Od czasu, kiedy poznałam Etienne, minęły już cztery miesiące, a ja bardzo uważałam, żeby Erik nie zobaczył nas razem. Najwyraźniej tego wieczora nie byłam dość ostrożna.
- Mogę spacerować z kim chcę i nic ci do tego! - odparłam gniewnie.
Powiesiłam płaszcz i chciałam ominąć chłopca, ale on zagrodził mi drogę tak nagle, że się przestraszyłam. Sięgał mi już do ramienia i pomimo niezwykłej chudości był bardzo silny.
- Kto to jest, Matko?
Po raz pierwszy zwrócił się do mnie w ten sposób i usłyszałam w jego głosie pogardę.
- Ma na imię Etienne - odpowiedziałam bezwiednie. - Etienne Barye... i jest lekarzem. A teraz przepuść mnie, Eriku. Nie pozwalam ci przepytywać mnie w ten sposób. I....
Głos mi zamarł, kiedy wciąż patrzył na mnie zimno.
- To mój przyjaciel - dodałam niepewnie. - Musisz zrozumieć, Eriku, mam takie samo prawo mieć przyjaciół, jak ktokolwiek inny we wsi.
Podszedł do mnie o krok, a ja cofnęłam się odruchowo.
- Nie życzę sobie, żebyś kontynuowała tę przyjaźń.
Oczy za maską przeszywały mnie jak świder, nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył. Cofałam się wgłąb holu, aż oparłam się plecami o ścianę, ale on wciąż szedł ku mnie z wyrazem całkiem niedziecinnej

groźby. Nagle, przestraszona, uderzyłam go na oślep i po tym pierwszym ciosie opanowała mnie furia.
- Ty! - wrzasnęłam. - Ty sobie nie życzysz? Jak śmiesz tak do mnie mówić! Zniszczyłeś moje życie w dniu, w którym się urodziłeś, zniszczyłeś je... zniszczyłeś! Nienawidzę cię, nienawidzę cię słuchać ani na ciebie patrzeć... Ta diabelska twarz i głos anioła! W piekle jest wiele aniołów, wiesz o tym? Mam nadzieję, że tam trafisz, bo tam jest twoje miejsce. Chciałabym, żebyś umarł, słyszysz mnie? Chcę, żebyś umarł!
Wydawało się, że nagle zmalał, skurczył się w moich oczach. Czymkolwiek zdawał mi się parę sekund wcześniej, teraz był tylko dzieckiem, kulącym się z niedowierzaniem przed karą, jakiej sobie nawet nie wyobrażał. Było tak, jakby wszystkie złe uczucia, które gromadziły się między nami od dnia jego narodzin, wybuchły nagle i oblały nas trucizną. Wiedziałam, patrząc jak zwinął się z bólu, że te słowa nie opuszczą go do końca życia. Nic, co mogłam powiedzieć lub zrobić, nie było w stanie zmyć tej skazy z jego pamięci.
Pochyliłam się nad nim, niezdolna wyrazić mojego smutku i wstydu. Nagle oderwał ręce od maski i patrzył na mnie z cierpieniem, które nie pozwalało nawet na łzy.
- Ja też cię nienawidzę - powiedział wolno, z bolesnym zaskoczeniem, jakby to było coś, co dopiero sobie uświadomił. - Ja też cię nienawidzę.
Odwrócił się ode mnie i powłócząc nogami powlókł się na górę po schodach jak ślepy.

Od tamtej pory Erik nie wspominał o “tym mężczyźnie”. Przejawiał teraz taką obojętność wobec moich coraz częstszych nieobecności, że nawet nie podnosił wzroku, gdy wracałam do domu. Zawinął się cały w płaszcz nieprzeniknionego milczenia i większość czasu pracował samotnie w swoim pokoju, do towarzystwa mając jedynie Saszę.
Suczka roztyła się i postarzała, wchodziła w schyłkowy okres swego życia, co przytrafia się wielu czworonogom po skończeniu dziesięciu lat. Erik cierpliwie nosił ją w górę i w dół po schodach, przemywał zaropiałe oczy, a czasami siedział przez godzinę karmiąc ją z ręki. Nie byłam jednak pewna, czy rozumiał, że nieuchronnie zbliża się moment ostatecznego rozstania. Sama nie chciałam z nim o tym rozmawiać, więc poprosiłam Ojca Mansarta, żeby poruszył ten temat.
Ich ciche głosy dobiegały do mnie jako ledwo słyszalne szmery, kiedy siedziałam szyjąc w pokoju obok. Tak, powiedział Erik spokojnie, zdaje sobie sprawę, że Sasza jest już stara i nie będzie żyła wiecznie, może nawet nie dożyje przyszłego roku. Ale głęboko wierzy, że Bóg zabierze ją do siebie i że w końcu spotkają się w niebie.
Wyczułam, raczej niż usłyszałam, jak ksiądz wziął głęboki oddech, aby sprostować dziecinny, lecz niewybaczalny błąd swego ucznia w doktrynie. Wyjaśnił Erikowi, że Bóg miłuje wszystkie swoje stworzenia, ale życie pozagrobowe ofiarował jedynie człowiekowi. Zwierzęta, dodał ksiądz poważnie, nie mają duszy...
Na mgnienie oka zaległa cisza, a potem, bez ostrzeżenia, rozległ się

krzyk nieopisanej rozpaczy i gniewu. Wpadłam do salonu, akurat żeby zobaczyć, że Erik chwycił zegar stojący na kominku i rozbił go w palenisku. Następnie, ku mojemu absolutnemu przerażeniu, podniósł szczypce do węgla i rzucił się w stronę księdza wywrzaskując straszne przekleństwa; słowa, o których nie miałam pojęcia, że zna. Kiedy próbowałam stanąć pomiędzy nimi, szczypce złapały mnie z całą siłą za ramię, przedzierając się przez aksamit sukienki do żywego ciała. Ksiądz odciągnął mnie w tył, poza zasięg rozszalałej broni, która tłukła nie różnicując we wszystko na drodze.

- Wielki Boże - jęknęłam. - Zdemoluje cały pokój! Muszę go powstrzymać.

W odpowiedzi Ojciec Mansart wyciągnął mnie z pokoju i pospiesznie zamknął za nami drzwi. Dzika kanonada ciosów runęła w drzwi i na naszych oczach zaczęły one pękać. Kiedy jednak chwyciłam za klamkę, ksiądz powstrzymał mnie.

- Nie wolno ci teraz do niego podchodzić... Nie poznałby cię.

Popatrzyłam na niego nie rozumiejąc. Zza ściany dobiegały odgłosy szalonego wandalizmu. Twarz księdza przybrała trupi odcień bladości, a usta zmieniły się w wąską, szarą linię wyrażającą żal i cierpienie.

- Nie udało mi się - mruknął smutno. - Zawiodłem jego i zawiodłem Boga.

- Nie rozumiem - odpowiedziałam, z trudem łapiąc oddech. - Czy Ojciec mi mówi, że on oszalał?

Kapłan pokiwał głową zamyślony.
- To nie jest szaleństwo, moje dziecko - to jest opętanie! Jeśli teraz do niego wejdziesz, może cię zabić. Musimy zaczekać, aż demon, który go teraz opętał, zmęczy się i opuści jego ciało.
Spojrzałam na krew, która sączyła się do mojego rękawa.
- Czy - czy to się może powtórzyć? - wyjąkałam niepewnie.
Ksiądz westchnął.
- Kiedy siły ciemności zwęszą odpowiednie ciało... - Rozłożył ręce bezradnie, zanim zaczął mówić dalej.
- Jutro odprawię egzorcyzmy - powiedział załamany.
Egzorcyzmy...
Ciemność zamknęła się nade mną i Ojciec Mansart złapał mnie, kiedy zemdlałam.

*

- Egzorcyzmy! - zawołał Etienne z odrazą. - Ten ksiądz to głupiec i ignorant, żywcem wzięty ze średniowiecza. To nie jest przypadek dla kościoła, tylko dla ośrodka medycznego.
- Domu wariatów - wymamrotałam. - Masz na myśli dom dla obłąkanych!
Etienne westchnął.
- Proszę cię, nie podchodź do tego tak emocjonalnie. Z tego, co wiem, sądzę, że dziecko cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne, co zresztą jest całkiem wytłumaczalne, zważywszy na okoliczności. Niewiele jest

rzeczy groźniejszych dla równowagi umysłu, niż połączenie geniuszu i kalectwa, które mi opisałaś. - Położył mi rękę na ramieniu i dodał cicho:
- Kochanie, myślę, że nadszedł czas, abyś poważnie zastanowiła się nad oddaniem go do zakładu.
- Ale... to takie straszne miejsca, nieprawdaż? Tyle się słyszy potwornych opowieści o okrucieństwie.
- To nieprawda - odparł Etienne spokojnie. - W niektórych jest lepiej niż w innych, nie będę zaprzeczał, ale znam doskonałe miejsce, gdzie mógłby przebywać z dala od niebezpieczeństw. Mógłby zatrzymać swoje książki i muzykę... byłby całkiem szczęśliwy... Albo przynajmniej na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe na ziemi.
Etienne nachylił się nad wodą i przez półprzymknięte powieki patrzył na przepływającą Sekwanę. Z uczuciami radził sobie w sposób szybki i bezkompromisowy; nie pozwalał sobie zarówno na pasje jak i sentymenty. Z właściwym sobie optymizmem czynił najbardziej nieprzyjemne propozycje w sposób miły i pełen szacunku. Szybka decyzja, podpis na dokumentach i wszystkie moje problemy skończyłyby się. W jego ustach brzmiało to tak naturalnie i prosto. Pochylił się do mnie i położył mnie na trawę. Z radością poddałam się jego niecierpliwym ustom. Przez chwilę nie musiałam myśleć, spierać się ze sobą. Przez jedną krótką chwilę liczyła się tylko fizyczna przyjemność i odprężenie; przyciągnęłam go bliżej, bojąc się, że ten moment przeminie.

Dziesięć lat temu nie uwierzyłabym, że kiedykolwiek go pokocham, gdyż dziesięć lat temu nie pozwoliłabym nikomu dyktować sobie w tak zuchwały sposób, co mam myśleć lub robić. Teraz nie pragnęłam niczego więcej, niż by poczuć się bezpiecznie zamknięta w jego ramionach; osłonięta przed brzydotą rzeczywistości. Byliśmy kochankami w każdym, prócz fizycznego, znaczeniu tego słowa; był zbyt logiczny i racjonalnie myślący, by zaryzykować zniszczenie mojej reputacji. Desperacko pragnął życia w szacunku, zachowania powagi i godności swego zawodu. Nic dziwnego, że oczekiwał wiążących obietnic.

Ale jaką przyszłość mogłam mu obiecać, skoro nie ośmielałam się nawet zaprosić go na obiad, żeby nie ryzykować gwałtownego wybuchu złości Erika?

Wiedziałam, że obecna sytuacja nie może trwać wiecznie. W swoich myślach słyszałam często ten głos - łagodny, przekonujący i zdeterminowany, który powtarzał mi to, co jak sądzę, przeczuwałam od tamtej pierwszej chwili w kościele.

Ten mężczyzna ożeniłby się z tobą, gdybyś była wolna.

Gdybym była wolna od mojego nieudanego dziecka.

Gdybym umieściła go w zakładzie dla niebezpiecznych szaleńców...

Milczałam, gdy wracaliśmy brzegiem rzeki i choć byliśmy jeszcze dość daleko od wsi, stwierdziłam, że będzie bezpieczniej, jeśli dalej pójdę sama.

- Ludzie zaczynają plotkować. Nie możesz sobie pozwolić na skandal.
Objął jedną ręką moje ramiona i ujął mnie pod brodę.
- Madeleine - powiedział czule - nie musi być skandalu... Wiesz o tym, prawda? Proszę cię tylko, żebyś pozwoliła mi zbadać chłopca i postawić diagnozę co do stanu jego umysłu.
Wiedziałam jednak, że Etienne postawił już diagnozę i mimo, że pragnęłam go rozpaczliwie, nie byłam gotowa stać się Judaszem.
- Obiecaj mi, że przemyślisz to, o czym rozmawialiśmy - nalegał.
- Dobrze - odparłam niechętnie. - Pomyślę o tym.
Ale i tak wiedziałam, że tego nie zrobię.

*

Etienne miał rację w sprawie egzorcyzmów; nigdy nie powinnam była na to pozwolić. Jeśli Erik nie był opętany, zanim odbyła się ceremonia, z pewnością po jej zakończeniu zachowywał się tak, jakby to była prawda. Całkowicie zniknęło jego pełne szacunku przywiązanie do księdza. Odmówił dalszych ćwiczeń śpiewu, choć dotąd sprawiało to im obu wiele radości i, co gorsza, nie chciał słuchać Mszy ani trzymać w pokoju krzyża. Nie ośmieliłam się nalegać, gdyż ostatnio zachowywał się tak dziwnie, że zaczęłam się go naprawdę obawiać. Wokół niego zaczęły się dziać niewyjaśnione rzeczy. Przedmioty znikały, niemal na moich oczach, i odnajdowały się, gdy tylko przestawałam ich szukać. Wiedziałam, że to jego sprawka, ale ilekroć go strofowałam, wzruszał ramionami i ze śmiechem odpowiadał, że to z pewnością był duch.

Pewnego dnia, kiedy filiżanka poderwała się ze spodeczka i roztrzaskała o kominek, odkryłam cieniutką nić przywiązaną do rozbitego ucha. Wściekła, odwróciłam się do niego.

- Ty to zrobiłeś, prawda?! To twoja sprawka!

- Nie! - cofnął się ode mnie z nagłym przestrachem. - Jak mógłbym to zrobić? Nawet nie byłem w pobliżu. To był duch!

- Nie ma żadnego ducha! - krzyknęłam. - Nie ma żadnego ducha - tylko ty i twoje przeklęte jedwabne nitki! Spójrz na to! Tym razem nie byłeś taki sprytny. Tę sztuczkę rozszyfrowałam od razu.

Milczał, patrząc na cienką jak pajęczyna nitkę. Sprawiał wrażenie, jakby złościła go własna niekompetencja. Mogłam prawie usłyszeć jego myśli, pełne wściekłej determinacji, że następnym razem nie znajdę niczego, co mogłoby go zdradzić.

- Nie będzie następnego razu - powiedziałam spokojnie. Poderwał głowę, jakby był zaskoczony, że z taką łatwością odczytałam jego myśl.

- Te złośliwości mają się raz na zawsze skończyć, czy wyrażam się jasno?

- To nie ja - powtórzył z dziecinnym uporem. - To był duch. Ten, którego Ojciec Mansart przepędził.

Złapałam go za ramiona i trzęsłam z taką pasją, że maska rozwiązała się i spadła na podłogę między nami.

- Dość już tych szaleństw! - wrzeszczałam zachrypłym głosem. - Masz przestać, rozumiesz! Jeśli nie, to zrobię to, co doktor Barye mi radził i

odeślę cię do tego strasznego miejsca dla wariatów. Tak! Przestraszyłeś się, co? To dobrze! Dobrze, że się boisz, bo może skłoni cię to do zmiany zachowania. Obiecuję ci, Eriku - wyślę cię do domu wariatów i nigdy, nigdy nie wrócisz! Przywiążą ci ręce za plecami, zamkną cię w ciemnej piwnicy, aż umrzesz i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. To co, przestaniesz teraz? Przestaniesz?!

Pchnęłam go gwałtownie i odsunęłam się zdyszana. Klęczał na dywanie u moich stóp i pospiesznie, drżącymi rękami, zakładał maskę. Czułam jego strach, niby jakąś fizyczną siłę, ale po raz pierwszy nie wstydziłam się, ani nie żałowałam swojej brutalności. Zbliżyliśmy się do niebezpiecznego urwiska i wiedziałam, że jeśli w tej chwili nie przejmę nad nim kontroli, oboje skończymy w zakładzie dla obłąkanych.

- Co byś zrobiła - szepnął cichutko, nie patrząc na mnie - gdyby mnie tu więcej nie było?

- Wyszłabym za doktora Barye - odpowiedziałam, popchnięta do kłamstwa przez czystą desperację. - Oświadczył mi się, a ty jesteś jedyną przeszkodą na drodze do tego małżeństwa. Tak więc widzisz - lepiej weź to pod uwagę i rób, co ci mówię. A teraz popatrz na mnie! Spójrz mi w oczy i przyrzeknij, że nigdy więcej nie zdarzy się coś podobnego.

Wciąż klęczał na podłodze, obwiązując nitkę tak silnie wokół chudego palca, że część, od której odciął dopływ krwi, cała posiniała.

- Erik!

Odskoczył zręcznie jak pasikonik i podbiegł do drzwi. Zatrzymał się,

oparł o framugę i odwrócił do mnie buntowniczo.
- A właśnie, że jest duch - powiedział stanowczo. - Tu naprawdę jest duch, Mamo. I zostanie z tobą na zawsze!
Stałam, patrząc na niego osłupiała, z jedną ręką wzniesioną do szyi, a drugą wyciągniętą do niego w niemym geście prośby.
Nagle zrobiło mi się bardzo zimno.
Tego wieczora po raz pierwszy usłyszałam ten głos. Znajomy, a jednak dziwnie zmieniony, śpiewający tak cicho i łagodnie, że z początku niemal nie zdawałam sobie sprawy z jego hipnotycznej siły.
Głos był tuż obok mnie, tak blisko, że wydawało mi się, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Ale, kiedy wstałam zaciekawiona, głos odsuwał się ode mnie.
Zatrzymałam się i popatrzyłam na Erika, który czesał Saszę na dywaniku przed kominkiem. Wydawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością i nieświadomy mojego zainteresowania.
Głos ucichł, był tylko ledwo dosłyszalnym tchnieniem, które wabiło mnie z pokoju i na górę schodami. Podążałam za nim z bezradną fascynacją, a kiedy znalazłam się w mojej sypialni, melodia bez słów zdawała się nabierać mocy i w końcu skupiła się w figurce pastuszka, która stała na marmurowym blacie mojej komódki.
Podeszłam bliżej i naraz stało się dla mnie oczywiste, że to figurka była odpowiedzialna za mruczenie, które słyszałam. Wpatrywałam się w nią oszołomiona. Stojąc tak, dotarło do mnie, że nie jestem w pokoju sama.

Erik znalazł się nagle obok mnie i badawczo patrzył, jak obserwuję figurkę. Zdjął maskę, a jego zamknięte usta tworzyły ponurą linię ciszy. Wtedy zrozumiałam.

Podniosłam rękę bardzo powoli, dając mu do zrozumienia, co zamierzam zrobić, ale nawet nie mrugnął, a głos ani na chwilę nie zadrżał. Kiedy uderzyłam go w twarz, wydawało mi się, że to figurka krzyknęła z bólu. Pojęłam wreszcie jak spędzał te niekończące się godziny samotności. Dodał nową umiejętność do długiego i dziwacznego spisu swych talentów. Przypomniałam sobie prezent, który dostał od Marie na piąte urodziny, którego nigdy nie otworzył, a który ja później zamknęłam na klucz w szufladzie biurka jako całkowicie nieodpowiedni.

Stara kopia dzieła na temat brzuchomówstwa: Le Ventriloque ou L'Engastrimythe.

- Myślałam, że go to zainteresuje - wyjaśniała Marie, kiedy strofowałam ją za głupotę. - Chciałam tylko, żeby miał jakąś rozrywkę. Ale jeśli jesteś przekonana, że nie powinien mieć tej książki, to dobrze, schowaj ją przed nim.

Powinnam była wiedzieć, że nic nie mogło powstrzymać Erika, jeśli raz się czymś zaciekawił. Jak mogłam być tak bezmyślna, żeby sądzić, że zapomni o jedynym prezencie urodzinowym, jaki kiedykolwiek dostał. Albo, że prosty zamek w moim biurku będzie dostatecznym zabezpieczeniem. Książka nigdy nie zginęła i zawsze była na miejscu, kiedy otwierałam szufladę. Był zbyt sprytny i zbyt zależało mu na

zachowaniu tajemnicy, by popełnić tak oczywisty błąd. Jeśli chciał mieć coś dla siebie, nikt nie mógł równać się w zacieraniu śladów z tym dziwnym dzieckiem, po części kotem, po części lisem... po części słowikiem.

Pastuszek dalej śpiewał dla mnie i mimo, że zrozumiałam sekret iluzji, nie mogłam oprzeć się pokusie słuchania tego niepokojąco pięknego głosu. Z początku słuchałam mimowolnie, przysięgając sobie, że tym razem na pewno roztrzaskam tę przeklętą figurkę, gdy tylko ucichnie. Kilkakrotnie podnosiłam rękę, żeby strącić ją na podłogę, ale za każdym razem powstrzymywała mnie jakaś niewidzialna siła, która zdawała się emanować z głębi mnie samej.

A potem, po troszeczku, zaczęłam poddawać się rosnącej sile złudzenia, aż nie potrafiłam dłużej odróżnić iluzji od rzeczywistości. Głos nie tylko śpiewał, także przemawiał do mnie i wkrótce zaczęłam spełniać jego małe prośby. Brzmiał takim szczęściem, kiedy przestawiłam go spod okna na nocny stolik, po tym jak powiedział mi, że mu zimno. Czasem boczył się jak dziecko i mówił, że nie będzie śpiewać, jeśli go nie pocałuję. Podnosiłam go więc i przyciskałam usta do martwego, porcelanowego policzka.

Rzeczywiście, w domu był teraz duch, ale żadne egzorcyzmy nie zdołałyby go wypędzić, gdyż sama godziłam się na jego obecność, pełna zachwytu i zdumienia. Powoli przechodziłam przez niewidzialny most, który pojawił się przede mną; szłam za magiczną tęczą, która kusiła

mnie coraz dalej w nieznaną i niebezpieczną krainę...
Na ile było to snem, na ile wyrazem tłumionych emocji, a na ile rozmyślnym działaniem Erika, nie umiem powiedzieć. Świadomie zapadałam się w ruchome piaski tej gwałtownie rozwijającej się fantazji. Wydawało mi się, że fizycznie oddaliliśmy się od siebie bardziej niż kiedykolwiek i spotykaliśmy się wyłącznie w tej dziwnej, duchowej oazie dźwięków.
Widywałam go rzadko, a kiedy już się to zdarzało, był powściągliwy i grzeczny, niemal jak dorosły mężczyzna. Podczas, gdy Erik dorastał i na moich oczach stawał się coraz bardziej niezależny, głos figurki był coraz to młodszy; z każdym dniem coraz bardziej marudny i drażliwy.
Zdarzało się, że karał mnie, wpierw uporczywym milczeniem, a później łzami. Wkrótce w moich uszach w dzień i w nocy rozbrzmiewał rozdzierający serce płacz maleńkiego dziecka.
Nie mogłam już spać ani jeść. Co noc snułam się po pokoju zrozpaczona, tuląc figurkę do piersi, a w końcu układając ją koło siebie w łóżku, gdzie cichła tylko pod dotknięciem mojej ręki. Coraz głębiej zapadałam się w ten mroczny sen, aż władza zimnego, porcelanowego tyrana rozciągnęła się na wszystkie aspekty mojego życia.
Nie chodziłam już na Mszę i odmawiałam spotkań z Ojcem Mansartem, ilekroć przychodził do mnie do domu. Kiedy zaś Etienne zaniepokoił się moją bladością i rozdrażnieniem, pokłóciliśmy się nie na żarty.
- Co się z tobą dzieje, Madeleine? - domagał się wyjaśnień. - Jesteś

ostatnio jak zaszczuty lis, bez przerwy oglądasz się za siebie. Czego tak uparcie nasłuchujesz?
- Niczego! - odparłam ostro. - Niczego nie nasłuchuję.
Ale nawet leżąc w ramionach Etienne w domku na skraju wsi, wciąż słyszałam płacz dziecka, który napełniał moje oczy łzami i czynił zbyt napiętą i niespokojną, by odwzajemnić pieszczoty.
W końcu, zniechęcony i zatroskany moją dziwną obojętnością, usiadł i spojrzał na mnie z irytacją.
- Jeśli nie lubisz, kiedy cię dotykam, możesz mi o tym po prostu powiedzieć. Naprawdę, nie widzę sensu, żeby przedłużać te wzajemne frustracje.
Wstałam i jak lunatyczka ruszyłam do drzwi. Etienne pobiegł za mną; kiedy się odwróciłam, na jego twarzy odbijała się wewnętrzna walka złości i troski.
- Powiedz mi, co się z tobą dzieje - zażądał.
Pokręciłam głową.
- Muszę już iść - odparłam smutno. - Nie powinnam była tu przychodzić. On tam płacze.
- Erik? - Etienne zmarszczył lekko brwi.
Odwróciłam się do niego zniecierpliwiona. Skąd u licha przyszło mu do głowy, że to Erik, podczas kiedy ja myślałam o moim płaczącym maleństwie? Już otworzyłam usta, żeby mu o tym powiedzieć, kiedy nagle przypomniałam sobie straszne słowa “dom wariatów” i

bezkompromisową logikę Etienne. Gdybym mu powiedziała, uznałby mnie za szaloną.

- Nic nie rozumiem - nalegał wyciągając do mnie ręce. Uchyliłam się przed jego uściskiem, nagle dziwnie przestraszona. Chciałam już tylko wyjść z jego domu jak najszybciej.

- Madeleine! - Przyparł mnie do ściany obok drzwi, a jego ręka mocno zaciśnięta na moim nadgarstku skojarzyła mi się ze strażnikiem więziennym. Gwałtownie starałam się wyrwać.

- Puść mnie! - zawołałam. - Nie pozwolę się traktować jak okaz do obserwacji w Akademii Medycznej!

Puścił mnie zaskoczony, a ja gwałtownie otworzyłam drzwi.

- Na miłość Boską, Madeleine, porozmawiajmy spokojnie.

- Nie mam zamiaru o niczym z tobą rozmawiać. Nie chcę cię więcej widzieć, Etienne... Nigdy!

Na jego twarzy odmalował się ból i niedowierzanie. Raz nie miał gotowej odpowiedzi; żadnych gładkich, uczonych słówek, żadnych rozwiązań do zaoferowania. W obliczu mojego irracjonalnego zachowania zawiodły go zarówno nauka jak i logika.

- Nie wierzę, że naprawdę tak myślisz - powiedział stłumionym głosem.

- Co się stało, Madeleine...? Co się stało, że odsuwasz się ode mnie?

- Nic się nie stało - odpowiedziałam chłodno. - Muszę iść.

- Nie możesz odejść - nie w ten sposób. Madeleine!

Znowu złapał mnie za rękę, ale ja popatrzyłam na niego niewidzącymi

oczami, podczas gdy odgłos płaczu wzbierał w mojej głowie, aż do nieznośnego crescendo. Równie dobrze mogłabym patrzeć na człowieka całkowicie mi obcego. Jego słowa nie miały dla mnie znaczenia. W końcu bezradnie opuścił rękę.

Nie próbował więcej mnie zatrzymywać i kiedy wyszłam z jego domu, wiedziałam, że jest zbyt dumny, aby nastawać na spotkanie ze mną wbrew mojej woli. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej, perspektywa jego obojętności złamałaby mi serce, teraz przyjęłam ją z dziwną ulgą.

Zamknęłam po kolei wszystkie okna, które wychodziły na świat poza moim więzieniem; wycofałam się poza barykadę, którą Erik cierpliwie wznosił wokół mnie.

W dniu, kiedy odeszłam od Etienne, ostatecznie odwróciłam się od rzeczywistości i zaryglowałam za sobą drzwi.

Odkąd ostatecznie pogrążyłam się w marzeniach i przestałam zachowywać pozory normalności, spłynął na mnie zdumiewający spokój i zadowolenie. Uznałam, że niebiosa w końcu przychyliły się do moich próśb i zesłały mi wymarzone idealne dziecko, które obiecywał mi Charles. Miałam teraz dwóch synów.

Jeden był potworem, geniuszem o nieludzkim i przerażającym umyśle; drugi za to był zachwycająco normalny, tak jak tylko mogłam to sobie wymarzyć. I to jego dobro stało się moją obsesją.

To dziwne, ale Erik nie przejawiał żadnej zazdrości wobec tego nowego współmieszkańca. Na moją prośbę zniósł ze strychu starą kołyskę i bez

szemrania obserwował mnie, kiedy pieszczotliwie dotykałam rzeźbionego mebla, który stanął tuż przy moim łóżku.
- Teraz jesteś szczęśliwa - powiedział cicho. - Chyba teraz, kiedy masz maleństwo, nie zechcesz wyjść za doktora Barye? A ja zostanę i pomogę ci się nim opiekować...
Rozmarzona potwierdziłam ruchem głowy, nachyliłam się nad kołyską i zaczęłam poprawiać obszytą koronkami kołderkę. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, żeby podziękować mu za pomoc.
- Skoro ci pomagam, to nie odeślesz mnie z domu, prawda? - nalegał. - Pozwolisz mi zostać z wami.
- Tak - odpowiedziałam niejasno. - Sądzę, że tak...
Westchnął cicho, nie wiedziałam - z ulgą czy z satysfakcją. Chyba jeszcze przez chwilę bacznie mi się przyglądał, bo nie zauważyłam, kiedy bezszelestnie wymknął się z pokoju.

*

Kiedy Marie wstała z krzesła i spojrzała mi w oczy, jej twarz była tak blada, jak kołnierzyk jej sukienki. Nie przypuszczałam, że kiedyś tak na mnie spojrzy. A przecież zapytałam tylko, czy chce zobaczyć maleństwo.
Nie odpowiedziała, po prostu wpatrywała się we mnie, aż pomyślałam zaskoczona, że być może jest zazdrosna. Przeszła ciężko przez pokój do pianina, przy którym siedział Erik i nas obserwował.
- Twoja mama jest bardzo chora - powiedziała do niego zduszonym

głosem. - Poproszę doktora Barye, żeby jak najszybciej przyszedł ją zbadać.
- Nie wolno pani tego robić - odparł twardo. - Mama nie lubi doktora Barye i nie chce go widzieć w naszym domu. Jeśli przyjdzie, nie wpuszczę go.
- Eriku.... - zaprotestowała Marie bezsilnie. - Musisz zrozumieć, że...
- Sądzę, że powinna pani już iść, mademoiselle.
Jego zdecydowany głos przerwał jej z nieodpartym autorytetem. Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem, które graniczyło z obawą. Następnie szybko podeszła do mnie i potrząsnęła mnie za ramię.
- Madeleine... Posłuchaj mnie. Wezmę teraz twój płaszcz i natychmiast odprowadzę cię do wsi. Pójdziemy...
Jej głos załamał się z przerażenia, gdy długie palce Erika zacisnęły się na jej przegubie.
- Sądzę, że powinna pani już iść - powtórzył władczo. - Chcę, żeby pani wyszła.
Wyrwała się z jego uścisku i oparła o brzeg kominka; z dziwnym zainteresowaniem zauważyłam, że zaczęła płakać.
- Muszę powiedzieć o tym doktorowi Barye - wymamrotała do siebie półgłosem. - Muszę mu opowiedzieć, jakie straszne rzeczy dzieją się pod tym dachem.
- Ona go tu nie chce. - Wycofywała się niezgrabnie, podczas gdy Erik zdecydowanie posuwał się w jej stronę. - I pani też tu nie chce... Pani ją

męczy... wtrąca się... zadaje pytania.
Marie przestała płakać i spojrzała na mnie, jakby nie mogła uwierzyć, że nie powiedziałam ani słowa, by sprzeciwić się tej gorszącej bezczelności. Kiedy Erik przyniósł płaszcz i podał jej, wzięła go bez słowa i poszła za nim jak lunatyczka.
- Nie musi się pani martwić - powiedział otwierając przed nią drzwi. - Mama czuje się zupełnie dobrze. Po prostu nie chce gości. Do widzenia, mademoiselle. Dziękujemy za wizytę.
Nawet jeśli coś odpowiedziała, nie usłyszałam tego. Słyszałam natomiast odgłos klucza przekręcanego w zamku i przesuwania ciężkich zasuw. Wreszcie przyszedł do pokoju, stanął przy moim krześle i popatrzył na mnie uspokajająco.
- Może ci coś zagrać? - zaproponował.
- Tak - przystałam na to rozmarzona. - Mozarta... Koncert fortepianowy C Dur.
Usiadł do pianina i zaczął grać z pamięci, ze swoją zwykłą nieomylną precyzją i lekkością. Zamknęłam się w ciepłym kokonie dźwięków i odpłynęłam jeszcze dalej od rzeczywistości. Nie było już żadnych myśli, żadnych pragnień, byle tylko pozostać na zawsze w tym świecie całkowicie stworzonym i urządzonym z jego wyobraźni.
Dzień przeminął jak wszystkie moje dni, jakby spowity miękką, łagodną mgłą uległości. Wszystkie świadome decyzje i rozsądek zostały mi odebrane; byłam tylko zadowolonym widzem wspaniałego i dziwnego

przedstawienia.
Całymi dniami siedział i pracował nad planami budowli nie podobnej do żadnej z tych, które znałam. Budowli tak niezwykłej i nieprawdopodobnej, że rozpoznawałam w niej budynek tylko dzięki elewacji - w końcu miał jakiś fronton, tył i boki. Czekałam cierpliwie, aż skończy i znowu dla mnie zagra; nie śmiałam mu przerywać, kiedy ogarniał go twórczy szał - dzika, pierwotna pasja. Wielokrotnie gniótł kartki i rzucał je w ogień ze złością. A kiedy Sasza domagała się jego uwagi, zniecierpliwiony wziął ją na ręce i wyniósł do ogrodu.
To ostatnie było tak odmienne od jego zwykłego zachowania, że wyrwało mnie z otępienia. W tej jednej chwili zobaczyłam mężczyznę, którym kiedyś miał się stać - całkowicie pochłoniętego obsesyjnym dążeniem do perfekcji; wspaniałego i strasznego w bezwzględnej pasji tworzenia. Tego lata miał skończyć dziewięć lat, a już było w nim coś majestatycznego i groźnego, co przywodziło na myśl greckich bogów. Nadejdzie taki czas, gdy, jak to przewidział Ojciec Mansart, nie będzie dłużej uznawał barier, które ograniczają rodzaj ludzki. Sam będzie stanowił prawo dla siebie, nie przejmując się pytaniami zwykłych śmiertelników o dobro i zło.
Dusza całkowicie stracona dla Boga.
Było już całkiem ciemno, gdy wreszcie odłożył ołówek z westchnieniem zmęczenia i satysfakcji. Odruchowo spojrzał na miejsce przed kominkiem. Był zaskoczony.

- Gdzie jest Sasza? - zapytał zaniepokojony.
- W ogrodzie. - Zmarszczyłam brwi. - Nie pamiętasz? Przeszkadzała ci i...
- Nie trzeba było wynosić jej do ogrodu po zmroku, Mamo. Jest już stara i jest dla niej za zimno.
Usiadłam na krześle zmęczona i rozżalona jego niewzruszoną pewnością w tej sprawie, a także niejasno zaniepokojona dziwnym błędem jego pamięci.
Czy zawsze będzie usuwał z pamięci wydarzenia, które nie będą dla niego wygodne?
Zanim jednak pozbierałam się na tyle, by odpowiedzieć na jego zarzuty, ciche skomlenie za drzwiami zmieniło się w oszalałe szczekanie. Sasza przerwała spokojne wyczekiwanie pod drzwiami i ruszyła do bramy.
- Patrzcie! - usłyszałam głos na drodze. - Tam jest pies potwora!
Przez okno dostrzegłam blask latarni, a chwilę później grad kamieni posypał się od strony bramy. Sasza zaskowyczała z bólu. Erik skoczył na równe nogi i rzucił się w kierunku drzwi, ale ja byłam tam pierwsza.
- Nie! - krzyknęłam. - Nie rozumiesz, że chcą cię wywabić na zewnątrz? Jeśli wyjdziesz, zabiją cię... Erik!
Oczy poza maską były jedną smugą oszalałej wściekłości. Odepchnął mnie z furią, która zaparła mi dech w piersiach. Uderzyłam się głową o stopień. Przez chwilę byłam zamroczona i zdolna jedynie skulić się z bólu i słuchać w niemym przerażeniu odgłosów dochodzących z

zewnątrz. Wrzaski tłumu i budzący grozę szał Erika.
Śmiech i krzyki... Cienki, przenikliwy okrzyk bólu jakiegoś mężczyzny... Wściekłe szczekanie Saszy, narastające w przeciągłe, żałosne wycie.
Wreszcie złamany głos Erika, wrzeszczący w ślepej furii.
- Zabiję was! Wszystkich was pozabijam!
Niezręcznie wstałam na nogi, chwiejnie podeszłam do otwartych drzwi, ale latarnie już oddalały się drogą; ludzie uciekli odstraszeni demoniczną wściekłością dziecka. Erik ciężkim krokiem wracał ścieżką z Saszą w ramionach; na pierwszy rzut oka, po nienaturalnym kącie odchylenia jej głowy, wiedziałam, że jakieś straszne uderzenie złamało jej kark.
Wyciągnęłam do niego ręce, ale minął mnie, jakbym w ogóle nie istniała. Oniemiała, poszłam za nim do kuchni. Klęczał nad skrwawioną kupką futra, a jego chudymi ramionami wstrząsało gwałtowne łkanie.
W świetle lampy naftowej widziałam, że maska została podarta podczas walki i że w wielu miejscach na twarzy był poraniony. Krew spływała mu do oczu. Przetarł twarz dłonią i ku memu przerażeniu zrozumiałam, że na jego koszuli znajduje się nie krew Saszy, lecz jego własna. Plama powiększała się raptownie, jakby krew płynęła z niewidocznej rany zadanej nożem.
Czując niezwykłe zimno położyłam mu rękę na ramieniu.
- Chodź już - szepnęłam. - Nie możemy zrobić dla Saszy nic więcej.
- Muszę ją pochować - powiedział z tępą rozpaczą. - Muszę ją pochować

i zaśpiewać dla niej requiem.
- Nie wolno ci! - zaprotestowałam przerażona.
- Będzie miała requiem! - załkał. - Requiem, które poprowadzi jej duszę do Boga!
- Tak - powiedziałam pospiesznie, modląc się w duchu, by zostało mu wybaczone to straszne bluźnierstwo. - Ale nie dziś. Zostałeś zraniony nożem, Eriku. Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Musisz usiąść spokojnie, to opatrzę ci ranę.
- Muszę ją pochować - powtórzył, jakby nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiłam. Zerwał się na nogi i chociaż czerwona plama na koszuli powiększyła się niepokojąco, wiedziałam, że go nie powstrzymam. Nawet ranny i złamany cierpieniem był silniejszy ode mnie, gdybym spróbowała się przeciwstawić mógłby pchnąć mnie przez cały pokój. Wzięłam latarnię i bez słowa oświetliłam mu drogę do sadu za domem. Patrzyłam, jak kopał grób w twardej ziemi. Nie pozwoliłby sobie pomóc, więc usiadłam na trawie obok sztywniejącego ciała Saszy, gładząc bezwiednie zmatowiałe futerko i z niepokojem wsłuchując się w każdy oddech Erika. Kiedy usłyszałam, że drżącym głosem zaczął śpiewać Dies Irae, kurczowo złapałam krucyfiks, który nosiłam na szyi i zamknęłam oczy.
- Ojcze, wybacz mu.... Wybacz mu! To tylko zrozpaczone dziecko. Nie rozumie, że popełnia grzech...
Gdy skończył, wrócił do domu zataczając się i padł na kanapę w salonie.

Rozerwałam zakrwawioną koszulę, ale krwi było tak dużo, że z początku nie mogłam nawet zlokalizować rany. Poczułam rosnącą panikę.
- Madeleine!
Odwróciłam się i z ulgą zobaczyłam Etienne stojącego w drzwiach z kapeluszem w jednej, a teczką lekarską w drugiej ręce. W mgnieniu oka był przy mnie, pochylał się nad kanapą zatrwożony.
- Kto to zrobił? - zapytał z zimną furią.
- Nie wiem. Był tłum ludzi... Mężczyźni, chłopcy... Zabili psa. Bił się z nimi, a potem... O Boże, Etienne, czy to poważne?
Zmarszczył brwi i wprawnymi dłońmi zbadał ranę.
- Nóż ominął płuco, chłopiec miał dużo szczęścia. Zagrzej wodę i przynieś mi trochę soli, dobrze?
Zrobiłam, o co mnie prosił, po czym wróciłam obserwować z niepokojem, jak Etienne opatrywał ranę mojego syna z chłodną precyzją. Wydawał się spokojny i nic w jego zachowaniu nie zdradzało odmienności jego pacjenta.
Erik leżał bardzo spokojnie, patrzył z tłumioną wrogością.
- Pan jest doktor Barye? - zapytał.
Etienne uśmiechnął się lekko w odpowiedzi.
- Dlaczego mi pan pomaga?
- Jestem lekarzem - odrzekł Etienne z życzliwą cierpliwością, która nieco mnie zdumiała. - Moim obowiązkiem jest pomagać potrzebującym. Byłeś bardzo dzielnym chłopcem, Eriku. A teraz dam ci

coś, żebyś mógł zasnąć.
Ku memu zaskoczeniu, Erik zażył lekarstwo bez cienia protestu; po kilku minutach jego oddech wyrównał się, a powieki zamknęły ciężko. Etienne zamknął torbę i wpatrywał się w twarz na poduszce. Teraz już nie musiał ukrywać pod pozorami profesjonalizmu i etyki lekarskiej prawdziwego wrażenia, jakie wywarł na nim ten widok. Na jego twarzy malowały się litość, niedowierzanie i szok. Odruchowo sięgnął po moją dłoń.
- Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego - powiedział powoli. - To nie jest prosty przypadek zniekształcenia. To całkiem jakby... - Zamilkł; nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Tym razem nie podsuwał mu ich jego zwykły rozsądek. Wyczułam w nim głęboką frustrację człowieka, który stanął przed czymś, co przerasta zdolności jego pojmowania.
- Lamarck wyróżnia dwa prawa warunkujące rozwój organizmów - wymruczał do siebie. - Czy to możliwe, żeby istniał trzeci czynnik - samorzutne przekształcenie istniejącej formy życia?
Jego dylematy były dla mnie zbyt skomplikowane, więc po chwili zarzucił daremne usiłowania wyrażenia tego, co czuł i po prostu objął mnie ramionami.
- Nie usprawiedliwiam zachowania mieszkańców wsi, ale teraz przynajmniej mogę je zrozumieć. Madeleine, absolutnie nie możesz go dalej ukrywać w tym domu. Nigdy nie zostawią was w spokoju,

zwłaszcza po dzisiejszej nocy. Dla jego własnego dobra musisz wysłać go tam, gdzie będzie bezpieczny.

- Czyli do domu wariatów...?

Zasłoniłam twarz dłońmi, ale Etienne łagodnie, choć zdecydowanie, odsunął je i zmusił mnie, żebym na niego patrzyła.

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, najdroższa. Nie jesteś w stanie dłużej zatrzymać go w tych czterech ścianach. Z tego, co wiem, już teraz nad nim nie panujesz. Wieś się go boi, czy słusznie, czy nie - to inna sprawa. Dokądkolwiek będziesz chciała go zabrać, wszędzie będzie tak samo - nienawiść, prześladowania... przemoc. Tym razem skończyło się na psie, następnym razem możesz to być ty. Musisz wziąć pod uwagę swoje własne bezpieczeństwo... i zdrowe zmysły.

- Zdrowe zmysły? - szepnęłam niepewnie.

Pokiwał głową poważnie.

- Przyszła dziś do mnie Marie Perrault. Niepokoi się o ciebie, Madeleine. Błagała mnie, żebym cię zbadał. Czy sądzisz, że w innym wypadku przyszedłbym bez zaproszenia?

Chciałam odwrócić się od niego, ale złapał mnie za ramię.

- Nie będę stał bezczynnie i patrzył, jak popadasz w obłęd z powodu tego wybryku natury. Naprawdę żal mi tego dziecka, ale wszystko, co możemy dla niego zrobić, to umieścić go poza zasięgiem ignorantów.

- Etienne -

- Nie... Posłuchaj mnie, tylko posłuchaj! Pozwól, że ja się wszystkim

zajmę, a potem wyjedziemy stąd oboje, dokądś gdzie nikt cię nie zna. Tam, gdzie będziesz mogła wreszcie zapomnieć. Kocham cię, Madeleine i wiem, że ty też mnie kochasz. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy zacząć nowego, wspólnego życia, kiedy już uwolnisz się od tego potwornego ciężaru.

Erik poruszył się niespokojnie na kanapie i jęknął nieprzytomnie.

- Czy on nas nie usłyszy? - zapytałam zaniepokojona.

- To bardzo mało prawdopodobne. Dałem mu dość laudanum, żeby spał całą noc.

Mimo wszystko było mi nieswojo. Podniosłam kapelusz i teczkę Etienne i wyszliśmy z pokoju. Kiedy staliśmy w holu, podałam mu rzeczy i poprosiłam, żeby już poszedł.

- Madeleine... - Westchnął. - Nie słuchałaś, co do ciebie mówiłem.

- O tak, słuchałam uważnie - odparłam smutno. - Słuchałam, dobrze zrozumiałam... i podjęłam decyzję. Jeśli postąpię tak, jak mi radzisz, znienawidzę siebie, a wkrótce pewnie i ciebie. Wyjedź z Boscherville, Etienne... Wyjedź i zapomnij, że kiedykolwiek mnie znałeś. To wszystko, co możesz teraz zrobić, gdyż ja nie porzucę mojego dziecka. Nawet dla ciebie.

Popatrzył na mnie z rozpaczą.

- Położna nie miała prawa pozwolić, by on żył - powiedział ponuro. - Gdybym to ja odbierał poród, nie wziąłby ani jednego oddechu.

Uśmiechnęłam się blado i dotknęłam jego dłoni.

- Nie zrobiłbyś tego, Etienne. Uratowałbyś go, tak jak uratowałeś go dzisiaj. Jesteś dobrym katolikiem.
- Ale złym lekarzem! - dodał półgłosem. - Złym lekarzem i wielkim głupcem.
Nie odpowiedziałam. Z godnością włożył kapelusz i otworzył wyjściowe drzwi.
- Pod koniec miesiąca wyjadę do Paryża - oznajmił sucho. - Jeśli do tego czasu zmienisz zdanie, wiesz gdzie mnie znaleźć.
- Nie zmienię zdania.
Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził mnie po policzku.
- Wiem - powiedział smutno. - Wiem, że nie zmienisz.
Ostatni raz spojrzał na mnie z żalem i odszedł ścieżką pomiędzy bukami, ani razu nie obejrzawszy się za siebie.
Kiedy zamykałam drzwi, w oczach kręciły mi się łzy, ale moje ruchy były celowe i zdecydowane. Nie zachowywałam się dłużej jak lunatyczka w transie. Sen minął, nareszcie się obudziłam.
Weszłam do salonu i przykryłam Erika kocem; nie poruszył się, uznałam więc, że głęboko śpi. Patrzyłam na niego z nieoczekiwanym spokojem i dziwną rezygnacją. Po raz pierwszy od jego narodzin byłam pogodzona ze sobą.
Podniosłam figurkę pastuszka z krzesła, na które upuściłam ją w chwili paniki i beznamiętnie odstawiłam ją na kominek - tam, gdzie było jej miejsce. Nic dla mnie nie znaczyła, nie byłam dłużej bezmyślną

niewolnicą.
Miałam tylko jedno dziecko. Dziecko, którego umysł wypaczyłam i zwichnęłam, którego uczucia zraniłam, któremu wielokrotnie złamałam serce. Ale nie chciałam jego śmierci i nie zniosłabym, gdyby zamknięto go w zakładzie.
Nie chciałam tego, ponieważ go kochałam.
Bardziej niż Etienne i, ostatecznie, bardziej niż samą siebie.
Kiedy spojrzałam w lustro w mojej sypialni, po raz pierwszy nie ujrzałam w nim rozpieszczonej, bezmyślnej pannicy rozczulającej się nad sobą, a dorosłą kobietę, która odnalazła swoje miejsce w życiu.
Może jeszcze nie jest za późno, by naprawić zło, które wyrządziłam. Nie pozwolę, by miało być za późno. Jutro pozbieram z nim wszystkie maski i na jego oczach wrzucę je w ogień.
Obudziły mnie promienie słońca, które pieszczotliwie dotykały mojej twarzy.
Zaskoczona usiadłam na łóżku, spojrzałam na zegar i ze zdumieniem skonstatowałam, że było już prawie południe. Zeszłej nocy padłam na łóżko jak zmęczony pływak, który dotarł do odległego brzegu; musiałam przespać prawie dwanaście godzin. Zarzuciwszy w biegu szlafrok na plecy, wpadłam do salonu, gdzie okna wciąż były zasłonięte ciężkimi zasłonami.
Nawet w przyćmionym świetle zauważyłam od razu, że pokój był pusty.
- Erik?

Mój głos rozległ się echem w ponurej ciszy, a moje kroki mimo miękkich domowych pantofli, dudniły nienaturalnie głośno, kiedy wbiegałam po schodach na górę.

- Eriku, gdzie jesteś?

Gdy otworzyłam drzwi jego pokoju, poraził mnie ostry, przenikliwy promień światła tak, że zasłoniłam oczy ręką. Dopiero po chwili odkryłam źródło tych okrutnych promieni. Znalazłam dziwny układ luster umieszczonych pod różnymi kątami wokół rozbitych fragmentów pastuszka. Odbicia tworzyły tak makabryczną plątaninę obrazów, że szok na chwilę zaparł mi dech w piersiach.

Uklękłam przy tym skąpanym w słońcu ołtarzu dziecięcej wyobraźni i tępo wpatrywałam się w znaki tak jasne i jednoznaczne, jakby napisano je na szkle krwią. Zauważyłam, że figurka nie została stłuczona w złości; była pocięta nożem do szkła z rytualną precyzją tak, że głowa i członki były prawie nienaruszone. Patrzyłam na scenę po egzekucji, na rozczłonkowane ciało, które domagało się już tylko pogrzebu.

Klęczałam na podłodze w otoczeniu jego nielicznych największych skarbów. Biblioteczki architektonicznej mojego ojca, szafki pełnej nut, komódki wypchanej dziwnymi przyborami magika. Skrzypce, które mu dałam kiedy skończył trzy lata, leżały zapomniane w nogach łóżka. Widziałam, że nie zabrał niczego w swej ucieczce na oślep. Wiedziałam też, nawet bez sprawdzania, że moja portmonetka pozostała nietknięta w szufladzie biurka.

Ponury obraz dziecinnej ofiary przywołał w mej pamięci wszystkie bolesne chwile, które doprowadziły do tego ostatecznego aktu rozpaczy. Dałam mu życie, ale teraz postanowił nie wziąć ode mnie nic więcej. A w grobowej ciszy rozświetlonego słońcem pokoju jego ostatnie, niewypowiedziane słowa dzwoniły mi w uszach jak bicie żałobnego dzwonu.
Zapomnij mnie...

Rozdział 2

Erik 1840-1843

Pamiętam, że noc, gdy uciekłem z domu w Boscherville, była czarna jak smoła. Nie było widać księżyca, więc kiedy przedzierałem się przez gęste zarośla brzóz i sosen w lesie Roumare, czułem na rękach bolesne ukłucia igieł. Zwykle nie byłem tak niezdarny, ale tamtej nocy, oszołomiony laudanum, kilkakrotnie potknąłem się i upadłem. Rana pod moim żebrem znowu zaczęła krwawić; czułem, że ciepły, lepki strumień plami mi koszulę. Nie zatrzymałem się jednak. Biegłem przed siebie, jakby moje życie zależało od tej desperackiej ucieczki na oślep. Biegłem, nie wiedząc nawet dokładnie, dlaczego i dokąd.
Nie bałem się ciemności; już dawno temu pokochałem miłosierny welon mroku, który chronił mnie przed wzrokiem tych, którzy mnie

nienawidzili. Stałem się stworzeniem nocy; przemykałem niezauważony przez najciemniejszy las, podpatrywałem cudowne tajemnice przyrody, podczas gdy ci, którzy kochali jaskrawe światło dnia, spali nieświadomi niczego w swoich łóżkach. Byłem nocnym zwierzęciem jak borsuk i tak jak on wiedziałem, że moim jedynym wrogiem jest człowiek.

Nie było żadnego planu, żadnej świadomej myśli, tylko instynktowna potrzeba ucieczki jak najdalej od domu mojej matki. Śmierć Saszy uprzytomniła mi, że matka nigdy nie będzie bezpieczna, dopóki ja pozostaję pod jej dachem. Kiedy leżałem na kanapie zamroczony lekarstwem, zdałem sobie sprawę, że istnieje dla mnie tylko jeden wybór: albo pozwolę im się zamknąć w tym straszliwym miejscu dla szaleńców, albo ucieknę. Wybrałem ucieczkę.

O świcie znalazłem strumyk, z którego mogłem napić się wody i zbudowałem szałas z liści i gałęzi. Nie przypominał pałacu i wcale nie wyglądał na dzieło wielkiego architekta, ale odgradzał mnie od przenikliwie zimnego wiatru tej lodowatej normandzkiej wiosny. Kiedy skończyłem, wczołgałem się do środka i przeleżałem tam kilka wschodów i zachodów słońca. Byłem tak zmęczony, że zasnąłbym nawet pomimo fizycznego bólu, lecz ból mojej duszy odbierał mi sen. Słowa, które cięły dotkliwiej niż jakikolwiek nóż.

Wybryk natury.

Potworny ciężar.

Miejsce, gdzie będziesz mogła zapomnieć.

Myślałem o matce. Z przeraźliwą jasnością wyobraziłem sobie jej ulgę, kiedy mnie nie znajdzie; doktora Barye pocieszającego ją w ten swój całkowicie rozsądny i praktyczny sposób, w duchu gratulującego sobie niespodziewanego uśmiechu losu. Teraz była wolna. Wyjadą razem tam, gdzie nikt jej nie będzie znał, gdzie zapomni o mnie i wreszcie będzie szczęśliwa.

Chciałem, żeby była szczęśliwa. Była taka piękna, kiedy uśmiechała się do figurki pastuszka. To dlatego sprawiłem, że dla niej śpiewał - żeby się uśmiechała i nie pozwoliła zamknąć mnie w zakładzie dla obłąkanych. Nigdy nie chciałem, żeby oszalała. Kiedy po raz pierwszy zaczęła kołysać pustą kołyskę w sypialni na strychu, bardzo się bałem, że ona też tam trafi - do tego okropnego miejsca, o którym mi mówiła. Dlatego nie pozwoliłem nikomu się z nią spotykać. Ani Ojcu Mansartowi, ani doktorowi Barye, ani Mademoiselle Perrault... Sprawiłem, że, jedno po drugim, znikli. Jeśli bardzo zechcę, mogę sprawić, że wszystko zniknie. Wszystko, z wyjątkiem mojej twarzy...

Nawet w moich najwcześniejszych wspomnieniach matka zawsze była zimna i odległa jak piękna, daleka gwiazda; zawsze poza zasięgiem moich rąk. Sądzę, że musiałem urodzić się wiedząc, że nie wolno mi jej dotykać, ale minęło wiele czasu, zanim zrozumiałem powód jej nienawiści i wstrętu. Nawet kiedy zaciągnęła mnie siłą przed lustro i kazała spojrzeć na moją twarz, z początku nie zrozumiałem. Myślałem, że ta straszna postać za szkłem to jakiś potwór z koszmarnego snu,

zesłany aby ukarać mnie za nieposłuszeństwo. Przez długi czas bałem się zdjąć maskę w obawie, że on może wrócić.
Prawda dotarła do mnie stopniowo, a kiedy zrozumienie zaświtało w moim umyśle, w sposób irracjonalny zaczęły fascynować mnie lustra. Zacząłem bawić się tymi okrutnymi, nieczułymi kawałkami szkła. Odkryłem, że można nimi manipulować, aby pokazywały innym iluzje tak, jak mnie pokazywały koszmary. Matkę złościło moje zamiłowanie do iluzji. Mówiła, że to niezdrowe fantazje i że jeśli ich nie pokonam i nie skieruję swoich myśli ku Bogu, z pewnością skończę jako wariat. Zawsze mi powtarzano, żebym skierował swoje myśli ku Bogu; zupełnie jakbym był jakąś wyjątkowo podłą istotą z winą grzechu pierworodnego znacznie większą, niż u zwykłego śmiertelnika. Właściwie, jako dziecko byłem głęboko wierzącym i oddanym katolikiem - aż do dnia, kiedy dowiedziałem się, że zwierzęta nie mają duszy.
Nie pamiętam, co się stało, kiedy odkryto przede mną tę straszną prawdę. Nie wiem, co sprawiło, że Ojciec Mansart uznał, że mam być poddany egzorcyzmom. To rzeczywiście musiało być coś złego! Pamiętam tylko, że po zakończeniu tej ponurej ceremonii zrozumiałem, że nienawidzę księdza, a także Boga - Boga, który odmówił życia pozagrobowego mojej jedynej przyjaciółce. Jakim prawem przepełnieni nienawiścią ludzie mieli posiadać dusze, a moja najdroższa Sasza była skazana na zjedzenie przez robactwo i obrócenie się w niebyt, jakby nigdy nie istniała? Nie mogłem znieść myśli, że kiedy będziemy musieli

się rozstać, będzie to na zawsze.
Sasza! Odkąd pamiętam, zawsze była przy mnie; ciepła, miękka, czuła obecność, która nigdy mnie nie zawiodła. Patrzyła na moją twarz bez maski i lizała moje policzki szorstkim, różowym językiem. Pozwalała mi całować swoją gładką, futrzastą główkę. Czasami, gdy pracowałem, przychodziła do mnie, wpychała nos w moją dłoń i domagała się pieszczot.
Kiedy patrzyłem, jak leżała u moich stóp ze swoim pięknym futerkiem całym uwalanym w błocie, przysiągłem sobie, że zemszczę się na ludziach za tę zbrodnię, którą w swojej wierze uznałem za niegodną rozgrzeszenia. Tej nocy, kiedy umarła Sasza, nauczyłem się nienawiści. Pierwszy raz w życiu czułem nieokiełznaną żądzę krwi; nieopanowane, nienasycone pragnienie by zabijać... zabijać... zabijać...
Pierwszy raz - ale nie ostatni.
W moim łożu z liści było dotkliwie zimno; mój oddech tworzył maleńkie chmurki w wilgotnym powietrzu. W sztywnej, zmarzniętej trawie obok mojej głowy dostrzegłem pająka, który z trudem torował sobie drogę. Mademioselle Perrault bardzo się bała pająków. Kiedyś położyłem jej jednego na szalu, szczególnie duży okaz - nie taki jak ten, którego widziałem przed sobą. Ależ wtedy piszczała ze strachu! Matka nie bała się pająków, ale nienawidziła ich, jak wszystkich brzydkich stworzeń. Kiedy udało mi się znaleźć w domu pająka, zawsze go ratowałem, zanim zdążyła rozgnieść go szczotką. Czasami wyobrażałem sobie, że sam

jestem pająkiem; że uciekam w najciemniejszy kąt, gdzie nie znajdzie mnie żaden nienawistny człowiek. Marzyłem, że tkam wielką sieć, która pochłonie ludzi, co rzucali kamieniami w nasze okna i wykrzykiwali przekleństwa. W ciemności podkradłbym się po jedwabnej nici i przyglądał ich bezradnej szamotaninie, a potem sparaliżował ich jednym ukąszeniem.

Często myślę, że byłbym całkiem szczęśliwy jako pająk.

Nawet pająki mają prawo łączyć się w pary...

W końcu głód wywabił mnie z kryjówki i zmusił do wędrówki przez porośnięty gęstym lasem obszar. Posuwałem się naprzód w nocy, a spałem za dnia. Los, w swej ironii, obdarzył mnie wielką odpornością organizmu; rana po pchnięciu nożem zmieniła się w brązowy strup, co zachęciło mnie do zdjęcia opatrunku doktora Barye. To jemu zawdzięczam, że nie wdała się infekcja. Prawdopodobnie uratował mi życie, chociaż wtedy nie uważałem tego za rzecz, za którą powinienem być wdzięczny. Wielokrotnie później nienawidziłem go za ten odosobniony przejaw litości bardziej, niż za cokolwiek innego.

Spodziewałem się, że lasem dojdę aż do drogi do Canteleu.

Instynktownie wiedziałem, że muszę się chować przed ludźmi, ale głód stał się tak silny, że z dnia na dzień mój instynkt słabł i opuszczały mnie siły. Ubranie zmieniło się w łachmany, które kleiły się do ciała. Po tylu nocach przespanych na gołej ziemi byłem brudny i obdarty, ale w porównaniu z głodem stanowiło to drobną niedogodność.

Nie byłem przyzwyczajony do głodowania. Matka wiecznie ustawiała przede mną długą procesję dań i wręcz obsesyjnie zmuszała mnie do jedzenia. Posiłki traktowałem jako karę; wmuszała we mnie jedzenie, jakby chciała odpokutować za jakieś dawne zaniedbania w tej dziedzinie, które napełniały ją ciągłym poczuciem winy. Dzięki temu wcześnie wyćwiczyłem sobie ręce; po prostu po to, aby niepostrzeżenie podrzucać kąski Saszy czekającej pod stołem. Często wyobrażałem sobie niebo jako miejsce, gdzie nikt nie będzie potrzebował jedzenia. Ale to było zanim naprawdę zrozumiałem, co to znaczy głodować. Od prawie tygodnia nie miałem w ustach nic, prócz wody; z desperacją, która mąciła mi w głowie, zbliżałem się coraz bardziej do zamieszkałych terenów.

Gdy znów zapadł zmrok, wyszedłem z lasu na drogę. W oddali zachęcająco mrugały małe światełka. Światło oznaczało ludzi, a także jedzenie, które mógłbym ukraść. Potykając się, dotarłem do obozowiska złożonego z namiotów i wozów; usytuowanego na szerokiej polanie osłoniętej z jednej strony ścianą lasu.

Cyganie!

Bardzo niewiele wiedziałem o tych tajemniczych ludziach, a to, co do mnie dotarło, w większości było złe. Podsłuchałem kiedyś rozmowę matki z Mademioselle Perrault. Mówiły, że Cyganie odprawiali pogańskie obrzędy (zdaniem mojej matki była to największa wyobrażalna zbrodnia), porywali dzieci (a zwłaszcza niegrzeczne dzieci,

które nie chciały jeść kolacji - tu patrzyła na mnie surowo), byli włóczęgami, brudasami bez zasad moralnych, których nigdy nie powinno się dopuszczać w pobliże przyzwoitych ludzi.
Cyganie byli więc trochę podobni do pająków. Skoro moja matka tak ich nienawidziła - ja, na przekór, czułem dla tych wyrzutków społeczeństwa dziwną sympatię.
Mimo to, podkradając się do taboru, bardzo się bałem, że mnie złapią. Na obrzeżu obozowiska uwiązano do pala kilka koni. Ich piękno i ciepło na chwilę odwróciło moją uwagę. Odruchowo podniosłem rękę, żeby pogłaskać gładki, aksamitny nos zwierzęcia. To był błąd; koń spłoszył się i jego gwałtowny ruch zaniepokoił resztę przywiązanych zwierząt. Natychmiast rozległo się szczekanie psa i ostry męski głos ostrzegający pozostałych, że ktoś się kręci przy koniach.
Nagle wokół mnie pojawiły się latarnie. Instynktownie rzuciłem się na ziemię i zakryłem głowę rękami dla ochrony przed spodziewanymi razami. Ktoś chwycił mnie za ramiona i odciągnął po zmarzniętej ziemi w stronę wielkiego ogniska, które płonęło jasnym blaskiem na tle nocy. Rzucono mnie do stóp niewysokiego mężczyzny o kruczoczarnych wąsach i ze złotym kolczykiem w uchu. Ten trącił mnie lekko butem.
- Wstawaj! - rozkazał ostro.
Pozbierałem się z ziemi i rozejrzałem wokoło, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki - byłem jednak otoczony.
- Wiesz, co robimy ze złodziejami? - zapytał mężczyzna surowo. - A

zwłaszcza ze smarkaczami, którzy podkradają się zamaskowani do obozu? Pieczemy ich nad ogniskiem jak jeże, a potem... - Przysunął się bliżej i przyciągnął mnie do swej ogorzałej twarzy. - A potem ich zjadamy!

Nie miałem powodu, by wątpić w tę groźbę. Przerażony, głośno wciągnąłem powietrze, co powitano wybuchem gromkiego śmiechu.

- Chyba lepiej będzie, jeśli zdejmiesz tę maskę, nie sądzisz? - kontynuował czarnowłosy mężczyzna spokojnie. - Nie chcesz chyba skończyć nad ogniskiem?

Kurczowo chwyciłem się maski obronnym gestem; widziałem ciekawość i oczekiwanie w twarzach wokół ogniska.

- Och, puśćcie go wreszcie - przerwała nagle kobieta w jaskrawej spódnicy. - Nie widzicie, że biedny dzieciak wygląda na całkiem zagłodzonego? Popatrzcie na jego ramiona, toż to skóra i kości. Dajcie mu lepiej coś do jedzenia, w końcu nic złego nie zrobił.

- Skąd wiesz, że nie zrobił nic złego? - usłyszałem za sobą męski głos. - To mały gorgio. Nie ufamy małym, podkradającym się gorgio. Co on tam robił przy koniach? Najpierw wywróćcie jego kieszenie i sprawdźcie, co ukradł.

- I zdejmijcie mu tę maskę!

- Właśnie! Najpierw maska...

Wszyscy podchwycili ten okrzyk; popychano mnie wokół ogniska z jednych rąk do drugich, a ja wciąż kurczowo trzymałem ręce przy

twarzy.
- No, ściągaj maskę, mały. Niech na ciebie popatrzymy.
Wiele par rąk próbowało zedrzeć mi maskę; zacząłem kopać i krzyczeć na cały głos.
- Nie! Nie! Proszę, zostawcie mnie! Proszę!
- Posłuchajcie tylko, pańskie maniery. A to dopiero!
- Może to książę Bourbon, co wypadł z karety?
Wokół mnie rozbrzmiewał coraz dzikszy i coraz głośniejszy śmiech.
- Błękitna krew, co, mały? Może zranimy go, żeby sprawdzić?
Ktoś chwycił mnie za ręce i mimo, że z całej siły próbowałem się wyrwać, wykręcono je boleśnie do tyłu. Silna dłoń ujęła mnie pod brodę i jednym ruchem zdarła maskę. Nagle zapanowała grobowa cisza, przerwana tylko pojedynczym przekleństwem po rumuńsku.
W tej straszliwej ciszy zobaczyłem, że wszyscy wpatrują się we mnie, a ich twarze wyrażają gamę uczuć od niedowierzania do strachu.
- Puśćcie mnie, proszę - szepnąłem ledwo dosłyszalnie. - Jeśli mnie puścicie, obiecuję, że odejdę i nie zobaczycie mnie już nigdy więcej.
Zbliżali się do mnie jak stado wilków. Dostrzegłem błysk noża i krzyknąłem, gdyż wiedziałem co teraz nastąpi - jeszcze raz padnę ofiarą przemocy ze strony wściekłego, bezrozumnego tłumu.
Nagle zrobiło mi się czarno przed oczami; nie wiem co jeszcze stało się tamtej nocy.
Rankiem ocknąłem się na kupie worków. Pierwszą rzeczą, którą

zrobiłem, było odruchowe sięgnięcie po maskę. Nie było jej koło mnie, więc choć kręciło mi się w głowie, usiadłem i zacząłem macać wokół siebie ręką, aż natrafiłem na metalowy pręt. Dopiero gdy po paru chwilach widziałem wyraźnie, spostrzegłem, że sztachety były wszędzie naokoło mnie.

Znajdowałem się w klatce!

Trzęsąc się ze strachu i oszołomienia, położyłem się z powrotem na workach i mocno zacisnąłem powieki. Byłem tak kompletnie zdezorientowany, że przyszło mi na myśl, że majaczę w gorączce. Zaraz się obudzę w mojej sypialni na strychu, a Sasza będzie leżeć, jak zwykle, w nogach łóżka. Czekałem więc cierpliwie, aż się obudzę; oblizałem spuchnięte wargi suchym językiem i spróbowałem zawołać.

- Sasza...

- Szybko! - usłyszałem głos tuż obok mnie. - Leć po Javerta! Kazał, żeby go zawołać, jak tylko się obudzi.

- Co się tak spieszysz? Najpierw my się z nim zabawimy. Trzymaj patyk, no dalej, trzymaj! Czego się boisz? To przecież nie wyjdzie.

To!

Leżałem bez ruchu, całą siłą woli zmuszając ten koszmar, żeby się skończył. To tylko zły sen; tylko zły sen, który musi się przecież skończyć...

Kiedy ostry kawałek drewna rozłupał się o moje czoło zasypując mi oczy drzazgami, spróbowałem odsunąć się tak, by być poza ich

zasięgiem, ale oni po prostu obeszli klatkę dookoła. Zauważyłem, że jest ich troje - dwaj śniadzi, cygańscy chłopcy o czarnych włosach i brudnych buziach i mała dziewczynka w podartej sukience, która nagle zaczęła płakać.

- Przestań, Miya... Przestań go ranić w ten sposób!

- Och, zamknij się Orka, albo cię wsadzę razem z nim do klatki. Chodź, Vaya, poszukamy kamieni.

Nagle podłogę klatki przysłonił wielki cień i usłyszałem trzask bata. Dzieci rozpierzchły się nie czekając, aż ktoś im każe, wiedzione wspólnym strachem. Kiedy drzwi klatki zostały otwarte, odwróciłem się, aby spojrzeć na mojego nowego pana.

Pierwsze wrażenie, które zapamiętałem, to ogrom. Ogromna postać zdawała się wypełniać całą klatkę; wysoki, potężny mężczyzna z wielkim brzuchem groteskowo przelewającym się nad ciasno zapiętym pasem. W niczym nie przypominał żadnego z drobnych, szczupłych i raczej zgrabnych mężczyzn, których widziałem poprzedniej nocy. Nie był Cyganem, ale w każdym calu wyglądał na bandytę. Okrutne, wąskie oczy, wpadnięte w tłustej twarzy, która połyskiwała potem nawet w chłodny poranek, taksowały mnie z krytycyzmem i fascynacją.

- Niesamowite! - mruknął do siebie. - Całe życie czekałem na coś takiego, coś naprawdę wyjątkowego. Ludziska zlezą się z całej okolicy, żeby zobaczyć żywego trupa. Tak, tak cię właśnie nazwę - Żywy Trup.

Cofnąłem się od niego w głąb klatki i oparty o zimne sztachety zwinąłem

w kupkę nieszczęścia.
- Ja muszę wracać do domu - powiedziałem głupio. - Moja mama będzie mnie szukać.
- A pewnie, że będzie! - Skrzywił się. - Ma tam dla ciebie śliczną, małą trumienkę, prawda?
- Trumienkę? - powtórzyłem, nic nie rozumiejąc.
- Przecież nieboszczycy śpią w trumnach, no nie? - podpowiedział usłużnie. - A to ci pomysł! Zamówię dla ciebie trumnę, postawi się ją w klatce. Nie zaszkodzi wzmocnić efektu paroma rekwizytami.
To mówiąc zamknął klatkę i poszedł, zostawiając mnie w kompletnym osłupieniu. Miałem całkiem pusto w głowie; byłem jak bezmyślny robak, a ta tępa, zmrożona masa, która ponoć była moim mózgiem, po prostu odmawiała jakiegokolwiek rozumowania. Nie zrozumiałem ani jednego słowa z tego, co powiedział - równie dobrze mógłby mówić do mnie po rosyjsku, a nie po francusku. Nie rozumiałem ani dlaczego byłem w klatce, ani co się dalej ze mną stanie, ale wyczułem wystarczającą groźbę w sposobie bycia tego człowieka, żeby opanowała mnie zwierzęca panika.
Zacząłem gorączkowo szarpać kłódkę.
W innych okolicznościach, przy pomocy chłodnego, logicznego rozumowania i spinki do włosów uwolniłbym się bez trudu, ale w klatce nie było niczego, co mogłoby mi się przydać, nawet gdyby starczyło mi przytomności umysłu, żeby się tym posłużyć. Jedna, prymitywnie prosta

kłódka zredukowała mnie do poziomu całkowitej bezradności. Tłukłem się jak dzikie zwierzę, ale przez cały czas, jaki tam spędziłem, ani razu nie spróbowałem podejść do problemu z całą siłą mojego intelektu i niezwykłych zdolności manualnych. Do tej pory nie potrafię wyjaśnić, co spowodowało ten dziwny paraliż myśli; mogę jedynie potwierdzić opinię, że umysł jest w stanie stworzyć bariery mocniejsze, niż jakakolwiek fizyczna przeszkoda. Do tego się sprowadza sekret wszelkiej iluzji. Bóg raczy wiedzieć, ile razy wykorzystywałem później tę sztuczkę z innymi. Dla mnie jednak w tamtej chwili wrażenie zniewolenia było tak całkowite, że zastanawiam się czasem, czy gdyby nawet pozostawiono drzwi otwarte i tak nie siedziałbym patrząc przez pręty jak zaszczute zwierzę, które potrafi już tylko cierpliwie znosić swój los.

Położyłem się na workach i tępo patrzyłem, jak blade słońce chowa się za lasem. Dzieci wróciły, by drażnić mnie patykami, ale chyba uznały to za kiepską rozrywkę, gdyż nawet nie próbowałem przed nimi uciekać. Raniły mnie do krwi, a ja reagowałem na to obojętnością, prawie pozbawiony czucia, więc nie widząc żadnego odzewu z mojej strony, szybko się znudziły i poszły poszukać czegoś bardziej zajmującego.

O zmierzchu mężczyzna zwany Javertem wrócił i przepchnął przez sztachety cynową miskę i połatany koc.

Z nadzieją usiadłem na podłodze.

- Proszę pana, czy będę mógł teraz wrócić do domu? - szepnąłem.

Byłem w końcu bardzo małym dzieckiem, powtórzyłem jedyną kwestię, która została w moim repertuarze. Kiedy powtarzałem ją bez przerwy dzień i noc, Javert wściekł się i uderzył mnie.

- Nic innego nie potrafisz powiedzieć, ty głupia kreaturo? Mam już serdecznie dosyć twojego skomlenia. A teraz wbij sobie do twojego ptasiego móżdżku, jeśli ty w ogóle masz mózg, a zaczynam w to poważnie wątpić - jesteś moim odkryciem, moim dziełem i moim majątkiem! Mówią mi, że nie chcesz jeść. No cóż, wytresowałem już dość zwierząt, żeby się nie dać nabrać na taką głupią sztuczkę. Jeśli nie będziesz jeść z własnej woli, wepchnę ci każdy kęs pięścią do gardła. Nie możesz wrócić do domu - i nie mam też zamiaru pozwolić ci zdechnąć, rozumiesz, ty bezmyślny, mały potworku? Albo zrobisz to, co ci każę po dobroci, albo będziesz tego żałował, jasne? A teraz bierz ten chleb i jedz. Jedz, do cholery!

Złapał mnie za rękę i zaczął wpychać mi twardy, czerstwy chleb do ust, aż o mało się nie zadławiłem. Wyplułem, ale Javert zamiast się rozzłościć jeszcze bardziej, naraz stał się bardzo spokojny i pełen zimnej determinacji.

- Bardzo sprytnie - powiedział cicho. - Jeśli jednak sądzisz, że to mnie powstrzyma, to się bardzo mylisz. Cokolwiek sobie myślisz, jestem bardzo cierpliwym człowiekiem. Mogę tu siedzieć przez cały dzień, a jeśli trzeba to i całą noc, tak więc tylko od ciebie zależy, trupku, jak długo będziesz się upierać.

Nie wiem, ile czasu trwała ta tortura; musiała się ciągnąć godzinami. Gwiazdy już dawno mrugały na niebie, a Javert był brudny i śmierdzący jak podłoga mojej klatki, kiedy wreszcie skapitulowałem przed jego fizyczną siłą i bezkompromisową determinacją. Kiedy w końcu wziąłem z jego rąk kawałek chleba i zacząłem go skubać, wstał i wytarł ręce w worki, które służyły mi za posłanie.

- Lubię, kiedy zwierzę wie, kto jest jego panem - powiedział głosem pełnym satysfakcji. - Jeszcze się taki nie zdarzył, co by pokonał starego Javerta.

Następnego ranka nie powtórzyłem już błędu z odmową jedzenia ani z prośbami o wypuszczenie mnie do domu. Zapytałem natomiast, co zamierza ze mną zrobić.

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

- Zamierzam cię pokazywać ludziom, oczywiście. Czego innego mogłeś się spodziewać? Ludzie dobrze płacą, żeby oglądać wybryki natury, nie wiedziałeś o tym? Na jakim ty świecie żyjesz?

Podniosłem na niego wzrok z niedowierzaniem i przerażeniem.

- Zapłacą - zająknąłem się - zapłacą, żeby na mnie patrzeć?

- Oczywiście - i to nie byle jak. Za kilka tygodni, kiedy rozejdzie się fama o moim nowym eksponacie, będą się tłoczyć przed twoją klatką.

Zrobiło mi się niedobrze, zacząłem się trząść na całym ciele i zwymiotowałem.

- Do diabła! - zaklął Javert. - Największa atrakcja świata - i co ja tu

mam? Rzygającego szczeniaka! Takie to już moje szczęście!
Wypadł z klatki i wrzasnął na przechodzące dziecko, które odruchowo skuliło się ze strachu.
- Ty tam! Przynieś mi tu trochę mleka, tylko biegiem! Dalej! - Zatrzymał się i rzucił do mnie przez pręty: - A ty lepiej nie próbuj zrobić tego jeszcze raz, ty mały szkielecie, albo cię stłukę do nieprzytomności.
Nie odpowiedziałem.
Ukląkłem na podłodze i zacząłem modlić się żarliwie do Boga, żeby pozwolił mi umrzeć, zanim spotka mnie to kolejne straszne upokorzenie.

*

Rozpocząłem moje życie jako eksponat i wybryk natury z rękoma i nogami przywiązanymi do sztachet klatki, żebym nie mógł zakryć twarzy przed tłumem ciekawskich. Mój pierwszy występ skończył się katastrofą i o mało nie wywołał zamieszek, kiedy zirytowana publika zażądała zwrotu pieniędzy; nic nie zobaczyli, gdyż skuliłem się w kącie z rękami przyciśniętymi do głowy. Wszyscy krzyczeli, że Javert ich oszukał, więc, w obawie przed samosądem, wysłał do klatki dwóch silnych mężczyzn, żeby mnie związali.
Wrzeszczałem, kopałem i gryzłem jak dzikie zwierzę, ale nie mogłem równać się siłą dwóm rosłym drabom; po chwili rozciągnęli mnie i przywiązali jak Chrystusa na krzyżu, w pozycji uniemożliwiającej mi ruch głową i ukrycie twarzy. Javert wszedł do klatki i założył mi pętlę na szyję tak, że musiałem unieść głowę. Kiedy uderzyłem się mocno w

czoło, bezwiednie otworzyłem oczy i ujrzałem ludzi cofających się o krok z ponurą ekscytacją.
- Matko Boska! - zawołała kobieta, przyciągając wrzeszczące dziecko bliżej do swojej spódnicy. - Przepuśćcie nas... Przepuśćcie nas, na miłość Boską!
Tłum rozstąpił się, by matka odciągnęła histeryzującego malca na bok, inne dzieci też zaczęły krzyczeć. Nie mogłem oderwać oczu od ich rozdziawionych ust. Jakbym znowu zobaczył swoje odbicie w lustrze, teraz dzieliłem z nimi horror tego pierwszego odkrycia... Ale żaden strach nie mógł się równać z palącym uczuciem upokorzenia, niewypowiedzianym poniżeniem tego obscenicznego pokazu. Panika stępiła wszystkie moje zmysły; zacząłem wyrywać się i szamotać jak dziki koń tak długo, aż sznur wpił mi się w szyję.
- Popatrzcie! - ktoś krzyknął. - Zaraz się udusi!
- Obrzydlistwo! Takich rzeczy nie powinno się pokazywać publicznie...
Tłum znów był niezadowolony. Zapłacili, żeby poczuć się przyjemnie połechtani i obejrzeć widowisko, a nie doświadczać moralnego niepokoju i niesmaku. Moja furia była dla nich obraźliwa, niektórzy ponownie zaczęli się domagać zwrotu pieniędzy.
Wyniesiono pośpiesznie moją klatkę. Nie wiem, ile pieniędzy Javert stracił przeze mnie, dość jednak, by nieco później wrócić pieniąc się z wściekłości. Zbił mnie szpicrutą za zrujnowanie przedstawienia, ale kiedy już chwila błogosławionej nieprzytomności zdawała się być

blisko, odciął sznury, którymi byłem przywiązany, po czym stanął nade mną z rękami gniewnie opartymi na biodrach.
- No i co? - zapytał zimno. - Nauczyłeś się, jak siedzieć cicho? A może potrzebujesz drugiej lekcji?
Leżałem u jego stóp, patrząc z niedowierzaniem na ogromne pręgi, które zaczynały być widoczne na moich gołych ramionach. Kręciło mi się w głowie, a w ustach czułem krew po tym, jak przygryzłem sobie język. Ale pozostała mi tylko jedna myśl, jedno pragnienie...
- Niech mi pan odda maskę... - szepnąłem błagalnie.
- Co? - Spojrzał na mnie zaciekawiony.
- Maskę... - powtórzyłem niewyraźnie. - Niech mi pan odda maskę... proszę!
Niespodziewanie Javert zaczął się śmiać; klepał się rękami po tłustych udach, a potem pochylił się i trącił mnie szpicrutą.
- A teraz słuchaj mnie, mały trupku, i to uważnie. Nikt nie będzie płacił, żeby oglądać tę cholerną maskę, ale połowa kobiet we Francji zemdleje z wrażenia na widok twojej twarzy. Sam Don Juan nie mógłby liczyć na taki podbój w ciągu jednego wieczoru. Ale nie mam zamiaru więcej tolerować twoich wrzasków, ostrzegam. Jeśli jeszcze raz odstraszysz klientów tak jak dziś, marne twoje widoki. Stłukę na kwaśne jabłko każdy centymetr twojej przeklętej skóry, jeśli jeszcze raz ośmielisz się publicznie zachowywać w ten sposób.
Zacisnąłem pięści i popatrzyłem na niego w szaleńczym uporze.

- Nie pozwolę, żeby mnie oglądano... Nie pozwolę... nie pozwolę!
Teraz na pewno mnie zabije. Podniesie tę ogromną pięść i zgniecie mój samobójczy opór na miazgę. Czekałem z nadzieją na koniec, który mnie wyzwoli, ale nie uderzył mnie. Zamiast tego popatrzył na mnie badawczo, jakby chciał oszacować moje rany i przewidzieć, kiedy znowu będzie mógł wystawić mnie na pokaz.
- Właściwie to mógłbym cię zakneblować - powiedział bardziej do siebie, niż do mnie. - To wszystko przez te krzyki... To dlatego kobiety piszczą, a tłum się burzy. Tak... Myślę, że następnym razem cię zakneblуję. Szybko się zapomina o biciu, ale knebel uspokoi cię raz na zawsze.
Następnego dnia wyruszyliśmy w drogę. Nie wiedziałem, dokąd jedziemy i nie obchodziło mnie to; czas i miejsce przestały mieć dla mnie znaczenie. Javert dotrzymał słowa. Następnym razem, kiedy wystawił mnie na pokaz, byłem zakneblowany i związany w postawionej na sztorc trumnie; w pozycji fizycznie uniemożliwiającej mi zrobienie sobie jakiejkolwiek krzywdy. Nie krzyczałem, więc tym razem nikt nie narzekał i nie chciał zwrotu pieniędzy.
To był wielki sukces, oznajmił z satysfakcją Javert, gdy wieczorem przyszedł dać mi jedzenie jak tresowanemu psu. Kiedy już nauczę się rozsądku, obiecał, zrezygnuje z knebla i pozwoli mi zarabiać na życie w nieco lepszych warunkach. Śledziłem go wzrokiem, gdy włożył klucz do kieszeni i oddalał się pogwizdując wesoło. Myślałem o tym, jak bardzo

go nienawidzę i jak bardzo życzę mu śmierci.
Nocą, kiedy wiatr świstał między prętami klatki, leżałem wsłuchując się w odległe szczekanie psów i nienawidziłem... nienawidziłem!
Nienawiść nie mogła mnie jednak ogrzać.
Na długo, zanim pogasły ogniska, postawiłem trumnę płasko na podłodze, wśliznąłem się do środka, gdzie było trochę cieplej, i zasnąłem.

*

Javert wiedział, że knebel złamie resztki mojego oporu. Mimo okrucieństwa i brutalności, odznaczał się pewną prostacką przenikliwością; instynktownym wyczuciem, które pozwalało mu wymyślać wciąż nowe i bardziej wyrafinowane sposoby przełamywania buntu. Nie trwało długo, nim przekonałem się, że przez upór zwiększam tylko swoje cierpienia. Chociaż wciąż jeszcze ciarki mnie przechodziły z obrzydzenia na widok tłumu tłoczącego się wokół mojej klatki, nauczyłem się pokazywać im jedynie milczącą obojętność niemego zwierzęcia. Byłem tym, co chcieli widzieć - zwierzęciem, wybrykiem natury... rzeczą!
Coraz mniej czułem się związany z tym, co ogólnikowo określa się mianem rodzaju ludzkiego; całkiem jakbym przybył z odległej planety i nie był w stanie przeciwstawić się moim prześladowcom inaczej, jak tylko w wyobraźni. Tam, w moim prywatnym królestwie, wolny od pęt tworzyłem obrazy tysiąca straszliwych mąk dla tych, którzy przychodzili

się na mnie gapić. Całe moje życie ograniczało się niemal wyłącznie do sfery wyobraźni; rysowałem w niej niezwykłe krajobrazy i zaludniałem je wytworami mojej fantazji. Mój świat był tajemniczy i piękny, stanowił całkowicie nowy poziom istnienia, w którym królowały magia i muzyka. To był drugi Eden, gdzie nie było innego Boga prócz mnie i dokąd uciekałem tak daleko, że czasami rzeczywiście niemal stawałem się żywym trupem; zapadałem w podobny do śpiączki trans, prawie nie oddychając.

A jednak, choćbym nie wiem jak daleko uciekł do świata wyobraźni, zawsze cząstka mnie pozostawała boleśnie świadoma rzeczywistości. Wożono mnie w moim więzieniu na kółkach po jarmarkach wzdłuż i w poprzek Francji, cały czas przetrzymując mnie w warunkach gorszych niż zwierzę, aż nauczyłem się udawać dostateczną pokorę i rezygnację, by Javert doszedł do wniosku, że ostatecznie złamał mojego ducha. Człowieczeństwo było ceną, którą płaciłem za chwile prywatności, której wymaga elementarna ludzka godność. Matka nauczyła mnie doskonałych manier, dobrego smaku i kurtuazji; nie mogłem znieść życia w zwierzęcych warunkach.

Błagałem Javerta, by wypuścił mnie z klatki i pozwolił chociaż się umyć. Tak go ta prośba rozbawiła, że osobiście stał przy mnie z załadowanym pistoletem i pilnował mnie, kiedy się myłem. Javert zawsze był świnią bez odrobiny wychowania! Wiedziałem, że jeśli spróbuję uciekać - strzeli, ale nie po to, żeby zabić. Byłem na to zbyt

cennym okazem. Prawdopodobnie zraniłby mnie tylko, żeby potem bez trudu złapać.
Kiedy poprosiłem o czyste ubranie, roześmiał się w głos i stwierdził, że nigdy dotąd nie widział tak wybrednego nieboszczyka.
- Może jeszcze zażyczysz sobie frak? - wycedził przez zęby z krzywym uśmiechem. - Przestań jęczeć, i tak przyciągasz tłumy.
Odwróciłem się do niego bardzo powoli i spojrzałem mu w oczy.
- Mógłbym przyciągać znacznie większe - powiedziałem. Rozpacz dodała mi odwagi. - Mógłbym przyciągnąć dwa razy tyle ludzi, gdybym tylko chciał.
Opuścił pistolet i skinął, żebym podszedł bliżej; instynkt podpowiadał mu, by ze mnie drwić, ale chciwość przeważyła.
- Co to znowu za bzdury? - ostrzegł mnie. - Jesteś najpaskudniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek chodziło po bożym świecie - to jest źródło twojego utrzymania i moich dochodów. Dlaczego jeszcze ktoś miałby płacić, żeby cię oglądać?
- Jeśli postawi pan lilie przy trumnie... - powiedziałem wolno - sprawię, że zaśpiewają.
Schował pistolet za pas i wybuchnął tubalnym śmiechem.
- Rany Boskie, dzieciaku, prawdziwy z ciebie wariat. Kiedyś pęknę przy tobie ze śmiechu. Lilie zaczną śpiewać, dobre sobie! A jak masz zamiar tego dokonać, jeśli łaska?
W tamtych czasach, zanim jeszcze zająłem się na poważnie muzyką,

uważałem Mszę b-moll Bacha za najpiękniejszą interpretację łacińskiego tekstu. Właśnie z tego utworu, ukochanego przez Ojca Mansarta, wybrałem Agnus Dei i po chwili Javertowi wydawało się, że śpiew dobiega z dzikiego żonkila rosnącego tuż obok jego buta.

Agnus Dei... miserere nobis...

Beznamiętnie patrzyłem, jak Javert rozdziawił tłustą gębę ze zdumienia, schylił się i zerwał kwiatek. Podniósł go do ucha i wstrzymał dech, gdy pozwoliłem, by mój głos wciąż słodko rozbrzmiewał w jego głowie. Kiedy zmienił ucho, mój głos też zmienił kierunek, z którego dochodził; w końcu zniecierpliwiony Javert rzucił żonkil na ziemię i odszedł parę kroków. Odpowiednio modulowałem głos tak, że zdało mu się teraz, że dochodzi on z daleka.

Wreszcie podszedł do mnie, położył gruby, brudny paluch na mojej szyi i poczuł, jak drgają struny głosowe.

- Jak to możliwe? - wymruczał bardziej do siebie, niż do mnie. - Widziałem już w życiu paru brzuchomówców, ale żaden nie miał takiego głosu. - Złapał mnie brutalnie za ramię i potrząsnął. - Powinienem cię sprać, że ukryłeś przede mną taki sekret, ty mały diable! Kiedy pomyślę, ile pieniędzy mogłem zarobić do tej pory... - Puścił mnie gwałtownie i cofnął się o krok. - No dobra, wszystko jedno, dzisiaj zaśpiewasz. Zdobędę te lilie, choćbym musiał okraść cmentarz.

Nagle zdał sobie sprawę z mojego milczenia.

- No, co tam? - zapytał niepewnie. - Co tak stoisz jak mumia?

Zapomniałeś języka w gębie?
Wciąż uparcie milczałem, więc od razu zaczął się rzucać jak łotr, który czuje, że trafił na silniejszego od siebie.
- Dobra, co ci tam chodzi po tej stukniętej główce? Wykrztuś to wreszcie!
Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się.
- Jeśli zgodzę się zaśpiewać - zacząłem spokojnie - to będę miał pewne warunki.
- Warunki! - Chwycił mnie swoją wielką łapą za szyję i zacisnął palce, jakby chciał mnie udusić. - Warunki, powiadasz? Mógłbym cię zgnieść jedną ręką.
Bardzo powoli zacząłem się uśmiechać. Sądzę, że absurdalność tej groźby musiała być oczywista nawet dla niego, bo puścił mnie, jeszcze zanim skończył zdanie. Dyszał ciężko przez nos, próbując opanować wściekłość.
- Warunki - powtórzył, wymawiając słowo z trudnością przez zaciśnięte zęby. - Więc jakie są te twoje przeklęte warunki? Mów, ty mała, bezczelna kupo kości i raz z tym skończmy!
Usiadłem na trawie, patrząc w stronę rozproszonego obozowiska i nie zwracając najmniejszej uwagi na rosnącą wściekłość Javerta. Niech sobie poczeka... niech się spoci.
- Nie będę śpiewał bez maski, ani w klatce - powiedziałem twardo. - Jeśli chcesz ubić interes, zacznijmy od tego, że dasz mi namiot.

- Jeśli chcę... - zaczął, nie wierząc własnym uszom. Nagle otrząsnął się z osłupienia i zaczął rozumować chłodno i praktycznie. - To niemożliwe - powiedział, ale bez złości. - Dlaczego mam ci zaufać, że nie uciekniesz?
Patrzyłem w ziemię, żeby nie zauważył łez, które piekły mnie w oczy, gdy tak omawiałem moją czarną przyszłość.
- Nie mam dokąd pójść. - W moim głosie brzmiało zmęczenie i rezygnacja. - Proszę tylko o trochę wygody i prywatności, a w zamian zostanę i zarobię fortunę.
Popatrzył na mnie podejrzliwie.
- Tak mówisz. Przypuśćmy, że ci zaufam; musimy jeszcze pomyśleć o wymaganiach publiczności. Na pewno będą chcieli zobaczyć twoją twarz. Co za sens stawiać trumnę i lilie, jeśli nie zobaczą twojej twarzy?
Zamyśliłem się głęboko; wiedziałem, że ma rację.
- Zgoda - powiedziałem wreszcie. - Zgadzam się zdjąć maskę na koniec przedstawienia. Tylko na parę minut, żeby ich przestraszyć. Do tej chwili mam zakrytą twarz, a reszta czasu należy do mnie i robię z nią, co chcę.
- Czy ty sobie za dużo nie wyobrażasz? - zapytał Javert złośliwie, ale w jego oczach było coś, co prawie przypominało szacunek.
- Mógłbym cię zbić, ale nie mogę cię zmusić, żebyś śpiewał. To chcesz mi powiedzieć, ty mały łotrze?
- Nie - powtórzyłem ponuro - nie zmusisz mnie, żebym śpiewał.
Patrzyliśmy na siebie jak ostrożni wrogowie; po chwili gestem wskazał

mi, żebym poszedł za nim do namiotu. Szedł przez pole zamaszystymi krokami i walczył z pokusą, by się odwrócić i upewnić, że za nim podążam.

Przez chwilę to ja byłem zwycięzcą.

Może wyda się to dziwne, ale odkąd dostałem swoją maleńką cząstkę wolności, przestałem obsesyjnie trzymać się myśli o ucieczce. Całe życie byłem trzymany z dala od zewnętrznego świata; byłem zbyt nieświadomy sposobów jego funkcjonowania, by przeżyć w pojedynkę. Potrzebowałem mniej więcej regularnych posiłków i chociażby prowizorycznego dachu nad głową. Javert mi to zapewniał, a ja zdecydowałem się pozostać u jego boku tak, jak zbłąkany psiak pozostaje z okrutnym właścicielem. Autorytet Javerta określał granice mojego świata w okresie, kiedy byłem jeszcze na tyle dziecinny, by nie potrafić żyć bez takich granic. Potrzebowałem poczucia porządku i przynależności. Należałem do niego; z prostego powodu, że potrzebowałem do kogoś należeć.

Podróże stały się integralną częścią mojego życia; szybko nauczyłem się doceniać instynktowną niechęć Cyganów do przebywania w jednym miejscu i zacząłem przyswajać ich zwyczaje. Nauczyłem się rozpoznawać znaki pozostawione na drodze przez poprzednio przejeżdżające tabory; znaki, które dla niewprawnego oka były niewidoczne. Gałązka wierzby oznaczała ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, kupka pierza - zwiastowała obecność kurczaków,

gałęzie sosnowe - zapraszały na ślub. Obserwując ich z boku, wkrótce znałem się na rumuńskich obyczajach nie gorzej niż cygańskie dzieci urodzone w drodze.

Kiedy wydało się, że w moje oczy świetnie przystosowują się do ciemności, wybrano mnie do starożytnego, zwyczajowego podstępu zwanego chiving drav. Stara, szczerbata kobieta, słynna ze znajomości ziół, nauczyła mnie w swym namiocie przygotowania trucizny zdolnej zabić świnię nie zakażając jej mięsa. Później, w środku nocy, zakradałem się do najbliższej zagrody i podawałem truciznę biednemu zwierzakowi. Większość Cyganów nie ośmielała się kraść po nocy z obawy przed spotkaniem z duchami zmarłych, ale, jak Javert zauważył z wisielczym poczuciem humoru, moja obecność nie powinna przeszkadzać umarłym. Rankiem, kiedy rolnik biedził się nad zagadkową śmiercią świni, przed jego bramą pojawiał się Cygan żebrząc o jedzenie. Zazwyczaj otrzymywał wówczas świńskie zwłoki; rolnik chciał się pozbyć truchła, bojąc się zarazy.

Brzydziłem się tymi metodami i z zasady nie jadałem zdobytego w ten sposób mięsa. Stałem się znany ze swoich ekscentrycznych manier; wolałem chodzić o pustym żołądku, niż zadowolić się takim posiłkiem. Kiedy w dodatku występy w moim namiocie stały się bardziej profesjonalne i dochodowe, odmówiłem dalszego udziału w złodziejskich wyprawach. Noc, kiedy rzuciłem flaszkę z drao w ognisko i oznajmiłem całemu plemieniu, żeby sami starali się o swoją padlinę,

stała się punktem zwrotnym. Nikt nie wystąpił, żeby mnie ukarać, nikt nie uderzył mnie za nieposłuszeństwo. Wtedy właśnie zrozumiałem, że nie jestem pozbawiony władzy.

Władza!

Ta myśl zaczęła dojrzewać w mojej głowie, kiedy doskonaliłem swój kunszt brzuchomówczy i siedziałem długo w noc obmyślając nowe, coraz bardziej skomplikowane sztuczki magiczne, którymi zachwycałem tłumy. Zanim minęły dwa lata mojego pobytu u Cyganów, sława wyprzedzała mnie i w związku z tym życie całego plemienia stało się bardziej dostatnie. Byłem główną atrakcją na wszystkich jarmarkach; ludzie przychodzili wiele mil, żeby zobaczyć moje przedstawienie. Wciąż tak samo nienawidziłem momentu, kiedy zdejmowałem maskę, ale śpiew i popisy zręczności sprawiały mi satysfakcję.

Władza!

Kiedy tylko zacząłem jej świadomie poszukiwać, władza przyszła do mnie w sposób dziwny i nieoczekiwany. Nauka u zielarki spowodowała moje żywe zainteresowanie mieszankami ziołowymi, które stara Cyganka sprzedawała na jarmarkach. Umiała przyrządzić lekarstwa na wszelkie wyobrażalne niedomagania, a skoro wszystko, co sprawiało ból rodzajowi ludzkiemu, od razu spotykało się z mojej strony z fascynacją, zacząłem obserwować ukradkiem jej kunszt. Sama była na tyle brzydka, że moja obecność zdawała się jej nie przeszkadzać; myślę, że moje szczegółowe pytania pochlebiały jej. Kiedy zacząłem eksperymentować

ze sprawdzonymi miksturami, była wściekła i odgrażała się, że mnie przeklnie. Podejrzewam, że taki mógł być marny koniec mojej nauki, gdyby nie fakt, że moja nauczycielka zapadła na dziwną gorączkę, która nie poddawała się działaniu żadnych tradycyjnych medykamentów. Kiedy rozniosła się plotka, że stara leży złożona śmiertelną chorobą, wszyscy przenieśli swoje namioty na bezpieczną odległość z obawy przed zarazą.

- Ktoś przecież musi się nią zaopiekować - zaprotestowałem niepewnie.

Javert obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem, prawie nie odrywając się od strugania patyka.

- Na śmiertelną gorączkę nic się nie da poradzić - powiedział spokojnie.

- Rozsądek nakazuje trzymać się z daleka.

Nagle opanowała mnie dziwna złość; złość, która nie miała nic wspólnego z litością, ale za to wiele z bezsilnością i samozadowoleniem ludzi w obozie. Nie było lepszego sposobu, żeby doprowadzić mnie do pasji, niż powiedzieć mi, że czegoś nie da się zrobić.

Nie przyjmowałem do wiadomości pojęcia niemożliwości.

Wstałem i bez słowa ruszyłem w stronę namiotu starej zielarki.

Kiedy na nią spojrzałem, od razu poznałem, że jest w bardzo złym stanie. Poczułem frustrację podobną do tej, kiedy rozmontowałem zegar mojej matki - irytację na swoją własną niedoskonałość i ograniczone możliwości.

No cóż... Bardzo wcześnie nauczyłem się składać zegary. Tym razem

również nie dam się pokonać - a już na pewno nie jakiemuś paskudztwu niewidocznemu gołym okiem!
Wcale nie powodowało mną współczucie i sympatia; to było wyzwanie, któremu po prostu nie mogłem się oprzeć.
Kiedy staruszka leżała jęcząc na swoim posłaniu, całkowicie nieświadoma mojej obecności, ja wyciągnąłem stare miedziane kociołki i zacząłem sporządzać swój własny napar z ziół...
Przeżyła.
Choroba rozniosła się na cały obóz i zaatakowała głównie zahartowane, cygańskie dzieci, które rzadko kiedy zapadały na zdrowiu. Te, które leczono tradycyjnymi metodami, zmarły. Trójka, którym podano mój napar, wyzdrowiała.
Szczęście debiutanta, być może, ale z takiego szczęścia biorą początek legendy. Po tym wydarzeniu, całe plemię zaczęło odnosić się do mnie z rosnącym szacunkiem. Jeden przez drugiego, przesądni Cyganie próbowali wyjaśnić moje niezwykłe zdolności jako wrodzony talent do obcowania z siłami nadprzyrodzonymi. Poszła plotka, że jestem uczonym ze starej cygańskiej legendy - dziesiątym absolwentem Kolegium Magii, zatrzymanym, aby być czeladnikiem diabła. Mówiono, że znam wszystkie sekrety natury i czarnoksięstwa i że jeżdżę na smoku, który mieszka w wysokich górach Hermanstadt i sypia w kotle, gdzie warzy się grzmot.
Moja pozycja zmieniła się nie do poznania. Małe dzieci nie ośmielały się

rzucać kamieniami i wykrzykiwać przezwisk, kiedy przechodziłem. Jeśli pojawiałem się w pobliżu ich namiotów za dnia, uciekały przestraszone, jakbym był wcielonym diabłem i z piskiem chowały się za spódnicami matek, które teraz zaczęły używać mojego imienia jako środka wymuszającego posłuszeństwo.

- Bądź grzeczny, albo Erik przyjdzie i zabierze cię do swego namiotu, a wtedy już nikt nigdy cię nie zobaczy.

Chłopcy w moim wieku, którzy uczynili moje życie piekłem, kiedy pierwszy raz znalazłem się w taborze, zostawili mnie w spokoju ze strachu przed okrutną zemstą. Cieszyłem się, że już nikt mnie nie prześladuje, dołożyłem więc wszelkich starań, by moja ponura reputacja rosła.

Władza!

Zaczynałem odczuwać jej smak, widzieć w niej substytut szczęścia... miłości. Nim minęły trzy lata mojego pobytu u Cyganów, każdy w obozie odnosił się do mnie z pewną ilością nieuzasadnionej obawy. Tak... wszyscy się mnie bali; wszyscy z wyjątkiem Javerta. Mogłem sobie być żywą legendą, wciąż byłem jego dziełem. I nie pozwolił mi o tym zapomnieć ani na chwilę.

Javert nie był prawdziwym Cyganem, nawet nie poszrat - mieszańcem pół krwi. Był chorody - włóczęgą tolerowanym ze względu na swój talent do sztuczek. Wkrótce zorientowałem się, że chociaż podróżował z Cyganami, nie był częścią ich klanowej społeczności w stopniu

większym niż ja.
W przeszłości zetknął się pobieżnie z wykształceniem. W przeciwieństwie do reszty, potrafił czytać, a od czasu do czasu ślady kultury przebijały przez jego wrodzoną wulgarność. To Javert opowiedział mi legendę o Don Juanie i dodał imię wielkiego kochanka do długiej listy przezwisk, których używał w stosunku do mnie. Z początku potraktowałem to jako jeszcze jedną obelgę, nie gorszą niż inne, ale w miarę jak dorastałem i dostrzegałem znaczenie ukryte za tą drwiną, zacząłem nienawidzić imienia Don Juana bardziej, niż czegokolwiek.
Javert wiecznie chwalił się swoimi kochankami, a przecież żadna kobieta nigdy nie przekroczyła progu jego namiotu. Nie był powiązany braterstwem krwi z żadnym członkiem taboru, tak więc nie było ojca, który przyjąłby od niego okup za córkę. W swojej niewinnej naiwności sądziłem, że to dlatego nie miał żony.
Pewnego wieczoru wszedł do mojego namiotu bez pytania, jak to miał we zwyczaju. Nachylił się nade mną i chuchnął mi w twarz nieświeżym oddechem. Od razu spostrzegłem, że był pijany, a kiedy się upił, stawał się niebezpieczny. Musiałem się mieć na baczności.
- Pracujesz... zawsze pracujesz - zauważył niemiło i wepchnął tłusty paluch w mechanizm, który leżał przede mną na stole. - Ależ z ciebie zdolny mały trupek!
Kiedy sprężynka wyskoczyła z urządzenia i zraniła go w palec, zdzielił

mnie na oślep przez głowę tak, że spadłem z krzesła.
- Niech cię diabli! - ryknął. - Ty to zrobiłeś!
- Nieprawda! - odparowałem oburzony, bo raz powiedział prawdę. - To był wypadek!
- Tak, oczywiście. - Skrzywił się. - Jesteś dobry w urządzaniu wypadków, prawda? Zauważyłem, ile mi się ostatnio zdarza nieprzyjemnych wypadków.
Zamarłem z przerażenia, zastanawiając się w duchu, czy rzeczywiście mógł odgadnąć, za ile drobnych złośliwości byłem odpowiedzialny. Chociażby tamten upadek z konia, albo niewyjaśnione zawalenie namiotu. Małe, irytujące wypadki, które nie sądziłem, że połączy ze mną.
Kiedy spojrzałem mu w twarz, wiedziałem, że wszystko wie i czekałem, aż mnie ukarze.
Nie musiałem długo czekać.
Zerwał mi maskę, poszarpał ją na kawałki swoim starym, brzydkim nożem i rzucił mi w twarz. Potem stanął i przyglądał mi się.
- Nie płaczesz? - Zmarszczył brwi. - Sprawiasz mi zawód, trupku. A chyba wiesz, że nie należy sprawiać zawodu staremu Javertowi.
Bił mnie w twarz swoją wielką łapą, ale ja milczałem tylko, patrząc na niego z zimną pogardą. W końcu przypomniał sobie, że tego wieczoru miałem występować i zaprzestał prób zmuszenia mnie do łez.
- Wreszcie zachowujesz się jak mężczyzna - powiedział niechętnie. - Nie

jesteś już skomlącym szczeniakiem. Zaraz sobie zażyczysz pensji, nieprawdaż?

Dla własnego bezpieczeństwa nic nie powiedziałem, kiedy znów pochylił się nade mną. Nauczyłem się niedowierzać tym chwilom pozornej szczodrości, zwykle były wstępem do przemocy lub poniżenia.

- Ile masz lat? - zapytał nagle.

- Nie wiem. - Patrzyłem w podłogę.

- Nie wiesz? - Parsknął. - Musisz przecież znać datę swoich urodzin, jak wszyscy. A może ty się wcale nie urodziłeś? Może wyklułeś się z jaja, jak jaszczurka?

Przypomniałem sobie tłukące się lustro i zadrżałem.

- Ja naprawdę nie wiem... - powtarzałem trzęsącym się głosem. - Moja... ona... nigdy o tym nie mówiła.

Przetarł nos rękawem koszuli i wyszczerzył się ukazując brzydkie, żółte zęby.

- No tak... Pewnie nie było czego świętować. To doprawdy cud, że nikt nie wrzucił cię do ognia, zanim wziąłeś pierwszy oddech. Tak na oko to masz z jedenaście, dwanaście lat. Pasuje ci to?

Potwierdziłem ruchem głowy, zastanawiając się, dokąd ma prowadzić to dziwne przesłuchanie.

- No tak... - kontynuował. - Jeśli popracujesz jeszcze z rok czy dwa zabawiając tłumy, będę ci musiał zacząć wypłacać pensję. Oczywiście, to będzie zależało od tego, czy będziesz zachowywał się

satysfakcjonująco - na scenie i poza nią, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Lubię chłopców, którzy potrafią okazać wdzięczność... że tak powiem.
Popatrzyłem na niego tępo.
- Nie rozumiem - powiedziałem szeptem.
- Jeszcze zrozumiesz, nic się nie bój! - Parsknął śmiechem i rozbawiony dotknął mojego ucha. - Zrozumiesz, wszystko w swoim czasie. Niegłupi jesteś, czasami aż za cwany, ale wszystkiego nie wiesz. Mogę cię nauczyć paru rzeczy, jeśli mi przyjdzie na to ochota. A jeśli będziesz chciał się uczyć, jeśli będziesz mi tym sprawiał przyjemność... kto wie, może okażę się hojny.
Nie miałem pojęcia, o czym on mówi, ale jego miękkie, niemal kocie ruchy sprawiły, że zrobiło mi się zimno ze strachu. To dziwnie przyjazne zachowanie skrywało w sobie groźbę, której na razie nie umiałem odgadnąć, ale bałem się zadawać pytania. Miałem wrażenie, że raz w życiu naprawdę nie chcę znać odpowiedzi.
Javert zaczął ssać krwawiący palec, splunął na klepisko w namiocie i skierował się do wyjścia. Zanim podniósł zasłonę, odwrócił się do mnie jeszcze raz z dziwnym wyrazem twarzy.
- Jeszcze nigdy nie miałem trupka - rzucił.
Po czym wyszedł, zostawiając mnie samego z moją ignorancją i strachem.
W ciągu następnych miesięcy czekałem z drżeniem, aż spadnie na mnie to nowe, nienazwane dotąd nieszczęście, ale w moim życiu nie zaszła

żadna zmiana i nie spotkało mnie nic gorszego niż bicie, do którego byłem już przyzwyczajony. Nauczyłem się przyjmować fizyczny ból z wyrazem obojętności. Wiedziałem, czego się spodziewać, jeśli moje występy nie były doskonałe, albo jeśli uraziłem swojego pana niebacznie wypowiedzianym słowem. Rany i siniaki goiły się jednak szybko, a ja miałem dość rozwagi, by dwa razy nie popełniać tego samego błędu. Od tego, czy szybko się uczyłem, zależało moje przetrwanie.

W ciągu następnego roku przekroczyliśmy granicę z Hiszpanią, podążając powoli w stronę Katalonii. Doroczny jarmark w Verdu był od czternastego stulecia tradycyjnym miejscem spotkań Cyganów. Perspektywa spotkania z rodakami napełniała nasz tabor atmosferą nieskrywanego podniecenia. Nocami mieszkańcy wozów i namiotów gromadzili się przy ognisku, skrzypce zaczynały grać wesołe pieśni, a dziewczęta ruszały w taniec. Tańczyły dla swoich ukochanych i krewnych, kołysały się w migotliwym świetle ogniska, powiewały długimi chustami ledwie zakrywającymi nagie, opalone ramiona... pełne wdzięku... zmysłowe...

To były najpiękniejsze chwile w moim krótkim życiu. Leżąc w trawie w bezpiecznej odległości patrzyłem, jak przed moimi oczyma rozpościera się cała magia Cyganów. Obserwowałem ją, słuchałem, chłonąłem całym sobą, cichy i niezauważony jak wąż pośród suchych traw. Ich kultura była światem odległym od mieszczańskich wartości, w których zostałem wychowany. Było to życie, którego rytm dyktowała muzyka i

instynktowny szacunek dla tajemniczych, magicznych sił. Dla Cygana każdy strumień, las, zarośla zaludnione były przez niewidzialne duchy i demony, które wymagały ciągłych zaklęć i przebłagania. Wróżby z kart tarota były wyznacznikiem losu. Fascynowała mnie cygańska magia, a ich muzyka była odkryciem nowych przestrzeni dla mojego wprawionego ucha. Ta muzyka nie uznawała żadnych sztucznych ograniczeń. Zrywała z metryką, harmoniką, modulacją przejściową i pozwalała mi upajać się niczym nieskrępowaną wolnością.
Słuchałem i uczyłem się, a to, co poznawałem, znajdowało wyraz w zamkniętym, tajemnym świecie mojego namiotu, w muzyce lub iluzji. Nie było takiej części mojego życia, która nie zostałaby dotknięta wpływem tych inspiracji. Nie doszedłem jednak do tych wyrafinowanych i abstrakcyjnych koncepcji piękna, nie płacąc za to cierpieniem.
Jako dziecko z natury byłem samotnikiem, doskonale umiałem bawić się sam i ani nie znałem, ani nie pragnąłem towarzystwa. Teraz jednak patrzyłem na zupełnie inny świat; świat otwartych, smagłych i krępych ludzi, którzy nie znali tabu zabraniającego im dotykać się nawzajem, ani też specjalnie nie kryli się z tym dotykiem. Co wieczór przyglądałem im się z daleka, jak się śmiali, bili, kochali i pojmowałem z całą jaskrawością fakt, że ja jestem inny. Sprawiało mi to ból, nowy i napełniający moje serce rosnącym chłodem.
Być może, gdybym nie znalazł się wśród Cyganów, jeszcze przez kilka

lat nie zwróciłbym uwagi na kobiety i cieszył się dziecinną niewinnością. Nie znaczy to, że Cyganki są łatwe bądź rozwiązłe; dziewictwo było w cenie i zapewniało rodzinie panny młodej najwyższy okup. Ale miłość usankcjonowana przez związek małżeński stawała się czymś więcej, niż sprawą prywatną; małżonkowie obejmowali się czule przy ognisku, cieszyli się swoją bliskością bez fałszywego wstydu. Tamtej wiosny w Verdu zdawało się, że cały świat łączy się w pary, bierze udział w odwiecznym misterium, które dla mnie na zawsze pozostawało nieosiągalne. Nagle okazało się, że być gwiazdą objazdowego widowiska i czeladnikiem diabła, to nie wszystko. Chciałem tylko być taki, jak inni.

Kiedy sezon uroczystości weselnych był w pełni, a skrzypce wygrywały na cały świat typowe dla Cyganów umiłowanie życia, ja wymknąłem się w czarną, nieprzeniknioną noc i wykradłem z namiotu znachorki to, co było mi potrzebne.

Mogłem jakoś żyć z okrucieństwem i nienawiścią, nie mogłem jednak znieść widoku szczęścia innych ludzi. Nagle zdałem sobie sprawę, że wszystkie moje talenty nie sprawią, że zacznę być traktowany jak ludzka istota. Cóż z tego, że miałem teraz wygodny namiot i mogłem poruszać się swobodnie, gdy w zasadzie wciąż zamknięty byłem w klatce o niewidzialnych prętach. Świat nie chciał ode mnie niczego, prócz kilku miłych wrażeń dla oka i ucha.

Byłem sam i nic nie mogło tego zmienić.

Może nadszedł już czas, by pozostawić ten świat za sobą.
Noc była cicha i sucha, tylko z dala dobiegały mnie przytłumione dźwięki skrzypiec i odgłosy świerszczy w wysokiej trawie. Wielkie ćmy uderzały w moją latarnię i odbijały się od maski, kiedy uciekałem z obozu. Cyganie nadal tańczyli, coraz swobodniej, gdyż alkohol uderzał im do głów. Płomienie ogniska odcinały się ostro od czarnego nieba Hiszpanii.
Kiedy upewniłem się, że nikt mnie nie znajdzie, zdarłem maskę i rzuciłem ją w blady sierp księżyca, który błyskał obojętnie nad moją rozpaczą i gniewem. Usiadłem na środku pylistej drogi i przyjrzałem się buteleczce, którą wykradłem z namiotu znachorki. Było w niej dość trucizny, by wytruć cały obóz. Nie miałem zamiaru ryzykować zażycia zbyt małej dawki.
Wyciągnąłem szklaną zatyczkę i powąchałem gorzko pachnącą zawartość. Zawahałem się. W moich rękach znajdował się magiczny talizman śmierci; w moich rękach, które same przypominały szkielet kostuchy. Ale coś powstrzymywało mnie przed skorzystaniem z tej drogi ucieczki, która mogła mnie natychmiast wybawić z dna rozpaczy. Wspomnienie, które myślałem, że dawno wygnałem z pamięci. Zmuszono mnie do wysłuchania kazania Ojca Mansarta o śmiertelnych grzechach morderstwa i samobójstwa w wieku, kiedy inne dzieci mozolnie uczą się pacierzy. Morderstwo i samobójstwo, powiedział Ojciec Mansart poważnie, były w oczach Boga równymi zbrodniami i

karą za nie było wieczne potępienie. Samobójca nie może spocząć w poświęconej ziemi, a bramy raju są przed nim zamknięte na zawsze.
“Nie mamy prawa sami odebrać sobie życia, Eriku. Choćbyś zapomniał wszystko, czego cię uczyłem, pamiętaj to jedno.”
To były rzeczywiście ostatnie słowa, które powiedział do mnie po egzorcyzmach, a ja stałem wówczas usiłując patrzeć na wskroś przez niego, jakby wcale nie istniał i nie słyszeć tego, co mówił. Ale teraz nagle przypomniałem sobie tę scenę i zadrżałem patrząc na truciznę w mojej ręce. A jeśli to była prawda, jeśli ten akt uwalniał mnie od jednego cierpienia tylko po to, by wtrącić mnie w inne, stokroć większe... i tym razem już bez możliwości ucieczki?
Przerażony tą myślą odrzuciłem od siebie butelkę. Sucha ziemia wchłonęła wyciekający płyn. Z poczuciem bezradności podniosłem się na nogi i już chciałem założyć z powrotem maskę, kiedy w zaroślach usłyszałem krzyk.
Zamarłem i wytężyłem słuch; po chwili znowu usłyszałem głos w ciemności, tym razem cichszy jęk bólu. Ruszyłem odruchowo w stronę głosu; wspiąłem się na osypisko kamieni bezbłędnie stawiając kroki; z moim doskonałym wzrokiem i zręcznością, przez którą matka przyrównywała mnie do małpy.
Po drugiej stronie osypiska dostrzegłem w świetle latarni zgniecioną stertę jaskrawych spódnic i twarz znajomą mi z obozu.
- Dunicha? - wyszeptałem.

Spojrzała na mnie i wrzasnęła tak brzydko i przenikliwie, że zaniemówiłem z zaskoczenia. Musiałem na chwilę zapomnieć, że nie miałem maski na twarzy.
Jej krzyki poruszyły każdy nerw w moim ciele do tego stopnia, że nagle ogarnęła mnie ślepa furia.
- Przestań! - rzuciłem ostro i mocno potrząsnąłem jej chudymi ramionami. - Przestań natychmiast wrzeszczeć, albo zrobię ci wszystko, czego tak się boisz i jeszcze więcej!
Umilkła od razu. Zdawało się, że przełknęła swój krzyk, jakby udławiła się łkaniem. Wycofała się ode mnie jak przerażony królik schwytany przez dzikiego psa.
Puściłem ją pełen pogardy.
- Gdzie się zraniłaś? - zapytałem zimno i obojętnie.
Cała się trzęsła i szczękała zębami, ale pokazała mi lewą stopę, która była zwichnięta pod nienaturalnym kątem.
- Pozwolisz mi na to spojrzeć? - zapytałem.
Była zbyt przestraszona, by odmówić. Na cygańskim stroju wciąż jeszcze miałem pelerynę magika, której nie zdjąłem po przedstawieniu. Oderwałem pas materiału z dołu, a resztą okryłem jej ramiona, gdyż było dotkliwie zimno mimo, że była już połowa kwietnia. Dziewczyna była zlana zimnym potem ze strachu. Wyczułem złamaną kość w jej kostce i unieruchomiłem ją najlepiej, jak umiałem. Zemdlała, kiedy ją tylko dotknąłem, nie wiem czy z bólu, czy z przerażenia. Nawet się tym

specjalnie nie przejąłem; pomyślałem wręcz, że tak będzie mi łatwiej opatrzyć złamanie.
Kiedy skończyłem, usiadłem na pobliskim kamieniu i czekałem, aż dziewczyna odzyska przytomność. W świetle latarni widziałem zarys jej piersi. Przeszła mi przez głowę myśl, którą natychmiast odsunąłem od siebie. Nie dotykałem jej i po chwili nieodparte pragnienie, by to zrobić, osłabło; znów byłem spokojny i całkowicie panowałem nad sobą. Pierwsze, młodzieńcze pożądanie było silne, ale szybko minęło; byłem nawet z siebie dumny, że tak łatwo sobie z tym poradziłem. Dziewczyna budziła teraz we mnie ciepłe uczucia, zwłaszcza, że dzięki niej uświadomiłem sobie, że nie muszę się obawiać miłości. Właściwie pożądanie nie było niczym specjalnym - po prostu szybszym krążeniem krwi; zwierzęcym atawizmem, który mogłem opanować równie łatwo, jak kontrolowałem swój głos. Dziewczyna była ładna, ale ja jej nie kochałem; może mimo wszystko Bóg okazał się miłosierny i nie stworzył mnie podobnym do innych chłopców, może nie byłem zdolny do miłości. Kiedy tak pomyślałem, napełniło mnie uczucie wielkiej ulgi. Chciałem, żeby już się ocknęła i żebym mógł jej opowiedzieć o tym wspaniałym odkryciu. Pożądanie nic nie znaczy, a ja jej wcale nie kocham. Nie chciałem już umrzeć. Może jednak wszystko dobrze się skończy...
Dziewczyna otworzyła oczy, wzdrygnęła się i spojrzała w bok, żeby nie patrzeć na moją twarz.

- Nigdy wcześniej nie widziałam cię bez maski - szepnęła.
- Naprawdę?! - Moje ciepłe uczucia w stosunku do niej osłabły nieco, a już na pewno opuściła mnie chęć, by jej dziękować. - W takim razie jesteś chyba ostatnią osobą w taborze, która tego nie widziała. Może powinnaś mi zapłacić za prywatny pokaz...
Strach znów odmalował się w jej oczach. Westchnąłem i założyłem maskę, która leżała koło mnie na ziemi, gestem, który przez lata stał się dla mnie całkowicie naturalny.
- Nie bój się - powiedziałem cicho. - Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy nikomu nie zrobiłem.
- Ale mówiłeś... wcześniej.... Mówiłeś, że...
- A, to! - Wzruszyłem ramionami obojętnie. - To było tylko dlatego, że mnie zdenerwowałaś. Nie znoszę, kiedy ludzie przy mnie krzyczą. Te wszystkie głupie kobiety wrzeszczące i mdlejące wokół klatki... Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja tego nienawidzę!
Usiadła wciąż nie spuszczając ze mnie wzroku, ale jej oddech uspokoił się nieco.
- Wszyscy mówią, że jesteś zły, że jesteś uczniem diabła i...
- I że latam na smoku! - dokończyłem drwiąco. - Czy naprawdę myślisz, że zostałbym z Javertem, gdybym miał smoka za wierzchowca?
Uśmiechnęła się słabo.
- Chyba nie. Jakie to dziwne, tak z tobą rozmawiać, całkiem jakbyś był taki, jak inni.

Poczułem nagłe zimno i przez chwilę wydawało mi się, że się rozpłaczę... Właśnie teraz, kiedy myślałem, że skończyłem ze łzami na zawsze! Ta cicha, bezmyślna uwaga całkowicie zdruzgotała moją świeżą pewność siebie i akceptację losu.

- Ależ ja jestem taki jak inni! - wybuchnąłem. - Wewnątrz jestem dokładnie taki sam! Czy to jest takie dziwne!? Zamilkła i przyglądała mi się ciekawie, nagle nie byłem w stanie odwzajemniać tego spojrzenia. Nie rozumiała ani słowa z tego, co próbowałem jej powiedzieć, ale przynajmniej już się nie bała. Zawsze to jakieś osiągnięcie.

- Co tu robiłeś całkiem sam? - spytała po chwili. - Dlaczego nie jesteś na uczcie weselnej?

Przez moment patrzyła na mnie buńczucznie, jakby chciała tym pokryć wyrzuty sumienia.

- Nie twoja sprawa! - odparłem ostro. Spojrzałem na nią podejrzliwie, bo zrozumiałem, że jej nieobecność mogła mieć tylko jeden powód.

- Spotkałaś się z chłopakiem? - zapytałem przejęty grozą. - Z gorgio?

- A jeśli nawet? - zapytała zaczepnie.

- Jeśli twój ojciec się dowie, zbije cię i wypędzi z obozu - powiedziałem niepewnie. Wiedziałem, że nie było większego przestępstwa dla młodej Cyganki, niż zdradzić swój naród i zadać się z gorgio. Niechętnie patrzono na dzieci mieszanej krwi.

Nie wiedziałem, jak zareagować, kiedy w jednej chwili wybuchnęła szlochem.

- Gdzie jest twój chłopak? Dlaczego cię tu zostawił? - zapytałem. - Czy przyjdzie po ciebie?

Jej twarz skurczyła się z wściekłości, uderzyła zaciśniętymi pięściami w ziemię.

- Obiecywał, że się ze mną ożeni, ten hiszpański wieprz. Obiecywał mi! Słusznie się mówi o gorgio, że to obrzydliwe, kłamliwe świnie! Niech go diabeł porwie! Niech mu męskość uschnie i odpadnie w jego noc poślubną!

Dobrze, że miałem maskę, bo poczułem, że się rumienię. Chociaż od trzech lat żyłem wśród Cyganów, nie przyzwyczaiłem się w pełni do ich naturalnej bezwstydności.

- Co się tak na mnie gapisz? - burknęła wrogo.

- Wcale na ciebie nie patrzę.

Nagle przybrałem przepraszający ton. Nie tylko się mnie nie bała, ale przypomniała sobie, że jest ode mnie starsza o jakieś pięć lat. W jej głosie był pogardliwy chłód, a ja czułem się coraz młodszy i coraz głupszy pod jej spojrzeniem.

- Na pewno ktoś będzie cię szukał - powiedziałem. - Nie powinni cię tu znaleźć.

Pochyliłem się, by podać jej rękę, ale odsunęła się z obrzydzeniem.

- Nie dotykaj mnie! - rzuciła nieoczekiwanie. - Jeśli mnie dotkniesz, będę krzyczeć, aż cały obóz się tu zbiegnie!

Byłem zaskoczony. Rozmawialiśmy jak dwoje ludzi i nagle ona znowu

zaczęła traktować mnie jak zwierzę. Naraz, patrząc na uśmieszek tryumfu na jej ustach, zrozumiałem, o co jej chodziło.
- Nikt ci nie uwierzy! - powiedziałem, z trudem łapiąc oddech. - Nikt ci nie uwierzy, że to ja cię tutaj zwabiłem.
- Ależ wcale mnie nie zwabiłeś - powiedziała spokojnie. - Porwałeś mnie siłą.
- A ty milczałaś? - zapytałem sarkastycznie. - Nawet nie zawołałaś o pomoc?
- Zemdlałam, ze strachu. - Patrzyła prosto przed siebie, jakby oglądała sztukę w teatrze. - Myślisz, że ktoś będzie w to wątpił?
Musiałem przyznać przed samym sobą ze zgrozą, że pewnie nikt. Otaczała mnie zła sława i nikt nawet nie zastanowi się, ile mam lat. Nikt nie zada sobie trudu, by zauważyć, że jestem za młody, by popełnić gwałt.
Cofnąłem się od niej, kiwając głową z niedowierzaniem. Nagle opanowała mnie panika, więc czym prędzej uciekłem drogą, którą wcześniej przyszedłem.
Dobiegłem do mojego namiotu szlochając ze złości. Chwyciłem tych kilka przedmiotów, które udało mi się zebrać w ciągu minionych lat i wepchnąłem je do torby z szaleńczą desperacją, całkiem przeciwną moim wcześniejszym samobójczym nastrojom. Wiedziałem, że jeśli dziewczyna opowie swoją historię, będę zgubiony. Cyganie zapomną o strachu i zjednoczą się w pragnieniu zemsty za taką zbrodnię. Nie bałem

się już śmierci, ale wciąż byłem dzieckiem i czułem przerażenie na myśl o torturach. Robiliby ze mną straszne rzeczy... niewyobrażalnie straszne...

Byłem tak pochłonięty gorączkowym pakowaniem, że nie usłyszałem za sobą kroków. Kiedy się zorientowałem, było już za późno.

- A to co? - zapytał znajomy głos tuż nad moim uchem. - Skąd ten pośpiech? Wyjeżdżamy, co...? Zostawiamy starego, poczciwego Javerta bez słowa pożegnania?

Odwrócił mnie ku sobie brutalnie łapiąc za szyję. Poczułem paraliżujący ból. Coś lepkiego, złośliwego w jego głosie i intensywne spojrzenie sprawiły, że oniemiałem ze strachu.

- Chciałeś odejść bez podziękowania za wszystko, co dla ciebie zrobiłem? - mówił zamyślony. - Opiekowałem się tobą jak własnym dzieckiem. Wydaje ci się, że możesz tak po prostu wstać, wyjść i nie wracać więcej? O nie, mój drogi. Nic z tego. Tak łatwo nie uciekniesz od starego Javerta.

Byłem sztywny z przerażenia, kiedy wolną ręką zerwał guziki mojej koszuli. Ten nienazwany horror, który wisiał nade mną jak tchnienie moru, spadł na mnie tak nieoczekiwanie, że nie byłem w stanie się bronić. Patrzyłem, jak rozpina pas i wiedziałem instynktownie, że tym razem to nie będzie tylko bicie - to było jakieś niewyobrażalne okrucieństwo.

Jego ręka prześlizgnęła się pieszczotliwie po moim ciele przykrytym

rozdartą koszulą. Zadrżałem.
- Ale jesteś zimny - powiedział z wyrzutem. - Całkiem, jakby w twoich żyłach płynęła lodowata woda. Ale nie ma obawy, już ja cię rozgrzeję.
- Proszę... - Odskoczyłem w tył, ale zaśmiał się tylko i popchnął mnie na ziemię.
Wtedy naprawdę zacząłem się bronić, dziko i desperacko - tak, jak nie broniłbym nawet własnego życia.
- Tak już lepiej - powiedział Javert z dziwną satysfakcją w głosie. - Tak jest o wiele lepiej. Ale jesteś silny, kto by pomyślał? Widzę, że to najwyższa pora na tę małą, ostatnią lekcję. Nikt nigdy nie będzie cię pragnął bardziej ode mnie, a już na pewno żadna kobieta! Zdajesz sobie z tego sprawę? Widzisz, jaki zaszczyt cię spotyka? Nie... oczywiście, że nie. Ty małe niewiniątko, tak sobie o tobie opowiadają w całym obozie. Czysty jak świeży śnieg, mimo wszystkich twoich sztuczek. No dobra, koniec tego. To jest koniec twojej niewinności, mój drogi.
Wsadził gorącą łapę między moje nogi. Wtedy zrozumiałem. Nie miałem pojęcia, jak to w ogóle było możliwe, ale wiedziałem, co się teraz stanie.
Gwałt!
Dlaczego mi się wydawało, że to można zrobić tylko kobiecie?
Przestałem się bronić i leżałem kompletnie nieruchomo, patrząc, jak zrzuca brudne ubranie na ziemię koło mnie.
- Widzę, że postanowiłeś być rozsądny - zauważył. - Tak mi się bardziej

podobasz. Na początku trochę się opierałeś, ale teraz widzę, że wolisz się poddać.
- Co ja mam robić? - zapytałem zduszonym szeptem.
- Ściągaj ubranie i maskę, a potem... A potem ci pokażę.
Usiadłem niepewnie, starając się panować nad bezrozumną paniką. Żadnych gwałtownych ruchów; nic, co mogłoby go zaniepokoić. Zobaczyłem, że z ulgą przyjął moją rezygnację. Odwrócił się, żeby ściągnąć buty, a wtedy ja wyciągnąłem mu nóż zza pasa.
Dość długo czekałem, aż odwróci się do mnie z powrotem, a potem wbiłem nóż we wstrętną, tłustą masę cielska na jego brzuchu. Przyjemność, którą poczułem w tym momencie zdumiała mnie. Poczułem, że nóż zapada się gładko w warstwy skóry aż do rękojeści i zrozumiałem, że odczuwam to niezwykłe wrażenie dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej Javert dotykał mnie swoją obrzydliwą łapą.
Widziałem, że oczy Javerta wyszły z orbit jakby w niedowierzaniu, jego usta otworzyły się i bezdźwięcznie wciągnęły powietrze, a ręce bezsilnie starały się zatamować fontannę krwi, która wybuchła, gdy wyrwałem nóż. Patrzyłem na rosnącą krwawą plamę z obojętną, niemal naukową ciekawością; całkiem jakbym przedziurawił bukłak wina. Miałem dużo czasu, by nadziwić się temu niezwykłemu zjawisku. Wydawało mi się, że mam cały czas świata.
Javert stał, patrząc rozpaczliwie w stronę wyjścia z namiotu, kiedy wbiłem mu nóż pod żebra, tym razem zatapiając go aż do kości. Chwycił

mnie za rękę, kiedy wyrywałem oręż z rany, ale jego siły malały raptownie i nie był w stanie mnie powstrzymać. Uwolniłem ręce silnym zamachem i wymierzyłem ostatni cios, prosto w jego spoconą szyję. Upadł mi pod nogi jak kamień. Patrzyłem z góry na zmasakrowane ciało łapiąc powietrze z zachwytu. Przyglądałem się jego konwulsjom bez cienia żalu czy obrzydzenia. To było takie proste i dawało mi tak ogromną satysfakcję, że aż nie mogłem w to uwierzyć. Pięć minut wcześniej byłem niewinnym, przerażonym dzieckiem; teraz stałem się mężczyzną i potwierdziłem to wyjątkowo fachowym zabójstwem. Oszołomiony wrażeniem własnej potęgi, wytarłem nóż do czysta w koszulę Javerta i schowałem go do torby, która przez cały czas leżała otwarta na pryczy. Spokojnie, bez pośpiechu wziąłem torbę i skierowałem się do namiotu Javerta, gdzie znalazłem skórzaną sakiewkę, w której przechowywał pieniądze zarobione za moje występy. Nie było nic ukradkowego w sposobie, w który przeszedłem przez cały obóz i odwiązałem mojego ulubionego konia. Nie obawiałem się już wykrycia; żaden mężczyzna, który spróbuje położyć na mnie rękę nie pożyje dość długo, by się tym chwalić. Odchodziłem, ponieważ podjąłem taką decyzję - nie z obawy o własne życie, ale z pogardy dla swej przeszłej słabości, dziecinnych lęków, bezsilnej rozpaczy.

Koniec niewinności...

Wyrosłem poza ramy tego małego plemienia tułaczy, nie potrzebowałem już wątpliwej opieki sadystycznego zboczeńca. Moje dzieciństwo

dobiegło końca, a świat czekał, by odkryć moje niezwykłe talenty. Dopiero zaczynałem się orientować w niezmierzonych przestrzeniach mojego umysłu. Granice mojego prywatnego imperium majaczyły przede mną jak odległy horyzont. Chciałem zagrać każdą nutę, którą napisałem, posiąść całą wiedzę, udoskonalić sztuki, o których ludzkość dotąd nawet nie śniła. Nie potrzebowałem więcej granic... Ilekroć napotykałem je w przyszłości, starałem się je obalić, a robiąc to - odkryć nieznane cuda, które wprawią w osłupienie biedną, łatwowierną ludzkość. Tworzenie - i niszczenie - odtąd to były jedyne przedmioty mojego pożądania. Chciałem być jak Bóg, absolutną siłą, niezakwestionowaną... niepowstrzymaną.

Koniec niewinności...

Jak Adam, zjadłem owoc z drzewa wiadomości i byłem przez to skazany, by błądzić po ziemi. Ale mój Eden pełen był okrutnych cierni i podstępnych pułapek... Nie mogłem żałować, że się go pozbyłem. Więzy sumienia, którymi chciał mnie skrępować wiejski proboszcz, rozpadły się w drobiazgi. Straciłem lęk przed śmiercią, ale i szacunek dla życia innych. Tej nocy przekonałem się, że życie jest rzeczą tanią i łatwo można je zniszczyć. Jest nieszczęsnym, skulonym stworzeniem dnia, które można zdmuchnąć nie trudniej niż świeczkę.

To śmierć była ostateczną siłą, a ja stałem się jej pilnym uczniem. Morderstwo było jeszcze jedną sztuką, której mogłem się nauczyć!

Rozdział 3

Giovanni - 1844-1846

Często siadam samotnie w moim ogrodzie na dachu.
Lubię drzemać na wapiennej ławeczce, wdychać świeży zapach doniczkowych kwiatów Luciany, kiedy ciepło rzymskiego południa zaczyna budzić smród miejskiej nędzy. Czasami, gdy pochylam się, by szczepić rośliny rękami nie do poznania zniekształconymi przez artretyzm, przypominam sobie, z jaką miłością Erik traktował te kwiaty. Jak czule opiekował się nimi, gdy Luciana bezmyślnie je zaniedbywała; jak często przystawał, by pogładzić pieszczotliwie gładki, zielony liść, zupełnie jakby namawiał go, by rósł. Z biegiem lat, rośliny te urosły w wielkie i piękne krzewy, tak jak on sam niegdyś urósł pod moją opieką. Te kwiaty, ta biała, wapienna ławeczka i dziwne modele, wciąż jeszcze stojące w piwnicy - to wszystko, co pozostało mi jako wspomnienie dwóch lat, które zmieniły na zawsze moje życie.
Wspomnienia! Wspomnienia są jak świetliki pojawiające się na powierzchni moich myśli, przynoszące mi obrazy tak wyraźne i ostre, że nieraz z wrażenia zapiera mi dech, zanim zniknął jak miraż w ruchomych piaskach mojego żalu i wyrzutów sumienia. Może mają rację ci, którzy mówią - a wiem, że są tacy! - że stałem się zdziecinniałym starcem, jeszcze zanim doszło do tej tragedii. Mam jednak nadzieję, że

się mylą. Chciałbym wierzyć, że byłem zdrowy jak ktokolwiek inny w dniu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Erika. Chciałbym, żeby ta opowieść była testamentem człowieka w pełni władz umysłowych.

*

Bardzo dobrze pamiętam ciszę i mrok na ulicach, kiedy szedłem w stronę budowy; pamiętam rozterki, które przeżywałem czytając list, który nie dawał mi spać i w końcu zerwał z łóżka na długo przed świtem. To był całkiem niepozorny ranek, dzień zaczynał się jak każdy inny. Deszcz pobudził do życia wyschniętą ziemię, a w nozdrza kłuł mnie zapach mokrego piasku i cementu. Niektórzy budowniczowie nienawidzą widoku placu budowy o świcie, kiedy ostre światło w pełni wydobywa wszelkie niedociągnięcia ich dzieła. Tak mało osiągnęliśmy wczoraj, tak wiele pracy zostało na dziś! Ale dla mnie świt był chwilą inspiracji. Nie mogłem sobie przypomnieć czasów, kiedy jakiś niedokończony budynek nie zmuszał mnie, by wstać, jeść... oddychać. Dopiero, gdy kontrakt wygasał, wkradało się do mojego serca zwątpienie, niezadowolenie, poczucie, że coś straciłem. Erik to rozumiał. Erik rozumiał wiele rzeczy, z których większość chłopców nie zdaje sobie nawet sprawy. Jednak już od pierwszej chwili, gdy go ujrzałem, ogrom jego pasji tworzenia sprawiał, że bałem się o niego. Zawsze gdzieś w głębi duszy czułem pewność, że pewnego dnia otrzyma swoje wymarzone zamówienie; wyzwanie, któremu odda się bez reszty i rozstanie z którym będzie ponad jego siły. Cudowny, dojrzały owoc jego

wyobraźni, który będzie pragnął posiąść, choćby za cenę życia.
Był dla mnie szlachetnym, wrażliwym człowiekiem o genialnym umyśle, ale nie oszukiwałem się co do jego przeszłości. Ten chłopiec zabijał, zanim przyszedł do mnie - to było jasne od początku.
Pamiętam, że zanim zdążyliśmy zamienić chociażby jedno słowo, już wyciągnął nóż...

*

Ktoś niepowołany wszedł na teren budowy.
Kiedy tylko znalazłem się na placu, zauważyłem chudą, chłopięcą sylwetkę, przemykającą bezszelestnie jak duch po rusztowaniu. W świetle wschodzącego słońca był to dziwnie nierzeczywisty widok. Zamiast od razu zganić go głośnym okrzykiem, stałem patrząc, jak chłopiec pieszczotliwym ruchem gładzi wilgotne kamienne bloki. Przez chwilę stał nieruchomo, dotykając ściany uniesionymi wysoko rękami, jak pogański kapłan rozmawiający ze swoim bóstwem. Następnie zaczął wykonywać dłońmi dziwne, rytmiczne ruchy, całkiem jakby chciał wymodelować powietrze wokół siebie. Był to jeden z najdziwniejszych i najpiękniejszych widoków, jakie zdarzyło mi się oglądać. W tym niezwykłym porozumieniu człowieka z materią było coś mistycznego; coś, co sprawiło, że stałem zafascynowany, nie mogąc oderwać od niego oczu. Niestety, potrąciłem nogą jakieś deski, które runęły z hałasem na ziemię. Chłopiec zeskoczył z rusztowania z gibkością młodej pantery i w mgnieniu oka znalazł się przy mnie z nożem w ręce.

Zaskoczyło mnie, że nosił białą maskę. Oczy ukryte pod nią pełne były uwagi i napięcia; przypominały mi spojrzenie dzikiego zwierzęcia. Gestem wskazał mi, bym stanął plecami do ściany i pozwolił mu bez przeszkód dostać się do ulicy. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że powinienem był uwierzyć jego instynktownej mądrości i pozwolić mu odejść. Ale ja nigdy nie byłem tchórzem, a on rozbudził moją ciekawość. Mimo, że jego nóż znajdował się o kilka centymetrów od mojej szyi, uniosłem ręce ironicznym gestem i zapytałem, czy zawsze traktuje starszych tak obcesowo.

Właściwie nie spodziewałem się odpowiedzi i byłem zaskoczony, gdy nagle opuścił nóż i spojrzał na mnie dość bezradnie.

- Monsieur?

W chwili, gdy przemówił, wiedziałem, że pomimo obdartego, cygańskiego stroju nie był ulicznym rzezimieszkiem, gotowym zabić mnie, aby dostać moją sakiewkę. To jedno słowo wypowiedziane zostało tak pięknie, że chciałem tylko, żeby odezwał się do mnie jeszcze raz.

- Mówisz po włosku? – zapytałem ciekawie.

- Tak, proszę pana. – Wydawał się zaskoczony, że zadałem mu grzeczne pytanie.

- To teren prywatny – powiedziałem. – Czy wiesz, że mógłbyś zostać za to aresztowany?

Znowu podniósł nóż, ale tym razem zrobił to bez przekonania, zebrałem się więc na odwagę i odsunąłem jego rękę.

- Odłóż-że raz ten przeklęty nóż, chłopcze i przestań mnie denerwować. No, tak jest w wiele lepiej. A teraz powiedz mi, co tu robiłeś.
- Ja nie kradłem! – odpowiedział szybko, patrząc bezradnie na nóż, jakby nie wiedział co ma z nim teraz zrobić. – Nie robiłem nic złego!
- No tak – powiedziałem ironicznie. – Nie sądzę, żeby głaskanie kamieni było czymś złym.
- Och! – Zawstydzony, odruchowo dotknął maski jedną ręką. – Jak długo mi się pan przyglądał?
- Wystarczająco długo, żeby zauważyć, że nie patrzę na złodzieja – odparłem. – Interesujesz się budownictwem? Może chciałbyś obejrzeć plany?
Popatrzył na mnie uważnie, czy z niego drwię, ale kiedy sięgnąłem do kieszeni płaszcza po papiery, porzucił swój instynkt obronny.
- Dziękuję – powiedział naturalnie, biorąc ode mnie plany i rozkładając je na kawałku suchej ziemi pod rusztowaniem. Wyglądał mi na chłopca, któremu długo i boleśnie wpajano dobre maniery, dlatego zdziwiłem się, gdy nagle wykrzyknął ze złością. Zabrzmiało to prawie jak szloch.
- Ależ tu jest pełno błędów! – zawołał.- Wszystko jest źle, wcale nie tak, jak ja bym to... Jak w ogóle można budować coś tak wulgarnego!
Westchnąłem lekko, bo przypomniałem sobie, że moja reakcja, kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten projekt, była bardzo podobna.
- Ten budynek powstaje zgodnie z wytycznymi pewnego bardzo bogatego i bardzo wulgarnego klienta – wyjaśniłem cierpliwie. –

Architekci też muszą coś jeść, podobnie zresztą, jak budowniczowie. Jeśli chcielibyśmy budować tylko to, co sprawi na przyjemność, wkrótce zaczęlibyśmy głodować.

Znowu obrzucił plany niechętnym wzrokiem.

- Wolałbym już głodować! – stwierdził z niezwykłą pasją. – Wolałbym głodować, niż budować brzydkie domy!

Uwierzyłem mu na słowo. Jego sposób wysławiania się był dla mnie kolejną zagadką. Czyżby brzydki to był najgorszy epitet w jego słowniku?

- Jesteś czeladnikiem w Rzymie? – zapytałem po chwili.

- Nie, proszę pana. – Czy wydawało mi się, czy zesztywniał, kiedy usłyszał to pytanie?

- Ale interesujesz się architekturą, prawda? Kochasz piękne budowle?

- Kiedyś trochę się tego uczyłem – odpowiedział nieśmiało. – Ale to było bardzo dawno temu, kiedy byłem dzieckiem.

Nie mógł mieć więcej niż trzynaście lat, a mówił, jakby od dzieciństwa oddzielały go całe dziesięciolecia. Intrygował mnie i zasmucał swoją rozważną godnością i natychmiastową reakcją na zagrożenie. Chciałem się dowiedzieć kim był, skąd pochodził, dlaczego łączył w sobie maniery dżentelmena i instynkt ulicznego zabójcy.

To dziwne, ale maska wydawała mi się najmniejszą zagadką...

- Pracuję też na innych budowach – powiedziałem spokojnie. – I chyba nie wszyscy moi klienci są pozbawieni gustu. Jeśli nie przeszkadza ci

towarzystwo pełnego uprzedzeń starego człowieka...
Wskazałem ręką w stronę ulicy i po ostatniej chwili wahania, zrodzonej z Bóg wie jakich strasznych doświadczeń, chłopiec wstał i ruszył za mną.
Kiedy tak szedłem nawet nie oglądając się, czy wciąż za mną podąża, napełniła mnie dziwna radość. Nie wierzyłem, żeby mógł mnie zaatakować od tyłu, albo po prostu uciec przy pierwszej sposobności. Moja wcześniejsza depresja wyparowała jak poranna mgła, a jej miejsce zajęło uczucie niezwykłego szczęścia i świadomość, że przypadkiem natrafiłem na coś bezcennego, a niezmiernie rzadkiego.
Przez chwilę dokładnie wiedziałem, jak czuł się Chrystus, kiedy powoływał Jana.
Nie oglądanie się za siebie nie przyszło mi łatwo. Chłopiec szedł nie głośniej niż kot, a ponieważ było zbyt wcześnie, bym mógł zobaczyć jego cień na mijanych ścianach, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że podąża za mną duch.
Plac budowy, który chciałem mu pokazać, znajdował się w południowej dzielnicy miasta, poza starożytnymi murami Rzymu i do ukończenia prac brakowało zaledwie kilku tygodni. Poznałem do razu, że rezultat przypadł mu do gustu, sam byłem z niego raczej zadowolony. Od mniej więcej piętnastu lat głównie zatrudniałem robotników i sam nie kładłem cegieł, ale zawsze zwracałem baczną uwagę na prace precyzyjne. Płaskorzeźby na kapitelach kolumn i gzymsach, misternie cięte

maswerki i ornamenty – to było moje prywatne królestwo, pomimo postępującego artretyzmu. Teraz mogłem mu pokazać urok czystych linii i przejrzystych wzorów, pracy rzemieślniczej, która wydobywała jedynie naturalne piękno kamienia.

Widziałem, że zrobiło to na nim wrażenie. Nic nie powiedział, ale jego zachwycone spojrzenie wystarczyło, by napełnić mnie dumą. Nie czułem się tak od dnia, kiedy jako czeladnik przyniosłem swoją pracę do starożytnego cechu murarzy. Cóż za dziwne uczucie dla człowieka od czterdziestu pięciu lat w swoim zawodzie!

Pozwoliłem mu buszować po całym pustym budynku, dotykać, zadawać pytania. Czasami wyrażał krytyczne uwagi, które wprawiały mnie w osłupienie swoją przenikliwością i trafnością i w niezwykły sposób były obrazem moich własnych spostrzeżeń.

Ale później, kiedy na plac przed domem przybyła ekipa ciesielska, chłopiec natychmiast skulił się przy ścianie.

- Muszę już iść – stwierdził tylko. Oczy spoza maski już wypatrywały najlepszej drogi ucieczki.

Położyłem mu rękę na ramieniu, żeby go uspokoić.

- Gdzie mieszkasz? – zapytałem nagle.

- Nigdzie. – Patrzył na moją dłoń leżącą na jego ramieniu. Nie próbował się odsunąć, tylko patrzył, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś dotyka go bez zamiaru zadania mu bólu. – Czasami jeżdżę po jarmarkach. Słyszałem, że na Trastevere jest targ, więc zostawiłem konie za murami i

przyszedłem sprawdzić, czy na ulicach jest spokojnie...
Mówił obojętnym tonem, ale dotknął jednym palcem mojej dłoni. Wodził nim po zgrubiałych żyłach i suchej, pomarszczonej skórze, szorstkiej i zniszczonej przez lata kontaktu z kamiennym pyłem.
- Muszę już iść – powtórzył smutno.
- Ale przyjdziesz jeszcze? – nalegałem, nieco zdziwiony swoją własną niechęcią, by zniknął bezpowrotnie w labiryncie uliczek Rzymu. – Przyjdziesz, prawda? Jeszcze tyle chciałbym ci pokazać...
Coraz więcej ludzi kręciło się po dziedzińcu pod nami, pozdrawiali się i przeklinali upał, który mimo wczesnej pory zaczynał być dotkliwy. Chłopiec spojrzał w dół przez puste okno. Sama sylwetka jego boleśnie wychudzonego ciała odzwierciedlała głęboki wewnętrzny konflikt. Wiedziałem – wydaje mi się, że byłem tego świadomy od pierwszej chwili – że miał kłopoty, że ciągnął się za nim łańcuch jakichś niewypowiedzianych przestępstw. Ciemność, która spowiła jego duszę, zdawała się rzucać cień na moją własną. Miałem wrażenie, że na moich oczach to dziecko tonie w mrocznych wodach swej własnej przeszłości. Czułem nieodparte pragnienie, by rzucić mu linę ratunkową i wyciągnąć z zatrutych odmętów, gdyż cokolwiek zrobił – a z pewnością nie było to byle co! – nie mogłem uwierzyć, że jest zły. Nie po tym, jak dotknął mojej dłoni z niemym zachwytem niewinnego dziecka.
- Wróć! – przekonywałem go. – Będę tu na ciebie czekał jutro o świcie.
Odwrócił się i spojrzał na mnie badawczo, jakby chciał znaleźć

potwierdzenie moich słów w wyrazie mojej twarzy.
- Jutro o świcie – powtórzył cicho.
Usłyszeliśmy odgłos ciężkich kroków na schodach i nagle, bez ostrzeżenia, chłopiec wyśliznął się przez puste okno i bezszelestnie zeskoczył na podwórze.
Kiedy wyjrzałem przez okno, już go tam nie było.
Zawsze byłem człowiekiem trzeźwo myślącym i gdyby ktoś mnie zapytał przed tym dziwnym wydarzeniem, odpowiedziałbym, że jestem ostatnim kandydatem do metafizycznych olśnień.
Miałem pięćdziesiąt osiem lat, był to poważny wiek w profesji, która szybko niszczyła zdrowie. Ciągły kurz i kamienne opiłki przez lata gromadziły się w płucach każdego kamieniarza, a ciężka fizyczna praca rujnowała mięśnie nawet najsilniejszych mężczyzn. Niewielu z nas dożywało czterdziestki bez uciążliwego kaszlu, który był zwiastunem śmierci. Ja miałem więcej szczęścia, dopiero przed kilku laty moje płuca zaczęły zdradzać pierwsze objawy choroby.
Miałem w swojej karierze zawodowej momenty chwały. Moja praca z Giuseppe Valadierem na Piazza del Popolo utwierdziła moją reputację jako jednego z najlepszych budowniczych w Rzymie. Moje dzieła zyskiwały tak przychylne opinie, że stałem się nie tylko dobrym rzemieślnikiem, ale i człowiekiem zamożnym. Konsekwencją tego był fakt, że od przeszło dziesięciu lat nie musiałem już przyjmować czeladników.

Ostatni chłopiec, którego podjąłem się uczyć, rozczarował mnie. Po sześciu miesiącach wytężonej pracy, wystarczyła jedna bezczelna uwaga, bym stwierdził, że chłopak od początku nie zasługiwał na moje zainteresowanie. Odesłałem go do domu nieodwołalnie i postanowiłem więcej nie słuchać niczyich rekomendacji. Uznałem, że jestem za stary i zbyt przywiązany do swoich nawyków, by męczyć się z niezdarnym młokosem i w ogóle znosić zamieszanie, jakie obecność chłopca powoduje zwykle w domu. Słyszałem, że mało kto przyjmuje teraz uczniów pod swój dach; większość mistrzów zadowala się tym, by praktykanci przychodzili na lekcje, a przez resztę czasu pozostawali pod opieką swoich matek. Osobiście uważam, że tradycyjne metody, wywodzące się jeszcze od budowniczych gotyckich katedr, są lepsze. Młody rzemieślnik powinien we wszystkim naśladować swego mistrza, a to nie jest możliwe, jeśli chłopiec nie siedzi z nim przy jednym stole, nie wdycha tego samego powietrza, pomysłów, poglądów... Nie, stare metody były niedoścignione, oczywiście, jeśli ktoś miał dość cierpliwości, by je stosować. System kontraktowy był początkiem końca zawodu. Zbyt wielu chłopców zadowalało się odrobiną wiedzy, woleli podróżować po kraju budując stodoły, niż poddać się surowej dyscyplinie siedmioletniego stażu. Wkrótce nie zostanie już nikt z dawnych mistrzów – tylko zręczni, lecz bezduszni robotnicy kontraktowi, których nie obchodzi, czy budynek, który ukończą, będzie stał na swoim miejscu tysiąc lat później, czy nie.

Byłem stary, a moje płuca zaczęły się przecierać jak skóra w zużytym miechu. Nie było to jednak jedynym powodem mojego głębokiego niezadowolenia i frustracji, która zatruwała mi radość z każdej ukończonej pracy. Nawet gdy byłem w pełni sił, nigdy nie udało mi się znaleźć czeladnika, który nie marzyłby tylko o tym, by jak najszybciej skończyć ćwiczenia i wrócić do chłopięcych rozrywek. Uwielbiali bić się i włóczyć po ulicach, a wieczorami wystawali z coraz to nowymi dziewczętami w ciemnych alejkach. Powtarzałem sobie, że gdybym miał syna, który przejąłby mój warsztat, wszystko wyglądałoby inaczej, ale chociaż rozsiewałem moje nasienie pracowicie i z ochotą, oczekiwana nagroda nie nadchodziła. Miałem trzy córki, pospolite lecz pracowite dziewczyny, które wcześnie powychodziły za mąż i nie sprawiały mi żadnych kłopotów. Od tamtego czasu minęło dziesięć lat, w ciągu których porzuciłem nadzieję i starałem się przyjąć swój los z godnością. Aż tu nagle... Luciana!

Moja żona płakała żałośnie w nocy, kiedy urodziła się Luciana, a i ja sam pochyliłem się nad kołyską przygotowując się w myśli na bolesny zawód. Ale kiedy tylko rozchyliłem kołderkę, byłem oczarowany widokiem, który zobaczyłem. Nie była pomarszczona jak, przypuszczałem, są wszystkie noworodki. Już wtedy była przepiękna, a jej malutka rączka, która zacisnęła się na moim palcu, była tylko symbolem potęgi, z którą zawładnęła moim sercem w ciągu następnych lat.

Luciana nie umiała porozumieć się z matką, nawet kiedy była jeszcze bardzo mała. Gdy wracałem do domu, zawsze musiałem wysłuchać narzekania na jej zachowanie, a rozpalona, zapłakana i tragicznie skrzywiona twarzyczka wtulała się w mój płaszcz. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś będę musiał wysłać ją z domu z obawy o własne zdrowe zmysły. Nawet mi to nie przyszło do głowy...
Ale nie będę teraz myślał o Lucianie! Nie teraz!
Pomyślę o chłopcu, który powinien był być moim synem...

*

- Chcę zobaczyć wszystko – odpowiedział na moje pytanie następnego ranka z rozbrajającą konspiracją w głosie. – Wszystko!
- Masz spore wymagania – odparłem z uśmiechem. – Ale jeśli naprawdę chcesz obejrzeć całe miasto za jednym razem, nie mamy innego wyjścia, jak tylko wspiąć się na Janikulum. Ze wzgórza można zobaczyć cały Rzym. Być może nie obejrzysz wszystkiego, ale to powinno wystarczyć.
Wspinaliśmy się w milczeniu stromą ścieżką pod sosnami aż na szczyt wzgórza. Cisza nie przeszkadzała mi i pozwoliła przyjrzeć mu się dokładniej w dziennym świetle. Prowadził dwa przepiękne konie, jednego czarnego, a drugiego śnieżnobiałego, obie klacze, wspaniale utrzymane i noszące dobrze wyważone torby, ale bez siodeł i uprzęży. Zapytałem, w jaki sposób panuje nad zwierzętami bez wędzidła.
- Nie używam wędzidła – odparł chłodno. – To zbyteczne okrucieństwo. Te konie idą za mną, bo same chcą; to nie jest sprawa panowania.

Wtedy zauważyłem, że nie prowadził tych zwierząt. Szły za nim same jak psy. Kiedy się zatrzymaliśmy, nie przywiązywał ich, po prostu podniósł rękę i pogłaskał każdą z klaczy, zanim odwrócił się, by podziwiać widok.

- Och! – powiedział tylko.

To nie było nawet słowo, raczej westchnienie zachwytu. Słyszę ten głos często w moich niespokojnych snach, głos duszy podnoszącej się z upadku. Patrzyłem, jak podszedł do urwiska niczym zahipnotyzowany; przez moment przeraziła mnie myśl, że nie zamierza się zatrzymać i spokojnie pójdzie aż w zdradliwą przepaść.

Podbiegłem, złapałem go za rękaw i pociągnąłem w bezpieczne miejsce.

- Uważaj! – powiedziałem z naciskiem. – Piasek jest tu niepewny. Nie podchodź do krawędzi.

- Nie podchodź do krawędzi – powtórzył zamyślony do siebie. – Czy zawsze muszę się trzymać z dala od krawędzi?

Coś w jego niesamowitym głosie sprawiło, że zadrżałem na całym ciele. Wiedziałem, że nie mówił do mnie, ale do jakiejś niewidzialnej istoty, która nagle zjawiła się przy nim. Coś, co było w nim od dawna, a teraz wróciło na chwilę, jak właściciel sprawdzający swoje włości.

Potrząsnąłem go za ramię, a on otworzył oczy i spojrzał na mnie zaskoczony, jakby to nie mnie spodziewał się zobaczyć. Po chwili przypomniał sobie gdzie jest i znowu odwrócił się, by patrzeć na Rzym, jakby nic się nie stało.

- Co to za fasada tam na prawo? – zapytał z nagłym zainteresowaniem.
- Kościół Santa Maria d'Aracoeli – odpowiedziałem, patrząc na niego niepewnie. – Ta spłaszczona kopuła to Panteon, a tuż za nim pałac na Kwirynale. Tam na lewo – Wskazałem ręką, - widać Zamek Świętego Anioła. Ten wielki park przed tobą to Villa Borghese, a te dwie wieże na jego skraju – nie, nie tam, przed tobą, widzisz?
- Tak, proszę pana... dwie wieże. Co tam jest?
- To Villa Medici.
Zareagował na te słowa, jakbym go uderzył; odwrócił się z zaciśniętymi pięściami, jakby nie mógł dłużej znieść widoku, który przed chwilą tak go zachwycał.
- Słyszałeś o Villi Medici? – zapytałem ciekawie.
- O tak – odpowiedział głosem, który zdawał się wpadać w jakąś bezdenną otchłań. – Słyszałem!
Wciągnął gwałtownie powietrze i mówił, jakby powtarzał wyuczoną na pamięć lekcję.
- Willa została zbudowana w szesnastym wieku dla Kardynała Ricci de Montepulciano, w roku 1576 stała się własnością rodzimy Medici. Od roku 1803 jest siedzibą Akademii Francuskiej, po tym jak Palazzo Salviati został ograbiony i spalony w czasach rewolucji. Akademia przyjmuje artystów malarzy, muzyków i architektów. Wstęp mają tam tylko zwycięzcy konkursu o Grand Prix de Rome! -
Bezsilny wobec czarnej rozpaczy, która nagle go ogarnęła, mogłem tylko

stać w milczeniu, dziwiąc się, skąd cygańskie dziecko wzięło taką wiedzę i dlaczego samo wspomnienie o tym wprawiało go w tak gwałtowną furię.

Wyrwał się raptownie i wrócił do koni, jakby zamierzał odjechać bez słowa; powoli wracał do siebie. Po dłuższej chwili podszedł niepewnie w moją stronę.

- Przepraszam – powiedział po prostu. – Nie chciałem być niegrzeczny. Jeśli mógłby mi pan wybaczyć, bardzo bym chciał zobaczyć wszystko, co zechce mi pan pokazać.

Dziwny, niepokojący chłopiec, a jednak, im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej mnie fascynował. Coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że potrzebujemy się nawzajem.

Przyjąłem jego rozbrajające przeprosiny bez wahania i dalszych komentarzy.

- Chodź – powiedziałem z prostotą równą jego własnej. – Pójdziemy do Koloseum.

*

W ciągu następnych dwóch tygodni spotykaliśmy się regularnie a dni, kiedy go nie widziałem, pełne były niewyjaśnionego niepokoju. Osobistych informacji udzielał mi z największą niechęcią, jakby najmniejsze zwierzenie mogło uczynić wyrwę w murze, którym odgrodził się od świata. Wypytywanie go przypominało próby otwarcia ostrygi, ale wciąż nie mogłem pozbyć się wrażenia, że łagodny nacisk

doprowadzi mnie w końcu do odkrycia bezcennej perły.
Dopiero po tygodniu zdradził mi swoje imię i wyjawił, co porabia na targu na Trastevere.
- Robię sztuczki magiczne – powiedział z lekko pogardliwym wzruszeniem ramion. – To nie są prawdziwe czary, jeszcze nie, ale ludziom podoba się byle co.
Wyciągnął przed siebie dłonie teatralnym gestem i nagle upuścił mi do ręki sakiewkę.
Ta sakiewka była moja!
- Widzę, że nie głodujesz – zauważyłem sucho, wkładając sakiewkę z powrotem do kieszeni. – Dlaczego jej nie zatrzymałeś? Przecież miałeś taki zamiar, czyż nie? Nigdy bym się nie zorientował.
- To nie byłoby właściwe. – Westchnął.
- Ale inne zatrzymałeś...
- O tak – przyznał się wesoło. – Nie raz.
- Nie wstyd ci, że okradasz ludzi?
- Nie – odpowiedział. – Nie lubię ludzi. – Przez chwilę się zawahał, a potem dodał ledwo dosłyszalnym szeptem: - Z zasady.
Pomyślałem o Trastevere, jednej z najgorszych dzielnic Rzymu, siedlisku szarlatanów i wszelkich szubrawców. Pomyślałem o jego dłoniach, tych szczupłych, zwinnych instrumentach oszustwa, które mogłyby zająć się szlachetniejszą pracą, gdyby tylko... gdyby tylko...
Powstrzymałem się, by nie westchnąć.

- Chyba powinieneś zobaczyć Watykan – powiedziałem jedynie.
Upewniłem się, że przyjdziemy do wielkiej bazyliki, kiedy nie będzie w niej ludzi, z wyjątkiem kilku może pochłoniętych modlitwą pielgrzymów. Przez dwie godziny obserwowałem, jak podziwiał cuda architektury minionych wieków. Jego szczery zachwyt sprawił, że znów poczułem się młody, jakbym patrzył na wszystko na nowo jego oczami. Tego dnia, kiedy odpowiadałem na jego szeptane pytania, było tak, jakbym ja sam po raz pierwszy widział katedrę świętego Piotra. Kolory wydawały mi się żywsze, sklepienia pełne większego majestatu, idealna harmonia proporcji bardziej inspirująca. Nigdy dotąd nie czułem się tak bliski Boga, tak pewien Jego obecności.
Wielki kościół rozbrzmiewał echem, kiedy podeszliśmy do brązowej figury świętego Piotra. Zatrzymałem się w zwyczajowym geście szacunku i dotknąłem czołem prawej stopy posągu, której palce przez stulecia wytarły się od podobnych gestów tysięcy pielgrzymów. Spojrzałem na klucze do niebios, które święty trzymał przy swoim sercu i prawą dłoń wzniesioną, by dać nadzieję niezliczonym grzesznikom. Następnie odsunąłem się odruchowo; spodziewałem się, że Erik powtórzy mój gest.
Przyglądał się rzeźbie z naukową ciekawością, ale nie zbliżył się, by jej dotknąć. Zdawałem sobie sprawę, że świadomie odmawia okazania szacunku.
- Mówi się – zacząłem nieśmiało – że jeśli grzesznik pocałuje stopę

świętego Piotra, otrzyma od Boga pierwszą nadzieję zbawienia.
Erik odwrócił się do mnie powoli.
- Nie ma Boga – powiedział z cichą, smutną pewnością. – Są piękne kościoły, piękna muzyka... ale nie ma Boga.
Patrzyłem na niego, kiedy szedł pustą nawą. Nie umiałem przekonać go, by spojrzał na słynną Piętę Michała Anioła przedstawiającą Matkę Boską ze zwłokami Syna. Zdumiała mnie chłodna uprzejmość, z którą odmówił mojej propozycji obejrzenia tego dzieła.
Obawiam się, że wreszcie zrozumiałem.
Kiedy wyszedłem przed bazylikę, stał na środku Placu Świętego Piotra i oglądał podwójną kolumnadę z posągami świętych. Kiedy jednak podszedłem, nagle zwrócił wzrok na obelisk stojący na środku placu, wykonany przez pogańskich Egipcjan przed narodzeniem Chrystusa.
Zrozumiałem ten gest; nie życzył sobie słuchać o Bogu. Gdybym zakwestionował jego zachowanie w bazylice, byłby to koniec naszej dziwnej znajomości; byłem pewien, że więcej bym go nie zobaczył.
W odpowiedzi na jego gwałtowną, lecz niemą prośbę, przełknąłem komunały, które cisnęły mi się na język.
- Kiedy kończy się jarmark na Trastevere? – zapytałem.
- Jutro. – Nie patrzył na mnie.
- Jutro mam sprawy do załatwienia w kamieniołomach wapienia Tivoli – powiedziałem szorstko. – Będę przejeżdżał o świcie Via Tiburtina. Lepiej się zdecyduj, w którą stronę masz zamiar się udać.

Teraz ja odwróciłem się ze złością.
Czułem na sobie jego żałosne spojrzenie, ale z całej siły powstrzymywałem się, żeby się nie obejrzeć.
Nazajutrz, kiedy spotkałem go, gdy czekał na mnie na starej rzymskiej drodze wraz z obiema klaczami, poczułem ulgę i satysfakcję.
Do wzgórz Tivoli było prawie trzydzieści kilometrów, ale nasze konie były świeże i pokonaliśmy tę odległość bez problemu. Zarządca kamieniołomu był moim starym znajomym i miał wszelkie powody do wdzięczności za niezliczoną ilość zamówień, których dostarczałem mu przez lata. Nie robił najmniejszych trudności, kiedy oznajmiłem, że chciałbym, żeby chłopiec mógł w spokoju posiedzieć godzinę lub dwie przy bloku trawertynu.
- Nowy uczeń? – zapytał zdziwiony.
- Być może – odpowiedziałem wymijająco.
- Zaskakujesz mnie, Giovanni. Nie spodziewałem się po tobie, że zechcesz zawracać sobie głowę szkoleniem chłopaka, kiedy możesz zatrudnić najlepszych robotników w mieście.
Zmarszczyłem brwi, a on wzniósł ramiona w udawanej obronie.
- Pilnuj swego nosa, Luigi – powiedział do siebie z humorem. – Nikt nie jest ciekaw twoich opinii, to mi chcesz powiedzieć?
- Potrzebne nam będą narzędzia – przypomniałem mu skwapliwie.
- Czuj się jak u siebie w domu, Giovanni. Wydobyłeś stąd już niejeden blok, wiesz, że nie musisz mnie pytać o pozwolenie.

Słońca prażyło niemiłosiernie, zamieniając kamieniołom w białe piekło, pełne duszącego pyłu. Wybrałem spokojne stanowisko pracy, oddalone od pozostałych robotników. Erik stał w samej koszuli dotykając białego, brudnego kamienia z niesmakiem.

- Nie przypuszczałem, że to będzie tak wyglądać – powiedział. – Jest taki nierówny, porowaty i... pospolity.

- Nie jest to może najpiękniejszy kamień na świecie – przyznałem chłodno. – Ale skoro był dość dobry dla Cezara, to i dla ciebie musi wystarczyć.

Roześmiał się nagle; dźwięk jego śmiechu poniósł się po kamieniołomie, a jego spontaniczność i niewinność napełniły moje serce radością.

- Proszę, niech mi pan pokaże, co mam robić – powiedział z prostotą, przez którą prawie zapomniałem o jego ateizmie.

Kiedy włożyłem do jego rąk stare narzędzia pomyślałem, że jeszcze nie jest za późno powiedzieć mu: „Niech się stanie światłość".

Wróciliśmy do Rzymu po północy, ale ulice wciąż jeszcze pełne były rozbawionego tłumu. Muzyka sączyła się z tawern i kawiarni, a wokół pomników i fontann przyjaciele gromadzili się, by z młodzieńczą zapalczywością dyskutować o Młodych Włoszech.

Zauważyłem, że na widok zbiorowiska ludzi chłopiec zesztywniał i odruchowo sięgnął do noża za pasem, więc aż do mojego domu prowadziłem go bocznymi uliczkami.

- Co to za miejsce? – zapytał ostrożnie, kiedy dałem mu znak, żeby

zsiadł z konia i wszedł ze mną na małe podwórko.
- Mieszkam tutaj – odpowiedziałem.
Odsunął się o krok.
- Dlaczego pan mnie tu przyprowadził? – szepnął.
Przerażenie w jego głosie i nagły strach w oczach wystarczyły mi za odpowiedź. Tego chłopca wykorzystano w najgorszy sposób. Poczułem, że wzbiera we mnie wściekłość na nieznanego prześladowcę.
- Przyprowadziłem cię, żebyś mógł się przespać w spokoju i nie spędzał nocy na ulicy – powiedziałem spokojnie. – Nie poproszę cię o zapłatę w jakiejkolwiek formie.
- Pozwoli mi pan tu spać? – zapytał zaskoczony. – Przyjmie pan pod swój dach złodzieja i...
Przerwał raptownie, zanim zdążył wypowiedzieć słowo, którego bałem się usłyszeć. W milczeniu oporządziliśmy konie, a potem otworzyłem drzwi i gestem zaprosiłem go do środka.
Wszedł powoli, z nerwową ostrożnością, która nasuwała mi skojarzenia z głodnym zwierzęciem, które wychodzi z lasu lekceważąc swój instynkt. Kiedy zapalałem naftowe lampy w przestronnym kamiennym pokoju, stał z rękami przyciśniętymi do klatki piersiowej i patrzył wokół z takim zaskoczeniem, że aż mi zaschło w gardle. Z pewną dozą przerażenia zdałem sobie sprawę, jak ogromnego zadania się podejmę, jeśli zechcę odbudować jego duszę z potrzaskanych ruin.
Zostawiłem go na chwilę samego i poszedłem do piwnicy po dzbanek

wina. Kiedy wróciłem, stał przy starym szpinecie, bezszelestnie wodząc palcami po zakurzonych klawiszach. Wyczuwałem w nim tęsknotę.

- Kto na tym gra? – zapytał nagle.

- Teraz już nikt – odparłem z westchnieniem. – Jest w rodzinie od lat, ale żadne z moich dzieci nie miało zdolności muzycznych. Zastanawiałem się, czy go nie sprzedać, zajmuje tyle miejsca i tylko gromadzi kurz.

Ponownie pogładził drewno z tęskną rezygnacją.

- Jak pan może o tym myśleć? – powiedział żałośnie. – To taki piękny instrument... Chciałbym –

- Tak?

Milczał,

- Umiałbyś na nim grać? – nalegałem.

Pokiwał głową patrząc na klawisze.

- Mógłbym go przenieść do piwnicy, gdybyś chciał.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- To znaczy, że mogę tu zostać? Dlaczego?

Wzruszyłem lekko ramionami.

- Może przydałby mi się czeladnik... – powiedziałem.

Zapadła cisza. Powoli odwrócił się ode mnie i na chwilę przycisnął obie dłonie do maski.

- Skłamałem, kiedy powiedziałem, że nie mam mistrza – powiedział cicho. – Jestem związany inną przysięgą.

Nie musiałem pytać, kogo nazywał swoim mistrzem. Śmierć naznaczyła

go sobie jak jagnię.
Podszedłem do pustego kominka i zacząłem powoli napychać tytoń do fajki.
- Czy nie jesteś jeszcze zbyt młody, by z taka pewnością wiedzieć, co chcesz robić w życiu? – zapytałem po chwili, nie patrząc w jego stronę.
Znowu milczał, więc odłożyłem fajkę nawet jej nie zapaliwszy.
- Zobowiązania mogą być rozwiązane w każdej chwili podczas terminu. I to niezależnie od tego, jak mroczna jest profesja, Eriku. Nawet najsurowszy mistrz nie zatrzyma cię przy swoim rzemiośle wbrew twej woli. Ale pamiętaj, choćbyś nie wiem jak długo terminował, jeśli zerwiesz umowę, nigdy nie będziesz mógł nazwać się mistrzem tej profesji.
Uparcie milczał, wpatrując się w stary szpinet, ale po jego napiętych ramionach poznawałem, że toczy się w nim wewnętrzna walka. Z niechęcią myślał o porzuceniu jedynego mistrza, który stworzył mu nadzieję bezpieczeństwa i dumy. Diabeł ma swoje sposoby, by wymóc szacunek i lojalność na swoich czeladnikach, to bardzo charyzmatyczny mistrz. Może mimo wszystko traciłem czas...
Klawisze poruszyły się pod palcami Erika, wydając kilka niezwykle melodyjnych dźwięków, które przez chwilę unosiły się w powietrzu i słodko odbijały od ścian, zanim zamarły w głuchej ciszy.
W końcu odwrócił się i spojrzał na mnie przez cały pokój.
- Chciałbym obejrzeć piwnicę, proszę – powiedział.

*

Przez kilka pierwszych tygodni pozwalałem mu pracować na placu budowy tylko pod nieobecność moich pozostałych robotników i wyłącznie pod moją ścisłą opieką. Wciąż nie zdradzał najmniejszych chęci, by zdjąć maskę, a ja zdawałem sobie sprawę, że ta ponura ekstrawagancja będzie nieuniknionym powodem zatargów na budowie. Nie przetrwałby długo, gdyby nie wiedział, jak posługiwać się tym, co nosił za pasem.

Wkrótce obrabiał kamień, jakby urodził się z dłutem w ręku. Każda partia zaprawy, którą dla mnie przygotował, była idealnie taka sama jak poprzednie, aż się zastanawiałem, w jaki sposób udawało mu się to zawsze i bez wyjątku. Mikstura była prosta: jedna część drobnoziarnistego włoskiego cementu, dwie części czystego rzecznego piasku i jedna świeżo palonego wapna, ale większość czeladników namęczy się i zmarnuje sporo materiału, zanim zrobi przyzwoita zaprawę. Bóg raczy wiedzieć, ile razy sam oberwałem od mojego mistrza, zanim udało mi się opanować ten proces.

Być może łatwość, z którą uczył się wszystkiego, co umiałem powinna była mnie złościć, ale nie mogłem się nadziwić jego zdolności przyswajania wiedzy. Zdawało się, że stawał się jednością z kamieniem; instynktownie wyczuwał jego mocne i słabe strony, traktował go z uwagą i szacunkiem jak żywą istotę. Nie chciał nosić rękawic, które chroniłyby go przed bolesnymi odłamkami; lubił dotykać kamienia

gołymi rękami i często zauważał błędy w jego strukturze, które umknęłyby bardziej doświadczonemu oku.
Wreszcie, o wiele szybciej niż się spodziewałem, nadszedł dzień, kiedy wiedziałem, że Erik nie nauczy się już nic nowego w tym kamieniarskim przedszkolu. Zabrałem go więc ze sobą na plac budowy i uczyniłem odpowiedzialnym za istotny kawałek pracy. Pracowało tam już kilku wyrostków; zauważyłem, że wymienili porozumiewawcze spojrzenia i chrząknięcia, które nie brzmiały zachęcająco.
Kiedy w południe wróciłem na plac budowy, a mężczyźni odpoczywali w cieniu z powodu wściekłego upału, od razu, po sposobie, w jaki podszedł do mnie Gillo Calandrino poznałem, że były kłopoty.
- Ten nowy chłopak jest nieznośny! – powiedział Calandrino ponuro i wytarł ręce w fartuch.
Zmarszczyłem brwi.
- Nie chce się uczyć? Jest bezczelny?
Mężczyzna chrząknął pod nosem w sposób, który zabrzmiał jak tłumiony śmiech.
- Nie twierdzę, że nie chce się uczyć. Wycisnął mi dziś mózg jak gąbkę swoimi pytaniami!
- Więc o co chodzi? – zapytałem z rosnącą irytacją.
- Proszę o wybaczenie, ale on ma nie po kolei w głowie. Pół godziny temu prawie pozabijał dwóch z naszych chłopaków. Zwolniłem Paola do domu, żeby opatrzono mu rękę. To była paskudna rana zadana nożem...

Wątpię, czy Paolo będzie mógł pracować do końca tygodnia.
- Chłopiec z pewnością został sprowokowany – powiedziałem zimno.
- Nic mi o tym nie wiadomo, panie majster – odparł Calandrino, nagle unikając mojego wzroku. – Ale widziałem, że zachowywał się jak szalony dzikus. Kiedy chciałem ich rozdzielić, o mało nie rzucił się również na mnie. A mówię szczerze, dwa razy się zastanowiłem, zanim podszedłem do niego z tym nożem. Już on dobrze wie, jak używać broni – co do tego nie ma żadnych wątpliwości.
- Ale nic ci nie zrobił.
- No... nie - przyznał murarz niechętnie. – W jednej chwili wrócił do siebie i się cofnął. Ale chłopakom się wcale nie dziwię, panie majster. Chcieli sobie tylko pożartować. To chyba zrozumiałe, że chcieli się przekonać, co on tam chowa pod tą maską, nie? Każdy byłby ciekaw...
- A podobno nie widziałeś, co zaszło.
Mężczyzna zarumienił się pomimo opalenizny i wzruszył ramionami.
- Chłopcy to tylko chłopcy, panie majster. A jeśli chce pan mojej rady, to tego tam powinno się zamknąć! Oberwał przy tym kilka dachówek, jeśli się nie mylę.
- Nie potrzebuję twoich rad! – wykrzyknąłem nie panując nad sobą. – Liczyłem na to, że pod moją nieobecność będzie tu porządek. Jeśli ty nie potrafisz go zapewnić, to może powinienem sobie poszukać kogoś innego. A co do robotników, powiedz mi, że nie zatrudniam ich, żeby folgowali swojej ciekawości. Jeszcze raz usłyszę o jakichś kłopotach i

wszystkich zwolnię! Czy wyrażam się jasno?
- Tak jest, panie majster. – Robotnika zatkało z wrażenia.
- To na co jeszcze czekasz? Wracajcie do pracy!
Calandrino rzucił mi niechętne spojrzenie i odwrócił się, by odejść.
- Zaczekaj! – zatrzymałem go. – Gdzie jest teraz chłopiec?
Mężczyzna wskazał palcem na szczyt rusztowania. Mrużąc oczy dostrzegłem małą, skuloną postać przywartą do słupa na najwyższej kondygnacji i narażoną na najgorszą spiekotę.
- Pozwoliliście nienauczonemu dzieciakowi wejść tak wysoko?
- Nie prosił o pozwolenie, panie majster – odparł murarz sarkastycznie, ale tym razem wolałem udać, że tego nie zauważyłem. – Wyskoczył tam, zanim ktokolwiek zdążył się obejrzeć. Chłopaki zakładali się czy spadnie...
Gestem ręki kazałem mu odejść, więc poszedł mamrocząc coś pod nosem.
Wdrapałem się na szczyt rusztowania, gdzie na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości siedział skulony chłopiec patrząc się prosto w słońce. Kiedy podszedłem, wstał niepewnie i spojrzał na mnie spod oka. Wiedziałem, że czeka, aż go ukarzę.
- Nic ci się nie stało, Eriku?
- Nie, proszę pana. – Był zaskoczony, że o to zapytałem.
- Chodź, zejdziemy na dół. Będę dziś potrzebował twojej pomocy.
Nie czekając na jego odpowiedź wróciłem na ziemię. Ale do końca dnia,

kiedy skrupulatnie wykonywał moje polecenia widziałem, że jego oczy śledziły mnie z wyrazem zdziwionej wdzięczności.
Tydzień później podsłuchałem, jak robotnicy rozmawiali przed zejściem z budowy o zmierzchu.
- Dopadniemy go, jak tylko majster sobie pójdzie, zgoda? Ściągniemy mu tę maskę i zobaczymy, co tam ma pod nią.
- No pewno! I jeszcze dodamy temu spryciarzowi parę siniaków w dowód uznania!
- Lepiej go zostawcie, jeśli macie resztkę rozumu w głowach. Jeszcze się nie domyśliliście, kto to taki?
Calandrino przerwał te dyskusję i uciszył ich na chwilę. Słuchałem wytężając uszy, co też chciał im powiedzieć.
- Więc mówisz, że wiesz, kim on jest? – To był głos Paola, ten nigdy nie lubił czekać.
- Matko Boska! – Calandrino przerwał i splunął. – Myślałem, że to jasne nawet dla takich ptasich móżdżków jak wy! Od jak dawna majster nie przyjął żadnego czeladnika? Musi być co najmniej z dziesięć lat!
- Co z tego?
- A to, że czy nikogo nie dziwi, że stary przyprowadza chłopaczka w masce i pilnuje go jak kwoka kurczęcia?
- Chyba nie przypuszczasz –
- Ależ tak, przypuszczam! A dlaczegóżby nie, u licha? Niezły był z pana majstra babiarz w swoim czasie, nie pamiętacie? Kiedy człowiek z

wianuszkiem córek sprawi sobie syna z nieprawego łoża, to raczej go tak nie zostawia. Ale nasz majster to mistrz cechowy, szanowana figura, członek loży masońskiej... Jeszcze byśmy sobie pomyśleli, że jest nie lepszy od kogokolwiek z nas! Tak więc wymyślił sobie, że wszystko, łącznie z przeszłością, da się ukryć pod maską. Widzieliście ich razem, pomyślcie no o tym! Wszystko układa się w zgrabną całość, a jeśli wam jeszcze mało dowodów, to przypomnijcie sobie, co wam powtarzam od pół roku – panu majstrowi wyraźnie czegoś było bark, odkąd starsza pani umarła, a dziewczynę odesłał z domu!

- Santa Maria!

- Dokładnie! Mówię wam, jeśli sprawa z chłopakiem się wyda, możemy się żegnać z pracą. Dlatego radzę wam, trzymajcie się od tego z daleka. Nie wiadomo, co może wyniknąć z mieszania się w prywatne sprawy majstra... A chłopak nikomu nie przeszkadza, jeśli go zostawić w spokoju. Robi więcej, niż do niego należy bez szemrania i nigdy nie donosi staremu, że podsuwamy mu dodatkową robotę.

Stałem słuchając tej rozmowy z dziwną mieszaniną uczuć, a moi pracownicy dalej podawali w wątpliwość moje dobre imię. Nie byłem pewien, co o tym myśleć. Z jednej strony, chciałem wyjść zza ściany, która mnie skrywała i zrugać ich zdrowo za bezczelne zachowanie, z drugiej wiedziałem, że moje milczenie zapewni Erikowi bezpieczeństwo. Nic nie mówiąc i godząc się na te bezpodstawne pomówienia, mogłem uchronić chłopca przed dalszym okrucieństwem. Dać mu czas, by

uwierzył, że cały świat nie jest do niego wrogo nastawiony. Z jakiegoś powodu miał niesamowite szczęście, że nikt nie skojarzył go z targiem na Trastevere. Może podczas występów zakładał jakiś wymyślny kostium i maskę, która wszystkim kojarzyła się tylko z magikiem... A może po prostu nie występował tam. Nie wiedziałem nic na pewno, nie miałem żadnych dowodów, ale zdawałem sobie sprawę, że szczęście uśmiechało się do tego dziecka nadzwyczaj rzadko. Nie miałem zamiaru pozbawiać go tej odrobiny. Dlatego postanowiłem milczeć.

Właściwie, kiedy oswoiłem się z tą myślą, spostrzegłem, że nie było to z mojej strony specjalne poświęcenie. Dzięki plotkom zyskałem syna, który nie dawał mi powodów do narzekań; nie odmówiłbym temu chłopcu ochrony, którą zapewniało moje nazwisko.

Kiedy robotnicy zeszli z placu budowy, wyszedłem z ukrycia i obserwowałem, jak Erik zbiera narzędzia, których używał cały dzień. Wszystkie kielnie, kątowniki i dłuta, które należały do mnie i na noc były zamykane w składziku.

Kiedy skończył, wstał i przeszedł się po terenie sprawdzić wykonaną pracę. Studiował fragmenty, jakby chciał je zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach. Światła było coraz mniej – był w końcu początek października, a w powietrzu czuło się nadciągającą burzę.

- Eriku!

Na dźwięk mojego głosu zerwał się tak gwałtownie, jakby przez cały czas sądził, że jest sam.

- Zostaw to już, chłopcze. Jutro też jest dzień.
Popatrzył na mnie z zaskoczeniem. Tego pojęcia nigdy nie był w stanie zrozumieć.
- Nie od razu Rzym zbudowano – powiedziałem łagodnie i dałem mu znak, żeby podszedł. – Rzemiosło wymaga cierpliwości. Chodź już, idziemy do domu.
Czekałem aż zaniesie narzędzia do składziku. Poruszał się miękko, płynnie, z kocią gracją. Mimo niezwykle wysokiego wzrostu nie było w nim typowej dla jego wieku niezgrabności.
Szliśmy obok siebie ciemniejącymi ulicami. Nie widziałem jego oczu, więc nie mogę być pewny, ale wydawało mi się, że tej nocy po raz pierwszy się do mnie uśmiechnął.
Nawet nie próbowałem określać granic jego zainteresowań i pracy, którą pozwalałem mu się zajmować. Ignorując starożytne tradycje i coraz większą niechęć pozostałych robotników, po prostu nie przeszkadzałem mu w rozwoju. W ciągu sześciu miesięcy nauczył się operować dłutem, polerować i wykonywać płaskorzeźby zgodnie z moimi zaleceniami. Mógł samodzielnie wykonywać i układać ciosy kamienne. Ściany, które wznosił, były niezmiennie idealnie wykończone i gładkie. Nawet nie musiałem sprawdzać, czy wezgłowniki łuków albo wyżłobienia na ołowiane zawieszenia parapetów są prawidłowe. Erik uznawał tylko jeden standard – doskonałość. Jeśli osądził, że popełnił błąd, nigdy nie wstydził się poprosić o pomoc. Ale błędy popełniał nader rzadko, a jeśli

już, to nigdy dwa razy.

Nigdy nie poruszaliśmy tematu zobowiązań czeladniczych. Nie minął nawet pierwszy miesiąc, a już wiedziałem, że nigdy nie uda mi się związać go uświęconymi tradycją więzami naszego zawodu. Dałem mu więc wolną rękę, a on odwdzięczał mi się za to sumiennością i zdyscyplinowaniem, które wynikały z jego wolnego wyboru. Nigdy nie był mi podporządkowany, a jednak traktował mnie z absolutnym szacunkiem.

Powoli, w ciągu następnych miesięcy, zdałem sobie sprawę, że szacunek ten przeradza się w skrywane przywiązanie. Gdy nadeszła zima, znalazłem mnóstwo drobnych zajęć, by wieczorem zatrzymać go przy sobie. Ktoś musiał rozpalić ogień, podliczyć księgi rachunkowe; zanim zabrakło mi pomysłów zauważyłem, że chłopiec przesiaduje ze mną nieproszony.

W końcu lutego, gdy pogoda nagle się załamała i zmuszeni byliśmy pozostawać w domu spostrzegłem, że stał się podenerwowany i zacząłem się martwić, czy aby nie zamierza mnie opuścić. Zapytał mnie, czy mógłby pojechać na kilka tygodni do Florencji szkicować budynki. Zgodziłem się bez najmniejszego szemrania; zawsze wiedziałem, że nie zatrzymam go wbrew jego woli. Kiedy patrzyłem, jak odjeżdżał w zamieć, nie spodziewałem się, że wróci. Często powtarzał, że chciałby studiować architekturę całego świata; wiedziałem, że z Rzymu z pewnością ruszy do Neapolu i Pompei, do Apulii i Bari, do Aten i

Egiptu. Jego nienasycony głód wiedzy nie pozwalał mu zostać pod moim dachem, a żądza podróży była silniejsza niż moje zakazy.
Ale z końcem marca wrócił i wyładował pokaźny plik rysunków jako dowód swoich podróży. Leżąc w bladym świetle, wsłuchany w ciche dźwięki jego skrzypiec, zdałem sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniłem; jak bardzo brakowało mi jago dziwnej, nieśmiałej obecności w moim domu.
Pewnego dnia wyruszy bezpowrotnie, to było oczywiste. Ale teraz nie mogłem myśleć o tym, że kiedykolwiek zniknie z mojego życia.

*

Pory roku zmieniały się jak zwykle i z nastaniem lata nadeszły gorące, wilgotne dni, które uświadomiły mi mój podeszły wiek i marny stan zdrowia. W pierwszy tygodniu czerwca Rzym omdlewał z nieznośnego upał. Gorąco pozbawiło mnie sił, aż pewnego wieczora wyszedłem na podwórze zaczerpnąć powietrza. Słaniałem się jak gruźlik w sanatorium. W świetle latarni zobaczyłem ślady krwi na chusteczce, w przerwie między atakami kaszlu wpatrywałem się w nią z ponurą rezygnacją. Nagle Erik bezszelestnie znalazł się przy mnie. Spojrzał na zakrwawione płótno z bolesnym zrozumieniem.
- To bardzo poważna choroba – powiedział z troską.
Rozłożyłem bezradnie ręce filozoficznym gestem i schowałem chustkę do kieszeni, by jej widok go nie przygnębiał.
- Niestety, taki już los budowniczych, Eriku. Nie ma lekarstwa dla płuc

pełnych pyłu i odłamków kamienia. Spodziewam się jednak, że pociągnę jeszcze z dobre dwa lata. No chłopcze, nie patrz na mnie tak smutno.
Zawahał się przez chwilę, a potem wyciągnął małą ampułkę, którą najwyraźniej chował za plecami.
- Może zechcesz tego spróbować... – zaczął nieśmiało. – Myślę, że to mogłoby pomóc.
Wziąłem od niego flaszeczkę, otworzyłem i powąchałem mocny, ale dość przyjemny ziołowy zapach.
- Skąd to masz? – zapytałem zaintrygowany.
- Zrobiłem – przyznał się niechętnie. – Nauczyłem się używać ziół u Cyganów.
Łyknąłem odrobinę na próbę i skrzywiłem się.
- Albo mnie to wyleczy, albo zabije, tak?
Roześmiał się. Coraz bardziej uczył się przyjmować pogodnie moje drobne złośliwości, coraz częściej śmiał się ze swej własnej powagi czy ewentualnych błędów.
- To nic w porównaniu z lekarstwem na podagrę – stwierdził niespodziewanie. – Smakuje jak siki skunksa i trzyma człowieka przez cały tydzień w wychodku. W dodatku nie skutkuje – dodał cierpko po chwili.
Wypiłem wywar i zwróciłem mu buteleczkę z uśmiechem.
- Mógłbyś mi teraz pomóc wejść po schodach? – zapytałem.
- Ależ tak. – Wydał mi się kompletnie zaskoczony moją prośbą. –

Oczywiście...

Zbliżył się i podał mi rękę z wyrazem bezmiernego zachwyconego zdziwienia. Wsparłem się mocno na jego szczupłym, lecz zaskakująco silnym ramieniu. Kiedy doszliśmy do pokoju, pomógł mi ułożyć się na łóżku, a potem ukląkł, żeby zdjąć mi buty.

- Dobranoc – powiedział łagodnie. – Mam nadzieję, że teraz wypoczniesz... ojcze – dodał ledwo dosłyszalnie.

Czułem przyjemną senność. Cokolwiek mi dał, złagodziło to uciążliwy kaszel i podziałało uspokajająco. Rozejrzał się po pokoju, jakby chciał się upewnić, że nie zaniedbał niczego koniecznego dla mojej wygody. Kiedy zamknął drewniane okiennice i wrócił postawić mi przy łóżku szklankę wody, wiedziony impulsem wyciągnąłem rękę i ścisnąłem jego zimną dłoń.

- Jesteś dobrym chłopcem, Eriku – powiedziałem z czułością. – Chciałbym wierzyć, że nigdy nikomu nie pozwolisz wmówić sobie, że jest inaczej.

Przez chwilę przytrzymał moje palce w obu dłoniach. Poczułem, że drży. Mój Boże... ten chłopiec płakał... Płakał, ponieważ dotknąłem go z miłością!

- Eriku... – szepnąłem bezradnie.

- Przepraszam! – zająknął się, wypuścił moją rękę i szybko odsunął się od łóżka. – Przepraszam! Proszę mi wybaczyć!

I zanim zdążyłem się odezwać, żeby go zatrzymać, uciekł z pokoju.

Leżałem na poduszkach i wpatrywałem się w sufit. Siła jego skrywanych emocji przypomniała mi, że nieuchronnie zbliżałem się do chwili, której nie sposób było uniknąć.
Nie byłem całkiem szczery, kiedy pozwoliłem mu wierzyć, że jestem wdowcem i mieszkam samotnie, nie licząc wizyt staruszki, która prowadziła mi dom i rzadkich odwiedzin dorosłych córek mieszkających w sporej odległości od Rzymu. Jedenaście miesięcy przemknęło, a ja wciąż jeszcze nie przyznałem się do grzechu zatajenia.
Znowu był czerwiec i niedługo, bardzo niedługo, Luciana miała przyjechać do domu na wakacje.

*

Kiedy Luciana miała trzy lata, ja i jej matka pokłóciliśmy się tak strasznie, że nasze krzyki było chyba słychać u samego papieża w Watykanie. Zaczęło się, gdy Angela – wówczas niezgrabna trzynastolatka – przybiegła na budowę zapłakana, ze spódnicą zaplątaną wokół pulchnych kostek.
- Tatusiu, tatusiu, musisz zaraz przyjść do domu! Mama zamknęła Lucianę w piwnicy, a ona krzyczy, że mało nie popękają szyby! Jeśli nie przestanie, udławi się na śmierć, ale mama mówi, że nie wypuści jej aż do kolacji.
Opuściłem plac budowy wściekły jak chmura gradowa – wszyscy robotnicy patrzyli na mnie z nieukrywanym współczuciem. Luciana była znaną osóbką, nawet kiedy miała trzy lata.

Krzyki usłyszałem o dwie ulice od naszego domu i kiedy wchodziłem przez drzwi, porwała mnie furia.

- Nawet się nie waż jej wypuszczać, Giovanni! – syknęła Izabella, kiedy ruszyłem w stronę piwnicy. – Nie waż się znowu podważać mojego autorytetu w oczach tego przeklętego dzieciaka!

Chwyciła mnie za ramię, kiedy byłem już na szczycie schodów prowadzących w dół do piwnicy.

- Jak śmiesz tak ją traktować! – wrzasnąłem. – Jak śmiesz robić ze mnie głupca przed moimi pracownikami! Zamykasz maleńkie dziecko w ciemnej piwnicy. Czyś ty postradała rozum!

- Ona już nie jest taka mała, ma trzy lata i obiecuję ci, że nie dożyje czwartego, jeśli natychmiast nie nauczy się posłuszeństwa. Dosyć mam jej szantaży, słyszysz mnie, Giovanni? Mam tego serdecznie dosyć! To wszystko twoja wina. Rozpieszczasz ją od dnia, w którym się urodziła i teraz nikt nie przemówi jej do rozsądku, nawet ty sam.

Wbiegłem do piwnicy, wyważyłem kopniakiem drzwi i podniosłem małą, rozszlochaną kupkę nieszczęścia z kamiennej podłogi, gdzie leżała w kałuży wymiocin i moczu.

Zatrzymałem się na schodach, by zmierzyć Izabellę wzrokiem pełnym takiej pogardy, że skuliła się pod ścianą. Byłem tak wyprowadzony z równowagi, że chyba byłbym w stanie uderzyć ją po raz pierwszy w historii naszego dwudziestopięcioletniego małżeństwa.

- To nie jej wina, że nie dałaś mi syna! – powiedziałem nie panując nad

sobą. – Jeśli jeszcze kiedyś zrobisz coś podobnego, będę chyba musiał poszukać sobie bardziej odpowiedniej żony!

Tak właśnie wyglądało niespokojne dzieciństwo Luciany: wrzaski, sceny, niekończące się kłótnie między mną i Izabellą. Dotąd żyliśmy w idealnej harmonii, teraz jej miejsce zajęły ciągłe konflikty, których powodem i prowokatorką była prześliczna mała dziewczynka, osłoda mojego dojrzałego wieku. Otoczona jak ja przez grono bezbarwnych kobiet, Luciana zdawała się figlarnym promykiem słońca przebijającym przez szare chmury. Nie umiałem niczego odmówić jej wydętej buzi i łzom, które nazbyt łatwo potrafiła ronić.

Dziesięć lat później zmuszony byłem przyznać, że to, co było absolutnie rozbrajające u osóbki w wieku lat trzech, nie było takim nawet w połowie u osoby w wieku lat trzynastu. Byłem już wtedy wdowcem, przybyło mi dziesięć lat i nie radziłem sobie z ciągłym użeraniem się z niestabilną osobowością mojej córki. Zrozumiałem, że obawy Izabelli nie były bezpodstawne. Po śmierci matki Luciana nie uznawała nad sobą żadnej władzy. Przez krótki czas mieszkała z Angelą, ale wprowadziła do domu siostry takie zamieszanie, że ta zasugerowała w końcu, żeby wysłać ją gdzieś, gdzie być może uda się ją utemperować.

Wybrałem szkołę przyklasztorną nieopodal Mediolanu, dostatecznie oddaloną od domu, by dziewczynka porzuciła myśli o ucieczce, ale za to blisko ciotki, która obiecała gościć ją podczas krótkich przerw świątecznych. Luciana wyjechała do Mediolanu chętnie, gdyż zawsze

pociągały ją nowości, ale po niespełna dwóch tygodniach otrzymałem pierwszy z długiego cyklu tragicznych listów.

Najdroższy Tatusiu!

Jestem tutaj strasznie nieszczęśliwa. Siostry są dla mnie bardzo niedobre. Nie lubi mnie żadna z koleżanek. Błagam, pozwól mi wrócić do domu po Bożym Narodzeniu.

Nie mogłem zasnąć przez cała noc, kiedy przeczytałem ten list. Wstałem zanim na niebie pojawiły się pierwsze promienie słońca i postanowiłem się przejść na plac budowy... Wtedy właśnie po raz pierwszy spotkałem Erika i to dzięki niemu znalazłem w sobie dość siły, by przeciwstawić się mojej rozkapryszonej córce.

Postanowiłem raz postawić na swoim. Nie pozwolę Lucianie wrócić do domu aż do wakacji. Ale wakacje zbliżały się coraz bardziej, a ja nawet mu o niej nie powiedziałem.

Dlaczego?

*

W całym Rzymie dzwony wzywały wiernych na poranną Mszę. Wyszedłem na podwórze, poprawiłem kapelusz starając się nie zauważać, że Erik spokojnie przycina wisterię, która obrastała dom. Nigdy nie chodził ze mną na Mszę, a ja nie chciałem go do tego zmuszać. Przywiązanie, które żywił do mnie, urosło do tego stopnia, że pewnie obciąłby sobie palec, gdybym tylko zasugerował, że miałbym z tego jakąś korzyść. Ale chciałem, żeby powrócił do wiary tylko kiedy

sam do tego dorośnie – z miłości do Boga, a nie do mnie.
Była niedziela, dobry dzień na podejmowanie zobowiązań.
Postanowiłem, że jak tylko wrócę z kościoła opowiem mu wszystko o Lucianie. Ale zanim jeszcze zdążyłem wyjść, na ulicy przed domem rozległ się turkot kół powozu. Zamarłem bez ruchu. Nie spodziewałem się gości...
Wpadła na podwórze prosto w moje ramiona, jak ptaszek wypuszczony z klatki. Ciężkie, długie włosy powiewały za nią jak czarny jedwabny płaszcz. Była cała rozpromieniona.
- Tatusiu, wróciłam do domu! Myślałam już, że nigdy nie dojadę, cóż za potworna podróż! Jestem cała zgrzana i padam ze zmęczenia! Och, tatusiu... co się stało? Nie cieszysz się, że wróciłam?
- Luciana... – Trzymałem ją niezręcznie w objęciach, tak jak człowiek, który próbuje uniknąć wylewnych uczuć uroczego, lecz męczącego psiaka. – Kochana córeczko, co ty tutaj robisz? Nie spodziewałem się ciebie w domu jeszcze przynajmniej przez tydzień!
- Tak, czyż to nie wspaniałe? Siostra Agnieszka i Siostra Elżbieta zachorowały, więc wysłano mnie wcześniej do domu.
- Ale tak bez uprzedzenia? Mogłaś przynajmniej napisać list...
Skrzywiła buzię.
- No tak, proszono nas wszystkie, żebyśmy napisały do domów i naprawdę chciałam to zrobić, ale nie miałam ani chwili wolnego czasu. Wiedziałam, że z pewnością będziesz w domu i że nie będziesz się

gniewał... Proszę cię, tatusiu, nie gniewaj się, nie pierwszego dnia po moim powrocie.
Pocałowałem bezradnie jej rozpalony policzek i odwróciłem się w stronę wysokiej sylwetki, która tymczasem cicho schowała się za obrośnięty pnączem mur. Chwila, której tak chciałem uniknąć, nadeszła.
- Eriku – powiedziałem cicho, ale z władczą nutą w głosie. – Proszę, podejdź i poznaj moją najmłodszą córkę, Lucianę.
Przez chwilę się nie poruszył, a potem powoli, niepewnie wyłonił się z cienia, szczelnie otulony długim płaszczem. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem pełnym bolesnego zaskoczenia, nie mogłem się oprzeć przykremu wrażeniu, że jego twarz była w tej chwili równie biała jak maska, pod którą ją ukrywał.
Luciana nie odrywała od niego wzroku, ale nie w obcesowy, pozbawiony taktu sposób, o który mógłbym ją podejrzewać. Jej oczy wpatrzone były w maskę z niemą fascynacją, a kiedy podawała mu rękę, wstrzymała oddech.
Erik ukłonił się z gracją, ale wstrzymał dłoń, zanim zdążyła dotknąć jej rękawiczki. Zauważyłem, że bardzo starał się jej nie dotknąć.
- Mademoiselle – powiedział łagodnie. – Proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem w tak prywatnej chwili. – Odwrócił się do mnie i skłonił się z równą uprzejmością. – Jeśli mi państwo wybaczą...
Wobec jego lodowatej kurtuazji, pozostało mi tylko wykonać gest, który pozwoli mu wrócić do domu nie oglądając się na żadne z nas.

Kiedy odszedł, Luciana chwyciła mnie za rękę ze słabo skrywaną ekscytacją.

- Och, tatusiu – westchnęła z doskonale znaną mi nutką histerii. – Kto to jest?

Spokojna idylla ucznia i nauczyciela zakończyła się z powrotem Luciany, zupełnie tak, jak się tego obawiałem. Pojawiła się w naszym cichym i uporządkowanym życiu jak spadająca gwiazda i z jej przybyciem więzy pomiędzy mną a Erikiem rozluźniły się. Nie przychodził już, by wspólnie zjeść obiad, wolał jadać samotnie w piwnicy. Nie siadywał też przy kominku, ani nie wprowadzał mnie w wolnych chwilach w sekrety swojej nieokiełznanej wyobraźni.

Jego zachowanie wywoływało u mnie zakłopotanie, które nie pozwalało mi z nim porozmawiać. Było oczywiste, że dla chłopca, który kochał piękno w każdej postaci, zapierająca dech uroda Luciany musiała być wstrząsem. Nie dziwiłem się, że jego reakcją była natychmiastowa ucieczka poza ścianę milczenia. Wycofał się do swojej piwnicy, jak zranione zwierzę do nory. Mogłem się spodziewać, że odsunie się od sytuacji, która mogłaby narazić na szwank jego naturalny instynkt obronny.

Nie przewidziałem natomiast jednego: reakcji Luciany na jego zamknięcie się w sobie. Jego rezerwa i chłód wywoływały u niej wewnętrzną mękę, którą starała się pokryć ostentacyjnie złym zachowaniem. Prawie się nie widywali – już Erik się o to postarał – ale

rzadkie chwile, kiedy przebywali razem, powodowały nieznośne napięcia, których przyczyną była urażona duma Luciany. Chłopiec ignorował ją, gdyż chciał sobie oszczędzić niepotrzebnych cierpień, ale Luciana nie była w stanie tego zrozumieć. Zaczęła więc domagać się jego uwagi niegrzecznością, sarkazmem i wyszydzaniem. Było to dokładnie takie traktowanie, do jakiego przyzwyczaiło go życie.

Przez cały czas patrzyłem bezradnie, jak moja uparta córka jest coraz bardziej zakochana nie w żywym, prawdziwym chłopcu, ale w marzeniu, fantazji zainspirowanej tajemniczością maski na jego twarzy. Kiedy próbowałem spojrzeć na niego oczami Luciany, musiałem przyznać, że miał w sobie dziki urok pełen królewskiej niemalże godności, a jego głos był prawie hipnotycznie piękny. Pod moim dachem zamieszkał młody książę ciemności. Zmysłowość i władza promieniowały z każdego jego gestu, ale on sam w najmniejszym stopniu nie był tego świadomy. W Rzymie – a założę się, że i na całym świecie – nie brakowałoby kobiet, które z rozkoszą schroniłyby się w jego cieniu, gdyby tylko zechciał je zauważyć; gdyby spróbował wyjrzeć poza klatkę, w której sam siebie uwięził. Ale Erik był ślepy na najbardziej ewidentne przejawy własnej atrakcyjności. Ktoś nauczył go nie liczyć na nic, prócz odrzucenia i pogardy, więc teraz, z młodzieńczą nieśmiałością, powtarzał tylko każdą bolesną lekcję, którą w dzieciństwie wbito mu do głowy.

Dzień za dniem widziałem, jak zmaga się z okrutnymi cierpieniami pierwszej miłości. Nie mówił mi o swoich uczuciach – jakżeby mógł? –

ale w każdym uderzeniu młotka, każdym ruchu dłuta czułem ból, który znosił i żal, że nie jestem w stanie mu ulżyć. Widziałem, że starał się zmęczyć swoje młode ciało do ostatecznych granic po to, by uciec od prawdy, której nie chciał przyjąć; że kochał płytkie, rozpieszczone dziecko całkowicie niegodne jego miłości. A ja nie mogłem mu pomóc w żaden sposób, gdyż to rozpieszczony, płytkie dziecko było moją córką, którą kochałem nad życie, pomimo jej egoizmu i lekkomyślności. Mogłem się tylko modlić, że koniec lata uwolni ich oboje z okowów tego nieoczekiwanego uczucia. Luciana wróci do klasztoru i nastąpi jeszcze jeden rok spokoju. Rok, w którym oboje dorosną i wyrosną z uczuć, których – każde z innego powodu – nie byli w stanie wyrazić w cywilizowany sposób.

Była to ostatnia deska ratunku, której trzymałem się kurczowo przez cały ten niekończący się miesiąc wypełniony hamowaną wrogością i tęsknotą.

Byłem głupcem.

Powinienem był lepiej znać swoją własną córkę.

*

Nie udawała, kiedy oznajmiła mi, że jest zbyt chora, by wrócić do Mediolanu. Luciana nie musiała udawać. Od wczesnego dzieciństwa umiała wpędzić się w chorobę na zawołanie, jeśli tylko mogła cos na tym skorzystać. Teraz oczy, którymi wpatrywała się we mnie błagalnie, lśniły gorączką, a serduszko kołatało się szybko jak skrzydełka motyla.

Zszedłem na podwórze i zrezygnowany odwołałem czekający już powóz, po czym poprosiłem Erika, by przygotował napar z ziół. Nie dowierzałem medykamentom z apteki, ale do umiejętności chłopca żywiłem wielki szacunek.

- Zachorowała? – Odruchowo uniósł rękę do gardła w geście zdradzającym głębokie zaniepokojenie.

- To nic poważnego, ma niezbyt wysoką gorączkę. Przez jakiś czas nie będzie mogła podróżować. Pomyślałem, że może byś coś znalazł...

- Oczywiście – odpowiedział pospiesznie. – Zaraz poszukam... Pewnie nie chciałaby nic gorzkiego, prawda? Może powinienem dodać miodu dla osłody.

Mówiąc to oddalił się, a jego wyraźna rozterka tylko utwierdziła mnie w obawach o niego.

- Nie chcę tego! – stwierdziła Luciana buntowniczo, kiedy przyniosłem jej lekarstwo w godzinę później.

- Dobrze, skoro tak uważasz – odrzekłem chłodno. – Powiem Erikowi jaki z ciebie dzieciak i że nie chciałaś tego wypić.

Usiadła gwałtownie i odgarnęła włosy z twarzy.

- Erikowi? – powtórzyła z niedowierzaniem. – To Erik przygotował dla mnie to lekarstwo.

Wyciągnęła rękę, wzięła ode mnie drewniany kubeczek i wychyliła go do dna bez słowa sprzeciwu.

W tej chwili zrozumiałem, że mnie pokonała. Byłem zbyt stary,

schorowany i w ogóle za słaby, by przeciwstawić się Lucianie, jeśli uparła się o coś walczyć.
Wiedziałem, że nie wróci do Mediolanu.
Tragedia już dawno się rozpoczęła.

*

Nigdy nie schodziłem do piwnicy.
Od początku szanowałem prawo chłopca do prywatności; jego głęboką potrzebę posiadania własnego miejsca. Jednak, mimo że irytowało mnie, że Luciana buszuje tam pod jego nieobecność, nie mogłem zaprzeczyć, że jestem odrobinę ciekawy.
- Ależ tam jest dziwnie, tatusiu – powiedziała mi kiedyś z zachwytem. – Cała podłoga zasłana jest szkicami i nutami, a na półkach, gdzie mama trzymała przetwory, stoją... różne rzeczy.
- Jakie rzeczy? – dopytywałem się.
- Nie mam pojęcia, tatusiu, ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałam. Mnóstwo tam przewodów i drutów, a kiedy jednego dotknęłam, poleciały iskry.
- Nie powinnaś wtrącać się w sprawy, które cię nie dotyczą – zganiłem ją odruchowo. – Na przyszłość masz się trzymać z daleka od piwnicy, zrozumiano?
- Dobrze, tatusiu. – Westchnęła ciężko.
Byłem przerażony. Troska przeważyła nad moja niechęcią do myszkowania i kiedy zostałem sam, wziąłem świecę i zszedłem do

chłodnego pomieszczenia, które znajdowało się pod moim domem.
Z zaskoczeniem skonstatowałem, że znajduje się w laboratorium niezwykłego wynalazcy. Moja znajomość nauki była raczej nikła, ale rozpoznawałem aparat służący do pomiarów prądu elektrycznego. A było tam tego więcej, znacznie więcej – przedmiotów, których funkcjonowania nie mogłem się domyślić. Całe rzędy działających modeli – albo przynajmniej zakładałem, że działały – które nieco onieśmielały mnie swą groźną tajemniczością. Chłopiec pracował na budowie nieraz i szesnaście godzin na dobę, a wciąż znajdował energię, by siedzieć po nocy lutując, rysując, komponując. Przypomniałem sobie, że nawet na placu budowy ostatnio zajmowały go głównie problemy inżynieryjne, zbyt zawiłe dla mistrza kamieniarskiego. Raz czy dwa zaskoczył wszystkich tak szalonymi sugestiami, że chciało mi się głośno śmiać.
Ale może to nie były tylko wymysły rozbuchanej wyobraźni...
Wróciłem na górę i podjąłem głębokie postanowienie nie mówić mu, co widziałem. Wierzyłem w jego rozsądek na tyle, by być pewnym, że nie wysadzi nas wszystkich w powietrze przy jakimś szalonym eksperymencie.
Mimo to byłem zaniepokojony tym nowym dowodem świadczącym, że nie jest w stanie wytrzymać z moją córką pod jednym dachem.
Zastanawiałem się, jakie myśli krążyły po jego udręczonej głowie w ciągu długich godzin, gdy normalni śmiertelnicy smacznie śpią.

Moja prymitywna, milcząca trwoga narastała.
W końcu wiosny Luciana wymyśliła nową intrygę, by wywabić Erika z piwnicy. Postanowiła przeobrazić stary, nieużywany taras na dachu w oazę zieleni, a to wymagało między innymi sporządzenia wapiennej ławeczki.
- Chyba potrafiłbyś to zrobić? – zagadnęła go zaczepnie, aż zrobiło mi się za nią wstyd. – Sądzę, że wyrzeźbienie ławeczki nie będzie dla ciebie zbyt trudne, prawda?
- Nie, mademoiselle... Nie będzie zbyt trudne. – Mówił, jak zwykle, ze spokojną grzecznością, ale coś w jego głosie sugerowało, że nie zniesie dalszych prowokacji. Postanowiłem, że będę obecny podczas całego tego przedsięwzięcia.
Sprowadzono z targowiska dwadzieścia kamiennych urn i we właściwym czasie Erik wtargał je na dach i napełnił ziemią.
- Resztę zrobię sama – oświadczyła Luciana. – Nie chcę, żebyś się wtrącał do moich roślin. Chłopcy nie znają się na kwiatach. Może zająłbyś się teraz ławeczką, nie chciałabym czekać na nią całe lato.
Odwrócił się bez słowa, wziął narzędzia i podszedł do bloku wapienia, który czekał z boku na jego zainteresowanie.
Przez kilka tygodni Luciana uwijała się z entuzjazmem po ogródku z małą konewką w ręce, ale później, najwyraźniej znudzona tym udawaniem, coraz częściej siadywała przy min patrząc, jak pracuje. Od czasu do czasu rzucała kąśliwe uwagi.

- Niezbyt szybko ci to idzie – stwierdziła pewnego wieczoru. – Myślałam, że już dawno skończysz tę ławeczkę!
- Luciano! – wtrąciłem się ostro, spoglądając na nią znad Biblii. – Idź i zajmij się swoimi kwiatami.
Wstała z obrażonym ruchem głowy i poszła po mosiężną konewkę.
- Nie wiem, co się dzieje z tymi głupimi kwiatami – powiedziała po chwili, patrząc pogardliwie na zawartość urn. – Dlaczego wszystkie liście pożółkły i zaczynają opadać?
Westchnąłem, ale nie odpowiedziałem i wróciłem do lektury. Erik natomiast wstał, podszedł do donic i dotknął więdnących roślin z rezygnacją i złością. To był pierwszy raz, kiedy podszedł do Luciany z własnej woli.
- Umierają, bo je zaniedbujesz – powiedział krótko. – Nie widzisz tego?
- Wcale ich nie zaniedbuję! – wrzasnęła. – Podlewam je codziennie! Słyszysz, codziennie!
- Nie podlewałaś ich od ponad tygodnia! – wybuchnął nagle. – Tylko spójrz na ziemię, jest twarda jak skała!
- Och, ty! – Bez najmniejszego ostrzeżenia cisnęła w niego konewką. – Jaki ty jesteś mądry, ty... Ty wszystkowiedząca wyrocznio! Jak śmiesz mi mówić, że jestem za głupia, żeby hodować kwiatki! Jak śmiesz!
Wybuchnęła płaczem i zbiegła na dół; nagle zapanowała cisza. Erik podniósł konewkę i postawił ją na kamiennej balustradzie. Podszedłem do niego.

- Kamień się sypie – zauważył niezręcznie. – Naprawdę trzeba by to naprawić.
Zgodziłem się z nim, chcąc uniknąć tematu, na który najwyraźniej nie chciał rozmawiać.
- Możesz się tym zająć jesienią, jeśli chcesz. Wtedy będzie mniej pracy – powiedziałem cicho. – We wrześniu zamówię dla ciebie wapień z kamieniołomu. Może jednak najpierw skończ tę ławeczkę. Widzę, że bardzo dobrze ci to idzie. I nie pozwól się popędzać, nawet najbardziej wymagający klienci muszą nauczyć się cierpliwości.
- Dobrze. – Spojrzał w dal na stare miasto, które dopiero zaczynało rozbłyskać światłem naftowych lamp.
Zostawiłem go i podszedłem do schodów. Kiedy się odwróciłem, napełnił już konewkę wodą i zaczął podlewać kwiaty.
Bardzo późno tej nocy, kiedy wyszedłem z pokoju wywabiony cichymi dźwiękami szpinetu dochodzącymi z piwnicy, znalazłem Lucianę siedzącą na kamiennych schodkach z nogami podciągniętymi pod brodę. Była boso i trzęsła się w cienkiej koszuli, ale słuchała z takim napięciem i intensywnością, że nie zauważyła że przyszedłem, dopóki nie położyłem jej ręki na ramieniu.
- Dobry wieczór, tatusiu – powiedziała smutno. – Też przyszedłeś posłuchać?
- Nie powinnaś tak siedzieć na zimnie – powiedziałem jej. – Dlaczego nie śpisz?

- On tak pięknie gra. – Westchnęła rozmarzona. – Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak grał. Czasami siedzę tu całymi godzinami i słucham. Och, tatusiu, chciałbym mieć więcej wytrwałości... Przez niego czuję się taka mała i głupia.

Siedziałem w milczeniu, czując jak zimno kamienia wwierca się w moje bolące stawy.

- Luciano... – powiedziałem nareszcie. – Napiszę do Matki Przełożonej, że wrócisz do szkoły pod koniec sierpnia.

Odwróciła się i wtuliła ciemną główkę w moje ramię.

- Proszę cię, nie wysyłaj mnie tam znowu. Będę prowadziła dla ciebie dom.

- Ależ kochanie, ty nie masz pojęcia o prowadzeniu domu.

- Ale się nauczę – nalegała. – Naprawdę się nauczę, tatusiu. Błagam, nie wysyłaj mnie z domu. Będę za nim tak bardzo tęsknić!

Objęła mnie zapłakana, jakby wierzyła, że jeśli dość mocno wczepi się w moją koszulę, dostanie to, czego chce.

- Umrę, jeśli mnie odeślesz – wychlipała. – Naprawdę umrę!

Muzyka dobiegająca z piwnicy otuliła nas miękkim, ciepłym szalem dźwięków.

Wyczułem jej sterczące ramiona, które świadczyły o tym, jak bardzo schudła przez te kilka miesięcy; tym razem byłem pewien, że ta niepoprawna kłamczucha mówi prawdę.

Pod koniec lata zdałem sobie sprawę, że niemal całkowicie polegam na

umiejętnościach Erika. Jego dwuznaczny status na budowie kosztował mnie już utratę kilku robotników, takich jak Calandrino, którego złościła szybkość postępów chłopca i który stwierdził, że nie ma zamiaru pracować z dzieciakiem, którego obecność była jawną kpiną z systemu czeladniczego. Erik przez dwa lata nauczył się więcej, niż inni przez siedem.

Przyjmowałem teraz zamówienia wyłącznie ze względu na to, czy były one ciekawym doświadczeniem dla Erika. Artretyzm bez miłosierdzia powykrzywiał mi palce i byłem świadomy, że wkrótce nie zdołam już utrzymać dłuta. Chciałem, żeby Erik przejął po mnie firmę.

Przy ostatnim kontrakcie łatwiej mi było zatrudniać robotników sezonowych i zostawiać wszystko pod opieką chłopca. Był teraz odpowiedzialny za całość pracy; sam sporządził kosztorys i chociaż sprawdziłem wszystko dwukrotnie, nie znalazłem w nim żadnego uchybienia. Zleceniodawca podpisał warunki bez zastrzeżeń, a potem bardzo rozsądnie wyjechał na całe lato do Florencji. W związku z tym nawet się nie spodziewał, że budową jego domu kieruje piętnastoletni chłopiec.

Prace posuwały się systematycznie, jak wszystko, za co zabrał się Erik. Pod moją nieobecność cieszył się wielkim autorytetem, a jego spokojny i rzeczowy nadzór zapewniał, że na budowie nie zdarzały się konflikty czy kłótnie pomiędzy pracownikami. Był teraz bardzo wysoki, o potężnej budowie i muskulaturze, niemal nadludzko silny i zastraszająco

kompetentny. Jedno spojrzenie w nieustępliwe oczy za maską wystarczało, by uciszyć każdego. Zawsze był jednak sprawiedliwy, zachęcał początkujących i chwalił ich za postępy. Miał zadatki na doskonałego majstra.

Ukończono już pierwszą kondygnację, kiedy jeden z robotników rozchorował się i trzeba było na jakiś czas zatrudnić nowego. Nie zwróciłem specjalnej uwagi, gdy nowy murarz powiedział mi, że pracował poprzednio w Mediolanie – nie było nic dziwnego w fakcie, że ludzie podróżowali w poszukiwaniu pracy.

Ale w szybkim, ukradkowym spojrzeniu, którym mężczyzna obrzucił Erika, kiedy zobaczył go po raz pierwszy, było coś niepokojącego, coś więcej, niż tylko zaskoczenie na widok maski.

Podczas fiesty, z szeptanych rozmów na budowie wywnioskowałem, że jakikolwiek sekret Erik starał się ukryć, nie był on dłużej tajemnicą. Ten człowiek coś widział na jarmarku w Mediolanie lub we Florencji. I teraz o tym opowiedział.

Pod koniec dnia zwolniłem go z pracy, ale wiedziałem, że nie zdołam już naprawić szkody, która się stała. Atmosfera na budowie przypominała ciszę przed burzą; po oczach Erika poznałem, że doskonale zdaje on sobie sprawę ze zmiany w zachowaniu robotników.

Nie minęło wiele czasu, kiedy szeptane słowo „potwór” dotarło i do moich uszu. Zasmuciło mnie to, gdyż było tylko potwierdzeniem tego, co sam dawno zrozumiałem. Już dawno odgadłem, że chłopiec skrywał

pod maską jakieś poważne kalectwo, chociaż nigdy nie zebrał się na odwagę, by mi o tym opowiedzieć. Na wiele dyskretnych sposobów próbowałem dać mu do zrozumienia, że jego obawy są całkowicie bezpodstawne, ale on nigdy nie reagował na te sugestie. Czekałem więc, aż pewnego dnia zaufa mi na tyle, żeby pokazać mi swoją twarz. Teraz, kiedy pojąłem ogrom brzemienia, które musiał dźwigać, zrozumiałem, że ten dzień nigdy nie nadejdzie...

Wokół niego czaiło się niebezpieczeństwo czekające, by w chwili nieuwagi otoczyć go jak rozpalona lawa. Patrzyłem, jak zmienia się pod wpływem zagrożenia. Nagle znów był zaszczutym zwierzęciem, które wyczuwa nieuchronny atak; młodym tygrysem, który w ponurej ciszy czeka, by stawić czoła wyzwaniu, które nie nadchodziło. Jego wrodzony autorytet, jak również reputacja w posługiwaniu się nożem, z trudem powstrzymywały niebezpieczeństwo, ale wymagały od niego ciągłego skupienia. Ostatnio przychodził do domu zbyt spięty, by myśleć o jedzeniu.

W tym samym tygodniu Luciana wymogła na mnie zwolnienie pomocy domowej i zaczęła sama prowadzić gospodarstwo...

- Nie smakuje wam moja kuchnia? – zapytała złowieszczo, kiedy Erik kolejny raz poszedł prosto do piwnicy bez wyjaśnienia czy przeprosin.

- Tu nie chodzi o twoją kuchnię – wyjaśniłem, usiłując wbić widelec w danie, którego jeszcze nie udało mi się zidentyfikować. – Bardzo smacznie gotujesz.

- Nawet nie przyszedł zobaczyć co jest na obiad.
- Jest ostatnio przemęczony. Na miłość Boską, Luciano, daj mu odpocząć w spokoju!
Kiedy dobiegły nad delikatne dźwięki starego szpinetu, Luciana zacisnęła pięści na stole.
- Ale nie jest zbyt zmęczony, by grać! – zawołała. – Ani nie będzie zbyt zmęczony, żeby rysować całą noc, albo łączyć kawałki drutu! Tylko żeby zjeść obiad, który przygotowywałam tyle godzin, nie starcza mu sił!
Chwyciła swój własny talerz z nietkniętą potrawą i pobiegła do kuchni hałaśliwie zmywać naczynia.
Kiedy Luciana położyła się już spać, spędziłem kilka godzin wpatrując się w wygasłe palenisko z fajką w ustach. Zastanawiałem się, że powinienem zrobić.
Około północy podjąłem nagłą decyzję, zapukałem do drzwi wiodących do piwnicy i nie czekając na odpowiedź zacząłem schodzić stromymi kamiennymi schodami.
Erik podliczał rachunki. Za nim, oświetlona po obu stronach świecami, leżała wielka księga, a rozmazany atrament dowodził, że na dźwięk mojego pukania chłopiec zerwał się od pracy. Prawie słyszałem, jak szybko bije jego serce. Zasmuciło mnie, że wciąż pełen był instynktownej nieufności.
- Eriku, chciałem z tobą porozmawiać.

- Tak, wiem... – Odwrócił się do ciężkiej, oprawionej w skórę księgi rachunkowej. – Rachunki się zgadzają, wszystko jest w porządku. Za godzinę spakuję się i odjadę.

Rozejrzałem się po pokoju i dostrzegłem na łóżku stare torby, które czekały, by spakował swoje rzeczy. Zdałem sobie sprawę, że gdybym nie zdobył się na to, żeby z nim porozmawiać, rano zastałbym pokój pusty.

- Chciałeś wyjechać bez słowa? – zapytałem z wyrzutem. – Dlaczego?

Popatrzył na księgę.

- Bo... – powiedział z trudnością – bo nie chciałem czekać, aż sam pan mnie o to poprosi.

Poczułem nagłą chęć, by przylać mu w ucho.

- Ty niemądry chłopcze! – powiedziałem gniewnie. – Dlaczego, na miłość Boską, miałbym chcieć, żebyś wyjechał?

- Bo sprowadzam na was kłopoty... – Nie chciał mi spojrzeć w oczy. – Powinienem wyjechać teraz, póki nie jest jeszcze za późno.

- Przestań urządzać sceny! Lepiej chodźmy na górę, zanim mnie naprawdę zdenerwujesz.

Ruszyłem w górę schodami, a on poszedł za mną w nieśmiałym, posłusznym milczeniu, jak skarcony syn... Usiadł na miejscu, które mu wskazałem i bez protestu przyjął kieliszek wina. Zdawałem sobie sprawę, że w tym stanie rozmowa z nim byłaby niemożliwością. Rozmowa, którą chciałem przeprowadzić, nie mogła się udać, jeśli

siedziałby przede mną całkowicie trzeźwy, osłonięty swoją zwykłą rezerwą i ostrożnością jak tarczą. Dlatego z początku omawiałem z nim codzienne sprawy, coraz to napełniając duże, weneckie kielichy i zmuszając go, by dotrzymywał mi kroku w piciu. Nie trwało długo, nim zobaczyłem, że nie jest w stanie utrzymać ręki sztywno na kolanie, ale opuścił ją odprężony na oparcie fotela.

W lampach zabrakło nafty i po kolei gasły, ale ja nie spieszyłem się, by je znowu zapalić. Mówiłem o ideałach loży masońskiej, o odpowiedzialności, którą niesie ze sobą dojrzałość. Mówiłem o Bogu, Wielkim Architekcie Wszechświata, który wymierzył nas wszystkich swoją miarą i cyrklem. Mówiłem o potrzebie czynienia dobra, o wrażliwości i tolerancji. A później, bardzo ostrożnie dobierając słowa, mówiłem o niezwykłej delikatności młodych kobiet...

Nie zadawał żadnych pytań, nie wyrażał opinii, ale nie patrzył w bok i wiem, że słuchał i starał się przyjąć to, co tak bardzo różniło się od życia, które znał. Mówiłem mu o wytrwałości i tolerancji w obliczu okrucieństwa i pogardy. Wiem, że droga, którą mu wskazywałem, była trudna. Wiedziałem też, jak łatwo z niej zboczyć. Nie był przygotowany, by przyjąć ode mnie krucyfiks, ale obawiałem się, że bez jakiegoś symbolu nadziei, którego będzie mógł się chwycić w chwili zwątpienia, czegoś realnego i namacalnego, może być mu ciężko odwrócić się od pokusy gniewu i zemsty.

W moim biurku trzymałem srebrny kompas, który Izabella dała mi w

szczęśliwszych czasach, jeszcze przed narodzeniem Luciany. Wiele razy chciałem mu go podarować, ale nigdy się na to nie zdecydowałem, gdyż nie wiedziałem, jak mu o tym powiedzieć.

Dałem mu go teraz, wiedząc, że nie mogę dłużej czekać. Przyjął go z nieśmiałym zaskoczeniem chłopca całkiem nienawykłego do otrzymywania prezentów. Jego niezręczność w wyrażaniu wdzięczności sprawiła mi ból i spowodowała, że zachowałem się dość szorstko, inaczej niż chciałem.

- Dobrze... Nie ma sensu dłużej tu siedzieć, obaj z ledwością trzymamy się na nogach. Tylko schowaj go dobrze i nie zgub.

Wsunął kompas do kieszeni dopiero za drugim razem, palcami niezgrabnymi od nadmiaru wina. Zauważyłem, że bardzo się starał nie poddawać senności.

- Połóż się spać, chłopcze. Nieźle się zaprawiłeś – powiedziałem pogodnie.

Kiedy z pewną trudnością wstał i zaczął niepewnie zmierzać ku schodom, zawołałem go z powrotem. Oczy za maską spojrzały na mnie bez wyrazu, zastanawiałem się, do jakiego stopnia był pijany.

- Eriku... Mam nadzieję, że nigdy nie staniesz się na tyle dobry w budowaniu murów, żebyś nie zauważył, że czasami trzeba je też obalać.

Zachwiał się i spojrzał na mnie pytająco.

- Postaram się... zrobić to pierwsze – wymamrotał, jakby w nadziei, że to jest właściwa odpowiedź.

Ponieważ próba jakiejkolwiek konstruktywnej rozmowy z nim tego wieczora była bez sensu, postanowiłem pozwolić mu pójść do łóżka, zanim będę zmuszony sam znieść go po schodach.
Kiedy poszedł, piłem jeszcze przez jakiś czas, dochodząc do wniosku, że ta rozmowa wyszła mi raczej marnie. Co w końcu udało mi się osiągnąć dzięki temu, że spiłem chłopca tak, że z trudem trzymał się na nogach? Rano pewnie i tak nie będzie nic pamiętał.
W następnych miesiącach mało miałem powodów do dumy z mojej mądrości jako ojca i przewodnika. Właściwie wszystko, co nastąpiło, potwierdzało tylko, że jestem dość głupim i niekompetentnym starcem, który traci panowanie nad sytuacją i który nie powinien się zabierać do udzielania rad. Na co się zdało stawianie Erikowi przed oczy masońskich ideałów, jeśli nie byłem w stanie kontrolować zachowania mojej córki i zapewnić spokoju w domu?
Przez całe lato Luciana była jak ślepy szczeniak, kłapiący zębami na rzeczy, których ani nie widziała wyraźnie, ani nie mogła pojąć. Jej brakowało słów, by opisać swoje zauroczenie, a Erikowi wiary, by uwierzyć w jego istnienie. Sposoby, na które sprawiali sobie nawzajem ból zdawały się nie mieć końca.
Chłopiec bronił się pracując coraz dłużej poza domem, oświetlając sobie rusztowania lampami po zapadnięciu zmroku. Czasami w ogóle nie wracał na noc. Niesamowite wynalazki stojące w piwnicy zaczęły gromadzić kurz, a stary szpinet stał zapomniany w kącie. Luciana dąsała

się, gdy go nie było w domu, a kiedy wracał, witała go sarkastycznymi uwagami, że jednak przyszedł. Przestała reagować na moje ostre słowa. Erik zamknął się w sobie tak bardzo, że nie sposób było z nim rozmawiać o czymkolwiek nie związanym z pracą. Nie mogłem dotrzeć do żadnego z nich; nie mogłem zatrzymać nieuchronnego biegu wypadków, który wciągał ich jak wir.

Pewnego ranka obudziłem się i usłyszałem ich głosy w piwnicy; Luciany rozdrażniony i zapłakany, Erika nastawiony tak obronnie, że brzmiący chłodem i obojętnością, która każdego wyprowadziłaby z równowagi.

- Co to właściwie za rzeczy? Jak działają?

- Proszę tego nie dotykać, mademoiselle.

- Ale ja chcę wiedzieć. Wyjaśnij mi!

- Nie zrozumiałaby mnie pani, mademoiselle.

- Czyżby? Aż tak jestem głupia?

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Nie, ale tak pomyślałeś! A może miałeś na myśli coś innego? Oczywiście, wiem dlaczego nie chcesz mi ich pokazać, dlatego, że nie działają. Mam rację? Nie działają!

- Wszystko w tej piwnicy działa!

W jego głosie była groźna nuta wściekłości. Usłyszałem, że furia Luciany dorównuje jego własnej.

- A więc to już nie działa! – krzyknęła. – Już nie! Ani to! Ani to!

Wielki Boże, pomyślałem przerażony, on ją zabije...

Odgłosy tłuczonego szkła i spadającego metalu wypełniły cały dom, kiedy ruszałem do piwnicy, żeby ich rozdzielić. Na schodach wpadłem na Erika, który wbiegał na górę po dwa stopnie. Przecisnął się koło mnie gwałtownie, bez słowa i z taką wściekłością, że nie miałem odwagi złapać go za rękaw, żeby nie uciekał. Pierwszy raz potraktował mnie bez szacunku; z przerażeniem przyszło mi do głowy, że chyba mnie nie rozpoznał.

Pozwoliłem mu uciec przed chęcią mordu tak oczywistą, tak nieopanowaną, że wciąż jeszcze wisiała w powietrzu jak ciężki, duszący zapach. A potem patrzyłem na dziecko, które nawet nie było świadome tego, że o mało nie sprowokowało tragedii.

Klęczała na podłodze pomiędzy dowodami swojej niszczącej działalności.

- Luciano – powiedziałem karcąco. – Masz natychmiast iść do swojego pokoju!

Nawet się nie poruszyła, żeby wstać, wyciągnęła rękę i dotknęła rozbitego szkła ze wstydem.

- Jak on może kochać te przedmioty, te kawałki metalu i drutu? – szepnęła. – Jak może kochać te rzeczy, a nie kochać mnie? Czy nie jestem dość ładna? – Podniosła zapłakaną twarz i spojrzała na mnie. – Och, tatusiu... Dlaczego on mnie tak bardzo nienawidzi?

Bezsensowna daremność tego wszystkiego przygnębiała mnie, bardziej niż gniewała; czułem się przez to jeszcze starszy i bardziej zmęczony.

- On ciebie nie nienawidzi, kochanie – powiedziałem łagodnie. – On nienawidzi siebie samego.

Popatrzyła na mnie zdumiona.

- Nie rozumiem – powiedziała niepewnie. – Dlaczego miałby siebie nienawidzić?

Usiadłem na łóżku, którego Erik pewnie używał od czasu do czasu.

- Luciano... Ta maska...

Nagle zesztywniała.

- Nie chcę słyszeć o masce – powiedziała uparcie i podniosła ręce do uszu jak małe dziecko. – Nie będę słuchać tych obrzydliwych plotek, które opowiadają robotnicy. Oni mu zazdroszczą, że jest taki zdolny i mądry i wszyscy wiedzą, że przekażesz mu firmę.

- Luciano...

- Nie wierzę im! – Wstała gwałtownie i cofnęła się na schody. – Nie wierzę im, tatusiu. Wiem, że kłamią!

- A gdyby to była prawda?

- Ale nie jest! – wrzasnęła histerycznie i niełądnie skrzywiła buzię. – On nie jest brzydki, on nie jest żadnym potworem! Nie pozwolę, by był brzydki... Nie pozwolę!

Irracjonalność jej wybuchu sprawiła, że zabrakło mi słów. Nie wiedziałem, co jeszcze można powiedzieć w takiej sytuacji, więc pomimo najgorszych przeczuć, pozwoliłem jej odejść.

Tego dnia nie poszedłem na budowę; wiedziałem, że Erik wolałby być

sam. Luciana siedziała w swoim pokoju, a cały dom spowity był ciężką ciszą. Dzień upływał powoli, gorący i wilgotny; znad Tybru dolatywało cuchnące powietrze. Nadeszła pora kolacji, ale nic nie zjedliśmy; od czasu do czasu popatrywaliśmy tylko na zegar stojący na kominku. Minęła dziewiąta, później dziesiąta – ani śladu Erika.

O jedenastej Luciana zeszła do mnie i zażądała, żebym poszedł na budowę i przyprowadził go do domu. Odmówiłem. Chłopiec powinien wrócić, kiedy mu minie złość i nie wcześniej, do tego czasu postanowiłem zostawić go w spokoju.

Luciana weszła na górę i wróciła z szalem na ramionach.

- Jeśli ty po niego nie pójdziesz, to ja to zrobię – powiedziała przez łzy. – Chcę mu powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

Popatrzyłem na nią zdziwiony. Odkąd pamiętam, Luciana nigdy nie przepraszała, nigdy w życiu.

- Tatusiu... – powiedziała drżąc. – Poproszę go, żeby zdjął maskę.

W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy; nie mogłem na to pozwolić.

- Nigdzie nie będziesz chodzić sama po nocy – powiedziałem zdecydowanie.

- Ależ tatusiu –

- Na miłość Boską, zostawże go raz w spokoju! – krzyknąłem nagle. – Nie widzisz, że nie chce widzieć ani ciebie, ani nikogo innego? Ty go doprowadzasz do szaleństwa, Luciano... O mało cię rano nie zabił, nie

zauważyłaś tego?
Zamarła bez ruchu, pobladła jak ściana i podniosła na mnie zaczerwienione oczy.
- On by mnie nie skrzywdził. Wiem, że nigdy by mnie nie skrzywdził!
Odwróciłem się zniecierpliwiony i sięgnąłem po fajkę.
- Ty go wcale nie znasz, ani trochę! Prowokujesz go ponad ludzką wytrzymałość.
Otworzyła usta i zamknęła je nie wydając żadnego dźwięku, następnie osunęła się na podłogę i zaczęła płakać.
Przez godzinę siedziałem w fotelu i patrzyłem, jak płacze, nie starając się jej pocieszyć. Potem wstałem, podniosłem ją z podłogi i zaniosłem na górę jak w czasach, kiedy była bardzo mała. Było to żałośnie proste zadanie, nie ważyła obecnie dużo więcej, niż gdy miała dziesięć lat.
Położyłem ja na łóżku, a ona spojrzała na mnie z bezbrzeżną rozpaczą.
- Ja muszę z nim porozmawiać, tatusiu – powiedziała cicho. – Ja muszę z nim porozmawiać...
Wiedziałem, że ma rację. Nie było innego sposobu, by zakończyć to letnie szaleństwo, które zagrażało nam wszystkim.

*

Siedziałem w moim pokoju jeszcze przez kilka godzin, wpatrując się w ściany i od czasu do czasu przecierając czoło chusteczką. Upał wciąż był nieznośny, więc w końcu widząc, że i tak nie zasnę, poszedłem do ogrodu na dachu, gdzie było trochę chłodniej.

Z braku lepszego zajęcia zacząłem podlewać kwiaty i tak, schowany w cieniu, pozostałem niezauważony przez Erika, gdy ten wszedł do ogrodu i ciężko usiadł na ławeczce. Wyciągnął jedną rękę wzdłuż oparcia i wyczerpany położył na niej głowę. Nie poruszał się przez jakiś czas, aż się zastanawiałem, czy zasnął i będę mógł wymknąć się niezauważony.
- Eriku!
Niespodziewany szept Luciany poderwał go jak wystrzał z pistoletu. Skoczył na równe nogi i stał sztywno, odwrócony do niej plecami, kiedy podeszła bliżej.
- Proszę cię, zdejmij maskę – powiedziała po prostu i bez arogancji. – Bardzo cię proszę, zdejmij maskę.
- Proszę mi wybaczyć, mademoiselle – odpowiedział lodowato i przeszedł koło niej odwracając twarz. – Mam pilną pracę do skończenia.
- Nie wybaczę ci! – zawołała za nim. – Nie musisz kończyć żadnej pracy! Chcę, żebyś zdjął maskę, słyszysz mnie, Eriku? Chcę, żebyś ją zdjął natychmiast!
Wyszedłem z cienia i zagrodziłem mu drogę na schody.
- To pan? – Zatrzymał się i spojrzał za siebie jak lis, który widzi, zbliżających się myśliwych. Położyłem mu rękę na ramieniu.
- Eriku, nie ma innego sposobu.
- Przepraszam... Nie bardzo –
- Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zrobisz to, o co cię prosi moja córka.
Stał bez ruchu i patrzył na mnie z tak bolesnym przerażeniem, że

musiałem odwrócić wzrok widząc, jak całe jego zaufanie do mnie wali się w gruzy.
- Prosi mnie pan, żebym to naprawdę zrobił? – W jego głosie brzmiało niedowierzanie. – Rozkazuje mi pan, żebym to zrobił?
- Jeśli muszę ci aż rozkazywać – powiedziałem smutno – to zgoda, rozkazuję. Boże Wszechmogący, chłopcze, czy nie widzisz, że nie da się tego uniknąć?
Zachwiał się lekko i jedną ręką wsparł się o balustradę. Odruchowo wyciągnąłem do niego pomocną dłoń. Zanim jednak zdążyłem go dotknąć, podniósł oczy i w świetle latarni dostrzegłem w nich ogromną pogardę, którą zrodziła rozpacz i rozczarowanie.
Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z ogromu zbrodni, którą wobec niego popełniłem; kiedy zobaczyłem to spojrzenie pełne tak zapiekłej nienawiści, że serce ścisnęło mi się w piersi. Nauczyłem go uczciwości i dałem mu nadzieję na życie pełne dumy i godności wśród ludzi, którym dotąd nie ufał. Z miłości do mnie starał się pozbyć swoich najgłębszych instynktów, uwierzył, że nie miało dla mnie znaczenia to, co skrywa pod maską.
Teraz, w jednej fatalnej chwili spowodowanej moją własną rozpaczą i wyczerpaniem, zburzyłem zamek pięknych marzeń, który z takim trudem wybudował. Zażądałem jedynej rzeczy, o którą myślał, że nigdy go nie poproszę. Nie zraniłbym go bardziej, gdybym mu wbił nóż prosto w serce. Nie mogłem bardziej zawieść jego zaufania.

Na moich oczach chłopiec, którego znałem, skulił się i umierał, a jego miejsce zajął ktoś obcy. Człowiek pełen mrocznego i groźnego majestatu, który nie miał zamiaru dłużej wysłuchiwać moich nieistotnych słów.

- Chcecie więc zobaczyć? – powiedział obojętnym tonem, który mógłby równie dobrze dobiegać z grobowca. – Chce zobaczyć? Więc patrzcie!

Mówiąc to, zaczął przybliżać się ze straszliwym, wykalkulowanym spokojem w stronę Luciany. Poczułem, że przerażenie dławi mnie w gardle. Stali twarzą w twarz, kiedy zdarł maskę; zobaczyłem, że usta dziewczyny otwierają się w bezgłośnym krzyku, a ręce wyciągają się odruchowo, by go odepchnąć. Ten obronny gest zdawał się go rozwścieczyć; wyciągnął ręce, jakby chciał przyciągnąć ją bliżej do potworności, którą przed nią odsłonił.

Krzyknąłem ostrzegawczo, ale mój głos zaginął w prymitywnej, zwierzęcej panice, która ją ogarnęła. Przebiegła przez cały ogród i wpadła na balustradę, która ostatecznie zagrodziła jej drogę ucieczki. Widzę tę scenę znów i znów... Zniszczona balustrada ugina się pod jej ciężarem. Luciana spada w deszczu rozkruszonego wapienia na podwórze znajdujące się dwie kondygnacje niżej.

Na dachu zapanowała przeraźliwa cisza, która zakłócały jedynie ostatnie osypujące się kamyki. W świetle latarni wyrwa w balustradzie przypominała wybite zęby jakiegoś potwora.

Bez pośpiechu, bez nadziei, odwróciłem się otępiały i zszedłem na

podwórze, gdzie nieduże ciało mojej córki leżało wśród odłamków kamienia. Wiedziałem, że nie mogła przeżyć takiego upadku, a nawet jeśli ostatnia iskierka nadziei kołatała się w moim sercu, zgasła natychmiast, kiedy zobaczyłem jej roztrzaskaną czaszkę. Czas i miejsce przestały mieć jakiekolwiek znaczenie, a świat wydawał się odległy od szarej chmury rozpaczy, która zamknęła się wokół mnie, kiedy wniosłem ją do domu i położyłem na skórzanej kanapie.

Nie usłyszałem jego kroków, ale wiedziałem, że był tuz za mną jak wielki, czarny cień.

Nie odwróciłem się. Czułem, że jeśli to zrobię, zamienię się w głaz; skamienieję na widok jego cierpienia. Nie bałem się widoku jego twarzy – sądzę, że w innych okolicznościach mógłbym patrzeć na nią obojętnie. Ale obawiałem się jego spojrzenia, tych oczu jak niezgłębione studnie smutku, które odbijałyby tylko mój ból. Usłyszałem, jak szlochając wymówił przekleństwo i wiedziałem, że nie mogę na niego patrzeć. Że oszaleję, jeśli to zrobię.

Cisza pojawiła się między nami jak kamienna ściana. To było ostateczne pożegnanie. W świetle naftowych lamp zobaczyłem jego cień przesuwający się po ścianie, ogromny i milczący, zmierzający w stronę drzwi, gdzie ciemność czekała na jego powrót jak czuła matka.

Dopiero kiedy wyszedł... kiedy odszedł na zawsze... byłem w stanie płakać.

*

Cienie snują się leniwie po moim ogrodzie na dachu... Jeszcze jeden szary i nic nie znaczący dzień dobiega końca. Znowu siedziałem tu zadumany aż do zachodu słońca, rozpamiętując i karząc siebie samego za wybryk szaleństwa, który uczynił moje życie pustym. Błąd, który zabił moją córkę i zniszczył niezwykłego chłopca.
Eriku... Teraz mogę powiedzieć ci to, czego nie byłem w stanie tamtej nocy, gdy ręka Luciany stygła w mojej dłoni, a ja sam oniemiałem z bólu i rozżalenia. Nie jesteś winien tej śmierci. Jeśli była tam jakakolwiek wina, już dawno wziąłem ją na siebie.
Byłeś dzieckiem moich marzeń; synem, którego odmówił mi Bóg. Nauczyłem się kochać cię w twojej powolnej i trudnej drodze ku światłu. Jutro kwiaty, o które tak się troszczyłeś, wzniosą ponownie głowy do słońca; wyprostują się szczere i dumne, chwaląc swoim pięknem swego Stworzyciela.
I w twojej duszy, Eriku, było tyle piękna. Piękna, które, obawiam się, z winy jednego głupiego starca nie ujrzy już nigdy światła dziennego. Przyszedłeś do mnie z ciemności.
I w ciemność odszedłeś...

Rozdział 4

Nadir 1850-1853

W Aszrafie znajdowały się wspaniałe ruiny kompleksu pałacowego. W ciągu wieków było na tym miejscu nie mniej niż sześć królewskich rezydencji otoczonych wysokimi murami, malowniczo położonych i pełnych kamiennych tarasów, kanałów, kaskad i uroczych aiwanów. Ale odkąd Pałac Czterdziestu Kolumn spłonął doszczętnie, niewiele zostało uczynione, by przywrócić temu miejscu minioną chwałę; cień powolnego rozpadu zawisł nad Serajem, Ogrodami i Bagh-i-Shah. W ogromnym parku drzewa pomarańczowe i olbrzymie cyprysy rosły dziko wśród gąszczu chwastów. Dwór zjeżdżał do nadmorskiej prowincji Mazandaran każdej zimy, by uciec od ostrego i męczącego klimatu Teheranu, ale wiosną i latem goście zjawiali się tu z rzadka i na krótko. Przez większą część roku teren ten zaniedbywany był prawie jak bezpańska posesja; skorpiony i małe jaszczurki wygrzewały się spokojnie na tarasach. Zawsze uważałem, że to wielka szkoda; Mazandaran to piękne miejsce i zasługuje na lepsze traktowanie ze strony swych cesarskich panów. Mówiono, że nowy szach zamierzał wprowadzić zmiany, ale skoro okazał się równie próżny i rozmiłowany w luksusie, jak jego poprzednik, wydawało mi się najbardziej prawdopodobne, że wkrótce zażąda rezydencji bardziej odpowiedniej, niż ten sypiący się relikt przeszłości.

To był już drugi raz w tym tygodniu, kiedy otrzymałem bezpośrednie wezwanie do pałacu. Jeszcze raz pojechałem tam z drżącym sercem, zastanawiając się jakaż to nowa, nieprzyjemna misja zostanie mi

powierzona. Nawet na głębokiej, skąpanej w upale prowincji, słyszeliśmy o niepokojach religijnych w stolicy. Czerwcowa egzekucja Baba nie stłumiła rozruchów, wręcz rozjątrzyła sytuację do tego stopnia, że miano babity stało się wygodnym pretekstem do likwidowania wszelkich dysydentów. Doniesienia o działalności babitów dochodziły zewsząd, a ja, jako szef policji, narzekałem na przepełnione więzienia do chwili, aż rozkaz masowych egzekucji na swój sposób wybawił mnie z kłopotu. Cuchnące, gnijące ciała zostały wystawione na widok publiczny jako przestroga dla tych, którzy wciąż mieliby ochotę wygłaszać herezje. Nic dziwnego, że tego roku muchy mnożyły się na malarycznych bagnach i lagunach wzdłuż brzegów Morza Kaspijskiego i dokuczały wyjątkowo dotkliwie...

Nigdy nie prosiłem o stanowisko darogi Mazandaranu i przyznam się, że wielokrotnie myślałem, że spałbym o wiele spokojniej jako niższy rangą urzędnik. W Persji żyły tysiące osób, które szczyciły się cesarskim pochodzeniem dzięki chociażby minimalnym śladom błękitnej krwi w swoich żyłach. Szachowie zwykle cechowali się niebywałym talentem do płodzenia synów, tak więc nepotyzm kwitł tu od niepamiętnych czasów. Dopóki nie umrze ktoś, kto zwolni urząd odpowiedniejszy dla mojej przesadnie wrażliwej natury, musiałem się zadowolić stanowiskiem darogi Mazandaranu. Miałem skromną posiadłość, syna, szanowaną pozycję w społeczeństwie, nie musiałem zbyt skrupulatnie zajmować się szczegółami mojej służby. Stanowisko zapewniało

godziwe dochody i na tyle częsty kontakt z dworem, by mieć oko na intrygi krewnych szacha. Rezultatem naszego systemu rządów była wybujała korupcja i skrytobójstwo; dwór perski nie był miejscem, gdzie mądry człowiek choć na chwilę zapominał o ostrożności.
Przechodząc przez Bramę Wspaniałości, prowadzącą do zespołu pałacowego, zostałem niezwłocznie skierowany bezpośrednio do ogrodów - do drewnianego pawilonu naprędce wzniesionego, by zastąpić Pałac Czterdziestu Kolumn. Już wtedy wyglądał on, jakby za chwilę miał się zawalić; był efektem złego projektu, złego wykonania i marnych materiałów. Persja powoli zapominała o swej chwalebnej przeszłości; dowody dekadencji i rozkładu można było znaleźć na każdym kroku.
Służalczo padłem na twarz na wzorzystym dywanie u stóp tureckiej kanapy, by oddać pokłon należny królowi królów.
- Pozwól mi być twym podnóżkiem, o Ostojo Wszechświata.
Niewzruszony jawnym absurdem mojego powitania, szach zmierzył mnie wzrokiem głaszcząc jednocześnie kota i gestem ręki wskazał mi, bym wstał.
- Spóźniłeś się, darogo.
- Tysiąckrotnie przepraszam, Wasza Cesarska Mość.
Skłoniłem głowę w udawanej pokorze, ale to go zadowoliło. Nie spóźniłem się i obaj dobrze o tym wiedzieliśmy, ale on był młody, zaledwie od dwóch lat na tronie, i wciąż potrzebował utwierdzać się w swojej władzy. Teraz, kiedy przybrałem pozę pokornego petenta,

przeszedł do rzeczy.
- Przesłuchałeś tego handlarza futer z Samarkandy, jak ci kazałem?
- Tak, Wasza Cesarska Mość. - Zawsze dostawałem takie zlecenia, nikt inny na dworze nawet by ich nie dotknął. Zabrało mi całe dwa miesiące, zanim wyśledziłem tego przeklętego kupca i wydobyłem od niego tę niesamowicie pokręconą historię.
- Co sądzisz o uczciwości tego kupca?
- To prosty człowiek, Wasza Wysokość, bardzo prosty. Wydał mi się zbyt prymitywny, by samemu tak ubarwić tę opowieść.
Szach usiadł prosto na kanapie, a syjamska kotka - jego ulubienica, podarunek z dworu królewskiego w Syjamie - zeskoczyła na dywan potrząsając swoją wysadzaną drogocennymi kamieniami obróżką i spojrzała na mnie z czystą odrazą. Było wyjątkowo niebezpieczną rzeczą mieć na dworze wroga w kocie, ale mimo, że bardzo się starałem, nie umiałem się dogadać z tymi zwierzakami.
- A więc to prawda - powiedział szach zamyślony. - Więc on naprawdę istnieje, ten niesamowity magik o boskim głosie, który pokazuje sztuczki o jakich nie śniło ludzkie oko. Chanum będzie zachwycona. Już od dawna mi powtarza, że taki fenomen marnuje się w Niżnym Nowogrodzie. Trzeba go natychmiast sprowadzić, takie jest życzenie chanum.
Milczałem z szacunkiem, gdyż nie ośmielałem się wyrazić moich myśli. Podobnie jak reszta dworu, byłem kompletnie wyczerpany ciągłym

spełnianiem zachcianek matki szacha. Piękna, bezwzględna i wyrachowana w polityce - to ona była prawdziwą władczynią w pałacu i z pewnością zamierzała zatruwać nasze życie swymi kaprysami do momentu, aż młody szach wyzwoli się spod jej wpływu. Niestety, wcale się na to nie zanosiło. Szach miał trzy legalne żony i niezliczoną ilość konkubin, ale żadna kobieta na dworze nie była dość silna, aby wyjść z cienia chanum na tyle, by zagrozić jej pozycji. Wszyscy żyliśmy w strachu przed “Panią”.

- Powierzę to drobne zadanie twojej pieczy, darogo - kontynuował szach, przyglądając się, jak kotka obchodzi mnie wokoło z dumnie podniesionym ogonem. - Przygotuj się do podróży do Rosji.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale zamknąłem je nic nie powiedziawszy widząc, że oblicze szacha wyraża niezadowolenie.

- Jak rozkażesz, o Cieniu Boga na ziemi.

Kiedy gnąc się w pokłonach chciałem wycofać się do wyjścia, zawadziłem nogą o coś długiego i miękkiego. Rozległo się głośne prychnięcie, a uzbrojona w pazury łapa rozorała mi nogę nad kostką. Jeszcze jeden przeklęty kot! Chwała Allahowi, tym razem to nie pupilka szacha, ale to wystarczyło, by władca zmarszczył brew i zganił mnie, przez co poczułem zimny pot nad górną wargą.

- Jesteś dziś niezręczny, darogo.

Jak skończony idiota zacząłem mamrotać kwieciste prośby o wybaczenie, ale moje próby załagodzenia sytuacji zyskały dla mnie tylko

jeszcze jedno zadrapanie pazurami od oburzonego kocura. O Allahu, jak ja nie cierpię kotów! Przeklęte zwierzaki były wszędzie w pałacu, który cały śmierdział ich uryną. Zostanie zmoczonym przez cesarskiego kota poczytywane było za swego rodzaju zaszczyt - nie wolno było wyrażać obrzydzenia ani biec zmienić ubranie. Znałem wielu dworaków, którzy raczej obcięliby sobie poły surduta, niż przeszkodzili śpiącej Glorii Imperium. Koty miały specjalnie przydzieloną służbę i ilekroć dwór się przemieszczał, podróżowały w wyścielanych aksamitem klatkach. Ulubieńcy szacha dostawali nawet pensję! Ludzi wtrącano do więzienia za mniejsze przewinienia, niż nadepnięcie na ogon cesarskiego kota; miałem wiele szczęścia, że wywinąłem się tak łatwo.

Opuściłem pałac oszołomiony. Niebezpiecznie było wyjeżdżać na nieokreślony czas, ale mój gniew miał poważniejsze przyczyny - poważniejsze i stokroć bardziej bolesne. Ta misja zagrażała czemuś więcej, niż mojemu stanowisku...

On ponad roku zdawałem sobie sprawę, że mój syn podupada na zdrowiu. Cierpiał na dziwne zaburzenia wzroku, a słabość mięśni jego rąk i nóg pogarszała się z upływem czasu. Mimo, że pozostawał pod fachową opieką kilku lekarzy, niepokoiłem się. My, Persowie, nie jesteśmy znani w świecie z wiedzy medycznej - nawet sam szach oddalił z dworu miejscowego medyka i zatrudnił lekarza z Francji. Nie chciałem w takim momencie wyjeżdżać z domu, ale wiedziałem, że nie mam wyboru. Odmowa wykonania cesarskiego rozkazu nieuchronnie

sprowadzała na śmiałka niełaskę, a nie słyszałem o szybszej drodze do ruiny i śmierci.

Tej nocy, kiedy cierpliwie wyjaśniłem Rezie, dlaczego muszę go zostawić pod opieką służby, nagle zdałem sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządziłem mu tym, że nie dałem mu drugiej matki. Miałem w swoim czasie liczne konkubiny, ale od śmierci Rukiji chętnie rezygnowałem z przywileju posiadania czterech żon, na które pozwala moja religia. Wydawało mi się to w jakiś sposób nielojalne. Kiedy więc pragnąłem kobiety, zadowalałem się usłużnością którejś z mojego gospodarstwa, ale odsuwałem od siebie myśl o ponownym małżeństwie. Teraz jednak, patrząc na blade i delikatne dziecko Rukiji, zastanawiałem się, czy nie zdradziłem ich obojga swoją wypływającą z egoizmu żałobą. Nie uniknęliśmy łez, nie liczyłem na to. Zanadto przywiązałem chłopca do siebie, a teraz nie umiałem mu nawet powiedzieć, kiedy wrócę. Żeby więc otarł łzy i uśmiechnął się, powiedziałem, że zostałem wysłany na poszukiwanie największego magika świata. I obiecałem, że kiedy już wypełnię moją misję, przywiozę ten ósmy cud świata do domu, zanim jeszcze zawiozę go na dwór szacha. Jakże łatwo jest omamić dziecko obietnicami! Gdyby tylko można było równie łatwo uciszyć poczucie winy!

Kiedy patrzyłem, jak Reza kulejąc wychodzi z mojego apartamentu, przeklinałem chanum z całego serca za zmuszenie nas do wielomiesięcznej rozłąki. Co zaś do tajemniczego geniusza, którego

miałem odnaleźć, żałowałem, że oczarował swym śpiewem tego gadatliwego sprzedawcę futer z Samarkandy. Trzeba mu było raczej utonąć w Wołdze, a nie pokazywać zdumiewające sztuki, których sława rozniosła się poza granice Rosji wraz z kupieckimi karawanami.
Bądź po tysiąc razy przeklęty, Eriku, dumałem gorzko, bodajżeś się nie był nigdy urodził!
Aby dojechać do Niżnego Nowogrodu przed końcem Wielkiego Jarmarku, jak nazywano słynny letni targ, musiałem jak najszybciej przedostać się przez Morze Kaspijskie. Plotka podróżuje niespiesznie na wielbłądzie i fantastyczne pogłoski, które tak rozpaliły znudzoną wyobraźnię chanum, dotarły do nas blisko rok po wydarzeniach, które opisywały. Nie miałem czasu na organizowanie wygodnej podróży. Zabrałem z sobą zaledwie garstkę służących, w tym mojego zaufanego Dariusza, i jak najmniej bagaży, żeby nie opóźniać jazdy.
Wolałbym jak najszybciej zapomnieć o przeprawie przez morze, która była tak uciążliwa, jak tylko może być podróż statkiem. Nieustanne sztormy rzucały naszą łodzią jak łupiną. Zanim dotarliśmy do Astrachania, byłem w podłym nastroju. Pierwszą rzeczą, która przykuła moją uwagę w tym sławnym mieście, były nie wysmukłe wieże minaretów czy kopuły niezliczonych cerkwi, ale wstrętny zapach gnijących ryb.
Od razu schroniłem się w niewygodnym i raczej biednym drewnianym zajeździe i pozwoliłem Dariuszowi zająć się organizacją dalszej podróży

parowcem w górę Wołgi. Gospodyni podała posiłek, który składał się głównie z kapuśniaku, ogórków i arbuza i właśnie zastanawiałem się, czy zaryzykować napełnienie nim mojego zbuntowanego żołądka, kiedy nadszedł zdenerwowany Dariusz. Wielki Jarmark w Niżnym Nowogrodzie kończył się za kilka dni, a nasz parowiec odpływał w południe.

Pozostawiwszy z niesmakiem arbuza na stole, patrzyłem, jak nasze bagaże zostają bezceremonialnie zrzucone ze schodów. Gospodyni zachowywała się wyjątkowo głośno. Kiedy Dariusz dołączył do mnie na nabrzeżu, zauważyłem, że jego ubranie pobrudzone jest kapuśniakiem. Gdybym nie był taki wściekły, byłbym szczerze ubawiony.

Sądzę, że powolna wycieczka Wołgą jest rzeczą przyjemną, ale nie dla kogoś, komu zależy na czasie. Reszta muzułmanów na pokładzie zdawała się doskonale bawić. Pięć razy dziennie dołączałem do nich, by modlić się rozciągnąwszy na dywaniku zwróconym w stronę Mekki, ale obawiam się, że moje myśli zajęte były czymś innym, niż powtarzanie słów modlitwy. Myślałem wyłącznie o powodzeniu mojej misji, gdyż sukces pozwoliłby mi wreszcie wrócić do domu i syna. Dotarliśmy na miejsce dużo później, niż się spodziewałem; wiedziałem, że czas działa na moją niekorzyść. Przeklinając ślamazarność parowca, wybrałem się do maszynowni, by zapytać, czy nie dałoby się przyspieszyć podróży. Wszystko, co osiągnąłem, to wykład na temat rzecznej nawigacji i napomnienie, że w czasach starszych łodzi, które dopiero co zniknęły z

tras, było jeszcze gorzej. Czy nie widzę, że teraz odbywamy tę przeprawę w tyle dni, ile wcześniej tygodni?
- Niech pan będzie cierpliwy i podziwia widoki - poradził mi kapitan.
Nie obchodziły mnie widoki. Porośnięte lasem wzgórza Żiguli i malownicze zatoczki nie zachwycały mnie swym pięknem, gdy tępo wpatrywałem się w dal, zaklinając statek, by szybciej płynął. Tysiąc sześćset mil rozciągało się przede mną w nieskończoność, a dni przesypywały się powoli, jak piasek w klepsydrze. Saratów, Samara, Kazań...
Kiedy wreszcie na prawym brzegu zamajaczyła sylwetka czworokątnego, pobielanego klasztoru świętego Makarego, zauważyłem z podnieceniem, że zbliżyliśmy się do celu.
Po obu stronach statku uwijały się ciężko obładowane barki, czasem przepływając tak blisko, że cudem uniknęliśmy kolizji. Krajobraz na prawym brzegu zmienił się; pojawiło się wysokie pasmo górskie wyrastające niespodziewanie z równiny. Parowiec zakręcił ostro, by uniknąć łachy piaskowej i wtedy pierwszy raz spojrzałem na wspaniale położony Niżny Nowogród. Zobaczyłem złoconą kopułę katedry i biały, blankowany mur starego Kremla. Stare miasto drzemało spokojnie w cieniu fortecy, jakby nieco zaskoczone gorączkowym ruchem w porcie. Dużo później uświadomiłem sobie, jak bardzo to miasto przypominało człowieka, którego miałem spotkać - trzymającego się na uboczu, wspaniałego, pełnego sprzeczności.

Kiedy zeszliśmy na ląd, wysłałem służbę, by postarała się o kwatery w górnym mieście. Poczekałem, aż przynieśli mi adres i zatrudniłem dorożkarza, by przewiózł mnie przez miasto do zachodniej dzielnicy, gdzie miałem się zatrzymać. Dariusz pojechał ze mną, zapewniając mnie, że na targu roi się od złodziei i oberwańców i że nie jest bezpiecznie, by człowiek szlachetnie urodzony wybierał się tam w pojedynkę.

Rzeczywiście, był tam dziki tłum. Mały, tatarski konik z trudem torował sobie drogę w ciżbie wyjeżdżającej z jarmarku. Żaden perski bazar nie mógł się równać z tym chaosem. Tłumy pieszych, konnych, powozów, stada bydła, wozy załadowane beczkami, pudłami i pakunkami wszelkiego rodzaju - wszystko to spowalniało naszą jazdę, aż byłem zaskoczony, że tyle się tu dzieje pod wieczór. Padał drobny deszczyk, więc koń tonął po kolana w błocie, które sugerowało, że taka pogoda jest tu na porządku dziennym. Ale ani deszcz, ani błoto nie zniechęcało setek pielgrzymów. Dosłownie przy każdej ulicy, którą mijaliśmy, było jakieś sanktuarium otoczone tłumem rozhisteryzowanych mężczyzn i kobiet, padających na ziemię przed zapalonymi świecami i czyniących znak krzyża z tak gorączkowym pośpiechem, jakby od tego gestu zależało ich życie.

- Chrześcijanie! - mruknął Dariusz pod nosem, a w jego głosie brzmiała odwieczna pogarda Islamu dla niewiernych. Podzielałem jego zdanie, ale nie pogardę. Wiedziałem, że nie ma Boga prócz Allaha; wierzyłem, że

niewierni nie będą wpuszczeni do raju - a jednak miałem wielu przyjaciół w katolickich misjach w Persji; ludzi, których głęboką moralność szanowałem, mimo że nie podzielałem ich poglądów religijnych. Nie mieli szansy na raj, ale tu na ziemi, nie widziałem powodu, by odmawiać im grzeczności czy przyjaźni. Nie potrafiłem nikogo nienawidzić z bezkompromisową prostotą mojego sługi.
Nie odpowiedziałem więc i jechaliśmy w ciszy, chociaż może słowo jechaliśmy nie oddaje realiów naszej podróży. Posuwaliśmy się w żółwim tempie od jednej do drugiej strony drogi, bez przerwy na kogoś wpadaliśmy prawie się przy tym wywracając, a cuchnące błoto raz po raz lądowało na naszych twarzach. W końcu zmuszony byłem zarządzić przerwę i zaczekać, aż tłum się przerzedzi. Młody woźnica - śniady urwis - był zachwycony, że zrezygnowaliśmy z dalszej szarpaniny i z chęcią skierował nas do gospody, gdzie spożyliśmy znośny posiłek złożony z kurczaka, ryżu i mnóstwa imbryczków herbaty z cytryną. Wróciliśmy na ulicę w godzinę później i ku mojej rozpaczy zobaczyłem, że chociaż ubyło bydła i wozów, ilość pieszych zwiększyła się dziesięciokrotnie. Wydawało się, że pół świata postanowiło wybrać się tego wieczoru na targ zachodni w poszukiwaniu jedzenia i rozrywki. Nie było sensu kontynuować podróży dorożką, zapłaciłem więc chłopcu i dalej ruszyliśmy pieszo.
Prawie natychmiast się zgubiliśmy. Mój rosyjski był znacznie gorszy, niż potrzeba, więc moje usilne próby dopytania się o drogę skończyły się

sromotnym niepowodzeniem. Większość brodatych kupców i ponurych przybyszów ze Wschodu wydawała się równie zagubiona, jak my. Minęło sporo czasu, zanim dotarliśmy na słynne przedmieście Kunawin. Teren ten położony był na zachodnim krańcu jarmarku i był prawie wyłącznie miejscem dziwnych rozrywek. Gdy zapadł zmrok, grupki podpitych, wojowniczo nastawionych mężczyzn wydostawały się z jadłodajni i wszczynały między sobą bójki w drodze do jaskiń hazardu i burdeli. Dariusz wyciągnął nóż i poradził mi usunąć się z drogi, ale odtrąciłem jego rękę. Nie miałem zamiaru kłaść się spać, zanim się przekonam, czy człowiek, którego szukaliśmy, już wyjechał. Jarmarki rozrzucone były po całej Rosji i myśl o niepowodzeniu poszukiwań w Niżnym Nowogrodzie napełniała mnie przerażeniem. Z rozkazu cesarskiego miałem przemierzyć ten ogromny, dziwny kraj wzdłuż i wszerz i za wszelką cenę znaleźć tego przeklętego magika. Zamierzałem, jeśli trzeba, chodzić po ulicach do świtu, dopóki była jeszcze jakaś nadzieja.

Godzinę później, gdy skręciłem w boczną uliczkę, spostrzegłem widok, na który tak czekałem - kirgizki namiot, który z takimi szczegółami opisywał handlarz futer z Samarkandy. Owalny w kształcie, jak ogromny ul - jego wielki, czarny cień wydawał się sztywny i ponury w otoczeniu jaskrawych przybytków o podłej reputacji. Byłem tak zdumiony i zirytowany, że pomimo długich poszukiwań w pierwszym odruchu chciałem stamtąd uciec. Stałem na słabo oświetlonej ulicy oszołomiony i

przytłoczony przeczuciem nieuchronnej tragedii, które nigdy dotąd mi się nie zdarzyło. Wszystkie moje instynkty ostrzegały mnie przed wejściem do tego złowieszczego namiotu, który jednocześnie w niewyjaśniony sposób mnie fascynował. Moje nogi były ciężkie jak z ołowiu, kiedy poleciłem Dariuszowi poczekać na zewnątrz i z wahaniem odsłoniłem matę, która służyła za drzwi.

Czułem się, jakbym wstąpił do tajemniczego łona. Wszystko wokół było czerwone: ściany, miękki perski dywan na podłodze, kotary zwieszające się z półokrągłego sufitu. Miękkie, przyćmione światło oraz ciężki zapach wonnych olejków i kadzidła dopełniały niezwykłej atmosfery, która otoczyła mnie jak czarodziejska chmura. Opanowała mnie niezwykła, męcząca senność i musiałem mrugnąć, żeby ją przemóc. Dopiero wtedy zauważyłem mężczyznę wspartego na poduszkach leżących na podłodze.

W odróżnieniu od ciepłego bogactwa otoczenia, był od stóp do głów ubrany w czerń, a jego twarz przysłaniała biała maska. Sprawiał wrażenie potęgi - zimnego i przytłaczającego majestatu, jakbym nagle spotkał któregoś z bogów ze starożytnej mitologii. Nie podniósł wzroku, kiedy wszedłem; przez dłuższy czas bawił się dziwną szkatułką, podczas gdy ja stałem w drzwiach zastanawiając się, czy on mnie w ogóle widzi. Ignorował mnie do tego stopnia, że pomyślałem, że mnie wcale nie dostrzega, więc patrzyłem na niego z wulgarną ciekawością. Nie mogłem oderwać wzroku od jego palców, niesamowicie szczupłych -

wyglądały jak skóra i kości. Były też wyjątkowo długie i poruszały się z fascynującym wdziękiem i gracją. Stałem i gapiłem się jak zahipnotyzowany, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że on mi się przygląda. Nieugięte spojrzenie oczu zza maski sprawiło, że poczułem się niezręcznie. W tej czarnej postaci było coś groźnego; coś, co skojarzyło mi się z kobrą gotującą się do ukąszenia.
- Koniec przedstawienia na dziś - powiedział bezbłędnie po rosyjsku. - Jeśli chcesz obejrzeć moje sztuki, musisz przyjść jutro.
Otworzyłem usta z zaskoczenia, gdyż nic w jego ponurym i surowym wyglądzie nie przygotowało mnie na ten głos. Nawet w tej zimnej, krótkiej uwadze dostrzegało się porażające piękno. Tylko ci, którzy słyszeli, jak mówił czy śpiewał, naprawdę wiedzą, jak piękny może być ludzki głos; trzeba było usłyszeć niespotykaną czystość i głębokość jego głosu, by w pełni zrozumieć jego władzę. Nie spodziewałem się, że taki głos można usłyszeć gdziekolwiek z wyjątkiem raju. Usłyszenie go w tym miejscu, w pełnym przeciągów, słabo oświetlonym namiocie, działało przytłaczająco. Kim on był - czym on był? - że posiadał tak boski instrument? W pierwszej chwili, gdy się odezwał, zastanawiałem się, czy słyszę anioła, czy diabła, i nawet teraz, po latach, zadaję sobie to pytanie. Za każdym razem, kiedy zdawało mi się, że znam na nie odpowiedź, robił coś, co sprawiało, że zmieniałem zdanie.
Ale to dopiero miało nastąpić. Teraz było teraz i musiałem się jak najszybciej pozbierać, by odpowiedzieć na jego nakaz, bym sobie

poszedł.
- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałem niepewnie, ze zdenerwowania przechodząc na perski. - Proszę zrozumieć, że nie przyszedłem tu jedynie wiedziony ciekawością. Nie jestem na tyle bezczelny, by prosić o prywatny występ.
- Jesteś i tak wystarczająco bezczelny - odparł zimno w moim ojczystym języku. - Mów, o co ci chodzi, tylko szybko.
Zwracał się do mnie z arogancją króla i odruchowo przyjąłem przepraszający ton, który zwykle zarezerwowany był dla szacha.
- Panie, wieść o was przebyła wiele mil, nawet dalej niż moglibyście się spodziewać. Przybywam z Persji i przywożę osobiste zaproszenie od Szach-in-szacha.
Nawet mówiąc te słowa wiedziałem, że przekraczam swoje uprawnienia. Kazano mi sprowadzić tego człowieka, mniej więcej tak samo, jakbym miał sprowadzić tresowaną małpę. Ale nagle uświadomiłem sobie, że to nie będzie takie proste.
Zaśmiał się cicho, a mnie zjeżyły się włosy.
- Przypuszczasz, że jestem na posyłki królów, jak inni? - zapytał zaczepnie.
- Nie - odpowiedziałem nieśmiało. - Widzę, że nie jest pan podobny do innych.
Oparł się o poduszki i przyglądał mi się w sposób, którego nie mogłem odgadnąć.

- Masz więcej racji, niż sądzisz, Persie. Lepiej nie wyrażaj głośno swych opinii!

Wstał i podszedł krok w moją stronę, a mnie zrobiło się zimno ze strachu; wiedziałem, że go rozzłościłem, chociaż nie wiedziałem czym.

- A jeśli nie zechcę z tobą jechać do Persji? Co się z tobą stanie... posłańcu króla?

W jego głosie była niesłychana złośliwość, a jego bliskość przerażała mnie. Pojąłem, że nic nie zdoła mnie uratować przed tym nieznanym zagrożeniem, nawet szczera prawda.

- Jeśli nie wykonam rozkazu, stracę swoje stanowisko, majątek, a najprawdopodobniej też i życie - powiedziałem po prostu.

Przez chwilę milczał przyglądając mi się bacznie; zauważyłem, że uśmiechnął się lekko pod maską.

- A jakie masz stanowisko? - zapytał nagle.

- Jestem darogą Mazandaranu. - Ukłoniłem się nieco ironicznie.

- No tak. - Splótł ręce pod czarnym płaszczem. - Spodziewam się więc, że szef policji przyszedł pod eskortą uzbrojonego oddziału?

- Nie panie, jestem sam ze służącym, który czeka na zewnątrz. - Allahu! Po co ja mu to powiedziałem?

Znowu się roześmiał, ale tym razem bez złośliwości.

- A to już, jeśli wolno mi zauważyć, wyjątkowa nieostrożność. Mam nadzieję, że w kraju zachowujesz się bardziej rozważnie!

Jego nastrój zmienił się bardzo po moim niezręcznym zwierzeniu. Wciąż

się mną bawił jak kot myszą, ale teraz łagodniej, ze schowanymi pazurami. W odpowiedzi na jego zaczepkę, zachowałem pełne godności milczenie. Po chwili wzruszył ramionami i podszedł w kąt namiotu, gdzie w samowarze gotowała się woda. Zdjął z niego porcelanowy imbryczek, nalał płyn do filiżanki, wrzucił plasterek cytryny i podał mi. Przyjąłem ten uświęcony gest rosyjskiej gościnności z wyraźną ulgą. W tym kraju podawano herbatę, zanim się przeszło do ubijania interesu - w ogóle był to wstęp do cywilizowanej rozmowy; większość spraw załatwiano w herbaciarniach. Przynajmniej miałem pewność, że nie wyprosi mnie z namiotu, uprzednio nie wysłuchawszy.

- Co szach proponuje w zamian za moje występy? - zapytał obcesowo.

Łyknąłem herbaty zbierając się na odwagę.

- Pieniądze... zaszczyty...

Wykonał niecierpliwy gest ręką, jakby te rzeczy wcale go nie interesowały. Wziąłem głęboki oddech i zarzuciłem ostatnią przynętę.

- Władzę.

Odstawił imbryczek na samowar i odwrócił się do mnie.

- Władzę? - Echo tego słowa zawisło pomiędzy nami, wiedziałem, że uderzyłem we właściwą strunę.

- Jeśli zadowoli pan szacha i chanum, pańskie słowo będzie prawem.

- Na jakiś czas.

- Na jakiś czas - zgodziłem się, widząc, że kłamstwo na nic się nie zda. - Ale... przez ten czas... - Rozłożyłem ręce ekspresyjnie; zobaczyłem, że

zrozumiał.
- Tak - powiedział powoli. - Wiem, o co ci chodzi.
- A więc... pojedzie pan ze mną? Jeśli się pan zgodzi, wyjedziemy jutro.
Pstryknął palcami zirytowany.
- Zaczynasz mnie denerwować, a wiedz, że ja nie pozwolę się złościć - nawet darodze Mazandaranu. Idź już. Dostaniesz moją odpowiedź, kiedy się zdecyduję i nie wcześniej.
Wiedziałem, że jeżeli zaprotestuję, wszystko, co osiągnąłem, pójdzie na marne, więc mimo, że byłem zły na jego autokratyczne zapędy, ukłoniłem się bez słowa i wyszedłem. Mój los zależał całkowicie od jego kaprysu, ale naraz pożałowałem, że go w ogóle znalazłem, że jeszcze nie wyjechał z jarmarku.
Nie spodziewałem się nawet, jaki straszny łańcuch wydarzeń zapoczątkowałem tej nocy, ale uczucie głębokiego niepokoju nie opuszczało mnie, kiedy wyobraziłem sobie tego człowieka w Persji.
Złe przeczucia towarzyszyły mi długo po tym, jak opuściłem jego namiot. Zasnąłem dopiero tuż przed świtem i w swoich snach słyszałem echo jego głosu jak zapowiedź nieszczęścia.
Wróciłem następnego wieczoru, by zobaczyć jego przedstawienie i byłem zaskoczony widokiem, który na mnie czekał. Był wirtuozem sztuczek magicznych, o niespotykanie zręcznych rękach. W głowie mi się kręciło od niesamowitych popisów iluzjonistycznych i dostałem migreny, kiedy wszystkie moje koncepcje czasu i grawitacji zostały bez

pardonu zakwestionowane. Wszystkie prawa rządzące wszechświatem zostały wystawione na próbę w tym namiocie. Niektóre ze sztuczek były bez wątpienia nadprzyrodzone i na długo przed zakończeniem spektaklu doszedłem do wniosku, że oglądam dżina stworzonego z ognia na dwa tysiące lat przed Adamem. Zauważyłem z niepokojem, że był leworęczny. Każdy muzułmanin wie, że diabeł jest leworęczny - dlatego zawsze spluwamy przez lewe ramię. Moje palce odruchowo zacisnęły się na amulecie, który nosiłem na szyi - wykonanej ze srebra wyciągniętej ręce i suszonym oku owcy zabitej w ofierze w Mekce. Oba te przedmioty miały potężne działanie ochronne i nigdy wcześniej nie było mi ono bardziej potrzebne. Starałem się nie patrzeć mu prosto w oczy, gdyż obawiałem się uroku.

Kiedy skończyło się przedstawienie, tłum w namiocie był w stanie histerii; przepychali się do przodu, zarzucili całą podłogę monetami i domagali się bisów jak zachwycone dzieciaki. On jednak odwrócił się i powiedział zmęczonym głosem, że to wszystko, co przygotował na dziś. Nie chcieli odejść. Otoczyli go jak sfora głodnych zwierząt i zaczęli się dopraszać, by zdjął maskę i zaśpiewał.

- Pokaż nam swoją twarz! - krzyczeli. - Pokaż nam swoją twarz, Eriku, i pozwól nam usłyszeć, jak śpiewa diabeł!

Jego szczupłe dłonie zwinęły się w pięści i przez chwilę miałem wrażenie, że odmówi. Bałem się, że jeśli to zrobi, tłum gotów go stratować.

Nagle, bez ostrzeżenia, podniósł rękę i zdjął maskę.
Zapanowała głucha cisza, jakby wszyscy w namiocie przestali naraz oddychać. Stałem bardzo blisko niego, dostatecznie blisko, by cofnąć się o krok z przerażenia, gdy odsłonił swą potworną twarz. Handlarz futer z Samarkandy nic o tym nie wspominał, może bał się, że nikt mu nie uwierzy i uzna całą tę historię za wymysł, gdyż rzeczywiście nie sądzę, by ktoś mógł uwierzyć na słowo w taki horror. Stałem i gapiłem się jak niewychowany wieśniak, porażony widokiem tej nieludzkiej brzydoty, tym bardziej przerażającym, że wpadnięte oczy patrzyły z dziką nienawiścią, a groteskowo zdeformowane usta wykrzywione były bólem. W tej jednej chwili, zanim zaczął śpiewać, zrozumiałem, jak bardzo gardził tym tłumem.
A potem zapomniałem o wszystkim, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z najprawdziwszą magią.
Nic, co widziałem do tej pory, nie da się porównać z cudowną alchemią, która zmieniła dźwięk w płynne złoto i porwała mnie w tym dusznym namiocie na rosnącej fali ekstazy. Śpiewał o miłości i z każdą nutą, którą z siebie wydobywał, widziałem ręce Rukiji wyciągające się do mnie poprzez bezkresną otchłań, która nas rozdzielała. Każde słowo i każda nuta zbliżały nas do siebie, tak blisko, że w końcu wyciągnąłem ramiona, by ją objąć.
Wtedy zapadła cisza i wizja zniknęła.
Rozpacz ścisnęła mnie za gardło i rozpłakałem się, podobnie jak wielu

innych słuchaczy.
Kiedy ucichła pieśń, tłum opuścił namiot w niemym zachwycie. Nie było osoby, która nie byłaby głęboko wzruszona i pogrążona w zadumie. Zaczarował wszystkie smutki skrywane w naszej pamięci i przemienił je w niewypowiedziane piękno. Ludzki umysł nie był w stanie znieść większego cierpienia tego wieczoru; taka była jego zemsta na nas.
Kiedy namiot opustoszał, mechanicznym gestem założył maskę trzęsącymi się rękami; zastanawiałem się, jak straszliwe przeżycia z przeszłości nauczyły go wyrażać tak absolutną rozpacz.
Gdy tylko zasłonił twarz, cała jego postać zmieniła się. Wyprostował się i znów wyrażał postawą wyłącznie siłę i potęgę, którą poznałem zeszłej nocy. Chwilę wcześniej wydawał mi się stary, w ciągu sekundy ubyło mu ze trzydzieści lat, znów był mężczyzną w rozkwicie sił, być może nawet o kilka lat młodszym ode mnie.
- Przyszedłeś po odpowiedź, jak sądzę - powiedział ponuro, kiedy wciąż stałem, wpatrując się tępo w nakryty aksamitem stolik.
- Będzie pan bardzo poważany w Persji - przypomniałem mu. - Dostanie pan wszystko, czego tylko zapragnie.
- Nikt nie jest w stanie dać mi tego, czego pragnę - przerwał mi. - Nawet sam szach Persji.
- Ale... pojedzie pan ze mną?
Wzruszył lekko ramionami.
- Na to wygląda - powiedział i odwrócił się, by dołożyć węgla pod

samowar.

Następny dzień zbiegł się z zakończeniem wielkiego targu; zaczął się masowy exodus z Niżnego Nowogrodu. Na parowcach nie było już wolnych miejsc, gdyż wszędzie tłoczyli się zdążający do domów bogaci kupcy. Wszystko, co udało się zorganizować, to miejsce na przepełnionej barce pomiędzy pakunkami herbaty i belami bawełny. Dopłynęliśmy w ten sposób do Kazania, gdzie niespodziewanie wpadłem na niego pewnego ranka, kiedy z chłodną determinacją sprowadzał konie z pokładu.
- Co ty wyprawiasz? - zapytałem zaskoczony. - Jeszcze nie schodzimy na ląd.
- Nie mam zamiaru dłużej podróżować jak paka herbaty - odparł spokojnie. - Ty, oczywiście, możesz zrobić, jak chcesz.
- Chyba nie chcesz naprawdę podróżować lądem aż do Morza Kaspijskiego?! - zawołałem.
Zmierzył mnie obojętnym spojrzeniem znad końskiego grzbietu.
- Może w ogóle nie mam zamiaru dalej podróżować. Nie odpowiada mi zbytnia bliskość przedstawicieli ludzkości.
Czując własną klęskę, starałem się jakoś go udobruchać.
- Rozumiem, że podróż nie była może wygodna -
- Tu nie chodzi o wygody - mruknął.
- Mam nadzieję, że w Samarze uda nam się przesiąść na parowiec. W ten

sposób dopłynęlibyśmy do morza w ciągu kilku dni.
- Nie zależy mi na szybkości - odparł ostro - tylko na prywatności. Jeżeli w ogóle mam kontynuować tę podróż, to wyłącznie lądem.
Straciłem cierpliwość.
- To niedorzeczność! - wrzasnąłem. - To potrwa całe tygodnie - tygodnie! Jak ja się wytłumaczę szachowi?
Rozłożył ręce, w arogancki sposób dając mi do zrozumienia, że nic go to nie obchodzi.
- Może łatwiej ci będzie wytłumaczyć się z niepowodzenia misji. Żegnam, darogo... Miłej żeglugi tą pływającą paczką!
Odwrócił się i dalej sprowadzał konie z pokładu. Złapałem go za rękaw.
- Poczekaj! - Wiedziałem, że jeśli pozwolę mu odłączyć się w Kazaniu, już nigdy go nie odnajdę. - Daj mi czas na wyładowanie bagaży i pojedziemy tak, jak chcesz... dokładnie tak, jak chcesz. Ale uprzedzam, że niełaska cesarza to nie jest przyjemna rzecz. Król królów nie lubi czekać.
- Nawet król królów musi się nauczyć cierpliwości - odpowiedział Erik chłodno. - Tak, jak wszyscy.

To był pierwszy raz, kiedy ugiąłem się przed jego kaprysami - pierwszy i nie ostatni.
Zanim wyjechaliśmy z Kazania, uparł się zwiedzić mauzoleum, które znajdowało się milę za miastem. Skoro już raz pozbyłem się nadziei na

szybki powrót do Persji - i ponieważ nie chciałem spuszczać z niego oka! - zmuszony byłem towarzyszyć mu w wyprawie przez wilgotne, stęchłe katakumby, gdzie podziwiał stare kości, które zostały po oblężeniu Kazania kilka wieków temu.
Ludzkie szczątki wprawiały mnie w zakłopotanie, a kiedy zobaczyłem, że powoli, cierpliwie pakuje kompletny szkielet do torby, byłem przerażony.
- Po co ci to? - zapytałem niepewnie. - Chyba nie zamierzasz tego zabrać ze sobą?
- Ależ oczywiście - odpowiedział spokojnie. - To bardzo dobrze zachowany okaz. Spójrz... w tym miejscu nóż wyszczerbił żebro.
- Skąd wiesz, że to był nóż?
- Przeprowadziłem wystarczająco dużo sekcji, by poznać, że ktoś zginął od noża.
- Sekcji!? - Popatrzyłem na niego zdruzgotany. - Przeprowadzałeś sekcje?
- Czasami. To jedyny sposób, by zrozumieć funkcjonowanie ludzkiego ciała. Homo sapiens interesuje mnie z naukowego punktu widzenia. Tak z ciekawości... rozumiesz?
Sposób, w który wyrażał się o rasie ludzkiej, był dziwnie niepokojący. Całkiem, jakby siebie do niej nie zaliczał. Przeszedł mnie dreszcz i poczułem ulgę, kiedy znowu stanęliśmy w świetle słońca. Nie zadawałem więcej pytań. Nie chciałem wiedzieć nic więcej o człowieku,

który kolekcjonował ludzkie szkielety i przeprowadzał sekcje zwłok “z naukowej ciekawości”.

Wielokrotnie przed naszym wyjazdem z Kazania przerażał mnie dowodami braku elementarnego poczucia moralności. Chodząc pewnej nocy razem po ulicach tej “Małej Moskwy”, z przerażeniem zauważyłem, że za każdym razem, gdy mijaliśmy bogatego tatarskiego kupca, w ręku Erika pojawiała się wypchana sakiewka, ale mimo, że obserwowałem go uważnie, nie udało mi się wyśledzić momentu, kiedy jego ręka sięgała bez wysiłku do ukrytej kieszeni. Później zrozumiałem, że jeśli w ogóle widziałem cokolwiek, to dlatego, że on chciał, żebym to zobaczył. Sprawiało mu przyjemność szokowanie mnie i zmuszony jestem przyznać, że chociaż jego towarzystwo było w najwyższym stopniu niepokojące, ani przez chwilę się z nim nie nudziłem! Zachowywałem się jak dobrze wychowane dziecko na wagarach w towarzystwie najprawdziwszego łobuza. Kiedy zaproponował, że nauczy mnie tej sztuczki, przez chwilę się wahałem, rozważając konsekwencje zostania schwytanym na gorącym uczynku, zanim odmówiłem z wyrazem prawomyślnego potępienia.

Poczucie rzeczywistości wróciło do mnie, kiedy zostawiliśmy za sobą bogactwa Kazania. Podczas niekończącej się przeprawy przez dzikie lasy, które porastały brzegi Wołgi, wielokrotnie przeżywałem ciężkie chwile. Tworzyliśmy niewielką grupkę, bezbronną wobec bandytów, od których roiło się w tych lasach, a którzy dybali na nieostrożnych

śmiałków. Dariusz spał z naładowanym pistoletem pod poduszką i namówił mnie, bym postępował podobnie. Za to Erik najwyraźniej lekceważył sobie niebezpieczeństwo, często na całe dnie przepadał sam w lesie, odchodził bez słowa i zjawiał się, jak gdyby nigdy nic kilka dni później.

Przy bliższym poznaniu okazał się człowiekiem o zmiennych nastrojach; nigdy nie dało się przewidzieć jego reakcji ani odgadnąć, kiedy zły humor weźmie górę nad dobrym. Miewał napady melancholii; nie wychodził wtedy z namiotu, odmawiał dalszej podróży, nie przychodził na posiłki ani nie odzywał się do nikogo całymi dniami. Każdy, kto ośmieliłby się przeszkadzać mu w takiej chwili, ryzykował połamaniem kości, gdyż Erik, jak się wkrótce przekonaliśmy, miał wybuchowy temperament. A potem znowu, bez żadnego powodu, stawał się uprzejmy i towarzyski, popisywał się sztuczkami, grą na instrumentach, brzuchomówstwem, zaskakiwał nas wszystkich swym genialnym umysłem. W takim nastroju siadywał czasem przy ognisku i opowiadał o swych podróżach. Zdawało się, że zdołał objechać większość krajów Europy i Azji, był nawet w Indiach, gdzie spędził pewien czas wśród mistyków w egzotycznym cesarstwie Karak Khitan na południe od zachodnich Himalajów.

Miał niesamowity talent do opowiadania historii. Nieprawdopodobne opowieści wypływały z jego ust z rytmiczną i nieodpartą intensywnością, która robiła wrażenie na wszystkich słuchaczach.

Więcej się nauczyłem o tajemnicach świata podczas tych kilku tygodni podróży, niż mógłbym w ciągu trwającej całe życie nauki z książek. Jego osobistą historię poznałem jednak w minimalnym stopniu. Nigdy nie opowiadał o swoim życiu, zanim postanowił ruszyć na podbój świata gnany nienasyconym pragnieniem wiedzy. Ukrywał swoją przeszłość tak, jak swoją twarz i nawet najbardziej niewinne pytania na ten temat przyjmował wrogo.

Podróżowaliśmy w ten sposób już jakiś czas, kiedy niespodziewanie zaskoczyła nas zła pogoda. Przez wiele dni z rzędu ciężkie chmury przetaczały się nad Wołgą, a deszcz zacinał z ołowianego nieba, zmieniając drogę w błocko nie do przebycia. Jechaliśmy przemoczeni do nitki i nawet w nocy nie sposób było suszyć ubrań w namiotach. Duszne, tropikalne powietrze Mazandaranu znajdowało się daleko przed nami, a przez niespodziewany deszcz i ziąb zacząłem kasłać jak starzec. Zanim dotarliśmy do Kamichina, gdzie gwałtowne burze uniemożliwiły nam dalszą podróż, byłem cały rozgorączkowany.

Dariusz otulił mnie najcieplejszymi kocami, jakie udało mu się zdobyć. Leżałem nie mogąc spać i wsłuchując się w krople deszczu bębniące o dach namiotu. Rano każdy oddech sprawiał mi nieznośny ból. Próbowałem właśnie wciągnąć powietrze w płuca, kiedy Erik niespodziewanie wszedł do namiotu i pochylił się nad moją pryczą.

- Twój służący powiedział, że zachorowałeś. - Zmierzył mnie wzrokiem pełnym troski. - Od dawna czujesz ten ból w klatce piersiowej?

- Od kilku godzin - odpowiedziałem słabo. - Wszystkiemu jest winny ten beznadziejny klimat i twój upór.
Położył zimną rękę na moim czole, wstrzymałem oddech pod jego chłodnym dotknięciem. To nie był naturalny chłód, który dałoby się wytłumaczyć pogodą, ale raczej lodowaty dotyk śmierci, który pozostałby nie zmieniony nawet w gorącym powietrzu Mazandaranu. Odsunąłem się od dotyku dłoni, która tak dobitnie przypomniała mi o mojej śmiertelności.
- Zapalenie płuc - mruknął. - Przygotuję ci napar.
- Więc jesteś również lekarzem! - stwierdziłem bezczelnie. - Czy lista twoich umiejętności nigdy się nie kończy?
Wstał i spojrzał na mnie z niesamowitym spokojem.
- Umiem parę rzeczy, z których powinieneś się cieszyć. Ale skoro bardziej ufasz metodom swojego głupiego służącego, to twoja wola.
Wyszedł z namiotu nie zaszczyciwszy mnie powtórnym spojrzeniem, a ja gapiłem się wściekły na skórzane ściany. Dlaczego miałbym mu zaufać? Nie zdziwiłbym się, gdyby zamierzał mnie otruć, zwłaszcza po tym, jak go obraziłem. Nie byłem skłonny poddać się podejrzanej cygańskiej kuracji. Zapalenie płuc! A cóż on mógł o tym wiedzieć?!
Bardzo niewiele pamiętam z następnych dni. Męczyły mnie gorączkowe majaki, poprzez które półświadomie widziałem Dariusza, który się mną opiekował i wielki, czarny cień, który pochylał się nad moim łóżkiem, aby mi ubliżać.

- Nie poddawaj się, do cholery! Nic ci nie pomogę, jeśli ty sam się poddasz!

Za każdym razem, kiedy słyszałem ten głos, chciało mi się spróbować się podnieść i zdzielić impertynenta; na krótką chwilę wracała mi świadomość. Ale czułem się coraz bardziej zmęczony i właściwie nie chciałem już niczego, ponad to, by osunąć się miękko w zapraszające mnie zapomnienie - coraz niżej, aż do miejsca, gdzie cierpliwie czekała na mnie Rukija.

A potem usłyszałem muzykę.

Muzykę, która brzmiała miękko i kojąco, jak szmer wodospadu...

Muzykę, która wabiła moją duszę z powrotem ku światłu swoją słodką, niewypowiedzianą obietnicą.

Zaufaj mi, idź za mną, wskażę ci do niej drogę...

Uwierzyłem tej muzyce... Podążyłem za nią bez pytania.

Ale kiedy obudziłem się w moim poszarzałym namiocie i nie zobaczyłem obok siebie nikogo, prócz Dariusza, rozpłakałem się widząc, jak okrutnie zostałem oszukany.

- Powiedział, że obudzi się pan zapłakany, jeżeli w ogóle - usłyszałem cichy głos Dariusza. - Powiedział, że mam się nie przejmować i dać panu to.

Podniósł mnie z posłania i wlał mi do gardła jakiś wstrętny syrop.

Kiedy mnie znowu położył, spostrzegłem Koran leżący przy mojej głowie. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bliski byłem raju.

Nawet jeśli ciężki stan mojego zdrowia poruszył Erika, to moja rekonwalescencja całkowicie go nudziła. Nawet mnie nie odwiedził, zanim na dobre nie wstałem z łóżka. A kiedy powiedziałem kilka słów podziękowania, zaśmiał się tylko pogardliwie i powiedział, że moja śmierć byłaby dla niego bardzo niewygodna.

Tego wieczora został ze mną bardzo długo, by korzystając z mojej choroby ograć mnie w szachy na sporą sumę pieniędzy. W końcu, znudzony moją nienajlepszą grą, wstał, odłożył szachownicę i rzucił wygraną na moją poduszkę.

- Co znowu? - zapytałem zaskoczony.

Wzruszył ramionami.

- To nie była równa walka, jesteś wyczerpany po chorobie. Ale uważaj, jutro potroimy stawkę i nie dam ci żadnych forów.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł nic więcej nie mówiąc. Wiatr uniósł poły namiotu i kiedy wstałem, żeby je związać, ujrzałem następującą scenę: jakiś człowiek w kałmuckim ubraniu podkradł się do Erika z nożem, ale zanim zdążyłem ostrzec go krzykiem, ten odwrócił się do napastnika zwinnie jak kot.

W powietrzu przemknęło wąskie lasso dusząc intruza szybkim, ostrym szarpnięciem i w mgnieniu oka mężczyzna padł martwy. Byłem osłupiały widząc błyskawiczny refleks Erika, jego automatyczną, odruchową obronę, która przywodziła na myśl dzikiego drapieżnika, dla

którego zabijanie było sprawą całkowicie naturalną. Zdałem sobie sprawę, że zabijał już wcześniej i to wielokrotnie; nie ulegało to najmniejszej wątpliwości.
Kiedy tak stałem rozdziawiając usta w przerażeniu, Erik pochylił się, niedbałym gestem rozwiązał lasso i wsunął je do jakiejś ukrytej kieszeni płaszcza. Zachowywał się całkowicie spokojnie; nie mógłby okazać większej obojętności, gdyby skręcił szyję kurczakowi. Jego lodowaty spokój zmroził mnie nie mniej niż szybkość, z którą zabijał.
Odsunął zwłoki butem, podniósł wzrok i spojrzał na mnie, kiedy wciąż idiotycznie się na niego gapiłem.
- Wracaj do namiotu, darogo. - W jego głosie brzmiało niezadowolenie. - To byłoby naprawdę męczące, ratować ci życie drugi raz z rzędu.
Odwrócił się i zniknął w ciemności.
Wróciłem do łóżka rozstrojony; nie wiedziałem, jak mam się ustosunkować do tego, co zobaczyłem.
Był nie tylko największym magikiem, najbardziej niesamowitym brzuchomówcą, najwspanialszym muzykiem, jakiego widziałem w życiu. Był także najzręczniejszym i najbardziej wyrachowanym mordercą.
Tylko głupek albo samobójca ośmieliłby się traktować go bez szacunku.
Mały stateczek, który czekał na nas w Astrachaniu, pływał pod cesarską banderą i jego widok dość przypadł Erikowi do gustu, by wszedł na pokład bez protestu. Zapewniłem go, że podczas podróży nikt nie będzie

mu przeszkadzał... Obiecałbym mu gwiazdkę z nieba, byle tylko przewieźć go bezpiecznie przez Morze Kaspijskie i bym nie musiał się obawiać, że znowu gdzieś zwieje.
Ostatni etap naszej podróży był miłosiernie pozbawiony większych przygód, przez większość czasu podziwialiśmy piaszczyste wydmy u wybrzeży Mazandaranu. Za nimi leżały mardubas - martwe wody, niekończące się mętne laguny otoczone dżunglą, bagnami i ruchomymi piaskami. Żerowały tu wszelkie możliwe gady, a chmury komarów unosiły się bez przerwy w niezdrowym powietrzu. Zesłanie do naszych nadmorskich prowincji było wyrokiem śmierci dla nie zaaklimatyzowanych Europejczyków, tak więc tuż po przybiciu do brzegu, co koń wyskoczy popędziliśmy do Aszrafu, gdzie przywitał nas słodki, znajomy zapach cyprysów.
Małe domki o spadzistych dachach, przestronne werandy i witraże nigdy nie wydawały mi się piękniejsze i chociaż wiedziałem, że powinniśmy spieszyć się do pałacu w Teheranie, sam Allah nie zmusiłby mnie do postawienia kolejnego kroku, zanim zobaczę moje dziecko.
Miałem nadzieję, że wielkość mojego pałacu i książęce pochodzenie zrobią na Eriku wrażenie, ale się przeliczyłem.
- Z tego, co słyszałem, książąt u was więcej, niż pcheł na wielbłądzie - zauważył zuchwale.
Zarumieniłem się. O Allahu, on przecież dopiero co przyjechał do tego kraju! Gdzie u licha zdążył usłyszeć to obraźliwe przysłowie?!

Patrzył rozbawiony na moje zakłopotanie.
- Nie przejmuj się, darogo - powiedział łagodnie. - Gdybym kiedyś potrzebował błękitnej krwi, przynajmniej będę wiedział, gdzie ją znaleźć.
Uśmiechał się pod maską i mimo, że bardzo się starałem zachować kamienną twarz, musiałem się roześmiać wraz z nim.
- W pałacu będziesz musiał nauczyć się trzymać język za zębami - ostrzegłem go. - Złośliwe poczucie humoru to niebezpieczna rzecz.
- Postaram się nie zapomnieć... A teraz żarty na bok. To dla mnie zaszczyt spać dziś pod książęcym dachem.
Wzruszył mnie swoją naturalną grzecznością; byłem zdumiony, że w jednej chwili zrzucił szorstkie maniery i zachowywał się jak idealny gość - uprzejmy, czarujący w obyciu i doceniający starania gospodarza. Zaproszenie do mego domu zdawało się wiele dla niego znaczyć i gdyby nie maska, pomyślałbym, że goszczę u siebie dżentelmena z brytyjskiego przedstawicielstwa.
Siedzieliśmy razem na werandzie, a moi zaciekawieni słudzy przynosili przekąski, kawę i lody. Właśnie wtedy dołączył do nas mój syn; jego wychowawca został nieśmiało z tyłu, spodziewając się nagany.
- Ojcze! Tak długo cię nie było! Myślałem, że już nigdy nie wrócisz!
Oswobodziłem się z jego objęć, do których tak tęskniłem, postawiłem chłopca na ziemi i przytrzymałem, gdy się zachwiał.
- Reza - powiedziałem z lekką przyganą. - Nie tak cię uczyłem

zachowywać się przy gościach.
Erik stał w milczeniu, kiedy dziecko odwróciło na niego zdumione i rozbiegane oczy.
- Oby wasze serce zawsze pozostało otwarte, panie - wyrecytował z szacunkiem tradycyjną formułę powitania. Nagle, w przypływie ciekawości, której nie mógł powstrzymać, dodał wyłamując się kompletnie z ustalonych konwencji - Och, proszę pana... Czy naprawdę jest pan największym magikiem na świecie?
- Niektórzy tak mówią.
Głos Erika zabrzmiał dziwnie łagodnie. Ujął wyciągniętą rączkę dziecka i odwrócił ją, jakby badał jej linie.
- Proszę, niech nam pan pokaże jakąś sztuczkę przed wyjazdem!
Erik obrzucił mnie szybkim, zaskoczonym spojrzeniem; bezradnie wzruszyłem ramionami.
- Z przyjemnością - powiedział uprzejmie. - A dla ciebie, Reza, będę miał coś specjalnego... Coś, czego jeszcze nie słyszały ludzkie uszy. I nie usłyszą... nawet sam szach.
Zauważyłem zachwycone spojrzenie mojego syna, kiedy odruchowo podniósł ręce w stronę źródła niezwykłego głosu.
- Pokaże mi to pan już teraz?
- Jutro - odpowiedział Erik. - Obawiam się, że wcześniej nie zdążę. Czy będziesz bardzo cierpliwy i poczekasz do jutra?
- Reza, zapominasz się! - Odezwałem się ostrzej, niż chciałem,

zaniepokojony dziwnym porozumieniem pomiędzy nimi. - Idź teraz do siebie, później do ciebie przyjdę.
- Tak, ojcze. - W głosie mojego dziecka brzmiał bolesny wyrzut, ale pozwolił nauczycielowi wyprowadzić się z werandy.
Gdy poszedł, zapanowała ciężka cisza. Erik z powrotem usiadł na białym, wiklinowym krześle i zaczął studiować desenie na filiżance.
- Od jak dawna chłopiec ma kłopoty ze wzrokiem? - zapytał nagle.
- Jakieś półtora roku.
- A słabość mięśni przyszła później?
- Tak. - Z trudnością przełknąłem łyk kawy. - Powiedziano mi, że to choroba wieku dziecinnego i że z tego wyrośnie.
Erik westchnął i odstawił filiżankę na stolik.
- To jest postępująca, wyniszczająca choroba, darogo.
Podniosłem oczy.
- Więc uważasz... że nie odzyska wzroku?
- Nie powinieneś na to liczyć - odparł wymijająco. - Ale teraz mam pilną pracę... Czy byłbyś tak dobry i zwolnił mnie dziś z kolacji?
Pokiwałem głową. Gdy poszedł, zostałem sam na werandzie i zamyśliłem się nad jego słowami.

Służba doniosła mi, że w jego pokoju całą noc paliło się światło i kiedy wreszcie nazajutrz wyszedł ze swego apartamentu, niósł dziwną lalkę. Nieco później znalazłem tę kukłę w pokojach Rezy. Okazało się, że nie

jest to zwykła lalka, ale automat ubrany w strój rosyjskiego wieśniaka, ze skrzypcami w jednej, a smyczkiem w drugiej ręce. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, kiedy lalka ukłoniła się i podniosła skrzypce; nigdy dotąd nie widziałem takiej płynności ruchów u automatu. Czekałem teraz, aż jeszcze raz powtórzy ten gest.

- Zręczna robota - zacząłem, ale Reza chwycił mnie za rękę.

- Poczekaj, ojcze, to nie koniec... Posłuchaj!

Lalka zaczęła grać, kołysząc się lekko w takt melodii. Byłem pełen podziwu, ale nie zaszokowany. Pomyślałem, że oto widzę przed sobą skomplikowaną pozytywkę - misternie wykonane, lecz nie porażające grające pudełko.

Kiedy melodia wybrzmiała, Reza kazał mi bić brawo.

- Nie zagra więcej, jeśli nie będziesz go oklaskiwać - nalegał poważnie.

Ukryłem uśmiech. A to z ciebie kawalarz, Eriku, pomyślałem rozbawiony i grzecznie zaklaskałem w dłonie, żeby sprawić przyjemność dziecku.

Figurka nie poruszyła się, przyjąłem, że wyczerpał się mechanizm zegarowy.

- Musisz klaskać z entuzjazmem, żeby zadowolić próżność artysty - stwierdził Reza stanowczo. - Tak mi Erik powiedział.

Zaskoczony, zaklaskałem jeszcze raz, z większym wigorem.

- Głośniej! - powiedział Reza z władczą nutą, której nigdy wcześniej nie słyszałem w jego głosie. - Ojcze, głośniej!

Rozbolały mnie już ręce, ale kiedy właśnie miałem przerwać tę nonsensowną zabawę, kukiełka ukłoniła się łaskawie, ponownie podniosła skrzypce i zagrała zupełnie inną melodię.
Powtórzyłem tę procedurę trzykrotnie i za każdym razem muzyka była inna. Wydawało mi się, że rozpoznaję melodię, ale kolejność fraz zmieniała się nieco za każdym powtórzeniem, tak że nie potrafiłem powiedzieć, która melodia była pierwowzorem, a która zręczną wariacją. Im bardziej chciałem rozszyfrować iluzję, tym bardziej się gubiłem.
Ale jedno przynajmniej udało mi się wyśledzić. Erik wmontował niewątpliwie jakiś mechanizm opóźniający. Trzeba było tylko poczekać nie klaszcząc, a zmyślna maszynka sama się wyda grając jeszcze raz. Byłem tak zdeterminowany umieścić ten wynalazek w znanych mi realiach, że nie przyszło mi do głowy, że wyjaśniając sztuczkę mogę zrobić synowi przykrość.
- Nie klaszcz - kazałem mu przy następnej okazji. - Zobaczymy, co się teraz stanie.
Staliśmy wpatrując się w figurkę w martwej ciszy. Bez braw, intrygujący mały automat ani drgnął i wydawało mi się, że łypie na nas z częścią złośliwości swego konstruktora.
- Mówiłem, że nie będzie działał! - stwierdził Reza w końcu. - Mówiłem ci, co powiedział Erik.
- Nie chcę słuchać, co powiedział Erik! - krzyknąłem, nagle rozzłoszczony tym, że chłopiec bez przerwy wymienia to imię. - Daj mi

klucz, zaraz go znowu uruchomię.
- Nie ma klucza.
- Nie mów głupstw, musi być jakiś klucz!
Złapałem kukłę i zacząłem oglądać ją nerwowo ze wszystkich stron, ale chłopiec miał rację. Nie wiedziałem, jak działa automat; nagle zachciało mi się trzasnąć nim o ścianę z wściekłości.
- Przestań nim trząść! - zachlipał Reza. - Zepsujesz go... Proszę, ojcze, oddaj mi go z powrotem!
Powoli opanowałem się i zwolniłem szalony uścisk, w którym trzymałem figurkę. Allahu! Co mi się stało, że zachowałem się jak pomylone, rozkapryszone dziecko?
- Reza... - Kilkoma krokami przemierzyłem pokój do poduszek, gdzie mój syn schronił się ze swoją bezcenną zabawką. - Reza...
Odwrócił ode mnie twarz, wtulił ją w atłasową poduszkę i odepchnął moją rękę.
Byłem zaskoczony nieoczekiwanym odrzuceniem z jego strony i zasmucony faktem, że w pełni na to zasłużyłem.
Zawstydzony wyszedłem z pokoju i oparłem się o drzwi, starając się jakoś pozbierać. Po chwili usłyszałem, że dziecko klaszcze głośno w dłonie.
A potem rozległy się powolne, dziwnie irytujące nuty melodii...

Później tego wieczora znalazłem Erika, gdy siedział na brzegu fontanny

w ogrodzie, leniwie wodząc długimi palcami w mgiełce kropel.
Chciałem go zapytać, jak działa figurka skrzypka, ale przypomniało mi się, jak irracjonalnie się zachowałem, więc wolałem nic nie mówić.
Komary brzęczały wściekle dokoła nas, kiedy przyjął ode mnie miseczkę sorbetu.
- Twoja żona nie żyje już od jakiegoś czasu... - powiedział Erik nieoczekiwanie. - Sądząc po tym, że wyznawcy twojej religii z reguły nie są monogamistami, wnioskuję, że bardzo ją kochałeś.
Spojrzałem na niego, rozzłoszczony bezczelnością tej uwagi, ale uciszyło mnie ogromne współczucie w oczach ukrytych za maską. Jego pełne żalu spojrzenie zamknęło mi usta równie skutecznie, co cios w śledzionę i jeszcze raz napełniło dziwnie złym przeczuciem. Zdałem sobie sprawę, że cały się trzęsę.
- Czy chłopiec jest do niej podobny? - ciągnął ze smutkiem.
- Tak. - Wydobyłem z siebie tylko cichy, drżący szept; nagle chciałem zerwać się z miejsca i uciec.
- Tak mi przykro - powiedział.
I odstawiwszy nietknięty sorbet na wyplatany stolik, zniknął w rozsuwanych drzwiach do ogrodu.
Siedziałem bez ruchu, wpatrując się w moje gładkie, śniade ręce, które trzymałem na kolanach. Gdyby osobisty lekarz szacha powiedział mi, że mój syn jest umierający, nie przyjąłbym tego do wiadomości; trzymałbym się ostatniej iskierki nadziei tak uparcie, jak tonący brzytwy.

Ale nie mogłem nie wierzyć zawoalowanej sugestii Erika; nie mogłem zaprzeczyć, że znał się na sprawach wykraczających poza moją zdolność pojmowania.
Mój syn był umierający. A ten dziwny, zamaskowany człowiek - który zabijał bez mrugnięcia okiem i nie przejmował się moralnością - wzruszył się moim cierpieniem.
Wciąż uważałem go za osobnika bezwzględnego, niebezpiecznego i rażąco pozbawionego zasad.
Ale nie mogłem dłużej widzieć w nim zimnego i nieczułego potwora.

Zostaliśmy w Aszrafie wiele dni dłużej, niż początkowo planowałem. Ogarnęła mnie taka rozpacz, że przestałem się przejmować niezadowoleniem szacha. Co mnie obchodziło, czy zachowam stanowisko, łaskę władcy, moją mizerną pozycję w społeczeństwie; co mnie to wszystko obchodziło? Wkrótce i tak miałem utracić to, co było mi najdroższe.
Moje rozgoryczenie przerodziło się w końcu w pragnienie kobiety, posłałem więc po dziewczynę, która już wcześniej oddawała mi takie usługi i zatopiłem się chętnie w zapraszających krągłościach jej ciała. Nie miało to znaczenia, ale przynosiło fizyczną ulgę; kilka chwil delirycznej przyjemności i błogiego zapomnienia, które pozwalały mi funkcjonować jak normalnemu mężczyźnie stworzonemu przez Allaha. Żałowałem ludzi, którzy nie mogli zaspokajać tak prostych potrzeb z

pomocą żony, konkubiny, nawet prostytutki. Ale kiedy pomyślałem o kimś takim, moje myśli odruchowo umknęły; nie byłem w stanie stawić czoła cierpieniu drugiego człowieka. Nie chciałem myśleć, co ta potworna twarz czyniła niedostępnym dla Erika - miałem dość własnego bólu.

Reza spędził te dni prawie wyłącznie w towarzystwie magika, którego głos i zdolności całkowicie go pochłonęły. Godzinami siadywał u jego stóp, jak uzależniony od narkotyku młodzian w palarni opium; bezwstydnie dopraszał się kolejnej opowieści, kolejnej piosenki, a ja zdumiewałem się widząc niezmiennie dobry humor u człowieka znanego mi z niecierpliwości i zmiennych nastrojów. Czasami uczył chłopca prostych sztuczek; prowadził jego ręce, jakby poruszał marionetką.

- Świetnie... Coraz lepiej, Reza... Teraz możesz to pokazać ojcu.

Ich głosy wypełniały cały dom, przepływały koło mnie, gdy zamknąłem się we własnym cierpieniu. W końcu pozbierałem się na tyle, by wyrwać się z odrętwienia i ogłosić, że wyjeżdżamy.

Nie byłem przygotowany na tak gwałtowną reakcję Rezy.

- Dlaczego musicie jechać tak szybko? Zostańcie jeszcze trochę!

- Reza, szach wezwał nas na dwór. Dobrze o tym wiesz.

- Ale nie musicie jechać od razu, natychmiast...

- Ale szach -

- Nienawidzę szacha! - krzyknął Reza z pasją. - Nienawidzę go!

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby mój syn zachowywał się w ten

sposób i przyznaję, byłem przerażony. Erik stał i wyglądał przez okno z rękami skrzyżowanymi pod płaszczem. Wyczułem, że tym razem i on również czuł się niezręcznie, że na to patrzy.

Skinąłem na służącego i poleciłem mu niezwłocznie odprowadzić dziecko do jego pokoju, ale gdy tylko sługa położył mu rękę na ramieniu, chłopiec rzucił się na podłogę i zaczął bić pięściami z wściekłością w błękitne kafelki. Mój syn - ciche, grzeczne dziecko - nagle zaczął się zachowywać jak dzikus bez wychowania. Zdawałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie opanować go bez uciekania się do przemocy.

- Reza!

Głos spod okna był niewiarygodnie łagodny, niewiele głośniejszy, niż ledwo słyszalny szept, ale dotarł do dziecka pomimo histerii i nagle w całym zalanym słońcem pokoju zapanowała cisza.

- Chodź do mnie.

Do czułego, miękkiego tonu dołączyła nuta polecenia. Patrzyłem oniemiały, jak Erik wyciąga rękę i zda się przyciąga dziecko do siebie przez cały pokój tym jednym gestem pełnym niepodważalnej władzy. Pojąłem, że przyglądam się temu wstrzymując oddech jakby z przerażenia. Ten sam głos, który manipulował moim dzieckiem, utrzymywał mnie samego w stanie zmrożonej bezczynności, której nie potrafiłem się przeciwstawić. Czułem się, jakbym zażył potężną dawkę syropu z maku.

Reza uspokoił się całkowicie, mimo że łzy wciąż ciekły mu po policzkach.
- Wrócisz do mnie? - zapytał drżącym głosem.
Erik położył chudy palec pod brodą chłopca i wzniósł jego twarz ku światłu.
- Wrócę, jak tylko pozwolą mi na to moje obowiązki na dworze. Ale jeśli będziesz płakał, twój ojciec nie pozwoli mi przyjechać. Bardzo brzydko się zachowałeś względem niego... Poproś, żeby ci wybaczył.
Dziecko podeszło do mnie jak kukła, z całą pokorą i skruchą, jaką nakazał mu jego mistrz. Oczywiście, wybaczyłem mu bez słowa, posłuszny niewypowiedzianemu rozkazowi.
Poczułem moment, kiedy Erik zwolnił nas spod swojego wpływu; było tak, jakby odciął przepływ niewidzialnego prądu.
Choćbym nawet nie poznał go jako bezwzględnego zabójcy, po tym, co zobaczyłem tego dnia i tak uznałbym go za najbardziej niebezpiecznego człowieka na świecie.
Wyjechaliśmy do Teheranu następnego ranka, starym szlakiem karawan wiodącym od Morza Kaspijskiego przez czarujące doliny gór Elburs. Ogromne pnącza oplatały pnie drzew jak kilimy, tworząc po obu stronach drogi gąszcz nie do przebycia. Obozowaliśmy na polanach pełnych poziomek; nocami słyszeliśmy odległy ryk tygrysa, a raz widzieliśmy oczy lamparta lśniące w zaroślach tuż obok ogniska.
Na szczycie wulkanu Demawend, najwyższej góry w Persji, leżał śnieg i

chociaż przejście wśród gór nie było jeszcze narażone na zamiecie i lawiny, ostry wiatr przenikał przez najcieplejsze ubranie i pochylał nasze głowy. Moi służący spisali się świetnie w trudnych warunkach; codziennie pożywialiśmy się gulaszem z baraniny, kebabem i pilawem. Mimo to, byłem już serdecznie zmęczony tą podróżą. Kiedy wreszcie zbliżyliśmy się do Teheranu, widok brzydkich, glinianych murów miasta, okrągłych wież, i dwunastometrowej fosy rozradował moje serce. Nie czułbym większej ulgi, gdybym właśnie wrócił z pielgrzymki do Mekki. Moje zadanie zostało prawie wykonane i wkrótce uwolnię się od swego dziwnego, niepokojącego towarzysza.

Kiedy przejechaliśmy przez wykładaną kafelkami bramę i znaleźliśmy się na terenie miasta, usłyszałem, że Erik wykrzyknął z obrzydzenia na widok wąskich, brudnych uliczek i ścieków płynących rynsztokami.

- Cóż to za chlew! - mruknął do siebie. - Co za straszna nędza!

Nie mogłem się z nim nie zgodzić, ale nie chciałem krytykować chciwości i złej gospodarki szacha.

- No tak - przyznałem smętnie. - Warunki życia ludności są rzeczywiście godne pożałowania.

- Nie chodzi mi wcale o życie ludności - odparł chłodno. - To miasto wygląda po prostu obrzydliwie. Nie macie tu w Persji ani jednego architekta?

- Są gorsze miejsca na świecie - odrzekłem ponuro.

- Ale niewiele, darogo, niewiele. Tak paskudnej stolicy jeszcze nie

widziałem. Całe miasto przypomina cuchnącą norę i nie ma tu nawet jednego budynku, na którym mógłbym oprzeć oko. To właśnie powiem szachowi, jak tylko go zobaczę.
- Allahu! - Zabrakło mi tchu z wrażenia. - Nie dożyjesz do rana!
- Tak... być może - zgodził się.
Spojrzałem na niego zrozpaczony.
- Jeżeli naprawdę masz zamiar mówić coś takiego, lepiej uważnie dobieraj słowa. - Sięgnąłem za pazuchę, wyjąłem zwinięty kawałek papieru i podałem mu. - Wypisałem ci tu kilka grzecznościowych zwrotów. Radzę, naucz się ich na pamięć, zanim staniesz przed szachem.
Studiował kartkę przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.
- Bądź pozdrowiony, o Chwało Świata! - przeczytał głosem ociekającym złośliwością. - Pozwól mi być twym podnóżkiem, o Cieniu Najwyższego! Czy naprawdę sądzisz, że przyjdą mi przez gardło takie brednie?
- Wiem, że dla Europejczyka może to brzmieć trochę absurdalnie -
- To gorsze niż absurd, darogo. To obraza ludzkiej inteligencji!
- To tylko formułki przyjęte na dworze. - Westchnąłem. - Naprawdę nic nie znaczące.
- Skoro nic nie znaczą, nie będzie wielkiej straty, jeśli ich nie powiem - odparł przerażająco logicznie. - Nie mam najmniejszego zamiaru tarzać się w pyle jak jakiś idiotyczny robak, żeby uczynić zadość kolosalnej próżności twojego króla. Będę wobec niego uprzejmy, ale nic poza tym.

- Jak chcesz - powiedziałem zirytowany. - Nie stosuj się do etykiety, jeśli koniecznie musisz. Ale przynajmniej zwracaj się do niego z szacunkiem, jak do ojca narodu.
Śmiech zamarł mu nagle na ustach i spojrzał na mnie tak, że aż przeszedł mnie dreszcz.
- Nie ma na świecie człowieka, do którego znowu będę się zwracał w ten sposób! - syknął.
Nie śmiałem go wypytywać, przejechaliśmy więc dalej przez miasto w ponurym milczeniu.

Zgubiłem go zaraz po tym, jak weszliśmy do pałacu. Zdawało się, że jeszcze sekundę wcześniej szedł przy mnie i nagle wyparował; zupełnie, jakby przeszedł przez którąś ze ścian.
Byłem przyzwyczajony do takich zagrywek. Opuszczał mnie w ten sposób ładnych kilka razy w czasie naszej męczącej przeprawy przez Rosję; znikał bez słowa wykorzystując moment, kiedy podziwiałem widoki. Kiedyś nie było go prawie przez tydzień; zdarzyło się to nad rzeką Aktubą, dopływem Wołgi, sześćdziesięciopięciomilowym obszarem pokrytym starożytnymi ruinami. Ale nie mogłem uwierzyć, że ośmielił się zniknąć w tej chwili, zaledwie na godzinę przed umówioną audiencją u szacha!
Z rosnącą paniką przeszukałem cały ogromny pałac, mrucząc przekleństwa, które nader rzadko spływały z moich ust i apelując o

pomoc do wszelkich najwyższych instancji. Przepytałem każdego strażnika i sługę, który pojawił się na mojej drodze, ale nikt nie widział mężczyzny w masce. Na pewno by zapamiętali, gdyby go spotkali.
Zgrzany, zdjąłem turban i przetarłem ręką spocone czoło.
Niech cię diabli, Erik! Niech cię diabli! Skręcę ci za to kark, kiedy cię tylko dostanę w moje ręce...
Moje gorączkowe poszukiwania sprowadziły mnie na koniec do sali posiedzeń Rady Koronnej. Nie, pomyślałem, to niemożliwe... Nie ośmieliłby się...
Otworzyłem masywne drzwi i zajrzałem do środka. Zbaraniałem.
Erik siedział rozparty w najlepsze na Pawim Tronie i wydłubywał wielki brylant z masy drogich kamieni, które dekorowały wysokie oparcie.
Patrzyłem w najwyższym przerażeniu, jak wyciągnął z kieszeni garść szkiełek i dobrał falsyfikat na miejsce wyjętego kamienia.
- Allahu, zmiłuj się! - powiedziałem bezgłośnie.
Odwrócił się do mnie bez zaskoczenia ani pośpiechu.
- A, tu jesteś - zauważył spokojnie, jakby na mnie czekał. - Chcesz brylancik? Na pamiątkę naszej wspólnej podróży...
Oparłem się ciężko rękami o ścianę.
- Złaź stamtąd - powiedziałem słabo. - Jeśli ktoś cię tu zobaczy, będzie to koniec nas obu!
W odpowiedzi uruchomił mechanizm z tyłu tronu i zdobiąca oparcie gwiazda ze szlachetnych kamieni zaczęła szybko wirować, rzucając

promienie, które na moment zaćmiły mi wzrok.
- A może wolisz szmaragd albo rubin, tylko, że trudniej by je było podmienić. Będzie mi wygodniej, jeśli zdecydujesz się na brylant.
- Czyś ty oszalał? - prawie krzyknąłem. - Na litość Boską, złaź i uciekajmy stąd, póki nie jest za późno.
- Och, darogo. - Westchnął. - Ale z ciebie nudziarz!
Powoli zszedł ze stopni dekorowanych rzeźbami przedstawiającymi salamandry i zatrzymał się, by obejrzeć jedną z siedmiu misternie wykonanych i wysadzanych klejnotami nóg, które podtrzymywały platformę tronu.
- To jest wspaniałe dzieło sztuki - zauważył mimochodem. - Będę tu musiał wrócić, żeby się temu lepiej przyjrzeć.
Zaniemówiłem słysząc taką bezczelność.
- Jeśli jeszcze raz tu wejdziesz, to każę cię aresztować! - syknąłem.
Podszedł do mnie bardzo blisko i popatrzył mi w oczy zamyślony.
- Nie byłoby to mądre, przyjacielu. Mogłoby się nagle okazać, że pewnych rzeczy nie umiesz wytłumaczyć.
Kiedy mówił, poczułem za uchem coś twardego i zimnego; sięgnąłem ręką i znalazłem brylant, który dopiero co widziałem w jego dłoni.
Gdybym ośmielił się opowiedzieć o tym, co widziałem, po prostu podrzuciłby mi coś takiego bez najmniejszych skrupułów i podał jako wspólnika.
Widząc, że jestem całkiem wyprowadzony z równowagi, podszedł do

drzwi i wyjrzał na opustoszały korytarz.
- Niesamowicie niedbała ochrona - zauważył przyjaźnie. - Samozadowolenie Persów jest doprawdy niewiarygodne.
- Czy to ma usprawiedliwiać kradzież? - zapytałem.
- Okradanie złodzieja to nie jest kradzież - odparł pogodnie.
Wyciągnął z kieszeni mój zegarek na znajomym łańcuszku i spojrzał na tarczę.
- Zaraz się spóźnimy! - powiedział z wyrzutem, jakby to była moja wina.
Rzucił mi zegarek niedbałym gestem i wyszedł z sali.
Szedłem za nim z niepokojem typowym dla początkującego kryminalisty, nie śmiąc się zastanawiać, ile brylantów ubyło z tronu. Gdybym był katolikiem, pewnie bym się przeżegnał...

Szach zgodził się przyjąć nas w Gulistanie, wielkim pałacowym ogrodzie, który Europejczycy nazywali Ogrodem Różanym. Jego kręte alejki wysadzane były cyprysami, sosnami i topolami, by chronić przed palącym słońcem, a klomby i stawy oddzielone były od siebie ścieżkami starannie wysypanymi czystym piaskiem. Woda płynęła nieustannie po niezliczonych żelaznych mostkach wykładanych błękitnymi kafelkami. Erik patrzył z dziecięcym zachwytem na hodowlane rybki, eleganckie łabędzie i hałaśliwe ptactwo wodne.
- Łabędzie są takie brzydkie, kiedy się wyklują - powiedział z zazdrością - ale zmieniają się w najpiękniejsze i najbardziej dostojne ptaki. To jeden

z prawdziwych cudów życia, nie sądzisz? Tak jak wąż zrzucający swoją skórę, albo gąsienica, która zmienia się w motyla. Metamorfoza... - Mówił cicho i z zadumą. - Tak... na świecie istnieją prawdziwe czary... Ale tego sekretu nie zdradzono przed nikim; nawet przed dziesiątym absolwentem Kolegium Magii. Chciałbyś zostać zmieniony w łabędzia, darogo?

Musiałem wydać się przestraszony tą propozycją, bo nagle się roześmiał.

- Nie przejmuj się - powiedział dość smutno. - Gdybym znał się na takiej alchemii, nie marnowałbym tej umiejętności na ciebie.

- Chodź - powiedziałem ciągnąc go za rękaw i niepewnie oglądając się przez ramię. - Nie pozwólmy szachowi czekać.

Przed nami pojawiła się urocza altanka ukryta między drzewami. Tam właśnie wypoczywał Cień Boga na Ziemi, otoczony gromadą czworonożnych ulubieńców.

Rozpieszczone zwierzaki potraktowały mnie jak intruza, prezentując szeroką gamę zachowań od wyniosłej obojętności do otwartej wrogości. Ale powoli, pojedynczo, podniosły się z haftowanych poduszek i zaczęły łasić do nóg Erika. Przypominały mi psy, które cieszą się z powrotu ukochanego pana, obskakują go i domagają się pieszczot. Byłem w najwyższym stopniu zdumiony, podobnie zresztą, zauważyłem, jak szach. Nie czekając na zwyczajowe uprzejmości, młody władca wstał z fotela i podszedł z nieukrywaną ciekawością.

- Niesamowite - mruknął do siebie. - Nigdy czegoś takiego nie

widziałem... nigdy w życiu. Darogo! - Szybkim gestem dał mi znak, bym sobie poszedł. - Jesteś wolny. Proszę za mną, przyjacielu - zwrócił się miło do Erika. - Przejdziemy się po ogrodzie i opowiesz mi o umiejętnościach, które przyniosły ci, jak widzę całkowicie zasłużoną, sławę...

Kręciłem się po ogrodach przez kilka godzin, w końcu zobaczyłem, że Erik wraca samotnie szeroką aleją prowadzącą do jeziora. Znów się zatrzymał i zapatrzył na łabędzie. Kiedy podszedłem do niego, zaczął kruszyć w ręku drobne ciasteczka gaz, a ptaki łapczywie zanurzały szyje w wodzie łowiąc mieszaninę manny, miodu i pistacji. Po gaz nastąpił arjil, potem tureckie pralinki; zastanawiałem się, co ma oznaczać ta scena. Skoro szach częstował go słodyczami, nie ulegało wątpliwości, że udało mu się zaskarbić jego łaskę...

- Cóż to za pogrzebowa postać w masce? - zabrzmiało mi w uszach pytanie.

Odwróciłem się gwałtownie i ujrzałem obok siebie wielkiego wezyra w towarzystwie kilku pochlebców - zwykłych dworskich wazeliniarzy, którzy zawsze kręcą się wokół wpływowej osoby. Mirza Taqui Chan był mężem siostry szacha i wymagał szacunku od każdego, kto jeszcze nie był jego zdeklarowanym wrogiem. Był to jeden z najszlachetniejszych i najmniej przekupnych ludzi w Persji; zbyt szczery i pełen uprzedzeń, jak mi się wydawało, by długo przetrwać na dworze, gdzie królowała fałszywa czołobitność, szantaż i korupcja. Głośno wypowiadał się

przeciwko uświęconemu wielowiekową tradycją nepotyzmowi i naraził się wielu osobom swymi usilnymi próbami uczynienia z Persji nowoczesnego państwa. Dzięki oszczędnej polityce wielkiego wezyra zmniejszone zostały dochody drobnych książątek, w tym i moje własne. Wezyr właśnie otwierał kolegium wojskowe, które miało wykorzystywać w praktyce najnowsze odkrycia europejskie, więc wszędzie, gdzie się dało, szukał pieniędzy na sfinansowanie tego projektu. Nieświadomy rosnącej liczby zagorzałych przeciwników, wciąż otwarcie wygłaszał swoje poglądy, w porę i nie w porę, pewien, że powinowactwo z rodziną cesarską zawsze go uchroni. Nie byłem zaskoczony, że nawet nie ściszył głosu, kiedy wyraził się z pogardą o Eriku.

- To nowy magik, ekscelencjo - powiedziałem cicho, modląc się, by poszedł za moim przykładem. Wiedziałem, że Erik ma słuch ostry jak kot.

- Magik? - minister zmarszczył brew. - Ach tak. Pamiętam, kilka miesięcy temu poszła fama o cudotwórcy. Wysłali cię, żebyś go znalazł, tak, Nadir? Jeszcze jedna absurdalna ekstrawagancja dla skarbca! Tylko mi nie mów, że ta kosztowna podróż się opłaciła!

- To naprawdę niezwykle uzdolniony człowiek, ekscelencjo - odparłem niepewnie.

- Czyżby? Doskonale, miło mi to słyszeć. Już najwyższy czas, by chanum dostała nową zabawkę i przestała się wtrącać do spraw

chłopaka. Nic dobrego nie wyniknie, gdy kobieta zabiera się za rządzenie krajem. Jestem pewien, że to szarlatan jak reszta, ale póki co, może nam się przydać. Ma naprawdę dziwne dłonie - aż mnie dreszcz przeszedł! Mam nadzieję, że będzie je trzymał przy sobie. Dość mamy na dworze pederastów, nie sądzicie, przyjaciele?
Jego towarzysze wybuchnęli śmiechem i barwny korowód oddalił się aleją w stronę altany szacha. Erik podszedł do mnie milcząc złowieszczo, co rozwiało moją ostatnią nadzieję, że nie słyszał tej rozmowy. Wystarczyło mi na niego spojrzeć, by wiedzieć, że usłyszał każde słowo.
- Może chciałbyś obejrzeć ptaszarnię? - zaproponowałem niepewnie.
- Słyszałem już dość skrzeczących pawi jak na jedno popołudnie - mruknął. - Kto to był?
- Wielki wezyr - wyznałem załamany. - Mirza Taqui Chan.
- Dziękuję. Z przyjemnością zapamiętam to imię. Spodziewam się, że to wpływowa figura.
- To szwagier szacha, poważany przez wiele osób na dworze.
- Ale nie przez chanum - zasugerował Erik złośliwie. - Ani, jeśli mogę się tak wyrazić, przez chłopaka?
- Zdarzały się między nimi różnice poglądów.
- A to ciekawe! To może być całkiem zabawne, poprzyglądać się bliżej tym rodzinnym niesnaskom. Może by tak z sali obrad Rady Koronnej...
- Erik -

- Chyba powinienem się wykąpać i zmienić te pogrzebowe szaty - przerwał mi chłodno. - Czy byłbyś tak dobry i odprowadził mnie do mojego apartamentu?
Przyglądałem mu się niepewnie, kiedy wracaliśmy do pałacu; podejrzewałem, że mógł okazać się nieprzejednanym i okrutnym przeciwnikiem. Nie ufałem mądrości wielkiego wezyra na tyle, by sądzić, że dostatecznie wcześnie zda sobie z tego sprawę.

Apartament usytuowany był w jednym z najlepszych miejsc w pałacu i na pierwszy rzut oka poznałem, że Erik jest przytłoczony otaczającym go przepychem.
Obejrzał białą, marmurową łazienkę z wyraźnym zadowoleniem, wrócił do salonu i z leniwą gracją rozciągnął się na tureckiej kanapie. Mimo, że był żałośnie chudy i kanciasty, poruszał się z niezwykłym wdziękiem. Czasami trudno było nadążyć wzrokiem, gdy bezszelestnie przemykał po pokoju. W jednej chwili był tu, to znów niepostrzeżenie znikał.
Uważałem to za bardzo męczącą cechę.
- Te apartamenty są zazwyczaj zarezerwowane dla najwyższych rangą oficerów w państwie - ostrzegłem go. - Licz się z tym, że narobisz sobie wrogów.
- Niczego innego nigdy się nie spodziewałem - odparł.
- O czym rozmawiałeś z szachem? - zapytałem ciekawie.
- Między innymi o odpychającej biedzie w tym mieście.

Rozdziawiłem usta z wrażenia.

- Nie rozgniewał się?

- Nie, raczej był zainteresowany. Zaproponował mi, bym zaprojektował i pokierował budową nowego pałacu pod Aszrafem. Jeśli będzie zadowolony z rezultatu, pozwoli mi przebudować Teheran.

- Allahu! - Zatkało mnie. - Potrafiłbyś to zrobić?

- Nie ma nic, czego bym nie potrafił zrobić, jeśli zechcę.

- Ależ Eriku, nie zaczarujesz przecież całego pałacu. To wymaga fachowej wiedzy o budownictwie.

- Mam całą wiedzę, jaka jest mi potrzebna - uciął.

- Jesteś pewien?

Skoczył z kanapy w przypływie jakiegoś nagłego i nieprzyjemnego uczucia, którego nie udało mi się odgadnąć.

- Tego, co umiem, nauczyłem się od wielkiego budowniczego! - rzucił niespodziewanie. - Śmiesz w to wątpić?

- Nie. - Odsunąłem się przezornie; nagle poczułem pot na skroni. - Nie wątpię, że jesteś w stanie zrobić, cokolwiek mówisz.

Przysunął się do mnie, zacząłem więc się cofać. Nigdy nie czułem tak prymitywnego, paraliżującego strachu; tym większego, że nie wiedziałem, co spowodowało ten nagły wybuch.

- Eriku - wysapałem. - Na litość Boską, wierzę ci... Wierzę ci... Słyszysz?

Zatrzymał się raptownie; ręce, które wyciągnęły się w stronę mojej szyi,

opadły wzdłuż ciała. Spojrzał na nie jakby z zaskoczeniem. Nagle wydało mi się, że jest o krok od wybuchnięcia płaczem.
- Przepraszam cię - powiedział zmęczonym głosem, odwracając się ode mnie. - Czasami ponosi mnie temperament... Doszukuję się obrazy tam, gdzie jej nie ma. Tak mi ciężko zachować zimną krew; udawać, że nie słyszę co mówią, coraz ciężej... Choćby ten ignorancki głupiec w ogrodzie!... To jego chciałbym zabić, a nie ciebie - nie ciebie. Nie okazałeś wobec mnie niczego, prócz uprzejmości...
Milczałem, nie wiedząc co powiedzieć, kiedy z frustracją podniósł rękę w stronę maski. Po chwili podszedł do okna i patrzył za szybę tak zamyślony, że zastanawiałem się, czy wie, że wciąż jestem w pokoju. W ręku trzymał srebrny kompas, obracał go niespokojnymi palcami.
- Wszystkiego mnie nauczył - powiedział cicho, patrząc w dal. - Wszystkiego, co umiem! Nie wolno mi dłużej marnować tego, co mi dał. Chciałbym zbudować coś pięknego - coś, z czego byłby dumny... Musi być przecież jakiś powód, że tu jestem. Musi przecież istnieć w życiu jakiś cel...
Czekałem cierpliwie, mając nadzieję, że usłyszę więcej, ale milczał. Jego ręce były puste, kompas zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Wydawał się pogrążony w głębokim śnie, gdy tak stał zapatrzony na ogrody za oknem. W końcu, uznawszy, że dalsze pozostanie w pokoju byłoby niedelikatne i niegrzeczne, wymknąłem się z jego apartamentu i zostawiłem go samego.

Miałem nadzieję, że pomyślne ukończenie mojej misji pozwoli mi na powrót do zwykłych i znacznie mniej męczących obowiązków w Mazandaranie, ale jeszcze tego samego dnia zostałem wezwany przed oblicze szacha i poproszony o pozostanie na dworze.

- Mam dla ciebie jeszcze jedno drobne zadanie, darogo - oznajmił mój młody władca. Zasmuciłem się, gdyż nagle zrozumiałem, co owo zadanie będzie zawierać.

- To zaszczyt służyć Waszej Cesarskiej Mości - wymamrotałem odruchowo, ale w mojej głowie jakiś głos krzyczał przekleństwa: cholera, cholera, cholera!

- Uczynię cię całkowicie odpowiedzialnym za bezpieczeństwo naszego zamaskowanego przyjaciela - kontynuował szach, zwijając między palcami długi, cienki wąs. - Będziesz odpowiadał przede mną, jeśli coś mu się stanie; do odwołania, rzecz jasna. Rozumiesz, nie chodzi mi tylko o to, byś strzegł jego bezpieczeństwa. Zlecenie, które mu powierzyłem w Mazandaranie, to tajemnica państwowa. Potrzebuję zaufanego i sprawdzonego człowieka, by sprawował nad nim kontrolę.

Powstrzymałem się, by nie zadrżeć. Chciałem powiedzieć, że mógłbym z lepszym skutkiem sprawować kontrolę nad promieniami księżyca, niż nadążyć za dziwnymi pomysłami Erika. Jednak ostre spojrzenie szacha wystarczyło, bym zdał sobie sprawę, jaki będzie mój los, jeśli odmówię

- Wydajesz mi się idealny do tej roli, darogo. Już teraz znasz go lepiej, niż ktokolwiek inny. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyś wzbudził jego

zaufanie. Zaprzyjaźnij się z nim... Stań się jego powiernikiem... i informuj mnie o wszystkich jego poczynaniach. Ten człowiek mnie intryguje i fascynuje, ale jestem pewien, że będzie się starał zachować najwyższą ostrożność.
Skłoniłem się zrezygnowany.
- Będzie jak rozkażesz, o Cieniu Najwyższego - mruknąłem.

- Nie potrzebuję goryla! - stwierdził Erik władczo. - Doskonale umiem zatroszczyć się sam o siebie... Co zaś do ciebie, twoja obecność jest niezbędna gdzie indziej. Nikt z odrobiną ludzkich uczuć nie może się spodziewać, że zostaniesz w pałacu bez końca. Porozmawiam zaraz z szachem i załatwię ci zwolnienie z tej idiotycznej służby!
Błagałem go na wszystko, żeby tego nie robił.
- Nawet sobie nie wyobrażasz, Eriku, jak łatwo popaść w niełaskę w tym kraju. Jeśli nie zgodzisz się na moją ochronę, będzie to oznaczało niepowodzenie mojej misji i z pewnością zostanę za to ukarany. Prawdopodobnie trafię na wiele miesięcy do więzienia.
- Dlaczego tolerujecie tak rażącą niesprawiedliwość? - zapytał cicho. - Dlaczego po prostu nie odjedziesz z powrotem do syna i nie powiesz szachowi, że może się powiesić?
- Wszystko, co posiadam, zależy od łaski szacha. Pensja i majątek mógłby mi zostać odebrany z dnia na dzień; mój syn mógłby zostać wyrzucony z domu, by umrzeć w nędzy na ulicy. Zaklinam cię, zastanów

się jeszcze raz i pozwól bym ci służył.
- Masz mnie szpiegować? - Westchnął.
Wzniosłem bezradnie ręce i wbiłem wzrok w podłogę.
- No cóż, przynajmniej jesteś szczery - dodał filozoficznie. - Będę się musiał postarać, żeby sprawozdania dla szacha były ciekawe, nie sądzisz? Nie chcemy, żeby władca się znudził i zastąpił cię kimś bardziej efektywnym.
Spojrzałem mu w oczy i, wbrew sobie, wybuchnąłem śmiechem.
Był może mordercą, złodziejem i niewiernym, ale mimo wszystko zaczynałem go uważać za dziwnie sympatycznego człowieka...

Następnego dnia towarzyszyłem mu do granicy oddzielającej harem od reszty pałacu.
- Dalej nie wolno mi iść - powiedziałem.
Skinąłem na dwóch eunuchów, którzy już czekali, by eskortować go do prywatnych kwater chanum i przypomniałem im, że mają trzymać w pogotowiu swoje tureckie jatagany przez cały czas jego pobytu w zakazanym skrzydle. Nie było potrzeby mówić więcej. Jego wstęp do zamkniętej części pałacu był możliwy tylko dzięki specjalnemu pozwoleniu, podobnemu, jakie niekiedy otrzymywał lekarz. Nadużycie tego przywileju groziło śmiercią w najstraszliwszych męczarniach.
Nikt, kto poważnie myślał o sukcesie na dworze, nie przeceniał znaczenia intrygi haremowej; ja sam już dawno zatroszczyłem się o

kontakty ze światem odgrodzonym świętymi murami. Nie było to takie trudne. Eunuchowie byli znani z zamiłowania do pieniędzy i luksusów. Fizyczne skutki kastracji zmuszały ich do ostrożności z alkoholem, ale uwielbiali opium, dobre perfumy i wyborowe słodycze. Za godziwą cenę byli skłonni rozmawiać z każdym, kto zapłaci za informacje.

Seraj był wyłączną domeną chanum; zamkniętym światem, którego zdradliwy wpływ sięgał poza jego własne ściany i spowijał cały pałac niby słodka chmura trujących perfum. Tradycyjnie było to miejsce bezwzględnej rywalizacji, niebezpiecznych intryg i nagłych, gwałtownych śmierci. Być matką panującego szacha oznaczało dotrzeć do szczytu władzy, a obecna chanum była potęgą, z którą każdy się liczył. Była przystojną, energiczną, inteligentną kobietą, która jak nikt umiała manipulować swoim synem. Kierowała haremem z bezwzględną efektywnością, sprowadziła trzy żony szacha do poziomu milczących służebnic, a konkubiny trzymała żelazną ręką. Całymi dniami wylegiwała się podjadając śliwki w cukrze, czasami paliła fajkę i z nudy i frustracji obmyślała kolejne spektakularne tragedie. Nie sądzę, że był na dworze mężczyzna, który bałby się jej mniej, niż samego szacha.

Byłem skłonny dobrze zapłacić, by Erik uzyskał pozwolenie na wizytę w tym zawoalowanym świecie krętych korytarzy, marmurowych łaźni i przytłumionych szeptów. Świat Kismet, gdzie musiał dopiero odnaleźć swoje przeznaczenie...

Zabrano go na mały dziedziniec i tam, w otoczeniu pół tuzina eunuchów,

czekał, aż chanum pojawi się ze swymi damami na balkonie.
Podobno kazała mu czekać przeszło godzinę. Eunuchowie nie wiedzieli, jak się zachować, gdy zaczął przemierzać dziedziniec jak zamknięty w klatce tygrys, okazując złość i zniecierpliwienie, które sam dobrze znałem. W końcu musieli wymierzyć w niego swoje jatagany, żeby został w wyznaczonym miejscu. Jednak gdy tylko spróbowali zbliżyć się do niego, nagle zostali odrzuceni w tył kaskadą różnobarwnych iskier, które poleciały z jego palców i utworzyły wokół niego idealne koło ognia.
Kiedy płomienie zgasły, z balkonu rozległy się powolne, drwiące brawa. Erik podniósł wzrok i spojrzał prosto na majestatyczną, zawoalowaną kobietę stojącą na galerii.
- Mam nadzieję - powiedziała chanum łagodnie - że nie przebyłeś całej drogi z Rosji po to, by pokazywać mi fajerwerki.
- Bynajmniej, madame - odparł Erik uprzejmie. - To była tylko mała sztuczka, wymyślona, by zabawić nieposłuszne dzieci.
Wskazał na eunuchów lekceważącym gestem. Chanum roześmiała się w głos.
- Jeśli to była tylko mała sztuczka, to nie mogę się doczekać, aż pokażesz mi, co naprawdę potrafisz. I również, kiedy cię wreszcie ujrzę, przyjacielu. Ta maska także jest sposobem na odstraszanie dzieci, prawda? Zdejmij ją!
Stał bez ruchu, z rękami zaciśniętymi po bokach ciała; każdy jego

mięsień był napięty.
- Madame, dopraszam się o wyrozumiałość w tym względzie...
Wolałbym nie.
- Doprawdy! - Chanum rzuciła spojrzenie za siebie, by uciszyć szepczące kobiety gniewnym zmarszczeniem brwi. - Może więc powinnam przypomnieć ci, że w tym kraju tylko kobiety chowają twarz za zasłoną. Zdejmuj maskę, albo dzieci dostaną polecenie, by to zrobić za ciebie - i przy okazji skrócić cię o głowę!
Wciąż nie drgnął, żeby spełnić jej polecenie; chanum poruszyła się niecierpliwie, nieprzyzwyczajona do oporu.
- Skoro nie jesteś zbytnio przywiązany do swojej głowy - dodała powoli - może wolałbyś podzielić los chińskiego eunucha i nosić swoje genitalia sproszkowane w małym słoiczku.
Wzruszył ramionami z gracją, w geście drwiącej obojętności.
- Czy jest pani pewna, że wystarczyłby dla mnie mały słoiczek, madame?
Chanum roześmiała się zachwycona.
- Jeśli chodzi o ciebie, przyjacielu, to niczego nie jestem pewna; ale uprzedzam, śmiertelnie poważnie, że ostatni raz toleruję nieposłuszeństwo. Zdejmij maskę!
Kiedy maska opadła nagle na ziemię, wśród młodszych kobiet wybuchła panika; pochowały twarze w welony i odskoczyły przerażone jak najdalej od strasznego widoku, który ukazał się ich oczom.

- Cisza! - syknęła chanum wściekle. - Następna, która krzyknie, zostanie zasmagana batem za głupotę, przysięgam! A teraz zostawcie mnie - wszystkie!
Klasnęła w dłonie władczo i kobiety oddaliły się z szelestem wyszywanych perłami szarawarów i koszulek; bransolety i naszyjniki dźwięczały, gdy szybko opuszczały balkon.
Chanum oparła kształtne, umalowane henną ręce o białą balustradę i uśmiechnęła się do Erika z wyrazem wielkiej satysfakcji. Zdjęła z palca wielki pierścień z brylantem i rzuciła mu; złapał go w locie, prawie nie ruszając się z miejsca.
- Jeśli twoja wyobraźnia równa jest twojej twarzy - powiedziała cicho - to wkrótce staniesz się najpotężniejszym człowiekiem w Persji.
Kiedy wsunął pierścień na mały palec, eunuchowie opowiadali, że przez moment się uśmiechał.
- Czy to przepowiednia, czy obietnica? - zapytał.
Chanum znowu się roześmiała.
- A to już, mój przyjacielu - odparła gładko - zależy wyłącznie od ciebie.

Podejmowanie tej decyzji nie zabrało mu zbyt wiele czasu. Zanim przyszła pora, by dwór wyjechał na zimę do Mazandaranu, wzywano go wielokrotnie, by udzielał rad na posiedzeniach wagi państwowej i nieraz pozwalano mu uczestniczyć w prywatnych audiencjach wielkiego wezyra u szacha.

Nie sposób było odgadnąć prawdziwych motywów postępowania szacha, ale drażnienie szwagra w ten sposób sprawiało mu wyraźną przyjemność.

- Erik ma kilka ciekawych propozycji odnośnie Dar al Funum, bracie - powiedział szach pewnego dnia, unosząc się lekko na kanapie, by zaobserwować reakcję na te słowa. - Sądzę, że powinieneś zadać sobie ten trud i się z nim skonsultować.

Wielki wezyr zesztywniał ze złości.

- Z całym szacunkiem, Wasza Cesarska Mość, we wszystkich sprawach dotyczących szkoły wolę się zdać na doświadczenie wykwalifikowanych naukowców. Muszę zauważyć, z całym szacunkiem, że nie jest to odpowiednie zajęcie dla magika.

- Jeśli mówię, że masz się z nim skonsultować - przerwał szach z mylącą łagodnością - to to zrobisz. Zapewniam cię, że niewielu znajdziesz naukowców mogących się z nim równać wiedzą, w dowolnej dziedzinie.

Niewolnik, który roznosił sorbet, został odesłany z sali i nie był w stanie powtórzyć mi odpowiedzi wezyra; powiedział jednak, że zobaczył, jak Mirza Taqui Chan obrzucił Erika spojrzeniem kapiącym od jadu, zanim za sługą zamknęły się masywne podwójne drzwi.

Byłem zaniepokojony i miałem nadzieję, że budowa nowej rezydencji królewskiej w Mazandaranie odciągnie Erika od niebezpiecznej walki o władzę, w którą tak się zaangażował.

Po powrocie do północnej prowincji towarzyszyłem mu na miejsce

wyznaczone pod budowę pałacu - uroczy, pokryty drzewami teren oddalony od Aszrafu o pół mili. Siedział tam i szkicował do zmroku.
- Jesteś już gotów by iść, Eriku? - westchnąłem wreszcie, kiedy poczułem dotkliwy głód. - Siedzimy tu od dobrych ośmiu godzin.
- Naprawdę? - zdziwił się. - Pewnie znów jesteś głodny. Wiesz, że dla zdrowia wystarczy jadać raz dziennie? Może więc wrócisz sam do Aszrafu i każesz mi tu przysłać jakieś latarnie...
Naprawdę uwierzyłem w tym momencie, że był tak pochłonięty projektem, że intrygi pałacowe przestały go obchodzić; zdążył już jednak rozkręcić spiralę wydarzeń, które potoczyłyby się dalej nawet bez jego udziału. Kiedy wreszcie ukończył wstępny plan pałacu, zaczął zdradzać objawy irytacji typowe dla człowieka, który czuje, że jest niezbędny w kilku miejscach naraz. Ani szach, ani chanum nie przestawali domagać się nowych rozrywek i porad. Erik stwarzał pozory człowieka wszechwiedzącego, więc konsekwencją tego było, że nikt nie spodziewał się, że zwykłe bariery czasu czy przestrzeni mogą go powstrzymać. Był wielkim magiem, a z pewnością wielki mag był w stanie przebywać w kilku miejscach jednocześnie! Dlatego tylko wyjątkowo zwalniano go z dworu i to nie dłużej niż na jeden lub dwa dni. Za każdym razem, kiedy przynaglany kolejnymi upomnieniami szacha musiał oderwać się od pracy przy budowie zwolna wznoszącego się pałacu, obawiałem się, że kiedyś zawiedzie go jego wybuchowy temperament.
Zwłaszcza chanum była sprawczynią tej dręczącej frustracji.

- Nudzę się - narzekała, wyciągnąwszy się leniwie na atłasowych poduszkach w swoich prywatnych apartamentach. Jak słyszałem, przyjmowała go tam oddzielona tylko cienką kurtyną z gazy. - Nudzę się, nudzę, nudzę! Jak nazywa się to uczucie w twoim kraju, Eriku?
- L'ennui, madame.
- L'ennui - powtórzyła sennie. - Cóż za uroczy język macie, wy Francuzi. A czy ty sam, Eriku, odczuwasz czasem.... l'ennui?
- Prawie nigdy, madame. Nuda wymaga czasu i bezczynności, a jeden Bóg wie, że nie mam ostatnio zbyt wiele żadnego z nich.
- Nie warcz tak na mnie, niegodziwcze! - powiedziała chanum rozdrażniona. - Jesteś dość szpetny bez wykrzywiania tej twojej okropnej twarzy! Właściwie jesteś tak niesamowicie odpychający, że jest to prawie... pociągające... w jakiś sposób.
Milczał. Opowiadano mi, że często tak się z nim drażniła; dręczyła go, licząc na jakąś nieoczekiwaną ripostę. Ale on tylko wpatrywał się w nią nieporuszony, z pogardą w oczach.
- A więc... nigdy się nie nudzisz. Ciekawa jestem, Eriku, do jakich to uczuć jesteś w takim razie zdolny...
- Do gniewu - odpowiedział łagodnie. - Do morderczego gniewu. Uprzedzam, madame, że do tego jestem jak najbardziej zdolny!
- Chyba chciałabym zobaczyć cię, gdy będziesz naprawdę zagniewany - odparła chanum drwiąco. - Tak... To mogłoby być bardzo... interesujące. Gniew też bywa niezwykle pociągający, wiesz? U właściwej osoby.

Chanum usiadła nagle prosto na poduszkach, przyglądając mu się z zainteresowaniem przez cienką zasłonę.
- Powiedz mi, Eriku, czy miałeś kiedyś kobietę?
Ciężka, dławiąca cisza zapadła pomiędzy nimi.
- Odpowiedz, jesteś prawiczkiem? - nie dała za wygraną. - Żądam, żebyś mi odpowiedział.
- Madame... - Westchnął. - Jestem bardzo zajęty...
- Zbyt zajęty, by mieć kobietę? Mój przyjacielu, żaden prawdziwy mężczyzna nie jest na to zbyt zajęty. Chciałbyś dostać kobietę, Eriku? Wiesz, mogłabym to zorganizować bez trudu. Czy nie tego pragniesz ponad wszystko?
Ci, którzy go widzieli, powiedzieli mi, że jego dłonie zacisnęły się konwulsyjnie na połach płaszcza i zaczęły zwijać jego brzeg w powolnym, dzikim rytmie.
- To, czego pragnę ponad wszystko - odpowiedział zimno - to być pozostawionym w spokoju tak, abym mógł bez przeszkód dokończyć moje zlecenie.
Chanum zmarszczyła brwi pod cienką woalką.
- O niczym ostatnio nie myślisz, tylko o tym pałacu. Jestem zazdrosna o twoje idiotyczne przywiązanie do tej kupy kamieni i tynku. Mój syn wymaga byś poświęcał mu zbyt wiele czasu i zamierzam mu o tym powiedzieć. Zostałeś sprowadzony do Persji dla mojej rozrywki - tylko mojej! I będziesz dostarczał mi rozrywek, Eriku... Nie w ten sposób... to

w inny. Zabraniam ci wracać na plac budowy, zanim nie wymyślisz dla mnie nowej rozrywki... na przykład jakiejś zabawnej śmierci. Idź teraz i przemyśl to.

Spotkałem go, gdy tylko opuścił harem. Wystarczyło na niego spojrzeć by zobaczyć, że był w podłym nastroju.

- Zażyczyła sobie zabawnych śmierci! - zawołał. - I, na Boga, będzie je miała!

Przez następne tygodnie pracował jak szalony i w ciągu miesiąca projekt był gotów - dziwne, sześciokątne pomieszczenie, wyłożone od środka grubymi lustrami. Nie miałem pojęcia, cóż to może być.

- Co to jest? - zapytałem ciekawie, gapiąc się na moje własne odbicie powielone nieskończoną ilość razy w zwierciadłach.

- Sala tortur - odparł krótko.

- Pokój lustrzany?

- Lustra mogą zabijać, darogo... Uwierz mi na słowo.

Jego głos sprawił, że dostałem gęsiej skórki na całym ciele. Nagle poczułem ogromną ulgę, że już wyszedłem z tej sali. Nie wybrałem się oglądać, jak przebiegały te tortury, ale znam wielu, którzy to zrobili. Opowiadali mi o przerażających iluzjach pojawiających się w sali nagrzanej do temperatury pieca; iluzjach tak prawdziwych, że nieszczęsne ofiary w ciągu kilku godzin doprowadzane były do samobójstwa.

Chanum cieszyła się pomysłowością swej nowej zabawki i w nagrodę

poleciła trzem czarnym eunuchom ze swojej świty dostarczyć do apartamentów Erika wypchaną złotem sakiewkę, srebrne nargile i wielki ładunek haszyszu.
Rzucił sakiewkę na wykładany kością słoniową stolik nawet nie zaglądając do środka; natomiast dokładnie obejrzał nargile. Po chwili ułożył się na poduszkach i z pewną wprawą zaczął palić haszysz.
Na moich oczach zdarł maskę i rzucił ją przez pokój śmiejąc się w głos bez specjalnego powodu. Rozpoznałem w tym irracjonalnym zachowaniu pierwsze symptomy działania narkotyku. Nigdy nie próbowałem haszyszu, ale wiedziałem jakie są zgubne skutki jego używania. Wkrótce wszystkie jego zmysły mogły być zniekształcone nie do poznania. Poczuje, że czas płynie wyłącznie w jego umyśle, a najlżejszy szmer stanie się dla niego ogłuszającym rykiem. Od ekstatycznej euforii, przez nieposkromione pożądanie dojdzie do prymitywnej żądzy niszczenia.
Najgorsze zbrodnie w Persji zostały popełnione pod wpływem tego właśnie narkotyku; doskonale rozumiałem, dlaczego chanum postanowiła nagrodzić Erika haszyszem, a nie opium. Miała zamiar zbadać mroczne rejony jego niesamowitej wyobraźni.
Kto wie ile jeszcze zabawnych śmierci czekało, by wydostać się z lochu jego udręczonej duszy?
Przestałem już liczyć, ilu tak zwanych babickich dysydentów straciło życie w lustrzanym piekle sali tortur Erika. Przestałem liczyć, ilu

uzbrojonych mężczyzn zginęło w pojedynkach z nim, czemu chanum przyglądała się z wielkim upodobaniem. Wszyscy padli ofiarą tego samego bezlitosnego kawałka rzemienia, który i ja widziałem w akcji tamtej nocy w Rosji. Lasso z Pendżabu było bronią, która przyprawiała o lęk najtęższych wojaków. Cienki, niezawodny wężyk ożywał tylko w rękach swego pana. Chanum przechwalała się, że żaden człowiek nie przeżyje spotkania na arenie z jej Aniołem Zagłady.

Zanim znalazł się w Persji i dostał pod jej zgubny wpływ, nie wierzyłem, by Erik kiedykolwiek zabijał dla przyjemności. Jednak poprzez narkotyki i nienasycone żądania nowości, chanum udało się zbudzić w nim uśpioną nienawiść do ludzi. Uwolniła demona pełnego dzikiej pomysłowości, nad którym sam Erik tracił panowanie.

W tamtym okresie coraz częściej uciekał do mojego domu, bronił się przed potwornościami swojej własnej wyobraźni i szukał ukojenia w niewinnym śmiechu dziecka.

- Tak tu spokojnie - powiedział mi kiedyś, w rzadkiej chwili gdy był w nastroju do zwierzeń. - To jest jedyne miejsce w Persji, gdzie nie wydaje mi się, że tonę w morzu krwi.

Tego wieczora pokazałem Erikowi jak palić opium w nadziei, że jego usypiające działanie odciągnie go od haszyszu chanum. Następnego ranka, wciąż otulony chmurką wywołanego narkotykiem dobrego samopoczucia, zaproponował, byśmy wybrali się na pobliski bazar. Był rześki i rozbudzony, ale jego źrenice wciąż skurczone były do

rozmiarów maleńkich punkcików nie większych niż łepek od szpilki. Wiem, że gdyby był w pełni sobą, nigdy nie zechciałby iść między ludzi w samo południe.

- Szukasz czegoś specjalnego? - zapytałem niepewnie, gdy zanurzyliśmy się w plątaninę gwarnych, wąskich uliczek z niskimi kramami po obu stronach.

- Prezentów na urodziny - odparł nie patrząc na mnie. - Mnóstwa ślicznych urodzinowych prezentów... Kim są ci kalecy nieszczęśnicy z laskami?

- To żebracy czekający na jałmużnę - odparłem z rezygnacją. - Pozwól, że ja się tym zajmę.

Odsunąłem się, by spełnić swą religijną powinność. Wrzucałem drobne monety do każdej żebraczej miseczki i przyjmowałem zwyczajowe błogosławieństwo. Kiedy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem Erika, jak za moimi plecami wrzucał do miseczek złote monety.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałem przerażony.

- Rozdaję jałmużnę - odpowiedział, nieco zdziwiony moim zdenerwowaniem . - Cóż w tym złego?

- Ty idioto! - wybuchnąłem, gdy zobaczyłem, że wszyscy już zaczynają poszeptywać o jego zachowaniu. - Powinieneś mieć więcej rozumu, niż żeby dawać takie sumy żebrakom na bazarze. Sprowadzisz tu do nas każdego nędzarza w promieniu kilometra, za moment nie da się tędy przejść. Chodźże wreszcie!

Chwyciłem go za płaszcz i pociągnąłem przez tłum, aż oddaliliśmy się na bezpieczną odległość i zgubiliśmy wśród osłów i wielbłądów ciągnących nieprzerwaną karawaną od nabrzeża.
Był to typowy perski bazar. Większość kupujących byli to mężczyźni, ale sprzedawały głównie kobiety owinięte w czarne czadory. Siedziały przy swoich towarach niemal wpadając pod koła wozów i ignorowały pokrzykiwania, by zejść z drogi.
Erik zatrzymał się przy stoisku pełnym jaskrawo malowanych zabawek i wybrał kilka, które nie pozostawiały wątpliwości co do natury prezentów urodzinowych, które chciał kupić. Otępiony przez słodką chmurę opium wybrał się na niepotrzebne i ekstrawaganckie zakupy tylko po to, by sprawić przyjemność niewidomemu dziecku. A kiedy kramarka u jego stóp podała naprawdę astronomiczną cenę, bez szemrania sięgnął do sakiewki.
- Panuje u nas zwyczaj, by targować się o cenę na bazarze - przypomniałem mu. - Ta nędzarka podała co najmniej czterokrotnie wyższą cenę, niż to, co naprawdę zamierza uzyskać.
Obrzucił wzrokiem niemowlę na kolanach kupcowej, a następnie małą, chudą twarzyczkę wychylającą się zza jej ramienia.
- Jest biedna i musi wykarmić małe dzieci. Mogę bez problemu zapłacić cenę, którą wymieniła. Dlaczego miałbym się z nią wykłócać jak skąpiec?
- Ona na to liczy, Eriku. Mówię ci, tu jest taki zwyczaj.

- Pieprzyć wasze zwyczaje! - uciął dosadnie.
Patrzyłem bezradnie, jak rzucił do drżącej ręki straganiarki podwojoną cenę, o którą prosiła i kiwnął na mojego służącego, by zabrał jego zakupy.
- A teraz - powiedział, odwracając się do mnie z uśmiechem - powiedz mi, gdzie mogę kupić fajkę do opium i co najmniej spore pudło tego cudownego makowego paskudztwa, które się w niej pali.
Reza czekał na nas, gdy wróciliśmy. Siedział w fotelu na kółkach, z którego nie wstawał od zeszłej zimy. Był prawie całkowicie niewidomy, ale słuch miał doskonały; na pierwszy dźwięk głosu jego bożyszcza, twarz mu się rozjaśniła.
- Przywiozłeś dla mnie niespodziankę? - zapytał przymilnie.
- Tak... mnóstwo niespodzianek - odparł Erik łagodnie, prowadząc fotel na słoneczną werandę wychodzącą na ogród. - Chodź ze mną i zobacz. Chodź ze mną i zobacz.
Nikt inny nie mówił do Rezy w ten sposób.
Tylko Erik.
I w jego ustach nigdy nie zabrzmiało to smutno czy absurdalnie.
Postanowiłem pogodzić się z ich wielką przyjaźnią, gdyż ilekroć widziałem ich razem, ogrom osobistej tragedii każdego z nich sprawiał, że wstydziłem się swej egoistycznej zazdrości. Starałem się zapomnieć, że mój syn wybrał na obiekt uwielbienia mordercę o wątpliwym stanie zmysłów.

Ale pewnego dnia wystraszyłem się do tego stopnia, że odzyskałem poczucie rzeczywistości...

Wszedłem niespodziewanie do ogrodu, gdzie mój syn głaskał pięknego syjamskiego kota w obroży wysadzanej klejnotami. Nie było wątpliwości, co to za zwierzę. Z całą pewnością była to Gloria Imperium, siedząca spokojnie z majątkiem godnym króla na smukłej szyi. Gloria Imperium - ulubiona kotka szacha i jego największy skarb.

- Czyś ty całkiem oszalał! - wrzasnąłem na Erika. - Chcesz, żeby nas wszystkich pozabijano za twoje idiotyczne kradzieże?

- Przestań krzyczeć, bo przestraszysz dziecko. Oddam kotkę, zanim zdążą za nią zatęsknić... I kto zgadnie, gdzie zgubiła swoją śliczną obróżkę?

Usiadłem na brzegu fontanny, gdyż nogi ugięły się pode mną.

- Nie wiem, jak ją wywabiłeś od strażników - powiedziałem słabo - ale wiem, że jeśli ta obroża się nie znajdzie, ty będziesz pierwszym podejrzanym. Jak śmiesz mieszać mojego syna w to bezsensowne przestępstwo?

Reza wtulił się głębiej w czarny płaszcz Erika.

- Ojcze - szepnął drżącym głosem - proszę, nie gniewaj się... To ja prosiłem, żeby mi przywiózł tego kota. To był tylko żart.

- Ty głupi dzieciaku! - zawołałem. - Ten żart mógł nas kosztować życie!

Oczy dziecka napełniły się łzami i nagle, bez ostrzeżenia, zarzucił ręce wokół zamaskowanego mężczyzny, który pochylił się nad nim

troskliwie.
- Nie chcę tu dłużej zostać - chlipał Reza w miękki materiał płaszcza. - Ja chcę być z tobą. Pozwól mi jechać z tobą.
Erik uwolnił się z kurczowych objęć chłopca. Kiedy oddalił się z kotką w ramionach, dałem znak słudze, żeby zabrał dziecko do domu.
- No i co teraz? - zapytałem drżącym głosem, kiedy znów zostaliśmy sami. - Czy nie to właśnie chciałeś usłyszeć?
Nie odpowiedział. Pogładził jedną ręką szyję kota i w tej chwili obroża zniknęła.
Podszedłem do niego, starając się utrzymać uczucia na wodzy i zmusiłem go, by spojrzał mi w oczy.
- Możesz wziąć, co tylko chcesz - powiedziałem spokojnie. - Możesz złupić cały świat, jeśli usatysfakcjonuje to twoją zawodową próżność. Ale nie zabieraj mi mojego syna tylko po to, żeby udowodnić mi, że jesteś w stanie to zrobić. Nie zamykaj mnie w tej sali tortur, Eriku.
Odwrócił się i spojrzał z żalem na dom, jakby decydował się porzucić coś bardzo mu drogiego.
- Wszyscy mądrzy ludzie uczą się zamykać drzwi przed złodziejami - powiedział smutno.
I odszedł chowając kota delikatnie pod płaszczem.

Nigdy nie rozwiązano zagadki zgubionej obroży. Szach szalał z wściekłości i kilkunastu strażników wtrącono do więzienia za

zaniedbanie, ale nawet jeśli podejrzewał Erika, a z pewnością tak było, nie zdradził się z tym. Nie pasowało mu zbyt wcześnie rozstawać się z człowiekiem, który był dla niego niezastąpiony przy tak wielu zadaniach. Póki co, postanowił przymknąć oko na stratę klejnotów. Jednak już wtedy dało się wyczuć jego rosnące rozdrażnienie na sługę, który stał się dla niego niezbędny. Być może z początku było to nowe i zabawne, że ten mężczyzna traktuje go jak równego sobie i nigdy nie stosuje zwyczajowych uprzejmości i pochlebstw. Ale z czasem każda nowość powszednieje, a szach był niezwykle kapryśny w doborze swych faworytów.

Wcześniej czy później, wiedziałem, trzeba będzie zapłacić wysoki rachunek. Miałem tylko nadzieję, że gdy dzień rozliczeń nadejdzie, nie będzie mnie przy tym, by na to patrzeć.

Kiedy dwór powrócił do Teheranu, Erik poprosił o pozwolenie zostania w Mazandaranie, aby nadzorować całokształt budowy pałacu. Ale ponieważ chanum nie zgodziła się znosić jego ciągłej nieobecności, odmówiono jego prośbie. Przez całą wiosnę i lato 1851 roku zmuszony był ustawicznie przeprawiać się w tę i z powrotem przez góry Elburs. Przyglądając się, jak z każdym miesiącem stawał się coraz bardziej zmęczony i rozdrażniony uświadomiłem sobie, że częste spotkania z wielkim wezyrem z pewnością dodatkowo wyprowadzały go z równowagi. Wrogość pomiędzy nimi stała się powszechnie znana, zwłaszcza odkąd Erik wykorzystał swoje wpływy u chanum, by obalić

kilka z ulubionych projektów pierwszego ministra. A kiedy zobaczyłem, jak Mirza Taqui Chan wypadł z sali narad pewnego parnego, letniego popołudnia, domyśliłem się, że znowu doszło między nimi do ostrej wymiany zdań.

- To niedopuszczalne - powiedział głośno wielki wezyr - doprawdy niedopuszczalne, by przykładać taką wagę do opinii pomylonego magika. Jak Persja ma się stać nowoczesnym mocarstwem, jeśli sprawy państwowe nagina się do chorych fantazji tego szalonego potwora?

Przeraźliwa cisza zapadła wśród stronników pierwszego ministra i jeden po drugim odwracali głowy w stronę drzwi sali obrad, gdzie właśnie stał szalony potwór, słuchając tych słów. Wielki wezyr także się odwrócił za ich przykładem i nagle, z miną wyrażającą zimną pogardę, zwrócił się do audytorium tak, jakby nie zauważył przybycia Erika.

- Panowie, nadszedł czas, by odpowiedzieć sobie na pytanie, jak długo jeszcze szach będzie tolerował usługi kreatury, której właściwe miejsce jest w klatce.

Erik zesztywniał.

- W klatce? - powtórzył miękko.

Wezyr obrzucił go gniewnym spojrzeniem przez ramię.

- A tak, w klatce, dokładnie tam, gdzie jest pana miejsce i gdzie chętnie zobaczyłbym pana zamkniętego jak dziką bestię, którą jest pan w istocie. Pańskie udawanie człowieczeństwa jest potwarzą wobec każdej uczciwej osoby na tym dworze!

- Czy na tym dworze są jacyś uczciwi ludzie?
Głos Erika był nieco sarkastyczny i spowodował wśród zwolenników Chana nerwowy śmiech. Mnie jednak nie zwiódł jego pozorny spokój. Z lekkiego drżenia jego rąk odgadywałem, że byłby w stanie zabić.
- Na Boga, mniej, odkąd pan tu przybył! - zawołał wielki wezyr wściekle. - Bezeceństwa, których się pan dopuszcza, plamią honor nas wszystkich. Nie jest pan ani artystą, ani naukowcem - jest pan obłąkanym pomiotem szatana, który powinien był zostać zamknięty z dala od ludzi tuż po urodzeniu! Pańska dusza jest równie zdeformowana, jak pańska twarz. Nie chcę nawet myśleć, co za potworne historie rozpowszechniają o nas członkowie europejskich misji dyplomatycznych!
Wielki wezyr odwrócił się gwałtownie na pięcie i wypadł z sali, a za nim pospieszyli członkowie jego stronnictwa. Erik patrzył za nimi przez chwilę; kiedy zbliżyłem się do niego, mogłem prawie wyczuć, jak pulsuje w nim gniew.
- W klatce?! - mruknął ponuro. - W klatce?!
- Eriku - powiedziałem zrozpaczony - błagam cię, nie myśl o tym.
Zaśmiał się krótko, gorzko.
- Jak łatwo ci mówić, bym zapomniał - powiedział cicho. - Ty nie wiesz, jaką ohydę i poniżenie niesie za sobą życie w klatce!
Struchlałem słuchając tych ociekających jadem słów.
- To tylko słowa - zaprotestowałem. - Niemądre, pospiesznie

wypowiedziane słowa, które podyktowała złość -
- Wypowiedziane przez człowieka, który ma wielu wrogów! - dodał łagodnie, wciąż patrząc w korytarz. Nagle był ponuro spokojny, jego oddech wyrównał się, osłabł uchwyt ręki na ubraniu na piersi. To posępne, złowieszcze opanowanie było stokroć groźniejsze, niż wybuchy wściekłości.
- Jeśli uważasz się za jego przyjaciela - kontynuował Erik z tym samym przeraźliwym chłodem - lepiej mu poradź, by miał się na baczności. Układ planet w jego znaku zodiaku jest nader niekorzystny. Jego gwiazdy obróciły się przeciwko niemu.
Eleganckim gestem wyczarował z powietrza kartę tarota i upuścił ją pod moje stopy. Karta spadła obrazkiem do dołu, a kiedy ją podniosłem, zobaczyłem szkielet trzymający kosę.
Śmierć...
Kiedy podniosłem wzrok, aby zaprotestować, korytarz był całkiem pusty; nie było ani śladu Erika.
Wsunąłem kartę do kieszeni płaszcza i z ciężkim sercem poszedłem w swoją stronę...

Nie było innych oznak wrogości pomiędzy tymi dwoma mężczyznami, ale nie popełniłem błędu, by pomylić cierpliwość Erika z porzuceniem przez niego myśli o zemście. Jak kot polujący w ciemnościach, bezszelestnie tropił i osaczał swą ofiarę. Chanum słuchała jego rad w

każdej sprawie, a jej niechęć do zięcia była powszechnie znana. Domyślałem się, że jakiekolwiek nieszczęście ma spotkać wielkiego wezyra, stanie się ono za sprawą intrygi prowadzonej z haremu.
Cios spadł w listopadzie, gdy niespodziewanie szach wezwał nocą do pałacu czterystu wojowników spośród swej osobistej straży i nakazał im aresztować wielkiego wezyra. Nie padły żadne oskarżenia, nie było żadnych wyjaśnień. Wezyr po prostu popadł w niełaskę z tak typową dla Persji nagłością; runął na ziemię jak złamany latawiec, pociągając za sobą swoich popleczników.
Erik stał przy oknie i wyglądał na dziedziniec, gdzie wielkiego wezyra wraz z żoną i dwojgiem dzieci umieszczono w taketerewanie. Osłonięty szczelnie zasłonami powóz otoczony został przez uzbrojonych strażników i ponura procesja ruszyła do głównej bramy. Wkrótce ciemna, jesienna noc pochłonęła ostatnie błyski pochodni.
- Dokąd go zabierają? - zapytałem.
- Do pałacu Fin w Kashanie - odpowiedział spokojnie.
- Zostanie wygnany z dworu?
- To wystarczy. - Erik machnął zrezygnowany ręką. - Zapomniałem o dzieciach.
Skinąłem głową i już chciałem się oddalić z poczuciem pewnej satysfakcji, kiedy zauważyłem, że Erik wciąż stoi przy oknie.
- Sama chciała z nim jechać - powiedział po chwili. - Księżniczka, jego żona. Sprzeciwiła się matce i bratu i postanowiła podzielić los męża.

Myślę, że zgodziłaby się na życie w klatce, byle tylko być blisko niego.
Lekko wzruszyłem ramionami.
- Wszyscy wiedzą, jak bardzo oni się kochają. Spodziewałeś się, że go opuści?
- Nie odebrałem mu nic, co miałoby znaczenie - powiedział zamyślony. - Nawet w dniu jego upadku, pokonała mnie ich miłość. To ja poniosłem klęskę.
- Tak - zgodziłem się ponuro. - Nic nie możesz zrobić, by zniszczyć miłość innych ludzi.
Przez chwilę panowała cisza, a potem, niespodziewanie, Erik uderzył w szybę pięściami z pasją, która rozbiła szkło.
- Nigdy nie przyjmowałem do wiadomości klęski! - zawołał. - Nigdy! I nie zamierzam teraz zacząć! Znajdę lepszy sposób, by się zemścić!
Kiedy spojrzałem we wściekłe oczy za maską, nagle zdjął mnie strach, że sam niechcący przyczyniłem się do wydania wyroku śmierci na wezyra.

Minęły w miarę spokojne dwa miesiące; nie zdarzył się żaden wypadek i miałem nadzieję, że Erik zrezygnował z myśli o zemście.
Wielki wezyr przebywał uwięziony w pałacu, a jego żona kosztowała wszystkich jego potraw z obawy przed trucizną, która przyczyniła się w przeszłości do śmierci tak wielu upadłych faworytów. Powiadano, że Mirza Taqui Chan tak bardzo bał się zdrady, że nie opuszczał ani na

chwilę apartamentów żony, nawet po to, by się wykąpać.
Często myślałem o pięknym pałacu Fin, jego uroczych cyprysowych alejach, marmurowych kanałach pełnych czystej, szemrzącej wody. Myślałem o wielkim i szlachetnym człowieku zredukowanym przez własne obawy do poziomu trzęsącego się tchórza. Pomyślałem, że nawet jeśli Erik uznał swą zemstę za wystarczającą, nie brakowało innych, którym śmierć wielkiego wezyra bardzo by pomogła. Upadli faworyci rzadko żyli długo.
W styczniu Erik niespodziewanie wyjechał z dworu. Żaden z jego służących nie umiał mi powiedzieć, dokąd się udał, ani kiedy zamierza wrócić. Byłem z tego powodu bardzo niespokojny. Wiedziałem, że beze mnie nie wróci do Mazandaranu... gdzie więc mógł być?
Kilka nocy później, kiedy cały pałac wrzał od plotek na temat zabójstwa wielkiego wezyra, poszedłem do apartamentów Erika, zdecydowany czekać na niego do skutku.
Jego pokoje pełne były najprzeróżniejszych zwierząt, chorych lub rannych i w różnym stadium powrotu do zdrowia. Jaszczurka kuśtykała po małym terrarium z opatrunkiem na tylnej nodze; nietoperz z rozdartym skrzydłem wisiał do góry nogami i patrzył na mnie z nadzieją, jakby się spodziewał, że go nakarmię; kot z zabandażowanym okiem skoczył mi na kolana i tak bardzo się łasił, że zmuszony byłem zamknąć go w marmurowej łazience.
Siedziałem ponuro wśród menażerii hospitalizowanych zwierzaków i

słyszałem w mojej głowie tylko jedno pytanie, palące mnie jak kwas. Czy to ty go zabiłeś, Eriku? Czy to ty?

Ułożyłem sobie historię, zaprogramowałem ją sobie w mózgu. Zrozumiałem i nauczyłem się na pamięć każdego jej podstępnego szczegółu, oprócz odpowiedzi na to ostatnie pytanie...

Dama z haremu została wysłana do Kashanu z wiadomością o przeniesieniu wezyra do bardziej godnego pałacu w Kerbeli. Słysząc, że przywrócono mu nawet skromny oddział osobistej straży, wezyr dał się namówić na opuszczenie apartamentów żony i pierwszą kąpiel od czasu uwięzienia. Tam dopadli go mordercy przysłani przez szacha. Dano mu możliwość wyboru honorowej śmierci, a potem, zgodnie z jego wolą, otworzono mu żyły z całym rytualnym ceremoniałem. Nie podano jeszcze do publicznej wiadomości imion zabójców, ale ja pełen byłem najgorszych przeczuć.

Erik wszedł do pokoju wkrótce po północy i nawet jeśli się zdziwił widząc mnie, nie dał mi tego poznać. Rzucił płaszcz słudze i odesłał go skinieniem ręki.

- Gdzie byłeś? - zapytałem sucho.

- Nie powinno cię to obchodzić - odparł z irytującym spokojem.

- Do moich obowiązków należy wiedzieć, gdzie przebywasz przez cały czas. Dobrze wiesz, że odpowiadam za ciebie przed szachem.

- Nie przekraczaj swoich uprawnień! - rzucił nagle. - Nie jestem więźniem w jednym z twoich żałosnych lochów w Mazandaranie.

Nałożył sobie łyżkę sorbetu do pucharka.
- Eriku - zacząłem bezradnie - z pewnością wiesz, o co chcę cię zapytać...
- Skąd u diabła miałbym to wiedzieć? - przerwał. - Nie czytam w twoich myślach!
- Mirza Taqui Chan... - zacząłem z wahaniem. - Co wiesz to tej tragedii?
- Wiem, że nie żyje. I nie nazwałbym tego tragedią.
- Nie? - zapytałem gorzko. - A co z jego żoną, z dziećmi? O tak! Teraz się odwracasz, prawda? Czy byłeś w Kashanie, Eriku?
Patrzył na mnie w milczeniu, oczami, które dziwnie posmutniały.
- Odpowiedz mi! - zawołałem, nie panując nad sobą. - Czy pojechałeś do Kashanu razem z mordercami? Pojechałeś?
Erik sięgnął w głąb szerokiego rękawa, wyjął małe emaliowane pudełeczko i podał mi.
- Tu jest twoja odpowiedź - mruknął. - Otwieraj bardzo ostrożnie.
Wziąłem szkatułkę i ostrożnie uniosłem wieczko. W środku, na czerwonym aksamicie, siedział czarny skorpion z Kashanu z ogonem wzniesionym do ataku. Zaskoczone nagłym światłem zwierzę rzuciło się w stronę pokrywki, a ja wypuściłem pudełeczko z rąk tak, że upadło na ziemię.
Poczułem ukąszenie tuż nad kostką i krzyknąłem z bólu.
Erik skoczył jak bóg błyskawicy i sekundę później skorpion leżał na podłodze martwy, przebity ostrzem jego noża. Tego samego, który, jak

sądziłem, oddał ostatnią przysługę wielkiemu wezyrowi.
- Ty cholerny głupcze! - zawołał przerażony. - Mówiłem ci, żebyś uważał!
Pchnął mnie na fotel i zdjął but z mojej nogi, która już zaczęła puchnąć jak czerwony balon. Przytrzymał czubek noża nad płomieniem świecy, a następnie nakłuł opuchliznę. Poczułem, że trucizna zdążyła się jednak rozprzestrzenić po moim ciele. Osunąłem się z fotela i zemdlałem.
Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na kanapie w jego pokoju. W mojej stopie, przykrytej grubą warstwą lnianych bandaży, pulsował ból. W całym pokoju czuło się nieprzyjemny zapach spalenizny. Odwróciłem z trudem głowę i spostrzegłem, że Erik wlewa do ampułki jakąś wstrętną, oleistą substancję.
Podszedł do kanapy, kiedy tylko zauważył, że się poruszyłem, podał mi kubek jakiegoś płynu i postawił ampułkę na stoliku.
- Wypij to - powiedział krótko.
Czułem smak miedzi, miodu i octu - zwykle stosowane antidotum. Spojrzałem niepewnie na ampułkę.
- Co to jest? - zapytałem.
- Olej ze skorpiona. Zmniejszy ból i opuchliznę.
Usiadł koło mnie na wyplatanym krześle i położył dwa chude palce, żeby zbadać mój puls.
- Przeżyjesz! - oznajmił z ponurym zadowoleniem. - Następnym razem, jak mówię, żebyś uważał, może powinieneś wziąć to sobie do serca. Jak

się czujesz?
- Jest mi zimno i niedobrze - mruknąłem w odpowiedzi.
Pokiwał głową, jakby tego się właśnie spodziewał.
- To naturalna reakcja na ukąszenie skorpiona.
- I na morderstwo - dodałem.
Westchnął.
- Wiesz, że na wrogów jest w Persji tylko jeden sposób. Sam kilku wykończyłeś, kiedy byłeś szefem policji, nieprawdaż?
- Może kilku kryminalistów... zdrajców stanu... Ale zawsze zgodnie z prawem.
Wzruszył ramionami.
- Śmierć to śmierć, niezależnie od tego jak przychodzi, w majestacie prawa czy nie. Dlaczego męczysz mnie tymi bezsensownymi pytaniami? W otwarciu żył wezyra brało udział wielu zabójców.
- Nie chodzi mi o płatnych morderców - to bezmyślne, tępe zwierzęta, które nie umieją robić nic innego. Ale ty, Eriku - ty kochasz wszystko, co piękne... Jesteś genialny w tylu dziedzinach. Dlaczego wyrzucasz się poza nawias społeczeństwa przez tak haniebną zbrodnię?
Zdjął maskę i odwrócił się powoli tak, bym mógł go zobaczyć.
- Ta twarz, przez którą odmówiono mi podstawowych ludzkich praw, zwalnia mnie tym samym z wszelkich zobowiązań wobec ludzkości - powiedział cicho. - Moja matka mnie nienawidziła, mieszkańcy mojej wsi szykanowali mnie, byłem obwożony w klatce jak zwierzę, zanim nie

wywalczyłem sobie wolności nożem. Radość miłości jest dla mnie na zawsze nieosiągalna... Ale ja jestem młody, Nadir. I mam wszystkie potrzeby normalnego, młodego mężczyzny.
Zmęczonym gestem założył maskę.
- Nie zabiłem wielkiego wezyra - kontynuował niespodzianie. - Och, na litość Boską, oszczędź mi tego żałosnego wyrazu ulgi! Zapewniam cię, że miałem zamiar wziąć w tym udział. Pojechałem do Kashanu ze szczerym zamiarem odebrania mu życia. Meergazabowie dostali polecenie nie podrzynać mu gardła. To do mnie miało należeć dobicie go.
- Więc co się stało? - dopytywałem się.
Erik skinął ręką niecierpliwie.
- Zobaczyłem skorpiona i straciłem kilka cennych minut, by go złapać. Pod moją nieobecność ci idioci przeliczyli się i otworzyli mu zbyt wiele żył. Kiedy przyszedłem, wanna była pełna krwi, a wezyr już nie żył. Byłem taki wściekły - nawet sobie nie wyobrażasz. Nienawidziłem go! Nienawidziłem go, bo był mądry i szanowany... i kochany. Nienawidziłem go, bo sprawiał, że patrzyłem w lustro i widziałem potworną istotę, którą się stałem...
Erik usiadł na krześle koło mnie i wpatrywał się w podłogę.
- Mów dalej - zachęciłem go. - Najlepiej powiedz mi wszystko.
- Chciałem ich wszystkich pozabijać za nieposłuszeństwo - ciągnął ponuro. - Ale było ich zbyt wielu i za bardzo byli podnieceni rozlewem

krwi. Wyszedłem z łaźni, zanim poniosła mnie wściekłość. Kiedy szedłem przez ogród do konia, księżniczka wybiegła z pałacu z rozwianymi włosami. Było ciemno. Nie zauważyła mnie, aż na siebie wpadliśmy, a kiedy tylko mnie zobaczyła, wiedziała, że on nie żyje. Cofnęła się do ściany pałacu i zaczęła krzyczeć... Mój Boże, nigdy nie zapomnę tego krzyku... tej szalonej, potwornej rozpaczy!
Przypomniałem sobie... tyle rzeczy, o których myślałem, że dawno zapomniałem. - Nagle ukrył twarz w dłoniach i rozpłakał się. - Ciągle krzyczała - szlochał. - Wciąż i wciąż i wciąż. Nie mogę się pozbyć z głowy jej krzyku.
Pozwoliłem mu płakać. Ten niespodziewany wybuch emocji sprawił mi nieopisaną wręcz ulgę; to był pierwszy przejaw żalu i skruchy. Pierwszy krok do jego ocalenia.
- Nic nie mogę zrobić - powiedział zrozpaczony. - Nie umiem cofnąć czasu i sprawić, żeby te wszystkie straszne wydarzenia nie miały miejsca. Już za późno... za późno.
- Może jest za późno dla księżniczki, ale nie dla ciebie - powiedziałem pełen nadziei. - Eriku... czy wyznajesz jakąś religię?
- Wychowałem się w katolickim domu - odpowiedział powoli. - Ale od dzieciństwa nie słuchałem Mszy.
- W Persji jest wiele misji - zauważyłem. - Księży, którzy mogliby wysłuchać spowiedzi i udzielić rozgrzeszenia.
Podniósł głowę i popatrzył na mnie ciekawie.

- Przecież ty nie wierzysz w doktrynę kościoła katolickiego.
- Nie - zgodziłem się - ale szanuję jego głębokie zasady moralne. Wolałbym cię widzieć niewiernym, niż ateistą i mordercą.
Wstał i poszedł otworzyć okno.
- Śpiewana Msza jest bardzo piękna - powiedział bardziej do siebie, niż do mnie. - Tak myślę, że może powinienem skomponować dziś requiem. Zbyt długo zaniedbywałem moją muzykę... zbyt długo.
Nic nie odpowiedziałem.
Wkrótce później, gdy wsparty na ramieniu służącego postanowiłem pokuśtykać do swojej kwatery, Erik był zbyt pochłonięty kompozycją, by zauważyć moje odejście.
Pogrzebowi Mirzy Taqui Chana towarzyszyły uroczystości zakrojone na ogromną skalę; ci, którzy cierpieli niewygody na skutek jego reform, pierwsi wznieśli okrzyki na jego cześć. Powinienem był znaleźć się wśród nich, ale śmieszność dworskich ceremonii napawała mnie niesmakiem. Uważałem, że ze śmiercią tego szlachetnego człowieka Persja poniosła dotkliwą stratę.
Kiedy natomiast ogłoszono, że księżniczka, która powróciła na dwór w żałobie, zostanie wydana za mąż za syna nowego wielkiego wezyra, Erik wpadł do mojej komnaty nie kryjąc wściekłości.
- Czy to jeszcze jeden z waszych uroczych i osobliwych zwyczajów? - zapytał złośliwie. - Czy nikt w tym zapomnianym przez Boga kraju nie uszanuje żałoby?

Wzruszyłem bezradnie ramionami.
- Siostra szacha jest jego własnością i może on postąpić z nią tak, jak uważa za stosowne.
Erik spojrzał na mnie z niedowierzaniem.
- Chcesz przez to powiedzieć, że ta dziewczyna jest towarem przechodnim, tak jak pierścień wielkiego wezyra - ktokolwiek dostanie jedno, musi wziąć i drugie?
Westchnąłem.
- Tak to się zwykle odbywa.
- Właśnie widzę - powiedział z pogardą. - Uznajecie tu gwałt w majestacie prawa, co? Każdy mężczyzna może wykorzystać kobietę i zrzucić to na zwyczaj? Mój Boże, cóż to za kraj!
Następnie odwrócił się z takim obrzydzeniem, że nagle poczułem wstyd za swój naród.
Zdawałem sobie sprawę, że nie był obojętny wobec kobiet, wręcz przeciwnie. Każdy jego gest zdradzał wielką zmysłowość. Hamowana i tłumiona, wyrażała się w niebywałej gracji jego rąk. Ta właśnie zmysłowość robiła wielkie wrażenie na publiczności i sprawiała, że jego występy były tak popularne. Sądzę też, że dlatego fascynował chanum - kobietę pełną nienasyconej namiętności. Jeśli wierzyć opowieściom eunuchów, jej zainteresowanie jego osobą wykraczało poza jego magiczne sztuczki. Mówiono, że gdy patrzyła, jak zabijał, na jej twarzy odbijała się przyjemność granicząca z erotyczną ekstazą. Słyszałem też,

jak szeptano, że chętnie sama zaprosiłaby go do swego łoża, gdyby tylko ośmieliła się zaryzykować. Najdziwniejsze jest, że szach i sam Erik byli jedynymi ludźmi na dworze, którzy nie słyszeli tych plotek. Nikt nie ośmieliłby się opowiedzieć czegoś takiego królowi królów, który jak każdy prawowierny muzułmanin wierzył niewzruszenie, że niebiosa leżą u stóp jego matki. A Erik... O, Allahu! Czy naprawdę był aż tak ślepy, by nie dostrzec, czego ona od niego pragnie? Nie widziałem człowieka równie skorumpowanego władzą i jednocześnie pełnego tak dziecięcej niewinności! To dziwne, ale ilekroć na niego patrzyłem, przypominałem sobie, że i Lucyfer był aniołem przed swoim upadkiem...

Czułem zimny dreszcz na myśl, jakie tragedie mogłyby się rozegrać, gdyby Erik otworzył oczy i się zakochał. Miałem nadzieję, że Bóg, który ukarał go tak surowo przy narodzinach, zechce oszczędzić mu tej ponurej farsy...

Nie, tak naprawdę nie wierzyłem, żeby Erik mógł zakochać się w księżniczce. To, co do niej czuł, to było tylko współczucie, podobne do tego, które budziło w nim wszystko, co kruche i zniszczone. Była bezbronną istotą, która wzbudziła w nim głęboki, choć wewnętrznie sprzeczny, instynkt by naprawiać i chronić. Gdyby była ptakiem, złożyłby jej skrzydełko, wypuścił na wolność i zapomniał.

Drzwi sali tortur nie zamknęły się jeszcze za nim i z całego serca miałem nadzieję, że to nigdy nie nastąpi.

- Czy wystąpisz podczas ceremonii zaślubin? - zapytałem w końcu,

starając się zmienić temat.
Roześmiał się.
- O, tak... Mam zamiar odegrać rolę szkieletu na ich małej uczcie. Szach poprosił mnie osobiście, abym przygotował coś specjalnego. Myślę, że sztuczka z trumną będzie bardzo na miejscu, nie sądzisz? Muszę to sobie przemyśleć.
Odwrócił się do okna i głęboko zadumał.

Choćbym żył sto lat, nie sądzę, bym kiedykolwiek zobaczył bardziej niezwykły widok, niż niesamowita sztuczka z trumną, jaką zaprezentował Erik.
Nie było żadnej sceny ani miejsca, gdzie mógłby ukryć mechanizm powodujący lewitację. Kiedy sarkofag zaczął się z wolna otwierać, ciężka, pełna oczekiwania cisza spłynęła na cały dwór.
Erik wyglądał jak bóstwo, specjalnie na tę okazję kazał dla siebie sporządzić maskę z kutego złota. Strzelił palcami i kamienne wieko grobowca spadło na podłogę z ogłuszającym łoskotem, aż wszyscy zerwali się z miejsc. Kiedy znowu zapadła cisza, wyciągnął rękę i skinął w stronę sarkofagu gestem pełnym takiego majestatu i władzy, że publiczność wstrzymała dech. Znałem francuski w wystarczającym stopniu, by zrozumieć słowa, które wplótł w cichą, kuszącą pieśń.

Zbudź się ze swego mrocznego snu.

Pójdź do Anioła Zagłady
i ukaż żyjącym los, który ich czeka...

Gdy ucichła ostatnia nuta, z trumny rozległ się dźwięk - przeraźliwe, przeciągłe wycie, które zmroziło nas do kości. A potem, z cichym, omdlewającym szelestem, wynurzył się szkielet z Kazania. Powoli wzniósł się w powietrze, stanął prosto i zbliżył się samodzielnie, by zająć miejsce przy swoim panu.
Mój okrzyk zginął wśród powszechnej konsternacji. Erik ujął szkielet za rękę i poprowadził do miejsca, gdzie stał nowy wielki wezyr. Mężczyzna zaczął się wyraźnie trząść, gdy ponure zjawisko zbliżyło się do niego. Sam szach pochylił się do przodu w fotelu, z twarzą nieco bledszą niż zazwyczaj, nie odrywając wzroku od widowiska.
Kościsty przybysz zza grobu wzniósł oskarżycielski palec i wskazał na wielkiego wezyra; przez moment panowała śmiertelna cisza. Następnie Erik klasnął w dłonie, szkielet padł na podłogę i zmienił się w bezładną kupkę kości.
Jednym skokiem, jak złoty drapieżny ptak, Erik pochwycił czaszkę i wyjął z niej sygnet wielkiego wezyra. Potoczył go pod nogi zbaraniałego dostojnika pogardliwym gestem.
- Mam nadzieję, że syn Waszej Ekscelencji okaże się mniej lekkomyślny w obchodzeniu się z dobrami z drugiej ręki - powiedział ostro.
Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Cały dwór wpatrywał się

w młodego szacha, niepewny czy oklaskiwać sztuczkę o tak niebezpiecznym wydźwięku politycznym. Nie mogło to trwać dłużej niż jedną, dwie sekundy, ale ciągnęły się one w nieskończoność, zanim szach rzucił Erikowi pękatą sakiewkę.

Natychmiast rozległy się gromkie brawa.

Erik ukłonił się i odszedł, zabierając ze sobą czaszkę, ale pozostawiając resztę rozsypanego szkieletu na podłodze. Wszyscy rzucili się ciekawie, by mu się lepiej przyjrzeć. Erik nie potrzebował już tego rekwizytu, był tak pewny swoich niezwykłych umiejętności, że nie wahał się ujawniać przed ignorantami mechanizmu iluzji. Zrobił, co do niego należało i był zadowolony; nic nie mogło dobitniej wyrazić jego pogardy dla rodzaju ludzkiego niż beztroska, z którą pozostawił narzędzie tego niesamowitego oszustwa, gdy tylko spełniło swoje zadanie.

Zauważyłem, że szach śledził go wzrokiem, gdy odchodził. W oczach władcy, gdy patrzył na swego ulubionego sługę, był dziwny chłód. Aluzja polityczna wymierzona była w wielkiego wezyra, ale ani szach, ani chanum nie mogli uniknąć prześmiewczych komentarzy dotyczących ponownego ślubu księżniczki. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że była to ze strony Erika wyjątkowa brawura. Ryzykował, że publicznie obrazi swego chlebodawcę.

Coś zaś do wielkiego wezyra, to gdy tylko doszedł do siebie po tych męczących wydarzeniach, zraniona duma odmalowała się wyraźnie na jego twarzy. Kiedy zobaczyłem, że rozmawia o czymś z przejęciem z

synem i jego przyjaciółmi, poczułem się nieswojo.
Wyznawcom Proroka nie wolno jest pić wina, ale na dworze nader często ignorowano tę zasadę. Niewolnik wniósł tacę z pucharkami i karafkę araku. Poszeptujący mężczyźni poczęstowali się, a niebawem zobaczyłem tego samego sługę, jak przyklękając podsuwa tacę Erikowi. Przez jakiś czas uczestniczył on w balu, nie rozmawiając z nikim, jak to miał we zwyczaju; obserwował krytycznym okiem pozostałości swego przedstawienia. Ja sam toczyłem właśnie długą, nudną rozmowę z podsekretarzem stanu i urzędnikiem biura spraw zagranicznych, gdy nagle zauważyłem, że Erik zniknął. Nie było w tym nic dziwnego, ale tym razem, z niewiadomych przyczyn, jego nieobecność zaniepokoiła mnie. Przeprosiłem pospiesznie rozmówców i pobiegłem do jego apartamentu.
Pokoje były opuszczone, ani śladu służby.
Znalazłem Erika w pięknej, marmurowej łazience, gdzie wymiotował krwią wstrząsany straszliwymi, wyniszczającymi atakami. Obejrzał się za siebie gdy usłyszał, że wszedłem i zaklął pod nosem na mój widok.
- To wino - powiedziałem słabo, patrząc na krew spływającą po ściankach wielkiej, białej, marmurowej wanny. - Ile razy cię prosiłem, żebyś zatrudnił niewolnika do smakowania potraw? Gdzie się podziała twoja służba?
- Odesłałem ich - odpowiedział z trudem. - A teraz, jeśli możesz... Wolałbym skończyć ostatnie przedstawienie bez świadków... Poproś

grzecznie, a na pewno zwrócą ci pieniądze przy wyjściu!
Odwrócił się ode mnie ponownie. Wydawało się, że konwulsje rozerwą mu wnętrzności na strzępy. Krew chlapnęła mi na dłonie, kiedy usiłowałem go podtrzymać.
- Odejdź! - rzucił przez ściśnięte gardło. - Nie chcę cię tutaj... Nie chcę nikogo...
- Przestań niepotrzebnie marnować siły - nakazałem mu. - Czy domyślasz się, co ci podali?
- Nie - mruknął. - Nie prowadziłem badań... nad waszymi prostackimi perskimi truciznami... Nie mam zwyczaju... trucia ludzi. Jest to rodzaj śmierci, który wydaje mi się... mało estetyczny.
- Tłuczone szkło mogłoby spowodować wewnętrzne krwawienie - zauważyłem posępnie. - Jest wiele substancji, z którymi mogło być zmieszane. Większość z nich prowadzi do śmierci w długich męczarniach.
- Jak długich? - zapytał tylko.
- Ci, którzy mają szczęście, umierają w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, ale silny mężczyzna może się męczyć z dziesięć dni.
- Dziesięć dni - powtórzył. - A więc... dojechałbym do Aszrafu?
Popatrzyłem na niego zaskoczony.
- W tym stanie nie przetrzymasz podróży.
- Muszę - powiedział. - Mam pewne... instrukcje... do wydania... I jeszcze chciałbym... zobaczyć... ostatni raz...

Pokiwałem głową.
- Umrzesz po drodze, zanim dotrzemy do pałacu. Po co przysparzasz sobie dodatkowego cierpienia?
- Ból jest bez znaczenia... w porównaniu z żalem... z frustracją! Nadir - jego głos był tylko słabym szeptem, a ręce zacisnęły się z bólu na krawędzi marmurowego stolika. - Proszę cię... każ sprowadzić taketerewan... w tajemnicy... i zabierz mnie dziś do Mazandaranu...
Nie mogłem odmówić tak rozpaczliwej prośbie.
Wbrew sobie zrobiłem to, o co prosił.

Zewnętrzne mury pałacu w Mazandaranie były już prawie gotowe. Część ukończona dzięki pracy ponad stu robotników wystarczała, by dać wrażenie o ogromie tego dzieła.
Otoczona kolumnadą budowla z podwójnymi portalami z trzech stron i eleganckie, wydłużone trzony kolumn przywodziły na myśl świetność Imperium Perskiego pod rządami Dariusza i Kserksesa. Ale zewnętrzna elewacja była tylko zręczną iluzją wymyśloną, by zwieść naiwnych dworaków. W środku, używając wielkiej ilości najwyższej jakości wypalanych cegieł i niespotykanej pomysłowości technicznej, Erik zamierzał stworzyć wnętrze należące całkowicie do przyszłości.
Pilnował swoich tajemnic zazdrośnie, wyjawiając robotnikom tylko tyle, ile było niezbędne do przeprowadzenia najbliższych prac. Ale zamiast zabrać te sekrety ze sobą do grobu, zaufał mi i powierzył dokumenty

zapewniające zakończenie budowy zgodnie z jego zamierzeniami, nawet w wypadku jego śmierci. Nie ośmieliłem się ich przeglądać, ale patrząc na jego długotrwałe cierpienie podczas tej nie kończącej się podróży, naprawdę obawiałem się, że będę musiał przekazać je następcy wykonawcy tego projektu.

Kiedy dotarliśmy do pałacu, Erik został wniesiony w lektyce do przestronnej sali. Uniósł się na łokciach i rozejrzał wokoło z niedowierzaniem.

- Dajcie mi te papiery! - powiedział głosem, który nagle zabrzmiał jak uderzenie gromu. - I sprowadzić mi tu kierownika budowy!

Kiedy trzęsący się człowiek ukląkł przed nim, Erik zerwał się na nogi.

- Nie dostosowałeś się do moich poleceń. Dlaczego?

- Błagam o wybaczenie - zająknął się murarz. - Starałem się, jak mogłem... Ale te wytyczne są takie - takie skomplikowane... Nie zrozumiałem ich.

Erik wyrwał mi z ręki krótki biczyk i smagnął mężczyznę przez plecy z taką furią, że aż go odrzuciło.

- Następnym razem, jeśli czegoś nie rozumiesz - wycedził wściekle - to pytaj, do cholery! Pytaj!

- Ale pana tu nie było - załkał przerażony robotnik. - Nie miałem kogo zapytać. Minęły trzy tygodnie, odkąd był tu pan ostatnio.

Erik upuścił bicz na podłogę.

- Tak - powiedział słabo. - Masz rację... Tak się nie da pracować. No

wstań już... Boli cię coś?
- Nie, panie - odpowiedział murarz, zaskoczony.
- Masz szczęście - dodał Erik z westchnieniem. - Zabrakło mi siły, by ci skręcić kark. Chodź ze mną do namiotu, jeszcze raz omówimy plany... Dam ci moje ostatnie instrukcje. Słuchaj bardzo uważnie i nie obawiaj się pytać, jeśli nie zrozumiesz. Przyrzekam ci, że jeśli będziesz ze mną szczery, nie będę się gniewał.
Byłem obecny przy tej rozmowie, ale szczegóły techniczne systemów dźwigni, zapadek i akustyki odbitego dźwięku były poza zasięgiem mojego pojmowania. Przez trzy godziny Erik pochylał się nad prowizorycznym stołem i bez końca objaśniał wszystko z niespotykaną cierpliwością, czasami szkicując coś dodatkowo na kartce.
Wskazówki mojego zegarka wskazywały północ, kiedy kierownik budowy uznał wreszcie, że wszystko zrozumiał.
- Jesteś pewien? - nalegał Erik. - Absolutnie pewien tym razem?
- Tak, panie.
Erik westchnął.
Odwróciłem się do niego akurat wtedy, gdy osunął się na ziemię.

Przed świtem majaczył w gorączce, przeżywał jeszcze raz koszmary z przeszłości.
- To był wypadek - szepnął. - To był wypadek... Nie chciałem, żeby spadła... Nie chciałem, żebyś zobaczył... Och, ojcze... dlaczego mnie

zmusiłeś... dlaczego?
Pochyliłem się, by przysunąć do jego ust butelkę wody. Chwycił mnie przerażony za ramię.
- Niech mi pan odda maskę! - załkał. - Niech mi pan odda maskę i pozwoli wrócić do domu... Nienawidzę tego miejsca... Nienawidzę tej klatki... tej okropnej klatki!
Szarpał się ze mną jak szaleniec przez kilka minut, a kiedy upadł wycieńczony na pryczę, widziałem błyszczące na masce łzy.
- Gdzie jest Sasza? - zapytał nagle z cichym przestrachem. - Gdzie ona jest?
- Jest tutaj - odpowiedziałem z wahaniem. - Jest tutaj, Eriku. Nic jej nie grozi.
Zamknął oczy.
- Nie zostawiaj jej na noc na dworze - poprosił, wczepiając się rękami w mój rękaw. - Obiecaj mi, że jej nie wypuścisz... obiecaj mi!
Obiecałem, wyraźnie się uspokoił.
Kiedy z delirium przeszedł w śpiączkę, kazałem go przenieść do mojego oddalonego o pół mili domu w Aszrafie.
Nie mogłem dla niego zrobić nic więcej, jak tylko pozwolić mu umrzeć we względnej wygodzie, w miejscu, gdzie kiedyś śmiał się razem z moim dzieckiem.

Wydałem surowe polecenie, by nie informować Rezy o przyjeździe

Erika.
Jednak nie minął nawet jeden dzień, gdy ktoś mnie zdradził i zmuszony byłem wwieźć dziecko na wózku do pogrążonego w grobowej ciszy pokoju.
- Dlaczego oni go otruli? - zapytał Reza przez łzy. Było mi bardzo trudno zrozumieć, co mówi. Pochyliłem się i położyłem rękę na wychudzonym ramieniu chłopca.
- Musisz zrozumieć, Reza, że Erik miał wielu wrogów. Stał się zbyt wpływowy. Było wielu ludzi, którzy nienawidzili go i pragnęli jego śmierci.
- Czy jeśli będę do niego mówił, usłyszy mnie?
- Nie sądzę, synku... Nie sądzę, żeby teraz cokolwiek słyszał.
- Ale nie jesteś pewien - nalegał chłopiec. - Może jednak usłyszy. Ojcze, czy mógłbym zostać z nim przez chwilę?
Nie mogłem mu odmówić. Przysunąłem fotel do łóżka i kiedy ręce dziecka zaczęły błądzić po omacku po kocu, nakierowałem je na wynędzniałą dłoń Erika.
- Musisz się obudzić, Eriku - powiedział Reza po prostu. - Mój grajek się zepsuł i nikt nie potrafi go naprawić.
Postać w łóżku nie poruszyła się.
Reza powtarzał tę prośbę wielokrotnie, z coraz większą rozpaczą, aż wreszcie nie mogłem już na to patrzeć. Nagle, gdy już zbliżałem się do fotela zdecydowany mu przerwać, zobaczyłem, że palce Erika zacisnęły

się na kocu. Dziecko, oczywiście, nie widziało tego, więc wyprowadziłem je z pokoju, nie chcąc dawać mu złudnej nadziei.
I rzeczywiście, Erik nie otworzył oczu aż do następnego wieczora. Spojrzał wówczas na mnie z cichym wyrzutem.
- Powinieneś był mi powiedzieć, że się zepsuł - stwierdził.
W miesiąc później siedzieliśmy razem na werandzie popijając słodką, mocną kawę z kardamonem, kiedy nadjechał posłannik z listem od chanum, która niezwłocznie wzywała Erika do Teheranu.
Na moich oczach Erik wstał, złączył ręce, jakby w podziękowaniu czy modlitwie, a następnie rozłożył je ukazując ciężką sakiewkę.
- Nigdy nie otrzymałem tego listu - powiedział.
- Panie? - Wysłannik przyjął od niego pieniądze i patrzył na nie w najwyższym zdumieniu.
- Zginąłeś podczas niebezpiecznej podróży przez Elburs... Była lawina... albo tygrys... albo rozbójnicy - tyle pułapek czeka na samotnego śmiałka. Wybierz sobie coś i znikaj. W tej sakiewce jest dość złota, byś już nigdy nie musiał roznosić przesyłek. Odejdź i nikomu o tym nie mów. Jeśli mnie zdradzisz, bądź pewien, że osobiście dopilnuję twojej egzekucji!
Gdy posłaniec odszedł, Erik wzniósł oczy do nieba i westchnął.
- Ona nie da za wygraną, Eriku. Zyskałeś kilka tygodni odroczenia, nie więcej.
- Potrzebuję nie więcej niż dwa miesiące.
- Żeby skończyć pałac? - zdziwiłem się. - To niemożliwe.

- Nie mówię o pałacu - odparł łagodnie.
Nagle zrobiło mi się zimno, jakby krew zamarzła mi w żyłach.
- Dwa miesiące? - powtórzyłem. - Eriku, z pewnością się mylisz.
Przecież zostało mu więcej. Musi być więcej!
Usiadł naprzeciw mnie i pochylił się na krześle tak, bym patrzył mu w oczy.
- Nadir... To dziecko nie zasługuje, by znosić cierpienia, które go wkrótce czekają.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałem zduszonym głosem.
- Do niczego cię nie zmuszam - po prostu pamiętaj, że śmierć może przyjść pod różną postacią. Czasem jest gwałtowna albo bardzo bolesna, innym razem pogodna i piękna jak zachód słońca. Ja jestem artystą, na mojej palecie jest wiele kolorów. Pozwól mi namalować dla niego tęczę. To ty zdecydujesz, gdzie się ona zakończy.

Pozwoliłem mu namalować tęczę.
Przez dwa miesiące żyliśmy w kalejdoskopie zachwycających wizji, które wciąż jeszcze są żywe w mojej pamięci. Magia jego niespotykanego geniuszu zogniskowała się na wyobraźni chorego dziecka jak promienie słońca w soczewce. Mój dom wypełniły czary i tajemnice; zdawało się, że sama ziemia oddaje Erikowi swoje największe sekrety. Okna otwierały się na bajkowy świat, pomosty muzyki prowadziły nas w zaczarowane królestwa. To był czas zachwytu i

cudów, ograniczony tylko nieuchronnym zbliżaniem się okrutnej rzeczywistości, której nie mogła powstrzymać żadna magia.
Rzeczywiście, wystarczyły dwa miesiące, bym zauważył pierwsze objawy tego, co przepowiedział Erik. Kiedy pewnego wieczora Reza zaczął dławić się napojem, który podałem mu do ust, zrozumiałem jak straszne cierpienie go czeka.
Opanowała mnie ponura rezygnacja. Natychmiast posłałem służącego, by sprowadził Erika z placu budowy.
Przybył niezwłocznie; kiedy stanął przede mną w białej masce i czarnym, długim płaszczu, wyglądał jak Anioł Zagłady chanum.
Wyjął z rękawa małą buteleczkę, wlał trochę bezbarwnego płynu do pucharka sorbetu i podał mi.
- To podziała szybko - powiedział cicho. - Nic nie poczuje.
Złowieszczy pucharek napełnił mnie przerażeniem.
- Nie - zaprotestowałem, zdjęty nagłą paniką. - Nie mogę tego zrobić. Pozwolę działać naturze.
Zmierzył mnie wzrokiem.
- Natura to okrutna i nieczuła bogini. Czy oddasz w jej bezlitosne ręce swoje dziecko?
Zakryłem twarz dłońmi, by na niego nie patrzeć.
- Jestem jego ojcem... Skąd możesz wiedzieć, jak możesz to zrozumieć, co znaczy odebrać życie swojemu własnemu dziecku?
Przez chwilę milczał, potem poczułem, że położył mi rękę na ramieniu.

- To już nie jest twoje brzemię - powiedział łagodnie. - Zaczekaj tu na mnie.

Jeszcze raz poczułem dziwny paraliż umysłu. Widziałem, że wziął Koran i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

Czas przeciekał mi przez palce, czułem pulsowanie w głowie, które zdawało się rozciągać na wszystkie moje mięśnie. Jego głos ciążył mojej pamięci jak kamień, ciągnął mnie w głąb za sobą i przełamywał wszelki opór.

Moment podjęcia decyzji został mi odebrany i ostatnim głosem, który usłyszy mój syn, będzie głos niewiernego... ateisty...

Czując, że tonę w bezdennym jeziorze, uchwyciłem się kurczowo mojej wiary i otrząsnąłem z wątpliwości, które owijały się wokół mnie jak wodorosty. Uwolniłem się od trzymającego mnie zaklęcia i wbiegłem do cichej sypialni obok.

Oprócz bladego światełka świecy w modlitewnej niszy, pokój spowity był w ciemności. Wszystkie okna od strony ogrodu były otwarte na oścież, by wpuścić wiatr wiejący od strony Morza Kaspijskiego.

Erik odwrócił się, gdy wszedłem do pokoju. Przez chwilę wiatr uniósł jego płaszcz i rozwiał go, kiedy podchodził do mnie z majestatem powracającego na ziemię anioła.

- Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest Jego Prorokiem - szepnąłem chrapliwie.

W odpowiedzi usłyszałem ciche westchnienie, ledwo dosłyszalny

oddech wydobywający się z bladych ust Rezy.
Kiedy Erik złożył go w moich ramionach, chłopiec już nie żył.
Nie chowamy naszych zmarłych w trumnach.
Umyte i owinięte w całun małe ciałko Rezy zostało złożone bezpośrednio do ziemi, jak nakazują zwyczaje mojej wiary. Gościnnie otwierałem drzwi przed tymi, którzy przybyli składać kondolencje; dopilnowałem, by dostali kawy i chałwy, a czternastego dnia kobiety z mojego gospodarstwa nakryły głowy, podczas gdy wersety z Koranu i stosowne modlitwy poprowadziły duszę zmarłego do raju.
Kiedy uczyniłem wszystko, co należało uczynić, wróciłem na dwór. Erik już tam był. Rankiem, po śmierci Rezy, przyjechali uzbrojeni strażnicy i eskortowali go do Teheranu. Odniosłem wrażenie, że Erik wolał z nimi pojechać. Ja nie potrafiłem wyrazić moich sprzecznych i poplątanych uczuć. Pozwoliłem mu odjechać bez słowa, które zdjęłoby ołowiany ciężar żalu i winy z jego barków. Tym razem nie obejrzał się, by spojrzeć na dom i wiedziałem, że już nigdy nie wróci do mojej posiadłości.
Ledwo dotarłem do Teheranu, szach wezwał mnie do siebie. Poszedłem zrezygnowany, gotów ponieść dowolną karę za długie przetrzymywanie Erika z dala od dworu. W cichości ducha liczyłem, że zostanę uwięziony, gdyż oszczędziłoby to mi codziennej udręki spotkań z nieszczęśliwym zabójcą mojego dziecka.
Zastałem szacha siedzącego na marmurowym stole, przeglądającego

ciekawie plany nowego pałacu. Promienie słońca wpadające przez okna połyskiwały w brylantowej spince przytrzymującej pióro białej czapli przy jego turbanie. Kiedy podniósł wzrok i gestem kazał mi powstać, pióro tańczyło jak nieśmiała kobieta w lekkim powiewie poruszanych kartek.

- Czy widziałeś te plany, darogo? - zapytał bez zbędnych wstępów.

Pospieszyłem go zapewnić, że nie. Wiedza jest w Persji bardzo niebezpieczną rzeczą, a chociaż byłem w żałobie, nie mogłem bez emocji myśleć o egzekucji. Projekt Erika, nazwany Ogrodem Echa, był najściślej strzeżoną tajemnicą. Ciekawe, jakie znów plotki z Mazandaranu obudziły podejrzliwość władcy? Czy wiedział o dokumentach, które Erik powierzył mojej pieczy? Czy wiedział, że byłem obecny podczas owej nieszczęsnej rozmowy z kierownikiem budowy?

Szach oparł się ciężko o blat i zmierzył mnie wzrokiem, który przywiódł mi na myśl sokoła.

- Powiedz mi, darogo - zaczął uprzejmie, wydychając smużkę dymu w moją stronę - czy mój zamaskowany przyjaciel uważa, że dobrze opłacam jego usługi... jakkolwiek są niezwykłe?

- Wasza szczodrość nigdy nie była kwestionowana, o Cieniu Boga na Ziemi - zapewniłem usłużnie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie! - przerwał szach z nagłą irytacją.

- Sułtan... emir... oni też byliby szczodrzy wobec człowieka o tak

niezwykłych zdolnościach.
Milczałem, jako że grunt pod moimi nogami zrobił się podejrzanie niepewny.
Szach odstawił fajkę wodną i zamknął plany na klucz w szufladzie.
- Mam zamiar ofiarować mu podarunek - mały dowód mojego wielkiego uznania - kontynuował zamyślony. - Jestem bardzo ciekaw, jak go przyjmie. Twoja praca sprowadza się do obserwowania, darogo. Mam nadzieję, że dostarczysz mi szczegółowe sprawozdanie na temat jego... jak by to ująć?... wdzięczności.
Skłoniłem się nisko, by nie patrzeć na uśmiech, który mocno mnie zaniepokoił. To był uśmiech człowieka, który nauczył się od matki doceniać najbardziej wyrafinowane tortury.
Pod tym dziwnym kaprysem wyczułem intrygę chanum.
Wyglądało na to, że jednak Erik zostanie ukarany za wielomiesięczną nieobecność na dworze...

To była odaliska, niewolnica z haremu, która została wyuczona na kurtyzanę, ale nie dostąpiła jeszcze zaszczytu bycia wezwaną do królewskiego łoża. Nie było większej oznaki łaski szacha, niż podarunek w postaci dziewicy z haremu - żona w prezencie.
Kiedy wydukałem nauczony na pamięć tekst, w przytulnie oświetlonym apartamencie Erika zapanowała grobowa cisza. Napięcie, które wyprężyło wszystkie nasze mięśnie jak struny.

Patrzył na dziewczynę ze straszliwym głodem, którego nie potrafił ukryć pod maską; jego nagłe, wszechogarniające pożądanie było jak błyskawica, szokujące w swej gwałtowności. Widziałem, że ramiona zgięły mu się z bólu, dłonie zacisnęły na kolanach i wpiły w ubranie w rozpaczliwej próbie opanowania bezwzględnej tyranii jego własnego ciała.

Kiedy spojrzał na mnie, z jego oczu biła gorzka nienawiść, jakby zrozumiał, po co zostałem do niego przysłany.

- Przyprowadź ją bliżej - powiedział.

Głos Erika stracił nagle całe piękno; stał się szorstki i metaliczny. Dziewczyna skuliła się instynktownie za ramieniem eunucha, który ją trzymał. Została przeciągnięta przez cały pokój i rzucona do stóp Erika, tak jak wskazał urwanym gestem. Wstał powoli jak wielki, rozwijający się cień, pochylił się i zdarł jej woalkę ukazując ogromne, niebieskie, umalowane antymonem oczy, wpatrzone w niego z nieukrywanym przerażeniem.

- Ile masz lat? - zapytał ostro.

- Piętnaście, panie. - Jej głos był ledwo słyszalny.

- Czy powiedziano ci, czego się od ciebie oczekuje?

- Tak - szepnęła.

- Dobrze. Ja już widziałem, co jest za twoją zasłoną, moja droga... teraz twoja kolej. Podejdź i zdejmij moją maskę.

Dziewczyna nie poruszyła się, wciąż klęczała u jego stóp i patrzyła na

niego oniemiała.
- Jeśli mi odmówisz, to tak, jakbyś odmówiła samemu szachowi - powiedział Erik spokojnie. - Jeśli będziesz się opierać, wezmę cię siłą, a potem oddam na stracenie. Ale jeśli ten jeden raz przyjdziesz do mnie z własnej woli, przysięgam ci, że o świcie będziesz wolna. Jedna noc zapewni ci dostatek do końca życia; będziesz mogła je przeżyć w szacunku i wygodzie. I być może, mimo wszystko, ta noc nie będzie taka straszna, jak się obawiasz...
Kiedy pochylił się i wyciągnął do niej rękę, dziewczyna cofnęła się, składając umalowane henną dłonie w błagalnym geście.
- Czy wolałabyś umrzeć, niż pójść ze mną? - zapytał z bolesnym niedowierzaniem. - Naprawdę wolałabyś umrzeć?
Dziewczyna rzuciła mu się do nóg ze szlochem i wpadła w histerię. Erik odwrócił się od niej gwałtownie i zacisnął dłonie na ramionach.
- Zabierzcie stąd to dziecko - powiedział.
Eunuch spojrzał na mnie zaskoczony, czekając na rozkazy. Przeszedłem przez pokój i odezwałem się cicho i z naciskiem.
- Najwyraźniej nie zrozumiałeś tutejszych zwyczajów, Eriku - szepnąłem. - Ta dziewczyna to podarunek od szacha, wyraz jego szacunku do ciebie. Nie możesz odesłać jej w ten sposób, nie popełniając straszliwego naruszenia etykiety. Nigdy ci nie wybaczą takiej obrazy.
- Zabierzcie ją stąd - powtórzył bez wyrazu. - Powiedzcie szachowi, że nie pociągają mnie niedorosłe dziewczęta. Powiedzcie mu, że... nie

byłem w stanie... cieszyć się jego prezentem. Do cholery, powiedzcie mu co chcecie, byleby tylko nie została ukarana.

Skinąłem na eunucha, który zaraz wyprowadził szlochającą dziewczynę z pokoju. Wiedziałem, że nie da się kupić jego milczenia; przyjąłby pieniądze, a później i tak rozgadał w haremie wszystko, co widział. Złośliwe plotki były jedną z niewielu przyjemności, które pozostały tym sfrustrowanym, niekompletnym mężczyznom. Cokolwiek powiem szachowi, chanum i tak dowie się prawdy.
Kiedy zostaliśmy sami, Erik nalał sobie drżącymi dłońmi kieliszek araku.
- Idź już - powiedział załamany.
Pokręciłem głową.
- Chciałbym najpierw z tobą porozmawiać.
Przesunął ręką po masce.
- Tak - powiedział. - Nie mogę ci tego odmówić, ale najpierw proszę o kilka chwil samotności... Tylko kilka minut... rozumiesz?
Potwierdziłem powoli ruchem głowy i odwróciłem się do drzwi, ale zanim wyszedłem zapytałem jeszcze:
- Eriku... dlaczego odesłałeś tę dziewczynę? Pragnąłeś jej i mogłeś z nią zrobić, co tylko chciałeś. Dlaczego ryzykujesz obrażenie szacha dla dziewczyny, która jest tylko niewolnicą?
Wrzasnął na cały głos, podniósł stojący przed nim stolik i cisnął go przez

pokój z taką siłą, że nogi odpadły w drzazgach od marmurowego blatu.
- Tylko niewolnica... tylko zwierzę! - krzyknął. - Ty kretyński, perski ośle - precz z moich oczu, zanim zapomnę, ile ci zawdzięczam!
Oparłem się o ścianę, kiedy skoczył do drzwi i otworzył je tak gwałtownie, że wyrwał zawiasy ze ściany.
Patrzyłem jak odchodził i przyszło mi do głowy, że ktokolwiek wejdzie mu dziś w drogę, nie pożyje dość długo, by tego pożałować.

Moi szpiedzy w haremie donieśli mi następnego dnia o tym, co się stało. Erik został wezwany, by zająć miejsce przy oknie sali tortur, zarezerwowanym zazwyczaj do osobistego użytku chanum. Sama władczyni postanowiła oglądać widowisko z balkonu powyżej, w otoczeniu swoich dwórek. Powiedziano mi, że z tego miejsca było fizyczną niemożliwością obserwowanie tego, co dzieje się w środku, tak więc stało się jasne, że dzisiejsze rozrywki miały się rozgrywać na zewnątrz osławionego lustrzanego pokoju.
Chanum przyglądała się swemu ulubieńcowi poprzez delikatne, rzeźbione kratki, które zmieniały jej postać w intrygującą sylwetkę w półmroku.
- Postanowiłam dziś zabawić cię małą rozrywką mojego własnego pomysłu, Eriku - zaczęła przymilnie. - Mam nadzieję, że przyznasz, że pilnie studiowałam twoją sztukę. Chętnie wysłucham twoich komentarzy. A teraz rozsuń, proszę, zasłonę.

Odsłonił okno, pociągając za aksamitną kotarę. Przez chwilę stał kontemplując ponuro to, co ukazało się jego oczom, a następnie odwrócił się w stronę balkonu. Eunuchowie opowiadali, że gdy przemówił, jego głos był w stanie zmrozić Morze Kaspijskie.

- Jak widzę, niewiele nauczyła się pani przy mnie, madame. Twoje rozrywki są wulgarne i niesmaczne; są dziełem amatora, który nie zrozumiał swego własnego ograniczenia.

Na galerii zaległa głucha cisza. Ci, którzy widzieli chanum z bliska, mówili, że zmartwiała i oblała się pąsowym rumieńcem, widocznym nawet pomimo woalu.

- Może moje rozrywki są wulgarne i niesmaczne - rzuciła przez zęby, a każde jej słowo ociekało jadem - i tak wszystko odbędzie się tak, jak zaplanowałam.

- W takim razie, madame, odbędzie się to bez mojego udziału.

Erik odwrócił się od niej niegrzecznie i opuścił harem nie czekając na pozwolenie.

Opowiadano mi, że egzekucja odbyła się bez świadków, ale wiedziałem, że śmierć młodej niewolnicy nie załatwi sprawy.

Nikt nigdy nie ośmielił się potraktować chanum z tak pogardliwą bezczelnością.

Byłem pewien, że dołoży ona wszelkich starań, by okrutnie zemścić się na sprawcy swego publicznego upokorzenia.

Czekałem, aż nadejdzie rozkaz każący mi go aresztować, ale rozkaz nie

nadchodził. Jedynym logicznym wytłumaczeniem tej niezwykłej pobłażliwości szacha była jego niechęć do rozstania się z człowiekiem, którego wciąż potrzebował. Jakikolwiek straszny los chanum zgotowała dla Erika, musiała poczekać, aż zakończona zostanie budowa pałacu.
Z nastaniem upałów Teheran opustoszał; wszyscy, którzy mogli, wynieśli się do ustronnych, letnich rezydencji w chłodniejszych rejonach Wzgórz Szimran. Tradycyjnie, był to na dworze najspokojniejszy czas w roku, najmniej spodziewany moment na zamach na życie szacha. Mimo to, w sierpniu został on zaatakowany, gdy wsiadał na konia. Czterech babickich dysydentów podeszło pod pozorem składania petycji. Mogę to wytłumaczyć tylko tym, że ludzie ci chcieli stać się męczennikami za sprawę; bo chociaż szach został zraniony strzałem z pistoletu i zrzucony z konia, zamachowców natychmiast unieszkodliwiła zbrojna straż. Jeden z napastników zginął pod kopytami.
Wybuchła panika. Chociaż pozostał jeszcze pełny miesiąc kanikuły, wszyscy rzucili się z powrotem do Teheranu w obawie przed rewolucją. Rosyjska misja dyplomatyczna opuściła kraj, Brytyjczycy zabarykadowali się u siebie. Aresztowano ogromną ilość tak zwanych konspiratorów, a każdy w najmniejszy sposób związany z ruchem babitów, żył w ustawicznym strachu o swoje życie.
Represje były natychmiastowe i bardzo krwawe, na wyraźne żądanie spragnionego odwetu młodego szacha. Ja sam zmuszony byłem dać wyraz swej lojalności w sposób, który napełniał mnie obrzydzeniem. Nie

samo polowanie na spiskowców sprawiło, że czułem się podle - byłem w końcu do tego przyzwyczajony pracując od lat w policji - ale okrutny los, który czekał nieszczęsnych ekstremistów. Nawet Erik bez entuzjazmu odniósł się do rozkazu, by opracować odpowiednie tortury dla Chana Sulejmana, głównego przywódcy buntu.

W noc przed egzekucją Erik przyszedł do mojego apartamentu i usiadł trącając struny skrzypiec z niepokojem, który napełnił mnie najgorszymi przeczuciami. Słyszałem, że szach nie był zadowolony z jego pierwotnego projektu - nie dość okrutny - skwitował ze złością - nie wystarczający, by pokazać ludziom, co czeka zdrajców.
- Zawiodłem się na tobie. Spodziewałem się czegoś bardziej wymyślnego. A może utraciłeś część ze swoich słynnych talentów do wymyślania wyrafinowanych egzekucji. Radziłbym, żebyś zastanowił się nad tym jeszcze raz, i to szybko.
Zawiodłem się na tobie... niebezpieczne słowa w ustach cesarza! Erik dostał dwadzieścia cztery godziny, by naprawić swój błąd i teraz, patrząc na niego, wiedziałem, że mu się udało.
- Czy szach był wreszcie zadowolony? - zapytałem nerwowo.
- Tak. - Erik szarpnął strunę obojętnie. - Podobał mu się ostateczny... rezultat.
Ponura fascynacja kazała mi dopytywać się o szczegóły. Spokojnie, bez emocji, odpowiedział, że ciało Chana Sulejmana zostanie przebite w

wielu miejscach tak, by w otwory dało się wmontować zapalone świece, które wkrótce wtopią się w żywe mięso. Następnie zdrajca będzie zaciągnięty ulicami na miejsce egzekucji, gdzie zostanie równo i gładko przepołowiony toporem.
Przez chwilę obaj milczeliśmy; ja z przerażenia, Erik z powodu mdłości, o które przyprawił go ten ogrom okrucieństwa, który zmuszony był wyciągnąć z ciemnej czeluści swojej wyobraźni.
Patrzyłem, jak pieszczotliwie przesunął ręką po wypolerowanym, drewnianym pudle skrzypiec.
- Jestem zmęczony wymyślaniem tych potworności - powiedział powoli.
- Bardzo zmęczony. Czy masz trochę opium, Nadir?
Zmarszczyłem brwi.
- Za dużo ostatnio używasz opium - o wiele za dużo!
- Tak, wiem - przyznał smutno. - Jeśli nie przestanę, w końcu mnie to zabije. To by dopiero była wielka strata dla świata!
- Eriku -
- Nie pouczaj mnie. - Westchnął. - Moja dusza jest jak podłoga rzeźni, umazana krwią i brudem. Opium sprawia, że na chwilę spływa przed moje oczy cudowna zasłona... mogę na moment zapomnieć. Masz trochę czy nie?
Prawa gościnności zabraniały mi odmówić czegokolwiek gościowi, podszedłem więc do szafki i przyniosłem mu rekwizyty naszego narodowego nałogu. Nie ma w Persji człowieka, który nie znałby kogoś

uzależnionego od opium. Bogaci pozwalają sobie na ten luksus, a biedni głodują i sprzedają swoje odzienie, by zarobić na dzienną dawkę trucizny. Opium uspokaja skołatane serce, łagodzi jego ból miękkim, kojącym balsamem. Nie znałem człowieka, który potrzebowałby tego bardziej, niż Erik.

Podałem mu zdobioną, porcelanową fajkę w kształcie jaja, z cienką fifką z drewna czereśniowego. Przysunąłem szczypczyki i rozżarzone węgle, dzięki którym cenne ziele wydzielało wonny dym.

- Jeśli chcesz zachować resztkę zdrowych zmysłów, uciekaj z Persji jak najszybciej - powiedziałem. - Sam wiesz, że to byłoby dla ciebie najlepsze, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Pomyślę o tym, kiedy skończę pałac.

- Wtedy możesz nie mieć czasu, by o tym myśleć - ostrzegłem. - W chwili, gdy położysz ostatni kamień, lepiej miej się na baczności. Masz więcej wrogów, niż ktokolwiek w tym kraju, protekcja szacha nie na długo zapewni ci ochronę. Eriku, ta kobieta chce twojej krwi. Spaliłeś za sobą mosty, nie ma co do tego wątpliwości.

Wciągnął słodki dym głęboko w płuca i wypuścił z westchnieniem.

- No cóż - zadumał się smutno. - Piekło jest pełne płonących mostów, nie sądzisz, Nadir? Zaryzykuję uwagę, że właśnie dlatego jest tam tak gorąco.

Uśmiechnąłem się blado. Nawet w najgłębszej rozpaczy, Erik nie tracił

swego dziwnego, trochę złośliwego poczucia humoru; niezwykłego wyczucia rzeczy śmiesznych, które czyniło go niezaprzeczalnie ludzkim niezależnie od okoliczności. Od śmierci Rezy był jedynym człowiekiem, który regularnie zdumiewał mnie wywołując śmiech, podczas gdy myślałem, że już nigdy nie będę się śmiał.

Być może postępowałem źle dając mu opium i podsycając ten zgubny nałóg, ale trzeba było być naprawdę twardym człowiekiem, by odmówić mu tego jedynego wytchnienia.

Kiedy dzwon z minaretu wezwał mnie na modlitwę, zostawiłem go samego w znajomej chmurze dławiącego dymu. W moją modlitwę wkradły się melancholijne tony jego skrzypiec; pomimo religijnej żarliwości, zafascynowany słuchałem wbrew sobie.

W tych miękkich, wibrujących nutach zaklęty był cały smutek świata. Było tak, jakby sam diabeł płakał łzami najczystszych dźwięków.

Pozostali spiskowcy zginęli podczas przerażającego publicznego spektaklu, który zaszokował przedstawicieli wszystkich europejskich placówek dyplomatycznych.

Trzydzieści egzekucji zostało wykonanych własnoręcznie przez ministrów stanu; przestępcy byli przebijani bagnetem, wydłubywano im oczy i generalnie ćwiartowano na sztuki przed całym dworem. Jednak widowisko było mało oryginalne i niezbyt nowatorskie - dość, by domyślić się, że Erik nie wziął najmniejszego udziału w jego przygotowaniu. Niezręczne, Źle zorganizowane i całkowicie pozbawione

finezji, nosiło znamię konformizmu nowego pierwszego ministra. Trudno było wskazać winnego represji, gdyż cały dwór zmuszony został do wzięcia odpowiedzialności za masowy mord. Francuski lekarz szacha, gdy zaproponowano mu, by dał dowód swej lojalności przez wbicie noża w ciało skazańca, wymówił się żartując, że czuje się winny wystarczającej ilości śmierci poprzez swój zawód, by z własnej woli powiększać tę liczbę. Szach śmiał się serdecznie i wydawało się, że kupił tę wymówkę, ale wkrótce podsunięto lekarzowi kielich trucizny, po której zmarł w męczarniach.

Ja sam na szczęście uważany byłem za dworzanina zbyt niskiej rangi, by otrzymać podobne zaproszenie. Zwolniono mnie z obowiązków szpiega i ochroniarza i odesłano do Mazandaranu, bym dopilnował, żeby nikt nie zakłócił zimowego odpoczynku szacha. W związku z tym nie widziałem Erika przez wiele miesięcy i o ukończeniu pałacu dowiedziałem się tylko dzięki temu, że szach wezwał mnie do Ogrodu Echa.

Kiedy przybyłem, zastałem wielką salę audiencyjną zupełnie pustą. Większość dworu wciąż jeszcze była w Aszrafie, szach przyjechał tu tylko z krótką, kontrolną wizytą. Mimo całego przepychu, budynek był w istocie ogromnym magicznym pudełkiem, wymyślonym, by zabawić i zaintrygować władcę. Od początku nikt nie planował, że przeniesie się tu dwór. Tylko garstka wybrańców mogła dostąpić zaszczytu bycia zaproszonym, by dotrzymywać towarzystwa królowi królów w jego najnowszej rezydencji. Ci zaś, którzy otrzymali zaproszenie, powinni

wystrzegać się nieostrożnych słów. Erik ostrzegał mnie, że Ogród Echa nie nazywał się tak bez powodu.

Kiedy szach pojawił się niespodziewanie przy moim boku, byłem tak zaskoczony, że upuściłem akta dotyczące mojej ostatniej pracy. Nie wszedł do sali przez żadne z widocznych drzwi i wydawało mi się, że musiał przejść przez ścianę.

Nic nie mogło uradować go bardziej, niż moja konsternacja.

- Ach, darogo! - powiedział rozbawiony jak uczniak. - Widzę, że udało mi się ciebie zaskoczyć. Zabawne urządzonko, przyznasz?

- Jak najbardziej, Wasza Cesarska Mość.

Wstałem z klęczek na jego skinienie i popatrzyłem zakłopotany na żałośnie rozsypane dokumenty. Zdawałem sobie sprawę, że cały pałac pełen jest tajnych przejść i zapadni, o których wiedział wyłącznie szach. Osobiście uważałem ten pomysł za bardzo dziecinny; przypominał diabelską zabawę w chowanego, która bez wątpienia musiała doprowadzić w końcu do wielu tragedii. Było mi przykro, że Erik w ten sposób marnował swój talent. Chciał przecież tylko wybudować coś pięknego, a na każdym kroku musiał zmagać się z kaprysami swego spragnionego nowości i udziwnień pracodawcy. Wiedziałem, że zapadnie i tajemne przejścia nie były uwzględnione w pierwotnym projekcie Erika. W ostatecznym rozrachunku, jego cud architektury został umniejszony do postaci wymyślnej zabawki dla małego, złośliwego chłopca. Z winy szacha pałac stracił całe swoje prawdziwe

piękno.
- Jak ci się podoba mój nowy dom rozrywek? - zapytał władca. - Czyż nie sądzisz, że jest jedyny w swoim rodzaju - naprawdę wyjątkowy?
Pospieszyłem z zapewnieniem, że tak jest w istocie. Pomimo zadowolenia, było w jego twarzy coś zrzędliwego i rozdrażnionego, co wzbudziło mój niepokój. Zachowywał się jak rozpieszczony dzieciak, który zbyt długo musiał czekać na obiecany prezent i teraz starał się ze wszystkich sił znaleźć w nim jakąś usterkę, gdyż rzeczywistość nie dorównała jego marzeniom.
- Sekretne przejścia są bardzo duszne - zauważył nagle. - Właściwie dość niewygodne. Musiałem zdjąć nakrycie głowy.
Starałem się sprawiać wrażenie, że mu współczuję. Osobiście, za największy cud tego budynku uważałem fakt, że podczas budowy Erikowi udało się jakoś powstrzymać od skręcenia karku jego właścicielowi.
- Niemożliwe, by istniał inny władca, który mógłby się pochwalić takim pałacem - zapewniłem pochlebczo. - Posiadacie, panie, prawdziwy klejnot architektury i sługę, który nie ma sobie równych na całym świecie.
Szach zmarszczył brwi i strzepnął pył z obszernej szaty.
- Skoro służył mnie, mógłby służyć i innym. Powiadają, że jego sława dotarła już do Konstantynopola i że sułtan chciałby mi go podkupić.
Kiedy zrozumiałem, o czym mówił, zaniemówiłem.

- Jestem przekonany, że Wasza Wysokość może śmiało zlekceważyć te złośliwe plotki. Lojalność Erika -
Szach zaśmiał się sardonicznie.
- Uważasz mnie za aż tak głupiego, bym uwierzył w lojalność tego człowieka? On nie czuje się niczyim poddanym, chyba sam o tym wiesz. Erik jest całkowicie pozbawiony jakichkolwiek skrupułów. To morderca i, co gorsze, złodziej.
- Złodziej? - zapytałem nieśmiało. - Czy człowiek, który uczciwą pracą zarobił taki majątek, zniżyłby się do kradzieży?
- Spodziewam się, darogo, że kradnie wyłącznie dla przyjemności. Żeby sprawdzić swoje umiejętności. Sprawa kociej obróżki nigdy nie została wyjaśniona, a ostatnio w Pawim Tronie znaleziono kawałek ciętego szkła, wyobrażasz sobie - szkła! W swoim czasie ta bezwstydna arogancja bawiła mnie, ale chanum przestrzegła mnie przed jego bezczelnością i coraz bardziej się skłaniam, by jej posłuchać. Takiemu człowiekowi nie wolno powierzać tajemnic państwowych.
Szach odwrócił się do mnie plecami i zaczął niespokojnie przechadzać się wzdłuż sali. Nie ośmieliłem się z nim polemizować; po chwili spojrzał na mnie zamyślony.
- Cieszę się, że go nie bronisz. Zdarzały mi się w tym roku chwile, kiedy zastanawiałem się, czy twoja własna lojalność wobec mnie jest rzeczywiście nieposzlakowana.
Padłem mu do nóg w geście całkowitego poddania, moja głowa znalazła

się tuż obok czubka jego buta.
- Wstań już! Wstań! - nakazał gniewnie. - Znalazłem lepszy sposób, byś udowodnił swoją lojalność.
Wzniosłem głowę zaniepokojony. Cóż to mogło być, na Allaha?
- Może cię zainteresuje, że chanum radzi mi, bym kazał mu wykłuć oczy.
No tak, pomyślałem... To odpowiednia kara za jego przestępstwo wobec niej. Na cóż są oczy człowiekowi, który tak uparcie nie dostrzega pożądania tej nieszczęsnej kobiety?
- Ale po głębszym zastanowieniu - kontynuował szach chłodno - nie jestem przekonany, czy zniszczy to jego umiejętności i uczyni bezużytecznym dla innego monarchy. Wolałbym, żeby ten pałac pozostał unikatowy... Nie będzie już budował dla żadnego innego króla. Wszyscy, którzy pracowali przy budowie, zostaną straceni - włączając w to projektodawcę. Jutro wieczorem, gdy Erik wróci do Aszrafu, aresztujesz go.
- Jutro? - powtórzyłem zdruzgotany.
Szach ponownie zmarszczył brwi.
- Jutro zakończy pracę przy przeróbkach, które zamówiłem do mojej sypialni, do tego czasu masz mu nie przeszkadzać. Jutro nie będzie mi już potrzebny.
Rozsiadł się na tronie i powiódł wzrokiem po sali audiencyjnej. Najwyraźniej nie znalazł jednak innych powodów do narzekań, które

dałyby Erikowi kolejną noc zwłoki.
- Sposób egzekucji pozostawiam tobie, darogo... Ale proszę, upewnij się, żeby nie uszkodzono jego czaszki. Życzę sobie, by jego głowa została zabalsamowana i ustawiona na palu w Gulistanie. Sułtan i emir zzielenieją z zazdrości, gdy usłyszą o mojej nowej dekoracji.
Patrzyłam w podłogę, bojąc się, że wyraz twarzy zdradzi pogardę, którą czułem.
- Dobrze - stwierdził na koniec szach. - Czy zrozumiałeś moje rozkazy?
- O tak, doskonale, Cieniu Najwyższego. - To mówiąc, wycofałem się do drzwi, gnąc się w ukłonach.
- Darogo!
- Tak, panie?
- Każ swoim ludziom dokładnie przeszukać jego apartament, gdy tylko zostanie aresztowany. Spodziewam się, że obroża musi być gdzieś tam schowana.
Ponownie ukłoniłem się do ziemi.
Pozostało mi więc tylko dwadzieścia cztery godziny na konieczne przygotowania.
Tuż przed świtem moi ludzie otoczyli apartament Erika w Aszrafie, a ja sam wszedłem do środka.
Był zaskoczony.
- Grzeczność nakazuje pukać przed wejściem - rzucił krótko. - Co ty, u licha, robisz tutaj o tej porze? Nie zapraszałem cię.

- To nie jest wizyta towarzyska - powiedziałem głośno, tak, by mój głos poniósł się korytarzem. - Przychodzę tu jako szef policji tej prowincji, by aresztować cię za zdradę stanu. Masz niezwłocznie udać się ze mną.
Wybuchnął śmiechem, ale gdy gwałtownym gestem nakazałem mu być cicho, zamilkł nagle i przyglądał mi się ciekawie.
- Nie mamy wiele czasu - szepnąłem. - Zbierz wszystkie wartościowe drobiazgi i oddaj mi.
Pochylił się do ściany, nacisnął jakąś ukrytą sprężynę i natychmiast kamień w murze przesunął się odsłaniając niewielkie wydrążenie, w którym stała szkatułka.
- Całą noc pracowałem nad osobistym zleceniem szacha, właśnie chciałem się wykąpać. - Jego głos poniósł się bez wysiłku do uszu czekających strażników. Z ulgą zrozumiałem, że przyjął zasady mojej rozpaczliwej gry.
- Masz kilka minut, żeby się ubrać - powiedziałem.
Wręczył mi szkatułkę, a kiedy ją otworzyłem, zobaczyłem wewnątrz drogocenne klejnoty. Były tam szlachetne kamienie wszelkiego kształtu i koloru, niektóre dostał w podarunku za swe usługi, inne po prostu sobie przywłaszczył. Rozpoznałem ogromny brylant, który kiedyś należał do Mirzy Taqui Chana, a na dnie pudełeczka leżała zaginiona kocia obróżka, pełna bezcennych klejnotów, które połyskiwały w świetle pochodni.
Spojrzałem na niego z wyrzutem, ale wzruszył tylko ramionami

rozbawiony.
- Wiesz, że mam słabość do pięknych przedmiotów.
Westchnąłem i przesypałem zawartość szkatułki do skórzanej torby, którą ukryłem pod ubraniem. Zawsze otaczał się pięknymi przedmiotami i wiedziałem, że brylant i motyl miały w jego oczach równą wartość. Musiałem sam zbadać sejf w ścianie, by zauważyć pieniądze, które wcisnął tam niedbale, a potem zapomniał. Kiedy opróżniłem tajną skrytkę, dałem mu znak, by ją zamknął.
- Teraz daj mi ręce - powiedziałem cicho. - Spodziewają się, że wyjdziesz stąd związany.
Przez chwilę zesztywniał ze złości; już się przestraszyłem, że wszystko zniszczy swoją nierozsądną dumą. Wiem, że wolałby raczej zginąć, niż dać się związać jak zwierzę.
- Daj mi ręce - przynagliłem stanowczo. - Eriku, to jedyny sposób.
Popatrzył na sznur ze strachem i pogardą, która kazała mi pomyśleć o jego przeszłości. Kiedy związałem mu przeguby, zacisnął pięści, jakby starał się przemóc w sobie nieodparty instynkt obrony. Miałem wrażenie, że krępuję dziką, mitologiczną bestię; tylko zaufanie, które narosło między nami, powstrzymało go od rozdarcia mnie pazurami na strzępy. Jego przeguby były tak nieprawdopodobnie chude, że wiązałem go ostrożnie w obawie, że połamię mu kości. Wtedy dostrzegłem stare blizny na jego rękach.
- Co ci się stało? - zapytałem ciekawie. - To przez to okno w Teheranie?

Pokręcił głową; wciąż patrzył na pęta, jakby nie mógł do końca uwierzyć, że zgodził się na coś takiego.
- Kiedyś stłukłem lustro - odpowiedział. - Pewna dobra, lecz niezbyt mądra pani opatrzyła mi rany i uratowała życie.
- Twoja matka?
Spojrzał na mnie i coś w jego wzroku sprawiło, że zadrżałem.
- Moja matka pozwoliłaby mi wykrwawić się na śmierć - powiedział sucho. - I nikt by się temu specjalnie nie dziwił...
Zawiązałem linę w milczeniu, jeszcze raz tragiczne dzieje jego życia odebrały mi głos. Kiedy skończyłem, podszedłem do drzwi i zawołałem moich ludzi.
- Przeszukajcie pokój i sporządźcie dokładny spis wszystkiego, co tu znajdziecie. - Odwróciłem się do Erika, który stał z pochyloną głową, patrząc w podłogę. - A pan pójdzie za mną.
W świetle poranka odjeżdżaliśmy z pałacu. Prowadziłem konia Erika za uzdę. Pozbyłem się eskorty, wysyłając strażników w stronę więzienia z meldunkiem o naszym przybyciu. Kiedy ostatni koń zniknął sprzed naszych oczu, rozciąłem więzy, które go krępowały i podałem mu dwie torby, które dotąd miałem ukryte pod płaszczem.
- Jedź - powiedziałem po prostu. - Trzymaj się drogi wzdłuż wybrzeża i jak najszybciej opuść Persję. Nie mogę ci zapewnić więcej niż kilka godzin przewagi. Potem ludzie szacha ruszą za tobą w pościg.
Siedział na koniu bez ruchu, patrząc na mnie.

- Jak to wyjaśnisz?

Wzruszyłem ramionami.

- Powiem, że użyłeś swej magicznej mocy, by się uwolnić i zaatakowałeś mnie znienacka.

- Zostaniesz ukarany - zauważył ponuro - nawet jeśli szach uwierzy w twoją historyjkę. A jeśli nie...

- To już mój problem.

- Dlaczego to robisz? - zapytał nagle.

Spojrzałem na opustoszałą drogę.

- Mój syn chciałby, żebyś żył... To, co zrobiłem dziś w nocy, zrobiłem ze względu na pamięć o nim.

- Mój Boże - jęknął zrozpaczony. - Nigdy się z tym nie pogodzisz, prawda? Nigdy mi nie wybaczysz.

Odwróciłem się w siodle i zmierzyłem go wzrokiem.

- Nie mam ci czego wybaczyć - powiedziałem. - Dałeś mu piękną, bezbolesną śmierć... Pogodziłem się z tym i nie jestem już w żałobie. Pora teraz pomyśleć o twojej duszy, Eriku.

Poruszył ręką zniecierpliwiony.

- Twoja religia naucza, że niewierni nie mają dusz. Nie ma dla nich miejsca w raju.

- W takim razie mówię o twoim sumieniu - nie dałem za wygraną. - Jestem przekonany, że masz sumienie, cokolwiek o tym mówisz - od dziś uczyniłem się za nie odpowiedzialnym. Dokądkolwiek pojedziesz i

cokolwiek będziesz robił w przyszłości, wiedz, że odpowiadasz przede mną. Taką cenę musisz mi zapłacić w zamian za twoje życie. Nie wolno ci więcej zabijać bez koniecznej potrzeby.
- Czyżby? - skrzywił się - A niby co ma mnie powstrzymać przed złamaniem tej śmiesznej obietnicy, kiedy mi się tylko spodoba?
- Nie wierzę, że złamiesz dane mi słowo, Eriku.
- A na jakiej podstawie sądzisz, że dam ci moje słowo; że już nie wspomnę o dotrzymaniu go? Zabijanie jest jak opium, Nadir... Bardzo zły nałóg... Uzależnia...
- Każde uzależnienie można przezwyciężyć, jeśli się ma dość odwagi, by spróbować - powiedziałem twardo. - A zresztą, nie będę się z tobą targował - to jest ultimatum. Jeśli nie usłyszę od ciebie tego, co chcę usłyszeć, zmienię zdanie i najzwyczajniej dowiozę cię na egzekucję, daję ci na to moje słowo! A pamiętaj, że moi ludzie usłyszą strzał z tej odległości.
- Co konkretnie chcesz, żebym ci przysiągł? - zapytał ostrożnie.
- Nie jestem sentymentalnym głupcem. - Westchnąłem. - Wiem, jak wyglądało twoje życie - i wiem, że z pewnością będą w przyszłości sytuacje, kiedy będziesz musiał uderzyć pierwszy, aby się ratować. Ale jest różnica pomiędzy zabójstwem w obronie własnej, a mordowaniem dla perwersyjnej przyjemności. Proszę cię tylko, żebyś pamiętał o tej różnicy i stosował ją w praktyce. Czy możesz mi to obiecać?
Nic nie odpowiedział, ale po chwili wahania wyciągnął rękę, którą

natychmiast ująłem w swoją. Jego uścisk był chłodny i mocny, nie miałem zamiaru spłoszyć go, okazując przestrach czy odrazę. Pozwoliłem, by trzymał moją dłoń, aż sam uznał, by ją wypuścić. Ta chwila była symbolem naszej szczerej, prostej przyjaźni.
- Nie oddalaj się od wybrzeża i trzymaj się zarośli. To niebezpieczna droga, uważaj na ruchome piaski i w ogóle miej oczy otwarte. Nie zapuszczaj się jednak w głąb lądu. Jutro o tej porze, ludzie szacha będą patrolować wszystkie drogi prowadzące z kraju.

Westchnął.
- A ty, mój drogi głupcze, będziesz siedział w więzieniu, oczekując na egzekucję na moim miejscu. Czy naprawdę uważasz mnie za na tyle pozbawionego ludzkich uczuć, by cię tak zostawić?
- Nie musisz się lękać o moje życie - zapewniłem go. - Nie mam zamiaru biernie czekać na swój los, poczyniłem już pewne przygotowania. Nad brzegiem Morza Kaspijskiego zostanie porzucone ciało babickiego dysydenta ubrane w twój płaszcz i maskę. Zanim je odnajdą, padlinożercy zmienią je nie do rozpoznania. Jestem pewien, że to wystarczy, by szach darował mi życie. A jeśli skonfiskuje mój majątek - no cóż, sam mnie nauczyłeś, że w Persji trzeba się zawsze asekurować. Może wyemigruję do Europy i zamieszkam w kraju, gdzie królowe nie bawią się oglądając tortury.
- Nawet w Europie będziesz musiał coś jeść - zauważył smętnie.

Wyciągnął z torby garść drogich kamieni i podsunął mi. Po chwili wyjął spośród klejnotów wielki brylant.
- Nie sądzę, byś chciał obciążać swoje nadwrażliwe sumienie tym drobiazgiem - stwierdził. - Ja mogę udać, że zdobyłem go uczciwą pracą. Ale resztę weź bez obaw - nie ma wśród nich nic, co mogłoby odebrać ci sen.
- Eriku - zaprotestowałem. - Nie mógłbym -
- Weź je! - powiedział stanowczo. - Przecież zgodziłem się na twoje cholerne, ekscentryczne warunki! Pozwól mi przynajmniej na ten drobny gest wobec mojego kuratora... i przyjaciela.
Obaj zamilkliśmy, zaskoczeni prostotą tych ostatnich słów. Wiedziałem, że przyjaźń była nieznanym mu uczuciem; równie dziwnym, co napawającym strachem. Przyjaźń weszła w jego życie powoli, nieproszona; wymagała odpowiedzialności, rozsądku i lojalności. Byłem jednak pewien, że nie potraktuje lekko złożonej przede mną przysięgi.
Zdjął maskę i płaszcz i podał mi. Nagle zauważyłem, że w jego niedobranych oczach błyszczą łzy.
- Uważaj na siebie, Nadir - powiedział łagodnie. - Uważaj na siebie... Nie chciałbym, żeby przytrafiło ci się coś złego.
Myślę, że się uśmiechnąłem; nagle nie byłem w stanie powiedzieć słowa. Usiadłem przy drodze i patrzyłem, jak odjeżdża, aż stał się odległym, mglistym cieniem. I wtedy przemówiłem do pustki, która nas rozdzieliła. Bezbłędną francuszczyzną, którą z takim uporem wbijał mi do głowy

przez lata naszej znajomości.
- Au revoir, mon ami - powiedziałem cicho.
Po czym wziąłem maskę i płaszcz, ukryłem je bezpiecznie w torbie, zawróciłem konia w stronę Sari i samotnie ruszyłem w drogę.

Rozdział 5

Erik 1856-1881

Mój umysł dotarł do najodleglejszych krańców śmiertelnej wyobraźni i sięga nawet dalej, by dotknąć nieskończoności. Nie istnieje wiedza, której nie byłbym w stanie zgłębić, ani sztuka, której nie zdołałbym opanować. A jednak, podobnie jak Faust, szukam na próżno, uczę się na próżno... Gdyż jak długo będę żył, żadna kobieta nie spojrzy na mnie z miłością.
Teraz wreszcie zdobyłem się na odwagę, by porzucić odległe echa zwykłego, ludzkiego zadowolenia. Optymizm, ślepa nadzieja, żałosne pragnienia... Pozwoliłem im odejść, opuścić mnie jedno po drugim, i teraz jestem tak szczęśliwy, jak tylko mogę być na tym świecie. Odnalazłem wewnętrzny spokój w samotności.
Moje królestwo ukryte jest w wiecznym mroku, głęboko pod ulicami Paryża; otula je chłodna cisza grobowca. Ciemność i cisza stały się moimi towarzyszami od dnia, w którym postanowiłem odwrócić się od

świata przeciętnych ludzi i stworzyć moje własne, prywatne imperium.
Od urodzenia moim przeznaczeniem była samotność.
Ale zabrało mi ponad czterdzieści lat, by przyjąć ten prosty fakt do wiadomości - by zrozumieć, gdzie czeka na mnie spokój ducha i rezygnacja...

Kiedy przybyłem do Belgii wiosną 1856 roku, nie było w moim sercu pokoju.
Przez trzy lata podróżowałem bez celu po całej Europie, przypominając sobie znajome miejsca i śledząc bolesne wspomnienia z gorliwością pielgrzyma. Obejrzałem wszystkie cuda architektury, które przeoczyłem jako chłopiec. Szkicowałem przesiadując wczesnym rankiem na opustoszałych ulicach i wracałem do swojej kryjówki, zanim pierwsi kramarze zaczynali sprzedawać swe towary. Ukrywałem się przed dziennym światłem aż do zachodu słońca, kiedy znowu mogłem wyjść na słabo oświetlone ulice nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.
Nie musiałem więcej prostytuować swojego talentu, by zarobić na jedzenie. Lata spędzone w Persji przyniosły mi majątek; stałem się dość bogaty, by sfinansować moje zainteresowania. Czułem rosnącą niechęć do ludzkości, ale na szczęście nie musiałem już zabawiać tłumów ani zręcznościowymi sztuczkami, ani potwornym widokiem mojej twarzy.
Trzymałem na wodzy moje umiłowanie śmierci, które w tamtych okrutnych latach w Persji doprowadzone zostało do ekstremum;

zmuszała mnie do tego przysięga, której nie mogłem zlekceważyć. Głos Nadira prześladował mnie podczas podróży przez Azję i sprawiał, że źle się czułem na Wschodzie, gdzie zabójca polityczny jest osobą bardzo poszukiwaną na dworach władców. Śmierć przychodzi tam zdumiewająco łatwo i nikt nie zadaje pytań.
Nauczyłem się panować nad atakami złości i żądzą destrukcji, wpierw za pomocą opium, a później, już w Belgii - morfiny. Rzuciłem palenie z obawy, że zniszczę sobie głos. W rozgwieżdżonej euforii, w którą wprawił mnie eksperyment z igłą, rozpocząłem pracę nad operą, która miała stać się dziełem mojego życia.
Zatytułowałem ją: Tryumf Don Juana.
Chyba zaczynałem się stawać bardzo cyniczny...

Miesiącami podróżowałem po Belgii, podobnie jak wcześniej po innych krajach Europy, nigdzie nie zatrzymując się długo z obawy przed wrogością i prześladowaniem. Antwerpia, Gandawa, Bruksela... i w końcu - skuszony miękkim, znajomym dźwiękiem ojczystej mowy - przyjechałem do Mons. Jak miło było znów usłyszeć na ulicach rozmowy prowadzone po francusku. Nauczyłem się wielu języków, ale nic nie równało się z czarującymi samogłoskami i dźwięcznymi, płynnymi spółgłoskami tego najpiękniejszego języka świata. Nagle poczułem nieodparte pragnienie, by osiedlić się w tym jakże cywilizowanym kraju i zbudować tu dla siebie dom.

W bocznej uliczce w Mons znalazłem człowieka wprost idealnego dla moich dość szczególnych potrzeb - podatnego na działanie mojego głosu i chętnego, by spełniać moje polecenia bez zadawania męczących pytań. Człowieka, którego mogłem w pełni kontrolować po prostu ćwicząc swoje gardło. Już wcześniej przekonałem się, że podobnych ludzi można było wyłowić w każdym tłumie; na dźwięk mojego głosu gapili się na mnie tępo i intensywnie, jakby chcieli przejrzeć mnie na wskroś. Nie mam pojęcia, co za dziwaczny układ strun głosowych pozwalał mi niekiedy sprowadzać niektórych ludzi do poziomu posłusznych marionetek - niestety, nie da się przeprowadzić sekcji na sobie samym! Potraktowałem więc mój głos jako rodzaj broni - na swój sposób równie niebezpiecznej, co lasso z Pendżabu - i nie miałem oporów używać go, gdy nadarzała się sposobność.

Jules Bernard skończył właśnie termin u mistrza murarskiego. Kiedy tylko nabrałem pewności, że będę miał z niego pożytek, został moim dobrze opłacanym niewolnikiem. Zatrudniał dla mnie robotników, czym osobiście nie chciałem się zajmować, zwłaszcza odkąd postanowiłem zostać samotnikiem.

Gdybym był zadowolony ze swego nowego domu, nasza znajomość bez wątpienia skończyłaby się wraz z położeniem ostatniej cegły; ale jeszcze zanim pokryliśmy dach, doszedłem do wniosku, że nie satysfakcjonuje mnie ten projekt. Poleciłem Julesowi zająć się sprzedażą domu i byłem szczerze zaskoczony, gdy natychmiast przedstawiono mu z pół tuzina

naprawdę wygórowanych ofert.
- Może powinien pan otworzyć firmę budowlaną? - zasugerował Jules nieśmiało.
Z początku chciałem wybuchnąć śmiechem... ale potem zastanowiłem się nad jego słowami.
Właściwie, dlaczegóżby nie?
Wciąż byłem młody... Potrzebowałem jakiegoś zajęcia, chociaż nie zależało mi na pieniądzach. Szukałem czegoś, co odsunie moje myśli od kompozycji, która powoli pożerała mnie od środka jak rak. Tryumf Don Juana zjadał mnie żywcem. Musiałem zamknąć manuskrypt na klucz w szufladzie i zapomnieć o wszystkich niebezpiecznych i niewypowiedzianych rzeczach, które chciałem, by mi zastąpił.
Pięć lat później, Jules - wówczas już żonaty mężczyzna z trójką małych dzieci rozrabiających po jego skromnym wynajętym mieszkaniu - prowadził dla mnie kwitnący interes. Usługi, które oferowałem, były w najwyższym stopniu niezwykłe. Zwyczajem było, że architekt tylko zawierał kontrakt, ale sam nie budował. Zwyczajem było również, że spotykał się ze swymi klientami, ale na to nigdy nie chciałem się zgodzić. Moje warunki były tak ekscentryczne, że dziwię się, że firma w ogóle przetrwała. Jules jednak wykazał się nieoczekiwaną zdolnością do ugłaskiwania rozeźlonych klientów. Zapanowała moda na domy zaprojektowane i zbudowane przez tajemniczego, stroniącego od ludzi architekta, który podpisywał swoje plany po prostu jako Erik i który

raczej rezygnował z zamówienia, niż godził się na osobistą konsultację. Krótko mówiąc, jeszcze raz zyskałem miano modnej nowości, za którą bogaci obywatele nie wahali się słono zapłacić.

Po pięciu latach takiego życia doszedłem do wniosku, że nudzi mnie do łez budowanie ślicznych pudełek dla grubych, zadowolonych z siebie patrycjuszy i ich jeszcze grubszych i jeszcze bardziej z siebie zadowolonych żon. Opanował mnie wielki niepokój, częściowo spowodowany frustracją, a częściowo uczuciem, którego nie byłem w stanie rozszyfrować... Czułem nieodparte pragnienie, by wrócić do miejsca moich narodzin; uczucie równie niewyjaśnione i prymitywne jak to, które ciągnie łososia, by powrócił do swego rodzinnego strumienia.

- Muszę na trochę wyjechać - oznajmiłem Julesowi stanowczo pewnego ranka. - Poradzisz sobie ze wszystkim?

- Tak, monsieur - odpowiedział nerwowo. Nawet po tylu latach nie czuł się swobodnie w mojej obecności. - Czy wyjeżdża pan na długo?

- Nie wiem dokładnie.

Odszedłbym z placu budowy bez słowa, ale nagle pobiegł za mną, niemal zdjęty paniką.

- Monsieur... Proszę mi przynajmniej powiedzieć, jak można się z panem skontaktować - być może będę pana potrzebował!

Nikomu nie jestem potrzebny na tym świecie... i nigdy nie będę...

- Dasz sobie radę - odparłem cicho. - Mam do ciebie zaufanie i w twoim interesie leży dopilnowanie firmy pod moją nieobecność. Powiedz mi...

zatrudniłeś już nauczyciela dla swojego najstarszego syna?
- Monsieur - zaprotestował. - To przekracza moje możliwości.
- Masz dostęp do rachunków - zauważyłem zirytowany. - Czemu nie weźmiesz, ile ci potrzeba? Chłopiec jest bardzo zdolny i zasługuje na staranne wykształcenie. Jest już dość duży, by nauczył się czytać i pisać. Zajmij się tym jak najszybciej!
Jules spojrzał na mnie zbaraniały.
- Przecież... przecież nigdy bym pana nie okradł - wyjąkał.
- Więc jesteś idiotą - stwierdziłem. - Masz dużą rodzinę. Weź, ile ci potrzeba, aby zapewnić im wszystko, czego potrzebują. Nie będę zadawał ci pytań.
Przez chwilę milczał marszcząc swą pociągłą, niespokojną twarz. Odwróciłem się, żeby odejść, ale znów mnie zatrzymał.
- Dokąd pan jedzie? - zapytał z nagłym przestrachem.
- Do Boscherville - odpowiedziałem.
Wreszcie stanąłem za bramą do ogrodu starego domu. Patrzyłem... wspominałem...
Tyle razy w marzeniach zrównałem ten dom z ziemią, że byłem szczerze zdziwiony, że wciąż jeszcze stał na swoim miejscu.
Jak on śmie tak stać z tym swoim dyskretnym, niedzisiejszym urokiem; dawać schronienie jakiejś szczęśliwej rodzinie, nieświadomej tragedii, które przeżyłem pod tym dachem!? Łez, które wypłakałem w sypialni na strychu! Samotnego cierpienia i strachu, że zostanę tu zamknięty na

zawsze! Nienawidziłem tego domu! Chciałem zmieść go z powierzchni ziemi razem ze wszystkimi wspomnieniami!
Zrozumiałem, dlaczego chciałem wrócić do Boscherville - aby usunąć to potworne siedlisko raz na zawsze z krajobrazu Normandii.
W sypialni na górze paliło się światło - irytujący dowód, że dom był zamieszkany. Nie mogłem po prostu podłożyć ognia nie budząc nieszczęsnych mieszkańców. Obiecałem Nadirowi, że nie będzie już żadnych morderstw - a nawet gdybym nie obiecał, i tak uważałem za szczyt podłości zabić niewinne, śpiące dzieci.
Kiedy tak pomyślałem o dzieciach, moja dłoń zacisnęła się na pliku tysiącfrankowych banknotów w kieszeni. Kiedy zaspokoję moją ponurą żądzę niszczenia, ci ludzie pozostaną bez dachu nad głową. Aż za dobrze wiedziałem, jak wygląda życie bezdomnego biedaka. Nie skazałbym żadnego dziecka we Francji na okrutny los, który stał się moim udziałem w dzieciństwie. Postanowiłem sowicie opłacić swoją ekstrawagancję. Niech sobie opowiadają do końca życia o szaleńcu, który zapłacił za przyjemność spalenia ich domu...
Przywiązałem białą klacz do drzewa przy drodze; zarżała niezadowolona, widząc, że ograniczam jej wolność. Przeniosła mnie przez stepy Azji ani razu nie cierpiąc takiego braku poszanowania. Sam uważałem, że odbieranie jej wolności było nadużyciem bezwarunkowego zaufania, jakie do siebie nawzajem żywiliśmy.
Spojrzała na mnie z wyrzutem, ale tym razem nie ośmieliłbym się puścić

jej swobodnie. Ogień budzi ogromne przerażenie wśród koni, a panika z jej strony w takiej chwili z pewnością kosztowałaby mnie życie.
Wyjmując pistolet spod płaszcza, zastukałem trzykrotnie do drzwi. Czekałem na drewnianym ganku, upewniwszy się, że nikt mnie nie zobaczy z okien sypialni. Ktokolwiek zechce zaspokoić swoją ciekawość, będzie musiał otworzyć drzwi. A skoro nie było na świecie człowieka, którego nie pokonałbym w bezpośrednim starciu, czekałem z niemal obojętnym spokojem. Przy drzwiach stała donica z kwiatami; odruchowo schyliłem się, by wyrwać kilka chwastów, które się tam dostały. Nigdy nie mogłem spokojnie patrzeć, jak krucha roślinka walczy o przestrzeń dla siebie...
Nagle pod drzwiami pojawiło się światło i usłyszałem znajomy odgłos odsuwanej zasuwy. Co za nieostrożny, bezmyślny gospodarz; naprawdę zasługuje na swój los za taką głupotę... Gdy otwarły się drzwi, usunąłem się w cień; byłem ciekaw, jak daleko posunie się ta beztroska. Nic dziwnego, że świat pełen jest łotrów takich jak ja, skoro naiwni idioci codziennie sami zapraszają zło do domu!
Na ganku zamigotała świeczka, a ja zastygłem z przerażenia, gdy zobaczyłem, że tym nieostrożnym mieszkańcem była kobieta, którą rozpoznałbym na końcu świata, nawet pomimo upływu lat.
A kiedy podniosła na mnie wielkie, zdumione oczy i jedną ręką odruchowo złapała się za szyję, byłem pewien, że i ona mnie poznała.
- Panno Święta! - zawołała zduszonym głosem. - Erik!

To zdumiewające, jak w chwili szoku wychodzą z nas głęboko zakorzenione nawyki z dzieciństwa. Bez namysłu skłoniłem się lekko i powiedziałem uprzejmie, tak jak wbijano mi do głowy przed tylu laty:
- Dobry wieczór, Mademoiselle Perrault. Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa.
Teraz przycisnęła do ust obie dłonie. Chlipnęła cicho i wybuchnęła szlochem, po czym gwałtownym gestem wskazała mi, żebym wszedł z nią do środka.
Wszedłem do salonu z ciężkim sercem, ale oszczędzono mi spotkania, którego obawiałem się ponad wszystko. Byliśmy w pokoju sami. Ulga, którą odczułem, była tak ogromna, że musiałem usiąść w fotelu, gdyż bałem się, że osunę się na ziemię. Serce waliło mi głucho w piersi; obawiałem się, że słychać to w całym pokoju. Wpatrywałem się z nadzieją w karafkę brandy stojącą na komódce. Kobieta jednak była zbyt zaaferowana, by zwrócić uwagę na moje pragnienie, a ja uważałem proszenie damy o alkohol za dużą niegrzeczność. Już i tak zachowałem się nieuprzejmie, siadając bez jej zaproszenia. Obiema rękami chwyciłem się kurczowo poręczy fotela i starałem się jakoś uspokoić.
- Gdzie jest moja matka? - zapytałem niepewnie.
Mademoiselle Perrault rozpłakała się jeszcze bardziej.
- Przecież musi pani wiedzieć, gdzie ona teraz mieszka - nalegałem. - Proszę się nie obawiać, nie pojadę tam... Ale chciałbym wiedzieć.
Znajomym gestem przeczesała drżącymi palcami siwiejące

marchewkowo-rude włosy i wykrzywiła usta w sposób, który zawsze przypominał mi królika.
- Och, Boże - wyszeptała. - Myślałam, że wiesz... Myślałam, że to dlatego wróciłeś. Eriku... twoja matka umarła trzy dni temu.
Siedziałem bez ruchu, kurczowo trzymając się fotela. Od miesięcy walczyłem z dziwnie nieodpartą chęcią przyjechania tutaj! Wróciłem do domu powodowany pragnieniem podpalenia go. Czy dzięki jakiejś prymitywnej intuicji wróciłem, by podpalić stos pogrzebowy mojej matki?
Była w tym domu i była martwa.
A ja mogłem myśleć tylko o tym, że teraz nareszcie mógłbym pocałować jej zimny policzek... że nie może już się ode mnie odsunąć.
- Czy chciałbyś ją zobaczyć? - zaproponowała Marie smutno.
Zignorowałem tę propozycję, która tak wyraźnie zagrażała moim zdrowym zmysłom i nie odrywałem wzroku od ognia.
- Dlaczego wróciła? - zapytałem ostro. - Przecież nienawidziła tego domu tak samo, jak ja... Dlaczego więc tu wróciła? No tak... Czy on... czy on umarł?
Marie popatrzyła na mnie nie rozumiejąc.
- Eriku... twoja matka nigdy nie opuściła tego domu.
Zacisnąłem pięści na krawędzi fotela.
- To znaczy, że żyli tu, pod tym dachem, zupełnie otwarcie? Że płodzili inne dzieci w tym przeklętym miejscu? Przecież mieli wyjechać, sam

słyszałem, jak to powiedział! Po ślubie mieli wyjechać tam, gdzie nikt jej nie zna...

Krzyczałem. Twarz Marie zmarszczyła się jeszcze bardziej, ale nie mogłem się opanować. Sama myśl, że mogę mieć przyrodnich braci i siostry tu, w tej wiosce, z której wypędzono mnie przed laty, była dla mnie nie do zniesienia. Nie chciałem nawet myśleć, co okrutne dzieciaki mogły im naopowiadać o ich potwornym bracie; nie mogłem myśleć o ich złości i wstydzie... Bracia i siostry, którzy nigdy mnie nie widzieli, a jednak każdego dnia swego życia życzyli mi, bym się nie był nigdy narodził.

Jak oni śmieli tu mieszkać!

- Jak oni śmieli! - Mój okrzyk odbił się od wykładanego dębowymi deskami sufitu. Marie skuliła się ze strachu.

- Nie doszło do ślubu, Eriku - powiedziała słabo. - Doktor Barye wyjechał do Paryża kilka tygodni po twoim zniknięciu, a twoja matka nigdy później go nie widziała. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż. Mieszkała w tym domu samotnie, aż w ostatnich miesiącach jej życia przeprowadziłam się do niej, żeby się nią opiekować.

Uciszyła mnie tymi słowami; ta straszliwa wiadomość podziałała na mnie jak cios w głowę.

Nagle uświadomiłem sobie, że to wszystko nie zdało się na nic - moja ucieczka z domu i potworności, które później nastąpiły, gdy coraz głębiej pogrążałem się w otchłani zła. Bóg nie chciał niczego od

potwora, którego stworzył w chwili kaprysu... Nawet moje dziecinne poświęcenie sprowadzone zostało do gorzkiej ironii. Nie pozostało już nic, co ocaliłoby moją duszę od wiecznego potępienia.
Rodzeństwo, które wyobraziłem sobie w chwili paniki, okazało się tylko złudzeniem... iluzją. Nie miałem braci; byłem całkiem sam na tym pustym, obcym świecie... Nie miałem żadnych krewnych... nikogo! Zupełnie nikogo!
Podniosłem się w milczeniu i poszedłem na górę, do sypialni mojej matki.
Po obu stronach wielkiego, mahoniowego łoża płonęły świece; płomyki drżały w wietrzyku wpadającym przez uchylone okno. A więc to było światło, które zobaczyłem z drogi... Światło, które świeciło w ciemności, by poprowadzić mnie do domu.
Powoli, bardzo powoli, odsunąłem prześcieradło, którym była przykryta. Patrzyłem z niedowierzaniem, gdyż woskowa twarz leżąca na poduszce była twarzą obcej osoby, starą i zmienioną nie do poznania.
Śmierć odebrała jej urodę; skóra na jej policzkach zapadła się, a oczy osadzone były teraz tak głęboko pod łukami brwiowymi, że pomyślałem, że gorzki żart losu ujawnił wreszcie fizyczne podobieństwo między nami.
Kiedy tak na nią patrzyłem, w końcu zrozumiałem odrazę, którą do mnie czuła - teraz sam ją poczułem!
Nie było we mnie goryczy ani żalu... Nic tylko obrzydzenie, które

pozwoliło mi wybaczyć wszystkie okrucieństwa, które wobec mnie popełniła.
Tak... Wybaczyłem jej wszystko w tamtej chwili, ale odwróciłem się nie dotknąwszy rąk, które leżały sztywno złożone na jej piersi.
Nie pocałowałem jej, chociaż teraz już mogłem.
Wiedziałem, że nie chciałaby tego.
A i ja sam już tego nie potrzebowałem.
Kiedy wróciłem do salonu, zastałem Mademoiselle Perrault siedzącą przy kominku z robótką na kolanach. Zakładałem z goryczą, że wciąż mogę zwracać się do niej "mademoiselle" i nic w jej smutnej, przygarbionej postaci temu nie zaprzeczało. Kiedy wszedłem, wstała gwałtownie, przyciskając materiał do chudej piersi, jakby chciała osłonić się przed moją obecnością. Mogłem tylko podziwiać szlachetny upór, z którym starała się przezwyciężyć instynktowny lęk przede mną.
Nawet gdy byłem małym dzieckiem, zdawałem sobie sprawę, że ona się mnie boi - śmiałem się, kiedy kuliła się ze strachu, ilekroć mnie widziała. Ale mimo to zawsze okazywała mi uprzejmość. Pamiętam, jak wyjmowała odłamki szkła z moich rąk w wieczór moich piątych urodzin... A kiedyś jeszcze wcześniej pokłóciła się z moją matką występując w mojej obronie...
Nieczęsto się sprzeczały; z moją matką nie dało się wygrać w kłótni, a już na pewno nie Mademoiselle Perrault, która zawsze wyglądała, jakby bała się całego świata. Ale tamtego wieczora była na tyle zdenerwowana,

by podnieść głos wobec swej przyjaciółki. Oczywiście, jak przystało na nieznośne dziecko, podkradłem się i zza zamkniętych drzwi podsłuchiwałem ich rozmowę.
- Madeleine, jak możesz nawet myśleć, żeby zrobić coś takiego! Przecież on nie skończył nawet czterech lat!
- Och, na litość Boską! - rzuciła moja matka ze złością. - Wrócę z Rouen przed zmrokiem. Zamknę go w pokoju z psem, nic mu nie będzie. Wie, co robić z nocnikiem i zostawię mu coś do jedzenia i picia - nie, że myślę, żeby to zjadł! Nie wiem, o co się tak wściekasz, nikt go przecież nie ukradnie, do licha!
- Myślę, że źle robisz, Madeleine. Naprawdę tak uważam... Nie powinno się zostawiać małego dziecka samego na tyle godzin...
Efektem tej rozmowy było, że Mademoiselle Perrault przyszła się mną zająć, kiedy matka pojechała do Rouen.
Pamiętam to bardzo dobrze. Gdy zabrakło żelaznej ręki mojej matki, zachowywałem się jak najprawdziwsza mała bestia. Bujałem się na zasłonach i śmiertelnie wystraszyłem swą opiekunkę zwisając z poręczy głową w dół. Dobrze, że nie mieliśmy żyrandola...
- Eriku, kochanie, nie rób tak! - powiedziała Marie bezradnie, a ja na złość zacząłem się huśtać jeszcze mocniej. Zawsze zwracała się do mnie “kochanie”, zupełnie jakby to było moje drugie imię. Uważałem za świetną zabawę przedrzeźniać ją za plecami, aż kiedyś matka zdenerwowała się i solidnie mnie zbiła za bezczelność.

- Proszę cię, Eriku, nie rób tak. Wiesz, że mama bardzo by się gniewała, gdyby cię teraz zobaczyła.
Ale mamy nie było w domu i to właśnie było najlepsze. Mama wyjechała i mogłem robić, co mi się żywnie podoba pod opieką tej nieśmiałej pani o mysiej twarzy.
Kiedy zmywała w kuchni naczynia, poszedłem do salonu i wdrapałem się na wielki, oszklony regał. Było tam schowane duże pudełko czekoladek, które zostało jeszcze z Bożego Narodzenia. Zdjąłem różową wstążeczkę i zjedliśmy słodycze na spółkę z Saszą.
Nieco później Sasza rozchorowała się. Ja sam dostałem mdłości i zanim zdążyłem zrozumieć, co się dzieje, na ulubionym dywanie mojej matki pojawiły się dwie bezkształtne, obrzydliwe, brązowe kupki.
Sasza od razu uciekła pod stół z ogonem między nogami, ruszyłem więc za jej przykładem. Rozpłakałem się, bo wiedziałem, że kiedy matka wróci do domu, zbije mnie pasem za tę straszną zbrodnię, a Sasza - moja biedna, kochana Sasza - zostanie sromotnie wyrzucona na noc na śnieg.
Chowaliśmy się oboje pod stołem, gdzie znalazła nas Mademoiselle Perrault.
- Nie płacz - powiedziała łagodnie, kiedy już udało się jej wyciągnąć mnie z kryjówki. - Zaraz tu posprzątam i twoja mama o niczym się nie dowie.
Pamiętam, że byłem bezgranicznie zdumiony.
- Nie powie jej pani? - szepnąłem z niedowierzaniem. - Nie powie jej

pani, że byłem niegrzeczny?
- Nie, kochanie - odpowiedziała klęcząc na podłodze z wiadrem mydlin.
- To będzie nasza mała tajemnica, dobrze? A teraz bądź grzecznym chłopcem i przynieś mi tu trochę starych gazet.
Nigdy więcej nie straszyłem jej pająkami...
Ta nerwowa, roztrzęsiona, pełna dobrych chęci pani nauczyła mnie szacunku dla wszystkich przedstawicielek słabszej płci. Wrzuciła do mojej duszy najczystszą perłę, która nawet dziś, po latach, wciąż jeszcze tam była, mimo wstrętnego szlamu zdeprawowania. Uczyniłem wiele potworności, ale nigdy nie skrzywdziłem bezbronnej kobiety.
Oczywiście, nie wszystkie kobiety były bezbronne. Na przykład chanum... Bóg jeden wie, że nie raz byłem bliski wysłania jej do Allaha - częściej, niż się sama spodziewała! Sądzę, że zwodziły mnie zmysły, ale czasami zastanawiałem się, czy ta czarownica mnie nie pożąda. Były chwile, kiedy prawie mi się wydawało... ale nie, to niemożliwe, pochlebiam sobie! Chociaż może... może istnieją kobiety podobne do Javerta, o perwersyjnych gustach i upodobaniu do obrzydliwości. Zastanawiałem się czasem, jak by to było, zanurzyć się w tej ciepłej, tętniącej niegodziwości, zanim bym ją zabił...
Ale w zasadzie kobiety to niegodny łup, kruche istoty, które i tak cierpią zbyt wiele niesprawiedliwości; okrutnych mężów, porody, przedwczesną śmierć... Naprawdę, trudno jest kogoś zabić, kiedy wszystkie wewnętrzne instynkty nakazują ci najpierw zdjąć kapelusz!

- Czy wciąż boi się pani pająków, mademoiselle? - zapytałem niespodziewanie.
- Och... tak! - Zaśmiała się nerwowo i cofnęła o krok ode mnie w stronę kominka. - To takie głupie i dziecinne, prawda? Twoja matka nigdy nie miała do mnie cierpliwości w tym względzie. No tak... W końcu powinnam była to przewidzieć. Przecież dałam ogłoszenie do Presse, jak tylko się zorientowałam, że - że długo już nie pociągnie. Miałam cień nadziei, że je przeczytasz, ale to wydawało się tak mało prawdopodobne. Po tylu latach, nawet biorąc pod uwagę popularność Presse... Nie byłam nawet pewna, czy jesteś we Francji, że nie wspomnę już o Paryżu. Często o tobie mówiła, Eriku...
Odwróciłem się gwałtownie. Czy uważała mnie za dziecko, żeby mnie pocieszać żałosnymi bajkami? Moja matka nienawidziła mnie i bała się. Po co udawać, że było inaczej?
- Kiedy będzie pogrzeb? - zapytałem ostro.
- Jutro - szepnęła Marie. - Nie będzie wiele osób... Tylko kilkoro znajomych, których poznała po tym, jak... no, wiesz... później. - Rozłożyła ręce bezradnie, a ja skinąłem głową na znak, że zrozumiałem.
- Myślę, że może nie byłoby mądrze -
- Nie wybieram się na cmentarz - zapewniłem ją, ale mimo, że starałem się tego nie okazać, zabolał mnie wyraz ulgi na jej twarzy. Nie potrzebowała mi mówić, jaki skandal wywołałoby moje pojawienie się na pogrzebie. Ostatnia przysługa, którą mogłem oddać matce, to

pozwolić jej na pochówek z godnością, której zawsze tak pragnęła.
Ale przynajmniej mogłem zagrać dla niej requiem...
Usiadłem przy starym pianinie i zatopiłem się w muzyce; z rozkoszą dotykałem pieszczotliwie klawiszy. Muzyka była sekretnym sanktuarium mojej duszy; muzyka stała się moim bogiem, jedynym panem, któremu zgadzałem się służyć. Zawsze marzyłem, by wybudować monument ku jej chwale - świątynię, gdzie mógłbym ją czcić. To byłby piękny akt szacunku, wznieść mauzoleum poświęcone wspaniałościom harmonii i liryki, ucieleśnienie moich najgłębszych pragnień. Coś wielkiego i olśniewającego... na niespotykaną dotąd skalę... Na przykład gmach opery...
Często rozmawialiśmy z matką, że Paryż potrzebuje gmachu opery. Jak większość ludzi, którym nie udało się zrealizować dziecinnych marzeń, matka uznawała się za swego rodzaju eksperta w tej dziedzinie.
Publiczna debata o stałym budynku Opery Paryskiej liczyła sobie co najmniej sto lat. Nie tylko moja matka interesowała się żywo tym tematem; również Profesor Guizot rozważał często ze mną idealne usytuowanie budynku i kształt widowni. Zachwycony moim naturalnym zainteresowaniem dla swego ulubionego tematu - ja sam od dziecka kochałem operę - omawiał ze mną plany Blondela, a następnie de Chaumonta, Damuna, Pattego i Dumonta. W ostatnich miesiącach przed moją ucieczką, byłem tak nasiąknięty sprzecznymi szczegółami projektów, że jestem pewien, że nawet wówczas byłbym w stanie złożyć

je w przyzwoicie wyglądającą całość. Nigdy nie byłem w Paryżu, ale profesor dostarczał mi szczegółowych map. Kiedyś nieźle się ubawiłem słuchając zaciętego sporu, który prowadził z moją matką na temat wyższości lokalizacji na Place de la Concorde nad Butte de Moulins. Pamiętam, że był naprawdę wyprowadzony z równowagi gorączkowymi uwagami mojej matki.

- Kobiety - powiedział mi, wycierając spotniałe okulary, kiedy zostaliśmy sami w pokoju - nie są niestety zdolne do wyrażania swego zdania nie odwołując się do emocji. Uwierz mi na słowo, Eriku, Butte de Moulins stwarza o wiele lepsze możliwości.

- Cóż za impertynencki człowiek! - zawołała matka, kiedy profesor odjechał. - Butte de Moulins nawet za tysiąc lat nie zostanie uznana za elegancką dzielnicę Paryża. To bez sensu planować tam taką budowę. Place de la Concorde to jedyne rozwiązanie!

Osobiście uważałem, że oboje się mylą, ale zostałem zbyt dobrze wychowany, by im przerywać. Ja umieściłbym Operę w samym sercu Paryża, jak przystało na okazały gmach, który niewątpliwie stanie się miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej. Boulevard des Capucines wydawał mi się oczywistym rozwiązaniem - ale spory potrwają jeszcze z pewnością z pięćdziesiąt lat, zanim zostanie podjęta decyzja...

Zauważyłem Marie stojącą niezręcznie przy moim boku, więc raptownie urwałem melodię.

- Nie przerywaj - poprosiła łagodnie. - Sam skomponowałeś to requiem,

prawda? Twoja matka -
- Byłaby wzruszona, słysząc jak je gram? - syknąłem. - Mademoiselle, wyrosłem z bajek wiele lat temu.
Nagle Marie podbiegła do biurka w kącie pokoju i zaczęła wyciągać z niego moje dziecinne rysunki.
- Eriku, nie było dnia, żeby o tobie nie myślała. Popatrz, poznajesz je? Zachowała wszystko, co przypominało jej ciebie.
Patrzyłem na rozsypane na podłodze papiery. Dla mnie dowodziły tylko, że moja matka notorycznie chomikowała stare szpargały i niczego nie umiała wyrzucić. Żyliśmy tu przez lata otoczeni reliktami przeszłości: biblioteczka architektoniczna Dziadka... angielska biżuteria Babci... Patrząc w stronę kominka, widziałem stertę starych gazet, co najmniej sprzed kilku tygodni.
Marie buszowała w biurku; wyciągnęła plik dokumentów, które wyglądały na prawnicze i wcisnęła mi do rąk.
- Akt własności domu, szczegóły inwestycji twojego dziadka na giełdzie - wyjaśniała gorączkowo. - Chciałam to wszystko zostawić dla ciebie w sejfie banku w Rouen. Tak postanowiła w testamencie, jeśli mi nie wierzysz.
Poczucie winy, pomyślałem, wstydząc się w duchu, że jestem bez serca... Poczucie winy to najsmutniejsze z ludzkich uczuć. Ale nie zastąpi miłości; jest jak ogień, który spala nie dając ciepła. Biedna Mama...

Bez słowa podniosłem stare szkice i nuty i wrzuciłem je do ognia. Potem, podczas gdy Marie stała z chusteczką przyciśniętą do ust, schyliłem się mechanicznie, aby wrzucić tam również gazety.
Nigdy nie czytałem gazet. Nie interesowała mnie teraźniejszość; tylko przeszłość i przyszłość zasługiwały ostatnio na moją uwagę. Nie byłem ciekaw najnowszych poczynań Cesarzowej Eugenii...
Mój Boże, niektóre leżały tu od pół roku i całkiem już pożółkły. Ale jedna była zupełnie nowa... Trzydziesty maja 1861 roku. Rzuciłem okiem na nagłówki.

Garnier zwycięzcą konkursu na projekt gmachu Opery Paryskiej.

Stałem trzymając gazetę w ręce, pochłaniałem artykuł wstrząsany bezsilnym gniewem. Charles Garnier, trzydziestosześcioletni zwycięzca otwartego konkursu na projekt nowej Opery w Paryżu...
Otwartego konkursu?
Odwróciłem się gwałtownie do Marie.
- Co pani wiadomo na ten temat? - zapytałem agresywnie, podchodząc do niej o krok. - Co pani o tym wie?
Nie wiedziała zbyt wiele, ale nawet to wystarczyło, by dolać oliwy do ognia mojej nieopisanej wściekłości. Architekci, zarówno zawodowi jak amatorzy, przesyłali anonimowo swoje projekty z nazwiskami i adresami zalakowanymi w osobnych kopertach...

Zmiąłem gazetę w ręku i odsunąłem się, żeby ze złości nie chwycić Marie za gardło. Konkurs rozpisano w grudniu... Właśnie w grudniu po raz pierwszy poczułem niewyjaśniony niepokój i niezadowolenie z pracy. Nie umiejąc wyjaśnić tego przeczucia... intuicji... czy cokolwiek to było, pozwoliłem, by cenny czas przeciekł mi przez palce. Wyłącznie przez swój własny brak zainteresowania ludzkimi sprawami, nie uczyniłem rzeczy tak prostej, jak kupienie gazety. Straciłem jedyną okazję przeciwstawienia się sztywnej, hierarchicznej strukturze, która zwykle stała za państwowymi zleceniami we Francji. Przegrałem walkowerem z młodym, prawie nieznanym architektem, byłym stypendystą Grand Prix de Rome...

A teraz było już za późno, by zaprojektować świątynię mojej najczystszej miłości. Zdradziłem moją muzykę - i to przez najgorszą z ludzkich zbrodni: niedouczenie i ignorancję!

Opanowała mnie taka żądza mordu, że myślałem, że umrę od tego na miejscu.

Garnier... Charlesie Garnier... Ciesz się, że nie mogę dostać cię dziś w swoje ręce!

Grobowa cisza w pokoju przerywana była jedynie moim ciężkim oddechem i zduszonym łkaniem przerażonej Marie. Kiedy na nią spojrzałem była blada jak ściana; zrobiło mi się wstyd. Ta biedna, żałosna kobiecina zasługiwała ode mnie wyłącznie na życzliwość. Muszę się uspokoić; muszę jakoś opanować swą rozpacz i przestać

myśleć o morderstwie w tym domu śmierci. Muszę pamiętać o obietnicy..
Jeśli wierzyć zegarowi na kominku, upłynęła godzina, w ciągu której wpatrywałem się tępo w gasnący ogień. Wreszcie uspokoiłem się nieco i postanowiłem, że się nie poddam. Może jest już za późno, żeby przedstawić oryginalny projekt. Ale jeszcze zdążę stanąć na budowie i wznieść to wyśnione mauzoleum własnymi rękami.
Jeszcze miałem czas, by je wybudować!
Opuściłem mój rodzinny dom w Boscherville na krótko przed świtem, pozostawiając ciało matki opiece jej najwierniejszej przyjaciółki. Marie miała zatrzymać klucze do domu i poczekać na wiadomość ode mnie; w pełni ufałem jej dyskrecji.
Wyruszyłem nie patrząc ponownie w brzydką twarz mojej zmarłej matki. Zachowałem w pamięci jej piękne rysy, delikatne jak skrzydła motyla. Nie potrafiłem wygnać ich z pamięci, ale czułem pewną ulgę wiedząc, że już nigdy nie zobaczę tej twarzy wśród żywych.

Nie istniała dla mnie inaczej, jak tylko w mojej wyobraźni.
Nigdy nie istniała. I teraz wreszcie mogłem o niej na zawsze zapomnieć.

Paryż był dla mnie kolejnym szokiem, na który nie byłem przygotowany. Romantyczne stare miasto, które niegdyś odkrywałem zachwyconymi oczami małoletniego uciekiniera - różnobarwny Paryż Woltera i

Desmoulinsa - zniknął bezpowrotnie pod rządami cesarza i jego głównego prefekta, barona Haussmanna. Kiedy bladym świtem szedłem od strony rozgrzebanego placu budowy, gdzie miała stanąć nowa Opera, wydawało mi się, że wszystko co ekscentryczne, artystyczne i zabytkowe w Paryżu było bezlitośnie burzone, by zrobić miejsce cesarskiemu zamiłowaniu do otwartych przestrzeni i porządku. Gdy patrzyłem na jednakowe budynki mieszkalne, które stanęły wzdłuż szerokich bulwarów - pomniki wulgarności, materializmu i ewidentnie złego smaku cesarza - przeszło mi przez myśl, że dla sprawców tych tyrańskich zniszczeń śmierć to za mało.

Stary Paryż nie był bez wad, ale nie zasługiwał na kompletne wyburzenie - zwalano piękne budynki tylko dlatego, że po prostu stały na drodze postępu. To było morderstwo, gwałt i rabunek na niewyobrażalną skalę; dusza miasta została wykrwawiona do cna przez tę bezmyślną i pozbawioną serca hekatombę.

Pojechałem na obrzeża miasta, do nowych ruder, gdzie zagoniono ludność zubożałą przez wysokie czynsze, uchwalone w przededniu okrutnego szału przebudowy Haussmanna. Wielu biedaków pozostało teraz bez dachu nad głową; snuli się ulicami jak arabscy nomadowie, szukając schronienia, na które byłoby ich stać. Widziałem dzieci śpiące w rynsztokach i owinięte w gazety; krew się we mnie burzyła na widok takiej niesprawiedliwości.

To właśnie tu, wśród nędzarzy, znalazłem sobie mieszkanie. Miałem

dość pieniędzy, by zatrzymać się w najbardziej luksusowym hotelu, ale instynktownie starałem się unikać bogatych i wykształconych obywateli. Te zmieszane, zaprawione niesmakiem spojrzenia, które zawsze poprzedzały informację, że nie mają już wolnych pokoi. Nie mają wolnych pokoi dla mnie, to właśnie chcieli powiedzieć... Zamaskowany człowiek z pewnością ma coś do ukrycia. Biedacy nie byli tak drobiazgowi, jeśli tylko byłem w stanie zapłacić, ale i tak często gospodarze domów pospiesznie zamykali mi drzwi przed nosem. W końcu udało mi się znaleźć jednego, który był dość chciwy, by przemóc instynktowny lęk przede mną.

Zapłaciłem astronomiczną cenę, której zażądał za gorącą wodę i gdy już się wykąpałem, usiadłem i napisałem list do Julesa Bernarda z prośbą, by niezwłocznie przyjechał do mnie z Belgii. Jego budzący zaufanie wygląd w połączeniu z moimi pieniędzmi zapewniłby mi zakwaterowanie w nieco lepszej dzielnicy, oczywiście do czasu, gdy nieuniknione szykany zmuszą mnie, bym ruszył dalej. Od pięciu lat Jules zawsze organizował dla mnie kwatery; z goryczą zauważyłem, że coraz bardziej staję się od niego zależny. Coraz mniej byłem w stanie znieść podejrzliwe spojrzenia krawców i szewców. Czegokolwiek potrzebowałem - Jules kupował dla mnie wszystko, począwszy od koszul, a skończywszy na morfinie. W Rosji i na Bliskim Wschodzie sam zajmowałem się swoimi sprawami bez większego problemu, ale tu, w Mekce cywilizowanego świata, gdzie wszystko było tak dostojne, coraz bardziej czułem się jak osaczony pająk

kryjący się w swojej sieci. Gwałtownie traciłem beztroskę i optymizm młodości; teraz raczej wolałbym głodować, niż śpiewać czy obnażać się przed tłumem gapiów. Lubiłem pracować w nocy, kiedy nikt nie mógł mnie usłyszeć ani zobaczyć. Dlatego potrzebowałem Julesa.
Wiedziałem, że przybędzie natychmiast po otrzymaniu listu ode mnie; po prostu nie odważy się sprzeciwić.
A skoro tylko przyjedzie, miałem dla niego pracę.

Sześć tygodni później miałem już wszystko, czego mi było trzeba.
Jak na uczciwego człowieka, Jules okazał się doskonałym szpiegiem. Dostarczył mi wszelkich wiadomości na temat Garniera i jego projektu. Byłem też obecnie szefem zespołu najlepszych murarzy w okolicy. Skoro tylko Jules rozpuścił plotkę gdzie trzeba, chciwość przywiodła robotników jednego po drugim do moich drzwi, gdzie poddawani byli surowym testom. Postanowiłem dobrze zapłacić najlepszym rzemieślnikom i tak długo przebierałem w ofertach, aż ich znalazłem.
Gdy pierwszy raz zobaczyłem projekt Garniera, chciałem rzucić to wszystko i natychmiast wracać do Belgii. Zewnętrzna elewacja przyprawiała mnie o rozpacz. Od razu zauważyłem, że Opera Paryska będzie brzydka i mało oryginalna, przypominała mi ogromną żabę rozpartą pośród niegościnnego pejzażu nowego miasta. A już szczególnie nie podobała mi się kolumnada biegnąca na wysokości pierwszego piętra przez cały fronton budynku. Cóż za wulgarny pomysł,

istna profanacja - a jednak...
A jednak gmach ten miał w sobie jakąś wielkość; zakrojony został na zdumiewająco ambitną skalę, co sprawiło, że raz po raz wracałem do tych planów. Rozmachem przyćmiłby pałac w Mazandaranie. Usytuowany był na trzyakrowej powierzchni, miał siedem pięter i pięć poziomów piwnic poniżej ulic Paryża. Budowla ta, ze swymi ognioodpornymi dźwigarami i mnóstwem nowoczesnych rozwiązań, sięgała w przyszłość i przedstawiała sobą naprawdę monstrualny popis inżynierii. Skoro wyglądało na to, że to opasłe i niezgrabne dziecko talentu Garniera nieodwołalnie ma przyjść na świat, postanowiłem asystować przy tym porodzie, który z pewnością nie obędzie się bez opóźnień i trudności. Można pokochać brzydkie dziecko, jeśli wystarczająco długo się nim opiekowało, nieraz uratowało od niebezpieczeństwa i związało z nim swoją przyszłość. Z czasem ta kolumnada nie wydawała mi się gorszą rzeczą, niż niefortunnie umiejscowiony pieprzyk; skaza, która mnie rozczulała i sprawiała, że tym bardziej chciałem chronić biedny budynek Opery przed atakami złośliwych krytyków. W środku będzie piękna, ze wspaniałą klatką schodową, marmurowymi kolumnami, foyer pełnymi luster i wielkimi żyrandolami...
W środku będzie piękna....
Kiedy wyliczyłem przewidywane koszta prac budowlanych, napisałem bezpośrednio do Garniera. Wiedziałem już o nim bardzo wiele. Urodził

się przy niesławnej Rue Mouffetard, w jednej z najgorszych dzielnic nędzy w Paryżu. Był synem kowala o wygórowanych ambicjach społecznych i tylko dlatego uniknął pracy w warsztacie ojca, że okazał się zbyt słaby fizycznie. Nerwowy, filigranowy, utalentowany człowiek. Wypracował sobie miejsce w klasie średniej własną upartą pracą i determinacją, a teraz wprowadził się z młodą żoną na Boulevard St. Germain. Był ekscentrykiem i łatwo ulegał porywom uczuć, ale miał wyobraźnię genialnego artysty. Byłem pewien, że przynajmniej się ze mną spotka.
Żaden prawdziwy artysta nie oparłby się mojej bezczelnej, ale prowokacyjnie pochlebczej propozycji.

Garnier wskazał mi krzesło po przeciwnej stronie swego zasłanego papierami biurka i zgodnie z moją prośbą, zmniejszył płomień w lampie naftowej. Jeśli nawet był zdziwiony widokiem maski, nie dał mi tego odczuć. Usiadł wygodniej i złożywszy dłonie, spokojnie obserwował mnie w półmroku.
- Chciałbym, żeby jedna rzecz była jasna, monsieur - powiedział naraz z agresją, która raczej mnie rozśmieszyła. - Zaprosiłem tu dziś pana wyłącznie dlatego, że mnie pan zaintrygował. Pańskie propozycje są tak nietypowe, że, przyznaję, nie mogłem się powstrzymać przed poznaniem autora tak kolosalnej impertynencji. Czy mogę spytać, na jakiej podstawie sądzi pan, że można mnie przekupić?

Wzruszyłem lekko ramionami.
- Każdy człowiek ma swoją cenę. Jest pan, proszę mi wybaczyć, niezbyt znany w swojej branży, a rząd oczywiście wykorzystał to przy ustalaniu funduszy.
Garnier nagle wyprostował się na krześle.
- To znaczy? - zapytał zaczepnie.
- To znaczy, że zazwyczaj gaża architekta przy pracach zleconych przez państwo wynosi trzy procent kosztów budowy, a pańskie honorarium ustalono na dwa. Dlaczego miałby pan czuć lojalność wobec rządu, który od początku stara się pana oszukać? A dobrze pan wie, że tak się właśnie stanie. Ilekroć przekroczy pan budżet, spotka się pan z oskarżeniami, że sztucznie zawyża pan koszta, aby w ten sposób zwiększyć swoje dochody. Oczywiście, zapewnią panu wygody - znacznie większe, niż te marne osiem tysięcy franków rocznie, które pan dotąd zarabiał jako miejski architekt. Ale zapewniam pana, monsieur, że rząd tego kraju nie ma najmniejszego zamiaru uczynić pana milionerem za pracę, która pochłonie całe pana życie. Zanim budowa zostanie zakończona, pan będzie już starym człowiekiem.
Roześmiał się.
- Mam dopiero trzydzieści sześć lat, przyjacielu. Jak pan sądzi, ile potrwa praca przy tym projekcie? Jeśli nawet - broń Boże! - z dziesięć lat, wciąż będę mężczyzną w pełni sił.
Uśmiechnąłem się lekko pod maską.

- Jeśli pan skończy w dziesięć lat - a nie skończy pan! - będzie pan wyczerpany do ostatecznych granic przez codzienne użeranie się ze sknerstwem, biurokracją i kradzieżami wśród robotników. Zostanie z pana wrak, Garnier, zanim z panem skończą - na razie po prostu jest pan zbyt naiwny, żeby to zauważyć! Dlatego proszę postąpić rozsądnie i przyjąć moją rekompensatę. Daję panu szansę urządzenia sobie małego, przytulnego gniazdka. Czy nie chce pan wybudować niczego dla siebie i swojej żony?

Zmarszczył brwi, odsunął zirytowany krzesło i wstał. Niewysoki mężczyzna, niezbyt imponujący fizycznie. Była w jego ruchach pewna arogancja, która zaczęła mnie niepokoić. Ten człowiek był dumny ze swego prostego pochodzenia; na tyle dumny, że wystarczy mu mieszkanie oddalone o piętnaście minut marszu od rudery, w której się urodził.

Czy naprawdę każdy człowiek ma swoją cenę?

- A jeśli moje zasady moralne nie pozwalają mi wziąć tych pieniędzy? - zapytał nagle.

Znów wzruszyłem ramionami i postanowiłem zaatakować z innej strony.

- Kiedy zacznie pan na każdym etapie budowy słuchać do znudzenia żądań, by używać tańszych materiałów i zatrudniać mniej ludzi, może przyda się odrobina dodatkowych funduszy, o których rząd nic nie wie?

Pokiwał głową, jakby to już łatwiej mu było przyjąć.

- Sporządził pan dwa kosztorysy, bardzo różniące się od siebie -

powiedział. - Czy zechciałby pan mi to wyjaśnić?
Westchnąłem. Jakie to męczące, wyjaśniać każdy najdrobniejszy szczegół, tym bardziej, że ani przez chwilę nie wierzyłem, że Garnier jest w istocie prostaczkiem, za którego chciał uchodzić.
- Ten większy jest dla ministerstwa. Mniejszy zawiera rzeczywiste koszta, które przewiduję, w tym moje wynagrodzenie.
Spojrzał na mnie zaskoczony.
- Ależ to niewiarygodne! - zaprotestował. - Jeśli pan chce się tego trzymać, tylko pan na tym straci. Czy często pracuje pan za darmo, monsieur?
- Tylko, jeśli mnie to bawi. Jestem zamożnym człowiekiem, Garnier - może się pan nie obawiać, czy starczy mi pieniędzy na sfinansowanie tego drobnego kaprysu... ani na kupno pańskiej dobrej woli.
- To jest projekt rządowy - stwierdził stanowczo. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, że są tu ustalone sposoby postępowania, na które nic nie mogę poradzić.
Wybuchnąłem śmiechem.
- Mało jest na tej planecie rzeczy bardziej podatnych na korupcję, niż projekty rządowe. Przez całe lata nikt by nie trafił na mój ślad w papierach wysyłanych do Ministerstwa Kultury i Sztuki. To pan dobiera sobie współpracowników.
Obszedł biurko dookoła i stanął nade mną.
- Pan chyba zwykle nie pracuje na umowę. Jest pan architektem,

prawda?
Ponownie uśmiechnąłem się ponuro pod maską. On nie był taki głupi... Jak on to odgadł?
- Zajmuję się różnymi rzeczami - odpowiedziałem chłodno. - Chwilowo mogę pracować na umowę. Nie będzie między nami rywalizacji na tle zawodowym.
- Ale mogłaby być - zauważył Garnier złośliwie. - Chyba się nie mylę?
Nie udzieliłem odpowiedzi na to pytanie; zacisnąłem ręce na brzegu krzesła. Znowu poczułem to znajome, klaustrofobiczne uczucie, że wokół mnie zamykają się pręty klatki. Zrozumiałem, że byłem głupcem przychodząc tu dzisiaj. Popełniłem straszny błąd. To był najuczciwszy człowiek pod słońcem. Dlaczego, na miłość Boską, przypuszczałem, że uda mi się namówić go na takie szaleństwo?
- Przepraszam, że zabrałem panu czas - powiedziałem smętnie, wstając z krzesła. - Proszę o tym zapomnieć - niech pan zapomni, że kiedykolwiek mnie widział. Nie będę panu więcej przeszkadzał.
- Chwileczkę. - Wpatrywał się w moją maskę z nagłym zainteresowaniem, które sprawiło, że ciarki przeszły mi po plecach. - Proszę, niech pan usiądzie - dodał z dziwną nutą sympatii w głosie. - Chciałbym panu coś pokazać.
Usiadłem z powrotem na krześle pełen jak najgorszych przeczuć. Nie czułem się tak bezradny od dnia, kiedy obudziłem się zamknięty w klatce przez Cyganów. Z przerażeniem pomyślałem, że być może będę

musiał go zabić, aby uciec od skutków własnej głupoty. A w mieszkaniu była jego żona. Otworzyła mi drzwi; widziałem, że zaparło jej dech z wrażenia, zanim opanowała się na tyle, by wskazać mi gabinet męża. Co ja zrobię, jeśli ona zacznie krzyczeć?

Co za głupiec ze mnie, co za niewiarygodny idiota! Czy ja się nigdy nie nauczę trzymać z dala od ludzi?!

Garnier wyciągnął teczkę z dolnej szuflady biurka, wyjął z niej garść papierów, po czym podsunął je do mnie.

- Poznaje pan te projekty? - zapytał.

Patrzyłem na szkice nie wierząc własnym oczom.

- Skąd pan to ma? - zawołałem z pasją. - Skąd?

Przez chwilę milczał. Patrzyłem, jak przeszedł przez pokój i przyniósł dwa kieliszki brandy. Podał mi jeden, a sam przysiadł na brzegu biurka i pociągnął łyk. Jego intrygująca twarz zdradzała tłumione podniecenie.

- W Akademii Sztuk Pięknych miałem profesora - zaczął po chwili. - Starszego, nieco zdziwaczałego człowieka, który interesował się zdolnymi studentami. To był poczciwy staruszek, bardzo interesujący na swój sposób - znał mnóstwo opowieści, jeśli ktoś miał cierpliwość, by ich posłuchać. Zanim umarł, powierzył mi te papiery; prosił, bym je przechował... Powiedział mi, że jeśli szczęśliwy traf postawi na mojej drodze człowieka, który je narysował, będę miał zaszczyt poznać największego architekta w dziejach ludzkości. Zawsze uważałem to za przyjemną historyjkę; ot, wymysł starego sklerotyka... Ile miałeś lat,

kiedy zaprojektowałeś te budynki, Eriku... siedem... osiem?
Upuściłem szkice na kolana. Przez chwilę ujrzałem oczami duszy mojego dobrodusznego, pompatycznego, pełnego uprzedzeń nauczyciela leżącego na zawsze w cichym grobie. Jego wizyty były największą radością mojego dzieciństwa. Zanim zabito deskami okno w mojej sypialni, godzinami stałem na poddaszu oczekując z niecierpliwością, aż wreszcie pojawi się jego powóz, a potem dzikim pędem rzucałem się do drzwi wejściowych...
- Co jeszcze ci powiedział, oprócz mojego imienia? - szepnąłem w końcu.
- Wystarczająco dużo, bym zrozumiał, dlaczego nosisz tę maskę - odpowiedział Garnier powoli, starannie dobierając słowa. - Dość, bym był ci wdzięczny, że nie wziąłeś udziału w konkursie.
Spojrzałem na niego zdumiony.
- A skąd wiesz, że nie wziąłem?
Rozłożył ręce w geście który, jak później zrozumiałem, wyrażał niewiarę we własne możliwości.
- Gdybyś to zrobił - powiedział - wciąż jeszcze zarabiałbym marne osiem tysięcy franków rocznie.
Było już za późno, by zdobyć dla mnie kontrakt na prace ziemne, ale Garnier poczynił ukradkowe przygotowania, aby usprawiedliwić moją obecność na budowie.
Zaproponował mi pracę w nowej agencji, która miała mi umożliwić

ogólny nadzór nad planami, ale po kilku nocach dręczącej niepewności, zdrowy rozsądek zmusił mnie, bym z tego zrezygnował. Siedzieć w biurze projektowym w otoczeniu dziewiętnastu wykształconych młodych ludzi, z których każdy ukończył Akademię Sztuk Pięknych, to było dla mnie zbyt wiele; nie miałem odwagi nawet spróbować. To nagłe, zapadające na mój widok milczenie, ukradkowe szepty, wpatrujące się ciekawie oczy... W tak zamkniętym środowisku, moja odmienność byłaby tym bardziej widoczna. A wiedziałem już w chwili, gdy pierwszy raz wziąłem te plany do ręki, że z pewnością dojdzie do sporów i zadrażnień. Nie umiałem siedzieć cicho, a wybuch złości mógł prowadzić tylko do przemocy i, w efekcie, do morderstwa. Lepiej było trzymać się z dala od takich okazji, niż pozwolić, by ten piękny sen skończył się gwałtownie z winy mojego wybuchowego charakteru. Garnier nie nalegał. Chciałbym wierzyć, że mnie rozumiał.

Nie wiem, co powiedział kierownikowi prac ziemnych, ale od tej pory człowiek ów traktował mnie z ostrożnością i szacunkiem, całkiem jakby sądził, że moja wszędobylska obecność na budowie ma oficjalne usprawiedliwienie. Nigdy nie udało mi się ustalić, czy sądził, że występuję jako inspecteur, sous-inspecteur, czy dessinateur, ale nigdy nie sprzeciwiał się moim sugestiom i zawsze zwracał się do mnie z uległością.

Tak było do czasu, kiedy sprawy przybrały drastycznie zły obrót... Robotnicy wykonujący wykopy przy cuve, części budynku usytuowanej

pod sceną i położonej dwanaście metrów poniżej poziomu gruntu, natrafili na wodę.

- Co jest, u licha? - warknął Garnier.

Wezwałem go niezwłocznie na teren budowy. Gdy przybył, pochylił się wraz ze mną nad wielkim wykopem i zmierzył wzrokiem podmyte drewniane kładki. Kołnierzyk odpinający się od jego koszuli świadczył o bardzo pospiesznej toalecie.

- Podziemny dopływ Sekwany, widać to na pierwszy rzut oka - powiedziałem ponuro. - Podobno ciągnie się pod całym placem budowy.

Garnier przeczesał jedną ręką zmierzwione, czarne loki.

- Jezu Chryste! Dlaczego tutaj... dlaczego właśnie tutaj!?

Pokiwałem głową.

- Nie ruszymy dalej, jeśli nie uda się obniżyć poziomu wody.

Garnier rzucił bardzo malownicze przekleństwo, którego nie pozwala mi tu przytoczyć poczucie przyzwoitości.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to oznacza? - zapytał z wściekłością.

- Obawiam się, że mam bardzo dokładne pojęcie.

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę i podałem mu. Popatrzył na nią przez chwilę, po czym podniósł wzrok z niedowierzaniem.

- Czy naprawdę uważasz, że powinniśmy stworzyć sztuczne jezioro pod sceną?

- Nie sądzę, byśmy mieli duży wybór - wyjaśniłem cierpliwie. - Można oczywiście wybierać wodę w trakcie trwania budowy, tak jak to

opisałem, przy użyciu pomp parowych, ale utworzenie jeziora zabezpieczonego wokół podwójną obudową, to jedyny sposób, aby kontrolować bieg rzeki i na stałe uchronić fundamenty przed erozją. Oczywiście, trzeba będzie uszczelnić wszystko bitumenem, aby uniknąć przecieków, ale to się da bez trudu zrobić.

- A koszta? - zapytał Garnier z obawą.

Wzruszyłem ramionami.

- Podaj im liczby, które sądzisz, że ministerstwo jest w stanie zaakceptować. Ja pokryję ewentualne niedobory.

- Ty chyba oszalałeś! - zawołał.

Nie odpowiedziałem na tę sugestię, po prostu filozoficznie rozłożyłem ręce.

- Zależy mi tylko na tym, żeby praca posuwała się do przodu bez opóźnień. Nie mogę zacząć budować, zanim nie skończą z tym kopaniem. A jak się jeszcze z pewnością nie raz zdążysz przekonać, nie jestem z natury zbyt cierpliwym człowiekiem.

Złożył papier porządnie i schował go do kieszeni płaszcza.

- Nie tolerujesz na swej drodze przeszkód, prawda? - zapytał zaczepnie, patrząc na mnie badawczo przez ramię. - Dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że przeciwstawianie się twoim pomysłom może się okazać groźne dla zdrowia?

Uśmiechnąłem się lekko.

- Nie radziłbym nikomu lekceważyć swoich głębokich przeczuć,

Garnier.

- To mi brzmi jak groźba. - Zmarszczył brwi.

- Rzadko tracę czas na groźby - odparłem spokojnie.

I zanim zdążył odpowiedzieć, odszedłem w stronę pełnej błota dziury w ziemi, aby dać mu znak, że rozmowa skończona.

Osiem ogromnych pomp parowych pracowało dzień i noc, aby osuszyć grunt. Paryżanie doprowadzeni byli do szaleństwa ich nieustannym warkotem. Solidaryzowałem się poniekąd z ich narzekaniem, bo tak jak wszystkich, mnie również wyprowadza z równowagi rytmiczne walenie. Brzmiało mi ono w głowie na długo po tym, jak opuszczałem wieczorem plac budowy. Oczywiście, nie miałem obowiązku tam przychodzić - tego nie było w kontrakcie - ale mimo to, nie mogłem się oprzeć pokusie.

W styczniu 1862 roku wylano betonowe fundamenty i gdy tylko było to możliwe, zacząłem prace murarskie.

Świat poza budową przestał mieć dla mnie jakiekolwiek znaczenie; jakby czas się dla mnie zatrzymał. Tylko przypadkowo dowiadywałem się o niekończących się przeprawach Garniera z rządem; wiecznym użeraniu się o fundusze na przekór żądaniom, by możliwie zredukować koszty. Za każdym razem, gdy go widziałem, był coraz bledszy i bardziej udręczony. Wysłuchiwałem wybuchów jego bezsilnej wściekłości ze szczerym, choć tłumionym współczuciem, ciesząc się jednocześnie, że sam nie muszę tego wszystkiego pilnować. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem udało się temu biednemu człowiekowi nikogo nie

uszkodzić w ciągu tych pierwszych dziewięciu lat.

Dziewięć lat!

Czy naprawdę można pozwolić, by taki szmat czasu minął niepostrzeżenie; prawie nie zauważyć, że zmieniają się pory roku? Jeszcze nigdy nie byłem tak całkowicie pochłonięty pracą, tak cudownie pozbawiony wszelkich niepokojów. Na tak ogromnym placu budowy można było uniknąć spotkań z innymi pracownikami. W tym okresie poczyniłem pierwsze starania, by wybudować swoje własne, tajemne miejsce, ukryte głęboko w lochach fundamentów. Podwójna ściana zabezpieczająca teren znajdujący się poniżej sceny stworzyła mi możliwość urządzenia dla siebie odosobnionej i ciemnej kryjówki, do której udawałem się, ilekroć nie mogłem dłużej patrzeć na lenistwo, przekupstwo czy zwykłą głupotę. To prywatne miejsce niejednokrotnie bardzo mi się przydało. W ciągu całych dziewięciu lat żadnemu robotnikowi nie zdarzył się z mojego powodu tragiczny wypadek. Zacząłem się wręcz zastanawiać, czy w końcu udało mi się opanować swoją żądzę mordu.

Swoich pracowników traktowałem surowo - dość surowo, przyznaję, by nie raz zasłużyć na pchnięcie nożem w plecy w ciemnej ulicy. Możliwość uzyskania najlepszego wynagrodzenia była bez wątpienia jedynym powodem, dla którego wytrzymywali moje tyrańskie rządy. Spełniali moje polecenia z taką skwapliwością wyłącznie ze strachu - ze strachu i ze względów finansowych. Nie byłem na tyle głupi, by

uwierzyć, że mogłoby być coś jeszcze...
Opera Paryska pochłonęła całe moje życie. Przychodziłem na plac budowy o świcie i rzadko opuszczałem go przed północą. Z biegiem lat, coraz trudniej było mi w ogóle stamtąd wychodzić. Kiedy mroźne zimy zmuszały nas do przerwania prac na zewnątrz na cały styczeń i luty, ja nie przestawałem snuć się po budynku jak potępiona dusza. Często znikałem w lochach teatru, by dokonywać dziwnych przeróbek z powodów, które nie były w pełni jasne nawet dla mnie samego. Tajemne przejścia, o których nikt nie wiedział... Niewidoczne zapadnie... Możliwość pozostawienia swego śladu na tym budynku sprawiała mi ogromną satysfakcję, choć zdawałem sobie sprawę, że nikt nigdy tego nie zauważy. Mam wrażenie, że coś się poprzestawiało w mojej skołatanej głowie. Nie widzę innego wyjaśnienia dla tego, nawet w moich własnych oczach, nader zdumiewającego zachowania.
Moje życie mierzyło się w metrach murów, a każdy metr był dla mnie osiągnięciem; widok, jak wspaniałe mauzoleum wznosi się powoli ku niebu przyprawiał mnie o dreszcz dumy. Monolityczne trzony kolumn głównej fasady wykonane z wapienia przywiezionego z Riviery, szesnaście kolumn z czerwonego kamienia z Jury, dwanaście z różowego granitu, trzydzieści z marmuru z Sarrancolin... Nie było końca cudownością, których mogłem dotykać. Przechadzałem się nocami jak szach po swoim haremie, pieszczotliwie gładząc wszystkie kolumny, żeby żadna nie czuła się urażona czy zaniedbywana. Napawałem się tym

pięknem... otaczały mnie rozkosze w ilościach, o jakich nawet nie śniłem. Widok olbrzymich korynckich kolumn podpierających wielkie łuki wewnętrznej kopuły nad widownią sprawiał, że czułem się jak druid odprawiający rytuały w Stonehenge...

Garnier, z kolei, musiał się czuć jak ofiarne jagnię na ołtarzu. Z każdym rokiem rosło moje współczucie dla tego człowieka, którego spotykały kolejne tragedie - śmierć jedynego dziecka i szybko po niej śmierć ojca. A mimo to walczył jak lew o zachowanie spójności swego wielkiego marzenia. Dwa razy z rzędu władze obcięły po milionie franków z budżetu Opery. W marcu 1867 roku projekt był zadłużony na pięćset tysięcy franków, a Garnier był u kresu wytrzymałości nerwowej.

- Miałeś rację - powiedział mi zrozpaczony pewnego wieczora. - Wszystko jest tak, jak przewidziałeś. Powinienem był wyuczyć się na gladiatora, a nie na architekta... Nie masz przypadkiem przy sobie dwóch milionów franków, Eriku?

Roześmiałem się i przyjąłem pękatą butelkę brandy, którą mi podsunął. Sądząc z jego wyglądu, nie pierwszą, którą opróżnił tego wieczora, biedaczysko - z pewnością nie pierwszą.

- Gdybym miał tyle, chętnie bym ci dał - odparłem.

- Tak, wiem. - Westchnął, usiłując zakręcić butelkę trzęsącymi się palcami. - Dlaczego nie jesteś cesarzem, Eriku? Dlaczego, u diabła, nie jesteś cesarzem?

Mogę tylko stwierdzić, że był zbyt pijany, by wiedzieć, co wygaduje.

Wyprowadziłem go z pogrążonego w mroku i ciszy budynku, zanim zdołał skręcić sobie kark, potknąwszy się o walające się wokół deski. Nagle zarzucił mi ramię na szyję w szorstkim geście braterstwa.
- Jeśli kiedyś zrobią cię cesarzem - powiedział buńczucznie - będę pierwszym, który rzuci w górę swoją cholerną czapkę!
Sprowadziłem dla niego dorożkę, z pewnością nie doszedłby do domu o własnych siłach. Przez chwilę uczepił się mojej ręki, po czym wsiadł i padł ciężko na siedzenie.
- Byłby z ciebie cholernie dobry cesarz - powiedział bełkotliwie. - Wiesz, Eriku... cholernie dobry cesarz!
No tak... Zwykle sobie tak nie folgował, ale tego wieczoru był pijany w sztok. Bardzo wątpię, czy pamiętał później, co mówił tamtej nocy, że nie wspomnę, czy pamiętał, kto go wsadził do dorożki...
Na przestrzeni lat urósł między nami ostrożny szacunek, który zapobiegał starciom naszych cholerycznych charakterów, co na pierwszy rzut oka mogło się zdawać nieuniknione. Garnier urządzał niekiedy naprawdę imponujące sceny wściekłości; nie mogłem się nadziwić, jak udało mu się zachować zimną krew w rozmowach z tymi kretynami z komisji rządowej. Dwoił się i troił, byle tylko zapewnić stały dopływ gotówki do kasy Opery; w tym celu mógł bić w wojenny werbel albo łasić się jak pies, cokolwiek było trzeba. Podziwiałem go za to bardziej, niż byłem w stanie wyrazić. Ja sam również walczyłbym jak tygrys, ale nie zniżyłbym się, by żebrać. Moja nieugięta duma byłaby sznurem,

który udusiłby projekt Opery jeszcze przed narodzeniem.
W stosunku do siebie zachowywaliśmy zdumiewającą cierpliwość, całkiem jakbyśmy obaj rozumieli, że i tak mamy nerwy napięte jak postronki. Dzieliliśmy wspólne dążenie do perfekcji. Garnier był niespokojnym duchem, podobnie jak ja. Tak więc późnym wieczorem trzeciego września 1870 roku, kiedy zastał mnie pracującego samotnie na budowie bez maski, poczułem się dziwnie obojętny i spokojny, choć normalnie wpadłbym w podobnej sytuacji w szał z przerażenia.
Spojrzał na mnie z wyrazem szoku i zaskoczenia, ale miał dość dobrego wychowania, by się nie gapić, więc wybaczyłem mu ten pierwszy moment osłupiałego strachu. Szczerze mówiąc, z niego też nie był Adonis. Nie raz widziałem jego karykaturę w gazecie - jego kanciastą twarz pooraną zmarszczkami przez zgryzotę i ciągle niedomagające zdrowie, głęboko osadzone oczy i dziwnie spłaszczoną czaszkę. Może to dzięki temu, że on też był brzydki, a może po prostu byłem już zmęczony przemocą, ale tak czy inaczej, nie miałem zamiaru skoczyć mu do gardła ze złości.
Przeszedł spokojnie przez rusztowanie, które otaczało szkielet wewnętrznej kopuły widowni i z uznaniem powiódł wzrokiem po moim warsztacie pracy.
- Nie wiedziałem, że możesz pracować przy tym fatalnym świetle - zauważył przyjaźnie. - Masz chyba oczy jak kot.
Nie odpowiedziałem. Ubrany był w wieczorowy garnitur i nie ulegało

wątpliwości, że jego żona, Louise, złościła się właśnie w powozie, nie mogąc się doczekać, kiedy wrócą do domu. Na pewno nie będzie tu teraz długo siedział...

- Ja buduję operę - powiedział cicho - a ty, przyjacielu, chyba postanowiłeś sobie zamienić ją w twój własny grobowiec.

Odwróciłem się do niego zdziwiony, lecz on tylko wymownie rozłożył ręce.

- Twoi ludzie mówią, że się zabijasz.

Zaśmiałem się gardłowo.

- Chcesz powiedzieć, że mają nadzieję, że się wykończę.

Pokręcił głową powoli.

- Ten Bernard bardzo się o ciebie martwi. Błagał mnie dziś rano, żebym z tobą porozmawiał, bo sam nie śmie.

Jules? Zmarszczyłem brwi, słysząc tę niespodziewaną nowinę. Ten człowiek miał siedmioro dzieci do wykarmienia i wykształcenia - Madame Bernard chyba była przy nadziei za każdym razem, kiedy jej mąż zdejmował spodnie! Właściwie, po głębszym zastanowieniu, to nic dziwnego, że niepokoił się o źródło swoich dochodów. Mam nadzieję, że nie ośmielił się wspomnieć Garnierowi o morfinie!

- Siedzisz tu od dwudziestu godzin - kontynuował Garnier spokojnie. - Czy ty nie masz domu, Eriku?

Wciąż milczałem, myśląc o dwunastu mieszkaniach, które Jules załatwił dla mnie od początku prac przy Operze. Za każdym razem było tak

samo. Najpierw obraźliwe anonimy, potem wandalizm, w końcu agresywne walenie do drzwi albo zawstydzone pukanie gospodarza.
- Proszę mnie zrozumieć, monsieur... Inni lokatorzy się skarżą...
Nigdy się nie kłóciłem ani nie protestowałem. Po prostu zwijałem manatki, zanim dojdzie do przemocy. Zdążyłem się już przekonać, że nie ma sensu kupować mieszkania w drogich domach Haussmanna; nie rozwiązałoby to moich problemów, zresztą musiałem się liczyć z pieniędzmi. Miałem duże zobowiązania, a zasoby kończyły się szybko. Nie byłem już tym bogaczem, który przyjechał tu dziesięć lat temu - Opera i powiększająca się rodzina Julesa złożona z głodnych, nieświadomych moich kłopotów małych króliczków, już się o to postarały.
Za każdym razem, kiedy wypowiadano mi mieszkanie, następne znajdowało się w mniej eleganckiej dzielnicy, aż w końcu jeszcze raz zamieszkałem na przedmieściu wśród biedaków. Konsekwencją tego było, że coraz dłużej przesiadywałem na budowie, z niechęcią myśląc o chwili, kiedy będę musiał wrócić na brudną i niebezpieczną ulicę.
- Opera jest moim domem - zauważyłem, starając się nieudolnie, aby zabrzmiało to pogodnie.
Garnier zmierzył mnie wzrokiem z wyrazem dziwnego współczucia w swych ciemnych oczach.
- Nie na długo, obawiam się - powiedział.
Dziewięć lat odmawiania sobie wszystkiego eksplodowało w mojej

głowie jak beczka prochu. Jednym susem znalazłem się przy nim, chwyciłem go za gardło i przechyliłem niebezpiecznie przez rusztowanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - syknąłem wściekle. - Przyrzekłeś mi, że pozwolisz mi zakończyć pracę razem z tobą - nie uda ci się wycofać z tego i ujść z życiem, zaręczam ci!

Pchnąłem go na deski; przez chwilę leżał tam, rozcierając bolącą szyję.

- Nie musisz się tak wściekać - stwierdził spokojnie. - Zapewniam cię, że ja nie mam z tym nic wspólnego.

- O co więc chodzi? - zapytałem opryskliwie. - Żądam wyjaśnień!

Westchnął, podniósł się i zaczął otrzepywać biały pył ze swych nieskazitelnie czarnych spodni.

- Chyba słyszałeś o wojnie z Prusami?

- Oczywiście, masz mnie za idiotę?

Wzruszył ramionami.

- Czasami wydaje mi się, że nie żyjesz na tym samym świecie, co reszta z nas. Cały Paryż mówi tylko o tym, że wczoraj cesarz poddał Sedan. Oburzenie społeczeństwa jest niemal nie do opanowania! Bulwary są pełne demonstrującego tłumu, wrzeszczącego: “Precz z Cesarstwem!” Nie słyszysz tego pomruku z zewnątrz? Mówi się, że nie minie doba, jak będziemy tu mieć rewolucję.

- Cesarz to schorowany człowiek - zauważyłem ponuro. - Po co kazali mu iść na wojnę, skoro widzieli, że nie jest w stanie nawet dosiąść

konia?
Garnier spojrzał na mnie zdumiony.
- Chyba jesteś jedynym człowiekiem we Francji, który o tym pamięta. Na ulicach nie znajdziesz dziś współczucia.
- Nigdy go tam nie znajdziesz - dodałem i odwróciłem się do pracy.
- Eriku... jest coś jeszcze.
- Tak? - Nie zadałem sobie trudu, by na niego spojrzeć.
- Mówi się, że niemiecka armia przygotowuje się do marszu na Paryż. Wiesz co się stanie, kiedy zacznie się oblężenie?
- Mnóstwo dzieci będzie głodować - odparłem posępnie. Zawsze dzieci cierpiały najbardziej - dzieci i zwierzęta.
- Tak, tak - uciął Garnier nieco zniecierpliwionym głosem. - Ale pomyśl tylko, co to oznacza dla nas - dla Opery!
Zerwałem się na równe nogi, a on znowu rozłożył bezradnie ręce.
- To jest projekt rządowy, więc prace zostaną wstrzymane, a fundusze pójdą na cele wojenne. Budowa zostanie zawieszona do odwołania. Bóg raczy wiedzieć, kiedy będziemy mogli wrócić do pracy i czy sam budynek przetrzyma pruskie ostrzeliwanie. Eriku, czy ty w ogóle rozumiesz, co ja mówię?
Zrozumiałem.
Zrozumiałem, że ludzie - głupi, gwałtowni, bezmyślni ludzie chcieli mi odebrać to, co było dla mnie świętością. Na Paryż spadną pociski wystrzelone przez wojenną machinę Bismarcka, a dziewięć lat

nieprzerwanej, morderczej pracy obróci się w gruzy w ciągu kilku sekund.
Podniosłem maskę i bez słowa zeskoczyłem z rusztowania.
- Erik! - zawołał za mną Garnier, starając się śledzić mnie wzrokiem w słabym świetle. - Dokąd biegniesz?
- Tak daleko od ludzi, jak tylko się da! - rzuciłem do niego.
Pozostał mi tylko jeden kierunek ucieczki - coraz niżej, niżej i niżej w niezgłębioną ciemność. Pobiegłem tam, gdzie nikt już nie chodził; w dół niekończącymi się schodami aż do piątego poziomu piwnic, do mojego sekretnego królestwa nad jeziorem.
Kiedy zatrzasnęły się za mną ciężkie, kamienne wrota, zamykając mnie samego w wydrążonej przestrzeni pomiędzy podwójnym zabezpieczeniem fundamentów, widok, który ujrzałem w świetle jedynej, zapalonej przeze mnie świecy, był dla mnie objawieniem. Nagle uświadomiłem sobie, że spędziłem całe życie w poszukiwaniu miejsca takiego, jak to. Miejsca, gdzie znalazłbym spokój i wytchnienie od ciekawskich spojrzeń.
Kiedyś znałem takie miejsce. Tamtego pierwszego roku w piwnicy u mistrza Giovanniego czułem się jak młode zwierzę bezpiecznie skulone w swojej norze. Odnalazłem poczucie bezpieczeństwa i szczęście, którego nigdy później nie udało mi się osiągnąć, niezależnie od tego, jak bardzo go szukałem. Jak długo mistrz Giovanni mieszkał nade mną jak Bóg zasiadający w niebiosach, czułem się bezpieczny. W moim sercu

zawsze uważałem go za swego ojca, zawsze... aż do dnia, kiedy przybyła Luciana i zniszczyła nasz spokojny świat...

Zamknąłem się w sobie, nie chciałem o tym myśleć. Bolesne wspomnienia miały już wszak ponad dwadzieścia pięć lat - byłoby poniżające i głupie rozklejać się znowu z ich powodu. Oboje już dawno nie żyją, zapomnij o nich... pozwól im odejść!

A mimo to, wciąż wspominałem tamtą piwnicę pełen gorzkiej tęsknoty. Z pewnością udałoby mi się odtworzyć to poczucie zadowolenia i spokoju, gdyby tylko udało mi się zrekonstruować otoczenie, w którym pierwszy raz poczułem te nieznane mi wcześniej wrażenia. Gdybym urządził sobie prywatne gniazdo pod ulicami Paryża, nikt by mnie więcej nie znalazł. Nie byłoby żadnych natrętów, żadnych prześladowań, żadnych wyciągniętych w geście groźby noży.

Nie byłoby... nikogo!

Tak... to było prawdziwe olśnienie! Nagle zrozumiałem, że nie potrzebuję więcej nikogo; że mam dość walki o przetrwanie w świecie, do którego i tak nigdy nie będę pasował. Przez większą część moich czterdziestu lat biłem głową w mur rzeczywistości nie zważając na ciągłe porażki. Ależ byłem głupi, a przecież odpowiedź była we mnie przez cały czas.

Ciche, ciemne miejsce czekało na mnie zapraszająco. Musiałem tylko zrobić to, co każdy zdrowo myślący pająk zrobiłby już dawno temu - wsunąć się do środka i zostać tam, gdzie jestem bezpieczny.

Zapaliłem więcej świec i zacząłem odkrywać te lochy jak zachwycone dziecko. Marzenia rozwijały się w mojej głowie niby złoty kobierzec. Mój dom miałby nieregularny kształt, mógłby się ciągnąć w dowolną stronę, tworząc amfiladę pokoi na odległość, jaka by mi się spodobała. Jego obraz stanął mi przed oczami w najdrobniejszych szczegółach - od ogromnych organów wzdłuż ściany mojej sypialni, aż do miękko wyścielanej otwartej trumny, gdzie zamierzałem spać.

No tak, musiała być trumna, ponieważ Garnier miał sporo racji - to był mój grobowiec, pomnik mojego szalonego geniuszu. Opera Paryska była dobrze zamaskowaną piramidą, a ja faraonem, który spocznie na wieki w samym jej sercu.

Marzenie rozwiało się jak dym zgasłej świecy; znów znalazłem się w ciemnej, wilgotnej dziurze. Ale wiedziałem przynajmniej, co chcę osiągnąć. Cel był o miesiące, lata całe oddalony ode mnie, ale nic, nawet potęga całej pruskiej armii, nie mogło mi przeszkodzić w jego realizacji. To będzie najwspanialszy dom na świecie, chroniony przez wszelkie możliwe środki dostępne mojej wyobraźni magika.

Już nigdy więcej nie pójdę spać na powierzchni ziemi.

Gdybym nie podjął tej decyzji wtedy, kiedy to zrobiłem, zostałbym z pewnością aresztowany w pierwszym tygodniu oblężenia, gdy przez miasto przetoczyła się fala nagonki na szpiegów. Każdy, kto w najmniejszy sposób odróżniał się strojem czy zachowaniem od reszty populacji, był niezwłocznie denuncjowany nowym republikańskim

władzom jako potencjalny zdrajca. Bezlitośnie prześladowano niemych i głuchych, a nawet jąkanie się było wystarczającym pretekstem do samosądów. Piechurzy, którzy uciekli przed wrogiem pod Courbevoie pędzeni byli przez miasto w ponurej paradzie, z rękami związanymi za plecami, obwieszeni plakatami zachęcającymi uczciwych obywateli, by pluli im w twarz.

Histeria minęła, nastroje poprawiły się nieco i Paryżanie zaczęli poszukiwać rozrywki w oblężeniu, o którym nikt nie sądził, że potrwa tak długo. Zwiedzanie fortyfikacji stało się miłą, niedzielną rozrywką rodzinną, a podczas musztry regimentów ławeczki na Polach Elizejskich zapełniały się ludźmi gawędzącymi ze sobą w leniwe, słoneczne popołudnia. Przygrywały gitary i kręciły się karuzele. Mieszkańcy Paryża przynosili lornetki teatralne, by oglądać pruskie baterie w Meudon, a rzadkie wystrzały z okrętów witane były beztroskim śmiechem.

Wszyscy wiedzieli, że Paryż jest miastem nie do zdobycia. Ze swymi potężnymi murami obronnymi, trzymetrową fosą i linią umocnień ciągnących się wokół na trzydzieści kilometrów, stolica stanowiła nie lada wyzwanie dla każdej armii. Nowy rząd również nie próżnował. Zaplombowano zejścia do podziemi, przez Sekwanę przerzucono jak mosty wielkie barykady, a w słabszych strategicznie punktach zainstalowano miny. Paryż był gotów znieść wszystko, co tylko armia von Moltkego była w stanie wymyślić. Gazety przewidywały, że Prusacy

wkrótce wrócą do domów w poczuciu upokarzającej klęski...
Cztery miesiące później, gdy zaczął się ostrzał cywilnych dzielnic, miasto było już mocno osłabione trwającymi całą mroźną zimę brakami w aprowizacji. Temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera. Zdarzało się, że ludzie zamarzali na śmierć podczas warty, a gdy miejskie zapasy drewna opałowego zostały wyczerpane, zrozpaczeni mieszkańcy bili się o drzewa, obalone słupy telegraficzne i niemal rozpędzili Gwardię Narodową stojącą na straży centralnego magazynu opału przy Rue de Belles-Feuilles.
Prusacy usadowili się w Wersalu. Grad pocisków runął na Paryż z zimnego, ołowianoszarego nieba. Lewy brzeg Sekwany drżał co noc wśród deszczu kul, które powodowały pożary na ulicach. Z dachu Opery widziałem słupy dymu wznoszące się w lodowatym powietrzu po drugiej stronie rzeki. Prusacy rozmyślnie kierowali ogień na kościoły i szpitale, a w miarę jak ich wojska coraz bardziej zbliżały się do miasta, budynki oznaczone zgodnie z Konwencją Genewską czerwonym krzyżem traktowane były jako idealny cel. Instytut dla umysłowo chorych, schronisko dla niewidomych, szpital dla małych dzieci... nie było już żadnych świętości. Nie mogłem uwierzyć, że człowiek był w stanie upaść tak nisko...
Gmach Opery zajęto na arsenał i magazyn żywności, żyłem więc w nieustannym strachu, że ktoś przez nieuwagę zaprószy ogień. Na terenie teatru zgromadzono milion litrów wina, nie raz zdarzało mi się słyszeć

pijackie śpiewy, które niosły się po całym budynku. Pruska artyleria nie była jeszcze dość blisko miasta, by ostrzeliwać prawy brzeg Sekwany, ale do wysadzenia w powietrze Opery wystarczyłby jeden niedopałek papierosa. Przez cały czas pracowałem samotnie nad urządzaniem swojego sekretnego domostwa, więc strach nie opuszczał mnie ani na chwilę. Nie wychodziłem z budynku bez potrzeby; raz na dwa tygodnie odwiedzałem Julesa w domu wynajętym na lewym brzegu i wypłacałem mu zarobki, dzięki którym jego rodzina miała co jeść. Zapanowało bezrobocie. W całym mieście zwolniono setki pracowników państwowych i na czas oblężenia zawieszono większość prac. Wstrzymano budowę Opery, nowego Hotel - Dieu i dwóch tysięcy nowych domów na terenie wielkiej przebudowy Haussmanna...
Ja wciąż wypłacałem pieniądze swoim pracownikom, przymykając oko na te kilka franków, które udało im się zarobić gdzieś indziej. Jedzenie stało się obecnie domeną bogaczy, ale starałem się, by nikt z ludzi pracujących w moim zespole przy budowie Opery nie głodował. Kiedy ceny osiągały prawdziwie astronomiczną wysokość, po prostu dawałem im podwyżkę. Nigdy nie patrzyłem na robotników, gdy wchodzili do zaimprowizowanego biura w domu Julesa. Stałem odwrócony do ściany, z rękami skrzyżowanymi pod płaszczem, podczas gdy oni odbierali w pełnej przerażenia ciszy swoje koperty i wycofywali się za drzwi. Na czas mojego pobytu w domu, Madame Bernard wraz z dziećmi chowała się w sypialni.

Wciąż można było zdobyć morfinę, ale wymagało to ogromnych pieniędzy i dużo cierpliwości - pilnowałem więc, by zapłacić Julesowi więcej, niż wynosiła cena i jak najszybciej wrócić do siebie. Ten ponury rytuał przygnębiał mnie - byłem zmęczony atmosferą ciągłego zagrożenia. Wolałem być sam.

Po siedemnastu tygodniach oblężenia Paryż był na kolanach. Stoiska mięsne na głównych targach sprzedawały mięso zabitych kotów przybrane wstążeczkami i kolorowymi papierkami, a szczurzy bazar na Place de l'Hotel de Ville pełen był zdesperowanych klientów. Zwierzęta z ogrodu zoologicznego zastały zarżnięte, a restauracje serwowały potrawy ze słonia tym, których było stać na takie delicje.

Z całą pewnością ktoś zjadłby również Aiszę, gdybym jej pierwszy nie znalazł...

Tamtej nocy snułem się bez celu ulicami; słuchałem obojętnie dźwięku śmigających nad dachami pocisków, jakby to było zawodzenie jesiennego wiatru. Oprócz mnie nie było na ulicy nikogo. Ktokolwiek zachował jeszcze resztki rozumu, kulił się w piwnicy, ale ja przestałem się już bać pruskich armat. Drobny, lecz znaczący wypadek w domu Bernardów, ostatecznie pozbawił mnie złudzeń i chęci do życia.

Robotnicy już wyszli. Rozliczałem się właśnie z Julesem, kiedy z korytarza dobiegł mnie krzyk i odgłos czegoś spadającego ciężko ze schodów.

Nie myśląc wiele, pobiegłem do wąskiego, ciemnego holu. Madame

Bernard podnosiła właśnie z podłogi dziecko, które płacząc leżało u moich stóp. Przycisnęła małą córeczkę do piersi i zaczęła wycofywać się schodami na górę.

- Madame, dziecko jest ranne. Proszę mi pozwolić ją zbadać.

- Nie... - wyjąkała, wciąż wspinając się tyłem po schodach. - Nie, monsieur, myli się pan... Nic się nie stało, to tylko niegroźne stłuczenie... Trzy stopnie, nie więcej... nie więcej.

Kłamała. Dziecko spadło z samej góry, a teraz leżało blade w jej ramionach, nawet nie protestując. Podszedłem kilka kroków w jej stronę, ale ostry krzyk przerażenia sprawił, że zastygłem na miejscu.

- Niech się pan nie zbliża! Niech jej pan nie dotyka!

- Madame -

- Po co pan tu przychodzi? - zawołała, niespodziewanie przechodząc od strachu do agresji. - Straszy pan dzieci - straszy pan wszystkich! Dlaczego nas pan nie zostawi w spokoju?!

- Annette! - krzyknął zduszonym głosem Jules. - Annette, na litość Boską, zamilcz!

- Nie potrzebujemy pańskiej dobroczynności - mówiła dalej, stojąc na schodach. - Nie potrzebujemy pańskich pieniędzy. Nie kupi pan moich dzieci tak, jak kupił pan mojego męża! Niech pan odejdzie i nigdy nie wraca. Słyszy mnie pan? Proszę odejść i nie wracać tu więcej!

Wbiegła po schodach; natychmiast zatrzasnęły się za nią drzwi, spoza których dobiegł płacz dzieci.

Powoli zszedłem schodami w stronę Julesa, który czekał na mnie z obiema dłońmi przyciśniętymi do chudej piersi.
- Monsieur - szepnął błagalnie - monsieur, niech jej pan spróbuje wybaczyć. Ona chyba straciła rozum. Z pewnością nie chciała pana obrazić. Ona tylko -
Uciszyłem go jednym spojrzeniem i rzuciłem dwieście franków na odrapany stolik w przedpokoju.
- Sprowadź natychmiast lekarza - powiedziałem chłodno i wyszedłem.
Czułem swoje serce jak ołowiany ciężar w piersi, kiedy wracałem powoli nędznymi, ośnieżonymi ulicami. Nad brzegiem Sekwany zatrzymałem się na chwilę i obserwowałem krę, która blokowała rzekę. Niedaleko mnie prostytutka nawoływała przechodzącego żołnierza.

- Monsieur... zabiorę pana do siebie w zamian za kawałek chleba.
Mężczyzna zatrzymał się i wdał z nią w rozmowę, ale nie słyszałem, co powiedział. Po chwili ruszyli razem w kierunku Rue de Grenelle.
Patrzyłem na zamarzniętą rzekę i zastanawiałem się, jak głodna musiała być ta kobieta, by sprzedawać się za kromkę chleba. Sam nigdy nie ośmieliłem się podejść do prostytutki; nie byłbym w stanie znieść upokorzenia, gdy nie przyjmie moich pieniędzy. Pamięć o tamtej młodej niewolnicy z Persji wciąż pozostawała boleśnie żywa.
Poczułem, że coś czepia się poły mojego płaszcza. Odwróciłem się myśląc, że zaczepiłem eleganckie kaszmirowe okrycie o balustradę

mostu i w jednej chwili zorientowałem się, że do mnie również podeszła zgłodniała dama z prośbą o jedzenie.
Bardzo maleńka dama...
Przede mną, na chodniku, prawie niedostrzegalne w stercie brudnego śniegu, siedziało kremowe kociątko z czekoladowej barwy pazurkami zaplątanymi w materiał mojego płaszcza.
Z okrzykiem zachwytu i niedowierzania podniosłem je ze śniegu i obejrzałem dokładniej w żółtym świetle gazowej lampy. Cała była oblepiona brudem, ale jej pochodzenie było równie widoczne, co trudne do uwierzenia. W Europie nie hodowano syjamskich kotów, a jednak trzymałem jednego z nich w rękach niby rzadki i cenny klejnot, rzucony z niebios wprost w pejzaż miasta, które stało się piekłem.
Oczywiście, nie mogła spaść z nieba. Jakiś zapalony podróżnik prawdopodobnie przemycił z pałacu w Bangkoku kotną samicę, wiedząc, że cesarzowa Eugenia sowicie zapłaci za rzadkie zwierzę. Bogate panie z pewnością biłyby się o modną nowość; nic dziwnego, że człowiek ten spodziewał się zbić majątek.
Ale cesarzowa uciekła, a bogaci zjadali swoje wyścigowe konie pełnej krwi. Nikomu nie zależało na dodatkowej gębie do żywienia - za to wszyscy patrzyli tylko, co by tu włożyć do garnka. Martwe koty stały się prezentem bardziej poszukiwanym od kwiatów i były najczęstszym podarunkiem dla chorych przyjaciół - podobnie jak wcześniej słodycze. Gotowany kot z orzeszkami pistacjowymi i oliwkami uważany był za

przysmak dla koneserów. Mogłem sobie bardzo wyraźnie wyobrazić marny koniec, który spotkał matkę i resztę miotu.

Ale to maleństwo urodziło się, by przeżyć; widziałem to w jej zawadiackich, skośnych, niebieskich oczach. Przeznaczenie, które z niezbadanych powodów wyróżnia niektórych przed innymi, postawiło ją na drodze człowieka, który raczej sam umarłby z głodu, niż obdarł ją z jej ślicznego futerka. Otulając ją ciepło pod płaszczem, ruszyłem szybko przed siebie, gdyż znalazłem w życiu nowy cel.

Aisza zmieniła moje życie. W Operze przechowywano początkowo ponad piętnaście tysięcy kilogramów solonej koniny i zapasy jeszcze się nie wyczerpały. Nie mogłem się zmusić, by jeść końskie mięso, ale kradłem je dla Aiszy i wychodziłem z pokoju, kiedy je jadła, aby przemóc mdłości. W piwnicach roiło się od szczurów i w ciągu kilku tygodni kotka przestała wyglądać na zagłodzoną; nabrała ciała, a jej futerko odzyskało połysk. Chodziła za mną jak szczeniak i siadywała koło mnie, gdy pracowałem. Nie mogłem się doczekać dnia, aż urośnie na tyle, by nosić perską obróżkę. Oglądanie jej przechadzającej się dumnie w skradzionych klejnotach wydawało mi się niewyobrażalnym szczęściem. Była moją radością, moją pociechą, wybraną towarzyszką mojego osamotnienia. Gdyby nie było koniny ani szczurów, karmiłbym ją ludzkim mięsem; jeśli byłoby trzeba, zabijałbym dla mojej małej, ukochanej, najdroższej damy...

Po dziewiętnastu tygodniach oblężenia, doprowadzony do ostateczności

rząd podpisał akt kapitulacji i ponura, grobowa cisza spłynęła na miasto jak żałobny kir. Wojska niemieckie maszerowały po Polach Elizejskich. Tuż przed tym, biedacy, którzy zawsze w takich sytuacjach ponoszą największe koszta wojny, zostali zmuszeni przez nowo utworzony reakcyjny organ państwowy do uregulowania w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zaległych czynszów, zawieszonych na czas oblężenia. Doprowadzeni do bankructwa i rozwścieczeni zamknięciem redakcji sześciu gazet, biedni mieszkańcy Paryża zorganizowali zbrojne powstanie. Przez miasto przetoczyła się kolejna rewolucja. Rząd schronił się w Wersalu, ogłoszono Komunę Paryską, rozwrzeszczany tłum wyległ na ulice i zaczął się terror.

Mania niszczenia nie ograniczała się dłużej do lewego brzegu rzeki. Gwardia Narodowa przejęła gmach Opery. Czerwona flaga Komuny powiewająca teraz na dachu uczyniła z budynku doskonały cel dla sił Republikanów. Na udręczone miasto spadły kolejne pociski - tym razem francuskie - i rozpoczęła się wojna domowa. Żołnierze biegali po zabarykadowanym budynku, a na zewnątrz dochodziło do zaciekłych walk. Zostałem uwięziony we własnym domu; cokolwiek mogłem sobie myśleć, był to najprawdziwszy areszt domowy, gdyż wiedziałem, że jeśli ktoś mnie zobaczy, natychmiast zostanę rozstrzelany jako szpieg. “Obywatele generałowie” zeszli do piwnic uzbrojeni w pistolety i opasani śmiesznymi czerwonymi pasami. Papierosy, które palili, wyglądały jak świetliki, kiedy asystowali przy przesłuchaniach więźniów

politycznych. Martwą ciszę przerywały tylko wulgarne przekleństwa i tubalny śmiech... Nienawidziłem tych okrutnych intruzów, zaganiających swoich więźniów do więzienia Komunardów mieszczącego się pod piątą piwnicą. Nienawidziłem ich wszystkich, Gwardii Narodowej i Republikanów. Wszyscy tacy sami - głupcy... głupcy i ignoranci! Jak oni śmieli profanować moje sanktuarium swoją obrzydliwą, wyniszczającą wojną! Jak śmieli więzić mnie w ten sposób! Trwało to pięć tygodni, ale dla mnie ciągnęły się one jak pięć lat. W końcu Komunardzi ulegli siłom republikańskim wśród piekielnego ognia walki, masakrowania jeńców i podpalania budynków publicznych przed ich opuszczeniem. Hotel de Ville i Pałac Tuileries zmieniły się w dymiące zgliszcza. Znów płonęły ulice Paryża.

Ponieważ Opera używana była jako szpital polowy dla żołnierzy Komuny, udało jej się póki co uniknąć bezlitosnego podpalenia. Jednak pewnego wieczora w czasie najgorętszych walk, przeczucie zbliżającego się nieszczęścia zmusiło mnie do wyjścia z domu nad jeziorem. Nie zważając, że mogę zostać schwytany, zacząłem przeczesywać lochy jak ogłupiały pies gończy, aż na trzecim poziomie piwnic znalazłem żołnierza Gwardii Narodowej układającego lonty, by połączyć dwanaście beczek prochu.

- Czy masz rozkazy głównodowodzącego? - zapytałem stanowczo.

Mężczyzna poderwał się zaskoczony, wyciągnął pistolet i złożył się do strzału.

- Pytam, czy działasz na rozkaz? - powtórzyłem nieugięcie. - Kazali ci to zrobić?
- Nie. - Nagle się roześmiał, a jego oczy rozbłysły ślepą żądzą niszczenia, którą tyle razy miałem okazję ostatnio oglądać. - Generałowie zapomnieli o tym miejscu, ale nie ja - nie ja. Wysadzę w powietrze ten wstrętny pomnik imperializmu, raz na zawsze... Ale najpierw rozprawię się z tobą, intruzie!
Lasso z Pendżabu uciszyło go, zanim zdążył nacisnąć spust; gdy zapadł zmrok, zaciągnąłem jego zwłoki na ulicę i pozostawiłem je na stercie podobnie zapomnianych ciał.
Następnie wróciłem po proch.
Cierpliwie przewiozłem beczki na drugą stronę jeziora i z dziwną satysfakcją ukryłem je we własnej piwnicy.
Poświęciłem życie i wszystkie pieniądze tej wspaniałej budowli. Dbałem o nią od pierwszych chwil jej istnienia; pieściłem jej piękne, marmurowe ciało jak najczulszy kochanek. Narodowa Akademia Muzyki należała do mnie; tylko ja miałem prawo ją zniszczyć. Jeśli przyszedłby taki dzień, że zapragnąłbym ujrzeć dzieło mojego życia zmienione w kupę gruzów, to ja sam własnoręcznie podpalę lont. Tylko ja.
Pełne napięcia tygodnie, gdy po budynku kręcili się intruzi i profani, uświadomiły mi, że muszę powziąć drastyczne środki ochrony, by na przyszłość zapewnić sobie spokój od ludzi. Do pierwotnego projektu dodałem lustrzaną salę tortur, dokładną replikę sześciokątnej komnaty,

którą wykonałem dla chanum. To była dość prosta pułapka. Żaden myszkujący człowiek, który mógłby się tu dostać, nie wyjdzie stąd inaczej, jak poprzez samobójstwo. Umieszczona pod terenem znajdującym się poniżej sceny i zaopatrzona w zapadnię zapewniającą dostęp do trzeciej piwnicy, sala lustrzana była też wygodnym skrótem do mojego domu. W budynku Opery było ponad sześć tysięcy schodów i większość z nich wiodła w dół; w takich warunkach przyda się droga na skróty.

Poniżej podziemnego cieku wodnego przeprowadziłem kable, które umożliwiły mi instalację prostego elektrycznego dzwonka, który informowałby mnie o niepożądanych gościach nad jeziorem.

Tak więc mój labirynt mógł okazać się śmiertelnie niebezpieczny; kryjówkę minotaura otaczała gęsta pajęczyna systemów ochronnych. Lepiej, żeby głupi, naiwni ludzie poruszali się po moim królestwie z najwyższą ostrożnością.

Nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!

Nie minął miesiąc od upadku Komuny, a omnibusy i dorożki powróciły na ulice. Prostytutki głośno reklamowały swoje usługi na Boulevard des Italiens, jakby niedawne okropności nigdy się nie wydarzyły. A jednak Paryż zmienił się na zawsze, stał się twardszy i bardziej gorzki po przeżyciu klęski. Nie zapomniano śmiertelnej udręki dumnego ongiś miasta, a nienawiść do Niemców pozostała głęboko zakorzeniona.

Wznowiono prace nad Operą, pomimo nieuchronnych opóźnień i

wrogości, będącej pozostałością wojny i rewolucji. Garnier walczył zaciekle, by móc ukończyć budynek, który nowy rząd traktował podejrzliwie, jako pomnik imperializmu. Zanim w bólu i trudzie doprowadził do uroczystej inauguracji gmachu galowym przedstawieniem, ja już od lat mieszkałem spokojnie i wygodnie w mrocznych wnętrznościach piątej piwnicy.

Sprzedałem dom w Boscherville; pod osłoną nocy przetransportowaliśmy z Julesem meble po matce na drugą stronę podziemnego jeziora. Nie zadawał mi pytań, jak zwykle spełniał posłusznie moje polecenia, a mimo to zauważyłem w jego twarzy lęk, gdy znalazł się w moim niezwykłym mieszkaniu. Ujrzałem w jego oczach chorą, przerażoną pewność, że nie pozwolę, by wyszedł stąd żywy.

Kiedy ostatni mebel stanął na swoim miejscu, Jules pozostał w mojej sypialni, wpatrując się tępo w wielką, otwartą trumnę na zdobionym katafalku, czarne świece żałobne i pogrzebowe draperie.

- Teraz mnie pan zabije, prawda, monsieur? - powiedział ponuro. - Zabije mnie pan, bo zbyt wiele wiem.

Odwróciłem się do niego i zmierzyłem wzrokiem jego skuloną postać w nagłym przypływie litości. Kiedy go pierwszy raz spotkałem, był mężczyzną - młodym i pełnym najlepszych chęci, pragnącym pozostawić na świecie swój ślad. Dwadzieścia lat, w czasie których kierowałem nim jak marionetką za pomocą moich strun głosowych,

odebrało mu wszelką własną inicjatywę i zmieniło w bezmyślny wrak człowieka, który teraz widziałem przed sobą. Pozbawiłem go niezależności i własnego zdania do tego stopnia, że nie był zdolny sam przetrwać w bezlitosnym świecie. Może byłoby lepiej, gdybym zakończył jego próżne cierpienia tamtej nocy... ale doskonale wiedziałem, że nie mógłbym tego zrobić.

- Podejdź tu - powiedziałem do niego.

Przybliżył się powoli, powłócząc nogami... ze schyloną głową, pełen rezygnacji i poddania. Ścisnęło mnie w gardle na widok jego bolesnej apatii.

- Jeśli kiedykolwiek opowiesz komuś o tym miejscu, przysięgam, że cię zabiję - zwróciłem się do niego stanowczo, lecz spokojnie. - Jeśli zdradzisz mój sekret, dopadnę cię, choćbyś nie wiem gdzie się ukrył. Nie będzie dla ciebie bezpiecznego miejsca na ziemi. Ale jeśli obiecasz mi, że będziesz milczał, postaram się, by tobie i twojej rodzinie niczego nie zabrakło.

Podniósł głowę z niedowierzaniem.

- Nie - nie rozumiem, monsieur - zająknął się. - O co mnie pan prosi?

- Skoro mam żyć tutaj w świętym spokoju, będę potrzebował pośrednika do kontaktów ze światem. Znasz moje zwyczaje i wymagania. Godzinę przed świtem w pierwszą niedzielę każdego miesiąca przyjedziesz dorożką na Rue Scribe i zaczekasz tam na mnie. Będziesz mi dostarczał wszystkiego, co będzie mi potrzebne. W zamian za to będę ci płacił

pensję wysokości dziesięciu tysięcy franków miesięcznie.
Rozdziawił usta ze zdumienia i przetarł rzadki wąsik.
- Dziesięć tysięcy! - wykrzyknął zduszonym głosem. - Dziesięć tysięcy?!
Wzruszyłem ramionami.
- Chyba sam przyznasz, że tyle wystarczy, jako zapłata za drobne sprawunki. Masz do wykształcenia dziewięcioro dzieci i jeśli któreś z nich nie wygra konkursu o Grand Prix de Rome, ty będziesz mi się z tego tłumaczył. Oczywiście, nie każę ci tłumić ich zainteresowań - na przykład medycyna to bardzo szlachetne zajęcie. I mam nadzieję - dodałem łagodnie, patrząc na wielkie organy zajmujące całą ścianę - że choć jedno będzie przejawiało talent do muzyki...
Jules kompletnie zaniemówił, głos zamarł mu w gardle. Ta wygórowana suma przekonała go skuteczniej, niż puste pogróżki, że ma do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem, którego humorów nie należy lekceważyć.
Właściwie, sam nie bardzo wiedziałem, w jaki sposób wywiążę się z tego zobowiązania. Miałem nadzieję, że coś wymyślę.
Zanim pożegnaliśmy się nad brzegiem jeziora, Jules zawahał się przez chwilę i spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałem nazwać.
- Co pan będzie tu robił, całkiem sam? - zapytał nagle. - Czym wypełni pan czas? Nie obawia się pan monotonii?
Spojrzałem w głąb ciemnego korytarza; niespodziewanie zaniepokoiło mnie jego pytanie.

- Zajmę się muzyką i badaniami naukowymi - odparłem niewyraźnie.
- Ale będzie pan tu całkiem sam, monsieur - nalegał.
- Zawsze byłem sam - odpowiedziałem.
Pozostawiłem go stojącego na nabrzeżu z latarnią, wsiadłem ponownie do małej łódeczki i powiosłowałem na drugą stronę.

Drugiego stycznia 1875 roku byłem właśnie zajęty sprawdzaniem wytrzymałości ośmiu obciążników utrzymujących żyrandol nad widownią, gdy zjawił się przy mnie Garnier. Z miną pełną złości i rozżalenia wręczył mi list.
- Tylko spójrz! - wycedził przez zęby. - Tego już za wiele!
List był od de Cumonta z Ministerstwa Kultury i Sztuki i informował Garniera, że zarezerwowano dla niego sześć miejsc w deuxieme loge na wieczór inauguracyjny, “odpisując z jego rachunku sto dwadzieścia franków”.
- Toż to bezczelność! - wykrzyknąłem.
- Wiedziałem, że mogę na tobie polegać, że się ze mną zgodzisz. - Mój wybuch złości nieco go uspokoił. - To niewybaczalna obraza, nie sądzisz? Chcą, bym zrobił z siebie głupca, zajmując tak podrzędne miejsca. Chcą mnie publicznie upokorzyć. Wiesz co, mogą się wszyscy dać wypchać razem z ich cholernymi zaproszeniami. Nawet nie mam zamiaru wziąć w tym udziału po czymś takim! Zostanę w domu i poczytam książkę.

- Nie bądź głupi, Charles. - Westchnąłem. - Nie widzisz, że tego właśnie od ciebie oczekują?

Przez chwilę panowała cisza. Dopiero wtedy zorientowałem się, że powiedziałem do niego po imieniu. Spojrzał na mnie zmieszany, trochę zawstydzony, ale bez złości - co dziwniejsze, wręcz przeciwnie.

- Zgodzisz się ze mną, że jest to wyrachowany atak o podłożu politycznym... - dodał niepewnie.

- Ależ oczywiście. Dlatego musisz stawić im czoła. Zawstydź ich swoim przybyciem. Obiecuję ci, że to ci się opłaci. To twój wielki dzień, ukoronowanie piętnastu lat niewolniczej pracy nad realizacją twojego marzenia. Nikt nie ma prawa ci tego odbierać. Choćby ci dali miejsce w piwnicy, i tak jesteś największym architektem we Francji. Musisz przyjść... jeśli tego nie zrobisz, będziesz tego żałował do końca życia. Żal to wyniszczające uczucie, zniszczy cię i wypali od środka, aż nie pozostanie nic, prócz zgorzknienia i rozpaczy. Nie pozwól sobie tego zrobić.

Garnier spojrzał na obciążniki żyrandola.

- Czasem mnie zawstydzasz swoim współczuciem - powiedział cicho. - Oczywiście, że przyjdę. Czy ty też tam będziesz, Eriku?

- Tak. Nie zobaczysz mnie, ale będę tam. Będę patrzył na twoje wielkie zwycięstwo.

- Nasze zwycięstwo - poprawił mnie zdecydowanie. - Nasze wspólne zwycięstwo, Eriku.

Po czym, ku mojemu największemu zdumieniu, uścisnął moją dłoń.
To była pamiętna noc, piąty stycznia 1875 roku. Ukryty powyżej Grand Escalier patrzyłem, jak zbiera się tłum. Wystrojona śmietanka towarzyska Paryża przedefilowała marmurowymi schodami. Niektórzy byli biedniejsi o tysiąc franków, tyle bowiem kosztował bilet wstępu na czarnym rynku. Ja sam, który nie zapłaciłem nic za zaszczyt oglądania koronowanych głów przechodzących przed moimi pełnymi pogardy oczami, byłem szczerze ubawiony widząc sztuczne ukłony i wylewne powitania, które miały tam miejsce. Ilu monarchów by nie skazała na stracenie, Francja zawsze zachowa ukryty podziw dla błękitnej krwi. Odruchowa służalczość i pochlebstwa wobec zwierzchników są równie oczywiste, jak zapach cebuli na rękach wieśniaka. Król, cesarz, prezydent... Nie ma znaczenia, jak go nazwą - czołobitna pokora pozostaje, pomimo rozruchów społecznych i rewolucji. Wolność, równość, braterstwo - to tylko złudzenia stworzone dla omamienia biedaków.
Wysłuchaliśmy w ciągu tego wieczoru utworów Meyerbeera, Rossiniego i Delibesa. Widziałem, jak publiczność lustruje premiere loge, daremnie wyglądając tam Garniera. Po przedstawieniu znaleziono go, gdy schodził główną klatką schodową. Zgotowano mu spontaniczną owację.
- Brawo, Garnier! Brawo, brawo...
W pewnej chwili spojrzał w stronę sufitu, jakby czegoś tam szukał, a potem, onieśmielony oklaskami, schylił głowę i chyłkiem ruszył do

powozu chwytając się nerwowo ramienia żony. Byłem za daleko, by zobaczyć wyraźnie, ale wiem, że płakał. To wspaniałe uczucie, gdy ktoś doceni twoją pracę, a nikt nie zasługiwał na to bardziej, niż on - wielki architekt... szlachetny człowiek. Bardzo się cieszyłem, że publiczność postanowiła pomścić go na swój prosty i szczery sposób. Nie byłem z tego powodu zazdrosny ani rozgoryczony. Nie liczyłem się zbytnio z opinią ludzi; wyrosłem już z dziecięcej potrzeby bycia zauważanym.
Wreszcie galowy wieczór dobiegł końca i wszyscy rozeszli się do domów. Wypchane manekiny i ich mizdrzące się, wyfiokowane żony. Zostałem sam pośród cichego majestatu ogromnej, dwuskrzydłowej klatki schodowej, oświetlonej po obu stronach wielkimi kandelabrami. Czułem się jak król, cesarz, bóg... Mogłem nareszcie przechadzać się do woli po moich włościach wolnych od wulgarnego tłumu.
Całą noc chodziłem po budynku. Byłem wszędzie, dokąd tylko sięgało moje królestwo; otwierałem i zamykałem wytrychem dwa i pół tysiąca drzwi. Ale kiedy przechodziłem przez wielkie główne foyer oświetlone dziesięcioma kryształowymi żyrandolami, odruchowo odwróciłem wzrok od luster. Te okrutne narzędzia tortur znajdowały się w moim pałacu na każdym kroku; wystarczało niebaczne spojrzenie w bok, by przeszył mnie dojmujący ból. Ale każde piękno musi mieć swoją skazę, w każdym szczęściu jest okruch cierpienia. Lustra przypominały mi, dlaczego tu jestem; dlaczego nie mogę po prostu wyjść stąd jak Garnier. Pęd do tworzenia wypalił się we mnie w ciągu piętnastu lat nieustannej,

morderczej pracy. Teraz pragnąłem już tylko posiąść to, co stworzyłem. By cię mieć i zachować, od tego dnia na zawsze... póki śmierć nas nie rozłączy...
Wiedziałem, że tej nocy odrzuciłem na zawsze świat poza tymi murami.

Tylko jeden mały problem zakłócał perspektywę mojego chwalebnego odosobnienia.
W chwili arogancji i szaleństwa obiecałem Julesowi dziesięć tysięcy franków miesięcznie. Oczywiście, nie miałem obowiązku się z tego wywiązywać - mogłem bez trudu trzymać tego biednego człowieka w strachu do końca jego dni. Ale nienawidziłem złamanych obietnic i zlekceważonych zobowiązań; dane słowo było dla mnie świętością. Rozczarowanie to takie wyczerpujące uczucie - marnujesz całą energię wpierw na upartą nadzieję, a później na bezproduktywny, jałowy żal. To tak, jakby czekać na prezent urodzinowy, którego się nigdy nie dostanie... Coś okropnego!
Tak więc musiałem jak najszybciej postarać się o dziesięć tysięcy franków miesięcznie, albo nie minie rok, jak znowu stanę się nędzarzem. A to by mi się wcale nie podobało! Człowiek szybko się przyzwyczaja do wygodnego życia. Pieniądze pozwalają na nabycie tylu rzeczy, dają tak wspaniałą niezależność. Zresztą, nawet bez Julesa, musiałem zarobić na swoje kosztowne upodobania. Lubiłem eleganckie stroje uszyte przez najlepszych krawców; podobały mi się płaszcze i garnitury idealnie

skrojone z dobrych materiałów. Chciałem mieć w swojej bibliotece wszystkie najpiękniejsze książki świata, chciałem mieć dostęp do najnowszych osiągnięć nauki. Potrzebowałem też morfiny, a czasem też czegoś do jedzenia. Aisza lubiła wędzonego łososia i kawior...
Naprawdę, nie mogłem sobie wyobrazić, że wystarczy mi mniej, niż dwadzieścia tysięcy franków miesięcznie.
Absurd! Niby skąd miałbym wytrzasnąć tyle pieniędzy!?
Chociaż może...
Nagle wpadłem na naprawdę niesamowity pomysł.

Sam pomysł nie był nowością, tylko jego zastosowanie.
Wiele lat temu, gdy pracowałem samotnie nad systemem tajemnych przejść, przyszło mi do głowy, że mauzoleum tej miary bardzo by się przydał duch. Duchy to ukłon w stronę przeszłości; dodają miejscu charakteru, aury tajemniczości i uroku.
- Naprawdę przydałby się tu duch - zauważyłem kiedyś żartobliwie w rozmowie z Garnierem, kiedy wznowiono pracę nad Operą. Roześmiał się tylko i stwierdził, że rząd nie zechciałby tego finansować. Ministra trafiłby szlag na miejscu na wzmiankę o kolejnych pieniądzach, zresztą i tak skąd możnaby wziąć ducha.
- Dajmy ogłoszenie w Revue theatrale - zaproponowałem niewinnie.
- Czyżby? - zapytał zachwycony. Na chwilę wygładziły się zmarszczki, które czyniły go starszym o jakieś dwadzieścia lat od mężczyzny,

którego pamiętałem z naszego pierwszego spotkania. - A jak to sformułujemy? “Potrzebny duch. Wymagane doświadczenie i dobry charakter. Umiejętność śpiewu tenorem mile widziana.”
- To powinno wystarczyć - stwierdziłem poważnie. - Założę się, że nie opędzimy się od ofert.
- Tak - powiedział ocierając łzę z oka. - Z pewnością. Przydałby się tu duch... Wiesz co, Eriku? Bez twoich złośliwych komentarzy już dawno bym stracił zmysły przy tej robocie. Duch... to dobre... będę to musiał powtórzyć Louise.
Odszedł roześmiany.
O to mi właśnie chodziło, by go choć trochę rozśmieszyć. Ciężko chorował w ciągu miesięcy, odkąd wybuchła Komuna i wciąż nie wyglądał na dość silnego, by stawić czoła Trzeciej Republice - pogróżkom ministra i nie kończącym się oskarżeniom o defraudacje i niegospodarność, które sypały się na niego podczas, gdy koszta Opery gwałtownie wzrastały... Tak, pomysł z duchem zaczął się od żartu, wymyślonego, by zabawić przepracowanego, schorowanego przyjaciela. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, że stwarza to dla mnie pewne możliwości.
Potrzebny duch. Wymagane doświadczenie i dobry charakter...
Byłoby zabawnie odpowiedzieć na tę ofertę pracy. W końcu, miałem wymagane doświadczenie. Zdarzało mi się już być duchem, i to zupełnie niezłym. Niezbyt się starając, doprowadziłem moją matkę na skraj

szaleństwa, a nie miałem wtedy jeszcze nawet skończonych dziesięciu lat. Miałem do tego zdolności, z pewnością bym sobie poradził.
Zaczęło się to jako gra. Pozwalałem, by ujrzano mnie przez chwilę w ciemnych korytarzach; pojawiałem się i znikałem dzięki zręcznie ukrytym przejściom i zapadniom. Parę niewinnych sztuczek i iluzji spowodowało, że moja budząca respekt reputacja rosła wśród corps de ballet. W większości były to głupiutkie dziewczynki, które uwielbiały, by je straszyć przesuwającymi się po ścianie cieniami czy głosem dochodzącym nie wiadomo skąd. Wkrótce nie rozmawiały już w swoich garderobach o niczym innym, jak tylko o “tym duchu”. Te nieliczne, którym udało się mnie zobaczyć, uważały się za wyróżnione i zachowywały pełne szacunku milczenie, podczas gdy reszta zmyślała na potęgę. Wstrętne, małe kłamczuchy, no tak, oczywiście, ale któż miałby im to za złe? Na pewno nie ja! Nie ma legendy bez odrobiny artystycznego zmyślenia; każda historia może tylko zyskać, jeśli opowiada się ją ciekawie i z wyobraźnią. A te dziewczynki miały niesamowitą wyobraźnię! Czasami lepszą niż ja sam; zdarzało mi się robić notatki do wykorzystania w przyszłości!
Ta gra trwała w najlepsze już od pewnego czasu, kiedy zauważyłem, że może mi dostarczyć czegoś więcej, niż tylko płochej rozrywki. Duch Opery zmęczył się nieco swoją rolą darmowego widowiska. Może powinien zgłosić się do dyrekcji po pensję...
Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej podobał mi się ten

pomysł. Baletniczki wymyśliły dla mnie miano Upiora Opery - brzmiało to intrygująco i całkiem przypadło mi do gustu. “Upiór Opery” to było coś - nie byle jaki duch!

Coraz częściej myślałem o sobie w ten sposób.

*

Patrząc wstecz, cała sprawa była wręcz karygodnie prosta do przeprowadzenia. Operą kierowali dwaj dyrektorzy; żaden z nich nie był geniuszem, a jeden był z pewnością największym głupkiem w historii teatru. Poligny! Ach, kochany, łatwowierny Poligny - twoje małe słabostki przydały mi się równie bardzo, co twój mizerny móżdżek. Tamtego wieczoru w loży piątej, kiedy pierwszy raz usłyszałeś mój głos, omal nie padłeś trupem ze strachu. W końcu, lepiej nie zadzierać z duchem, który wie aż tyle o czyichś podejrzanych osobistych sprawkach, nie sądzisz? Zwłaszcza, że ten duch ma całkiem niewygórowane wymagania.

Dwadzieścia tysięcy franków miesięcznie i loża piąta pozostawiona do mojej wyłącznej dyspozycji.

Czy to tak wiele?

Ależ skąd! Trudno w dzisiejszych czasach o naprawdę wykwalifikowanego ducha, a nikt nie zaprzeczy, że za swoje pieniądze dostawałeś usługi najlepszej jakości.

Poligny wyszedł z loży blady jak ściana. Poleciłem mu dopisać moje warunki do akt Opery.

Spodziewałem się dłuższej walki, zwłaszcza ze strony jego partnera, Debienne'a, ale jeden niewielki pokaz mojego niezadowolenia wystarczył, by obaj skapitulowali. Moja reputacja, napompowana ponad wszelkie wyobrażenie przez corps de ballet, niebywale mi się teraz przydała. Wszyscy uwierzyli w ducha. To wręcz niewiarygodne, jak szybko udało mi się uzyskać nad nimi władzę i jak rzadko zmuszony byłem przypominać im wyraźniej, kto tu rządzi. Odrobina magii, odrobina brzuchomówstwa i mogłem z nimi zrobić, co chciałem.
W podobny sposób udało mi się uzyskać nieocenioną współpracownicę w osobie Madame Giry, która odpowiadała za stan lóż. Starsza pani przejęła funkcję pośrednika i w ten sposób ustaliliśmy niezawodną metodę pobierania przeze mnie mojej nietypowej pensji. Owszem, próbowali mnie wyśledzić; oczywiście, że próbowali. Ciągłe porażki tylko potęgowały ich strach przede mną, a Poligny nie chciał nawet słyszeć o wmieszaniu do sprawy policji - zbyt wiele miał do ukrycia.
Kiedy już ustaliła się pewna rutyna mojego życia, czas płynął leniwie i żadne emocje nie zakłócały mi spokoju. Słuchałem co wieczór oper i z chłodną obojętnością studiowałem śpiew. Pisałem listy do dyrekcji, ilekroć miałem jakieś uwagi. Notatki podpisane U.O. pojawiały się w niewyjaśniony sposób na biurku pomimo zamkniętych na klucz drzwi i nieodmiennie wprawiały Poligniego w zły humor na resztę dnia.
Czasami narzekałem ot tak, dla zabicia czasu i aby ich nieco podkręcić. Bywało, że wtrącałem się do spraw obsady. Dopilnowałem, żeby córka

Madame Giry, Meg, została przeniesiona do pierwszej grupy baletu. Mała tańczyła nie gorzej od innych dzieci, a mogłem tak skromnym nakładem środków sprawić, żeby jej owdowiała matka była z niej dumna. W większości przypadków jednak nie interesowałem się zbytnio przedstawieniami; uważałem, że reprezentują mierny poziom. Niewielu ludzi przychodziło do Opery ze względu na piękną muzykę; chcieli oglądać innych i sami być oglądani.
W tamtym czasie na większość spraw reagowałem obojętnością - byłem w końcu człowiekiem w średnim wieku, utraciłem już zapał młodości. Byłem jak wysoka świeca żałobna, paląca się spokojnym płomieniem aż do jeziora czarnego, roztopionego wosku.
Emocje i żal były już poza mną; chętnie myślałem, że w ten sposób doczekam końca swoich dni.
Nie spodziewałem się, że znowu coś poczuję...

Sześć lat upłynęło w miarę spokojnie; wiedziałem o tym, ponieważ z niemal religijną gorliwością skreślałem dni z kalendarza. Zbyt łatwo byłoby zatracić poczucie czasu w otaczającej mnie ciemności i rozpocząć powolne staczanie się w otępienie. Błoga beztroska mogła doprowadzić jedynie do tego, że zostałbym pojmany. Zaryzykuję twierdzenie, że z każdym mijającym rokiem stawałem się coraz bardziej ekscentryczny, ale dokładałem wszelkich starań, by nie stracić swych umiejętności i pozycji społecznej, która pozwalała mi spełniać wszystkie

moje zachcianki. Jules dbał o to, by moje smokingi były zawsze w idealnym stanie i żebym nie musiał dwa razy zakładać tej samej koszuli. Pierwszym pomieszczeniem w moim domu, którego wystrój ukończyłem, była ogromna, luksusowa łazienka z egzotyczną wanną z zielonego marmuru. Później dodałem drugą łazienkę za gościnną sypialnią. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, z pewnością nie zamierzałem przyjmować gości! Po prostu miałem ochotę urządzić jeszcze jedną łazienkę.

No tak, minęło całe sześć lat samotności i dogadzania sobie, nim przeżyłem pierwszy z, jak się miało okazać, serii niesamowitych szoków.

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Był styczeń 1881 roku. Ledwie zapadał zmrok, na Paryż spływała ponura, zimna mgła. Opanowało mnie dziwne pragnienie, by zażyć nieco ruchu na świeżym powietrzu, więc jeszcze przed spektaklem wybrałem się do miasta na spacer ciemnymi ulicami. Maskę ukryłem pod kapturem szerokiej peleryny, tak więc nie budziłem zainteresowania przechodniów. Wyglądałem po prostu jak jeszcze jeden zziębnięty Paryżanin, śpieszący do domu przed wiszącym w powietrzu deszczem.

Doszedłem do Rue de Rivoli i przyglądałem się smutnym, poczerniałym zgliszczom pałacu Tuileries, kiedy porywisty wiatr rozegnał mgłę i przygonił burzowe chmury. Ruszyłem z powrotem. Zaczęło się prawdziwe oberwanie chmury; deszcz lał się strumieniami z ołowianego

nieba i w ciągu kilku minut ulice pokryła warstwa wody. Zaczynamy się starzeć, kiedy stwierdzamy, że przeszkadza na fakt, że przemokniemy na deszczu. Zniecierpliwiony podniosłem władczym gestem rękę i zatrzymałem przejeżdżającą dorożkę.

Dorożka przystanęła w małym zaułku przede mną i woźnica właśnie czekał, aż do niego podejdę. W tej chwili, z budynku mieszkalnego po tej samej stronie ulicy wyszedł mężczyzna. Na widok dorożki, ruszył do niej biegiem z okrzykiem radości. Widziałem go od tyłu, ale ubrany był równie elegancko jak ja, nietrudno więc było się domyślić, dokąd zmierza.

- Przepraszam, monsieur, to moja dorożka - syknąłem z taką wrogością, że zaskoczony mężczyzna cofnął się o krok.

Instynktownie odwracając od niego twarz, wskoczyłem do środka, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zastukałem złotą gałką laski dając znak woźnicy.

- Do Opery! - rzuciłem krótko i usiadłem wygodniej, czekając aż ruszymy.

Ku memu najwyższemu zaskoczeniu, drzwi otwarły się, a dorożka zakołysała pod ciężarem mężczyzny, który wsiadł do środka.

Spojrzałem na niego, ale nie wymówiłem przekleństwa, które cisnęło mi się na usta.

- Jedź, przyjacielu - spokojnie powiedział intruz. - Tak się składa, że ja też wybieram się do Opery. Ten pan i ja znamy się bardzo dobrze i

wiem, że będzie szczęśliwy, mogąc jechać w moim towarzystwie... Czyż nie, Eriku?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Patrzyłem tylko w twarz Chana Nadira oniemiały ze zdumienia.

- Zgadza się pan, monsieur? - zawołał woźnica niepewnie.

- Tak - rzuciłem w odpowiedzi. – Jedź!

Kiedy dorożka dojechała do szerokiej ulicy, Nadir zdjął cylinder i rękawiczki i położył je na siedzeniu obok siebie. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, były jego włosy. Niegdyś bujne i czarne, teraz przerzedziły się i posiwiały; wyglądał co najmniej na sześćdziesiąt lat. Nie wierzyłem własnym oczom, byłem przerażony odmianą w jego wyglądzie.

- No cóż, Eriku - powiedział - a to dopiero miła niespodzianka.

- Wszystko zależy, jak na to spojrzeć - odparłem, próbując pokryć zmieszanie sarkazmem. - Co ty, u diabła, robisz w Paryżu po tych wszystkich latach?

- Och. - Wzruszył ramionami. - Mieszkam tu od dawna, odkąd tylko wypuścili mnie z Mazandaranu.

- Wypuścili? - powtórzyłem pełen najgorszych obaw. - Długo cię więzili?

- Pięć lat - powiedział obojętnie.

Wyjrzałem na mokre od deszczu ulice, z żalu i złości zaciskając rękę na lasce. Mój Boże! Pięć lat w więzieniu w Mazandaranie! Nic dziwnego, że wyglądał na przeszło sześćdziesiątkę... To cud, że w ogóle uszedł z

życiem!
I co ja mam teraz z tym wszystkim zrobić, kiedy wpadłem na jedynego człowieka, którego nie umiałem po prostu wykreślić z mojego życia? Powinienem zaprosić go do domu?
Nie mógłbym! To wykluczone! Nie do pomyślenia! Nie żyjemy dłużej na tym samym świecie. Teraz, po ponad dwudziestu pięciu latach rozłąki, nie mielibyśmy już wspólnych tematów do rozmowy.
- Wyjechałeś z Mazandaranu z własnej woli? - zapytałem ostrożnie.
Nadir roześmiał się.
- Powiedzmy, że nie namawiano mnie, bym został. Mój majątek został skonfiskowany, ale przyznano mi skromną pensyjkę z cesarskiego skarbca z uwagi na moje szlachetne pochodzenie. Wystarczyło mi, by rozwinąć zamiłowanie do opery. Wykupiłem karnet i przychodzę tak często, jak tylko mogę.
- Nie masz loży? - zapytałem oburzony.
- Oczywiście, że nie. Ledwo mi wystarcza -
- Będę się musiał tym niezwłocznie zająć. Od razu porozumiem się z dyrekcją.
Wydawał się zaskoczony.
- Z dyrekcją?
O psiakrew! Co mnie podkusiło, żeby to mówić?!
- Mam znajomości w Operze - stwierdziłem wymijająco.
- Znajomości? - wyraz jego twarzy zmienił się nagle.

- Pracowałem przy jej budowie - pospieszyłem z wyjaśnieniem. - Widzisz, wybudowałem ten gmach własnymi rękami.
- Ach tak. - Uspokoił się i usiadł wygodniej. Miejsce obaw zajął wyraz zadowolenia. - Spodziewam się, że taki wyczyn inżynierii zapewnił ci mnóstwo innych zleceń.
- To nie był żaden wyczyn inżynierii - odparłem zimno - tylko dzieło miłości. Nie obchodzą mnie kolejne zamówienia. Odkąd ukończyłem pracę nad tym budynkiem, nie przyjąłem żadnego kontraktu.
Nie wiem, dlaczego mu to powiedziałem. Czy ja kompletnie postradałem rozum? Dlaczego po prostu nie potwierdziłem dla świętego spokoju?
Na szczęście dorożka zatrzymała się przed wejściem do teatru. Otworzyłem mu drzwi i gestem wskazałem, by wysiadł. Stojąc na chodniku odwrócił się do mnie zaskoczony, kiedy nie ruszyłem za nim.
- Nie idziesz dziś na przedstawienie? - zapytał zdumiony.
- Nie bywam w Operze, chyba że służbowo.
- Ale przecież twoja praca skończyła się wraz z ukończeniem budowy.
- Pozostały inne obowiązki - powiedziałem.
Jego dłoń w rękawiczce zacisnęła się na klamce dorożki. W jego ciemnych oczach odmalowało się podejrzenie.
- Eriku, nie podoba mi się sposób, w jaki o tym mówisz. Mam złe przeczucia.
- Lepiej się pospiesz - powiedziałem, ignorując go. - Kurtyna idzie w górę za piętnaście minut, a ja się spieszę do domu.

- A gdzie mieszkasz? - zapytał nagle.
- To nie twoja sprawa, nic nikomu do tego.
- Ale gdzieś w pobliżu? - nalegał. - Kazałeś dorożkarzowi jechać do Opery, zanim zorientowałeś się, że to ja. To musi być niedaleko.
Wzruszyłem pogardliwie ramionami.
- Wciąż masz naturę policjanta, Nadir. Wiecznie tropisz po śladach jak pies gończy? Trudno jest się pozbyć starych nawyków, co?
- Nie myśl sobie, że zmylisz mnie swoją złośliwością - odparł. - Dlaczego miałbyś się przede mną ukrywać? Czy nie zasługuję na twoje zaufanie?
Pod maską przygryzłem wargę do krwi.
- Nigdy nie zapraszam gości - odpowiedziałem.
- Eriku - jęknął Nadir z nieukrywaną troską. - Co ty chcesz przede mną ukryć? Co ty znowu zrobiłeś?
Pochyliłem się do przodu i zmierzyłem go lodowatym spojrzeniem.
- Tu nie jest Mazandaran - powiedziałem zimno. - W tym kraju nie podlegam twojej jurysdykcji. A teraz słuchaj, i to uważnie. Zabraniam ci mnie śledzić. Ostrzegam cię bardzo poważnie; ktokolwiek spróbuje włamać się do mojego domu bez mojej wiedzy, gorzko tego pożałuje. A chyba dobrze wiesz, że nie należy lekceważyć moich ostrzeżeń. Przypomnij sobie skorpiona... Przypomnij sobie skorpiona i trzymaj się z daleka od mojego domu... Zrozumiałeś, Nadir? Trzymaj się z daleka!
Wypuścił klamkę i odsunął się posłusznie od dorożki. Nie przeszkadzał,

gdy odjechałem, ale chociaż wiedziałem, że tego wieczora mój sekret jest bezpieczny, nie czułem się pewnie.
Zdawałem sobie sprawę, że nie mam nad nim kontroli, że nie uda mi się manipulować nim przy pomocy głosu. To nie był Jules, miał zbyt silną wolę i dobrze wiedział, czego chce.
Jeśli się uprze mi sprzeciwić, nie będę w stanie temu przeszkodzić.
Od tego wieczoru widywałem go w Operze wielokrotnie, aż zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób jego wcześniejsza obecność mogła ujść mojej uwadze. Musiałem chyba chodzić z zamkniętymi oczami!
Nadir buszował po budynku poza godzinami przedstawień, przepytywał setki pracowników gmachu, notował odpowiedzi w małym czarnym notesie i generalnie robił z siebie pośmiewisko. Był uparty i efektywny jak zawsze, wiedziałem, że tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy uda mu się uzyskać kilka bardzo interesujących odpowiedzi. Czułem się zagrożony.
Pewnego wieczora, jakieś dwa miesiące od naszego pierwszego spotkania, po powrocie do domu usłyszałem dźwięk dzwonka alarmowego. Wiedziałem, że nad jeziorem nie ma nikogo... To mogło być tylko z sali lustrzanej. Ktoś wszedł do sali tortur!
Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy pomyślałem, kto to może być. Wyłączyłem dopływ elektryczności i w panice ruszyłem biegiem do lustrzanej komnaty. Pomieszczenie wciąż było rozgrzane jak piec, ale teraz było tam ciemno, że oko wykol. Dostrzegałem tylko zarys ciała

zwieszającego się z gałęzi żelaznego drzewa stojącego w rogu.
Stałem całkowicie nieruchomo, sparaliżowany z przerażenia; nie mogłem nawet krzyczeć. Poczułem silny ucisk w klatce piersiowej i dziwną bezwładność w lewej ręce.
Dlaczego? Dlaczego jedyną ofiarą tej nikomu do niczego niepotrzebnej pułapki musiał być mój uczciwy, uparty, nieustraszony przyjaciel? To moja wina... to wszystko moja wina... Wiedziałem, jaki on jest, trzeba było rozmontować całe to urządzenie, póki jeszcze był czas.
Ostrzegałem cię, Nadir... Ostrzegałem cię, żebyś tu nie wchodził!
Upłynęło wiele czasu, zanim udało mi się opanować rozpacz i strach na tyle, by odciąć nieszczęśnika i włączyć światło.
Poczerniała, wykrzywiona twarz z wytrzeszczonymi oczami była zmieniona prawie nie do rozpoznania. Potrwało z minutę, zanim zorientowałem się, że wcale nie patrzę na Nadira. Poczułem tak ogromną ulgę, że wybuchnąłem histerycznym śmiechem.
Wróciłem do salonu, usiadłem przy pianinie i zacząłem grać Preludium b-moll Chopina, sotto voce, aż uspokoiłem się na tyle, że mogłem w miarę spokojnie i racjonalnie przyjrzeć się zwłokom.
Wystarczyło mi spojrzeć na jego ubranie, by rozpoznać tego człowieka. Znałem go; nazywał się Joseph Buquet i był jednym z głównych techników scenicznych. Mieliśmy kiedyś nieszczęście spotkać się na schodach przy rampie, które prowadziły do piwnicy. Nie miałem na twarzy maski i biedak miał okazję dobrze mi się przypatrzeć. To on

odpowiadał za kilka autentycznych opisów, które słyszało się w garderobach corps de ballet.

Nie miałem pojęcia, jakim sposobem dostał się do mojej kryjówki. Może przypadkowo nacisnął dźwignię, która przesuwała kamień w trzeciej piwnicy. Jeśli tak było, musiałem wymienić mechanizm, żeby trudniej go było otworzyć. Naprawdę nie mogłem sobie pozwolić, by ludzie wpadali tak do mnie co chwila!

Spojrzałem na niego z odrobiną żalu i sporą dozą irytacji. Czy to ja zapraszam ludzi, żeby tu przychodzili i popełniali samobójstwa? Czy ich kuszę, by plątali się po tych lochach? Skoro nie, to nie byłem winny tej śmierci; nie byłem za to odpowiedzialny. Nie było w tym większej winy, niż gdy właściciel domu trzyma naładowany pistolet dla ochrony przed złodziejami.

A poza tym, to nie było morderstwo, tylko samobójstwo. A jeśli człowiek chce się zabić, to kim ja jestem, by go powstrzymywać?

Nie chciałem wrzucać ciała do jeziora. Nawet po obciążeniu, trupy mają niemiły zwyczaj wypływać na powierzchnię, kiedy spuchną od zbierających się wewnątrz gazów.

Doszedłem do wniosku, że skoro Buquet zabił się w moim domu, równie dobrze mógłby to zrobić w trzeciej piwnicy. Dlatego też na kilka godzin przed podniesieniem kurtyny przeniosłem tam biedaka i powiesiłem go porządnie, niby płaszcz na wieszaku. To był stary człowiek i niewątpliwie miał za sobą ciężkie, smutne życie. Może nawet

wyświadczyłem mu przysługę...
Znaleziono go pod koniec przedstawienia, ale jego zgon wywołał niewiele komentarzy. Przyszedł policjant, zadał kilka rutynowych pytań, ziewnął i poszedł sobie. Jeszcze jedno samobójstwo i pogrzeb w niepoświęconym grobie, nic więcej - na pewno nie sprawa, która wymagała zainteresowania paryskiej Surete!
Postanowiłem zapomnieć o tym przykrym wypadku, ale pod koniec tygodnia, kiedy wszedłem do loży piątej, znalazłem na fotelu kopertę zaadresowaną “Do wiadomości U.O.”.
Nie musiałem nawet otwierać; doskonale wiedziałem, co jest w środku.
Dokładnie o ósmej tego wieczora zapukałem do drzwi mieszkania Nadira przy Rue de Rivoli.
Dariusz wpuścił mnie do środka...

- A więc to ty jesteś Duchem Opery! - stwierdził Nadir ponuro. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo miałem nadzieję, że się mylę!
Zdjąłem płaszcz i nie czekając na zaproszenie usiadłem w fotelu przy kominku. Zdruzgotany rozejrzałem się po biednym mieszkaniu. Było najwyraźniej jasne, że cesarska pensyjka nie zapewniała Nadirowi luksusów. Z żalem myślałem o pięknej posiadłości w Persji. Nigdy w życiu nie zgodziłbym się z własnej woli skazać go na wygnanie i życie w tak poniżających warunkach... nigdy!
- Nawet nie masz zamiaru zaprzeczać? - kontynuował Nadir

rozzłoszczony moim milczeniem.
Zdjąłem rękawiczki i włożyłem je do cylindra.
- Co za sens zaprzeczać? Już mnie osądziłeś i skazałeś, czyż nie? Nie wiem tylko, dlaczego się tak złościsz. Jestem raczej nieszkodliwym duchem.
- Nie tego się dowiedziałem, Eriku. Cały teatr się ciebie boi!
- Naprawdę? - Westchnąłem. - Chodzi ci o parę niemądrych dziewczynek i łatwowiernych starszych pań?
- Także o dyrekcję, która spełnia wszystkie twoje żądania!
Zmarszczyłem brwi.
- Świat składa się z ofiar i drapieżników. To naturalne, że przetrwa najsilniejszy. Dobry Boże, chyba spędziłeś w Persji dość czasu, by to zauważyć? Zresztą, nie mam wygórowanych wymagań.
- Dwadzieścia tysięcy franków miesięcznie to dla ciebie niewygórowane wymagania?!
- Mam kosztowne gusta - odparłem.
Machnął ręką w bezsilnej złości i usiadł ciężko w fotelu naprzeciwko mnie.
- Ryzykowałem życie, żeby ciebie uratować - powiedział powoli. - Ryzykowałem dla ciebie wszystko, co miałem!
Starałem się roześmiać.
- Naprawdę, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Wszyscy czasem popełniamy błędy.

- Chciałem, by przetrwał twój niezwykły geniusz - mówił dalej nieporuszony, całkowicie mnie ignorując. - Twoje umiejętności... Twoja niezwykła zdolność czynienia dobra...
- Słucham? - przerwałem mu ironicznie. - Chyba tym razem przeholowałeś. Coś ci się chyba pokręciło.
Ponownie nie zwrócił uwagi na to, co mówię; patrzył na mnie smutno, jakby nie wierzył własnym oczom. Nie mogłem znieść jego wzroku.
- I jak odpłaciłeś za moje poświęcenie...? - dodał przygnębiony. - Zostałeś duchem!
Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać, a ja chciałem się zapaść pod ziemię ze wstydu.
- Przyrzekłeś mi. - Zdawało się, że głos zamrze mu za moment w gardle.
- Przyrzekłeś, że nie będziesz zabijał inaczej, niż w obronie własnej.
Odwróciłem wzrok i spojrzałem w ogień. Odgłos zegara tykającego na kominku zdawał się drwić z nas obu, stwarzając pozory przytulnego domu.
- Starałem się dotrzymać słowa - powiedziałem cicho.
Zacisnął chude dłonie na oparciach fotela.
- Chyba niezbyt się starałeś.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Mówię o Josephie Boquet.
Wzniosłem ramiona na znak, że nie mam z tym nic wspólnego.
- Ten człowiek popełnił samobójstwo. Policja zbadała tę sprawę i to

właśnie ustalili.
- Tak - potwierdził pogardliwie.
- No więc, co to ma wspólnego ze mną?
Nadir wstał i stanął nade mną.
- Czy myślisz, że nie poznam znaku firmowego, kiedy go zobaczę? Ile było samobójstw w Persji, Eriku - pamiętasz może? Pamiętasz? A może już zapomniałeś, utopiłeś w chmurze dymu opium?
Nagle przerwał, schylił się i ujął mnie za prawą rękę. Gwałtownym ruchem podwinął mi rękaw marynarki i koszuli. Przez chwilę przyglądał się zsiniałym śladom na moich pokłutych żyłach.
- Niech mi Allah wybaczy! - mruknął. - To moja wina. Tamtej nocy, gdy przyszedłem cię aresztować, byłeś gotów umrzeć. Nie powinienem był się do tego mieszać. Teraz widzę, że skazując cię na dalsze życie, nie uczyniłem nic dobrego ani dla ciebie, ani dla świata.
Obciągnąłem rękawy, po czym podniosłem z podłogi i zapiąłem złotą spinkę do mankietu.
- Masz zamiar zadenuncjować mnie na policji? - zapytałem obojętnie.
Zaśmiał się krótko.
- Czy pożyłbym dość długo, by to zrobić?
Zmierzyłem go wzrokiem. To był dla mnie szok, że nawet po tylu latach jego słowa wciąż były w stanie mnie ranić.
- Naprawdę sądzisz, że byłbym zdolny do czegoś takiego?
- Nie wiem, do czego byłbyś zdolny, Eriku. Już nie. Nie, gdy w twoich

żyłach płynie morfina.
- Co w takim razie masz zamiar zrobić? - zapytałem smętnie.
- A co mogę zrobić? - odrzucił mi pytanie z niechęcią. - Co mogę zrobić, żeby do końca życia nie cierpieć z powodu wyrzutów sumienia?
- Nadir -
Odwrócił się ode mnie gwałtownie.
- Wracaj do Opery - powiedział zimno. - Strasz tam sobie wszystkich dalej, skoro sprawia ci satysfakcję marnować swój talent w tak dziwny sposób. Szantażuj Poligniego, skoro tak chcesz - z tego, czego zdążyłem się dowiedzieć, ten człowiek zasłużył sobie na to, co go spotyka. Ale jeśli zdarzy się jeszcze jedna niewyjaśniona śmierć w tym budynku - chociaż jedna - przyrzekam ci, że opowiem władzom wszystko, co wiem. I znajdą cię, choćby mieli rozebrać Operę cegła po cegle. Znajdą cię, gdziekolwiek byś się nie ukrył. Będę cię bardzo uważnie obserwował, Eriku. To jest ostatnia szansa, którą ci daję. Następnym razem nie będzie przebaczenia - dla żadnego z nas.
Powoli wstałem i podnosząc laskę, rękawiczki i kapelusz dałem mu do zrozumienia, że chcę wyjść. Nadir odsunął się i pozwolił mi przejść do drzwi.
- Eriku...
Odwróciłem się i spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy widzi resztki mojej zdruzgotanej dumy pod pozorami chłodu.
- Mogłeś być takim wspaniałym człowiekiem - powiedział smutno. -

Mogłeś osiągnąć więcej, niż ktokolwiek inny. Co za szkoda, co za straszna szkoda!

Zszedłem powoli odrapanymi schodami i wyszedłem na ulicę przed domem. Zniszczył mój spokój i zadowolenie; obraził mnie, upokorzył i wygrażał mi. Ludzie ginęli z mojej ręki za przewinienia o wiele mniejsze, niż to, co dziś potulnie przyjąłem od Nadira.

Powinienem był czuć złość, ale byłem tylko smutny - smutny i poniżony bardziej niż kiedykolwiek przez jego gorzkie rozczarowanie.

Chciałem go nienawidzić, ale nie potrafiłem.

Wciąż jeszcze to on był głosem mojego sumienia.

Od tego dnia, Nadir stał się moim cieniem i wiedziałem, że wszystko, co robię, wcześniej czy później zostanie zapisane w tym jego przeklętym notesie. Uważałem jego upór za irytujący w najwyższym stopniu, a jednak dziwnie mi to pochlebiało; prawie... rozczulało. W końcu, aby oszczędzić nam obu niewygody i udręki, zgodziłem się spotykać z nim raz w tygodniu nad brzegiem jeziora. W ten sposób mógł upewnić się na własne oczy, że zachowuję się przyzwoicie.

Nie jestem pewien, czy którykolwiek z nas przyznawał się do prawdziwego powodu tych nieomal rytualnych spotkań. Nadir utrzymywał, że sprawuje nade mną pieczę, a ja zazdrośnie strzegłem swojego terytorium. Mimo to nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, widząc jego znajomą sylwetkę, a gdy się żegnaliśmy, miałem wrażenie, że obu nam sprawia to przykrość. Nie zastanawiałem się jednak nad tym

dłużej.
Zaczynałem pojmować, że on także czuł się samotny. Miał w Paryżu kilku znajomych, czasem też spotykał się z pewną damą o wątpliwej reputacji - szczerze mówiąc, czasami zdumiewały mnie jego wyznania! A jednak w jego życiu czegoś brakowało; była w nim pustka, której nie umiał, lub nie chciał wypełnić. Myślę, że mimo upływu lat nie przebolał utraty żony... i Rezy.
- A, tu jesteś! - mówił szorstko, ilekroć niespodziewanie zjawiałem się przy nim w ciemności. - Znowu się spóźniłeś. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż wystawać tu czekając, aż się wreszcie pojawisz!
Prawda była jednak taka, że nie miał nic lepszego do roboty; bardzo mnie to zasmucało. Jezu Chryste, jak to się stało, że człowiek pełen tak wielkiej wrodzonej dobroci i uprzejmości jak Nadir, zniżył się do tego, by z własnej woli spędzać czas w towarzystwie na wpół oszalałego potwora? Dlaczego po prostu nie kazał mnie aresztować i w ten sposób na zawsze nie pozbył się swego niczym nie uzasadnionego poczucia winy? To nie jego wina, że stałem się mordercą, oszustem i morfinistą. Posępne wody rezygnacji, które zamknęły się nade mną ponad sześć lat temu, były nieustannie mącone przez jego obecność. A przecież pogodziłem się już z losem i postanowiłem przeżyć resztę swoich dni w tępym odrętwieniu w mojej wymyślonej rzeczywistości. Miałem moją muzykę, moje wynalazki, stałe dochody i byłem zadowolony... Byłem zadowolony, do diabła!

A teraz zdjął mnie strach.

Nie chciałem, żeby Nadir wrócił do mojego życia. Nie potrzebowałem nikogo. Jednak cieszyłem się, że czeka na mnie na odległym brzegu jeziora, choć za każdym razem radość ta zmącona była niewyjaśnioną obawą. Znaczyło to, że nie mogę sobie poradzić zupełnie sam, bez ludzi. Potrzebowałem jego słów krytyki, poważnych rozmów, a także śmiechu, który wciąż potrafiłem w nim wywołać. Jeszcze raz poruszałem się po omacku i wiedziałem, że wcześniej czy później natrafię na zimne, żelazne pręty; kuliłem się z przerażenia na myśl o swoim więzieniu. Kiedy przyznałem przed samym sobą, że wciąż jestem w stanie przeżywać normalne ludzkie uczucia, stałem się bezbronny. Odsłoniłem stare, zabliźnione rany na potencjalny cios. Nie byłem już młody i silny; nie miałem mojej wcześniejszej zdolności podnoszenia się na nogi po upadku. Nie zniósłbym więcej bólu.

Moje dawne zamiłowanie do wróżb nigdy mnie nie opuściło, tak więc czasem dla zabicia czasu stawiałem sobie kabałę kartami tarota. Od dawna nie wynikało z nich nic szczególnego, ale ostatnio, ilekroć wyciągałem na chybił trafił kartę z talii, zawsze trafiałem na Śmierć. Śmierć... albo Kochanków.

Nie umiałem tego rozszyfrować, ale dręczyło mnie rosnące przeczucie nieszczęścia. Bardzo wyraźnie czułem, że gdzieś za jeziorem istnieje nóż, który jest właśnie ostrzony, polerowany do połysku i że pewnego dnia spotka mnie nieunikniony cios.

Bałem się... ale sam nie wiedziałem czego.
Tak więc, mimo że spotykałem się z Nadirem, rozmawiałem z nim, cieszyłem się z odnowienia starych więzów przyjaźni, jakaś część mnie patrzyła na niego podejrzliwie. Zastanawiałem się, jaką rolę przeznaczył mu los w tej nieznanej mi operze.
Z pewnością nie rolę kochanka. Widziałem wystarczająco wiele dziewcząt opuszczających jego apartamenty w Persji, by być pewnym, że jego skłonności były całkowicie heteroseksualne.
W takim razie Śmierć...
No nie, z pewnością nie mogło chodzić o jego śmierć! Nie umiałem sobie nawet wyobrazić sytuacji, w której byłbym zmuszony go skrzywdzić - nic na świecie nie byłoby w stanie sprawić, bym popełnił coś tak potwornego.
Skoro więc nie chodziło o jego śmierć, w takim razie o moją.
No cóż, nie bałem się śmierci. Spędziłem większą część swoich pięćdziesięciu lat cierpliwie czekając, aż mnie ona wyzwoli.
Nie, to nie śmierci się obawiałem.
To był ten drugi niewyjaśniony symbol.
W talii tarota są dwadzieścia cztery karty.
Dlaczego nagle byłem pewien, że następną, którą wyciągnę będzie Głupiec?

- Jesteś dziś bardzo podenerwowany - zauważył Nadir surowo. - Nie

lubię, kiedy gapisz się w pustkę i ignorujesz moje pytania. Cały dzień ćwiczysz lewą rękę... Chyba nie chcesz mnie przypadkiem zdenerwować, co? To ci się i tak nie uda.
- Nie gadaj głupstw - rzuciłem obojętnie. - Po prostu zdrętwiała mi ręka, to wszystko.
- Nie dziwi mnie to - mruknął. - Zimno tu jak w grobowcu. Nie wiem, dlaczego nie możemy napić się kawy u ciebie w domu, jak cywilizowani ludzie. To doprawdy nieuprzejmie z twojej strony.
Oczywiście, miał rację. Zachowałem się bardzo niegościnnie, wręcz niegrzecznie, ale mój dom był barykadą odgradzającą mnie od świata i nie mogłem się przemóc, by go tam zaprosić. Kiedy pozna moje sekrety, będę całkowicie zdany na jego łaskę. To by oznaczało bezwarunkową kapitulację - a tej myśli po prostu nie mógłbym znieść.
- Muszę już iść - powiedziałem. Zawsze tak mówiłem, kiedy rozmowa przybierała niewygodny obrót; wycofywałem się do mojej tajemnej kryjówki. - Nie czekaj na mnie w przyszłym tygodniu - dodałem.
- Dlaczego? - zapytał natychmiast. - Co ty znów knujesz, Eriku?
- Obecna dyrekcja odchodzi ze stanowiska. - Westchnąłem. - Obawiam się, że w związku z tym będę dość zajęty przez tydzień lub dwa.
Zmarszczył brwi.
- Chciałbym dokładniej wiedzieć, co planujesz.
- Nic takiego, po prostu małe powitanie. Wiesz, zawsze uważałem Poligniego i Debienne'a za tchórzy, że tak łatwo się poddali.

Usta Nadira rozszerzyły się niemal w uśmiechu, ale w mgnieniu oka wrócił do swej powagi, która kojarzyła mi się z dyrektorem szkoły. Zupełnie jak tamtej nocy, kiedy zaproponowałem, że nauczę go kraść sakiewki.

- Chyba nie zamierzasz odgrywać tych uprzykrzonych sztuczek przed panami Richardem i Montcharminem? - Westchnął.

- A dlaczegóżby nie? Do tej pory było to bardzo opłacalne.

- Miałem nadzieję -

- Na co? - Wybuchnąłem śmiechem. - Że poczuję skruchę i postaram się odpokutować za swe złe uczynki? A może liczyłeś na spowiedź?

Odwrócił się ode mnie gwałtownie.

- Sprawiasz, że cieszę się, że nie jestem katolikiem - powiedział dość gorzko. - Pamiętaj jednak, cokolwiek zrobisz... będę cię miał na oku.

- Nigdy nie spuszczasz ze mnie oka - odparłem wesoło. - Jaka szkoda, że tak mało dostrzegasz.

Po czym zostawiłem go na brzegu jeziora, jeszcze raz wręczywszy mu jego własny zegarek.

Starałem się rozmawiać z Nadirem pogodnie, ale właściwie myśl o zmianie dyrekcji uważałem za okropną niewygodę. Nie mogłem liczyć na to, że następcy Poligniego okażą się równie łatwowierni; a jeśli nic od nich nie uzyskam, moje oszczędności skończą się nader szybko. Nie chodziło nawet o mnie - to, co mam wystarczyłoby mi do życia we względnej wygodzie. Ale Jules miał dwóch synów w Akademii Sztuk

Pięknych, jednego w Akademii Medycznej i jeszcze sześcioro młodszych dzieci, o których przyszłości musiałem pomyśleć.
Nie miałem zamiaru zawieść zaufania człowieka, którego życie zniszczyłem przez własną bezmyślność.
Tak więc, musiałem postraszyć Poligniego - upewnić się, że dopilnuje wszystkiego, co dotyczyło finansów Opery, zanim ostatecznie odda urząd. Musiałem go naprawdę zdrowo przestraszyć.
Krótka notatka na biurku, nakazująca mu przyjść na wieczorne przedstawienie wystarczała, by dyrektor trzęsąc portkami zjawił się w loży piątej. Reszty dokona mój głos.
Wiele razy przerabialiśmy już tę farsę. Nic mnie bardziej nie śmieszyło, niż uniżony ton, z jakim Poligny zwracał się do pustego fotela, skąd pozornie dochodził mój głos. Jego nalana twarz przybierała wyraz takiej służalczej pokory, kiedy rozmawiał z powietrzem. Ukryty w wydrążonej marmurowej kolumnie, czasem z całej siły powstrzymywałem się od parsknięcia śmiechem, obserwując jego absurdalne, płaszczące się gesty. Choćby padł na kolana, nie mogło być w nich więcej szacunku!
Naprawdę uwielbiałem tego drania, był nieprawdopodobnie łatwowierny i pełen przesądów. Nie mogłem się nadziwić, że istnieje ktoś aż tak naiwny i że w dodatku cieszy się powszechnym poważaniem. Był jak tłusta, głupia ryba dyndająca bezradnie na końcu mojej żyłki. Będzie mi go brakowało, to w końcu dzięki niemu żyło mi się tak dostatnio.
Powinniśmy sobie uciąć ostatnią, małą pogawędkę, zanim powiemy

sobie au revoir...

Ukryłem się w loży piątej wcześnie rano, zanim jeszcze ktoś przyszedł do pracy. Miałem w perspektywie długie, nudne oczekiwanie wewnątrz pustej kolumny, nie miałem jednak zamiaru wchodzić do środka, zanim nie stanie się to naprawdę niezbędne. Usiadłem w cieniu i wyciągnąłem Madame Bovary i Salambo. Podobno Flaubert stał się odludkiem, żeby pisać; bardzo mnie to zaciekawiło...

Kiedy dwie godziny później przekartkowałem już obie powieści, z nudów zacząłem studiować program teatralny z zeszłego wieczoru, który zgodnie z moim życzeniem pozostawiła dla mnie na półeczce nieoceniona Madame Giry.

Meyerbeer! Dzięki Bogu, że od tygodni nie pofatygowałem się na przedstawienie. Osobliwy talent, stwierdziłem. Liczył na to, że skomplikowane efekty techniczne zrównoważą braki w jego muzyce. Najbardziej godna uwagi rzecz w La Prophete to wprowadzenie na scenę żywego konia! Przynajmniej Mozart wiedział, że muzyka musi się bronić sama. Don Giovanni, który był właśnie w repertuarze, był naprawdę dobry, a Czarodziejski Flet - uroczy i zabawny. Oczywiście, nie było obecnie w obsadzie nikogo, kto oddałby sprawiedliwość roli Królowej Nocy. Jeszcze nie zdarzyło mi się słyszeć sopranu acuto sfogato, który nie brzmiałby jak gwizdek jakiegoś szalonego sprzedawcy orzeszków. Całe szczęście, że ta rola leżała poza zasięgiem La Carlotty. Naprawdę, głos tej kobiety zmroził mnie do kości. Co za szkoda, że

nasza obecna primadonna nie zatęskni czasem do rodzinnej Hiszpanii... Odrzuciłem program pogardliwym ruchem i z westchnieniem spojrzałem na zegarek. Siódma rano - nie powinienem się dłużej kręcić po budynku. Kiedy wstałem, na widowni zapaliły się nowo zainstalowane elektryczne światła. Z nagłym przestrachem cofnąłem się za zasłonę. Do diabła! Któż to znowu?! Sądząc z piskliwego śmiechu, nie byli to technicy.
Z całą pewnością jakieś rozchichotane dziewczynki z chóru albo baletnice, które uciekły z niekończących się prób w sali za sceną. Normalnie pewno zabawiłbym się niewinnie ich kosztem; dałbym im nowy temat do ploteczek z przyjaciółkami, ale dziś nie byłem w nastroju do żartów. Czułem się dziwnie zmęczony; jakby na mojej piersi złożono wielki ciężar. Chciałem, żeby sobie poszły i zostawiły mnie w spokoju..
Od strony niszy orkiestry dobiegł mnie dźwięk pianina.
- Meg! - usłyszałem nerwowy, dziewczęcy głos. - Na litość Boską, jeszcze cię kto usłyszy i będziemy miały kłopoty. Wiesz, że nie powinnyśmy tu teraz być.
- Ależ z ciebie tchórz, Christine Daaé! Nikt nas nie usłyszy... no może z wyjątkiem Upiora.
- Kogo?
- Upiora. Tylko mi nie mów, że o nim nie słyszałaś - Ducha Opery! Moja droga, gdzie ty żyjesz? Wszyscy wiedzą o Upiorze Opery. Nie... nie śmiej się! To prawda. Popatrz... widzisz piątą lożę... należy do niego. Zawsze tak było, odkąd pamiętam. Nigdy nie sprzedają do niej biletów,

nawet na galowe przedstawienia. Podobno, gdyby to zrobili, na teatr spadłoby straszliwe nieszczęście.
- Skąd ty to wszystko wiesz, Meg Giry?
- Co za różnica, po prostu wiem. Wiemy bardzo dużo na temat tego ducha, mama i ja, ale nie jest bezpiecznie o tym rozpowiadać. I lepiej mi uwierz, dla twojego własnego dobra - on nie lubi ludzi, którzy nie okazują mu szacunku, a kiedy jest zły, zdarzają się różne rzeczy.
- Co na przykład? - W głosie tej drugiej zabrzmiał prawdziwy lęk.
- Straszne rzeczy! - odparła Meg wesoło. - Naprawdę straszne. Podobno podłoga w naszej garderobie spływa krwią...
Stojąc schowany w loży piątej, otworzyłem oczy szerzej ze zdumienia. A to coś nowego! Ta mała Giry powinna pisać powieści gotyckie, a nie rzucać się po scenie ustrojona jak nimfa!
- ... ze ścian wychodzą ręce odcięte od ciała i pełzają po scenie - kontynuowała Meg zadowolona - a ludzie znikają i nikt więcej nie widzi ich żywych. Tak jak Joseph Buquet.
- Myślałam, że ten biedny człowiek się powiesił.
- Och, tak tylko twierdziła dyrekcja, żeby uniknąć paniki. Wszyscy dobrze poinformowani wiedzą, że to sprawka Upiora Opery.
Zmarszczyłem brwi. To już mi się nie spodobało. Mała Meg niech lepiej trzyma język za zębami. To dzięki mnie znalazła się w pierwszej grupie baletu, równie dobrze mogła zostać z niej usunięta po mojej dzisiejszej rozmowie z Polignim.

- Oczywiście, nie zawsze bywa zły - dodała Meg obojętnym tonem. - Czasami jest nawet miły... Wiesz co, nie powinnam ci tego mówić, bo to tajemnica, ale on jest bardzo hojny dla mamy i dla mnie. Dał mi szansę, to dzięki niemu Monsieur Poligny zwrócił na mnie uwagę.
Zrezygnowany, porzuciłem myśl o ukaraniu Meg. Była w końcu tylko dzieckiem; głupiutką gadułą, całkowicie niegroźną i nawet nie zdającą sobie sprawy z tego, że drażni swarliwego, starzejącego się potwora...
- To nie był pierwszy raz, kiedy wtrącał się do spraw obsady, wiesz Christine? Mama mówi, że duch wie wszystko o muzyce i że Monsieur Poligny polega całkowicie na jego zdaniu. Może dla niego zaśpiewasz? Gdziekolwiek jest, na pewno cię usłyszy i może tobie także pomoże.
- Nie mów głupstw, Meg! - Dziewczyna wydawała się nagle zażenowana.
- Boisz się go?
- Nie, oczywiście, że nie! Właściwie, nie wierzę w ani jedno słowo z twoich opowieści o nim!
- Ależ tak! Jesteś blada jak ściana!
- Chodźmy wreszcie.
- Och, Christine, zawsze jesteś taka poważna, nie umiesz się bawić! Słuchaj, mama mówi, że Upiór Opery najbardziej lubi Fausta. Znasz partię Małgorzaty, prawda?
- Tak, ale –
- Och, nie bądź takim tchórzem! Zaśpiewaj dla Upiora Opery, Christine.

Niech cię usłyszy. Kto wie co z tego wyniknie?
Dziewczyna zdawała się śmiertelnie wystraszona, nagle zrobiło mi się jej żal. Jeśli nie poradzi sobie nawet z małą Giry, nie ma co marzyć o karierze primadonny - zresztą i tak pewnie nie umie śpiewać. Równie dobrze mogłem jej posłuchać, naprawdę nie miałem w tej chwili nic lepszego do roboty. Zawsze mogę zasłonić uszy rękami, jeśli okaże się to zbyt bolesne.
Usiadłem wygodnie w fotelu i podczas, gdy niewprawne paluszki Meg zaczęły fałszować przygrywkę, przygotowywałem się w duchu na małe rozczarowanie.
Kiedy dziewczyna zaczęła śpiewać, zerwałem się z fotela, jakbym przyłożył ręce do przewodu pod napięciem i został porażony prądem.

Słodka ciszo, cudny śnie!
Szczęście tak niespodziane...
Cudny śnie, szczęście tak niespodziane...
Dzisiaj na serca dnie
twój śpiew odnalazł mnie
i ten głos ukochany na zawsze,
na zawsze słyszeć chcę...

Och, z pewnością było to bolesne, nieznośnie bolesne... ale nie chciałem zasłonić uszu dłońmi!

Idealna wysokość głosu, kryształowo czyste brzmienie, żadnych braków technicznych... ta dziewczyna posiadała doskonały instrument!
I brakowało jej siły woli, by go używać!
Nie słyszałem jeszcze nigdy tak słodkiego i dźwięcznego głosu, ani też kogoś, kto śpiewałby z mniejszym przekonaniem. Jej niewiarygodny potencjał był niemal niewykorzystany, jak żyła złota zakopana głęboko pod zwałami duszącej obojętności. Nie było w tym nic, prócz bezbłędnej techniki. Śpiewała bez duszy - żadnej ekspresji, smutku, radości... kompletnie nic! Jakbym słuchał niebywale zdolnego zombi!
Coś z tą dziewczyną było straszliwie nie w porządku. Jej głos podziałał na mnie jak krzyk rozpaczy w ciemną noc. Ona powoli umierała tam na scenie, nikła mi w oczach... Nie mogłem tego słuchać ani chwili dłużej. Nie mogłem myśleć, co możnaby uczynić z takim głosem, gdyby tylko powierzono go mojej opiece.
Ale najpierw musiałem zobaczyć jak ona wygląda, żebym nigdy więcej nie usłyszał jej znowu nawet przypadkiem. Gdybym miał usłyszeć coś takiego drugi raz, z pewnością doprowadziłoby mnie to do obłędu!
Zapominając o ostrożności, wychyliłem się z cienia przez obitą aksamitem balustradę loży i spojrzałem w dół. Patrzyłem prosto w jasne światło nowych elektrycznych lamp.
W tej chwili nóż, którego tak się bałem przez te wszystkie miesiące, zatopił się aż do rękojeści w mojej szyi.
Nie znałem jej nazwiska, brzmiało z cudzoziemska i z pewnością nigdy

wcześniej go nie słyszałem.
Ale ona nie była mi obca.
Znałem tę dziewczynę...
Widownia pode mną była znów ciemna i opustoszała; światła już dawno pogasły.
Przez dłuższy czas siedziałem oszołomiony w fotelu w loży piątej, ryzykując, że przez własną nieostrożność zostanę odkryty. Czułem się, jakby wypruto ze mnie wnętrzności. Trząsłem się na całym ciele i z trudnością łapałem oddech.
To musi być halucynacja, złudzenie optyczne spowodowane światłem i moimi poszarpanymi nerwami. Morfina powoli niszczyła mój mózg, wpędzając w gęstwinę nieprawdopodobnych, niezrozumiałych snów.
A jednak dobrze wiedziałem, co zobaczyłem!
Nie mogłem w takim stanie czekać na Poligniego. Muszę się z nim spotkać innego dnia, kiedy dojdę do siebie. Muszę jak najszybciej uciekać z tego miejsca, wpełznąć do mojej bezpiecznej nory jak śmiertelnie ranne zwierzę.
Nigdy w historii mojego mieszkania w Operze nie byłem tak bliski wykrycia, jak podczas tej desperackiej ucieczki. Pędziłem korytarzami nie przejmując się, czy mnie ktoś zobaczy. Lewa ręka zdrętwiała mi do tego stopnia, że nie udało mi się uruchomić mechanizmu w trzeciej piwnicy za pierwszym razem. Kurczowo złapałem się dźwigni krzycząc z wściekłości; moje palce były całe we krwi, zanim kamień poddał się

memu niezręcznemu dotykowi i pozwolił wejść do mojego sanktuarium znajdującego się poniżej.
Przysięgałem sobie, że już nigdy nie wrócę na powierzchnię ziemi. Że zaszyję się tu jak krab w muszli i utopię w muzyce. Gdzieś w labiryncie mojego umysłu znajdę grób dość głęboki, by zakopać w nim tę tęsknotę. Jeśli uczynię to wystarczająco wcześnie, może uda mi się uniknąć bólu... niewyobrażalnego bólu!
A jednak wszystko, co widziałem w moim ukochanym domu, napełniało mnie przerażeniem. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że mój pokój przypomina kostnicę, a moim łóżkiem jest trumna.
Trumna!
Gdziekolwiek nie spojrzałem, odwracałem wzrok ze wstrętem od świadectw życia, które dla siebie wybrałem. Patrzyłem, nie wierząc własnym oczom, na mieszkanie trupa.
Co ja tu robię w tym grobowcu? Przecież ja żyję! Żyję!
Żyłem tak, jakbym nigdy dotąd nie żył.
Aisza skoczyła do mnie z organów na powitanie, ale dotyk jej miękkiego, ciepłego futerka nie przyniósł mi ulgi. Ten dotyk był tylko okrutną drwiną; odwróciłem się od jej czułości zrozpaczony i zaszokowany.
Jak dom bez fundamentów, niezdolny oprzeć się pierwszej fali trzęsienia ziemi, moje dotychczasowe życie waliło się w gruzy na moich oczach. Nagle zrozumiałem, że nie pozostało dla mnie już nic.

Żadnej ucieczki.
Żadnej kryjówki.

Piekło nie jest miejscem - to stan ducha i ciała. Piekło to opętanie głosem, twarzą, imieniem...
Christine Daaé stała się moją obsesją; nieodparcie i bez cienia wątpliwości pragnąłem tego, czego nigdy nie mogłem mieć. Zupełnie jakbym przeleżał prawie pół wieku zawieszony w próżni, a teraz zbudził się i doświadczał prawdziwie zwierzęcego głodu.
Próbowałem spojrzeć na sytuację spokojnie, szydzić ze swej słabości z całą złośliwością, na jaką było mnie stać. Powtarzałem sobie, że to nieprzyzwoite tak się zadurzyć, kiedy jest się w moim wieku. Pożądanie było bezwstydem, który powinienem wykorzenić ze swojego znienawidzonego ciała.
Karałem sam siebie bezlitośnie za to, że ośmieliłem się pragnąć.
Wziąłem lustro i zmusiłem się, by w nie patrzeć bez maski. Odstawiłem morfinę, aż zmieniłem się w roztrzęsiony wrak...
Ale wciąż jej pragnąłem...
Zacząłem się okłamywać, oszukiwać tę część mnie, która krzyczała, że to niemożliwe, że tak nie może być.
Ależ tak, zwodziłem tę nowo odkrytą część samego siebie z mistrzowską wprawą, przecież o tym wiem, przecież zaakceptowałem to wiele lat temu. Chodzę tam tylko po to, by mieć jakąś rozrywkę, naprawdę...

Popatrz tylko, możesz na mnie polegać. Czy zawsze nie zachowywałem się rozsądnie? Czy musiałeś się kiedyś za mnie wstydzić? Możesz mi chyba zaufać...

On był bardzo silny, ten mój wewnętrzny głos; nie do opanowania jak dziki koń i przy tym bardzo sprytny. Zacząłem słuchać bezradnie jego podszeptów.

Chcesz ją tylko zobaczyć, to wszystko - tylko ją zobaczyć. Cóż w tym złego, ty tchórzliwy idioto? Posłuchaj... Powiem ci, co powinieneś zrobić...

Tak to się zaczęło - bezwstydne knowania, by nawiązać jakiś kontakt z Christine.

W jej kolejnych garderobach zdarzyła się cała seria niewyjaśnionych wypadków. W końcu przeniesiono ją dokładnie tam, gdzie chciałem - do od dawna nie używanego pokoju w końcu rzadko uczęszczanego korytarza. Wiele lat temu zainstalowałem w tym pokoju system dźwigni ukryty za ogromnym lustrem, by zamaskować stare przejście Komunardów, prowadzące prosto do jeziora. Odosobniony, nieczęsto odwiedzany pokój miał opinię przeklętego; wypłoszyłem stamtąd niejednego lokatora przy użyciu małej sztuczki z brzuchomówstwem. Teraz byłem szczęśliwy, że ten pokój istnieje; z radością patrzyłem na szkło, które od strony Christine wydawało się lustrem, a od mojej było oknem. Co wieczór stałem za zwierciadłem, podziwiając w milczeniu, jak garderobiana czesze jej długie włosy. Widziałem, że Christine często

patrzyła niewidzącym wzrokiem w lustro toaletki. Jej oczy zawsze były zamyślone i odległe; patrzyła w zwierciadło, jakby beznadziejnie wyglądała w nim czegoś, czego nigdy nie mogła dostać. Często, tuż zanim kurtyna poszła w górę, siadywała przez chwilę bez ruchu, przyciskając ręce do czoła, jakby wsłuchiwała się w głos, który tylko ona mogła słyszeć. Dowiedziałem się, że niedawno straciła ojca, że byli ze sobą bardzo związani i że opłakiwała go do tej pory, co niektórzy uważali za nienaturalne i niezdrowe. Jej spokojna, cicha, ale niebywale wyniszczająca rozpacz sprawiała, że serce bolało mnie z chęci pocieszenia jej, gdy głodnym wzrokiem wpatrywałem się w nią przez szybę.

Zdawałem sobie sprawę, że ta dziewczyna nie jest typem urodzonego zwycięzcy. Świat bez litości zmiażdży ją pod swym butem; nigdy nie pozwoli, by rozwinęły się delikatne płatki, które teraz leżały wdeptane w błoto. Złośliwe rywalki, nieżyczliwi krytycy, bezwzględni dyrektorzy, wątpliwi opiekunowie... Kuliłem się z bólu na myśl o cierpieniach, które ją czekały. Bez opieki silnego mężczyzny, brutalny i deprawujący zawód zniszczy jej ciało i duszę.

Jej okrutnie znajome rysy wciąż napełniały mnie żalem. Była jak śliczny, więdnący kwiat, który starał się walczyć z duszącym uściskiem chwastów. Chciałem przesadzić ją tam, gdzie byłaby bezpieczna, do labiryntu pod gmachem Opery. Ukryć ją przed światem, by nikt nie mógł jej znaleźć, skrzywdzić... zabrać ode mnie. Mogłem sprawić, że odżyje -

wiedziałem, że mógłbym tego dokonać - gdybym tylko ośmielił się sięgnąć i zabrać ją z tej jałowej, trującej ziemi, która niszczyła jej wrodzony talent.
Uprowadzić ją... wywabić stąd...
Toż to istne szaleństwo!

- Idź już! - powiedziała ostro do garderobianej pewnego wieczora.
- Mademoiselle!
- Odejdź stąd, idź sobie!
Stojąc za lustrem oniemiałem z zaskoczenia, kiedy Christine wpadła do garderoby i ciężko usiadła na taborecie przed toaletką. Przez kilka tygodni, odkąd ją obserwowałem, nie spodziewałbym się nigdy, że wykrzesze z siebie dość energii i złości, by urządzić scenę jak primadonna. Coś się musiało stać; coś wytrąciło ją ze zwykłej apatii i przywróciło rumieńce jej twarzy.
- Podła małpa! - wrzasnęła, kiedy pokojowa odeszła, najwyraźniej równie zaskoczona jak ja. - To tłuste krówsko... Wredne, tłuste krówsko... Wcale nie śpiewam jak kulawy wróbel... Wcale nie! Mam nadzieję, że dostaniesz wrzodów na języku, Carlotta... Mam nadzieję, że za każdym razem kiedy otworzysz usta, będziesz skrzeczeć jak paskudna, stara ropucha, którą jesteś!
Nie mogłem się nie uśmiechnąć, wysłuchując tego potoku niezwykle barwnych przekleństw. Powstrzymywałem się, by zacząć jej bić brawo,

gdy nagle Christine oparła głowę o blat toaletki i rozpłakała się jak zagubione dziecko.
- Nie, naprawdę tak nie myślę - szepnęła żałośnie. - Nie życzę jej nic złego, niech mi Bóg przebaczy. To prawda - nie umiem śpiewać, nigdy nie umiałam. Och tatusiu, dlaczego obiecywałeś mi rzeczy, o których wiedziałeś, że nigdy nie możesz mi dać? Nie czeka na mnie żaden Anioł Muzyki. Dlaczego mnie okłamałeś... dlaczego po prostu nie powiedziałeś otwarcie, że do niczego się nie nadaję?
Krew zaczęła pulsować mi w skroniach z emocji.
Czekała na Anioła Muzyki - anioła, który sprawi, że wreszcie w siebie uwierzy.
Byłem Aniołem Zagłady dla chanum. Nie widziałem powodu, dlaczego nie mógłbym być Aniołem Muzyki dla Christine. Nie liczyłem na to, że zobaczy we mnie mężczyznę; nigdy nie mogłem być dla niej prawdziwym, żywym mężczyzną z krwi i kości, który stałby przy jej boku i wyciągał do niej ręce...
Ale mogłem być jej aniołem.
Głos był jedyną piękną rzeczą we mnie; moją jedyną siłą, ostatnią nadzieją. Ten głos mógł rzucić magiczną kładkę łączącą mnie z jej życiem. Nie mogłem posiąść jej ciała - ale mogłem posiąść jej głos i spleść go nierozerwalnie ze swoim. Mógłbym kształcić go, formować i uczynić moim na zawsze; tę małą cząstkę niej, której nie dostanie żaden inny mężczyzna. Musiałem tylko przerwać ciszę, która dzieliła nas jak

ściana.
Z początku cicho, niezwykle miękko, zacząłem nucić starą cygańską pieśń. Wydrążone mury poniosły do niej melodię, pozwoliły by mój głos otoczył ją jak trująca chmura, wkradł się do jej duszy i zaraził ją swoją tajemniczą ciemnością.
Patrzyłem, jak budzi się w niej świadomość. Jak wąż odpowiadający instynktownie na śpiew zaklinacza wstała powoli i podniosła rękę w stronę głosu. Widziałem, że jej oczy rozszerzyły się z niewypowiedzianej radości, jakby całe swoje życie czekała na tę właśnie chwilę olśnienia.
Uklękła pokornie przed wielkim lustrem z szacunkiem, który na moment odebrał mi dech w piersi.
Wiedziałem, że teraz nie ma już odwrotu.
Dokądkolwiek mogła nas doprowadzić ta mroczna droga, oboje byliśmy skazani, by przejść ją do końca.

Rozdział 6

Kontrapunkt: Erik i Christine - 1881

Z pamiętnika Christine Daaé, 1881

To nie jest pamiętnik, nie w potocznym znaczeniu słowa. Nie potrafię

siadać codziennie i mozolnie spisywać co jadłam na śniadanie, którą suknię odebrałam od szwaczki i co kto do kogo powiedział podczas prób. Uważam za szczyt próżności spodziewać się, by po latach obchodziło kogokolwiek, co robiłam w swoim płytkim, nic nie znaczącym życiu. Zresztą nie życzę sobie, żeby ktoś czytał te notatki; obawiam się, że gdyby tak się stało, z pewnością zamknięto by mnie gdzieś z dala od ludzi. Już sobie wyobrażam to kiwanie głowami i ponure komentarze: "Biedna Christine, jaka szkoda... No tak, ale tego można się było spodziewać; nigdy nie miała dobrze poukładane w głowie. Nawet gdy była mała, nie umiała chodzić twardo po ziemi."

Nie, to nie jest pamiętnik.

Po prostu staram się przekonać samą siebie, że potrafię jeszcze panować nad własnym życiem; że to, co się stało, stało się naprawdę, a nie jest wynikiem niestabilnej osobowości czy przerostu fantazji. To, co przydarzyło mi się w ciągu ostatnich trzech miesięcy jest tak nieprawdopodobne, tak dziwne, tak cudowne, że nie ośmielam się nawet wspominać o tym inaczej, niż na tej kartce.

Usłyszałam Anioła Muzyki.

Mój Boże... miałam nadzieję, że to będzie lepiej wyglądało, kiedy starannie wykaligrafuję litery na papierze, ale tak nie jest. Wygląda na to, że moje obawy tylko się potwierdziły - oszalałam!

Ale przecież nie jestem szalona. Nie cierpię na halucynacje, ani też nie śnię. Słyszę ten głos, rozbrzmiewający w mojej głowie równie wyraźnie,

jak jakikolwiek inny. Wiem jednak, że nie należy on do tego świata. Jest na to o wiele za piękny.

Papa często opowiadał mi o Aniele Muzyki, ale chociaż słuchałam tych opowieści z zapartym tchem, nie wierzyłam w nie, odkąd przestałam być małą dziewczynką. Uznawałam je za jeszcze jeden wymysł Papy, bajkę na dobranoc, którą wspominałam z rozrzewnieniem, ale którą z pewnym żalem odrzuciłam, gdy tylko osiągnęłam wiek, kiedy wyrasta się z takich złudzeń. Obawiam się, że i tak byłam wtedy starsza niż większość dziewcząt. Papa z przerażeniem myślał o chwili kiedy dorosnę i opuszczę go; traktował mnie jak dziecko aż do swojej śmierci... A wtedy musiałam wydorośleć z dnia na dzień.

Wstąpiłam do Konserwatorium aby studiować śpiew, tak jak sobie tego życzył mój ojciec, ale nie minął pierwszy tydzień, gdy zrozumiałam, że nigdy nie będę w stanie spełnić jego marzeń. Albo zapomniałam jak się śpiewa, albo nigdy tego nie umiałam - z czasem doszłam do bolesnego wniosku, że raczej to drugie. Papa był genialnym muzykiem, ale pozwolił, by ojcowskie uczucia zmąciły trzeźwą ocenę moich zdolności. Stworzył dla mnie pałac ze snów i pozostawił mnie w nim samą; oddalałam się coraz dalej od pięknych sal, które odkrywaliśmy razem, aż w końcu znalazłam się w lochu rozpaczy. O tym Papa nigdy mi nie mówił. Nie wiedziałam, że można się tak czuć, aż do dnia kiedy tak się stało. Całkiem jakby zatrzasnęły się za mną potężne drzwi, a ja nie miałam klucza, żeby wyjść na zewnątrz. Teraz Anioł Muzyki nigdy mnie

nie znajdzie, nawet gdyby chciało mu się szukać. Straciłam swoje wcześniejsze marzenia i dążenie do doskonałości; czasem wydawało mi się, że prawie już umarłam.

I właśnie wtedy, tej samej nocy, kiedy postanowiłam ostatecznie zrezygnować z mojej beznadziejnie zapowiadającej się kariery, nagle Anioł Muzyki zjawił się przy mnie.

Nie potrafię prawie opisać jak się czułam, kiedy po raz pierwszy usłyszałam ten głos. Była w tym egzaltacja, ale i dojmujący strach, że zaraz odejdzie równie niespodziewanie, jak się zjawił. Czułam się niegodna jego obecności. Nawet teraz, po trzech miesiącach lekcji, mimo postępów, które mnie samą napawają najwyższym zdumieniem, nie mogę się pozbyć myśli, że pewnego dnia nie uda mi się go zadowolić. Jest taki surowy i nieugięty w swoich wymaganiach; nigdy mnie nie chwali, nawet jeśli sama wiem, że zaśpiewałam bezbłędnie. Pozostaje spokojny i chłodny w swej ponadczasowej mądrości; wiem, że uwielbienie śmiertelnego serca nic dla niego nie znaczy.

Ale jego głos jest moim natchnieniem i nagrodą. Unosi mnie ponad przyziemne sprawy i wiedzie aż do granic wszechświata. Jest to cudowny lot, który porusza całą moją duszę i ciało, a potem pozostawia mnie kompletnie wyczerpaną.

Kiedy odchodzi, chcę tylko położyć się i zasnąć, bo wiem, że w moich snach usłyszę go znowu.

*

Żyję jak we śnie.

Nie ma nic, nie ma rzeczywistości oprócz tych ulotnych chwil, kiedy mogę ją uczyć. Czas pomiędzy jej lekcjami przypomina bezdenną otchłań, a wieczory, kiedy nie przychodzi do teatru, są jednym długim, niekończącym się piekłem czekania. Nie mogę się zmusić, by cokolwiek robić. Siedzę wpatrując się w zegar i zaklinam czas, żeby szybciej biegł; żebym wreszcie mógł być przy niej. Tak blisko... a przecież tak daleko.

Z kalendarza dowiaduję się, że minęły trzy miesiące; równie dobrze mogły by to być trzy sekundy albo trzy lata. Oszałamia mnie władza, którą mam nad jej głosem. Wreszcie udało mi się rozerwać kajdany miernoty, w które zakuto ją w Konserwatorium. Teraz jest wolna i może sama zbadać granice swego własnego geniuszu. Znów i znów podrzucam ją w niebo jak młodego sokoła i za każdym razem szybuje z większą pewnością siebie, zanim sfrunie na ukrytą w rękawicy dłoń swego nauczyciela. Potrzebowała tylko, by ktoś w nią uwierzył; czekała na zachętę i słowo otuchy. Znalazła to wszystko w moim głosie.

Teraz jest już gotowa, by rzucić wyzwanie światu. Nic nie zdoła mi przeszkodzić w pokierowaniu jej karierą tutaj, na scenie Opery.

Kiedy już upiję się jej sukcesem jak obżarty pająk, z pewnością łatwiej sobie poradzę z potwornym głodem, który rozrywa mnie od środka.

Z czasem ból osłabnie.

Muszę w to wierzyć.

*

Zanim się dziś rozstaliśmy, Anioł Muzyki powiedział mi coś dziwnego. Powiedział, że muszę się przygotować do galowego przedstawienia w piątkowy wieczór. Zapytałam go, co chce przez to powiedzieć, bo przecież nawet gdyby Carlotta nie mogła wystąpić, nie jestem jej dublerką i nikomu nie przyjdzie do głowy, bym miała zaśpiewać.
- Nie zadawaj pytań - odparł chłodno. - Wszystko zostanie zorganizowane zgodnie z moją wolą, nic więcej nie musisz wiedzieć. Przestraszyłam się. Błagałam, żeby mi tego nie robił. Zapewniałam go, że sama nie stawię czoła takiemu wyzwaniu.
- Nie będziesz sama - powiedział łagodniej. - Będę z tobą przez cały czas. Jak długo we mnie wierzysz, będziesz słyszała mój głos w swoich myślach i nie będziesz się bać. Zaśpiewasz jak anioł. Zaufaj mi, moje dziecko. Daj mi swoją duszę, a ja w zamian dam ci serce Paryża.

*

Carlotta nagle zachorowała, podobnie zresztą jak jej dublerka. Co za szkoda! Czyżby coś zjadły?
Oczywiście, tym razem nikt nie podejrzewał Upiora Opery. Niby dlaczego? W końcu, takie rzeczy się zdarzają...
Dyrekcję opanowała panika - to nowicjusze i nie mają pojęcia, jak radzić sobie ze zmianami w ostatniej chwili. A chwila była rzeczywiście ostatnia, już ja się o to postarałem. Na widowni był komplet, a ani Richard, ani Montcharmin nie mieli ochoty tracić pieniędzy. Miotali się po całym biurze na myśl o odwołaniu przedstawienia. Oczywiście,

rozwiązanie pojawiło się na ich biurkach - powinni tylko skorzystać z dobrej rady U.O.

- Jak u diabła te przeklęte listy się tu dostają, Montcharmin? Już dwa razy zmienialiśmy zamki! Ten szantaż przestaje mnie już bawić. Czego ten cholerny wariat chce tym razem?!

- Tym razem niczego od nas nie chce. Po prostu zwraca naszą uwagę, przez grzeczność, jak sam twierdzi -

- A to dobre!

- ...że Christine Daaé zna wszystkie role Carlotty.

- Daaé... Daaé? Czy to nie ta mała Skandynawka? Wielki Boże, ona jest jeszcze bardzo młoda, prosto po studiach w Konserwatorium, jeśli się nie mylę. Myślisz, że by sobie poradziła?

- Nie mam pojęcia, przyjacielu. Wiesz, że sprawy obsady pozostawiam tobie. Ty przynajmniej rozpoznasz górne C, jeśli je usłyszysz. Nie będę udawał, że znam się na muzyce; jestem tu tylko dlatego, że minister lubi ze mną gawędzić przy obiedzie. Zresztą, skoro ta Daaé zna rolę, to lepiej ją tu sprowadź jak najszybciej. Kurtyna idzie w górę za pół godziny. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby Carlotta czy Mademoiselle Jak-Jej-Tam były w stanie przygotować się tak szybko. Chyba musimy pomyśleć o zwrocie pieniędzy za bilety.

O zwrocie pieniędzy?!

Ukryty w głębokiej piwnicy dokładnie pod podłogą gabinetu, skąd mogłem przysłuchiwać się ich rozmowie, uśmiechnąłem się z

politowaniem dla ich żałosnej ignorancji...

*

Za pięć minut kurtyna idzie w górę. Jest mi niedobrze z powodu tremy, ale mam głębokie wewnętrzne przekonanie, że nie jestem sama.
On jest ze mną.
Czuję jego obecność całą sobą, przepełnia mnie jego moc i chwała. Jego muzyka wzbiera we mnie, jakbym miała urodzić wspaniałe, piękne dziecko. Teraz już się nie boję. Pióro drży mi w dłoni kiedy to piszę, ale naprawdę się nie boję.
Dał mi anielskie skrzydła i nauczył mnie latać.
Nie zawiodę go dzisiaj!

*

Co za sukces!
Porwała na nogi całą widownię. Owacja na stojąco trwała dobre dziesięć minut i ciągle jeszcze brzmi mi w uszach.
Nie mogę wprost uwierzyć w doskonałość mojego dzieła. Jakąż radością i mocą napełnia mnie widok jej stojącej tam na scenie, prawie przysypanej kwiatami; rozpiera mnie taka duma... Ale jest coś jeszcze, uczucie nie znane mi wcześniej, którego nie umiem nazwać. Szczęście? Czy to jest właśnie to, ta niezwykła fala ciepła i euforia, która zapiera mi dech?
Pomagają jej zejść ze sceny. Biedactwo, prawie nie jest w stanie iść, nie rozumie co się stało, to ją przerasta. Rozgląda się niespokojnie wokoło,

jakby spodziewała się, że zobaczy mnie obok siebie w chwili swego tryumfu. Że jej anioł się do niej uśmiechnie. Jednak nic nie widzi i sama dobrze wie, że nigdy nie zobaczy.

Och, Christine! Gdyby rzeczywiście był w niebiosach miłosierny Bóg, moja ręka obejmowałaby cię teraz i mogłabyś oprzeć zmęczoną głowę na moim ramieniu.

Ale nie ma Boga, który wysłuchałby mojej rozpaczliwej modlitwy.

Odwracam się od widoku sukcesu, który jest moim dziełem i odsuwam się w ciemność, z której przyszedłem. Pod maską moja twarz jest mokra od łez.

Szczęście jest jak pierwsze odurzenie morfiną.

Nie trwa zbyt długo.

*

Widziałam dziś Wicehrabiego de Chagny w prywatnej loży jego brata. Popełniłam niewytłumaczalny błąd i spojrzałam w górę. Byłam tak zaskoczona, kiedy podniósł rękę do ust na znak, że mnie poznaje, że prawie zapomniałam się ukłonić. Carlotta odwróciła się do mnie ze złością kiedy zeszłam ze sceny; przetrzymałam ją o sekundę czy dwie dłużej, zanim mogła wyjść po swoją zwykłą owację. Była wściekła.

- Przestań kokietować publiczność, ty mała, przewrotna lisico! - syknęła do mnie, przepychając się na scenę. - Nie wyobrażaj sobie, że jeszcze kiedykolwiek zaśpiewasz zamiast mnie!

Nigdy mi nie wybaczyła tamtej gali. Myślę, że interweniowała w

dyrekcji, bo ani Monsieur Richard, ani Monsieur Montcharmin nawet na mnie od tego czasu nie spojrzeli. Wydaje się, jakby chcieli zapomnieć, że tamten wieczór w ogóle się zdarzył. Pomimo odniesionego sukcesu, nie zaproponowano mi żadnej większej roli. Anioł Muzyki kontynuuje nasze lekcje bez komentarza, a ja nie ośmielam się pytać. Mam tylko wrażenie, że mimo wszystko nie był ze mnie zadowolony i stwierdził, że nie nadaję się do pokazania światu. Nie powiedział nawet, że byłam dobra. Po przedstawieniu nie było go w mojej garderobie, a tak bardzo go potrzebowałam... Poszłam do domu i płakałam tak długo, aż zasnęłam. Wychodziłam właśnie z garderoby, kiedy dogonił mnie Wicehrabia. Był zdyszany, jakby przybiegł tu aż z głównego foyer. Złapał mnie za ramię, a ja poczułam, że się rumienię.

- Nie uciekaj, Christine. Nie byłaś taka, kiedy byliśmy dziećmi. Dlaczego ostatnio patrzysz na mnie, jakbyś mnie nie poznawała?

- Och, Raoul - westchnęłam. - To było tak dawno. Nie możemy już udawać, że jesteśmy sobie równi. Jeśli ktoś zobaczy mnie w twoim towarzystwie, ludzie będą plotkować, że jestem kobietą lekkich obyczajów.

- Nie, jeśli ja o tym usłyszę! - odparł wojowniczo.

Dołek w jego brodzie wciąż przypominał mi tamtego upartego chłopca. Patrzył z tą samą determinacją, która kiedyś kazała mu, nie zważając na protesty guwernantki, wbiec w ubraniu do morza, żeby wyciągnąć moją nową, jedwabną chustkę. Kochany Raoul - nie zastanawiał się, co

powiedzą ludzie. Ale teraz miał już dwadzieścia lat, był bardzo przystojny i stanowił jedną z lepszych partii we Francji. Jego rodzina oczekiwała, że ożeni się z jakąś bogatą i utytułowaną damą. Nie było sensu myśleć o sympatii z dzieciństwa.

- To już minęło - powiedziałam smutno. - Dawno minęło, Raoul, i nigdy nie wróci. Nie cofniemy czasu.

- A kto mówi, że mielibyśmy go cofnąć? - zapytał z uśmiechem. - Nie proszę cię, żebyś się ze mną bawiła w chowanego. Zapraszam cię na kolację.

- Nie mogę!

Byłam przerażona. Anioł Muzyki stanowczo zabronił mi utrzymywania znajomości, które mogłyby mnie rozpraszać. Żadnego włóczenia się po nocach, żadnych adoratorów. Muszę być gotowa udowodnić moje oddanie sztuce odrzucając ziemskie przyjemności. "Doskonałość wymaga poświęceń, musisz się nauczyć odmawiać sobie różnych rzeczy" - powiedział mi kiedyś.

No tak, do tej pory nie uważałam spełniania jego zaleceń za specjalne poświęcenie.

Dołek w brodzie Raoula pogłębił się, gdy ten zmarszczył twarz.

- Masz inne plany?

- Tak... - potwierdziłam pospiesznie. - Obawiam się, że tak... To takie niespodziewane, Raoul. Naprawdę, nie mogę zostawić wszystkiego w jednej chwili.

- Może innym razem - dodał. - Postaram się zaprosić cię jako pierwszy, dobrze?

- Ależ Raoul -

- Och, proszę, tylko nie zacznij mnie przepraszać. To było niemądre z mojej strony, zakładać, że nie masz dziś wieczór nic lepszego do roboty.

Podniósł moją dłoń do ust uprzejmym gestem i nie odwracając się odszedł korytarzem. Chciałam go zawołać, ale tego nie zrobiłam. Bariery, które urosły między nami, były nie do przeskoczenia. Nie chodziło mi nawet o to, że nie należeliśmy do tej samej klasy społecznej. Byłam związana świętą przysięgą z Aniołem Muzyki; nie byłoby to bardziej wiążące, gdybym wstąpiła do klasztoru. Nie byłam już małą dziewczynką, byłam najwyższą kapłanką służącą swemu wybranemu panu. Rauol i ja musimy o sobie zapomnieć, nie ma dla nas żadnej przyszłości.

Wróciłam do garderoby, przypudrowałam policzki i starałam się jakoś opanować. Zamierzałam wrócić do domu, zażyć trochę laudanum i porządnie się wyspać, żeby na porannej lekcji być rześką i wypoczętą tak, by mój nauczyciel nie wyczuł mojej emocjonalnej zdrady.

Kiedy odłożyłam puszek do pudru na toaletkę, powietrze wokół mnie zadrgało potężnym echem głosu, który wydawał się płynąć prosto z zaświatów.

- Nie będę tolerował nieposłuszeństwa! - powiedział mój Anioł Muzyki.

*

Ona ma wielbiciela! Właściwie, czego się mogłem spodziewać?
Wicehrabia de Chagny.
Raoul!
Jest obrzydliwie młody, przystojny, modnie się ubiera, a jego rodzina szczyci się długim szeregiem szlachetnych przodków. Tak, wiem o nim wszystko... Postarałem się wszystkiego dowiedzieć i nie mam powodu uznać go za głupca albo bawidamka. Nie przychodzi do Opery, jak wielu naszych dostojnych patronów, aby uganiać się za ładnymi chórzystkami. Wygląda na to, że nie ugania się za nikim, z wyjątkiem Christine! Szczerość tego uwielbienia aż bije z jego pełnych uczciwości oczu, tak uroczo osadzonych w gładkiej twarzy o regularnych rysach. Wpatruje się w Christine przez lornetkę i wstaje, żeby ją oklaskiwać, ile razy ukłoni się na scenie. Przejawia wszelkie oznaki ciężkiego zakochania; nie mam pojęcia, dlaczego jego rodzina jeszcze tego nie ukróciła. Jego szlachetni protoplaści to doskonała gwarancja mojego bezpieczeństwa. Kiedy jednak patrzę na jego naiwną determinację, przechodzi mnie dreszcz. Przypomniałem sobie, że nie ma rodziców, którzy w kategorycznych słowach przypomnieliby mu o jego obowiązkach względem rodziny. Ma tylko pobłażliwego, rozpieszczającego go starszego brata, któremu łatwo mógłby się sprzeciwić. Jeśli wbije sobie do głowy małżeństwo, grozi mi klęska na całej linii.
Obserwowałem go nie raz, jak nachodził ją za sceną i przypominał o przyjaźni z dzieciństwa. Impertynencki, pewny siebie chłopak! Gdy

patrzę, jak Christine nieśmiało się do niego uśmiecha, krew się w mnie gotuje z wściekłości. Wie, czego od niej wymagam i boi się mojego gniewu, a mimo to ten niebaczny uśmiech ją zdradza.
Starałem się opanować tę bezsensowną zazdrość, ale nie potrafię. Wiem, że on wszystko zepsuje, wedrze się w delikatną materię mojego snu i poszarpie ją na szmaty. Jeśli on się od niej nie odczepi, spotka go tragiczny wypadek, cokolwiek może sobie o tym myśleć Nadir.
Raoul de Chagny! Jak ja go nienawidzę!
Nienawidzę go, że pcha się pomiędzy nas jak intruz; że zmusza mnie, żebym był dla niej nieprzyjemny.
Nie potrafiłbym zrobić jej krzywdy, ale będę musiał ją jakoś ukarać. A przecież to wszystko jego wina, jego wina...
Raoulu de Chagny, lepiej strzeż się gniewu Upiora Opery i uważaj, kiedy kręcisz się po jego królestwie!

*

Coraz trudniej jest mi radzić sobie z Raoulem. Próbowałam odnosić się do niego zimno, ale on nie traktuje tego poważnie. Tak trudno mi mówić "nie", kiedy naprawdę chciałabym powiedzieć "tak".
Dziś, gdy zeszłam ze sceny, znów na mnie czekał z naręczem kwiatów. W tym tygodniu przysyłał mi kwiaty co wieczór, ale nie odważyłam się odpowiedzieć; nawet nie napisałam do niego kartki z podziękowaniem. Nie mogłam jednak teraz go zlekceważyć albo nie przyjąć bukietu, zbyt wiele osób na nas patrzyło. Wyrwałam się i pobiegłam do swojej

garderoby. Rzuciłam kwiaty na krzesło i przytuliłam policzek do chłodnego lustra jak skruszone dziecko.

- Spóźniłaś się! - powiedział do mnie głos Anioła.

- Wybacz mi - szepnęłam. - Zatrzymano mnie. Nie mogłam tego uniknąć...

- A więc... Wicehrabia de Chagny to coś, czego nie można uniknąć?

Jego głos był teraz lodowaty, śmiertelnie opanowany, ale pełen takiej złości, że struchlałam. Anioł Muzyki o wszystkim wiedział... o wszystkim... nie mogłam mieć przed nim tajemnic.

- Czekał na mnie, kiedy zeszłam ze sceny. Nie prosiłam go, żeby do mnie przychodził.

- Ale też go nie zniechęcałaś.

- To nieprawda - zająknęłam się. - Nieprawda. Odesłałam go i powiedziałam, żeby nie przysyłał mi więcej kwiatów. Proszę cię, proszę - nie gniewaj się na mnie. Wiesz, że tego nie zniosę.

- Nie gniewam się - stwierdził głos. - Ale nie posłuchałaś mnie i muszę cię ukarać. Do czasu, aż pozbędziesz się tej typowej dla śmiertelników słabości, nie usłyszysz mnie więcej.

Padłam na kolana przed lustrem.

- On dla mnie nic nie znaczy, przysięgam ci, że nic. Zrobię, co tylko zechcesz; jeśli chcesz, nigdy więcej się z nim nie spotkam... tylko mnie nie zostawiaj... Błagam cię, nie zostawiaj mnie!

Zapadła nagła cisza.

Osunęłam się na podłogę i wybuchnęłam szlochem. Zaklinałam go na wszystko, żeby mi wybaczył, ale nie było żadnej odpowiedzi. Rozpacz spowodowała, że wpadłam w nieopanowaną panikę. Zaczęłam tłuc pięściami w moje odbicie w grubym lustrze.

- Christine!

Jego głos ujął mnie jak dwie silne ręce, już nie zimne i odległe, ale pełne łagodności i dziwnego smutku.

- Uspokój się, moje dziecko... Dam ci jeszcze jedną szansę, byś udowodniła, że zasługujesz na lekcje ze mną.

- Co tylko chcesz - wychlipałam, chcąc już tylko wtulić się w ten głos i pozostać tak na zawsze. - Co tylko chcesz.

- Możesz się z nim spotykać na terenie Opery, jeśli oczywiście obiecasz mi, że będziesz go traktować obojętnie. Nie podtrzymuj rozmów, odsyłaj jego prezenty, nie zachęcaj go w żaden sposób. Jeśli zobaczę, że on cierpi przez ciebie, będę pewien, że mnie nie zdradziłaś. Że twoje serce jest czyste i nie kalają go ziemskie sprawy.

Potwierdziłam ruchem głowy. Nagrodą za to była taka ekstaza, że choć wciąż jeszcze czułam ból, nie było we mnie żadnego żalu czy goryczy. Nawet jeśli ktoś uznałby to za niewolnicze oddanie okrutnemu panu, mało mnie to obchodzi. Nie mam zamiaru odmawiać posłuszeństwa mojemu nieśmiertelnemu mistrzowi w zamian za uśmiech młodego mężczyzny.

To właśnie mnie wybrał Anioł Muzyki.

Będę mu służyć i uwielbiać go, aż na niebie zgaśnie ostatnia gwiazda.

*

Wygrałem, przynajmniej na razie, a mimo to moje zwycięstwo jest smutne i napełnia mnie wyłącznie wstydem i rozpaczą.

Zabrałem serce tego niewinnego dziecka i okrutnie zmusiłem je do posłuszeństwa. Za każdą łzę, która spłynęła po jej bladych policzkach, ja wypłakałem sto, nękany wyrzutami sumienia.

To chyba najgorsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu, ale nie umiem się zatrzymać... Nie mogę pozwolić jej odejść, nie mogę pozwolić, by on mi ją odebrał.

O Boże, jakaż to ponura farsa!

Nawet gdyby wszystko było jak należy i tak jestem dość stary, by być jej ojcem!

Ale nic nie jest tak, jak należy. Wiem, że dla mnie nie może być nadziei na uczciwą walkę, więc będę o nią walczył tak, jak potrafię. I, jeśli trzeba, aż do śmierci.

On ma tylko dwadzieścia lat, to jeszcze chłopiec; niegroźny, uroczy młodzieniec, który ma całe życie przed sobą.

Ale jeśli będę musiał, zabiję go... jeśli tylko w ten sposób mogę ją zatrzymać.

Tak... nie zważając na Nadira, nie zważając na przysięgę, jestem dziwnie pewien, że w końcu będę zmuszony go zabić.

Słyszałem kiedyś powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami i coś mi

się zdaje, że jest to święta prawda.
Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak się obawiałem. Nowa dyrekcja robi co chce i otwarcie ignoruje moje polecenia. Nie wypłacono mi pensji i po raz pierwszy, odkąd dostałem ją na wyłączny użytek, sprzedano bilety do loży piątej. To doprawdy nie do pomyślenia! Dałem im do zrozumienia w liście, że nie jestem zadowolony, ale wygląda na to, że potrzebują bardziej przekonującego dowodu mojego gniewu, zanim zdecydują się ulec. Ileż bym dał, by mieć tu teraz Poligniego, zwłaszcza, że tak bardzo zależy mi na karierze Christine.
Zazdrość naszej primadonny nie pozwala dyrektorom wykorzystać w pełni możliwości Christine. Carlotta to znane nazwisko i boją się ją utracić.
No cóż, jeśli nie posłuchają mnie po dobroci, to mogą ją stracić na zawsze! Jeszcze nigdy nie zabiłem kobiety, ale dla tej wstrętnej baby mogę zrobić wyjątek. Christine płakała przez nią nie raz, a ja na to nie pozwolę... Nie pozwolę!
Postarałem się, żeby wczorajsze przedstawienie zakłócane było raz po raz maniakalnym śmiechem dobiegającym z loży piątej. Bogu ducha winni widzowie zostali w końcu wyprowadzeni przez strażników, głośno protestując, że nic nie zrobili. Po ich wyjściu śmiech nie ustał i przeszkadzał do końca spektaklu.
Miałem nadzieję, że takie ostrzeżenie wystarczy dyrektorom i w związku z tym przesłałem im szczegółowe instrukcje mając nadzieję, że się do

nich dostosują.

Dziś wieczorem Christine wystąpi w roli Małgorzaty.

Jeżeli tak się nie stanie, ktoś będzie tego gorzko żałował!

*

Dziś stało się coś naprawdę niesamowitego!

W połowie jednej ze swych najbardziej tryumfalnych arii, Carlotta zaczęła skrzeczeć jak ropucha. Nie chcę przez to powiedzieć, że załamał jej się głos - to się może przytrafić każdemu - on był po prostu zmieniony! Byłam oniemiała ze zdumienia - zupełnie jakby marny los, którego jej życzyłam, spadł na nią teraz jako zemsta anioła.

Na widowni zapanowała straszliwa cisza; ludzie byli zbyt zdziwieni, nawet by gwizdać. Carlotta wpadła w histerię i zbiegła ze sceny. Nic dziwnego - nikt, nawet jej zaprzysięgli wrogowie, nie spodziewałby się, że będzie kontynuować w takich warunkach. A kiedy Monsieur Richard przybiegł do mnie błagając, bym ją zastąpiła w roli Małgorzaty, powtórzyłam swój sukces z gali.

Mimo wszystko, czuję się teraz bardzo dziwnie. To już drugi raz, kiedy występuję zamiast Carlotty, ponieważ spotkało ją jakieś nieszczęście.

Mój Anioł Muzyki ma swoją ciemną stronę, której się obawiam. Kiedy go zapytałam, czy to on jest odpowiedzialny za dziwną chorobę Carlotty, odpowiedział, że z przyjemnością wprowadza w życie moje małe pragnienia.

I roześmiał się!

Przecież anioły się nie śmieją!

Potrwało jakiś czas, zanim pozbył się swego budzącego respekt chłodu, a kiedy to już się stało, wcale nie miał ochoty mnie uczyć. Zamiast tego, po raz pierwszy zaczął ze mną rozmawiać jak żywa osoba; mówił o swych nadziejach związanych z moją karierą i pozwolił mi nawet zadać kilka pytań. Mówił takie zabawne rzeczy o dyrektorach, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Nagle zdałam sobie sprawę, że rozmawiamy jak starzy przyjaciele, łatwo i bez oporów.

Nawet jego głos się zmienił. Nie dobiegał już jakby z głębi mojej głowy, tylko bezpośrednio od strony lustra. Wciąż był nieziemsko piękny, ale utracił trochę swego potężnego, boskiego brzmienia.

Prawie nie myśląc co robię, zaczęłam się przysuwać w stronę lustra. Wyobraziłam sobie jego twarz, niby oblicze prawdziwego, realnego mężczyzny; czułam nieodpartą chęć, by wyciągnąć ręce i dotknąć żywego ciała. Zaczęłam pieszczotliwie wodzić dłońmi po powierzchni lustra. Myślałam o wszystkich tych miesiącach, kiedy słyszałam jego głos we śnie i budziłam się wyciągając rozpaczliwie ręce, by uchwycić ciemność. Pojawiał się w moich snach jak skrzydlaty cień i chociaż desperacko starałam się go zatrzymać, nigdy nie byłam w stanie zobaczyć jego twarzy.

Teraz nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że oddziela nas tylko ta szyba. W chwili nieostrożności wyznałam, że pragnę go zobaczyć. Prosiłam, by ukazał mi się w tym pokoju, jak Archanioł Gabriel ukazał się

Najświętszej Dziewicy.

Jego gniew był straszny i natychmiastowy; wydawało się, że poraził mnie od strony lustra jak elektryczny szok. Odskoczyłam z bólu i przerażenia.

- Nie wystarcza ci, że mnie słyszysz? - Jego głos brzmiał jak lodowata zimowa burza. Znów słyszałam, że dobiega z głębi mnie samej. - Męczy mnie twoja ziemska chciwość. Pamiętaj - to, co zostało ci dane, może też być odebrane.

A potem odszedł.

Ani łzy, ani godziny rozpaczliwego błagania nie wpłynęły na niego, by mi wybaczył. Bardzo się boję, że tym razem odszedł na zawsze.

A przecież ja tylko chciałam go zobaczyć... spojrzeć jeden raz w jego piękną twarz.

Dlaczego tak się rozgniewał?

*

Dziś wieczorem prosiła mnie, błagała, bym jej się pokazał. Bym przyszedł do niej w wizji lub we śnie. Byłem w stanie zapanować nad sobą tylko na tyle, by okazać chłodne niezadowolenie, po czym uciekłem jak najdalej od niej, zanim zdradzi mnie moja rozpacz.

Wspomnienia mieszały się w mojej głowie, gdy wiosłowałem na drugą stronę jeziora; wspomnienia o dziewczynie, która umarła, bo chciała mnie zobaczyć.

“Chcę, żebyś zdjął maskę, Eriku, słyszysz mnie? Chcę, żebyś ją zdjął

natychmiast.”

To wszystko wróciło tak wyraźnie, odgłos jej krzyku i kruszącego się kamienia. Zupełnie, jakby to było wczoraj.

Nigdy dotąd nie czułem takiej rozpaczy. Cała ta szalona sprawa zaczyna wymykać mi się z rąk. Jeśli teraz nie przestanę, nie ośmielam się myśleć, co się może stać.

Nie wolno mi do niej wrócić!

Nie wrócę do niej!

*

W mojej garderobie jest tylko cisza. Nie mogę nic zrobić, nie wiem jak do niego dotrzeć teraz, kiedy zdecydował się mnie porzucić. Nasze rozdzielenie jest równie nieodwracalne, jak śmierć.

On już nie wróci.

Straciłam go tak, jak straciłam ojca... Ale tym razem to moja wina, sama sprowadziłam na siebie nieszczęście. Własnymi rękami wszystko zniszczyłam i nie ma słów, które mogłyby wyrazić mój żal i rozpacz z powodu tej straty.

Nie wiedząc co robić, w końcu zwierzyłam się Raoulowi; wmawiałam sobie, że jest on jedyną osobą na świecie, która może mnie zrozumieć. Dziesięć lat temu oboje wierzyliśmy w anioły, duchy, demony i nocne straszydła. Odważnie siedzieliśmy razem w ciemnym pokoju i opowiadaliśmy sobie horrory, które sprawiały, że z rozkoszą kuliliśmy się ze strachu. Dwoje przeciwko światu dorosłych; dzieliliśmy dziecinne

marzenia i zwierzaliśmy się sobie z najbardziej szalonych pomysłów bez obawy wyśmiania.

Raoul nie śmiał się ze mnie, ale zanim jeszcze skończyłam mówić wiedziałam, że popełniłam niewybaczalny błąd. W nieznacznym sztywnieniu ramion, którymi mnie obejmował, wyczułam, że nie do końca mi wierzy. Jego reakcja, pełna zdrowego rozsądku, powiedziała mi wyraźniej niż słowa, że Raoul dorósł i zostałam sama na nieznanym, nieprzyjaznym brzegu.

Wyglądał na zaniepokojonego, kazał mi usiąść i wypytywał o szczegóły, a ja nie miałam najmniejszych wątpliwości, o czym myśli. Czy miewam bóle albo zawroty głowy? Czy byłam u lekarza? Może jestem przemęczona, może powinnam zasięgnąć rady specjalisty?

- W jakiej dziedzinie? - zapytałam sucho. - W psychiatrii?

Spojrzał na mnie strasznie zawstydzony, ukląkł obok i ujął mnie za obie ręce.

- Nie wkładaj mi słów w usta - powiedział niepewnie. - Mówię tylko, że może powinnaś na jakiś czas zrezygnować z występów na scenie i odpocząć.

- Sądzisz, że powinno się mnie zamknąć, tak? Uważasz, że kwalifikuję się do zakładu dla obłąkanych!

Mruknął coś i przycisnął moją rękę do ust.

- Nic podobnego. Po prostu martwię się o ciebie, Christine. Myślę, że powinnaś skontaktować się z lekarzem.

W milczeniu uwolniłam ręce. Po chwili wstał, wziął swój kapelusz i rękawiczki.

- Na zewnątrz czeka na mnie powóz. Chcesz, żebym cię odwiózł do domu?

- Nie, dziękuję. Wolę się przejść.

Pokiwał głową, westchnął, założył rękawiczki i powoli zebrał się do wyjścia. W drzwiach odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Obiecaj mi, że chociaż przemyślisz to, o czym rozmawialiśmy... Przynajmniej zastanów się, czy nie potrzebujesz wakacji.

- Nie muszę się zastanawiać. Od jutra wieczór mam wolne aż do następnego przedstawienia Fausta w przyszłym miesiącu. Będę miała mnóstwo czasu na odpoczynek.

- Och... w takim razie, może...

Zmierzyłam go tak lodowatym wzrokiem, że zamilkł.

- Chyba już się pożegnam - powiedział niepewnie po chwili. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zamknął drzwi.

Kiedy wyszedł, odwróciłam się w stronę wielkiego, milczącego lustra. Czy to wszystko to naprawdę był tylko sen?

Może rzeczywiście powinnam pomyśleć o wizycie u psychiatry...

*

Zanim zobaczyłem Christine, sądziłem, że wiem wszystko, co mężczyzna może wiedzieć o goryczy miłości.

Ale teraz zrozumiałem, dlaczego manuskrypt Tryumfu Don Juana

zawsze mnie pokonywał. Co ja w ogóle wiedziałem o miłości... dziecięce marzenia... sztubackie zauroczenie... pożądanie ciała? Wychwytywałem tylko urywki, nigdy całość, ale teraz nie było już tarczy ignorancji, którą mogłem się zasłonić. Patrzyłem prosto w słońce, a jego nieczułe, ostre promienie przeszywały mnie na wylot.

Byłem więźniem w klatce mojego własnego ciała, zamkniętym dzień i noc z gorącą, twardą, pulsującą torturą, od której nie było innej ucieczki, niż w morfinę. Dawki, które przyjmowałem, były niemal samobójcze. W białym piekle tego zamroczenia narkotykami pojawiła się muzyka prawie niemożliwa do ogarnięcia ludzkim umysłem. Muzyka, której nikt, nigdy nie odważyłby się grać publicznie; muzyka, która gwałciła zmysł słuchu, brała przemocą ciało słuchającego i zagrażała zdrowym zmysłom.

Cała czułość i cała nienawiść, która kiedykolwiek była na tym świecie, wszystkie pierwotne ludzkie instynkty zostały uchwycone na pięcioliniach tego manuskryptu. A jednak wciąż nie było to dość dużo, by dać mi ostateczne ukojenie, które pozwoliłoby mi zapomnieć, odpocząć.

Dziś w nocy poszedłem do lustra i czekałem na nią, ignorując rzeczywistość. Nagle zdałem sobie sprawę, że przez całe życie odmawiałem sobie tego, czego pragnąłem najbardziej.

Nie jestem inny niż wszyscy; moje kalectwo nie sprawiło, że jestem hermetycznie zamknięty przed tym najbardziej zdradliwym i

bezwzględnym uczuciem. Nie jestem już zimnym, zadowolonym z siebie geniuszem, panem swego królestwa, czy nawet duchem.
Jestem człowiekiem... po prostu zrozpaczonym człowiekiem, który w końcu jest gotów, by popełnić najstraszliwszą kradzież.

*

Zeszłam dziś ze sceny przygnębiona; nie chciałam opuszczać teatru i stawić czoła nieprzyjemnemu stanowi, który w naszym zawodzie eufemistycznie określa się mianem "odpoczynku". Puste mieszkanie i ziewająca pokojówka to było wszystko, co czekało na mnie poza tym budynkiem. Myśl o tygodniach niekończącej się ciszy napełniała mnie rosnącym smutkiem.
Ale kiedy tylko weszłam do swojej garderoby, poczułam, że powietrze jest tu rozedrgane, jakby naładowane elektrycznością. Przepełniło mnie przeczucie wielkiej radości.
On jest tutaj, wiem o tym. Pomimo gniewu, pomimo ciszy, wiem, że mi przebaczył. A przebaczenie może oznaczać tylko jedno.
Śmiertelny, nieśmiertelny - nie ma to dla mnie znaczenia. Miłość przekracza wszystkie bariery, a jestem pewna, że on jest równie bezradny wobec jej potęgi, jak ja.
Dziś w nocy będę go błagać, by mnie ze sobą zabrał, by wyzwolił mnie z tego świata, do którego nie należę, który jest pełen obcych mi ludzi. Dziś jestem gotowa porzucić ziemię i wszystko, co się na niej znajduje, by być z moim ukochanym Opiekunem. Śmierć jest ceną, której nie boję się już

zapłacić. W ciągu ostatniego tygodnia zrozumiałam, że nie chcę bez niego żyć.

Teraz więc pozostaje mi tylko odłożyć pióro i czekać...

*

Muzyka i szybki obrót osadzonego na osi zwierciadła pozwoliły mi ująć ją za rękę i przeprowadzić pogmatwanymi przejściami, które dzieliły nasze dwa światy. Otulona moim głosem, posłuszna i niewidząca, szła za mną z wyrazem niemego zachwytu; podążała po moście dźwięków, który dla niej stworzyłem, aż w końcu znaleźliśmy się w moim domu nad jeziorem.

Teraz nadszedł czas, by to przerwać i pozwolić, by cisza ujawniła moje haniebne oszustwo, ale upojony potęgą własnego głosu nie byłem w stanie położyć kresu marzeniu. Ukołysałem ją słodką melodią, aż wreszcie zasnęła w moich ramionach, a potem przez długi czas po prostu trzymałem ją, rozkoszując się ciężarem jej ciała w moich objęciach, naciskiem jej głowy na moim ramieniu. Była taka delikatna i krucha! Wyglądała jak mała dziewczynka... Mała, martwa dziewczynka, spoczywająca w moich ramionach.

Chciałem ją tak trzymać przez całą wieczność, ale po jakimś czasie jej waga zaczęła ciążyć mi nieznośnie, aż wszystkie moje mięśnie zdawały się głośno protestować przeciwko temu obciążeniu. W końcu zaniosłem ją do drugiej sypialni i ułożyłem na łożu mojej matki. Przykryłem ją ciepłym szalem i długo patrzyłem, jak miękki materiał układa się wokół

zarysu jej ciała, otacza ją ciepłem i intymnością, która dla mnie na zawsze pozostawała niedostępna. Jeśli można być zazdrosnym o szal, byłem szaleńczo zazdrosny.

Kiedy tak stałem patrząc na nią, zdałem sobie sprawę z okrutnej daremności mojego desperackiego kroku. Po co ja ją tu sprowadziłem? Nie mogłem przecież utrzymywać jej w transie do końca życia; zresztą nie chciałem bezmyślnej, mechanicznej lalki, automatu pozbawionego wolnej woli.

Pragnąłem Christine, całej Christine.

I nigdy nie mogłem jej mieć.

To proste! Pogódź się z tym! Kiedy się obudzi, będziesz musiał przyznać się do tego żałosnego oszustwa. Spełniłeś już swoje marzenie, trzymałeś ją w ramionach, a jutro będziesz musiał ją odprowadzić z powrotem.

Jutro wszystko się skończy.

Ale ja nie chciałem myśleć o jutrze.

Poszedłem do swojego pokoju i starałem się zająć zwykłymi, codziennymi sprawami, które utwierdzają nas w przekonaniu, że życie toczy się dalej. Przebrałem się z fraka w długie kimono z czarnego jedwabiu z satynowymi klapami, usiadłem przy organach i spojrzałem na manuskrypt Tryumfu Don Juana.

“Nie wiesz, że ludzie dobrze zapłacą, żeby oglądać wybryki natury? Sam Don Juan nie mógłby liczyć na większy podbój jednego wieczoru...”

Tryumf Don Juana! Jakimż gorzkim żartem była ta opera; jak

wyrafinowanym samoupodleniem! A mimo to, jak wspaniała muzyka w niej rozbrzmiewała. Z całą pewnością była to najlepsza rzecz, jaką skomponowałem... Cała zapisana czerwonym atramentem... równie dobrze mógłbym napisać ją własną krwią.

Spojrzałem na świeżo ukończony fragment i szybko odwróciłem kartkę. Nie, nie dziś; nie odważyłbym się tego grać, gdy w domu jest Christine. Wróciłem do początku, do czułości i łagodności, która poprzedza gwałtowność pożądania. Dziś w nocy chciałem myśleć wyłącznie o pięknie.

Zanurzyłem się w muzykę, jakby była ona jeziorem pełnym ciepłej, kojącej wody, pozwoliłem sobie unosić się lekko na jej powierzchni, improwizować i wymyślać nowe melodie. Przestałem zwracać uwagę na otoczenie i nie przejmowałem się upływem czasu, który nieubłaganie przybliżał ranek nawet w moim królestwie ciemności. Nie myślałem o niczym... nie słuchałem... nie zauważyłem bezlitosnej, małej rączki, która zakradła się od tyłu i zdjęła mi maskę.

Poderwałem się z okrągłego stołka z okrzykiem szaleńczego przerażenia, a widok jej twarzy, gdy cofała się przede mną, z moją maską wciąż w odrętwiałej ręce - jej przerażenie i niedowierzanie! - zdruzgotał resztki moich zdrowych zmysłów.

Przeklinając i wrzeszcząc jak oszalałe, zranione dzikie zwierzę, dopadłem ją przy ścianie i zacisnąłem ręce w morderczym uścisku wokół jej białej szyi.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy rzeczywiście byłbym w stanie ją zabić. Przeszył mnie ból jak nagłe uderzenie pioruna, wybuchł w mojej piersi i sparaliżował lewą rękę. Ze zduszonym jękiem puściłem Christine i chwiejnie cofnąłem się o krok, zaklinając w duszy paroksyzmy bólu, by ustały. Nie pomogło to jednak. Po chwili nie byłem w stanie ustać na własnych nogach i osunąłem się na kolana na podłogę u jej stóp.
Świat skurczył się dla mnie w jednej chwili. Nie mogłem nawet płakać z bólu, z trudem łapałem oddech i widziałem tylko przerażoną Christine chlipiącą tuż poza zasięgiem mojej ręki.
Półprzytomnie zauważyłem, że uklękła obok mnie na podłodze i drżącymi palcami złapała mnie za rękaw.
- Powiedz mi, co mam robić - szepnęła. - Proszę cię... powiedz mi, co mam robić.
Nie mogłem mówić. Poruszyłem ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyciągnąłem tylko rękę rozpaczliwym gestem w stronę maski.
Pozwól mi zakryć twarz. Pozwól mi umrzeć z odrobiną ludzkiej godności!
Chyba zrozumiała mój żałosny gest, bo powoli popchnęła maskę ku mnie po podłodze. Teraz była wolna i mogła uciec ode mnie, nie zrobiła tego jednak. Wciąż klęczała na podłodze obok mnie, a rytm mojego urywanego oddechu zdawał się zlewać z rytmem jej szlochu w okrutnej parodii harmonii.

Aisza skoczyła z organów i obchodziła mnie dokoła fukając wściekle na Christine i machając ogonem w prymitywnym, zwierzęcym strachu. Jak wierny psiak, starała się mnie obronić przed nieznanym intruzem, który mnie skrzywdził; jej głuche, pełne złości warczenie ostrzegało mnie, że jest gotowa do ataku.

Wiedziałem, że muszę zabrać Aiszę od Christine, zanim kotka poszarpie jej twarz na kawałki, z samego tylko strachu.

Zebrawszy całą siłę, wziąłem zdenerwowaną kotkę na ręce i powlokłem się kilka kroków do czarnej, skórzanej kanapy.

- Nie podchodź - wysapałem.

Potem była tylko cisza - cisza i ciemność.

Kiedy znowu zobaczyłem Christine, stała na środku pokoju i patrzyła na otwartą trumnę stojącą na katafalku. Jej oczy były zamglone i nieprzytomne; oczy dziecka, które budzi się z pięknego snu prosto w żywy koszmar. To była ostatnia kropla, która przepełniła dzban jej wytrzymałości.

Zdałem sobie sprawę, że jeśli umrę, Christine także umrze - powoli, w męczarniach, ze strachu i z głodu, tłukąc pięściami w grube, kamienne mury swego więzienia. Nikt nigdy nie usłyszy jej krzyku, nikt jej tu nie znajdzie. Biedna, oszalała, zmieniona we wrak człowieka, w końcu osunie się na podłogę i podzieli ze mną śmierć tak, jak nie mogła dzielić ze mną życia. Już teraz widziałem zapowiedź szaleństwa w jej nienaturalnym, utkwionym w jeden punkt spojrzeniu.

- Christine...
Odwróciła się bardzo powoli w stronę mojego głosu, ale patrzyła, jakby mnie nie widziała.
- Ja chcę iść do domu - powiedziała bezradnie. - Chcę iść do domu do Papy. W domu jest tak ładnie... nie tak, jak tu... Tu mi się wcale nie podoba.
Mówiła, jakby miała nie więcej niż osiem lat. Nie śmiałem nawet pomyśleć, co jeszcze może się z nią stać, jeśli nie zatrzymam tego śmiertelnego staczania się w panikę. Wiedziałem, że muszę ją natychmiast czymś zająć, odwrócić jej uwagę, dać coś do zrobienia.
- Umiesz zaparzyć herbatę? - zapytałem słabo.
Spojrzała na mnie zaskoczona, wreszcie jej twarz nabrała odrobinę wyrazu.
- Herbatę? - powtórzyła nie wierząc własnym uszom i bardzo powoli zdając sobie sprawę z rzeczywistości. - Chcesz powiedzieć, herbatę po angielsku... z mlekiem?
- Nie, nie... Po rosyjsku, z cytryną. To bardzo proste... Musisz tylko... zapalić ogień pod samowarem.
- Pod samowarem - powtórzyła, jak półgłupie dziecko wkuwające słówka w obcym języku. - Gdzie to jest?
- Tam. - Z trudem pokazałem jej ręką, w którą stronę ma patrzeć. - Ta duża, mosiężna urna... obok... - Teraz oboje patrzyliśmy prosto na trumnę. - Obok... kociego koszyka. Widzisz chyba koszyk dla kota,

prawda, wykładany tym czerwonym materiałem...
Znowu to puste spojrzenie osoby odchodzącej od zmysłów.
- Przecież to trumna - powiedziała z tępym przerażeniem.
- Ależ skąd - nalegałem. - To perski koszyk dla kota... Szach ma taki sam... specjalny, dla królewskich kotów... Ma wysokie boki, widzisz? To żeby je chronić przed przeciągiem... Koty bardzo nie lubią siedzieć w przeciągu. Lubisz koty, Christine?
- Wygląda jak trumna - upierała się z całym przekonaniem osoby upośledzonej umysłowo.
- Nie możesz wszystkiego sądzić po pozorach - westchnąłem. - Nie masz się w tym pokoju czego bać - rozumiesz, nie musisz się niczego bać. Wierzysz mi?
Popatrzyła na mnie i pokiwała powoli głową.
- Tak naprawdę to nie jest perski koszyk dla kota, prawda? - zapytała po chwili.
- Nie... ale w końcu to tylko drewniane pudło, nie sądzisz? Dla pchły to byłby pałac... Wspaniały pałac wyścielany jedwabiem. Wyobrażasz sobie, jak wielki byłby świat dla pchły?
Roześmiała się i podniosła dłonie do ust, jakby zdziwiona, że wydobywa się z nich dźwięk.
- Nie obawiaj się śmiać w moim domu, Christine... Śmiałaś się ze swoim ojcem, prawda?
- Mój ojciec umarł - powiedziała cicho. - Ale masz rację... Czasem

opowiadał mi takie śmieszne historie... Zwłaszcza kiedy się bałam.
Podeszła bliżej do mojej kanapy i zmierzyła mnie uważnym wzrokiem. Aisza poruszyła się niespokojnie przy moim boku, ale uciszyła się, kiedy ją pogłaskałem.
- Jesteś bardzo chory, prawda? - powiedziała Christine smutno. - Co ja zrobię, jeśli umrzesz?
Na moment zamknąłem oczy. Nigdy nie sądziłem, że mowa może sprawiać taki ból. Nie wyobrażałem sobie nawet, że przyjdzie dzień, kiedy będę się starał wypowiadać słowa czując, że na mojej piersi leży ogromny blok kamienia. Ale mój głos uspokajał ją jak czułe dotknięcie ręki, mógł ją przeprowadzić bezpiecznie obok rozwartej otchłani, która otworzyła się pod jej stopami.
- Co ja zrobię, jeśli umrzesz? - powtórzyła, a jej głos zadrgał rosnącym strachem. - Co ja zrobię?
Otworzyłem oczy i uśmiechnąłem się do niej słabo.
- Chyba będziesz mnie musiała zanieść do koszyka dla kota - powiedziałem. - Ale najpierw byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś po prostu zrobiła mi herbaty.

*

Nie ma żadnego Anioła Muzyki.

Jest tylko Erik!

Jestem uwięziona w jego domu nad jeziorem, pięć pięter pod ziemią. Nie ma zamka ani klucza, tylko rozdzierający żal i dziwna fascynacja.

Jego twarz! Dobry Boże... Czy kiedykolwiek zdołam zapomnieć chwilę, kiedy odwrócił się do mnie z rozpaczliwym gniewem, który prawie kosztował go życie?

Cóż mogę powiedzieć o jego twarzy? To zmienia wszystko... i nic. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić; nie umiem w tej sytuacji zdobyć się na trzeźwy, spokojny osąd. Ten świat jest tak różny od świata, w którym dotąd żyłam; tu nie ma osądów. Tylko... uczucia!

To dziwne, ale myślę, że jego choroba uratowała nas oboje od nieszczęścia; sprawiła, że przeszłam od snu do rzeczywistości w sposób, który jeszcze kilka dni wcześniej nie byłby możliwy. Teraz wydaje mi się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem, że z nim tu jestem; że myślę o nim jako o Eriku, a nie jakimś nieznanym, bezpostaciowym aniele. On jest taki prawdziwy! Nie jest już dla mnie marzeniem czy złudzeniem, ale kimś, do kogo mogłabym wyciągnąć ręce i objąć, gdybym tylko miała dość odwagi. Mimo wszystko, choć prawda była szokująca, sprawia mi wielką ulgę, że mogę zrobić dla niego coś tak zwyczajnego, jak zaparzenie herbaty. Wprawdzie, jeśli mam być szczera, nie najlepiej mi idzie obsługa samowaru. Erik przyjmuje jednak moje wysiłki z nieco ironicznym spokojem; mam wrażenie, że wybuchnąłby śmiechem, gdyby się nie obawiał, że mnie urazi.

Moje mieszkanie tutaj jest zdumiewająco wygodne. Mam swój pokój i wszystko, czego mi potrzeba: szafę pełną ubrań, butów, płaszczy i kapeluszy - nawet małe biureczko z mnóstwem papieru najwyższej

jakości. Łzy mi się kręcą w oczach kiedy pomyślę, ile zachodu kosztowało go przygotowanie dla mnie tych wszystkich luksusów. Mam przedziwne wrażenie, jakbym wróciła do domu; czuję się, jakby tu było moje miejsce. Ale ilekroć pomyślę co znajduje się pod tą maską, choć jest mi wstyd, tęsknię do Raoula. Porównanie jest nieuniknione, a kontrast tak okrutnie widoczny, tak trudny do zniesienia, że staram się odsuwać od siebie myśl o Raoulu.

Zdaję sobie sprawę, że ten stan rzeczy nie może trwać w nieskończoność, ale nie chcę, żeby to się skończyło. Nie chcę myśleć o świecie tam na górze, o Raoulu, wracać do wszystkich konfliktów, przed którymi i tak nie ucieknę.

Chcę zostać tutaj z Erikiem i udawać, że nic się nigdy nie zmieni, że zawsze będzie tak leżał na kanapie i nie poprosi mnie o nic straszniejszego, niż filiżanka mojej naprawdę okropnej herbaty.

Nie ma żadnego Anioła Muzyki.

A jednak on ciągle żyje w moich marzeniach... w moim głosie... i w mojej duszy.

*

Zdaje się, że na koniec zyskałem pielęgniarkę!

Nie ukochaną, której pragnąłem tak nieprzytomnie, ale troskliwą, czułą pielęgniarkę! Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany, czy to, że Christine zajmuje się mną, jakbym był jej chorym ojcem, rzeczywiście jest lepsze niż nic. Miałbym ochotę wydrzeć sobie serce i podeptać je na

miazgę za to, że tak mnie podle zdradziło. Końskie zdrowie to jedyna rzecz, której zawsze mogłem być pewny... Cóż za piekielna ironia losu, że opuściło mnie w takiej chwili!

Doskonale zdaję sobie sprawę, że ona się cieszy, że leżę tu na kanapie, że w ten sposób czuje się bezpieczna. Jak długo będzie myślała, że jestem zbyt chory, by wstać, może sobie wmawiać, że nie ma się czego bać. Dopiero teraz widzę jak bardzo jest dziecinna, jak niedojrzała i krucha - i do tego ma niestabilną osobowość. Coś z nią jest nie tak, dostrzegam w niej jakąś rysę, niby cieniutkie pęknięcie w cennej wazie z dynastii Ming, ale jej niedoskonałość sprawia tylko, że kocham ją jeszcze bardziej. Nie sądzę, żeby ten chłopak zdawał sobie sprawę, jak bardzo ona potrzebuje ochrony. Ktokolwiek się zwiąże z Christine, musi być przygotowany na to, by być dla niej nie tylko kochankiem, ale też i ojcem; choćby dożyła stu lat, w duszy być może na zawsze będzie dzieckiem, małą dziewczynką, którą przerasta rzeczywistość.

Nie mam najmniejszego pojęcia co robić, ale nie mogę leżeć na tej przeklętej kanapie do końca życia, które szczęśliwie nie zanosi się na bardzo długie. Od dwóch tygodni nie widziałem się z Nadirem i jeśli wkrótce się z nim nie spotkam wiem, że ten podejrzliwy czort zacznie mnie na serio szukać.

A to jest ostatnia rzecz, której mi teraz potrzeba! Tak więc nie mam zbyt dużego wyboru.

Jutro będę musiał zostawić ją tu samą, przeprawić się na drugą stronę

jeziora i stanąć oko w oko z jego nieuniknionymi pytaniami.

*

Właśnie przeżyłam szok! Kiedy dziś rano przyniosłam Erikowi tacę ze śniadaniem, stał przy organach ubrany do wyjścia, w masce, fraku, kapeluszu z szerokim rondem i przepięknym czarnym płaszczu. Nagle wydał mi się taki silny, tak niesamowicie potężny, że zatrzęsły mi się ręce. Nie pamiętałam jak wygląda, gdy wstanie, nie przypuszczałam, że jest taki wysoki... a mimo to zdawałam się poznawać ten wrodzony autorytet - iście królewską postawę! - którym był obdarzony. To było jak sen, który prawie zapomniałam i który nagle powrócił. Przyszło mi do głowy, że tak właśnie musiał wyglądać tamtego wieczora, kiedy mnie tu przyprowadził. Właściwie nie pamiętam tej niezwykłej podróży, ale nagle odezwało się we mnie jakby odległe wspomnienie. Dość, bym zacisnęła ręce na tacy, by opanować nagły skurcz serca.

- Przyniosłam ci śniadanie - powiedziałam głupio.

Odwrócił się do mnie lekko; jego płaszcz zawirował z gracją.

- Wybacz mi, kochana - powiedział z pobłażliwą czułością, z którą zawsze się do mnie zwracał. - Obawiam się, że muszę na chwilę wyjść.

- Wychodzisz? - zapytałam tępo. - Z domu?

- Nie żyję tu jak zupełny pustelnik, moja droga... Mam bardzo ważne spotkanie. Nie boisz się zostać sama, prawda?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Nie mogę iść z tobą?

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Był taki łagodny, ale w jego głosie czułam nieugiętą wolę i wiedziałam, że go nie przekonam.

- Ale... uważaj na siebie... - szepnęłam.

- Skoro tak chcesz - odparł smutno. Patrzył na mnie badawczo spod ronda kapelusza i coś w jego spojrzeniu sprawiło, że wzięłam głębszy oddech. Kiedy zbliżał się do mnie, nie mogłam oderwać od niego wzroku. Poruszał się powoli i z godnością, jakby jego ciało poddawało się rytmowi muzyki, którą tylko on słyszał. Patrzyłam oniemiała, jak podchodzi do mnie coraz bliżej. Kiedy wyciągnął rękę i nakreślił nią zarys moich włosów, serce podskoczyło mi do gardła tak, że myślałam, że zaraz się uduszę.

Jego palce prześlizgnęły się w powietrzu przy moim policzku, po czym opuścił dłoń, nawet mnie nie dotknąwszy.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedział szybko i po chwili drzwi zamknęły się za nim.

Kiedy zostałam sama, usiadłam ciężko na stołku przy klawiaturze i starałam się uspokoić oddech. Cała się trzęsłam, ale nie wiem dlaczego. Chciał mnie dotknąć, jestem tego najzupełniej pewna. Zamierzał mnie dotknąć i nagle, w ostatniej chwili, zmienił zdanie.

Nie wiem, czy drżałam z ulgi, czy z dziwnego rozczarowania.

Już niczego nie jestem pewna.

W tym domu są same pytania bez odpowiedzi.

*

Nadir czekał na mnie na drugim brzegu i zanim jeszcze wysiadłem z łódki, zdążyłem zauważyć, że spogląda na mnie bardzo ponuro. Zaczekał, aż tylko postawię stopę na brzegu i natychmiast przypuścił atak.

- Christine Daaé! - zawołał ze złością, bez cywilizowanego wstępu. - Christine Daaé, Eriku?

Do diabła! Tego się obawiałem!

- O co mnie znowu oskarżasz, darogo? - zapytałem ostrożnie. - Chyba nie o morderstwo!

- Wiem jedno, nie widziano tej dziewczyny od dwóch tygodni. Jeśli ktoś znika tu niespodziewanie, zwykle ty za tym stoisz.

- To jest teatr. - Wzruszyłem ramionami. - Dziewczęta cały czas uciekają ze swymi kochankami.

- W tym wypadku wygląda na to, że kochanek został porzucony! Chyba wiadomo ci, że to dziecko jest faktycznie zaręczone z Wicehrabią de Chagny. Masz zamiar go szantażować?

Chwyciłem Nadira za ramię z taką siłą, że natychmiast zamilkł.

- Ona z nim nie jest zaręczona! - syknąłem z furią. - Kto rozsiewa takie podłe, kłamliwe plotki? Chórzystki... prasa... czy może sam przeklęty chłopak? Powiedz!

Przez chwilę Nadir nic nie mówił. Patrzył tylko na mnie tak dziwnie, że wreszcie puściłem go i zakłopotany cofnąłem się o krok.

Po dłuższej chwili odezwał się bardzo cicho:

- Pozwól jej odejść, Eriku. Ta cała farsa nie pasuje do ciebie.
- Nie wiem, o czym mówisz - odparłem zimno. - Czy naprawdę myślisz, że trzymam młodą dziewczynę uwięzioną w moim domu?
- Wypuść ją - powtórzył cierpliwie.
- Niech cię diabli! - zawołałem, czując jeszcze raz ostrzegawczy ciężar w piersi. - Myślałem, że lepiej mnie znasz.
- Eriku, mnie nie oszukasz. Wiem, że ona tam jest z tobą.
- Tak... zgoda... Ona jest ze mną - przyznałem z palącym żalem. - Ale przysięgam ci, że pozostaje tam z własnej woli. To nie jest takie nieprawdopodobne, prawda - możesz chyba spróbować to sobie wyobrazić?
Nadir uczynił gest rozpaczliwej frustracji i odwrócił się ode mnie.
- Po prostu pozwól jej odejść i więcej do tego nie wracajmy. Nie wierzyłem, że mógłbyś chcieć ją skrzywdzić. Ale nie jesteśmy w Persji. Musisz wiedzieć, że w twoim kraju tak się tego nie robi...
Zawahał się, jakby nie miał odwagi mówić dalej.
- No, co dalej? - powiedziałem zduszonym głosem. - Wykrztuś to raz!
Spojrzał na mnie z nieukrywaną litością.
- Dżentelmen nie zabiega w ten sposób o względy damy - powiedział z trudem. - A cokolwiek możnaby o tobie powiedzieć, Eriku, zawsze byłeś dżentelmenem... czyż nie?
Zmierzyłem go wzrokiem.
I nagle, zupełnie niespodziewanie, rozpłakałem się.

*

Gdzie on jest? Dlaczego nie wraca?

Boże, tak się boję bez niego! Nie mogę znieść widoku jego pokoju, kiedy go tam nie ma; tej otwartej, wyścielanej jedwabiem trumny na katafalku, wysokich czarnych świec, ogromnych organów, które zdają się łypać na mnie złośliwie ze ściany. Ten pokój to najprawdziwszy koszmar.

Nie wiem, dlaczego teraz tak się czuję, skoro przez dwa tygodnie chodziłam po tym pokoju bez zmrużenia oka - nawet wycierałam tu kurze! Przez cały czas, gdy on tu był, nie zastanawiałam się nad tym przeraźliwym wystrojem. Trumna to koszyk dla kota, bo on tak mówi; gdyby powiedział mi, że ziemia jest płaska - uwierzyłabym. Ale teraz znowu to jest tylko trumna... Jestem zamknięta w domu, który wygląda jak grobowiec i czekam, aż wróci do mnie ten szalony mężczyzna.

To taka ulga, móc to wszystko zapisać. Trochę mnie to uspokaja, powstrzymuje przed paniką, zwłaszcza teraz, kiedy zorientowałam się, że nie mogę znaleźć drzwi na zewnątrz. To wszystko jest takie dziwne. Przez całe dwa tygodnie do głowy mi nie przyszło szukać drzwi, a teraz nie potrafię myśleć o niczym innym. Przecież musi być stąd jakieś wyjście!

Wyszłam z jego pokoju i czuję się trochę lepiej. Dziwnie ubarwiona kotka siedzi na moim łóżku i przygląda mi się z wyrazem cichej pogardy, jakby mnie pytała, dlaczego po prostu nie zwinę się w kłębek i nie pośpię, dopóki on nie wróci.

No tak, to jedyne, co można zrobić. Dobrze wiesz, moja droga, że obie

istniejemy tylko w jego obecności!
Może to dlatego, że Erik traktuje ją tak, jakby była kobietą, wyobrażam sobie, co ona myśli. Kotka nie traktuje mnie już z taką wrogością, jak na początku. Czasem, gdy zostajemy same, pozwala mi się nawet pogłaskać, chociaż gdy widzi Erika, kompletnie mnie ignoruje. Jest naprawdę piękna, bardzo nietypowa, nie widziałam wcześniej syjamskiego kota. W dziwny sposób wydaje mi się odpowiednie, żeby coś tak ślicznego i rzadkiego należało do Erika. Podobno jej obróżka była kiedyś własnością szacha Persji. Wysadzana jest ogromnymi brylantami niby naszyjnik i z pewnością jest warta majątek...
Zazdroszczę jej tego chłodnego, zwierzęcego spokoju i ignorancji. Zazdroszczę jej, że nie rozumie, że Erik mógłby umrzeć w każdej chwili z powodu ponownego ataku. Koty nie zastanawiają się nad przyszłością, nie znają wątpliwości ani niepewności. Żyją teraźniejszą chwilą, wiedzą czego chcą i nie obawiają się tego wziąć.
Tak bym chciała...
Tak bym chciała być tą kotką!

*

- Christine.
Podeszła posłusznie przez pokój i uklękła przy moim fotelu ze spuszczoną głową.
- Muszę cię dzisiaj odprowadzić z powrotem - powiedziałem powoli. - Jest ktoś, kto wie, że tu jesteś.

- Raoul? - Jej głowa podskoczyła, a głos zabrzmiał nadzieją, która pognębiła mnie do reszty. - To Raoul?
- Nie. - Nagle było mi bardzo trudno mówić dalej. Po takiej odpowiedzi niemożliwością było utrzymać mój zwykły, nieco ironiczny spokój. - Nie... to ktoś inny. Ktoś, kogo znam i kto przyrzekł mi, że będzie sprawiał duże kłopoty, jeśli się nie upewni, że jesteś tu ze mną, bo sama tego chcesz.
- No tak, rozumiem. - Wyglądała na smutną i nieco zawiedzioną.
- Nigdy mnie nie prosiłaś, żebym cię odprowadził, Christine. Chcesz stąd odejść?
- Nie wiem. - Westchnęła. Opuściła głowę tak nisko, że prawie oparła ją o moje kolana... Prawie, ale nie całkiem. Nigdy sama mnie nie dotknęła i nawet teraz nie zdawała sobie sprawy, że jej włosy dotykają moich dłoni. To nieznośne uczucie, miękka, nieświadoma pieszczota! Oparłem się wygodniej w fotelu, żeby się od niej odsunąć. Czułem, że strach narasta w moim gardle jak dławiący węzeł.
- Jesteś taka nieszczęśliwa. Czy to dlatego, że nie chcesz być tutaj ze mną?
Pokręciła głową.
- Jestem taka zagubiona! - szepnęła. - Chciałabym wrócić - ale chciałabym też zostać. Nie rozumiem tego, Eriku... Nie wiem sama, co do ciebie czuję.
Ledwo wyczuwalna obawa zmieniła się w paraliżujące przerażenie, ale

wiedziałem, że tym razem przed tym nie ucieknę.
- Może czujesz litość - zasugerowałem. - Litość... i strach.
Spojrzała na mnie zaskoczona.
- Nie boję się ciebie, teraz już nie.
- Och, Christine - westchnąłem - a powinnaś. Powinnaś się mnie bardzo bać.
I bardzo spokojnie powiedziałem jej dlaczego.
Nie oszczędzałem jej i nie oszczędzałem siebie; musiała się dowiedzieć - miała prawo wiedzieć wszystko, zanim zdecyduje.
Kiedy skończyłem swoją ponurą spowiedź, siedziała bardzo spokojnie, wpatrując się w podłogę. Żadnych łez, żadnej histerii, po prostu... akceptacja; być może w duszy zawsze się tego domyślała.
- Jeśli nie wrócę, zabijesz Raoula.
To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. Po tonie jej głosu poznałem, że nie oczekiwała odpowiedzi, więc jej nie udzieliłem.
Zamiast tego wstałem i przyniosłem małą szkatułkę, którą trzymałem na kominku.
- Dziś wieczorem pójdziemy razem na bal maskowy w Operze. W swoim pokoju znajdziesz kilka kostiumów do wyboru. Weź czarną pelerynę... Wszyscy się tego po tobie spodziewają.
- Wszyscy, czyli kto?
- Napisz list do Wicehrabiego de Chagny i poproś, żeby się z tobą spotkał przy drzwiach prowadzących do rotundy. Wyjaśnij mu, że nigdy

nie zostaniesz jego żoną i powiedz, że zamierzasz poświęcić się swej dalszej karierze pod moim kierunkiem. Będę na ciebie czekał za lustrem w twojej garderobie. Jeśli postanowisz wrócić, będzie wiadomo dla wszystkich zainteresowanych, że zrobiłaś to z własnej woli.
Podałem jej szkatułkę, a ona przyjęła ją bez wahania.
- W tym pudełku - kontynuowałem - znajdziesz klucz do bramy, która prowadzi do podziemnego przejścia od strony Rue Scribe. Ten drugi przedmiot, choć może się to wydać dziwne, to także jest klucz... Klucz do drzwi wejściowych, jeśli wolisz. Zanim stąd wyjdziesz, dokładnie ci wyjaśnię jak obsługiwać mechanizm.
- Dlaczego mi to dajesz? - zapytała niepewnie.
- Dałem ci możliwość zdradzenia mnie przed tym młodym człowiekiem, Christine. Jeśli wrócę dziś do domu sam, spodziewam się, że go tam zastanę - i że będzie dobrze uzbrojony.

*

Teraz już wiem, co kryje się pod płaszczem uprzejmości, łagodności i niemal ojcowskiego przywiązania. Te piękne, czułe ręce, na które tak lubię patrzeć, to ręce człowieka zdolnego zabić bez wahania, jeśli zostanie sprowokowany.
Nie jestem zaszokowana. Trochę się tylko dziwię, że byłam tak naiwna, że sama na to nie wpadłam. Teraz wydaje mi się, że ten zawoalowany ślad groźby jest ostatnim kawałkiem układanki i kluczem do jego fascynującej tajemnicy. Jest częścią niezwykłej władzy, która pociąga

mnie równie bardzo, co przeraża.

W dziwny sposób ulżyło mi, gdy się dowiedziałam, jak bardzo on naprawdę jest niebezpieczny.

Daje mi to możliwy do przyjęcia powód, bym do niego wróciła i oszczędza mi udręki analizowania swoich pogmatwanych uczuć.

Jeden Bóg wie, że nie było mi łatwo mówić z Raoulem o Eriku.

Spotkaliśmy się tak, jak zostało to zaplanowane, na balu maskowym. Kiedy siliłam się na wyjaśnienia, Raoul był równie blady, co jego peleryna. Całe szczęście, że schroniliśmy się w pustej loży na parterze i mogliśmy porozmawiać spokojnie.

- Ten człowiek to szaleniec - zawyrokował Raoul. - To sprawa dla policji.

- Nie! - krzyknęłam przerażona. - Raoul, ostrzegam cię, jeśli komuś o tym powiesz, zaprzeczę wszystkiemu. Dlaczego nie chcesz mnie po prostu zrozumieć?

- Zrozumieć co? Że jesteś w rękach jakiegoś pozbawionego skrupułów hipnotyzera, który postanowił wykorzystać twoją niewinność dla własnych celów? Jedno ci zaręczam, jeśli dowiem się, gdzie go mogę znaleźć, wyzwę go na pojedynek i raz na zawsze zakończę tę żałosną farsę.

Zadrżałam i złapałam go za rękaw.

- Nawet o tym nie myśl. Nie miałbyś z nim najmniejszych szans.

- Czyżby? Umie się bić, co? Podobno jest dość stary, by być twoim

ojcem i w każdej chwili może paść trupem z powodu silnego wzruszenia! Odwróciłam się od niego załamana.

- Nie okłamałam cię, Raoul.

- No tak, to mam dziś szczęście, nie sądzisz? Znajdujesz się w rękach jakiegoś maniaka bez krzty moralności i w dodatku zaszczycasz mnie prawdą! Gdzie on jest, Christine? Masz mi natychmiast odpowiedzieć! Cofnęłam się.

- Nie powiem ci, to byłoby niebezpieczne. Przysięgam ci na wszystko, Raoul, jeśli odważysz się do niego zbliżyć, nie pożyjesz dość długo, by złożyć się do strzału. Na miłość Boską, obiecaj mi, że nie będziesz próbował go wytropić!

- I co jeszcze!

- Obiecaj mi! - wrzasnęłam. - Obiecaj!

Odsunął się przerażony moim wybuchem; nagle wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

- No dobrze - powiedział cichym, zduszonym głosem. - Nie musisz tak krzyczeć. Wiem, że nie mam prawa zadawać ci pytań... Nie mam żadnych praw, to chcesz mi powiedzieć?

Przez moment patrzyliśmy na siebie jak dwoje dzieci, które się pokłóciły i nie bardzo wiedzą, jak się teraz pogodzić. W końcu, w poczuciu całkowitej bezradności, założyłam swoją maskę i wróciłam na zatłoczoną salę balową.

Przez około godzinę kręciłam się po grand escalier wyglądając

wspaniałego kostiumu Czerwonego Moru, który założył Erik. Nie znalazłam go jednak i wreszcie, spojrzawszy na zegarek, wróciłam do swojej garderoby i zaczęłam zapisywać te notatki czekając, aż Erik przeprowadzi mnie przez lustro.

*

Dwie godziny!

Minęły dopiero dwie godziny, odkąd zostawiłem ją w tłumie na grand escalier i przyszedłem tu czekać na swoje przeznaczenie. Wciąż jeszcze mam na sobie kostium Czerwonego Moru, wysoki kapelusz z piórkiem i krwistoczerwony płaszcz, który ciągnie się za mną jak królewski tren. Nie potrzebuję dziś maski. Wszyscy przyszli poprzebierani - ja gram dziś siebie!

Cisza w korytarzu przypomina mi trumnę, jest duszna i klaustrofobiczna; sprawia, że tym wyraźniej zdaję sobie sprawę, na co się porywam. Nie powinienem był przyznawać się do mojej mrocznej przeszłości. Nawet jeśli dziś wróci, nigdy się nie dowiem, czy nie zrobiła tego z obawy o życie tego chłopca. Przez dwa tygodnie budowałem jej zaufanie do mnie, a zniszczyłem je w niewiele więcej minut. Ależ jestem głupi! Po co jej to powiedziałem? Nie musiała o tym wiedzieć!

Jestem taki zmęczony! Wszystko przychodzi mi z takim wysiłkiem, te setki schodów ciągnące się w nieskończoność... Aż trudno pomyśleć, że jeszcze pół roku temu nawet ich nie zauważałem.

Cała ta żałosna sprawa przypomina mi jakiś upiorny kontrakt ze złego

snu, który muszę za wszelką cenę zakończyć zgodnie z planem i budżetem. No cóż... Giovanni powiedział mi dawno temu, że jeśli się przeliczyło co do kosztów, pozostaje tylko jedno wyjście - pogodzić się ze stratą.

Słyszę, że skrzypią otwierane drzwi; patrzę z nadzieją, ale zaraz jej miejsce zajmuje gorzkie rozczarowanie, gdy widzę postać w białej pelerynie.

Chagny! Co on tu robi, kryje się jak bandyta za zasłoną do przebieralni? Jego twarz jest równie biała, jak jego ubranie; jeśli się nie mylę, schudł przez te dwa tygodnie - nie wygląda na kogoś, kto czeka tu na tajemną schadzkę!

Ciekawe, czy się pokłócili... Czyżbym doprowadził do tego, że upadł tak nisko, by ją szpiegować? No tak, jeśli czuje do niej choć jedną dziesiątą tego co ja, biedny dzieciak cierpi jak potępieniec. Nie mam jednak zamiaru go żałować. To najgorszy błąd litować się nad wrogiem!

Tak więc... ja albo ty, Chagny! Każdy z nas wybierze sobie broń! Twoją jest młodość, uroda i prawo. Ale ja mam jeszcze swój głos. A kiedy ona przyjdzie, udowodnię ci jego potęgę.

Po długim czekaniu drzwi otwierają się i wchodzi Christine. Obaj zastygamy w pełnej napięcia ciszy, każdy w swoim ukryciu. Christine siada i skrobie gorączkowo po kartce, a potem zamyka notes i pióro na klucz w szufladzie.

Mam nadzieję, młody człowieku, że patrzysz uważnie. Nie chciałbym,

żeby ominęło cię przedstawienie.
Patrz. Widzisz?
Czy słysząc twój głos też się tak uśmiecha? Czy twoja obecność powoduje, że zrywa się z krzesła z taką radością?
Czy potrafisz przyciągnąć ją do siebie na oczach ogłupiałego rywala... o tak?
Ależ proszę! Sprawdzaj sobie lustro ile chcesz, monsieur! Zapewniam cię, nigdy nie odgadniesz mojego sekretu! Tak! To cię poruszyło i to nieźle, co? Zaczynasz się sam zastanawiać, czy aby rzeczywiście nie masz do czynienia z duchem!
Na twoim miejscu wróciłbym do domu i golnął sobie kilka głębszych. A może wybierzesz się na małą wycieczkę gdzieś, gdzie mógłbyś zapomnieć to, co widziały twoje łatwowierne oczka i zawodne zmysły. Podobno Biegun Północny jest bardzo przyjemnym miejscem o tej porze roku...
Wierz mi, przyjacielu, w swoim czasie wysłałem wielu ludzi znacznie dalej!
Zabijanie jest jak jazda konna, nie sposób się tego oduczyć.
To jest moje ostatnie ostrzeżenie, Chagny.
Nie zmuszaj mnie, bym usunął cię z mojej drogi!

*

Za jeziorem znajduje się zaginiony świat czarów; świątynia marzeń, którą odkrywam z rosnącym zachwytem.

Każdego dnia coraz bardziej zdaję sobie sprawę z wpływu, jaki ma na mnie obecność Erika. Prowadzi mnie za sobą, a ja bez wahania podążam za nim poprzez niekończące się stubarwne miraże, aż wreszcie moja dusza upojona niezwykłymi wrażeniami szybuje jak latawiec na nitce nieskończonej długości.

Moje odczucie świata zmieniło się nie do poznania; patrzę na osobę, którą dotąd byłam, z niedowierzaniem i odrazą. Jakąż marną, ograniczoną istotą byłam, zanim poznałam Erika. Uwięzioną we własnej ignorancji, nie wybiegającą myślą poza następne przedstawienie, następną suknię. Teraz widzę, słyszę i rozumiem na sposób, który sześć miesięcy temu nie byłby możliwy.

Nie pozostaję pod jego władzą jak blady więzień odcięty od światła dziennego, ale wzrastam coraz bardziej w olśniewającym słońcu jego geniuszu. Dawniej byłam marnym, zadowolonym z siebie nagietkiem; teraz wzniosłam się na wysokość dumnego słonecznika. Myślę, że udało mu się pochwycić wszystkie cuda świata; tworzy dla mnie zaczarowane bańki mydlane odbijające kolory tęczy. Jak pozbawiane dotąd zabawek dziecko, wyciągam po nie obie ręce i z chęcią odwracam się od życia, które znałam.

Często siadam na poduszce u jego stóp, oparta plecami o jego fotel; proszę by mi czytał i wpatruję się w ogień, kiedy jego głos rysuje obrazy w mojej myśli. Czasami czyta mi fragmenty Rubajjatów, rozwija przede mną delikatne, melancholijne rymy wierszy Omara Chajjama jak

cudowny kobierzec; prawie mogę dotknąć żalu, który dawny poeta czuł z powodu przemijalności życia i miłości. Innym razem czyta Szekspira... stare legendy... albo śpiewa mi pieśń, która zawsze doprowadza mnie do łez... Pieśń o białej róży, która wbrew woli Allaha pokochała słowika. "Noc po nocy słowik błagał ją, by dała mu swą miłość, ale na dźwięk jego głosu róża drżała i zaciskała płatki..."

Ptak i kwiat, dwa gatunki, które nie są stworzone dla siebie. A przecież w końcu biała róża pokonała swój strach i z tej jednej chwili zakazanej miłości zrodziła się czerwona róża, której Allah nie zamierzał stworzyć na świecie.

Myśl o białej róży napełniała mnie tak palącym wstydem, że nienawidziłam swego głupiego tchórzostwa, niegodnej obawy, dziecinnego lęku przed jego twarzą. Chciałam odwrócić się do niego i wziąć w ramiona, ale nie umiałam się przemóc. Nie śmiałam zrobić czegoś takiego. Tak więc siedziałam jak mała myszka z bajki Ezopa, nie odważając się spojrzeć na związanego powrozami lwa. Związany z wyroku losu i zdruzgotany dumą, cierpiał w milczeniu, a mnie brakowało odwagi białej róży, by go wyzwolić.

Kiedy skończył opowieść, siedziałam bez ruchu, aż wreszcie pochylił się nade mną z westchnieniem.

- Jest już bardzo późno, kochanie - powiedział smutno. - Chyba będzie najlepiej, jeśli pójdziesz do łóżka.

Wróciłam do swego pokoju z myślami wciąż zaprzątniętymi arabską

bajką. Kątem oka zauważyłam ruch na kołdrze i naraz stanęłam oko w oko z największym pająkiem, jakiego zdarzyło mi się widzieć w życiu. Był chyba wielkości mojej pięści, czarny i straszny. Wrzasnęłam przenikliwie; po chwili Erik wpadł do mojego pokoju.

- Co się stało? - zawołał

Nie mogąc wydobyć głosu wskazałam palcem, a on roześmiał się i podszedł do mojego łóżka.

- Obawiam się, że jest ich tu dość sporo. Duży okaz, nie sądzisz? Pewno jego pani też tu gdzieś jest.

- Boże! - jęknęłam, rozglądając się nerwowo po podłodze. - Naprawdę tak sądzisz?

- Zwykle chodzą parami - powiedział obojętnie, schylił się i wziął wstrętnego pająka delikatnie w palce. - Kiedy już go stąd wyniosę, wrócę i poszukam, jeśli chcesz.

Spojrzałam na niego przerażona.

- Masz zamiar go wynieść? Czy jesteś pewien, że tu nie wróci?

- To mało prawdopodobne, moja droga.

- Ale nie wykluczone - nalegałam uparcie. - Eriku, gdyby coś takiego dotknęło mnie kiedy śpię, umarłabym ze strachu. Zawsze się bałam pająków. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś... no, pozbył się go na dobre.

Zesztywniał i odwrócił się w moją stronę, a w jego oczach było coś, co sprawiło, że zadrżałam.

- Chcesz, żebym go zabił?

- Jeśli... jeślibyś mógł - zająknęłam się onieśmielona jadem w jego spojrzeniu.

- Mógłbym, oczywiście - odparł z wyczuwalną złością. - Spodziewam się jednak, że pająk miałby coś przeciwko temu - ale to w końcu tylko pająk. Tylko bezmyślna, pozbawiona duszy, brzydka rzecz, która nie ma prawa żyć i straszyć ludzi!

Nie mówiąc nic więcej zacisnął pięść, upuścił rozgniecionego pająka na podłogę i wyszedł z pokoju.

- Eriku! - zawołałam za nim. - A co z tym drugim?

- Zabij go sama, jeśli go znajdziesz! - rzucił lodowato i zatrzasnął drzwi.

Zasłoniłam pająka moim szalem, żebym nie musiała na niego patrzeć, sprawdziłam dokładnie pościel, zdruzgotana wsunęłam się pod kołdrę i podkuliłam kolana pod brodą.

Pierwszy raz tak się do mnie odezwał - jakby mnie nienawidził!

W końcu przebrałam się w jedwabną koszulę, wróciłam do łóżka i wyciągnęłam wygodnie. Leżałam bardzo długo nie mogąc zasnąć i rozpamiętując jego wybuch. W końcu jednak musiałam zapaść w sen, bo wrażenie, że coś chodzi mi po policzku sprawiło, że zerwałam się na równe nogi z wrzaskiem.

Wyskoczyłam z pościeli w bezmyślnej panice i wpadłam do pokoju obok.

- Christine! - Erik odłożył książkę i popatrzył na mnie zaniepokojony. - Najmilsza moja, uspokój się!

Zakryłam twarz dłońmi i trzęsłam się na całym ciele jak ostatnia idiotka.
- Eriku... Wiem, że się na mnie gniewasz... ale proszę cię, proszę, idź i poszukaj tego drugiego pająka. Wiem, że on tam jest... Wiem o tym!
- Bardzo się boisz, prawda? - zapytał cicho.
- Tak... - Szczękałam zębami z zimna i strachu. - Tak! Przepraszam cię, nic na to nie poradzę. Wiem, że to okrutne, wiem, że one też mają prawo do życia jak wszystkie inne zwierzęta, ale ja po prostu nie mogę ich znieść! Gdyby mnie któryś dotknął, chyba serce by mi stanęło w piersi.
Gestem kazał mi usiąść przy kominku, tym samym eleganckim, płynnym ruchem dłoni, którym często wzywał mnie do siebie, kiedy śpiewał. Było coś niewypowiedzianie silnego i nieodpartego w jego ruchach; coś, co kazało mi wierzyć, że poszłabym za tą dłonią, nawet gdyby poprowadziła mnie na koniec świata.
Podprowadził mnie do fotela jakbym była marionetką niezdolną poruszać się bez jego pomocy, a mimo to mnie nie dotknął.
Siedziałam i patrzyłam w ogień, słuchając jak przesuwa meble w sąsiednim pokoju. Wreszcie wrócił i wrzucił zwinięty kawałek papieru w palenisko.
- Już po wszystkim - stwierdził ponuro. - Wracaj do łóżka, przyniosę ci coś, po czym będziesz mogła spokojnie spać.
Wstałam w milczeniu, jak posłuszne dziecko i wróciłam do swego pokoju. W drzwiach odwróciłam się na chwilę i spostrzegłam, że stoi wpatrując się w papier zwijający się i czerniejący pośród węgli.

Nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku.
Ale mimo wszystko jestem prawie pewna, że płakał.

*

Gdybyś mnie dotknął, chyba serce by mi stanęło w piersi.
Ona o tym nie wie, ale odpowiedziała na pytanie, którego nie miałem odwagi zadać bezpośrednio. Tej miłości nigdy nie miało być. Te płatki nie otworzą się nigdy z własnej woli, nawet na głos pieśni słowika.
Jeszcze raz stoję nad nią i przyglądam się jej, gdy śpi. Niepotrzebnie dałem jej tyle laudanum. Będzie spała jak kamień, w głębokim, narkotycznym odrętwieniu bez marzeń.
Gdybym ją teraz wziął, uśpioną i nie opierającą się, na tym łóżku, na którym przyszedłem na świat, rano nawet by o tym nie pamiętała...
Pragnę jej!
Ale nie zniżę się do poziomu bezdusznej bestii. Morderca, złodziej, pozbawiony skrupułów oszust, godny pogardy narkoman... ale tej zbrodni nie dopiszę do długiej listy. Nie mogę wziąć od niej niczego, czego nie dałaby mi sama i z pełną świadomością.
Zamknę teraz drzwi, wrócę do mojej muzyki i mojej morfiny. W znajomej igle czeka na mnie spokój. Ceną zapomnienia, które odsuwa ode mnie wszystkie myśli i pragnienia, jest małe ukłucie i kropelka krwi - innej czerwonej róży nie będę miał na tym świecie!
Dobranoc, Christine! Proszę, spójrz jutro ze zrozumieniem, jeśli możesz, na bladość dowodzącą mojego pobłażania sobie.

Morfina jest złem, które ratuje mnie przed znacznie cięższym grzechem.

*

Obudziłam się wczesnym popołudniem ze snu, który powtarzał się już wielokrotnie. Zawsze jest tak samo. Stoję na wysokim urwisku i patrzę w ciemne, spokojne wody niezgłębionego morza. Krajobraz wokół jest zimny i nieprzyjazny, złowróżbny i bardzo brzydki; jest w nim przeczucie zagrożenia, które sprawia, że chcę się odwrócić i uciekać.

A mimo to zostaję, drżę na zimnym wietrze i z tęsknotą wpatruję się w dół. Nad brzegiem czai się ogromny morski pająk, ale wiem, że oprócz tego straszliwego strażnika w głębinie czeka na mnie Neptun na złotym tronie, by ukoronować mnie diademem z ogromnych, czarnych pereł na swoją królową. Wiem, że jeśli tylko uklęknę przed jego tronem, podniesie mnie w swych objęciach i zamieni niezdarne nogi, na których się poruszam, w piękny ogon syreny. Tysiąc koników morskich utworzy zaprzęg, który poniesie nas przez jego zaczarowane królestwo do pałacu z białego koralu, gdzie będziemy żyli już na zawsze.

Muszę tylko zebrać się na odwagę i skoczyć...

Ten sen sprawia, że zawsze czuję się smutna i bardzo zawstydzona, bo czyż mogę pragnąć ogona syreny?

Zresztą, nawet gdyby nie było tam tego pająka - i tak nie umiem pływać!

W końcu wstałam z łóżka, wzięłam kąpiel i ubrałam się w mojej prywatnej łazience z różowego marmuru. Cóż to za przepych! Wygląda jak łaźnia turecka, zaprojektowana dla ukochanej żony z haremu władcy.

Czuję się jak faworyta sułtana z jednym wyjątkiem - nie żąda się ode mnie nic w zamian za spełnianie moich wszystkich zachcianek.
Mazurek f-moll Chopina wywabił mnie wreszcie do salonu. Usiadłam w milczeniu na kanapie. Chopin miał przed sobą niecały rok życia, kiedy skomponował ten utwór; było coś smutnego i znaczącego w fakcie, że Erik teraz go grał. Nie powiedział mi nic, ale wiem, że on także zbliża się do kresu swego życia. Nic w jego mowie czy czynach nie zdradza, że jest chory, ale nie jestem na tyle głupia, by nie zauważać, że czuje się o wiele gorzej, niż chce się przyznać.
Nie zauważył, że weszłam - nic nie zauważa, kiedy gra! - ale kotka to zrobiła. Usiadła prosto na pianinie i zmierzyła mnie pogardliwym wzrokiem.
Wynoś się, zdawała się mówić, nie potrzebujemy cię tu!
Kiedy indziej, jej otwarta wrogość sprawiłaby, że wróciłabym do swego pokoju, ale dziś postanowiłam się nie poddać. Chciałam posłuchać jak Erik gra i nie zamierzałam pozwolić zazdrosnemu zwierzakowi sobie w tym przeszkodzić. Zostałam więc na kanapie i patrzyłam tylko, jak kotka przygotowuje się do wojny.
Skoczyła na środek klawiatury przerywając piękną muzykę fałszywym akordem. Tylko zwierzę ośmieliłoby się przeszkadzać mu w ten sposób i tylko zwierzę mogło liczyć w takim przypadku na wyrozumiałość.
- Kochanie moje! - zaprotestował ze śmiechem. W tych dwóch słowach było tyle miłości, że poczułam, że wściekłość ścisnęła mnie w brzuchu,

nie poruszyłam się jednak i nie dałam mu znaku, że tu jestem.
Dwukrotnie usadzał ją z powrotem na pianinie i dwa razy zręcznie zeskakiwała. Naprzykrzała mu się, nie dawała za wygraną i wpychała głowę pod jego dłoń. Widziałam, jak jego palce prześlizgują się po jej ciele od nosa aż do czubka ogona w czułej, zmysłowej pieszczocie, która sprawiła, że kotka bez cienia wstydu przeciągnęła się rozkosznie. Nawet w ciszy, w jego dłoniach zawsze była muzyka; rytm, który zdawał się spływać z jego palców. Kiedy pochylił się i pocałował małą główkę, zdałam sobie sprawę, że ręce zacisnęły mi się z bólu w pięści.
Chętna i niezaspokojona, kotka wciąż domagała się jego uwagi, aż w końcu skapitulował i wziął ją na ręce. Z łatwością spowodowaną długą zażyłością, oparła głowę i przednie łapki na jego ramieniu. Pozostała tak, rozanielona i mrucząca głośno z zadowolenia, rytmicznie zaciskając pazurki w ciemny materiał jego fraka.
Błękitne oczy, półprzymknięte z rozkoszy, patrzyły na mnie z wyższością, jakby nagle zrozumiała, że z mojej strony nie musi się niczego obawiać. Nie było powodu do zazdrości, nie musiała wypróbowywać przede mną swego uwodzicielskiego czaru. Nie mogłam liczyć na to, że go jej odbiorę.
Nie miałam odwagi!

*

Kiedy żegnałem się z Christine na brzegu jeziora następnego ranka, powiedziałem jej, że nie możemy się spotykać przez najbliższy tydzień.

Ta surowa decyzja, by rozdzieliła nas przestrzeń i czas - zrodzona z rosnącego przeczucia nieszczęścia, którego w żaden sposób nie mogłem uspokoić - była nader trudna do przeprowadzenia, kiedy już nadszedł moment rozstania. Za każdym następnym razem coraz trudniej mi było pozwolić jej odejść; daremnie łudziłem się, że z czasem stanie się to łatwiejsze. Pokusa zamknięcia jej ze mną na zawsze była niemal nieodparta.

Próbowałem przemówić sobie do rozsądku, że rozstajemy się z powodów czysto praktycznych. Ona miała zobowiązania w teatrze; dobrze wiedziałem, że muszę ukrócić swój egoizm, jeśli nie chcę zniszczyć jej kariery. Do tej pory nikt nie zaniepokoił się jej nieobecnością, skoro nie była potrzebna na scenie - nikt oprócz Nadira, którego uwadze oczywiście nic nie uchodziło i który od śmierci Buqueta podejrzliwie podchodził do najbardziej nawet pospolitych zdarzeń. Śmierć ojca zdawała się pozostawić Christine zupełnie osamotnioną. Zatrudniała wprawdzie pokojówkę - żałosne, półgłupie stworzenie, z tego, czego się dowiedziałem - której najwyraźniej brakowało zarówno ciekawości, jak i odwagi, by zgłosić zaginięcie swej pani. Nagle dotarło do mnie, że z wyjątkiem młodego wicehrabiego de Chagny, nie było nikogo, kto w ogóle pomyślałby o Christine - żadnych przyjaciół, żadnych krewnych. Dla kolegów i koleżanek z Opery, równie dobrze mogłaby od tych kilku tygodni leżeć martwa na dnie Sekwany.

Teraz jednak planowano wznowienie Fausta na najbliższą sobotę i nie

mogłem pozwolić, by z mojej winy opuściła chociaż jedną próbę. Należała do świata słońca i oklasków; musiałem się pogodzić z myślą, że zawsze znajdą się przystojni młodzieńcy, którzy będą ją uwielbiać. Musiałem przyzwyczaić się do jej nieobecności, nauczyć się popuszczać linkę, na której ją prowadziłem, choćby wszystko we mnie chciało przyciągnąć ją i zgnieść w uścisku.
Musiałem zburzyć kilka murów, które zbudowałem wokół siebie, by ochronić się przed bólem. Musiałem jej zaufać...
Oczywiście, nie powiedziałem jej tego wszystkiego. Stwierdziłem natomiast, że chciałbym mieć trochę spokoju, aby dokończyć pisanie opery. Spodziewałem się, że w jej oczach odmaluje się niewypowiedziana ulga, ale ujrzałem w nich iskierkę żalu i bolesnego zdziwienia. Wyglądała jak dziecko, któremu ktoś powiedział, żeby nie plątało się pod nogami.
- Przykro mi, że ci przeszkadzam - powiedziała, nie patrząc na mnie. - Zawsze starałam się być cicho, kiedy pracujesz.
- Och, Christine, to nie o to chodzi! Po prostu sama twoja obecność w domu mnie rozprasza.
Podniosła gwałtownie głowę i spojrzała na mnie w sposób, którego nie zrozumiałem.
- Może mniej bym cię rozpraszała, gdybym miała ogon i brylantową obrożę! - rzuciła krótko.
Następnie wyjęła z kieszeni klucz do bramy od strony Rue Scribe,

naciągnęła kaptur płaszcza i szybko odeszła.
Nie mam pojęcia, co ona chciała mi dać do zrozumienia przez tę uwagę; zwykle nie bywa tak zagadkowa.
Dlaczego nagle było w niej tyle złości?
Czy to znaczy, że już tu nie wróci?

*

- Tydzień? - powtórzył Raoul z niepokojem. - Masz do niego nie wracać przez cały tydzień? Dlaczego?
- Bo będzie zajęty!
Siedziałam wpatrując się tępo w moją sukienkę. Idź się pobaw, Christine, ja mam ważniejsze sprawy. Przez tych kilka tygodni Erik robił wszystko, bym uwierzyła, że jestem dla niego najważniejsza na świecie, a teraz po prostu usunął mnie ze swoich myśli równie łatwo, jakby zamknął książkę! To nie do wiary! Gdybym wierzyła w takie rzeczy, pomyślałabym, że to robota tej kotki! Są ze sobą tak niezwykle, nienaturalnie wręcz blisko, że prawie jestem skłonna w to uwierzyć! Czy się mną znudził? Zmęczył się marnowaniem swych genialnych talentów dla żałosnego, więdnącego fiołka? Czy na pewno za tydzień będzie na mnie czekał nad brzegiem jeziora?
Raoul położył cylinder i rękawiczki na mojej toaletce.
- No cóż - zaczął niepewnie. - Skoro raz wydaje się, że nie jesteśmy zdani na łaskę humorów twego szalonego profesora, może wyświadczysz mi ten zaszczyt i zjesz dziś ze mną obiad?

Spojrzałam ze złością na milczące lustro.

- Z przyjemnością - odpowiedziałam.

*

Kiedyż wreszcie nauczę się właściwie interpretować moje przeczucia? Teraz już wiem, dlaczego ją odesłałem; nie pobyłem w domu nawet godziny, kiedy miałem drugi atak. Nie tak poważny jak pierwszy, ale wystarczający, bym zrozumiał, że mam mniej czasu, niż sądziłem. Powinienem raczej myśleć o miesiącach, a nie o latach.

Tak się cieszę, że tego nie widziała!

Postaram się, żeby za tydzień nie odgadła, co się stało.

*

Kiedy Raoul przyszedł do mojej garderoby po dzisiejszym przedstawieniu, zapinałam właśnie w pośpiechu płaszcz. Nagle wyglądał na gorzko zawiedzionego. Spędziliśmy razem wspaniałe i szalone siedem dni. Pojechaliśmy na przejażdżkę do Bois, rzucaliśmy bułki słoniom w ogrodzie zoologicznym, daliśmy zarobić kilku restauratorom i co wieczór chodziliśmy do teatru. Śmialiśmy się na komediach, wydłużały nam się miny na tragediach, kłóciliśmy się wesoło nad menu i popijali szampana z jednego kieliszka. Cały czas widziałam jednak, jak trudno mu było znieść myśl, że taki stan rzeczy nie będzie trwać dłużej.

- Wrócisz do Erika, prawda? - zapytał smutno. - Miałem nadzieję, że ostatni tydzień doda ci sił, by zmienić zdanie.

Przez chwilę nie odpowiadałam. Zdawałam sobie sprawę, jak niemądrze

postąpiłam, pozwalając mu spędzić tyle czasu w moim towarzystwie. Jak nielojalnie się zachowałam w stosunku do Erika.

- Muszę wrócić, Raoul, i ty o tym wiesz.

- Dlaczego musisz wrócić? Naprawdę nie rozumiem, co cię z nim trzyma. Zupełnie jakbyś nie miała własnego rozumu. Christine, jeśli się go boisz -

- Wcale się go nie boję... W każdym razie nie o siebie. Nie musisz się martwić o moje bezpieczeństwo. Erik raczej by umarł, niż mnie skrzywdził.

Raoul podszedł do mnie przez pokój i ujął mnie za ręce. Jego jasna, chłopięca twarz zarumieniła się, a błękitne oczy zalśniły.

- Czy ty go kochasz? - zapytał po prostu.

- Nie wiem - odparłam.

Pokiwał głową i cofnął się o krok, puszczając moje ręce.

- Czy jest szansa, że dowiesz się w najbliższej przyszłości? Czy mam może iść sobie raz na zawsze i przestać cię męczyć? Spodziewam się, że tego właśnie chciałby Erik, czyż nie? Może byłabyś świadkiem cudownego ozdrowienia, gdy tylko ja usunę się ze sceny!

Łzy zapiekły mnie pod powiekami, odwróciłam się więc i wzięłam rękawiczki.

- Gdybyś go widział, nigdy nie powiedziałbyś czegoś tak okrutnego i bezmyślnego.

- Opowiedz mi o nim!

- Już ci opowiadałam.

- To powiedz jeszcze raz. Chcę to usłyszeć jeszcze raz!

- O czym chcesz usłyszeć? - wrzasnęłam, nie panując nad sobą. - O zabójstwach... kradzieżach... o morfinie?

- Powiedz mi, jak on wygląda.

Spojrzałam na niego z nagłą pogardą.

- On wygląda tak jak ty, Raoul! Ty też tak będziesz wyglądał - w kilka miesięcy po tym, jak umrzesz! Jesteś teraz zadowolony, wystarczy ci już?

Raoul usiadł ciężko na stołku przy mojej toaletce i podparł głowę dłonią.

- Nie mówiłabyś mi chyba nieprawdy? - mruknął w końcu.

- Nie - odpowiedziałam zimno. - Wszystko, co ci o nim powiedziałam, to prawda. Także to, co do niego czuję.

- Rozumiem.

Wstał powoli, wyjął z kieszeni płaszcza małe pudełeczko i położył je na stoliku.

- Kupiłem go dzisiaj. Miałem nadzieję, że może zechcesz go przyjąć, ale nie wygląda na to. Mimo wszystko chyba go tu zostawię, w sklepie i tak pewnie by go nie przyjęli z powrotem.

Otworzyłam pudełeczko drżącymi palcami i w świetle gazowych lamp zobaczyłam wielki rubin otoczony brylantami.

- Ależ Raoul! - westchnęłam. - Przecież wiesz, że nie mogłabym go nosić, jak długo żyje Erik.

- Sama powiedziałaś, że być może długo już nie pożyje.

- Raoul, proszę cię!

Znowu ujął mnie za rękę.

- Powiedz tylko, że mnie nie kochasz, że nigdy za mnie nie wyjdziesz. Powiedz to, a odejdę z twego życia na zawsze.

Czekał w ciężkiej ciszy aż odpowiem. Kiedy bezradnie spuściłam wzrok nie wytrzymując jego natężonego spojrzenia, wyciągnął pierścionek z aksamitnego pudełeczka i zdecydowanym ruchem włożył mi na palec.

- Nie będę miał ci za złe, jeśli postanowisz na razie go schować - powiedział. - Mieliśmy swoje małe sekrety, kiedy mieliśmy po dziesięć lat.

Kiedy mnie pocałował, nie odepchnęłam go. Poczucie winy stało się niemal nie do zniesienia.

Gdy znowu zostałam sama, zdjęłam pierścionek z palca i powiesiłam go na łańcuszku, na którym nosiłam krzyżyk. Jak długo go tak nosiłam, mogłam sobie wmawiać, że to tylko błyskotka. Postanowiłam pozostać w pewien sposób wierna im obu. Nie mogłam znieść myśli, że pewnego dnia będę musiała dokonać wyboru; wciąż wierzyłam, że jeśli wyraźnie rozgraniczę moje życie z każdym z nich, może uda mi się uniknąć ponurej, iście szekspirowskiej tragedii.

Kiedy budynek Opery opustoszał, wymknęłam się na ulicę owinięta szczelnie płaszczem dla ochrony przed przenikliwym wiatrem. Bolało mnie gardło i czułam się przeziębiona; musiałam się dziś zmuszać, żeby śpiewać. Sprzeciwiłam się tym jednemu z najsurowszych poleceń Erika,

ale co miałam zrobić? Nie mogłam udawać primadonny i odmówić w ostatniej chwili. Monsieur Richard z pewnością natychmiast wyrzuciłby mnie z pracy, gdybym zaczęła stroić fochy. Od początku tej afery z Upiorem Opery był ciągle podenerwowany; podobno byłby w stanie podrzeć kontrakt, nawet nie czekając na wyjaśnienia.

Kiedy podeszłam do bramy, która prowadziła do podziemnych przejść, wpadłam na nieznanego mężczyznę.

No, może niezupełnie wpadłam! Człowiek, który wynurzył się z cienia, skulił się pod ścianą, gdy tylko mnie zobaczył i zduszonym głosem wymamrotał:

- Mademoiselle! Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć! W tej ciemności przez chwilę myślałem...

Urwał, a cała jego sylwetka wyrażała zmieszanie i obawę. Nagle poczułam dziwny niepokój.

- Na kogo pan czekał o tej porze, monsieur? - zapytałam obcesowo, zatrzymując go, nim zdążył uciec.

- Na nikogo! - odparł z nieukrywanym przerażeniem. - Na nikogo nie czekałem, mademoiselle, zapewniam panią!

- Więc nie na Erika? - nalegałam łagodnie. - Nie czekał pan tu na Erika?

Mężczyzna zesztywniał nagle; mimo ciemności zauważyłam, że jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Pani zna Erika? - szepnął pełen grozy.

- Idę się z nim spotkać nad brzegiem podziemnego jeziora.

Mężczyzna przez chwilę mi się przyglądał, a potem powoli się przeżegnał. Następnie niezgrabnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej mały pakiecik. Widziałam, że oczy zaszły mu łzami.

- Niech panią Bóg błogosławi, mademoiselle - powiedział z emfazą. - Niech panią Bóg zachowa w szczęściu przez wszystkie dni pani życia. A więc to pani jest jego aniołem. Kiedy poprosił mnie o te wszystkie damskie stroje, tak się bałem, że samotność i to - dotknął znacząco zawiniątka - pomieszały mu w głowie.

Gwałtownie chwycił mnie za rękę i przyciągnął ją do ust.

- Więc to było dla pani, ta suknia ślubna i obrączka. Mademoiselle, nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy, że dane mi było poznać tak wspaniałą damę. Tak bardzo się cieszę -

Przerwał nagle, jakby własna śmiałość go zawstydziła.

- Proszę mu to przekazać ode mnie - kontynuował, usiłując mówić spokojnie. - Erik miał się tu ze mną spotkać w zeszłym tygodniu i kiedy nie przyszedł, bałem się, że, że... ale teraz widzę, że się myliłem. - Mężczyzna podał mi pakiecik z westchnieniem. - Spodziewam się, że wie pani, co to jest, ale proszę nie rozpaczać. Musi pani być dobrej myśli, mademoiselle. Ze względu na panią on znajdzie w sobie dość siły, by z tym skończyć. Myślę, że wyrwałby sobie serce, żeby pani sprawić przyjemność... oczywiście, pani sama o tym wie najlepiej. Mam nadzieję, że nie pogniewa się pani na mnie, jeśli powiem, że sam Bóg musiał panią wybrać w swojej mądrości, tak jak kiedyś wybrał Najświętszą

Panienkę. Mademoiselle... będę pamiętał o was obojgu w moich modlitwach...

Znowu uścisnął moją rękę, po czym szybko oddalił się ulicą Scribe, wsiadł do czekającej nieopodal dorożki i odjechał.

Zostałam sama z paczuszką morfiny, która spoczywała w mojej osłoniętej rękawiczką dłoni.

Erik kupił suknię ślubną i obrączkę. Teraz czekał tylko na narzeczoną...

Zdrętwiałam, kiedy dotarło do mnie znaczenie słów tego człowieka.

Erik miał się z nim spotkać w zeszłym tygodniu.

Dlaczego nie przyszedł na tak ważne spotkanie?

Otworzyłam bramę i zbiegłam ciemnymi korytarzami nad jezioro.

Powietrze nad wodą było wilgotne i chłodne, a świeca, którą trzymałam, rzucała mizerne światło tylko na najbliższą okolicę.

Nikt na mnie nie czekał; nie było śladu latarni na jeziorze.

- Eriku?

Mój głos odbił się echem w mroku, w pustych korytarzach zabrzmiał nienaturalnie głośno. Kiedy nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, opanowała mnie panika. Poczułam się jak dziecko zostawione samo w ciemności.

- Eriku... gdzie jesteś?

Cisza zdawała się ze mnie drwić, stojące wody jeziora napawały mnie lękiem. Świeca zamigotała i zgasła; zostałam sama z rosnącym przerażeniem.

- Eriku, gdzie jesteś? - wrzasnęłam. - Erik!

- Cicho... Jestem tutaj.

Jego dłoń spoczęła lekko na moim ramieniu; kiedy odwrócił mnie do siebie, oddech zamarł mi w piersi. W żółtawym świetle latarni widziałam jego potężną postać; kształt ukryty w cieniu i otulony znajomym płaszczem. Jego maska i falbany przy koszuli wydawały się połyskująco białe. Ciemność otaczała go tak, że widziałam tylko to, co chciał, żebym zobaczyła. Gdybym zaczęła szlochać, z pewnością chwyciłby mnie w tej chwili w ramiona, ale ja, mimo że łzy ciekły mi po policzkach, nagle poczułam złość na jego rozmyślne oszustwa.

- Byłeś tu przez cały czas, prawda? Dlaczego mi nie odpowiedziałeś?

Westchnął i odsunął się ode mnie o krok; ulotny nastrój tej chwili minął.

- Chciałem przeprowadzić mały eksperyment, moja droga...

Obserwowałem, co zrobisz.

- To dość okrutny eksperyment, nie sądzisz? - odparłam gorzko.

- Nauka nigdy nie bywa tak okrutna, jak miłość - powiedział po prostu. - Chodź, przycumowałem łódkę trochę dalej.

Poszłam za jego wyciągniętą dłonią... Poszłam za tym mężczyzną, który był moim mrocznym aniołem, moim opiekunem, przyjacielem i ojcem; poszłam za nim coraz głębiej w świat, gdzie nie ma wschodów i zachodów słońca, do królestwa wiecznej nocy.

W domu nad jeziorem było bardzo ciepło. Różnica temperatur sprawiła, że zakaszlałam; natychmiast Erik odwrócił się do mnie z niepokojem,

który powinnam była potraktować jako przestrogę.

- Co się stało z twoim gardłem? - zapytał.

- To tylko przeziębienie - zapewniłam go pospiesznie. - Śpiewałam bez żadnego problemu, nikt nawet nie zauważył, że coś jest nie tak. Oklaskiwali mnie na stojąco. Och, tak żałuję, że cię przy tym nie było -

- Myślisz, że sprawiłoby mi przyjemność słuchać, jak niszczysz sobie głos? - zapytał ostro.

- Eriku, nie mogłam tak po prostu odmówić występu -

Uderzył pięścią w klawiaturę pianina.

- Jak śmiesz występować lekceważąc moje zalecenia! Ty głupie, próżne dziecko, niczego się nie nauczyłaś?

Podkradłam się do kanapy i skuliłam ze strachu.

- Przepraszam - jęknęłam. - Nie sądziłam, że jeden raz miałby znaczenie.

- Brakuje ci dyscypliny - stwierdził ze złością. - Nie umiesz powiedzieć "nie"! Spodziewam się, że Wicehrabia de Chagny był dziś na widowni. Spodziewam się, że przysłał ci kwiaty i zaprosił na kolację. Śpiewałaś dziś dla niego, a nie dla mnie. Ze względu na tego przeklętego młokosa ryzykowałaś utratę swojej niespotykanej skali, czystości głosu, wysokiego pianissimo?

Wtuliłam się w poduszki na kanapie, starając się bezskutecznie odgrodzić od jego wściekłego wybuchu. To nie był zimny, kontrolowany gniew, jak wtedy z pająkiem - to była irracjonalna, dzika furia, która przez jedno nieodpowiednie słowo z mojej strony mogła zakończyć się

przemocą. Byłam niewzruszenie pewna, że nigdy by mnie nie skrzywdził, ale teraz, patrząc na jego pięści zaciśnięte na pianinie, przypomniałam sobie, że te dłonie były kiedyś bliskie skruszenia mojej szyi.
Przypomniałam to sobie tak wyraźnie, że aż się zdziwiłam, że w ogóle mogłam o tym zapomnieć.
Nieme łzy spływały mi po twarzy, pochyliłam głowę i pozwoliłam mu wywrzaskiwać przekleństwa na moją dziecinną głupotę bez słowa protestu. Nie ośmielałam się poruszyć ani odezwać.
W końcu zamilkł; gniew się w nim wypalił - patrzył na mnie z nagłym wstydem i znajomą czułością.
- Wybacz mi - powiedział cicho. - Zapominam czasem, jak bardzo jesteś młoda i jak podatna na otaczające cię pokusy. Nie możesz jednak liczyć na to, że pochwalę cię za podobną nieostrożność. No dobrze... przestań płakać i wydmuchaj nos, kochanie. Wiesz, że nie mogę na to patrzeć, kiedy płaczesz.
- N-nie mogę - zająknęłam się, nerwowo przeszukując kieszenie. - Nie mogę znaleźć chusteczki. M-musiałam ją zgubić, kiedy płynęliśmy przez jezioro. Czy nie masz gdzieś tu może ch-chusteczki, Eriku?
Spojrzał na mnie tak smutno, że od razu ugryzłam się w swój głupi język.
- Niezbyt mi są potrzebne chusteczki... Widzisz, kochana, nawet życie bez nosa ma pewne zalety.
Zasłoniłam usta dłonią.
- Och, Eriku! Nie pomyślałam, tak mi przykro! Proszę cię, nie zaprzątaj

sobie tym głowy, jakoś sobie poradzę. Mogę w końcu pociągać nosem.
- Mało rzeczy zaszkodzi ci równie skutecznie, co pociąganie nosem, moja droga - stwierdził rzeczowo. - Poczekaj tu, zobaczę, co uda mi się znaleźć.
Nie było go przez jakiś czas, a kiedy wreszcie wrócił, przyniósł mi z pół tuzina obszytych koronką damskich chusteczek. Od razu zobaczyłam, że nie były nowe, jak większość rzeczy w moim pokoju. Każda była porządnie złożona wokół uschłej gałązki lawendy, a w rogu miały wyhaftowany monogram M.
- Widzę, że patrzysz na monogram - zauważył dość zmieszany. - Zapewniam cię, że nie należały do mojej poprzedniej wielbicielki! Jeśli dokładnie się przyjrzysz, zobaczysz, że koronka całkiem pożółkła i że od lat nie były używane. Ich właścicielka nie żyje od dwudziestu lat.
Podszedł do kominka, a ja patrzyłam na jego wyprostowaną sylwetkę; nagle zrozumiałam, do kogo musiały należeć te chusteczki.
- Jak miała na imię twoja matka? - zapytałam łagodnie.
Zapadła długa cisza, po czym odwrócił się do mnie.
- Madeleine - odpowiedział.
Wymówił to słowo, jakby to była modlitwa; z niezwykłą dźwięcznością, która sprawiła, że każda z sylab na moment zawisła w powietrzu jak echo.
- Jakie piękne imię! - zawołałam z niezamierzoną zazdrością. Chciałam, żeby je powtórzył, ale coś w sposobie, w jaki na mnie spojrzał, kazało mi

porzucić tę myśl. W jego oczach było coś dziwnego; coś, co mnie zaniepokoiło, a mimo to byłam bardzo ciekawa i nawet strach nie mógł tego stłumić. Skoro jego matka umarła dwadzieścia lat temu, musiała umrzeć w 1861 roku - wtedy, kiedy ja urodziłam się w Szwecji.
Poczułam się, jakby całe moje ciało pulsowało niespokojnym rytmem mojego serca.
- Czy masz może jej podobiznę? - zapytałam nagle.
Stał tak nieporuszenie, że wydawał się wyrzeźbiony z czarnego granitu. Nagle z drugiej szkatułki stojącej na kominku wyjął małą, podwójną ramkę zawierającą dwa wyblakłe portreciki i podał mi.
Jeden portret przedstawiał ciemnowłosego mężczyznę w średnim wieku, niezwykle przystojnego, o łagodnych, pełnych humoru oczach. Na drugim...
Na drugim byłam ja!
Kobieta z portretu miała staromodnie związane włosy, a w jej oczach i ustach było wrażenie pewnej twardości, ale bez wątpienia była łudząco podobna do mnie.
Erik pochylił się, odebrał ode mnie ramkę i schował do szkatułki.
- Jak to możliwe? - szepnęłam. - Jak to się mogło stać?
Wzruszył ramionami.
- Od czasu do czasu pewna kombinacja budowy kości może się powtórzyć nawet bez pokrewieństwa. Żadna ludzka twarz nie jest całkowicie niepowtarzalna, moja droga. Spodziewałbym się nawet, że

gdzieś na świecie może być jeszcze jeden nieszczęśnik, który wygląda tak, jak ja.

- Opowiedz mi o niej, Eriku.

- Wolałbym nie - odparł chłodno.

- Proszę cię! - nalegałam. - Musisz coś o niej wiedzieć.

- Była bardzo młoda i bardzo piękna - zaczął z wahaniem. Mówił przerywanymi zdaniami, jakby w ten sposób chciał zmniejszyć swój ból.

- Nienawidziła mnie, a ja nienawidziłem jej. Uciekłem od niej, kiedy miałem mniej więcej dziewięć lat... Przepraszam! Wybacz mi. Nie mogę o tym mówić!

Odwrócił się do mnie plecami i oparł ciężko obiema rękami o kominek; płaszcz zawirował wokół niego jak skrzydła nietoperza. Po chwili powiedział mi dosyć szorstko, że byłby bardzo wdzięczny, gdybym położyła się ze swoim przeziębieniem do łóżka.

Wyjęłam paczuszkę z morfiną z kieszeni, spojrzałam na nią smutno i położyłam ją przy manuskrypcie Tryumfu Don Juana; wiedziałam, że ją tam znajdzie.

Potem zrobiłam to, co każdy z odrobiną rozsądku by zrobił, słysząc polecenie Erika.

Posłuchałam go bez zadawania pytań.

Mija drugi dzień, odkąd Erik pozwolił mi śpiewać. Przez poprzednie dwa dni w ogóle zabraniał mi otwierać usta; leżałam posłusznie łykając lekarstwa, które w regularnych odstępach czasu mi podawał, a jeśli

musiałam się do niego zwrócić, robiłam to na piśmie. W sprawach mojego głosu jest równie nieugięty jak wtedy, kiedy znałam go tylko jako mojego Anioła Muzyki. Wymaga całkowitego poświęcenia dla sztuki i bezwzględnego podporządkowania się jego woli. - Jeśli nie będziesz cicho, będę zmuszony cię zakneblować – powiedział, a ja mimo jego żartobliwego tonu zrozumiałam, że byłby gotów spełnić tę groźbę. Napisał list do dyrekcji i poinstruował ich, by w czasie mojej niedyspozycji zaangażowali dublerkę. Następnie opiekował się mną tak troskliwie, jakbym miała nie więcej niż cztery lata. Spędziłam mnóstwo czasu leżąc przykryta kocem na kanapie, wpatrując się ukradkiem w szkatułkę stojącą na kominku. Chciałam jeszcze raz obejrzeć portret jego matki, gdyż sama obecność jej podobizny w tym domu nie dawała mi spokoju. Wiedziałam jednak, że przez wzgląd na Erika nie powinnam wspominać o tym, co zaczynało przybierać dla mnie objawy idee fixe. Wiedziałam, że nie byłabym na siłach badać tego dziwnego, okrutnego aspektu naszych wzajemnych relacji. Mimo to bez przerwy myślałam o kobiecie, do której byłam podobna; zastanawiałam się, co ona musiała zrobić, że tak ją znienawidził i dlaczego wspominał tę nienawiść z tak przejmującym bólem. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle dane mu było przeżyć choć jedną chwilę szczęścia na ziemi...
Wczoraj, uznawszy, że moje struny głosowe są wolne od infekcji, pozwolił mi zaśpiewać parę gam. Wsłuchiwał się w mój głos z przeraźliwą intensywnością. Skoro jednak wszystko najwyraźniej

brzmiało tak, jak to sobie założył, zgodził się, żebym dziś ćwiczyła, a od jutra wróciła do roli Małgorzaty w Operze.

- ... a może byśmy się wybrali na przejażdżkę powozem do Bois? Wieczór jest dziś ciepły i nie powinno ci to zaszkodzić. Co ty na to?

- O tak - odpowiedziałam, lekko zdziwiona. Czasami pływaliśmy łódką po jeziorze albo spacerowaliśmy nad brzegiem wody, ale po raz pierwszy zaproponował, że zabierze mnie do realnego świata tam na górze.

Dzień minął równie szybko jak wszystkie dni, które spędziłam w jego towarzystwie. Po południu pozwolił mi obejrzeć swoje laboratorium - naprawdę niesamowite miejsce! - i odpowiadał na moje pytania z prostotą, która nie wydała mi się nużąca ani protekcjonalna. Zachęcał mnie, bym sama spróbowała przeprowadzać eksperymenty z czym tylko zechcę.

- Eriku, naprawdę nie przeszkadza ci, że się tu kręcę? Mogę przecież zepsuć coś, czego nie będziesz umiał później naprawić.

- Tak - zgodził się smutno. - Tak... myślę, że tak się w końcu stanie. No cóż, nie szkodzi. Muszę podjąć to ryzyko.

Zrozumiałam, kiedy dotykając skomplikowanych instrumentów przechodziłam do jednej półki do drugiej, że to nie laboratorium miał na myśli.

- Nie znam nikogo, kto bardziej od ciebie zdawałby się należeć do przyszłości.

Wzruszył ramionami.

- No tak... Nigdy nie czułem się zbyt dobrze w teraźniejszości. Obawiam się, że weszło mi już w nawyk uciekać od niej jak tylko się da - w magię, muzykę... naukę.

Zamilkł i odwrócił się, by poprawić szklaną rurkę, przez którą przepływał jakiś płyn. Pomyślałam, że powiedział mi więcej, niż chciał i że teraz żałował tego zwierzenia, które ujawniło rozpacz skrywaną pod pozorami cynizmu i dumy.

Później tego wieczora wyszliśmy z labiryntu podziemnych przejść na Rue Scribe, gdzie czekał na nas zakryty powóz. Widziałam dość wiele ze sztuczek Erika, by uwierzyć, że byłby zdolny wyczarować powóz z powietrza, gdyby przyszła mu na to ochota. Kiedy go jednak o to zapytałam, roześmiał się tylko i powiedział, że podróżuje jak wszyscy inni ludzie, zwłaszcza odkąd wypuścił smoka na wolność.

- Smoka? - Przez chwilę myślałam, że go nie dosłyszałam.

- Ależ tak... biedaczek! Był już bardzo stary i kompletnie głuchy, nie słyszał nawet grzmotu gotującego się w kotle. Musiałem pozwolić mu odejść...

Jeszcze raz przyszło mi do głowy, że granice między naszymi dwoma światami zacierają się, jakby opadła cienka kurtyna z gazy, która zaćmiła podział na prawdę i fikcję. Trochę się przestraszyłam uświadomiwszy sobie, że jego potęga tu, na szarej ulicy Paryża, była równie wielka, jak w tajemniczym mieszkaniu pod ziemią. W końcu

miałam dwadzieścia lat i w pełni zdrowe zmysły; nie wierzyłam, że istnieją smoki.

A jednak wystarczyło tylko słuchać, a istniały one w jego głosie; sen stałby się rzeczywistością w chwili, gdy porzuciłabym niewiarę. Nie wróciłabym do realnego świata tak długo, aż sam by mnie nie przyprowadził.

Ale co by było, gdyby pewnej nocy postanowił nie przyprowadzać mnie nigdy więcej?

Ta myśl, którą nagle uświadomiłam sobie w całej pełni, sprawiła, że z zalęknionym uporem skupiłam uwagę na widoku nieciekawej, znajomej ulicy. Erik zamilkł i wypuścił mnie spod swego wpływu, uszanowawszy mój nieoczekiwany opór. Nigdy wcześniej nie przeciwstawiałam się sile jego głosu; widziałam, że był zaniepokojony swoją porażką przy próbie przeprowadzenia mnie ze sobą do świata baśni. W jego oczach przez chwilę pojawiła się wątpliwość i smutek.

Dojechaliśmy do rogatek Paryża, gdzie Bois de Boulogne rozciągał się na przestrzeni wielu akrów szpalerem sztywno posadzonych drzew, niby świadectwo niechęci zmarłego cesarza do nieporządku. Przez jakiś czas chodziliśmy cichymi, opustoszałymi alejkami, które w świetle słońca byłyby zatłoczone. Nawet w najmroźniejsze zimowe dni setki łyżwiarzy ślizgały się po zamarzniętym jeziorze wokół kiosku stojącego na wysepce. Panowie otuleni szalikami popychali panie w saneczkach, a słudzy w liberiach ćwiczyli charty poubierane w ciepłe kubraczki. Latem

po jeziorze pływały gondole oświetlone kolorowymi lampionami, a niekończący się sznur radosnych Paryżan podziwiał cuda ogrodu zoologicznego. Wszystkie te proste, ludzkie przyjemności, o których wiedziałam, że Erik nie mógł ich dzielić, nawet w czasach, kiedy jeszcze mieszkał wśród ludzi. Nawet jeśli był tutaj przedtem, musiało to być po zmroku, kiedy park był zimny i pusty, całkowicie pozbawiony odgłosów śmiechu i zabawy.

- To miejsce jest świetnym przykładem tryumfu elegancji i sztuczności - zauważył zamyślony, kiedy mniej więcej godzinę później kierowaliśmy się w stronę powozu. - Gdyby cesarzowi starczyło na to wyobraźni, po jeziorze pływałyby mechaniczne kaczki!

Spojrzałam na niego zaniepokojona; zastanawiając się, jak by zareagował, gdybym się z nim nie zgodziła.

- Ja sądzę, że jest tu raczej pięknie - powiedziałam.

Wydawał się zaskoczony, ale nie zdenerwowany.

- To wszystko jest sztuczne, Christine. To nic więcej, tylko pokaz zręcznej inżynierii. Cały ten park nosi maskę. To, co widzisz, to nie jest prawdziwa przyroda.

- No cóż, być może... A może ja nie chcę widzieć rzeczywistości.

- Więc nie masz nic przeciwko złudzeniom? - zapytał z ostrożnym optymizmem. - Mogłabyś, być może, w szczególnych okolicznościach, uznać niektóre iluzje za... możliwe do przyjęcia?

Doszliśmy do powozu i odruchowo stanęliśmy twarzą w twarz. Powoli, z

wahaniem, jakby walcząc z głęboko zakorzenionym instynktem, który nakazywał mu mieć się na baczności, Erik wyciągnął do mnie rękę w rękawiczce, by pomóc mi wejść na stopień. To był pierwszy raz, kiedy świadomie zachęcał mnie, bym go dotknęła; wiem, że oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że jest to chwila przełomowa. Musiałam tylko pokonać dłonią tę małą odległość, a nigdy więcej nie uzna mnie za dziecko.
W świetle księżyca jego dłoń w rękawiczce była łudząco normalna; wydawała się ciepła, silna i dziwnie uspokajająca. Nie była to ręka potwora czy mordercy, ale łagodnego, kochającego mężczyzny, który z nieskończoną cierpliwością czekał na maleńki znak nadziei...
W tej chwili w naszą stronę podjechał powóz wypełniony młodymi dżentelmenami, z których paru najwyraźniej wypiło zbyt wiele. Erik odruchowo cofnął się ode mnie słysząc pierwszy prostacki okrzyk.
- A to dopiero mamy szczęście! Królowa nocy! Moja śliczna... czy nie wolisz przyłączyć się do naszego wesołego towarzystwa?
- Ależ tak, droga mademoiselle. Zachowaj swoje wdzięki dla godniejszego klienta. Mamy tu młodego arystokratę spragnionego pociechy - najprawdziwszego hrabiego, który cierpi odrzucony przez swą okrutną diwę!
- Do diabła, Edouard! - Z wnętrza powozu dobiegł mnie nagle znajomy głos. - Wy pijane, odrażające świnie, nie powinienem był się z wami spotykać! Jedźcie, na miłość Boską!
- O co się tak złościsz, Raoul? Cóż z tego, że twoja luba cię zostawiła - te

artystki są wszystkie takie same! Jako dobry przyjaciel zafunduję ci dziś usługi porządnej, uczciwej dziwki - a któż, jeśli nie dziwka, błąka się po Bois o tej porze? Woźnica... woźnica, podjedź no bliżej, bądź tak dobry.
- Wsiadaj szybko do powozu!
Głos Erika zabrzmiał lodowato. Posłuchałam go bez chwili wahania, w pośpiechu drąc rąbek sukni o stopień. Drugi powóz przechylił się niebezpiecznie, kiedy jego pasażerowie wytoczyli się na zewnątrz po drugiej stronie alejki. Młodzi mężczyźni zaśmiewając się wyciągnęli Raoula z pojazdu. Popchnięty upadł niezdarnie w błoto.
Erik wskoczył do naszego powozu, zatrzasnął drzwi i rozkazał woźnicy odjeżdżać.
W tej samej chwili Raoul podniósł wzrok i rozpoznał mnie w okienku w tylnej ściance powozu.
O Boże! Jego mina kiedy mnie zobaczył! Nie mogłam się zmusić, by na niego nie patrzeć, kiedy z desperacją biegł za naszym powozem, aż wreszcie pokonała go świadomość żałosnej jałowości takiego zachowania.
Kiedy ciężko opadłam na siedzenie, zauważyłam, że Erik przygląda mi się bez ruchu, jak dzikie zwierzę gotujące się do skoku.
- Muszę przyznać, moja droga, że twój młody przyjaciel niezbyt dobrze dobiera sobie towarzystwo - stwierdził chłodno.
Ignorował mnie przez resztę drogi; zamyślony wyglądał przez okno w męczącej ciszy.

Kiedy wróciliśmy do domu nad jeziorem, natychmiast podszedł do pianina w salonie i mocno uderzając w klawisze zaczął wygrywać jakieś dzikie tony. Nieuchronnie wpadał w jeden ze swoich złych nastrojów, najgorszy, jaki dotąd widziałam. Postanowiłam zrobić coś, co oderwałoby go od czarnych myśli.

- Może ci zaśpiewać?

Przestał grać i usiadł prosto; widać było, że usiłuje się uspokoić.

- Oczywiście... twoja lekcja. - Westchnął. - Obiecałem ci, prawda? Dobrze więc, chodź, możesz dziś sama wybrać fragment. Zasłużyłaś na to; przez tyle dni spełniałaś posłusznie moje zalecenia.

Wybrałam duet z Rigoletta. Niech wyśpiewa swój gniew i rozładuje złe emocje, które się w nim nagromadziły. Tylko jeśli wyrzuci z siebie tę dziką złość, będę mogła spokojnie śpiewać łagodne bretońskie melodie, które pomogą mu odzyskać zachwianą równowagę.

Nasze głosy zderzyły się w gwałtownym, niemal żywiołowym starciu, wzniosły razem na niebotyczną wysokość, runęły w dół i w końcu przeszły w tę zaskoczoną ciszę, która następuje po każdym osiągnięciu wielkiej miary. Ale nawet zdumiona własnym sukcesem, byłam zupełnie nieprzygotowana na nagrodę, którą mi dał, kiedy odwrócił się do mnie od klawiatury.

- Podbiłabyś wszystkie sceny świata, moja droga. Zastanawiam się czy wiesz, jak wiele szczęścia dałaś mi swoim śpiewem przez te ostatnie sześć miesięcy; jak bardzo jestem dumny z twoich niewiarygodnych

postępów.

Pochyliłam głowę, by ukryć nagłe wzruszenie. To było zbyt wiele, ta pochwała! Zabrakło mi tchu, poczułam się słaba i bezbronna. Teraz zrozumiałam, dlaczego tak rzadko mnie chwalił - może nie było to dla mnie najlepsze, nie umiałam sobie z tym poradzić. Dziwne, ale łatwiej mi było pogodzić się z jego łagodną, lecz nieugiętą krytyką.

- Jesteś zmęczona - powiedział z troską. - Może powinniśmy przestać.

- Nie... Nie, Eriku, nie jestem zmęczona, wcale. Po prostu... Proszę cię, nie przerywajmy.

- Dobrze. - Odwrócił się i zaczął przeglądać nuty, dając mi czas, bym wzięła się w garść. - No dobrze, może spróbujemy scenę finałową z Aidy? Wiesz, zawsze mi się wydawało, że tę scenę powinno się śpiewać w sukni ślubnej. Nie sądzisz, że byłoby to odpowiednie? Młoda dziewczyna wybiera śmierć zamurowana w grobowcu razem ze swym ukochanym; woli umrzeć pod ziemią w jego ramionach, niż żyć dalej bez niego. To okropnie melodramatyczne, oczywiście, ale na scenie przejdzie prawie wszystko, jeśli tylko doda się dobrą muzykę. W garderobie jest suknia ślubna. Może zechciałabyś ją włożyć.

Nie poruszyłam się.

- Suknia ślubna? - powtórzyłam zmieszana.

Erik spojrzał na mnie, ale natychmiast odwrócił wzrok.

- To tylko kostium - odparł chłodno. - Rekwizyt, żebyś lepiej wczuła się w rolę... Ale skoro nie chcesz, to nie; zapomnij, że o tym mówiłem. -

Wyciągnął rękę, żeby zamknąć nuty. - Może mimo wszystko nie róbmy dzisiaj tej sceny. Najwyraźniej nie poradzisz sobie emocjonalnie z arią "Terra, addio."

- Poradzę sobie! - zaprzeczyłam z naciskiem. - Poradzę sobie doskonale! Eriku, proszę, pozwól mi spróbować! To taka piękna pieśń, taka piękna historia!

- Tak - mruknął słabo, wpatrując się w swoje ręce leżące bez ruchu na klawiszach - to bardzo piękna historia.

Nic więcej nie powiedział; po chwili pobiegłam się przebrać.

W przeciwieństwie do reszty kostiumów wiszących w garderobie, suknia ślubna była nowa, wciąż jeszcze zapakowana w firmowe pudełko. Skrojona była według najnowszej mody i uszyta z połyskliwej białej satyny. Pasowała na mnie jak ulał, całkiem jakby skrojono ją specjalnie dla mnie. Kiedy zapinałam haftki, przypomniały mi się słowa tamtego dziwnego człowieczka w ciemnym korytarzu.

"A więc to dla pani, ta suknia ślubna i obrączka... Bóg panią wybrał w swej mądrości, tak jak kiedyś Najświętszą Panienkę..."

Poprawiłam welon, chociaż dotkliwie przeszkadzał mi brak lustra. Zamknęłam oczy, bo to wspomnienie przyprawiło mnie niemal o łzy. Gdybym dostawała jednofrankówkę za każdą łzę, którą wypłakałam w ciągu tego półrocza, byłabym dziś bogata!

Suknia rozwinęła się wokół mnie jak sztywne płatki kwiatu. I bez lustra wiedziałam, że mi w niej do twarzy. Erik miał doskonały gust i oko

wyczulone na szczegóły. Ciekawe, ile modeli odrzucił, zanim zdecydował się na tę właśnie suknię. Perfekcja, zawsze perfekcja... nic poniżej doskonałości go nie zadowalało.
Wróciłam do salonu, z całej siły starając się zachować spokój.
- Eriku...
Odwrócił się powoli, a kiedy patrzył na mnie, nuty wyślizgnęły mu się z rąk i rozsypały po podłodze.
- Zostaw! - rzucił krótko, kiedy poruszyłam się, by je pozbierać. - Będziemy pracować bez akompaniamentu. Zacznij od recytatywu: "Wiedząc, że jesteś skazany..."
Zawahałam się. Dobrze wiedział, że to Radames rozpoczyna tę scenę; to nie w porządku rzucać mnie w ten sposób na głęboką wodę bez jednego akordu wprowadzenia.
- Zaczynaj! - polecił mi, a przyczajona nuta złości w jego głosie sprawiła, że nie zastanawiając się dłużej skoczyłam prosto w środek recytatywu.

"Wiedząc, że jesteś skazany, zakradłam się niezauważona do tego grobowca by tu, z dala od ludzkich oczu, umrzeć w twoich ramionach..."

Czekałam aż odpowie, tak jak tego wymagała rola, ale nagle odwrócił się ode mnie gwałtownie.
- To był błąd... straszny błąd! Christine, proszę cię, wróć do swego

pokoju i natychmiast zdejmij tę sukienkę.

Przycisnął obie ręce do piersi tak kurczowo, że się przestraszyłam i rzuciłam mu na pomoc.

- Źle się czujesz? - szepnęłam przerażona. - Znowu jest ci słabo?

- Nie! - Jego głos brzmiał jak zduszony oddech, który nagle, w ostatniej chwili, przerodził się w gorzki śmiech. - Tak... Może to jest i choroba. Idź do swojego pokoju i zostaw mnie na chwilę samego, dobrze, kochanie?

- Ale jeśli źle się czujesz, powinnam tu zostać...

- Do diabła! - krzyknął, uderzając pięścią w pianino. - Do diabła z twoją przeklętą niewinnością! Ty cholerne, nieświadome dziecko... Uciekaj do pokoju i zarygluj drzwi! Słyszysz? Zarygluj drzwi!

Zbierając za sobą tren sukni, umknęłam do swojego pokoju. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, że drzwi zaopatrzone były w rygiel, ale teraz zasunęłam zasuwę drżącymi palcami. Zdarłam suknię i rzuciłam się na łóżko trzęsąc się ze strachu i złości. Nagle poczułam tęsknotę za Raoulem - drogim, bezpiecznym, poczciwym Raoulem, towarzyszem moich dziecinnych zabaw, który nigdy, przenigdy by mnie tak nie wystraszył. Mój Boże, skąd mi przyszło do głowy, że kiedykolwiek mogłabym się nie obawiać Erika? Bezsprzecznie był najbardziej przerażającym człowiekiem na ziemi! Ten wybuchowy temperament, ta z trudem kontrolowana agresja, która groziła w każdej chwili otwartą przemocą!

- Więcej tu nie wrócę! - przysięgałam sobie, łkając w poduszkę. - Nie

wrócę tu nigdy, nigdy więcej!

W pierwszej chwili, kiedy usłyszałam dźwięk organów, ukryłam twarz głębiej w pierze i zasłoniłam uszy rękami. Nie chciałam słuchać tej jego przeklętej muzyki, nie chciałam mieć z nim nic więcej do czynienia. Ale nie sposób było odgrodzić się od narastającego brzmienia jego organów i w końcu, stopniowo, odsłoniłam uszy i zaczęłam się wsłuchiwać z napięciem. Nigdy wcześniej nie słyszałam tej kompozycji, ale wiedziałam co to jest - Tryumf Don Juana. Nigdy mi nie pozwalał oglądać tego manuskryptu. Mówił, że jest niebezpieczny i jego głębokie przeświadczenie w tej kwestii zdumiewało mnie; nie mogłam sobie wyobrazić w jaki sposób muzyka mogłaby stanowić niebezpieczeństwo. W miarę jak nuty przepływały przeze mnie, dziwnie naglące i nieodparte, zdałam sobie sprawę, że zaczęłam kołysać się w rytm jakiejś pierwotnej, pulsującej melodii. Uświadomiłam sobie, że całe moje ciało na nią odpowiada; czułam krew tętniącą w przegubach dłoni, w pachwinach i na szyi, mimo że zwykle nie byłam świadoma jej przepływu. Bicie mojego serca stało się szybsze; jego częstotliwość wzrastała razem z przyspieszającym rytmem tej naprawdę niesamowitej muzyki. Niemal nieświadomie pozwoliłam, by moje ręce zaczęły błądzić po moim ciele. Czułam rosnący ciężar w piersiach, który sprawił, że sutki wyprężyły się pod dotykiem moich ciekawych palców. Teraz jednak nieodparty rytm pulsował mocniej poniżej mego żołądka; moja dłoń przesuwała się coraz dalej i dalej, aż dotarła do miejsca, o którym nie wiedziałam dotąd

nawet, że istnieje.

Ani niewiedza, ani niewinność nie były w stanie obronić mnie teraz przed tą muzyką, która przeniknęła do mego wnętrza, nabrała mocy i sprawiła, że wyprężając całe ciało instynktownie wyciągnęłam ręce w ciemność, jakbym chciała przyciągnąć do siebie kogoś, kogo nie widziałam.

Zacisnęłam ramiona wokół poduszki i poruszałam się wraz z każdą przenikającą mnie nutą, aż crescendo wybuchło w mojej głowie napełniając całe moje ciało nieznanym wcześniej uczuciem.

Kiedy muzyka ucichła, leżałam bez ruchu w ciemności, wsłuchując się w głuche bicie mojego serca w pełnej grozy ciszy.

Czy to właśnie miał na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwie?

Cóż za dziwny układ zwichniętych emocji popchnął nas ku sobie i jakże nie na miejscu wydawała się w porównaniu z nim moja miłość do Raoula. To było pierwsze, dziecinne zakochanie, całkowicie pozbawione mrocznych cieni i rozbłyskających ogni mojego związku z Erikiem.

Och, Raoul! A mogliśmy być tak zwyczajnie szczęśliwi, ty i ja, gdyby to wszystko się nigdy nie zdarzyło, gdybym nie poznała Erika i jego świata, którego wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam. To takie okrutne, takie niesprawiedliwe, że poddano nas próbie tak wielkich wątpliwości, skoro oboje byliśmy młodzi i stworzeni do wspólnego życia. Prosta, codzienna miłość, mogliśmy ją mieć; miłość, która nie byłaby zdolna niszczyć ani spłonąć we własnym płomieniu.

Ale ja się zmieniłam, Raoul... Zmieniłam się nie do poznania za sprawą mężczyzny, który napełnia mnie takim strachem, że zamknęłam się przed nim w pokoju.
Ale chociaż od niego uciekam, nie jestem wolna od jego wpływu; jego muzyka przeniknęła przez najtwardsze mury, wzięła mnie w posiadanie, opętała mnie i miota mną jak łupiną w czasie morskiej burzy. Tonę... Nie myślę już jak niewinna, utalentowana panienka i obawiam się, że to nie ty możesz nauczyć mnie tego, czego pragnę.
Nie umiem zawrócić, nie ośmielam się iść dalej tą drogą. Morze burzy się, woda się podnosi i wkrótce nie będzie ucieczki z mojej samotnej skały.
Ale ja nie umiem pływać! Nie umiem pływać! Och, Raoul... Tak się boję!

*

Wstyd i odraza do samego siebie sprawiły, że w końcu wyszedłem na pogrążoną w mroku ulicę, aby przejść się sam na sam ze swoją rozpaczą. Gdyby nie to przeklęte spotkanie w Bois, nigdy bym nie uległ pokusie oglądania jej w sukni ślubnej. Suknia pozostałaby, podobnie jak obrączka, którą dla niej kupiłem, jeszcze jednym bezpiecznie ukrytym sekretem; byłabym jak przepiękny wodospad białej satyny, który mógłbym gładzić pieszczotliwie w chwili słabości, a potem zamknąć gdzieś, gdzie bym jej nie widział... gdzie by mnie nie kusiła.
Nie ośmielałem się nawet pomyśleć, jak bliski byłem stracenia nad sobą kontroli ani jak przerażająco łatwo byłoby wówczas ją zgwałcić. Zamiast

tego zgwałciłem ją moją muzyką i być może ta zbrodnia była równie niewybaczalna jak ta, której udało mi się zapobiec. Tak czy inaczej, nadużyłem jej zaufania i zniszczyłem niewinność - zbrukałem tę delikatną atmosferę, która wytworzyła się między nami w ciągu tych wszystkich tygodni. Cisza w jej pokoju i ciągle zaryglowane drzwi były świadectwem ogromu jej strachu i obrzydzenia.

Szedłem wzdłuż mokrych krawężników, bezpiecznie osłonięty płaszczem i maską, ślepo podążając drogą, którą wielokrotnie wcześniej przemierzałem, aż wreszcie stanąłem przed domem rodziny de Chagny. Ten chłopak stał się moją obsesją. Zaślepiony strachem i zazdrością przychodziłem tu nie raz, by pod osłoną nocy torturować się patrzeniem na niego. Wiedziałem, co zwykle robi wieczorami, znałem godziny, w których wychodził i wracał do domu. Wielokrotnie patrzyłem, jak wsiadał i wysiadał z powozu, czasem w towarzystwie przyjaciół, innym razem sam. Obserwowałem jego przyjazne zachowanie względem służby i słuchałem jego dźwięcznego śmiechu. Był zdecydowanym, szczerym, dobrze wychowanym młodzieńcem, pewnym swej młodości i urody. Teraz wspiąłem się na balkon na pierwszym piętrze i tam, ukryty za częściowo zaciągniętymi zasłonami, patrzyłem, jak rozebrał się i rzucił lokajowi poplamione ubranie. Nie był w dobrym humorze, zauważyłem. Chłopak był posępny i przygnębiony; sądząc z tego, że przybył do domu tak późno, wnioskowałem, że zostawił swych podchmielonych kompanów w Bois i wrócił na piechotę.

Przyglądałem mu się z pełną goryczy zazdrością. W przytłumionym świetle lampy wyglądał jeszcze korzystniej, choć byłby przystojny nawet w pełnym blasku dnia. Promienny chłopak, jasnowłosy i o gładkiej skórze, proporcjonalnie i silnie zbudowany. Gdybym chciał doszukiwać się w nim wad na siłę, mógłbym stwierdzić, że nie był zbyt wysoki, ale skoro nie był niższy od Christine, nie mogłem się tym pocieszać. Mimowolnie wyobraziłem go sobie, jak powoli rozbiera ją z tej sukni ślubnej. Jak jej początkowa nieśmiałość zamienia się stopniowo w pełną zachwytu ciekawość, a następnie w ekstazę. Z pewnością potem leżeliby objęci w ciemności... spokojni, zadowoleni, oplatając się wciąż ramionami, jej piękne włosy rozrzucone jak drogocenny płaszcz ze złotogłowiu...

Czy jęknąłem głośno na myśl o tej scenie, czy jakiś nieostrożny ruch zdradził moją obecność? Nie umiem odpowiedzieć. Ale cokolwiek to było, nagle zasłony zostały rozsunięte gwałtownym ruchem i spojrzałem prosto w lufę jego rewolweru.

Przez dłuższą chwilę po prostu mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, obaj zbyt zaskoczeni, by zareagować na tę niespodziewaną konfrontację. Wreszcie, kiedy jedną ręką oparł się ciężko o framugę drzwi balkonowych, odwróciłem się i miękko zeskoczyłem do ogrodu. Oddalałem się powoli, kiedy usłyszałem, że wypadł na balkon na piętrze.

- Stój! - zawołał z wściekłością. - Ani kroku dalej, Eriku, bo przysięgam, że strzelę!

Przystanąłem i obejrzałem się za siebie. Światło znajdowało się za nim i czyniło z jego półnagiej postaci idealny cel. Byłem bez broni, ale o tym nie mógł wiedzieć. Mimowolnie poczułem podziw dla odwagi tego porywczego chłopca; nie lękał się stawić czoła doświadczonemu zabójcy kryjącemu się w ciemnościach. Było to nierozsądne, może wręcz żałosne, ale jego odwaga robiła wrażenie.

Ale moją jedyną bronią była ironia.

- Nie powinno się powierzać broni dzieciom - powiedziałem sarkastycznie. - Odłóż broń, chłopcze, zanim się zranisz.

Odwróciłem się z wystudiowaną pogardą i ruszyłem powoli w stronę drzew. Nie przeszedłem dalej, niż ze sześć kroków, gdy pierwsza kula rozorała mi ramię. Drugą i trzecią spudłował; byłem pewien, że nie zrobił tego specjalnie. Gdyby ten chłopak umiał trochę lepiej celować, zastrzeliłby mnie bez mrugnięcia okiem - strzeliłby mi w plecy!

Przypomniały mi się te wszystkie noce, kiedy go obserwowałem; te niezliczone okazję, kiedy mogłem się go pozbyć raz na zawsze, a jednak powstrzymywały mnie niepisane reguły gry. Dziś mi udowodnił, co on o tym myślał. Dżentelmenowi przysługuje prawo do honorowego pojedynku, ale potwora - zwierzę! - można zastrzelić w plecy bez wyrzutów sumienia.

Trzęsąc się z gniewu, chodziłem ulicami aż pierwsze, czerwonawe promienie słońca zmusiły mnie do powrotu do Opery.

Wróciłem jednak do domu pełen chłodnej determinacji, postanowiłem

podjąć nieodwołalną decyzję. Miało to wiele wspólnego z tamtym wystrzałem.

Być może mnie nie wolno marzyć; może jej głos, jej uśmiech, jej ciche towarzystwo są wszystkim, na co mogę mieć nadzieję.

Ale nie mam zamiaru dłużej znosić wszechobecnego cienia tego młodzika; nie mam zamiaru tolerować rywala.

Nadszedł najwyższy czas, by Christine dokonała wiążącego wyboru.

*

Zostałam dziś w swoim pokoju aż ciężka, duszna cisza na zewnątrz zmusiła mnie do wyjścia. Erik podniósł na mnie wzrok, kiedy weszłam do jego sypialni, ale nie odezwał się nawet, kiedy przysiadłam przy jego fotelu. Minuty mijały w martwym milczeniu, a ja nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jego głos stał się moim narkotykiem równie silnym, jak jego morfina. Że był mi niezbędny do życia, niezastąpiony. Nie mogłam znieść, kiedy karał mnie milczeniem.

- Eriku, jeśli zaraz się do mnie nie odezwiesz, chyba oszaleję! - zawołałam wreszcie. - Nie mogę znieść tego zamknięcia tutaj sam na sam z moimi myślami.

Zacisnął ręce na oparciu fotela.

- Zamknięcia? - Powtórzył z bolesnym niedowierzaniem. - Tym właśnie jest dla ciebie ten dom - więzieniem?

- Nie uważam go za więzienie - odparłam wolno - chyba, że ty go nim uczynisz. Ostatnio bardzo mnie przestraszyłeś; czasami zastanawiam się,

czy w ogóle ciebie znam.

- Ależ nie. - Westchnął. - Dopiero teraz zaczynasz poznawać mnie naprawdę. Jest we mnie tyle ciemnych stron, że czasami mnie samego to przeraża. Ale tak nie musi być, Christine. Gdybym tylko mógł żyć tak jak inni, spacerować po Bois w świetle słońca, czuć powiew wiatru na nieosłoniętej twarzy... Och, Christine, znalazłbym w sobie odwagę, by zrobić tyle rzeczy, gdybyś tylko była przy mnie jako moja żona.

Zabrakło mi słów, nie wiedziałam, co odpowiedzieć, żal ścisnął mi gardło. Nagle Erik zerwał się z fotela i odszedł parę kroków ode mnie.

- Widzę, że mój głos przestał ci się podobać, skoro mówi o rzeczach, których wolałabyś nie słyszeć. W moich ustach najprostsze słowa brzmią obrzydliwie, prawda? Żona... mąż... miłość.

Klęczałam na podłodze ze zwieszoną głową, czułam się jak zbrodniarz zasługujący na karę śmierci.

- To, co stało się wczoraj, już nigdy się nie powtórzy - powiedział cicho.

- Gdybyś zgodziła się za mnie wyjść, przyjmę twoje wszystkie warunki, cokolwiek powiesz... rozumiesz?

- Eriku...

- Nie wierzysz mi! Myślisz, że jeśli wyglądam jak potwór, z pewnością będę się podobnie zachowywał.

- Nie - wyszeptałam. - Wierzę ci.

Stał bez ruchu, tylko przyglądał mi się całkowicie zdruzgotany.

- Chodzi o tego chłopca, tak?

Przeszyło mnie nagłe przerażenie, gwałtownie zaprzeczyłam głową. Nawet nie chciałam myśleć, co się mogło stać, gdybym powiedziała, że mam przy sobie pierścionek od Raoula.

- To nie potrwałoby długo - dodał po chwili. - Najwyżej z sześć miesięcy, a później zostałabyś młodą wdową... i mogłabyś jeszcze raz wyjść za mąż, za kogo byś chciała.

Przycisnęłam ręce do ust. Odwrócił się ode mnie zrozpaczony.

- Nie będę cię błagał! - powiedział z dziwnym chłodem. - Nie będę błagał, żebyś mnie kochała. Poprosiłem cię o rękę, nie musisz mi natychmiast odpowiadać. Proszę cię, wróć jutro wieczorem, po przedstawieniu, i powiedz mi, co zdecydowałaś. Czy możesz mi to obiecać, Christine? Czy przyrzekasz, że wrócisz i dasz mi odpowiedź... nawet, jeśli będzie to odmowa?

Ze wzrokiem wbitym w podłogę, niezdolna spojrzeć mu w oczy i przepełniona rozpaczą, jakiej dotąd nawet sobie nie wyobrażałam, usłyszałam mój własny głos, który mówił, że zgadzam się spełnić jego prośbę.

*

Nie podchodź do krawędzi!

Nie pamiętam kto i kiedy tak do mnie powiedział, ani w jakich okolicznościach, ale chociaż to dziwne, doskonale pamiętam moją myśl.

Dlaczego?

Dlaczego zawsze mam się trzymać z dala od krawędzi?

Znalazłem suknię ślubną zmiętą na krześle, gdzie musiała ją rzucić zeszłej nocy. Pochyliłem się, by wygładzić zagniecenia i odwiesić ją do szafy, gdy nagle spomiędzy sutej materii wysunął się zerwany łańcuszek. Na łańcuszku wisiał krzyżyk... i pierścionek!

Usiadłem na łóżku i oglądałem go dokładnie z tępym przerażeniem. Najwyższej jakości brylanty i rubin osadzone były w obrączce, która wyglądała na nową, gdyż nie znaczyły jej żadne zadrapania ani patyna. To nie była pamiątka rodzinna. Wiedziałem, kto jej to dał i dlaczego nosiła go tam, gdzie nie mogłem go zobaczyć. Dałem jej dwadzieścia cztery godziny, bo nie miałem odwagi stawić czoła jej odmowie, nie robiąc z siebie żenującego widowiska.

Ale, patrząc na ten pierścionek, wiedziałem bez cienia wątpliwości, że będę musiał wykrzesać z siebie tę odwagę i pozwolić jej odejść godnie. Nie kochała mnie, ale szanowała mnie wystarczająco jako człowieka - jako ludzką istotę - by zaszczycić mnie szczerą odpowiedzią. A ja, ze swej strony, muszę uszanować jej decyzję. Tym razem postaram się nie stracić dumy; żadnych łez, żadnego poniżającego błagania, na którego wspomnienie później będę chciał się spalić ze wstydu. Tylko duma może mnie przeprowadzić przez torturę, jaką będzie jej odmowa; dzięki resztkom osobistej godności złożę jej najlepsze życzenia i rozstaniemy się po przyjacielsku...

Nie mogłem wytrzymać w domu, czułem, że się duszę. Nagle opanowało mnie pragnienie, by wspiąć się wyżej i wyżej w chłodnej wieczornej

bryzie; gdzieś bardzo wysoko, gdzie poczułbym się bliżej Boga, w którego tak uparcie odmawiałem wiary.
To wszystko było kłamstwo. Tak, jedno wielkie, żałosne kłamstwo. Mówiłem, że Bóg nie istnieje, żeby oszczędzić mojej urażonej dumie dalszych cierpień.
W głębi duszy ciągle wierzę w cuda. Bóg jest największym ze wszystkich magików. On, który zmienia brzydką gąsienicę w pięknego motyla, z pewnością mógłby zmienić odrazę i strach w miłość.
Dziś w nocy jestem gotów paść na kolana tak, jak robiłem to jako małe dziecko. I jak dziecko gotów jestem się z Nim targować.
“Panie Boże, proszę Cię, spraw niech ona mnie pokocha, a obiecuję, że już zawsze będę dobry...”
Mógłbym modlić się tutaj, ale to nie byłoby to samo; równie dobrze mógłbym tkwić w najgłębszej czeluści piekła. Nigdy mnie tu nie usłyszy. Muszę stanąć ponad dachami Paryża; gdzieś, gdzie gwiazdy zdają się być na wyciągnięcie ręki.
Posąg Apollina na dachu Opery, dziesięć pięter nad poziomem ulic, to najbliżej nieba, jak mogę się dzisiaj dostać.
Na pewno Bóg mnie stamtąd usłyszy!

*

Idąc do mojej garderoby byłam tak pogrążona w pełnych paniki myślach, że prawie nie zauważyłam małego posłańca, który podbiegł do mnie i uchylił czapki.

- Mademoiselle... Miałem to pani oddać, jak tylko pani wróci.
Natychmiast rozpoznałam na wyciągniętej do mnie kopercie pospieszne, niestaranne pismo Raoula i serce szarpnęło mi się boleśnie w piersi.
- Kiedy to dostałeś?
- Dziś rano, mademoiselle, od woźnicy pana wicehrabiego de Chagny... Zechce pani odpowiedzieć? - zapytał chłopiec. - To kosztuje tylko franka.
Zamiast skarcić go za bezczelność, wepchnęłam małego doręczyciela przed sobą do garderoby i kazałam mu zaczekać, aż napiszę odpowiedź. Nie miałam pod ręką koperty, ale wątpiłam, czy dzieciak potrafi czytać.
- Wiesz, gdzie mieszka Monsieur de Chagny?
- Tak, mademoiselle. Wszyscy to wiedzą.
- Dam ci pięć franków, jeśli natychmiast tam pobiegniesz.
Łobuzerska, piegowata twarz chłopca rozjaśniła się szerokim uśmiechem, kiedy wkładał pieniądze do kieszeni.
- Za pięć franków nie pobiegnę tam, tylko pofrunę, mademoiselle!
Byłam zbyt zaaferowana, by odwzajemnić jego uśmiech. Kiedy się oddalił, zaczęłam miotać się po pokoju jak szalona. Nie chciałam otwierać listu od Raoula; byłam pewna, że po spotkaniu w Bois będzie wiało z niego chłodem. Spodziewałam się kilku zdawkowych uprzejmości i oficjalnego zerwania naszej znajomości.
Czy przyjdzie teraz, gdy go o to tak rozpaczliwie prosiłam? A może jest zbyt urażony przez moje zachowanie i po prostu podrze wiadomość ode

mnie na strzępy?

Minęła godzina, zaczęło się zmierzchać, a ja czułam się coraz bardziej zdesperowana. Poszłam na grand escalier, skąd mogłam widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących z budynku przez główne wejście.

Na moim zegarku minęło kolejne, niekończące się dziesięć minut.

A więc nie przyjdzie! Zostawił mnie... Zresztą, kto mógłby mieć mu to za złe, po tym w jaki sposób traktowałam go w ciągu ostatnich tygodni... To byłoby całkowicie zrozumiałe!

Kwadrans później Raoul wszedł wreszcie do gmachu i ruszył w stronę głównej klatki schodowej. Jeśli nawet początkowo próbował zachować pozory chłodu i obojętności, wyparowały one jak kamfora, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy, kiedy podbiegłam w jego stronę.

- Christine! Wielki Boże! Co się stało? Wyglądasz jak cień człowieka; co się stało na Boga!?

- Cicho! Nie tutaj! Nie mogę ci tu nic powiedzieć, Raoul; zbyt wiele wokoło ludzi. Musimy iść gdzieś, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Nie masz nic przeciwko wchodzeniu po schodach, prawda?

- Oczywiście, że nie... Ale nic nie rozumiem -

- Tak się boję, Raoul!

- Jeśli on zrobił ci krzywdę...!

- Nie... ależ skąd, nic podobnego! Ale nie będę ci tego tutaj wyjaśniać. Wejdźmy na dach. Nikt tam o tej porze nie chodzi; to jedyne miejsce w

całym teatrze, gdzie będziesz przed nim bezpieczny. Nie... czekaj! Kim jest ten cudzoziemiec na schodach? Obserwuje mnie, jestem tego pewna... Chyba cię zna, ukłonił się...

- Nie wiem dokładnie, kto to jest. Dziwny facet, podszedł do mnie kiedyś i zadawał pytania na twój temat. Ludzie gadają, że pochodzi z Persji.

- No, mniejsza z tym! Udawaj, że go nie zauważyłeś! Słuchaj... znam inną drogę na dach...

*

Ostatnią rzeczą, którą spodziewałem się usłyszeć w tej smaganej wiatrem oazie wysoko nad poziomem ulic, był jej głos spleciony w harmonii z jego głosem.

Czy taka jest Twoja odpowiedź na moją modlitwę, Boże?

Czy tak nagradzasz skruszonego grzesznika; tak przyjmujesz powrót marnotrawnego syna?

Przyszedłem tu, by usłyszeć Twój głos, a zamiast tego Ty drwisz ze mnie ich obecnością. Pokazujesz mi jasno, że dla mnie nie ma przebaczenia, nie ma nadziei, że ten ostatni, mały cud nigdy się nie zdarzy. Moje zbrodnie wtrąciły mnie w upadek, z którego mnie nie podniesiesz... Wszystko, czego chciałeś, to zemścić się na mnie za te lata nikczemnych bluźnierstw!

Mogłeś się wreszcie upajać do woli swoją zemstą, jesteś teraz zadowolony? Jesteś zadowolony, Boże?

O tak, wierzę w Ciebie... zawsze w Ciebie wierzyłem! Jesteś tak

nieskończenie zimny i okrutny, że po prostu musisz istnieć. Widziałem dość Twoich dzieł; w porównaniu z nimi zło wyrządzone przez mnie wydaje się blade i nieistotne. Powodzie i trzęsienia ziemi, zaraza i głód, kalecy ludzie, skrzywdzone dzieci... a przecież wciąż przychodzimy do Ciebie jak głupcy, by modlić się o Twą pomoc w potrzebie! To doprawdy żałosne... aż mi się chce śmiać! Bóg jest miłością?! Pęknę ze śmiechu! Już raczej trzebaby powiedzieć, że Bóg jest leniwym tyranem, zbyt znudzonym, by zawracać sobie głowę tym, co się dzieje na ziemi, którą stworzył dla pustej rozrywki!

Gdzie byłeś, na przykład, kiedy ja przez długie miesiące gniłem w łonie mojej matki? Może uciąłeś sobie niebiańską drzemkę... pojechałeś na wakacje... robiłeś doświadczenia?

No cóż, tak czy inaczej, musiałeś przeżyć niezły szok, kiedy się pojawiłem na świecie, prawda, Boże? Nie byłeś łaskaw przyznać, że sprawy wymknęły Ci się spod kontroli, że przez chwilę byłeś nieuważny i w konsekwencji dałeś taką plamę! Ale nam nie wolno mówić, że Bóg też może się pomylić, czyż nie? On po prostu działa w sposób okryty tajemnicą! O Boże, ależ z Ciebie szarlatan! Jesteś amatorem... Nigdy się tego nie uczyłeś, nigdy nie musiałeś przedstawić swej pracy do oceny... Nie było przecież żadnej konkurencji!

Nie mogłeś się przemóc, by przyjść z pomocą Twojemu własnemu Synowi, gdy wołał Cię wisząc na krzyżu! Co Cię więc obchodzi cierpienie potwora?

Kiedy przestałem miotać jak szaleniec przekleństwa ku gwiazdom, na obramowanym ołowiem dachu znów zapanowała cisza. Christine i Chagny już dawno oddalili się na dół, pochłonięci swoją miłością i zupełnie nieświadomi tego, że zdradzili się przede mną.
Teraz wiem już wszystko. Spadły mi łuski z oczu, a razem z nimi znikł ostatni ślad nadziei.
Słuchałem, jak snuł desperackie plany ucieczki. Zobaczyłem, jak w końcu z wahaniem na to przystała. Widziałem, jak ucałował jej śliczne, wniesione ku niemu usta, jakby to było jego przyrodzone prawo. Obejmowali się, niby dwoje przestraszonych dzieci w ciemnym lesie; dodawali sobie nawzajem odwagi swą miłością i zaufaniem.
Dziś wieczór, gdy przedstawienie dobiegnie końca, on ją stąd zabierze - gdzieś daleko, gdzie nigdy jej nie odnajdę, gdzie będzie mogła zapomnieć te, jak powiedział, straszne chwile, ten nieznośny ciężar.
Nieznośny ciężar...
Zatoczyłeś pełne koło, czyż nie tak, Boże? Aż do tamtej chwili wiele lat temu, kiedy wiedziałem, że muszę uciekać. Tylko, że tym razem to ona ucieknie – ucieknie ode mnie, jakbym był jakąś wstrętną, odrażającą bestią; zwierzęciem, któremu nie można ufać, że zachowa się jak należy.
Nie, to nie ten pocałunek zranił mnie najmocniej... To dziwne, ale w tej scenie było coś wręcz przejmująco pięknego. Gdybym był jej ojcem, byłbym szczęśliwy, widząc tak wartościowego młodzieńca zakochanego bez pamięci w moim najdroższym dziecku.

Nie, nie chodzi mi nawet o ten pocałunek. Nie mogłem znieść okrutnego i bezmyślnego sposobu, w który ona zamierza wyrwać się na wolność. Obiecała mi, że wróci. Przyrzekła! I skłamała! To jest najgorsze... Wiedzieć, że nie zależy jej nawet na tyle, żeby uwolnić mnie od niekończącej się męki; że nawet mi tego otwarcie nie powie. Po prostu ucieknie z nim i nigdy więcej o mnie nie pomyśli. Musi mnie bardzo nienawidzić, skoro chce zrobić coś takiego. To zdumiewające - nigdy wcześniej nie przypuszczałem, że ona może mnie naprawdę nienawidzić. Musiałem ją wyszkolić na lepszą aktorkę, niż mi się wydawało!
Chciałbym teraz umrzeć. Natychmiast, w tej chwili! Powitałbym z radością ostatnie, konwulsyjne drgnienie tego zmęczonego i ociężałego mięśnia w mojej piersi, ale jak na ironię, moje serce bije nieprzerwanie, zupełnie jakby nic się nie stało.
Co Ty jeszcze knujesz, Boże? Jaki jeszcze okrutny dowcip dla mnie zachowałeś? Chyba nie zamierzasz zastosować cudu teraz, uleczyć mnie i odmówić mi prawa, bym padł trupem po czymś takim!
Odmówiłeś mi życia - czy teraz podobnie odmówisz mi śmierci? Czy to ma być ta kara za moje niewypowiedziane przestępstwa przeciw ludzkości - kolejne dwadzieścia lat samotności na tej ziemi?
U moich stóp rozpościera się Paryż w całej swej chwale, morze migotliwych świateł wzdłuż eleganckich bulwarów Haussmanna. Nie ma szansy, bym przeżył upadek z tej wysokości. Znaleźliby tylko zgniecione na miazgę ciało w wytwornym ubraniu, nie do rozpoznania...

Muszę tylko skoczyć...

Samobójstwo... najcięższy grzech, ostatnia zbrodnia, której nie mamy możliwości odpokutować. Złodzieje i mordercy mogą zostać zbawieni, ale samobójca, nigdy nie rozgrzeszony, umiera pozbawiony łaski i płonie w piekle na wieki.

Więc to dlatego przyprowadziłeś mnie tutaj, Boże! Myślałeś, że będę dość głupi, by dać się złapać w Twoją pułapkę! Jeden nieprzemyślany akt rozpaczy z mojej strony i na całą wieczność będziesz miał spokój od oglądania swojego nieudanego dzieła!

Wiesz... Nie potrzebuję Cię. Nigdy nie potrzebowałem! Istnieje potężniejszy Władca - ten, który pozostaje lojalny nawet wobec niewiernego czeladnika... Mistrz, który przypomina mi nawet w tej chwili, że nigdy z nim do końca nie zerwałem... że więzy zostały tylko rozluźnione.

Nie jestem opuszczony! Nie jestem w ciemności sam! Przed moimi oczami widzę tysiące maleńkich diablików zapalających czarne świece, które oświetlają drogę do krawędzi... olśniewająco pięknej krawędzi. Miłość jest jak paraliżujący jad skorpiona, ale tysiące małych usteczek cierpliwie wysysają truciznę z moich ran; czynią w mojej duszy miejsce na przyjęcie Mistrza. Czuję, jak opuszcza mnie rozpacz, jak znika pod gniewem, który pączkuje we mnie niby monstrualny grzyb. Dzisiejszej nocy całe zło świata zostało wypuszczone na wolność, skumulowało się w ogromny huragan nieodparcie skierowany w stronę górującej na

miastem liry Apollina... Przeniknęło mnie na wylot jak uderzenie pioruna.
Zimny wiatr rozwiewa mój płaszcz, jego szerokie poły unoszą się wokół mnie jak skrzydła Anioła Śmierci. Powoli podnoszę głowę, patrzę wprost na przerażającą moc mojego Mistrza i słyszę jego obietnicę.
Poza krawędzią nie ma bólu.
Poza krawędzią odrodzisz się w chwale ciemności.
Wstań i pójdź za mną...
Nasycony zwęglonymi resztkami miłości, dokonałem ostatecznej metamorfozy; przeobraziłem się i rozwinąłem w potężny, budzący grozę cień piekła.
Teraz pozostało mi tylko zedrzeć z siebie maskę śmiertelnika i uwolnić wspaniałą, czarnoskrzydłą istotę, która rwie się do życia.
Wysoki, mroczny cień, powstający jak feniks z popiołów... złowrogi... wszechmocny...
Upiór Opery!

*

- Do przedstawienia zostały jeszcze dobre trzy godziny - dlaczego nie wyjedziemy od razu, bez ociągania?
- Nie mogę tego zrobić! A jeśli Erik przyjdzie na przedstawienie i nawet nie usłyszy mnie ostatni raz? Mój Boże, dlaczego ja się dałam na to namówić?
- Christine! Na miłość Boską! Chyba nie zamierzasz zmienić zdania?

- Ja - ja muszę zaśpiewać. Dyrekcja -

- Do diabła z dyrekcją! Sam sobie z nimi poradzę. Niech sobie nie wyobrażają, że mogą cię zatrzymać jakimś głupim kontraktem!

- Raoul, proszę... Nie rób scen. To tylko trzy godziny. Masz zarezerwowaną ložę na dziś wieczór?

- Nie. Nie wiedziałem, że wystąpisz, więc nie zawracałem sobie głowy.

- Biegnij do kasy i zobacz, czy nie uda im się czegoś znaleźć. Musiało przecież zostać gdzieś jakieś wolne miejsce.

Raoul odsunął kaptur mojego płaszcza i przez chwilę badawczo mi się przyglądał.

- Poproszę ich o miejsce w loży piątej, co ty na to? - zapytał chłodno.

Przygryzłam wargi i odwróciłam wzrok.

- Będzie tam? - nalegał Raoul uparcie. - To dlatego tak bardzo chcesz zaśpiewać?

- Naprawdę nie wiem, co zamierza robić dziś wieczorem. Ale skoro istnieje cień szansy, że przyjdzie na przedstawienie, muszę wystąpić. Czy nie jesteś w stanie mnie zrozumieć? To jedyny sposób, w jaki mogę się z nim pożegnać.

Raoul wyglądał, jakby chciał się ze mną kłócić, lecz nagle zrezygnowany poddał się bez walki.

- Dobrze - zgodził się z nieszczęśliwą miną. - Skoro tak ci na tym zależy, poczekajmy. Może tak jest i najlepiej - może powinnaś się z nim pożegnać. Dzięki temu nie spędzę reszty życia zastanawiając się, czy

naprawdę nie chciałaś powiedzieć mu tylko "do zobaczenia".
Jeśli kiedykolwiek był właściwy czas, by zarzucić Raoulowi ręce na szyję i powiedzieć, że go kocham, było to teraz - teraz, kiedy widziałam, że na jego pięknej twarzy maluje się bolesna wątpliwość. Tam na dachu objęłam go mocno, jakbym chciała ukoić swój strach jego bliskością i ciepłem. Chciałam, żeby trzymał mnie tak na zawsze, chciałam widzieć jego znajomą, dobrą twarz zwróconą do mnie w obietnicy życia w świetle, z dala od mrocznego, nieznanego zagrożenia.
Kochałam Raoula kiedy miałam piętnaście lat, nieśmiało i pełna niepewności. Nie ośmielałam się wierzyć, że kiedyś spojrzy na mnie inaczej, niż na przyjaciółkę z dziecinnych lat i zaryzykuje dla mnie stawienie czoła wrogo nastawionym krewnym. A teraz, kiedy otrzymałam wszelkie dowody jego miłości, nagle nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa.
W cieniu liry Apollina, tam gdzie tylko wiatr i gwiazdy były świadkami mojej zdrady, powiedziałam Raoulowi, że go kocham i mówiłam to szczerze. Jednak w garderobie - widząc wielkie, milczące lustro... zaschło mi w gardle i nie umiałam tego powtórzyć.
Nagle oniemiałam z przerażenia na myśl, że te trzy krótkie sylaby byłyby w stanie zabić Erika.
Nie potrafię wypowiedzieć słów, na które Raoul tak czeka; nawet kiedy go obejmuję. Czuję się, jakbyśmy byli sobie odleglejsi, niż kiedykolwiek. Jakby każde z nas trzymało w ramionach tylko cień swoich własnych,

samotnych marzeń.

*

Szatańskie szczęście sprzyja mi tej nocy; same gwiazdy zmieniają swój układ dla mojej korzyści na skinienie mojego Mistrza!
Pers mnie obserwuje, ale tym razem zupełnie mi to nie przeszkadza.
Nadir?
Nie ma już Nadira. Wykorzeniłem z mego serca przyjaźń tak, jak uwolniłem się od miłości. Po raz pierwszy w życiu nie czuję się ograniczony słabymi i żałosnymi emocjami. Przepełnia mnie potęga nienawiści, to ona daje mi siłę, bym wreszcie wyzwolił się z pęt człowieczeństwa.
Nawet teraz za mną łazi; łudzi się, że tego nie zauważyłem - głupiec! Mogłem go zabić z dziesięć razy podczas powrotu z dachu Opery, jednak nie zrobiłem tego... jeszcze nie pora! Daroga Mazandaranu odda mi ostatnią zawodową przysługę, zanim odeślę go do Allaha.
Widzisz, darogo, dzisiaj byłbym w stanie zabić każdego. Choćby sama Najświętsza Dziewica pojawiła się przede mną, wbiłbym jej nóż w serce bez śladu wyrzutów sumienia! Nie jestem dłużej wewnętrznie rozdarty; dokonałem wyboru. Jak Lucyfer, wolę być panem w piekle.
Muszę zwolnić - raz czy dwa niemal stracił mnie z oczu. Do cholery, darogo, czy mam oświetlać ci drogę, niczym płatny przewodnik? Poruszasz się jak zmęczony starzec, weź się w garść! No... tak lepiej! Jesteśmy już w trzeciej piwnicy, już niedaleko!

A oto i kamień...

Patrzysz uważnie, darogo? Czy gratulujesz już sobie talentu detektywistycznego?

Ależ oczywiście! Długo czekałeś na tę chwilę, czyż nie - i wreszcie twoja cierpliwość została nagrodzona. W końcu znasz tajemnicę kryjówki Upiora. I kiedy żyrandol runie dziś na widownię, a Christine Daaé zniknie ze sceny w ogólnym pandemonium, będziesz doskonale wiedział, jak tę wiedzę wykorzystać. Będziesz wiedział, gdzie mnie znaleźć i kogo zabrać ze sobą na to ostatnie polowanie.

Widzisz, dobrze cię znam. Jesteś idealnym policjantem... Naprawdę, dużo lepszym, niż sam sądziłeś! Nie będziesz trwonił cennego czasu na opowiadanie znudzonym inspektorom paryskiej Surete bajek o duchu Opery. Po prostu weźmiesz sprawę w swoje ręce. Z żelazną konsekwencją dokończysz zadanie, które zlecono ci przed tylu laty w Persji. Ty również, darogo, pozbędziesz się z serca starych sentymentów; będziesz myślał tylko o tym, że działasz w słusznej sprawie. Ja nadużyłem twojego zaufania, teraz ty zdradzisz mnie.

Kiedy kurtyna opadnie po ostatnim akcie, życzę sobie znaleźć tego chłopaka w moim domu nad jeziorem, bezbronnego i całkowicie zdanego na moją łaskę.

Chcę dostać wicehrabiego de Chagny, darogo!

I wiem, że mogę ci zaufać, że go do mnie przyprowadzisz!

*

Za pół godziny rozpocznie się przedstawienie Fausta i po raz ostatni zaśpiewam dla Erika, nie wiedząc nawet na pewno, czy mnie usłyszy. Po spektaklu powóz Raoula będzie na mnie czekał przed teatrem. Nie wrócę do garderoby nawet po płaszcz, aby widok zwierciadła nie zachwiał mojego postanowienia ucieczki. Wiem, że robię źle, ale nie potrafię zachować się inaczej. Jak mam wrócić do Erika, zbyt przestraszona by powiedzieć "tak", lecz wciąż niezdolna odmówić? Jak mam patrzeć na jego cierpienie i pozostać przy zdrowych zmysłach? Och, Eriku, dlaczego właśnie ja? Wybrałeś drżącą, zalęknioną myszkę i ofiarowałeś jej namiętne uwielbienie. A przecież, gdyby istniał miłosierny Bóg, godny jesteś miłości wspaniałej młodej lwicy!

Jakżebym mogła wyjść za ciebie i świadomie pozbawić twoich praw jako mego męża; jak mogłabym cię karać, odwracając się od ciebie w naszą noc poślubną? Żadna kobieta na świecie nie była kochana bardziej, niż ja przez ciebie. Dlaczego to nie wystarcza; dlaczego nie ośmielam się przekroczyć dzielącej nas przepaści?

Kocham cię, Eriku. Kocham cię tak bardzo i na tyle sposobów... Ale moja miłość jest miłością dziecka, które boi się dorosnąć. Dzieci uciekają i chowają się, kiedy stają w obliczu sytuacji, która je przerasta; kiedy kończy się sen, a zaczyna groźna rzeczywistość. Moja miłość jest jak marna, zepsuta zabawka; napełnia mnie palącym wstydem. Nie płacz za mną, Eriku... Nie zasługuję na twoje łzy.

To, co robię Raoulowi, jest prawie tak samo podłe jak to, co robię tobie,

ale nie mam siły dłużej bronić się przed jego determinacją. Chciałabym, żebym to nie ja musiała podejmować decyzję. On tak bardzo pragnie uratować mnie z ruin mojego zniszczonego życia, że w tej chwili ucieczka z nim wydaje mi się jedynym rozwiązaniem. Bóg jeden wie, że sama nigdy bym się na to nie zdobyła.

Jestem prawie pewna, że Raoul nie zdaje sobie sprawy z ceny swego zwycięstwa. Kiedy przed laty wskoczył do morza, by wyciągnąć mój szal, był szczerze zdziwiony, gdy wyszedł na ląd ociekając zimną wodą. Myślę, że będzie równie zdziwiony, kiedy pojmie, że nie można przejść przez ogień i się nie poparzyć.

Opowiadałeś mi tyle pięknych historii, Eriku. To ty nauczyłeś mnie, że nawet baśnie mogą mieć tragiczne zakończenie.

Biała róża i słowik zostali ukarani przez Allaha za swoją zakazaną miłość.

Czasami myślę, że żadne z nas nie było przeznaczone, aby żyć długo i szczęśliwie...

*

Przygotowania były bardzo proste - to znaczy, bardzo proste dla mnie. Godzina pracy w laboratorium wystarczyła, bym miał wszystkie niezbędne materiały. Na długo przed podniesieniem kurtyny, umieściłem ładunki wybuchowe pod każdą z ośmiu stalowych lin, utrzymujących obciążniki żyrandola Garniera. Wszystkie osiem były podłączone do mechanizmu zegarowego, a ilość dynamitu została dobrana w ten

sposób, aby bez trudu rozerwać splot liny okrętowej grubości męskiej pięści.
Pozbawiony jakichkolwiek emocji, pracowałem efektywnie i chłodno, a kiedy skończyłem, ukryłem się za dekoracją na scenie przebrany w czerwony płaszcz z kapturem, dokładnie taki sam jak ten, w którym wystąpić miał Mefistofeles. Wydawało mi się właściwą rzeczą, pojawić się dziś w stroju Księcia Ciemności, to by się podobało mojemu Mistrzowi. Dobry czeladnik zawsze zwraca baczną uwagę na szczegóły. Jeżeli praca warta jest naszego zachodu, zasługuje na to, by wykonać ją dobrze...
Kiedy ładunki wybuchły, miałem mniej więcej sekundę, by podziwiać niewiarygodny efekt siedmiu ton szkła i metalu spadających ze zdobionego sufitu; potem równie starannie zaaranżowany wybuch butli z tlenem pogrążył scenę w ciemnościach. Panika, która wybuchła w teatrze była tak wielka, że nikt nie zauważył mnie, kiedy biegłem z Christine opustoszałymi korytarzami w stronę jej garderoby.
Nie odezwała się w czasie naszej ucieczki przez lustro; nie krzyczała ani się nie wyrywała. Wpadła w ten stan odrętwiałej obojętności, który spływa na skazańca tuż przed egzekucją. Poddała się mojemu milczącemu naciskowi z całą bezradnością i rezygnacją.
Na jej łóżku ułożyłem suknię ślubną i dopiero, kiedy kazałem jej ją założyć, pierwszy raz zaoponowała.
- Eriku... proszę cię...

- Ależ załóż ją! Nalegam! Musisz być odpowiednio ubrana na przyjęcie gości.
- Gości?! - Spojrzała na mnie zaskoczona.
- Gości weselnych, moja kochana - albo świadków zbrodni, jeśli wolisz. A teraz zrób to, o co cię proszę. Masz pół godziny, żeby się przygotować do przyjęcia.
Zamknąłem za nią drzwi równie lekko, jak wiele razy wcześniej; byłem zdumiony, jak łatwo jest uwięzić żywe stworzenie w klatce. Żadnego żalu, żadnego poczucia winy, żadnego klaustrofobicznego lęku... Nie umiałem dłużej jej współczuć.
Poszedłem do swojego pokoju, zdjąłem kostium i po raz pierwszy ubrałem się w wytworny smoking z pomocą lustra. Również zwierciadła straciły swoją umiejętność ranienia mnie. Osłonięty tarczą mojego Mistrza, nie czułem żadnego ziemskiego bólu. Jak długo pozostanę wierny, byłem pewien, że nic na tym świecie nie było w stanie znowu mnie zranić.
Muzyka przepływała przez moją głowę jak fale potopu, popychała z nieodpartą siłą ku organom. Ostatni akt Tryumfu Don Juana pisał się sam, ja byłem tylko narzędziem, położnikiem, który przyjmował na świat przerażającą kakofonię dźwięków.
Szaleństwo wzbierało pod moimi palcami, wirowało niby jakaś ohydna żywa istota i przeradzało się w huragan ostrych, pełnych pasji nut. Nigdy wcześniej nie grałem w ten sposób, nigdy nie zadawałem własnemu

zmysłowi słuchu podobnej tortury. Muzyka nienawiści, muzyka dysząca żądzą mordu... Grałem ją znów i znów, aż sama klawiatura zdawała mi się zająć płomieniem, a moje palce odskoczyły jak porażone potężnym ładunkiem elektrycznym.

Cisza, która nagle zapadła, była ogłuszająca.

Ta muzyka nie była niczym innym, jak wyrazem fizycznej przemocy, naraz przypomniałem sobie z przerażeniem, że w domu była Christine. Kiedy wpadłem do jej pokoju, klęczała na podłodze przy ścianie, a czoło miała umazane krwią. Nie musiałem pytać, by odgadnąć, skąd wzięły się te obrażenia. Nie byłem zaskoczony ani zszokowany, po prostu czułem złość, że przez własną głupotę zostawiłem ją samą, podczas gdy moja przeklęta muzyka bezlitośnie atakowała jej zmysły.

Zaniosłem ją do salonu, ułożyłem na kanapie i z zawodową obojętnością zacząłem opatrywać jej rany. To takie dziwne, że nienawiść może zabić miłość aż do tego stopnia; równie dobrze mógłbym opatrywać zwłoki, byłem całkowicie spokojny i pozbawiony czułości.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytała z obawą.

- Z ciebie, moja droga... naprawdę, jesteś niewiarygodnie niekompetentna. Nawet nie wiedziałaś, jak się skutecznie zabić, co? Na co ci się to zdało, nabawiłaś się bólu głowy i poplamiłaś suknię. Niezbyt to praktyczne podejście. Trzeba się było mnie poradzić. Z przyjemnością podzieliłbym się z tobą moim niemałym doświadczeniem w sprawach śmierci.

- Przestań tak mówić - szepnęła. - Eriku, błagam, nie mów w ten sposób o śmierci i przestań się śmiać. Przerażasz mnie.
Wzruszyłem ramionami obojętnie i zmierzyłem wzrokiem jej pobladłą twarz.
- Tak... Przypominam sobie, że niezbyt wiele potrzeba, żeby cię przestraszyć, Christine. Ale naprawdę, nie powinnaś się obawiać Śmierci. Jest wręcz sympatyczną postacią, nie wywyższa się i nie ma snobistycznych manier. Różnice klasowe nie mają dla niej znaczenia...Dla Śmierci zapchlony szczur i piękna księżniczka to to samo. Ale oczywiście, jak wszyscy, docenia nowości w swoim fachu. To zawsze umila czas. Spodziewam się, że przypadł jej do gustu pomysł z żyrandolem. Nigdy mi się specjalnie nie podobał ten żyrandol, a tobie? Pamiętam, że powiedziałem kiedyś Garnierowi, że uważam go za nieco przeładowany, ale oczywiście nie chciał mnie słuchać. Czasami miał dość prostacki gust, zresztą nie znosił krytyki. Jak większość artystów...
Leżała na kanapie bez ruchu jak posąg, zacisnęła dłonie na gładkim materiale sukni ślubnej.
- Żyrandol... - powtórzyła ledwo dosłyszalnie. - O Boże... Eriku... chcesz powiedzieć, że to nie był wypadek?
- Oczywiście, że nie. Nie sądzisz chyba, że byłby tak miły i z własnej woli zeskoczył z sufitu?
- Ale - ale tam musieli zginąć ludzie!
- Z pewnością. Ośmielę się zauważyć, że jest to raczej prawdopodobne!

Widzisz, dość trudno jest być mordercą i uniknąć zabijania ludzi, przynajmniej co jakiś czas. A propos, zostawiłaś to... a może zgubiłaś? Rzuciłem jej do ręki zerwany łańcuszek z krzyżykiem i zaręczynowym pierścionkiem, po czym usiadłem wygodnie, obserwując jej reakcję. Gdyby to było możliwe, powiedziałbym, że zbladła jeszcze bardziej.
- Jeżeli jest ci niedobrze, moja miła - powiedziałem zimno - mam nadzieję, że zdążysz mnie zawczasu poprosić o miednicę. Ten dywan był bardzo drogi.
- Dlaczego? - wyszeptała. - Dlaczego to wszystko robisz? Dlaczego zachowujesz się tak okrutnie?
- Jeśli zachowuję się dziś okrutnie, ty mnie tego nauczyłaś, kochana, na dachu Opery. O tak, wszystko słyszałem - wszystko... Ten chłopak ma dźwięczny głos, wiesz. Oczywiście, nic na to nie poradzisz, że go kochasz, rozumiem to. Nikt z nas nie decyduje kiedy i gdzie się zakocha. Mam najlepszy zamiar zachować rozsądek i przyjąć do wiadomości, że to jego wina. Tak, to on jest wszystkiemu winien... I to jego ukarzę, gdy tylko tu po ciebie przyjdzie.
Przerażona poderwała się na poduszkach.
- Jak miałby tu przyjść? - zapytała zduszonym głosem. - Przecież nie zna drogi!
- Och, Christine! Jakże bardzo nie doceniasz determinacji natrętnego kochanka! Czy naprawdę możesz wątpić, że pozabijałby smoki i wyrąbał sobie drogę przez ciernisty las, byle tylko znaleźć się u twego boku?

Niezbyt to szlachetnie z twojej strony, moje dziecko, i niezbyt romantycznie.

- On nie zna drogi - powtórzyła uparcie, jakby to zdanie było magicznym talizmanem, który mógł zapewnić mu bezpieczeństwo. - On nie zna drogi.

- To bez znaczenia. Załatwiłem dla niego osobistego przewodnika, wiesz? Mogę polegać na Nadirze w stu procentach, że go przyprowadzi. Czyż to nie wspaniałe, Christine, mieć wokół siebie ludzi, którym naprawdę można zaufać? Nadir był kiedyś moim dobrym przyjacielem. Dawno, dawno temu... Czyż nie w ten sposób zaczynają się baśnie? No tak... Cóż jeszcze mogę ci powiedzieć o Nadirze? Chcesz usłyszeć o tym, jak płakał, kiedy jego syn umarł na moich rękach? A może o tym, jak wykurował mnie, kiedy chcieli mnie otruć w Persji i jak ryzykował własnym życiem, aby ratować mnie przed gniewem szacha? Nie... Chyba nie będę ci o tym opowiadał. Po co? Nie zasługujesz na to, bym opowiedział ci o Nadirze. Wiedz tylko, że zginie on dziś razem z twoim kochankiem z twojej winy - dzięki twojej zdradzie! Przez ciebie stracę najlepszego przyjaciela! Mojego jedynego przyjaciela... Chyba, że... Ależ tak! Jak mogłem o tym zapomnieć? Jest jeden sposób... To by się dało zrobić...

- Eriku, proszę cię, proszę, nie złość się tak -

- Złoszczę się... ja się złoszczę? A czemuż miałbym się złościć? Przecież masz święte prawo uciec z kim ci się żywnie podoba, czyż nie?

- Nigdy nie chciałam cię zranić - nigdy!
Zerwałem się z kanapy i odszedłem parę kroków. Tego już za wiele! Zacząłem się na serio obawiać, że mógłbym zrobić jej coś złego, jeśli wciąż będzie mnie traktować jak idiotę.
- Czyżby? - syknąłem. - Chciałaś pozwolić, bym czekał tu sam jutrzejszej nocy, chodził w tę i z powrotem, w tę i z powrotem i wpatrywał w zegar. Chciałaś, bym wreszcie wdrapał się po tych niekończących się schodach do twojej garderoby i zrozumiał, że odeszłaś - bez słowa żalu, bez pożegnalnego listu, bez niczego. I ty mi mówisz, że nie chciałaś mnie zranić?! Wybacz mi, moja kochana, ale raczej trudno mi w to uwierzyć.
- Ja nie chciałam -
Podbiegłem do niej, prawie nie panując nad sobą.
- Wierzyłem ci! Wierzyłem, że potraktujesz mnie jak cywilizowaną ludzką istotę i przyjdziesz dać mi odpowiedź. Przez tyle miesięcy czciłem cię, jakbyś była jakąś cholerną westalką. Nawet cię nie dotknąłem! A ty nie chciałaś wrócić... Nawet nie chciałaś się pożegnać. Nie było takiej rzeczy, której bym ci odmówił, niczego. Mój Boże, nawet zabijałem dla ciebie! Pewno już zapomniałaś o tych pająkach, prawda? Biedactwa! Żyły sobie, nie robiły nikomu nic złego i chciały tylko być pozostawione w spokoju. Pająki są pożyteczne, nie wiedziałaś o tym, ty ignorancki dzieciaku? Ale przecież nie wystarczyło ich po prostu wynieść, o nie. Nie, ty chciałaś, żebym je zabił, zgniótł na miazgę,

bo nienawidziłaś na nie patrzeć. Bo były brzydkie i przerażały cię! Wiesz, ja też kogoś nienawidzę. Kogoś, kogo obawiałem się przez bardzo, bardzo długi czas. Więc dzisiaj go zabiję, żebym już nigdy nie musiał się go bać. Mam przecież prawo zabić, jeśli się boję, prawda Christine? Ty mnie tego nauczyłaś! Tak... Pokazałaś mi, jak to się robi, tam na dachu świata. Pan Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają... A jeżeli Pan Bóg jest zajęty, zawsze jeszcze może to zrobić Ktoś Inny. W sumie jednak nauczyłem się sam dbać o swoje sprawy. Moja matka bardzo wcześnie mnie tego nauczyła... Nie mogłem mieć więcej niż dwa lata, kiedy przestała zapinać mi guziki i wiązać maskę. Pamiętam, jak kiedyś rzuciła mi w złości ubranie. Ona to miała temperament, Christine - chyba wiem, po kim to odziedziczyłem. Powiedziała: “Zrób to sam! Masz się nauczyć robić sam takie rzeczy!” Siedziałem w pokoju przez cały dzień, bo nie potrafiłem umocować tej cholernej maski na miejscu, a nie ośmielałem się zejść bez niej na dół. Sasza by mi pomogła, gdyby umiała, ale biedna Sasza też nie wiedziała, jak to zrobić. Siedziała tylko przy mnie i zlizywała mi łzy z twarzy. Wiesz, psy lubią smak łez. To chyba przez to, że są słone. Pomyślisz może, że nie powinienem tego pamiętać, ale ja pamiętam wszystko, wszystko. Widzisz, częścią mojego przekleństwa jest doskonała pamięć... Czasami myślę, że oddałbym wszystko, żeby móc po prostu zapomnieć, tak jak inni ludzie... No cóż... Szybko się nauczyłem robić to, co trzeba - i właśnie to zamierzam zrobić dziś. Nie chcę pamiętać, że

on mi ciebie odebrał, Christine; wolę już sam odebrać go tobie. Sprawię, że zniknie z twojego życia. Wiesz, jestem świetnym magikiem, umiem sprawić, że zniknie cokolwiek zechcę.
Zamilkłem, a Christine nie chciała, bądź nie umiała przerwać ciszy. Siedziała z półprzymkniętymi oczami, jakby za chwilę miała zemdleć, aż się zaniepokoiłem, czy aby nie zasłabła. Mogła przecież nabawić się wstrząsu mózgu, bijąc głową w ścianę. Chyba nie powinienem jej teraz pozwolić spać...
Właśnie pochylałem się, by ją ocucić, kiedy rozległ się ostry dźwięk elektrycznego dzwonka. Christine otworzyła oczy przestraszona.
- Nic się nie bój, kochanie. To tylko nasi goście dzwonią do drzwi. Spóźnili się. Spodziewałem się ich wcześniej... No cóż, lepiej późno niż wcale. Nie, nie, nie wstawaj proszę. Jeśli odsłonię kurtynę, będziesz miała doskonały widok z kanapy.
Nacisnąłem przycisk i boazeria na ścianie przesunęła się automatycznie na bok. Podszedłem i rozsunąłem czarne aksamitne kotary, ukazując izbę tortur skąpaną nagle w ostrym świetle.
- Najpierw słowo wyjaśnienia, moja droga, aby oszczędzić ci zaskoczenia. To jest rodzaj zwierciadła - my widzimy ich, ale oni nie widzą nas. Za to, jak zaraz zauważysz, mogą nas usłyszeć... Dobry wieczór, Monsieur de Chagny... Darogo. Przybyliście dziś do mojego prywatnego teatru bez zaproszenia, ale przymknę na to oko. Mniejsza o zbyteczne formalności. Zaznaczam tylko, że wszelkie kosztowności -

włączając w to również wasze życie - złożone są tutaj na wasze własne ryzyko. Kierownictwo nie odpowiada za szkody wynikłe w czasie przedstawienia. Ależ monsieur, proszę nie krzywić się do nas jak jakaś żałosna ryba. Rozumiem, że pańskie namiętne przemowy są bardzo wzruszające, ale niestety, postarałem się, byśmy ich nie słyszeli po tej stronie. Darogo... słówko między nami, jeśli pozwolisz. Odsuń się kawałek od tego młodego człowieka, dobrze, i stań tuż przy lustrze... O tak, tak lepiej - w końcu się nauczyłeś robić to, o co cię proszę. Wybacz... Chyba cię zaskoczyłem. Czegoś takiego jeszcze nie widziałeś, co? Muszę się przyznać, że to chanum na to wpadła. Szybko się nudziła i zawsze chciała nowości! Wymyśliła więc, że zabawnie będzie rozdzielić dwóch skazańców w czasie jednej iluzji tak, aby jeden umierał pierwszy, a drugi mógł dokładnie się przypatrzeć losowi, który go czeka. Zaraz się przekonasz, że przegroda chroni cię całkowicie przed ciepłem i możesz oglądać przedstawienie bez najmniejszej niewygody. Kiedy skończymy, będziesz mógł zrobić, co ci się podoba. Widzę, że przyniosłeś pistolet. Mam nadzieję, że będziesz tak uprzejmy i użyjesz go we właściwym czasie, raczej niż przekażesz mnie policji. Oszczędziłoby to nam wszystkim wielu kłopotów, nie sądzisz? Ale na razie skoncentrujmy się na głównym punkcie programu... Mam nadzieję, że ten młodzieniec okaże się wdzięcznym obiektem obserwacji. Ci arystokraci zawsze umieją umierać godnie. No cóż, lata praktyki... Trzy rewolucje w ciągu stu lat, jeśli się nie mylę...? Coś w tym rodzaju... Teraz jest Trzecia

Republika, mam rację? Może Anglii wystarczy jedna wojna domowa, ale w końcu Anglicy mają tyle rezerwy. A teraz... Monsieur de Chagny... Raoul - pozwolisz, że zwrócę się do ciebie po imieniu? - mam nadzieję, że nie sprawisz mi zawodu. Nie, oczywiście, że nie... Jestem pewien, że bardzo pięknie umrzesz! Wystarczy na ciebie spojrzeć, by zgadnąć, że to będzie piękne. Ciekawe, czy dalej będziesz tak przystojny, kiedy powiesisz się na tym drzewie w rogu. Śmieszna propozycja, nie sądzisz? Nie wyobrażasz sobie, że mógłbyś zrobić coś takiego, ale sam się zdziwisz, co może zdziałać kilka godzin spędzonych w wysokiej temperaturze. A propos, mam nadzieję, że zainteresuje cię fakt, że twoja przyjaciółka na ciebie patrzy. Powiedz coś, Christine, dodaj no chłopakowi odwagi. Musisz płakać dużo głośniej niż teraz, moja kochana, inaczej on cię nie usłyszy. Masz taki talent do płaczu, jaka szkoda go tak marnować!

Odwróciłem się od okna i usiadłem z trudem łapiąc oddech. Nagle poczułem się bardzo dziwnie, jakbym to ja, a nie Chagny spędził kilka godzin w dusznym piecu iluzji. Pomyślałem, że to ja zaczynam mieć halucynacje; że tracę poczucie rzeczywistości i błądzę wśród wspomnień. Teraźniejszość i przeszłość zlały się w jedno. W tej samej chwili ujrzałem tłukące się lustro, nóż zagłębiający się w zwały tłustego cielska, dziewczynę upadającą bezszelestnie z tarasu, dziecko leżące bezwładnie w moich ramionach...

I wreszcie... grymas niezadowolenia mojego Mistrza!

Coś było nie tak, coś poszło bardzo źle, ale nie wiedziałem co i dlaczego. Za pierwszym razem ogromnie trudno jest sporządzić zaprawę, to wielka sztuka osiągnąć idealną spoistość potrzebną, by scementować kamienie najczystszego zła. Ten czeladnik okazał się niezręczny i niepewny siebie; miotał się z żałosną bezradnością pod bezlitosnym spojrzeniem Mistrza. Nagle zdałem sobie sprawę z najwyższym przerażeniem, że zabrałem się za rzemiosło, którego nie zdołam opanować.

Przez mój mózg przetoczyła się panika i strach.

Przecież zrzuciłem żyrandol... ten pomysł z żyrandolem był zupełnie niezły, prawda? Obiecujący początek...

Ale wymówki na nic się nie zdały, nie dodały mi odwagi ani nie zmniejszyły palącego poczucia grożącej klęski. Żyrandol to była tylko wprawka. To miała być moja praca dyplomowa... Jeśli się nie sprawdzę, nigdy nie zostanę mistrzem, nigdy nie będę... nieśmiertelny, nieczuły na ludzki ból.

Czułem pod czaszką Jego gniew i nagle pojąłem, że On także mnie okłamał. Poza krawędzią nie było piękna, nie było obiecanych wspaniałości... Wszędzie czaiły się tylko wstrętne, skradające się cienie, które napełniły mnie nagłym obrzydzeniem...

Okłamałeś mnie, Panie... Dlaczego mnie okłamałeś?

- Eriku, wypuść go... proszę cię!

Otworzyłem oczy i zobaczyłem Christine klęczącą na podłodze u moich stóp. Czy na chwilę zasnąłem, że nawet nie zauważyłem kiedy wstała z

kanapy? Nagle jej głos stał się wszystkim, co trzymało mnie w poczuciu rzeczywistości, pozwolił mi wzbudzić w sobie dość gniewu, by przezwyciężyć swoje tchórzliwe wątpliwości.

- Wyjdę za ciebie - dodała drżącym głosem, gdy nawet nie otworzyłem ust, by jej odpowiedzieć. - Eriku, jeśli pozwolisz mu odejść, przysięgam, że wyjdę za ciebie w dowolnym kościele we Francji.

Zaśmiałem się cicho.

- Ach tak - postanowiłaś zostać męczennicą! A on się na to zgodzi, prawda, ten twój uroczy młody przyjaciel? Po prostu wyjdzie tu do nas, uściśnie moją dłoń i powie: “Moje gratulacje, Eriku. Wygrał lepszy z nas”"? Widzisz, kochana, jakoś trudno mi w to uwierzyć. Nawet opery mają bardziej przekonujące zakończenia!

- Wyjedziemy - powiedziała z przekonaniem. - Wyłącz tylko tę maszynerię, a wyjadę z tobą. Nie musisz ich od razu wypuszczać - napisz list do dyrekcji, a oni już ich znajdą.

- Naprawdę nieźle to sobie wymyśliłaś - skwitowałem gorzko. - Słowo daję, uwierzyłem, że jesteś gotowa przejść przez tę żałosną farsę. Słuchasz nas uważnie, Chagny..? Czy jesteś pod wrażeniem tej szlachetnej propozycji? Na Boga, chłopcze, powinieneś!

- Eriku -

- Wybacz, że tak brutalnie ci przerwałem, najdroższa... proszę, mów dalej. Zdradź mi, jak się kończy twoja śliczna, mała opera... Nie mogę się doczekać. Co się stanie, kiedy już weźmiemy ten jakże cywilizowany

ślub? Czy rzucisz się pod powóz, tuż po wyjściu z kościoła świętej Marii Magdaleny? A może zdecydujesz się na prawdziwie romantyczny gest i przebijesz się nożem w sukni ślubnej? Znalazłby się u mnie doskonały nóż do tego celu, idealnie wyważony do delikatnej kobiecej rączki. Chcesz go sobie obejrzeć?

- Nie rozumiem cię - załkała. - Dlaczego szydzisz ze mnie w ten sposób? Jeszcze kilka godzin temu sam powiedziałeś, że wystarczy ci po prostu móc nazywać mnie swoją żoną.

- No cóż, zmieniłem zdanie! - krzyknąłem nagle, ciskając stołek od pianina przez cały pokój z furią, która zerwała czerwone draperie ze ściany tak, że zasłoniły trumnę. - Może po prostu nie chcę ofiarnego jagnięcia, sparaliżowanej ze strachu małej dziewczynki, która kuli się przed moim dotknięciem i próbuje popełnić samobójstwo, kiedy tylko zostanie sama. Może nie chcę martwej małżonki leżącej w szklanej trumnie. Nie chcę ciebie, Christine. Czy jesteś aż tak próżna i głupia, że tego nie rozumiesz? Nie chcę cię!

Kiedy wybrzmiało ostatnie echo mojego wściekłego wybuchu, w pokoju zapadła cisza, w której wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem z niedowierzaniem.

Christine przestała płakać, nagle jej oczy rozszerzyły się pod wpływem szoku.

- Czego ty chcesz? - zapytała niepewnie. - Eriku, proszę... powiedz mi - czego ty chcesz?

“Jeśli nie powiesz mi zaraz, co byś chciał, nie dostaniesz nic.”
Poczułem, że kurczę się pod jej jasnym, szczerym spojrzeniem. Jeszcze raz byłem małym chłopczykiem, zwijającym serwetkę w ręce w poczuciu absolutnego przerażenia, że moja prośba spotka się z odmową. Właściwie, to tak niewiele, pocałunek... Większość ludzi nawet się nad tym nie zastanawia. Całują się na powitanie, na pożegnanie, zwyczajny dotyk ludzkiego ciała traktują całkowicie naturalnie, jak swoje prawo. Przeżyłem na tej ziemi pół wieku nie wiedząc, co to znaczy być pocałowanym... I nigdy się tego nie dowiem.
Dziś nie są moje urodziny... Zresztą i tak nie byłem grzeczny...
Odsunąłem się w stronę kominka i obojętnie przesunąłem palcami po marmurowej półeczce. Gdzieś tu powinien być przycisk, który doprowadzał prąd do starych beczek z prochem, stojących w piwnicy jeszcze od czasów Komuny.
To byłoby bardzo szybkie i bardzo miłosierne. Nawet by się nie zorientowali, co się stało... Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć, gdzie był ten przełącznik...
Ruch za moimi plecami sprawił, że odwróciłem się gwałtownie w odruchu, który z biegiem lat stał się moją drugą naturą.
Christine stała przy mnie.
Zasłoniła twarz welonem; widząc ją przez chwilę przeszył mnie bolesny żal. Całkowicie zniszczyłem to dziecko... Rozbiłem ją w drobne kawałki moją rozpaczliwą desperacją, by sprawić, aby nasze serca biły w

harmonii. Nauczyłem ją śpiewać jak jednego z Bożych aniołów, kochałem ją bardziej niż cokolwiek na tym świecie... Ale moja miłość zniszczyła ją, zredukowała do żałosnej istoty, niemal nieświadomej tego, co czyni... Oszalała, podobnie jak ja byłem szalony.
Kiedy na nią patrzyłem, powoli odsłoniła twarz i odrzuciła welon na plecy tak, jak czynią to panny młode. Zauważyłem ciemne cienie pod jej oczami, które lśniły szkliście od łez. Drżącymi dłońmi zdjęła moją maskę i upuściła ją na podłogę pomiędzy nami. Potem jej palce dotknęły z wahaniem gładkich klap mojego smokingu.
Stała tak przez chwilę, jak przerażony pływak na szczycie stromego urwiska, zastanawiając się nad skokiem, na który brakowało jej odwagi.
- Weź mnie - szepnęła. - Naucz mnie...
Zaskoczony, oniemiały, niezdolny uwierzyć swoim oczom i uszom, podniosłem jej twarz drżącymi dłońmi i ucałowałem jej posiniaczone i krwawiące czoło z całą nieśmiałością i niepewnością przestraszonego dziecka.
I nagle nie byłem dłużej nauczycielem, tylko uczniem... Jej ramiona oplotły moją szyję, jej pieszczotliwe dłonie przechyliły łagodnie moją głowę, przyciągając mnie z nieodpartą siłą w jej objęcia.
Kiedy jej usta zawarły się na moich, poczułem słony smak łez, ale nie umiem powiedzieć - moich, czy też jej.
Pogrążyła się coraz głębiej w tym uścisku, pociągnęła mnie za sobą jak zagubioną perłę podniesioną z mulistego dna oceanu i poprowadziła

mnie dalej, prosto we wszechogarniające światło słońca. Odtrąciła nienawiść, która podtrzymywała mnie niby kule chromego od tak dawna i sprawiła, że stanąłem w bezradnym zachwycie, kiedy jej ręce jeszcze raz odnalazły moją twarz i przyciągnęły ją do niej.
Długo, bardzo długo, trzymała mnie w swoich ramionach, całkiem jakby nie mogła znieść naszego rozdzielenia, a kiedy wreszcie rozłączyliśmy się, staliśmy wpatrzeni w siebie w podniosłej ciszy, oszołomieni wielkością tego, co stało się naszym udziałem.
To był już koniec, oczywiście... Ten pocałunek zakończył wszystko.
W chwili, kiedy wiedziałem, że ona jest moja - naprawdę moja - nie mogłem już zabić tego nieszczęsnego chłopaka.

Rozdział 7

Raoul - 1897

Nie miałem problemów z rezerwacją loży piątej na wieczorne przedstawienie. Nikt nie patrzył na mnie z przerażeniem, nikt nie zakrywał ust dłonią ani nie biegł do dyrektora słysząc tak osobliwe żądanie. W ciągu siedemnastu lat, odkąd ostatni raz byłem w tym teatrze, wielu pracowników umarło, przeszło na emeryturę albo zmieniło pracę. Dziś nikt już nie pamięta o Duchu Opery, pozostał tylko mroczną legendą. Obawiam się, że o mnie również zapomniano. Mam obecnie

trzydzieści osiem lat, ale szczerze mówiąc muszę przyznać, że wyglądam na starszego co najmniej o lat dziesięć. Żałoba i gorycz postarzyły mnie do tego stopnia, że nikt w Paryżu nie rozpoznałby dziś we mnie Wicehrabiego de Chagny. Nie przeszkadza mi to nawet. Nie przyszedłem tu dziś wieczorem, by mnie oglądano... Przyszedłem wspominać i spłacić dług wobec przeszłości.

Wyciągnąłem z kieszeni zegarek i nerwowo patrzyłem, jak wskazówki zbliżają się nieubłaganie do godziny rozpoczęcia przedstawienia. Wygląda na to, że Charles spóźni się na uwerturę! Co za pech, że nasz powóz potrącił bezpańskiego psa... Oczywiście Charles wyskoczył zaraz na ulicę, podniósł biedne stworzenie z bruku i nie zważając, że pobrudzi sobie elegancki strój nalegał, byśmy niezwłocznie poszukali weterynarza. Nie jest to takie łatwe w piątkowy wieczór w Paryżu!

- Tato, idź do restauracji beze mnie. Wszystkiego dopilnuję i spotkamy się w Operze.

- Charles, wcale mi się ten pomysł nie podoba! Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym pozwolił ci plątać się samemu po mieście w nocy...

Ten jego uśmiech! Ten nieodparty, słoneczny uśmiech, z którym zawsze sprzeciwiał się moim poleceniom; uśmiech, który nie pozwalał mi zganić go za samowolę.

- Tato! Mam już przecież szesnaście lat i mówię po francusku równie dobrze, jak ty! Obiecałem mamie, że będę się tobą opiekował i

dopilnuję, żebyś coś jadł. Idź więc na obiad, bądź tak dobry. Spotkamy się później.
Trudno mi było dyskutować z Charlesem, kiedy się na coś uparł. Od śmierci Christine troszczył się o mnie, organizował dla mnie wiecznie nowe zajęcia i robił wszystko, bym nie popadał w melancholię. Nie miałem ani siły, ani serca sprzeciwiać się jego pełnym oddania zabiegom. To był jego pomysł, by przyjechać z wizytą do Francji, by wybrać się na tę pielgrzymkę do Opery, gdzie Christine święciła kiedyś swój wielki tryumf.
Ale to ja postanowiłem, byśmy usiedli w loży piątej... nawet teraz nie jestem całkiem pewien, jaki perwersyjny kaprys przywiódł mnie z powrotem do miejsca, które kiedyś było prywatnym królestwem Erika. Z pozoru ta loża nie różni się niczym od pozostałych - taki sam dywan, takie same fotele, podobne draperie z czerwonego aksamitu. A jednak wyobrażam sobie, że to miejsce posiada niezwykłą atmosferę, że otacza je aura dawnych wspomnień. Lubię myśleć, że usłyszałby mnie teraz, gdybym do niego przemówił. To dziwne... odkąd umarła Christine, bardzo często tęskniłem do tego, by porozmawiać z Erikiem.
Przyjechałem tu, jakbym wierzył, że ma on prawo dowiedzieć się wszystkiego - poznać wreszcie zakończenie tej historii.
Poczułem dotyk ręki na ramieniu.
- Witaj, tato! Zdaje się, że zdążyłem na czas.
Odwróciłem się do niego i poczułem ucisk w sercu na widok tego

promiennego chłopca, nie podobnego ani do mnie, ani do Christine. Nawet jeśli kiedykolwiek wątpiłem w moje obawy i próbowałem sobie wmawiać, że się mylę, nie mogę tego zrobić dzisiaj. Nie mogę się dłużej okłamywać. Z każdym mijającym rokiem jego rysy stają się coraz bardziej podobne do portretu, który ukryłem głęboko w szufladzie. Nawet Christine nigdy nie wiedziała, że go mam; nigdy go jej nie pokazywałem. Mieliśmy przed sobą tajemnice aż do końca...
Charles usiadł przy mnie z niedbałą gracją, która tak bardzo różni go od innych chłopców w jego wieku i uśmiechnął się zachęcająco.
- Wiem, że nie będzie to dla ciebie łatwe, tato, ale później sam będziesz zadowolony, że pozwoliłeś duchom przeszłości spocząć w pokoju.
Mój Boże! Czasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten chłopiec potrafi czytać w moich myślach; ma niebywały dar przynoszenia mi ulgi w każdym cierpieniu. Oczywiście, on ma na myśli tylko Christine... nie może sobie zdawać sprawy z ogromu nagromadzonych emocji, które przewalają się dziś burzą przez moją głowę.
Światła na widowni powoli pogasły; Charles wyjął z etui lornetkę i pochylił się do przodu w fotelu. Za kilka minut kompletnie zatopi się w muzyce, zapomni o mnie, o zmarłej matce, o wszystkim z wyjątkiem swej potrzeby obcowania z potęgą, która dla mnie zawsze była niezrozumiała. Muzyka jest w jego duszy, rozciąga się na każde włókno jego ciała. W Anglii już teraz oklaskują go jako najzdolniejszego młodego pianistę tego wieku. Kobiety cisną się na jego koncerty,

zawstydzają go później swymi entuzjastycznymi pochwałami i nieukrywanym podziwem dla jego urody.
- Jakby to miało jakieś znaczenie! - wybuchnął kiedyś zniecierpliwiony.
- To się nie powinno liczyć, nie sądzisz, tato? Dlaczego po prostu nie słuchają muzyki, zamiast gapić się na mnie cielęcym wzrokiem?
No tak, w wieku trzynastu lat Charlesa bardzo drażnił fakt, że wygląda jak młody bóg.
- Chyba nie myślisz, że one przychodzą tylko się na mnie patrzeć, prawda? - zapytał przerażonym głosem. Jakie to dziwne, że zawsze przychodził do mnie ze swymi problemami - zawsze do mnie, a nie do Christine. Nawet gdy był całkiem mały, a ja niespecjalnie go zachęcałem... a może tak mi się tylko wydawało. No cóż, sprawiedliwość dziejowa, jak sądzę...
Przyglądając mu się dzisiaj, widząc, jak bezpiecznie pogrążył się w muzyce, odłożyłem swoją lornetkę i zamknąłem oczy siedząc wygodnie w fotelu.
Właściwie nigdy specjalnie nie lubiłem Carmen.
W ciemności pod moimi powiekami już zacząłem oglądać moją prywatną operę - tę, w której kiedyś zupełnie niechcący odegrałem jedną z głównych ról.
Siedemnaście lat temu, w niezbadanych lochach tego właśnie teatru...

Upał w lustrzanej komnacie szybko stał się nie do wytrzymania,

zrzuciłem marynarkę i rozerwałem przód koszuli, starając się słuchać z bezradną złością rozmowy toczącej się w pokoju obok. Pot spływał ze mnie strumieniami, wsiąkał w białe płótno koszuli i zalewał oczy słonymi kroplami, utrudniając mi widzenie.

Tłukłem w grube szkło w bezsilnej furii, ale nie poddawało się ono uderzeniom moich gołych pięści. W końcu upadłem w tył pokonany, przeklinając swój los i z trudem łapiąc oddech. Powietrze zdawało się być bardzo rozrzedzone i było go coraz mniej; nie mogłem wciągnąć dość tlenu w moje zmęczone płuca, zaczęło mi się kręcić w głowie. Osunąłem się na podłogę, gdzie było trochę chłodniej i starałem się skoncentrować uwagę na straszliwej scenie, która rozgrywała się poza ścianą mojego więzienia.

Erik mówił z początku z zimnym, wykalkulowanym sarkazmem, ale gdy wsłuchałem się lepiej, w jego głosie wyczułem nutę szaleństwa; obawiałem się, że ten człowiek naprawdę postradał zmysły. Opanowała mnie panika, gdy usłyszałem, jak Christine go błaga; wtedy w jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie i niebezpieczna gwałtowność. Dobry Boże, ona go jeszcze bardziej rozgniewa, zaraz wpadnie w furię... Czy ona nie widzi, że każde jej słowo tylko wzmaga jego wściekłość i gorycz? Milcz! zaklinałem ją w myśli. Milcz, albo on cię zabije! Słyszałem, jak do niej krzyczał, potem usłyszałem, że jakiś ciężki przedmiot przeleciał przez cały pokój. Słyszałem, jak zapytała, czego on chce... potem zapadła cisza. Długa, potworna cisza, która zdawała się

ciągnąć w nieskończoność. Zacząłem drżeć, kiedy opuściła mnie resztka sił i nadziei. Przyjąłem, że stało się to, co było nieuniknione - że ją udusił. Skoro teraz już nie żyła, było mi wszystko jedno co stanie się ze mną.

Kiedy lustro otworzyło się przede mną, przez chwilę nie poruszyłem się, a następnie z chłodnym, niespiesznym spokojem podniosłem z podłogi marynarkę, starając się odsunąć od siebie moment, kiedy będę musiał spojrzeć na to, co zrobił. Nie sądziłem nigdy, że mógłbym popaść w taką apatię; czułem się zmęczony i strasznie stary, kiedy niepewnym krokiem przeszedłem do pokoju obok. Zdawało mi się, że mam całkiem pusto w głowie. Nawet kiedy zobaczyłem ich jak stali oboje, w pierwszej chwili nie dotarło do mnie, że Christine jednak żyje.

Stali tuż przy sobie, niemal się dotykając, a Christine patrzyła na niego z intensywnością, która nie pozwalała jej widzieć nikogo i nic innego. Jakby liczył się dla niej tylko on. Pomyślałbym, że jest w transie, gdyby nie to pełne świadomości spojrzenie, które nie wyrażało strachu, a raczej... uniesienie!

To on poruszył się pierwszy, odwrócił się do mnie. Po raz pierwszy spojrzałem w jego potworną twarz. Boże! Nie kłamała, kiedy mi o nim mówiła. Jak w ogóle ktokolwiek mógł tak wyglądać?!

Odsunął się od niej i podszedł do mnie z ciężkim westchnieniem.

- Włóż marynarkę, młody człowieku, bo się przeziębisz - powiedział surowo, lecz bardzo spokojnie.

Nie wierząc własnym uszom, wciąż nie odrywając od niego oczu, z trudnością wbiłem się w smoking.
- Chciałbym się przekonać, czy dasz radę iść prosto.
- Eee... przepraszam? - zająknąłem się zdziwiony.
Znowu westchnął, z dziwną, zmęczoną cierpliwością w głosie, jakbym był wyjątkowo tępym dzieckiem powierzonym jego niechętnej opiece.
- Będziesz musiał wiosłować po ciemku przez jakiś czas. Nie pozwolę ci wsiąść z nią do łódki, zanim nie sprawdzę twojej siły i poczucia równowagi. No... przejdź się kawałek po podłodze.
Przeszedłem przez pokój i wróciłem tak, jak wskazał mi gestem. Christine się nie poruszyła. Wydawała się unieruchomiona w jednym miejscu, ciągle jednak śledziła go wzrokiem. W tej chwili jednak byłem zbyt zaskoczony, by zastanawiać się nad jej dziwnym zachowaniem.
On nas wypuści... Naprawdę pozwoli nam odejść...
- Nie wydaje mi się, żeby stało ci się coś złego - stwierdził Erik ponuro. - Zażywaj to w małych ilościach co kilka godzin w ciągu następnej doby. Zbyt duża ilość wody może ci zaszkodzić, nie mówiąc już o alkoholu...
Patrzyłem na niego z tępym niedowierzaniem. Ten człowiek, który dopiero co próbował mnie zabić, przemawiał teraz, jakby był moim ojcem... albo lekarzem! Może mimo wszystko mam halucynacje...
- Chciałbym, żebyś ożenił się z nią, tak szybko, jak tylko będzie to możliwe - powiedział wolno. - Spodziewam się, że zechcesz to zrobić?
Pokiwałem głową całkowicie zbaraniały; rozmowa przybrała nader

niespodziewany obrót.
- To dobrze. Teraz zadam ci bardzo osobiste pytanie, ale liczę na szczerą odpowiedź. Czy będziesz w stanie zapewnić jej godziwe życie, jeśli twoja rodzina się was wyprze? No, nie musisz się unosić dumą, chłopcze! Masz dopiero dwadzieścia lat, nie jesteś nawet pełnoletni. Wolałbym sam dać ci wszystko, co będzie trzeba, niż pozwolić, by moje dziecko wyszło za zubożałego arystokratę.
Zapewniłem go, że moje finanse były w doskonałym stanie, byłem pewien, że to wszystko po prostu mi się śni. Lada chwila z pewnością obudzę się w swoim łóżku, zaklinając się, że już nigdy nie będę jeść sera na kolację!
Podszedł z powrotem do Christine i szorstkim gestem kazał mi iść za sobą. Kątem oka zauważyłem Persa stojącego w drzwiach sali tortur i przyglądającego się nam w milczeniu.
Erik ujął Christine za rękę i przez chwilę patrzył na jej palce w jego długiej, chudej jak szkielet dłoni. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale położył jej palec na wargach, żeby milczała.
- Nic nie mów, ukochana, nic więcej nie można już powiedzieć. Wszystko będzie dobrze. Oczywiście, nie będzie mnie przy tobie w kościele, więc chciałbym zrobić to teraz...
Kiedy włożył mi do ręki jej dłoń, zauważyłem z zażenowaniem, że po jego zapadniętych policzkach spływają łzy.
- Widzisz, nigdy nie chodzę na śluby - mruknął smętnie. - Ludzie ciągle

mnie zapraszają, ale im odmawiam, śluby rozczulają mnie do łez, wolę więc nie chodzić. Za to zbieram zaproszenia - mam ich już całą szufladę - na śluby, chrzciny, pogrzeby. Całą szufladę - możesz w to uwierzyć, młody człowieku?

Pokiwałem pospiesznie głową. Zgodziłbym się z nim, że czarne jest białe, gdyby mnie o to zapytał; zrobiłbym wszystko, wszystko, byle tylko pozwolił mi zabrać ją w bezpieczne miejsce z dala od tej świątyni zagłady.

Przez chwilę milczał, ocierał łzy, które nieprzerwanie kapały na nasze złączone dłonie... nie były to tylko jego łzy, zauważyłem; Christine też cicho płakała.

- Wiem, że to niegrzecznie tak się wpraszać, ale naprawdę bardzo chciałbym otrzymać zaproszenie na wasz ślub... do mojej kolekcji. Własnoręcznie wypisane i dostarczone... Nie można w dzisiejszych czasach ufać poczcie... w każdym razie nie tutaj. Tak więc, młody człowieku, czy zrobisz to dla mnie... czy przysięgniesz, że przyprowadzisz ją na dzień przed waszym ślubem, żeby mogła dać mi zaproszenie? Obiecuję, że nie zatrzymam was długo... ale mam nadzieję, że w takim dniu będzie mi wolno ucałować pannę młodą... prawda?

- Tak - odparłem słabo. Ten człowiek był szalony i niebezpieczny, musiałem z nim bardzo uważać. A mimo to trudno było nie być wzruszonym w obliczu tak słabo skrywanej rozpaczy. - Tak... przyprowadzę ją... w przeddzień ślubu. Cokolwiek pan sobie życzy.

Myślę, że się uśmiechnął - trudno być pewnym przy tak zniekształconych ustach.
- W łódce znajdziesz latarnię - mówił dalej cicho. - Christine wie, jak dostać się na drugą stronę.
Odsunął się i dał mi znak, bym ją wyprowadził. Christine wykonała ruch w jego stronę, ale złapałem ją za rękę i kurczowo trzymałem, kiedy Erik odwrócił się od nas i podszedł do Persa.
- Drogi przyjacielu - powiedział z tak nieoczekiwaną, głęboką czułością, że byłem tym zdumiony. - Mam nadzieję, że zechcesz uczynić mi zaszczyt i wypić ze mną herbatę w salonie.
Odpowiedź Persa była zbyt cicha, bym mógł ją usłyszeć, ale chyba się zgodził, bo po chwili obaj przeszli do drugiego pokoju i zamknęli za sobą drzwi.
Christine wpatrywała się w zamknięte drzwi z niedowierzaniem, ale gdy tym razem pociągnąłem ją z ramię, poszła za mną bez oporu.
Starałem się nie zauważać, że wciąż płacze.
W ciągu następnych trzech tygodni byłem bardzo zajęty, biegałem po całym Paryżu; czyniłem przygotowania do pospiesznego ślubu i wyjazdu do Anglii w największej tajemnicy. Zdawałem sobie sprawę, że nie możemy pozostać we Francji. Moje małżeństwo uznane zostanie za mezalians i spotka się z potępieniem zarówno rodziny, jak i przyjaciół. Skoro i tak większość drzwi będzie przed nami zamknięta, wygodniej będzie jeśli wyjedziemy gdzieś, gdzie nikt nie będzie nas znał. Zresztą,

nie mogłem pozbyć się myśli, że powinienem trzymać Christine jak najdalej od budynku Opery, a kanał la Manche wydawał mi się wystarczającą przegrodą.
Nic nie powiedziała, kiedy zasugerowałem, że powinniśmy wyjechać na jakiś czas do Anglii; nie okazała ani radości, ani zainteresowania moimi planami. Starałem się być cierpliwy. Przeżyła ostatnio ciężkie chwile i wciąż jeszcze nie wyszła z szoku. Nie spodziewałem się, że powie: „Dzięki Bogu, już po wszystkim!" i zapomni o całej sprawie.
Ale dni płynęły, a ona wydawała się coraz bardziej niespokojna i podenerwowana. Cienie pod jej oczami przypominały ciemne sińce; ilekroć wychodziliśmy z domu, zakładała kapelusz z woalką... zdarzało się to zresztą bardzo rzadko. Pozostawiona sama sobie, najczęściej kuliła się przed kominkiem, wpatrywała się w ogień i nerwowo przesuwała paciorki różańca.

Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą.
Błogosławiona Ty między niewiastami...

Wydawało się, że tylko tyle pamięta. Pokojówka mówiła mi, że powtarzała bez końca te dwie linijki modlitwy. Gdy się o tym dowiedziałem, zdjął mnie nagły i niewyjaśniony strach.
W przeddzień ślubu przyjechałem z naręczem kwiatów. Czekała na mnie z małą, ozdobną kartką w dłoni. Na stole znajdował się masywny,

mosiężny kałamarz i nieduży, zaostrzony przedmiot, którego wcześniej nie widziałem.
- Już czas, byśmy wrócili - powiedziała.
Spojrzałem na zaproszenie, pięknie wypisane jej starannym charakterem pisma i coś we mnie struchlało. W tej chwili przestałem się zachowywać jak szlachetny bohater tego naszego małego melodramatu - idealny dżentelmen i wierny kochanek - nie czułem się dłużej jak słabowity, naiwny młody człowiek zaślepiony miłością. Dałem wyraz strachowi i złości, które dręczyły mnie od kilku tygodni; chwyciłem ją za ramiona i potrząsnąłem brutalnie.
- Jeśli myślisz choć przez chwilę, że pozwolę ci tam wrócić, to chyba całkiem straciłaś rozum!
- Przecież przysiągłeś! - powiedziała zduszonym głosem. - Przysiągłeś mu to!
- Cóż w tym dziwnego? Przysiągłbym mu, cokolwiek by chciał, byle tylko wyrwać cię z jego rąk. Ten człowiek jest szalony, Christine, całkowicie nienormalny... Chyba sama musiałaś postradać zmysły, żeby sądzić, że kiedykolwiek spełnię tę obietnicę!
Odsunęła się ode mnie i ciężko usiadła w fotelu przed kominkiem.
- Jeśli mnie tam nie zawieziesz - powiedziała nerwowo - to pojadę sama.
Pochyliłem się do niej, wyrwałem z jej drżących rąk zaproszenie i podarłem je na drobne kawałki.
- Jeśli do niego wrócisz, nie będziesz musiała zabierać tego ze sobą! -

zawołałem ze złością. - Jeśli teraz tam pojedziesz, nie będzie żadnego ślubu... Rozumiesz, co mówię, Christine?
W milczeniu pokiwała głową wpatrując się bezradnie w podarte skrawki papieru rozsypane na podłodze.
Bez jednego słowa wybiegłem z budynku prosto do czekającego na mnie na zewnątrz powozu. Poczekałem tam pięć minut, z rozpaczliwą nadzieją, że pobiegnie za mną, żeby mnie zatrzymać. Nie pojawiła się jednak, a kiedy podniosłem wzrok, nie dostrzegłem jej sylwetki w oknie. Dojechałem do domu, gdzie wprawiłem w osłupienie lokaja domagając się butelki brandy. Zamknąłem się w swoim pokoju, gdzie wkrótce upiłem się w sztok. Nie byłem przyzwyczajony do mocnych trunków; myślę, że pod wieloma względami byłem zdumiewająco naiwny i niewinny... Miałem dwadzieścia lat, a jeszcze nigdy nie byłem z kobietą! Ale ja nie pragnąłem nikogo, oprócz Christine i nie wydawało mi się, żebym kiedykolwiek mógł być z kimś innym. W pewnym momencie tego wieczoru przypominam sobie jak przez mgłę, że rozbiłem szklankę o kominek w przypływie złości i rozżalenia. Ale następnego ranka, kiedy snułem się po domu znękany bólem głowy, z ponurą rezygnacją zrozumiałem, że muszę ją tam zawieźć. Ten ostatni raz muszę ją tam zawieźć i może wreszcie to wszystko się skończy i będziemy mogli zacząć spokojne życie we dwoje.
Kiedy wróciłem do jej mieszkania, jej przygłupia pokojówka poinformowała mnie, że mademoiselle wyszła poprzedniego wieczora i

do tej pory nie wróciła.
Nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości.
- Monsieur - powiedziała młoda służąca nieśmiało. - Bardzo się boję o mademoiselle... Zachowuje się ostatnio bardzo dziwnie.
- Wiem - odparłem nie myśląc i odwróciłem się wciąż trzymając w dłoni kapelusz. - Chyba oszalałaś, żeby pozwolić jej wyjść w takim stanie.
- Czy wie pan, dokąd mogła pójść, monsieur?
Patrzyłem na przechodniów idących pospiesznie ulicą; życie w Paryżu toczyło się dalej i każdy troszczył się o swoje sprawy.
- Tak - odpowiedziałem z ponurą rezygnacją. - Wiem, gdzie jej szukać.

- Młot pneumatyczny? - zdziwił się mój woźnica. - Proszę mi wybaczyć, monsieur... powiedział pan „młot pneumatyczny”?
- Tak.
Usiadłem w powozie i zmierzyłem go wzrokiem; miał dość rozumu, by nie zadawać więcej pytań. Zabrało mu to dwie godziny, ale w końcu spełnił moją osobliwą prośbę, po czym odwiózł mnie do gmachu Opery. Kazałem mu zaczekać, aż wrócę; pracował dla mojej rodziny od lat i byłem pewien, że mogę ufać jego lojalności i dyskrecji.
Było tuż po południu i grand escalier była opustoszała. Jednak wszyscy znali mnie na tyle dobrze jako sponsora Opery, że nawet jeśli kogoś zdziwiła moja obecność w budynku, nikt nie zadawał mi pytań.
Przerzuciłem płaszcz przez ramię i starannie ukryłem pod nim młot

pneumatyczny.
Znałem tylko jeden sposób dostania się do siedziby Erika, drogę przez trzecią piwnicę, którą pokazał mi Pers. Wiedząc, że znowu znajdę się w lustrzanej komnacie tortur, przybyłem uzbrojony, aby w razie potrzeby rozbić szkło i wydostać się na zewnątrz. Jak się okazało, niepotrzebnie się tym przejmowałem; sala lustrzana pogrążona była w ciemności, drzwi były otwarte na oścież. Bez trudności przeszedłem do pokoju obok.
Byłem zdumiony i przerażony widokiem destrukcji, który ukazał się moim oczom. Pokój został zniszczony niemal nie do poznania, draperie wiszące na ścianach zostały zdarte i poszarpane na szmaty, wielkie organy były wyprute ze ściany i potrzaskane na kawałki, a pąsowy dywan zasłany był strzępami papieru nutowego. Wszystko, co miało dla niego znaczenie; wszystko, co pokochał w ciągu długich lat samotności, zostało unicestwione w jakim szalonym żałobnym rytuale.
Patrząc na smętne szczątki jego domu, przez chwilę czułem zmieszaną z szokiem litość. Zawadziłem nogą o szkło i pochyliwszy się, podniosłem z podłogi portrecik oprawiony w ramki. Po jednej stronie była podobizna niezwykle przystojnego mężczyzny. Drugiej, ukrytej pod odłamkiem matowego szkła, nie widziałem wyraźnie...
Zdrętwiałem słysząc, że ktoś się zbliża, odruchowo schowałem ramkę do kieszeni i przygotowałem się w duchu na atak.
Spodziewałem się, że to Erik, byłem więc zdumiony widząc Persa.

- Dzień dobry, Monsieur de Chagny - powiedział spokojnie po francusku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. - ... chociaż może tutaj bardziej na miejscu byłoby powiedzieć „dobry wieczór”.
Schował zegarek na łańcuszku do kieszeni kamizelki, rozejrzał się dokoła zrezygnowany, po czym gestem wskazał mi miejsce na czarnej, skórzanej kanapie, która najwyraźniej cudem w dużym stopniu uniknęła zniszczenia.
- Może zechce pan spocząć - powiedział bardzo uprzejmie.
Nie poruszyłem się.
- Gdzie oni są? - zapytałem ostro. - Dokąd on ją zabrał?
Pers wskazał w milczeniu jedną ręką w stronę zamkniętych drzwi, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi.
- Tam? - Kiedy chciałem go ominąć, jego ręka opadła ciężko na moje ramię z autorytetem stróża prawa.
- Niech pan tu zostanie, monsieur. Nie ma dla pana miejsca w tamtym pokoju.
Spojrzałem na niego ze złością.
- Mam prawo -
- W tej sprawie nie ma pan żadnych praw - powiedział stanowczo. - Nie chciałbym uciekać się do przemocy, ale jeśli będę zmuszony, to to zrobię. Nie wejdzie pan do tego pokoju jak długo, ja tu jestem, by temu zapobiec.
Staliśmy w ponurej ciszy mierząc się wzajemnie wzrokiem - nagle

staliśmy się przeciwnikami, choć jeszcze kilka tygodni wcześniej widziałem w nim swego sprzymierzeńca. Ciemna, śniada skóra pod jego zmęczonymi oczami była spuchnięta, kąciki ust skierowane były do dołu, jakby obciążał je ciężar niewypowiedzianego cierpienia. Ten surowy, dumny, starszy już człowiek Wschodu, który kiedyś zaciągnął mnie ze sobą do podziemi pełen zdecydowania i słabo ukrywanej złości, wyglądał teraz tak, jakby przepłakał wiele godzin. Przypominał załamanego starca, który nie był w stanie znieść nic więcej. Z łatwością mogłem go pokonać, nawet jedną ręką, ale nie miałem serca tego zrobić. Chciałem zdać się na siłę, którą wzbudził we mnie gniew, ale gniew zdążył już mnie opuścić, a jego miejsce zajął lęk i poczucie wewnętrznej pustki.

Usiadłem na kanapie, tak jak mnie o to prosił, wpatrywałem się tępo w powyginane rury organów i połamane świece strącone z poprzewracanych ciężkich kandelabrów.

- To Erik zrobił?

Pers pokiwał smutno głową.

- Dlaczego?

- Nie spodziewał się, że ona wróci. Powiedział, że miał pana za dość rozsądnego człowieka, by jej pan nie pozwolił... Powiedział, że na pańskim miejscu nie pozwoliłby jej. Nie chciał, by pozostał po nim jakiś ślad, gdy umrze. Ten pokój obok, który należał do Mademoiselle Daaé, był jedynym, którego nie był w stanie zniszczyć. Po ostatnim ataku

pozwolił, bym go tam zaprowadził i położył do łóżka. Powiedział, że wydaje mu się właściwą rzeczą umrzeć w łóżku, na którym się urodził. Nie pozwolił mi zabrać mu maski.

- Naprawdę jest umierający? - zapytałem zdziwiony.

- Nie sądzę, by jeszcze długo ta łaska miała być mu oszczędzona.

- Myśli pan, że on zasługuje na łaskę? - zapytałem chłodno.

- Nie mam zamiaru bronić tego, co zrobił.

- Ale mu pan wybaczył... prawda?

- Tak - powiedział Pers łagodnie, schylając się, by podnieść z ziemi kartkę manuskryptu. - Wybaczyłem mu.

Przez chwilę obaj milczeliśmy. Pers pozbierał rozsypane stronice i próbował złożyć je w całość; po chwili jednak zaprzestał daremnych usiłowań.

- Pracował nad tym dwadzieścia lat, monsieur. Błagałem go, żeby pozwolił mi to stąd zabrać, ale powiedział, że nie życzy sobie, żeby kiedykolwiek wykonywano to publicznie. To straszna tragedia... geniusz tej miary, który odchodzi z tego świata nic po sobie nie pozostawiwszy.

- Jak długo ona tam z nim siedzi?

- Odkąd przyjechała wczoraj wieczorem. Prosiła, żebym zostawił ich samych. Oczywiście, nie mogłem jej odmówić.

Odwrócił wzrok tak gwałtownie, że odgadłem, że coś przede mną ukrywa.

- Niech pan mi powie o wszystkim, co pan widział.

- Monsieur -

- Proszę mi powiedzieć!

Pers wpatrywał się w podłogę, jakby nie mógł dłużej patrzeć mi w oczy.

- Zdjęła jego maskę i dała mi, po czym poprosiła, żebym był jej świadkiem przed Bogiem...

Na moment przerwał, jakby błagał mnie, żebym nie kazał mu mówić dalej, ale ja poczekałem tylko, aż znowu podejmie opowieść.

- Całowała jego czoło, wiele razy, bardzo długo, jakby się bała, że jakaś część jego twarzy nie będzie dotknięta jej ustami. Całowała jego zamknięte oczy i ślady łez na policzkach -

Pers przerwał raptownie i tym razem nic już nie powiedział; nie prosiłem go o to zresztą. Cisza w pokoju stała się nie do wytrzymania, zdawała się wisieć w powietrzu.

- Co ja mam zrobić? - zapytałem wreszcie. - Co ja mam teraz zrobić?

Pers westchnął ciężko.

- Przyjacielu, niech pan zrobi to, o co prosił pana Erik - niech pan zabierze to dziecko i zaopiekuje się nią, póki śmierć was nie rozłączy. Najbardziej się bał, że ona zostanie na świecie sama. To dlatego odesłał ją z panem, mimo że wiedział, że zostałaby z nim. Monsieur, jeśli naprawdę kocha ją pan tak bardzo jak on, nic nie powinno tego zmienić.

Siedziałem nieruchomo pod czujnym i współczującym okiem Persa, wsłuchiwałem się w tykanie zegara, który zdawał się rozbrzmiewać w mojej głowie. Odmierzał ostatnie godziny życia Erika i mój niknący

młodzieńczy optymizm. Nie czułem się już młody. W tym domu nad jeziorem nagle postarzałem się o sto lat. Erik ocenił, że będę dość silny, by przeżyć resztę życia z duchem... może się przeliczył co do mojej odwagi.

Czas ciągnął się bez końca i kiedy wreszcie drzwi skrzypnęły cicho kilka godzin później, nie śmiałem prawie podnieść wzroku. To Pers wstał i podprowadził do mnie Christine.

Jej oczy, które w ciągu minionych tygodni wyrażały taką rozpacz, były spokojne, niemal natchnione w tym nowo odnalezionym ukojeniu. Dziwnie ubarwiony kot spoczywał w jej ramionach, a ona gładziła jego futerko obojętnym gestem.

Poczułem się zagubiony i niepotrzebny, wstałem i niepewnie objąłem ją ramieniem. Kot prychnął ostrzegawczo, ale Christine jakby tego nie zauważyła.

Spojrzałem na Persa, desperacko licząc na jakąś wskazówkę, ale on tylko pokiwał głową i dotknął przyjaźnie mojej ręki.

- Niech ją pan zabierze do domu - powiedział cicho. - Ja się tu wszystkim zajmę.

I tak to ostatni raz przepłynąłem na drugą stronę mrocznego, podziemnego jeziora. Kot wrócił z nami, ale nie zadawałem pytań. Wiedziałem, że nie mam prawa żądać odpowiedzi.

Płynęliśmy w ciemności rozświetlonej bladym światłem latarni z przodu łódki, więc nie mogę być całkowicie pewien. Zdawało mi się jednak, że

kiedy jej ręka prześlizgiwała się po futerku zdenerwowanego zwierzęcia, nie zauważyłem blasku brylantów w obrączce na jej palcu.
Kiedy dotarliśmy na ulicę było już ciemno, niepostrzeżenie dzień przeszedł w półmrok wieczoru. Wracaliśmy do jej mieszkania moim powozem, a ja nie widziałem jej rąk.
Mogłem wprawdzie wziąć ją za rękę i sprawdzić, ale nie chciałem tego robić.
Jeśli nosiła inny pierścionek, niż ten, który ja jej dałem, nie chciałem o tym wiedzieć.

Nie wzięliśmy ślubu jeszcze przez miesiąc, Christine bardzo nalegała. Mówiła, że chce mi dać czas do namysłu, bym zastanowił się jeszcze raz, czy chcę rezygnować z wolności.
- Chciałabym, żebyś był pewien, absolutnie pewien, że możesz mi wybaczyć, Raoul - powiedziała. Nie ośmieliłem się sprzeciwić tej nowej Christine, chłodnej i zdecydowanej, nagle jakby dojrzalszej i bardziej zrównoważonej.
W cztery tygodnie później pobraliśmy się w czasie skromnej ceremonii przed księdzem. Nie zaprosiliśmy gości, była tylko jej pokojówka i mój woźnica w charakterze świadków.
Następnego dnia odpłynęliśmy do Anglii.
Jak ja nie znosiłem tego kota!
Właściwie z reguły lubię zwierzęta, ale z tym przeklętym kotem

zapałaliśmy do siebie obopólną nienawiścią.
Przez kilka tygodni, jeszcze przed naszym wyjazdem do Anglii, byłem święcie przekonany, że zdechnie. Bez przerwy kotka miauczała płaczliwie, spodziewam się, że z tęsknoty, i napełniała cały dom upiornym, przeciągłym zawodzeniem, które nieprzyjemnie kojarzyło mi się z szalonym dzieckiem. Odmawiała jedzenia i całymi dniami snuła się po mieszkaniu Christine nieustannie wołając swego zmarłego pana. Zasugerowałem, że może lepiej byłoby ją uśpić, ale Christine spojrzała na mnie z takim przerażeniem, że nigdy później nie proponowałem takiego rozwiązania.
Kiedy przyszła pora wyjazdu, zwierzę wydawało się pogodzone z sytuacją; kotka oddała się całkowicie pod opiekę Christine. Chodziła za nią krok w krok z desperacją, którą w innych okolicznościach uznałbym za rozczulającą. Nie mogłem się nadziwić, że kot zachowuje się w ten sposób. Przypominało mi to raczej małpę - zwierzak był niebywale inteligentny, uparty, zazdrosny i powodował wiele zniszczeń. Od początku kotka nie kryła swej głębokiej niechęci do mnie. Jeśli podszedłem zbyt blisko, jeżyła futro na grzbiecie, mrużyła błękitne oczy w wąskie, złośliwe szparki i fukała ostrzegawczo, wymachując ogonem po podłodze. Do dziś dnia nie mogę spokojnie patrzeć na syjamskiego kota.
Byliśmy w Anglii od jakichś dwóch miesięcy, kiedy Christine powiedziała mi, że będziemy mieli dziecko. Chwyciłem ją w ramiona

uszczęśliwiony. Nie mogłem się opanować z radości, że wreszcie będziemy mieli coś swojego, jakiś aspekt życia, w który on nie będzie mógł ingerować.

Zamówiłem szampana, by uczcić tę nowinę, stuknęliśmy się z Christine kieliszkami, a następnie pochyliłem się i pogłaskałem kotkę, która jak zwykle spała zwinięta na jej kolanach. Byłem tak szczęśliwy, że postanowiłem zawrzeć pokój ze zwierzakiem, którego w duchu nazywałem „małym, białym szczurem".

- No to co, zgoda między nami? - zapytałem pojednawczo, wyciągając rękę w stronę wilgotnego, czarnego nosa na znak, że nie mam złych zamiarów.

A ten kot mnie ugryzł! Zatopił mi zęby w palcu aż do kości, zupełnie jakby był jakimś przeklętym psem!

- Och, Raoul - westchnęła Christine. - Zostaw-że ją raz w spokoju. Wiesz, że ona nie lubi obcych.

Krew ciekła mi z palca, ale byłem w zbyt dobrym nastroju, by dłużej zastanowić się nad znaczeniem jej słów. Nawet nie zwróciłem uwagi, że zostałem nazwany obcym we własnym domu - przez własną żonę!

Ciąża Christine wkrótce stała się głównym powodem mojej decyzji, byśmy pozostali w Anglii. Od samego początku były jakieś komplikacje, ale pod koniec Christine cierpiała z powodu tak straszliwych ataków bólu, że przez cały czas musiano jej podawać silne środki.

Na dwa miesiące przed terminem porodu cały dom spowiła cisza.

Christine leżała w zaciemnionym pokoju pod opieką pielęgniarki, która musiała nosić miękkie kapcie i niewykrochmalony fartuch. Nikomu nie było wolno odezwać się w domu głośniej, niż szeptem. Kotka wyła zamknięta w kuchni ze służbą, ale zagroziłem, że wyrzucę z pracy każdego, kto pozwoli jej przemknąć się na górę. Lekarze ostrzegali mnie, że każdy stres - hałas, ostre światło, nagły ruch - może wywołać u Christine atak, a po każdym kolejnym zwiększało się zagrożenie, że jej serce może tego nie wytrzymać, lub też, że nastąpi wewnętrzny krwotok. Siedziałem godzinami w pokoju o zasłoniętych szczelnie oknach z przerażeniem myśląc o chwili, gdy blada twarz leżąca na poduszkach zacznie drgać z nieznośnego bólu. Przez większość Christine czasu była zbyt odurzona narkotykami, by zdawać sobie sprawę z mojej obecności. Cierpiałem z powodu okrutnych wyrzutów sumienia i niechcący pomyślałem o Eriku. Wiedziałem, że chybaby mnie zabił, gdybym skrzywdził „jego dziecko”; ilekroć podmuch wiatru rozwiewał zasłony, czułem na szyi zimny dotyk, ale nie ośmielałem się odwrócić.
Lekarz od ponad miesiąca starał się ze wszystkich sił opanować chorobę Christine, ale nagle nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Zrozpaczony, wezwał mnie na rozmowę do gabinetu. Był to szczery, zdecydowany człowiek, który nie owijał spraw w bawełnę. Powiedział mi, że stan Christine jest na tyle poważny, że możemy jedynie spróbować uratować jej życie dzięki natychmiastowej operacji.
- Operacja! - To słowo odbiło się od mego serca jak echo gromu.

- Cesarskie cięcie. To bardzo niebezpieczny zabieg, Mister de Chagny, nie będę pana okłamywał. Jednak ośmielę się stwierdzić, że nie ma w całej Europie lepszego chirurga, niż Profesor Lister. Ma pan wiele szczęścia, że znalazł się pan w Londynie. Jeszcze pięć lat temu metoda Profesora Listera nie była zbyt rozpowszechniona. Niektórzy z uznanych specjalistów nie popierają jego sposobu odkażania...

Głos doktora brzmiał mi w uszach jak bełkot bez znaczenia. Nie mogłem się skoncentrować na zawiłych szczegółach medycznych. Z tego, co słyszałem, podobną operację przeprowadzało się tylko w ostateczności, by odebrać dziecko od konającej matki.

- Nie zgadzam się - powiedziałem ponuro. - Nie pozwolę jej zaszlachtować dla ratowania dziecka, które prawdopodobnie nie przeżyje, jeśli urodzi się na osiem tygodni przed terminem.

Doktor spojrzał na mnie zdumiony.

- Dziecko urodzi się mniej więcej miesiąc za wcześnie, z pewnością nie więcej, zapewniam pana. Przy odpowiedniej opiece ma stosunkowo duże szanse. Muszę jednak pana ostrzec, że jeśli nie przeprowadzimy tej operacji, prawdopodobnie umrą oboje.

Świat wydawał mi się stanąć w miejscu. Jedynym odgłosem w pokoju było głuche dudnienie mojego serca.

Jeśli ten człowiek miał rację - bo oczywiście mógł się mylić, gdyż trudno ustalić coś bezsprzecznie w tych sprawach - to nie moje dziecko powoli zabijało Christine.

„Chciałabym byś był pewien, że możesz mi wybaczyć...”
Jeśli nie wyrażę zgody na operację - umrą oboje. Jeśli się zgodzę, Christine może umrzeć i tak... ale dziecko przeżyje - dziecko, które nie było moje.
Nie było czasu do namysłu.
- Jak szybko możecie operować? - spytałem z cichą rozpaczą.

Swąd kwasu karbolowego do tej pory kojarzy mi się z narodzinami Charlesa.
Przynieśli go do mnie jak tylko się urodził; kiedy z poczuciem ulgi patrzyłem na maleńką, szczupłą, siną twarzyczkę, poczułem, że łzy mącą mi wzrok. Był taki mały i słaby, z cieniutkimi rączkami i nóżkami... może mimo wszystko lekarz się pomylił!
Powiedziano mi, że najlepiej będzie ochrzcić go od razu, a skoro Christine leżała nieprzytomna, wybór imienia pozostawiono mnie. Nazwałem go Charles. Wydawało mi się to takim zwykłym imieniem...
Tydzień później, kiedy byliśmy już w miarę pewni, że również Christine przeżyje, Profesor Lister z całą powagą odradził mi posiadanie kolejnych dzieci.
- To jest oczywiście wyłącznie sprawa pańskiego sumienia, sir, ale muszę pana ostrzec. Stan zdrowia pańskiej żony i możliwość wewnętrznych obrażeń przy następnym porodzie... - Rozłożył ręce wymownie. - Bardzo mi przykro, Mister de Chagny, z trudem

przychodzi mi dawać takie rady młodemu małżonkowi... No cóż, przynajmniej ma pan syna.
Patrzyłem za okno w milczeniu; w końcu, najwyraźniej uznawszy, że ognista francuska krew pozbawia mnie rozsądku i poszanowania dla zdrowia żony, Lister zmarszczył czoło i pozostawił mnie samego z moimi myślami.
Bardzo długo wyglądałem przez okno.
Oczywiście, były różne sposoby... sposoby znane od zawsze... chociaż sprzeciwiał się im nasz Kościół i nie były w pełni niezawodne.
Ale tylko jeden sposób był pewny.
Nie musiałem nawet zadawać sobie pytania, co zrobiłby Erik w podobnej sytuacji.
Wynająłem dom nieopodal Ogrodu Botanicznego, zatrudniłem jedną z tych cudownych istot, jakimi są angielskie nianie i postanowiłem cieszyć się ze swego losu.
Po powrocie do zdrowia, Christine była dla mnie łagodna i czuła, zawsze gotowa odłożyć cokolwiek by nie robiła i poświęcić mi uwagę. Ale był w niej pewien dystans, wewnętrzny spokój, który zawsze sprawiał wrażenie, że jej myśli błądzą daleko ode mnie. Wręcz im bardziej starała się mnie uszczęśliwić, tym większej nabierałem pewności, że nie nigdy nie pokocha mnie tak bardzo, jak kochała Erika.
Nie byliśmy razem nieszczęśliwi, bynajmniej, nawet pomimo trudnych okoliczności, w których przyszło nad żyć. Wśród przyjaciół, których

poznaliśmy w Anglii, uchodziliśmy za wzorowe małżeństwo obdarzone idealnym dzieckiem.
Charles od wczesnego dzieciństwa przejawiał wielki talent do muzyki. Kiedy zaczął uparcie brzdąkać na pianinie, ja starałem się odsunąć z jego życia zamykając się na całe dnie w swoim gabinecie i odgradzając bezpiecznym murem gazety, ilekroć niania przyprowadzała go do mnie. Podejrzewam, że udałoby mi się to nie gorzej, niż tak wielu innym angielskim ojcom, gdyby nie determinacja Charlesa, by mi na to nie pozwolić. Trudno było ignorować dziecko, które zawsze witało mój powrót do domu taką radością, nie raz spadło ze schodów prosto w moje ramiona biegnąc mi na spotkanie, które przynosiło mi połamane latawce i figurki żołnierzyków do naprawy, a w końcu błagało mnie, bym był obecny na jego recitalach „bo tam tyle pań". Do Christine odnosił się z ostrożnością i szacunkiem, jakby jej miłość do niego była kruchą ozdobą, którą bał się zniszczyć. Wkrótce połączyła nas niewypowiedziana nigdy głośno konspiracja, by oszczędzić jej bólu i kłopotów.
- Tylko nie mów mamie, dobrze... - szeptał mi w ucho, kiedy trzymałem go wymiotującego ze zdenerwowania nad zlewem na dziesięć minut przed pierwszym publicznym występem. Obiecałem mu to, a potem wytarłem jego zbielałą twarz wilgotnym ręcznikiem, żeby wywołać na niej choć cień koloru. Siedziałem znosząc w milczeniu straszne męki, gdy szedł cicho przez pełen ludzi pokój, by zająć miejsce przy stojącym

samotnie fortepianie. Wyglądał tak dziecinnie i delikatnie. Kiedy na mnie spojrzał, zachęcająco pokiwałem do niego głową, a on uśmiechnął się do mnie promiennie.

Przez cały ten pierwszy występ Christine trzymała mnie za rękę. Kiedy po zakończeniu cała sala na stojąco oklaskiwała Charlesa, mocno ścisnąłem jej palce i spojrzałem w oczy. Wiem, że oboje znaliśmy prawdę, ale nigdy nie zostało to wypowiedziane.

Co dziwniejsze, to, co powinno było nas od siebie oddalić, połączyło nas mocniej, niż przypuszczałem. Nie raz z całego serca dziękowałem Bogu za Charlesa i to nie zawsze z powodów, które uznawałem za szlachetne.

Kotka - to piekielne kocisko! - zaczęła ignorować Christine i pokochała go bez reszty. Odkąd skończył dwa lata, sypiała z nim w jednym łóżku; nawet się temu zbytnio nie sprzeciwiałem, pomimo obaw niani, że kot przyniesie pchły.

- To dobrze, że chłopiec ma swoje zwierzątko - powiedziałem autorytatywnie, gdy zostałem poproszony, by wydać wyrok w tej kwestii. Niania powstrzymała się od komentarzy, ale po jej minie zgadywałem, że w pokoju służby będzie dziś mowa o „tych ekscentrycznych Francuzach". Właściwie mnie to nie obchodziło.

Póki kot siedział w pokoju dziecinnym, nie mógł przebywać z moją żoną ani pilnować nas, jak jakiś przeklęty strażnik.

Zresztą, wydawało mi się w dziwny sposób właściwe, że oboje przesiadują razem.

Kot... i kukułka... w jednym gnieździe!

Kotka dożyła niebywale podeszłego wieku. Z całą swoją znaną mi doskonale złośliwością zaczekała ze śmiercią do poranka dwunastych urodzin Charlesa.
Ty cholerny zwierzaku! myślałem bezlitośnie. Jutro wróciłby do szkoły, nie mogłaś się wstrzymać przez jeden dzień?!
Charles był zdruzgotany, ale przede mną starał się zachowywać jak mężczyzna.
- Zaraz poszukam dla niej pudełka - powiedziałem ponuro.
Kiedy wróciłem spostrzegłem, że zdjął z szyi kota jej egzotyczną obróżkę.
- Pewnie mama będzie chciała ją zatrzymać, prawda?
- Pewnie tak - odparłem, a pomyślałem: „Niech to wszyscy diabli!".
Patrzyłem, jak z czułością zawinął kotkę w jej kocyk i powoli złożył w pudełku.
- To nie w porządku - mruknął cicho. - Takie zwyczajne pudełko, i żadnej ceremonii.
- To tylko kot! - powiedziałem, chyba ostrzej, niż chciałem.
- Nie sądzisz chyba, że powinna mieć Mszę z requiem?!
Spojrzał na mnie z takim bólem, że zrobiło mi się wstyd, że dałem się ponieść nerwom.
- Wiesz Charles, teraz już hoduje się takie koty w Anglii. Jeśli bardzo

chcesz, możemy wziąć drugiego...
Odwrócił się ode mnie w milczeniu, niewątpliwie wstrząśnięty tą nieczułą propozycją i zaczął dotykać klejnotów w obróżce z szacunkiem, z jakim zwykle traktuje się różaniec.
- To prawdziwe brylanty, prawda, tato?
- Tak sądzę - odpowiedziałem krótko.
- Z pewnością wystarczyłoby na naszyjnik - zauważył zamyślony. - Czy mógłbym podjąć trochę pieniędzy z mojego konta i zamówić dla mamy naszyjnik?
Przełknąłem z trudnością, przybijając wieczko pudełka z ponurą miną i raczej zbytecznym pośpiechem.
- To twoje pieniądze, Charles - powiedziałem spokojnie. - Nie musisz mnie prosić o pozwolenie, żeby je wziąć.
Zeszliśmy obok siebie na śniadanie, postanowiwszy nie zasmucać Christine złą wiadomością aż do następnego dnia. Koło jej talerza leżała jedna czerwona róża, którą zawsze dawałem jej w rocznicę urodzin Charlesa. Wydawało mi się to romantycznym gestem - pojedyncza czerwona róża jako symbol mojej stałej miłości - ale gdy pierwszy raz ją jej dałem, rozpłakała się tak żałośnie, że pożałowałem swego czynu.
- Skoro cię to zasmuca -
- Nie - odparła pospiesznie. - Wcale nie jestem smutna. To urocze z twojej strony, Raoul. Po prostu... po prostu przypomniała mi się stara legenda, którą kiedyś słyszałam.

- Ach tak. Jedna z legend twojego ojca, prawda?
Spojrzała na kwiat.
- Tak - powiedziała, przyciskając delikatne płatki do policzka - jedna z legend Ojca. Może kiedyś ci ją opowiem...
Nie nalegałem i miałem nadzieję, że zapomniała o całej sprawie. W końcu nie płakała nigdy potem, kiedy dawałem jej róże, aż po latach ustalił się z tego nasz mały, prywatny rytuał. Wiedziałem, że trzymała zasuszone płatki, kiedy kwiaty już dawno zwiędły...
Tego dnia spojrzała na Charlesa z takim niepokojem, że uśmiech zamarł mi na ustach.
- Kochanie... co się stało z twoimi oczami?
Pochylił się i pocałował ją w policzek z podziwu godną nonszalancją.
- Och, nic takiego - odpowiedział pogodnie. - Zbyt długo jeździłem wczoraj konno pod wiatr, to wszystko... Nie masz nic przeciwko temu, że wezmę sobie trochę śledzia, prawda, mamo? To mój ostatni dzień w domu... i moje urodziny!
- Och, Charles! - zawołała udając, że ją to oburza. - Cóż za strasznie brytyjskich gustów nabierasz w tej szkole!
Usiadła przy stole rozbawiona, uśmiechnięta, odciągnięta zręcznie od rozmowy, która mogła źle się zakończyć. Patrzyła, jak Charles wydłubuje ości z ryby, nawet się nie spodziewając, że coś jest nie w porządku.
O mało się nie udławił przełykając dla niej tego śledzia, ale nawet się nie

zawahał. Jadł, jakby padał z głodu; jak wygłodzony uczniak, który myśli tylko o prezentach urodzinowych.
Nalałem sobie filiżankę kawy i z cichym szacunkiem przyglądałem mu się nie po raz pierwszy myśląc, że Erik byłby z niego dumny.

Charles był w szkole, gdy Christine umarła cztery lata później.
Od dawna cierpiała na wyniszczającą chorobę, którą w końcu zdiagnozowano jako raka, ale koniec nadszedł tak szybko, że nie byliśmy na to przygotowani.
Oniemiały z rozpaczy, otworzyłem szufladę przy jej nocnym stoliku i wysypałem zawartość, którą przysiągłem jej złożyć wraz z nią do grobu. Cała szuflada pełna była suszonych płatków róż. Wydawało się, że do każdej czerwonej róży, którą jej dałem, musiała sama dodać białą; zeschnięte płatki wymieszane były razem. Wziąłem je do ręki i poczułem nikły zapach, gdy rozsypywały się w proch.
Pod warstwą płatków róż leżał brylantowy naszyjnik, który kiedyś był obróżką kota, a do jego złotego zapięcia przymocowana była ślubna obrączka. Poniosłem ją, żeby się jej lepiej przyjrzeć. To była prosta, złota obrączka; wyglądała na nową i nie noszoną od dnia, kiedy została nabyta przed laty we Francji. Była dość mała, podobnej wielkości, jak pierwszy pierścionek, który dla niej kupiłem, a który trzeba było przeciąć, kiedy palce Christine bardzo spuchły w czasie ciąży.
Na dnie szuflady znalazłem kartkę papieru najwyraźniej wyciętą z

partytury opery, którą w końcu rozpoznałem jako Aidę.

Wiedząc, że jesteś skazany, zakradłam się po kryjomu do tego grobowca by tu, z dala od ludzkich oczu, umrzeć w twoich ramionach...

Trzymając tę kartkę w dłoni, poszedłem powoli do biblioteki i wyjąłem sfatygowaną kopię Fausta, należącą do Charlesa. Mniej więcej znałem fragment, którego szukałem, ale chciałem mieć absolutną pewność. Kiedy już go odnalazłem, przepisałem go starannie na kartkę i przez chwilę się mu przyglądałem.

Aniele, przybądź tu sam... Ponieś mnie aż do nieba bram...

Wróciłem do salonu, gdzie stała otwarta trumna oświetlona jedną świecą. Włożyłem obrączkę na mały palec Christine, zapiąłem naszyjnik wokół jej bladej, pomarszczonej szyi i wsunąłem dwie kartki pod satynowe obicie trumny. Następnie rozsypałem wokół niej płatki róż. Kiedy już to zrobiłem, poczułem dziwny spokój, jakbym spełnił ostatni akt jakiejś krucjaty, która zabrała mi całe życie. Opiekowałem się nią całych siedemnaście lat, aż śmierć połączyła ją ponownie z tym, do kogo naprawdę należała. Był w tym geście smutek, który, wiedziałem, nie opuści mnie już nigdy... ale również poczucie ulgi, jakby nagle spadł mi z serca wielki ciężar.

Sam zamknąłem wieko trumny, by żaden grabarz nie zobaczył drogocennych kamieni, które miały z nią spocząć.
Podczas pogrzebu padał rzęsisty deszcz, jak chyba zawsze w Anglii przy takich okazjach. Świeże, białe róże były całe pochlapane błotem, kiedy trumna zagłębiła się w ziejącą dziurę w ziemi.
Pod parasolem Charles trzymał mnie za rękę, jakby starał się mnie ochronić. Zupełnie, jakby się obawiał, że zrobię coś głupiego z rozpaczy. Jego twarz była tragiczna i blada, ale oczy, którymi wpatrywał się we mnie, pełne były współczucia i zrozumienia.
Pamiętam, że po skończonym nabożeństwie bardzo delikatnie poprowadził mnie do powozu, jakbym bym ślepym i schorowanym starcem.

Opadła kurtyna, na widowni zapaliły się światła, a ludzie wstali z miejsc przeciągając się nieco w sztywnych, wieczorowych smokingach i zapiętych pod szyję sukniach. Zaraz zacznie się przepychanka do okryć i powozów. Mnie jednak nigdzie się dziś nie spieszyło, siedziałem nieporuszony w tym samym fotelu, w którym kiedyś musiał z pewnością siedzieć Erik patrząc na Christine.
Charles pochylił się i położył dłoń na mojej ręce. Nic nie mówił, wiedział instynktownie, że w takich chwilach najlepiej milczeć i że gest lepiej wyraża współczucie, niż pusto brzmiące słowa. Czekał cierpliwie, ze spokojem dziwnym dla chłopca w jego wieku, aż sam powoli dojdę

do siebie i wyjdę z loży piątej po raz ostatni. Już tu nie wrócę. Wspomnienia są zbyt bolesne; mimo to nie żałuję tej chwili na przemyślenie, rozdrapywanie starych, lecz niezabliźnionych ran.
Tłum na grand escalier przerzedził się nieco. Charles rozejrzał się wokół z nieukrywanym podziwem.
- Cóż za wspaniały budynek! - powiedział z zachwytem, kiedy stanęliśmy na chłodnej ulicy. - Ciekawe, czy jego budowniczowie wciąż żyją, aby napawać się swym wielkim osiągnięciem...
- Erik nie żyje już od siedemnastu lat - mruknąłem niespodziewanie.
- Erik? Czy to był twój przyjaciel, tato?
Dźwięk szczerego zainteresowania w jego głosie sprawił, że wygiąłem wargi w smutnym, ironicznym uśmiechu.
- Twoja matka znała go lepiej niż ja.
- Czy on był architektem?
- Architektem, muzykiem, magikiem, kompozytorem - geniuszem w tylu dziedzinach... tak mi opowiadano.
Był trochę zaskoczony.
- Zastanawiam się, dlaczego mama nigdy o nim nie wspominała. Szkoda, że umarł, prawda? Bardzo chciałbym go poznać.
- Tak... - Powóz wjechał powoli na zatłoczoną ulicę. Ostatni raz obejrzałem się, by spojrzeć wstecz na imponującą fasadę Opery. - Tak, mój chłopcze... wiem, że chciałbyś.
Przez chwilę milczeliśmy. Po chwili, którą Charles uznał za stosowną

przerwę, zagadnął mnie na temat, który częściowo przeczuwałem. Ten pies, którego potrąciliśmy w drodze do Opery... Czy moglibyśmy zabrać go ze sobą do Anglii i zatrzymać w domu? Próbowałem nieśmiało zaprotestować, mówiąc o nowych przepisach - sześciomiesięcznej kwarantannie w miejscu wskazanym przez właściciela - ale Charles potrafi patrzeć tak przymilnie, że wiem, że niczego nie potrafiłbym mu odmówić. W jego oczach ja też pewnie jestem czymś w rodzaju zbłąkanego psa, trzeba się mną zaopiekować i pocieszyć...Jak mógłbym zranić tak wrażliwe serce?

Gmach Opery majaczy z tyłu za nami, aż wreszcie nie jest większy, niż domek dla lalek... miniaturowe zaginione królestwo zatopione w gęstej paryskiej mgle.

Siedemnaście lat, Eriku - zbyt długo na urazy, zbyt długo na nienawiść. Twój geniusz nie zniknął z powierzchni ziemi bez śladu.

Przyprowadziłem go dziś tutaj, niby młodego pielgrzyma do świątyni, by spłacić do końca stary dług.

Ja, który niezamierzenie stałem się częścią twojej tragedii, teraz sam, jakimś ironicznym zrządzeniem losu, zostałem, by podziwiać twój ostateczny tryumf. Ten wspaniały, promienny chłopiec, który w swej niewinności nazywa mnie ojcem, nauczył mnie tak wielu rzeczy o miłości, do których sam pewnie nigdy bym nie doszedł. Patrzę teraz na świat jego oczami, widzę w tym wielkim systemie istnienia i swoje miejsce. Niby zmęczony wróbel, patrzę z dumą na olbrzyma, którego

wychowałem jak swoje własne pisklę. Moje piórka przerzedziły się i poszarzały przy tym niełatwym zadaniu, ale czuję w jego obecności ciepło i ukojenie. Ze strachem myślę o dniu, w którym będę musiał utracić go dla sławy i powodzenia, które z pewnością na niego czekają. Jego synowie będą kontynuatorami dumnego rodu de Chagny, a ja zabiorę swój sekret do grobu bez wyrzutów sumienia... prawie bez żalu.

Widzisz, kukułka...
Kukułka to taki piękny ptak!